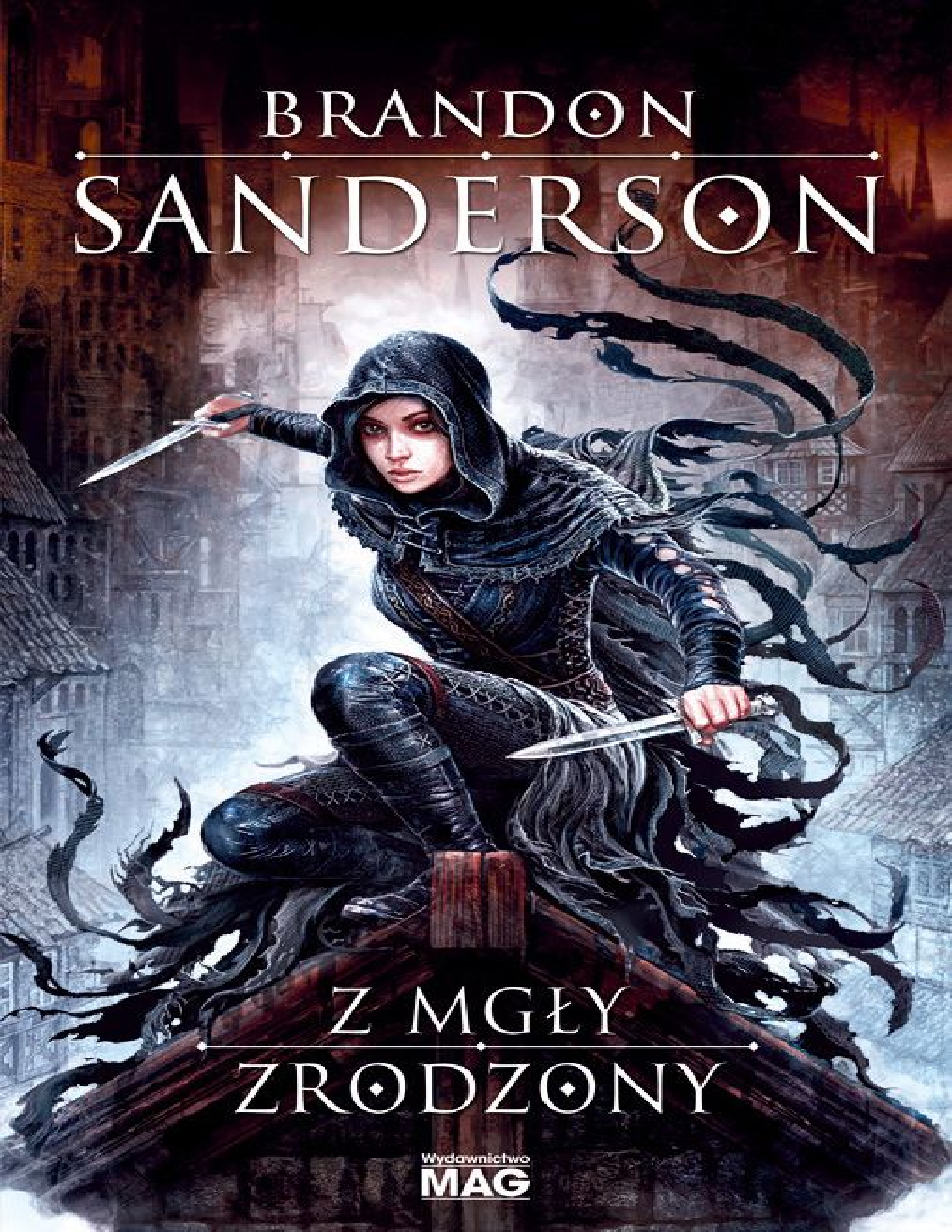
BRANDON
SANDERSON
Z MGŁY
ZRODZONY
Wydawnictwo
MAG

Spis treści

Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Prolog
Część pierwsza: OCALAŁY Z HATHSIN

1. Uważam się za człowieka z zasadami
2. Gdyby ludzie przeczytali te słowa
3. Przybyliśmy do Terris
4. Jak widać, kolejny etap mojej krucjaty
5. Nie rozumiem nawet, co powinienem zrobić
6. Nigdy tego nie chciałem
7. Rashek to wysoki mężczyzna
8. Będzie bronił ich wiedzy

Część druga: REBELIANCI POD NIEBEM Z POPIOŁU

9. Boję się
10. Zdumiewa mnie
11. Wydaje się
12. Jakby to było
13. Wiem, że nie powinienem dopuścić
14. Czasami się zastanawiam
15. Nie wiem

Część trzecia: REBELIANCI KRWAWEGO SŁOŃCA

16. Wielu sądzi
17. Nieraz zastanawiam się
18. Można powiedzieć
19. Kwaan i ja spotkaliśmy się

20. To nie cień
21. Bohater Wieków
22. Z początku byli tacy
23. Śpię tylko po kilka godzin
24. Ostatecznie muszę ufać sobie

Część czwarta: TANCERZE MORZA MGIEŁ

25. Zawsze, kiedy ktoś ginie
26. Jestem już tak bardzo zmęczony
27. Myślę
28. Nieraz moi towarzysze twierdzą
29. Wszyscy uważają
30. Większość Terrisan
31. Ludzie martwią się
32. Wprawdzie wielu Terrisan wyraża urazę
33. Jesteśmy już blisko
34. Nigdy nie chciałem

Część piąta: WYZNAWCY ZAPOMNIANEGO ŚWIATA

35. Wiedziałem, co się stanie
36. Stwierdziłem, że jestem wdzięczny
37. Czy jest coś piękniejszego
38. Moje lęki są takie

Epilog

Ars Arcanum
Alfabetyczny spis Allomancji
Luthadel cz.1
Luthadel cz.2
Ostatnie Imperium

Brandon Sanderson

Z Mgły Zrodzony

Przełożyła Aleksandra Jagiełowicz

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2012

Tytuł oryginału:
Mistborn

Copyright © 2006 by Brandon Sanderson

Copyright for the Polish translation © 2008 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Urszula Okrzeja

Korekta:
Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce:
Damian Bajowski

Opracowanie graficzne okładki:
Irek Konior

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

Konwersja do formatu epub:
pan@drewnianyrower.com

ISBN 978-83-7480-316-8

Wydanie II

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 22 813 47 43
e-mail: kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Czasem martwię się, że nie jestem tym bohaterem, za którego wszyscy mnie mają.

Filozofowie zapewniają mnie, że to właściwy czas, że pojawiły się wszystkie znaki.

Wciąż jednak zastanawiam się, czy nie mylą się co do człowieka. Tylu ludzi jest ode mnie zależnych. Powiadają, że trzymam w ramionach los całego świata.

Co by powiedzieli, gdyby się dowiedzieli, że ich obrońca – Bohater Wieków, ich zbawca – wątpi sam w siebie? Może nie byliby wcale zaskoczeni. Właściwie to mnie martwi najbardziej. Może w głębi serca zastanawiają się – tak samo jak ja.

Czy kiedy na mnie spojrzą, zobaczą kłamcę?

Prolog

Z nieba sypał się popiół.

Lord Tresting zmarszczył brwi, podnosząc wzrok na ciemne, południowe niebo, podczas gdy jego służący pospieszyli z parasolem, by osłonić nim lorda i jego dostojnego gościa. Popiół lecący z nieba nie był aż tak niezwykłym zjawiskiem w Ostatecznym Imperium, ale Tresting miał nadzieję, że uniknie czarnych plam sadzy na swej nowej kamizelce i czerwonej kurtce, które właśnie przybyły barką aż z Luthadelu. Na szczęście nie było wiatru – parasol powinien wystarczyć.

Tresting i jego gość stali na patio, znajdującym się na niewielkim wzgórku ponad polami. W opadającym popiele pracowały setki ludzi, odzianych w brunatne kaftany, usiłując ochronić zbiory. Ich ruchy były leniwe i powolne, ale oczywiście to normalne u skaa. Chłopi byli nieruchawą, nieproduktywną bandą. Oczywiście, nigdy się nie skarżyli, wiedzieli, że im się to nie opłaca. Po prostu pracowali zgarbieni, krzątając się cicho i apatycznie. Świszczący obok pejcz ekonoma na chwilę budził ich do żywszych działań, ale skoro tylko nadzorca przeszedł, wracali do poprzedniego, leniwego tempa.

– Ktoś mógłby pomyśleć, że tysiąc lat pracy w polu wystarczy, aby nabrali choć trochę wprawy – zwrócił się Tresting do mężczyzny, stojącego obok niego.

Obligator spojrzał na niego i uniósł brew. Grymas ten podkreślił jego najbardziej wyrazisty rys twarzy – skomplikowane tatuaże, które drobną koronką okalały oczy. Tatuaże były rozległe, sięgały od czoła i obejmowały oba policzki. Był pełnym prelanem – naprawdę ważnym obligatorem. Tresting miał w posiadłości własnych, osobistych obligatorów, ale byli to

jedynie pośledni funkcjonariusze, z niewielu znakami wokół oczu. Ten człowiek przypłynął z Luthadel na tej samej barce, którą przybył nowy strój Trestinga.

– Powinieneś widzieć skaa z miasta, Tresting – odparł obligator, spoglądając znowu na robotników skaa. – Ci są całkiem pilni, w porównaniu z ich braćmi z Luthadelu. Masz nad nimi bardziej... bezpośrednią kontrolę. Jak ci się zdaje, ilu stracisz w tym miesiącu?

– Och, pół tuzina, albo trochę więcej – odparł Tresting. – Kilku po chłoście, kilku ze zmęczenia.

– Ucieczki?

– Nigdy! – odparł Tresting. – Kiedy odziedziczyłem ziemię po ojcu, miałem kilka ucieczek, ale zlikwidowałem rodziny uciekinierów. Pozostałym szybko przeszła ochota. Nigdy nie rozumiałem ludzi, którzy mieli problemy ze swoimi skaa... uważam, że te istoty łatwo kontrolować, jeśli okaże się odpowiednią stanowczość.

Obligator skinął głową i stał w milczeniu, spowity szarą szatą. Wydawał się zadowolony – bardzo dobrze. Skaa nie byli tak naprawdę własnością Trestinga. Podobnie jak wszyscy inni skaa, należeli do Pana Władyki. Tresting jedynie wypożyczał pracowników od swego Boga, tak samo, jak płacił za usługi swych obligatorów.

Obligator spojrzał w dół, sprawdzając czas na kieszonkowym zegarku, po czym podniósł wzrok na słońce. Pomimo deszczu popiołu słońce jasno świeciło na niebie, wyzierając jaskrawoczerwoną tarczą zza dymnej ciemności nieba. Tresting wyjął chusteczkę i otarł czoło, wdzięczny za cień parasola, osłaniający go przed południowym upałem.

– Doskonale, Tresting – rzekł obligator. – Przekażę twoją propozycję lordowi Venture, tak jak sobie tego życzysz. Dostanie ode mnie przychylne sprawozdanie z twoich działań.

Tresting pohamował westchnienie ulgi. Obligator był obowiązkowym świadkiem w każdej transakcji i przy zawieraniu umów przez szlachtę. Oczywiście, świadkami mogli być pośledniejsi obligatorzy, tacy jakich zatrudniał Tresting, ale wywarcie wrażenia na osobistym obligatorze Straffa Venture znaczyło o wiele więcej.

Obligator spojrzał na niego.

– Dziś po południu wracam kanałem.

– Tak szybko? – zapytał Tresting. – Nie zostaniesz na kolacji?

– Nie – odrzekł obligator. – Choć jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym przedyskutować z tobą. Nie przybyłem tylko na żądanie lorda Venture, lecz również, aby... przyjrzeć się pewnym kwestiom z ramienia Kantonu Inkwizycji. Krążą plotki, że lubisz zabawiać się z kobietami skaa.

Trestingowi przeszły po plecach ciarki.

Obligator uśmiechnął się; próbował być rozbrajający, ale Tresting uznał, że jest raczej upiorny.

– Nie wpadaj w przerażenie, Tresting – odrzekł. – Jeśli naprawdę twoje zachowanie dawałoby powody do niepokoju, zamiast mnie byłby tu teraz Stalowy Inkwizytor.

Tresting powoli skinął głową. Inkwizytor. Nigdy do tej pory nie widział tych nieludzkich istot, ale słyszał... opowieści.

– Zostałem usatysfakcjonowany w kwestii twoich relacji z kobietami skaa – rzekł obligator, spoglądając znów na pola. – Z tego, co widziałem i słyszałem, zawsze zacierasz za sobą ślady. Taki człowiek, jak ty – sprawny, produktywny – mógłby w Luthadel zajść daleko. Jeszcze kilka lat pracy, parę dobrych interesów i kto wie?

Obligator odwrócił się, a Tresting poczuł, że się uśmiecha. Nie była to obietnica, nawet wyraz poparcia – obligatorzy w większości byli bardziej biurokratami i świadkami niż duchownymi – ale usłyszeć taką pochwałę z ust jednego z osobistych sług Ostatniego Imperatora... Tresting wiedział, że część szlachty uważała obligatorów za niepokojące istoty – niektórzy wręcz czuli w ich obecności zakłopotanie – ale w tym momencie Tresting mógłby nawet ucałować dostojnego gościa.

Odwrócił się w stronę skaa, którzy spokojnie pracowali pod krwawym blaskiem słońca i leniwie opadającymi płatkami popiołu. Tresting zawsze był szlachcicem zaściankowym, żyjącym spokojnie na plantacji, czasem marzącym o przeprowadzce do Luthadelu. Słyszał o balach i rautach, o przepychu i intrygach, i niezmiernie go to ekscytowało.

„Muszę to dzisiaj uczcić”, pomyślał. W czternastym rzędzie motyk pracowała dziewczyna, którą miał na oku już od kilku dni...

Uśmiechnął się znowu. Jeszcze kilka lat pracy, tak powiedział obligator. Ale może Tresting zdoła to przyspieszyć, jeśli będzie pracować choć trochę pilniej? Populacja jego skaa rozrosła się ostatnio. Może gdyby ich nieco mocniej przycisnął, zdołałby tego lata mieć większe zbiory i z nawiązką wykonał umowę, jaką zawarł z lordem Venture.

Skinął głową i objął wzrokiem tłum leniwych skaa. Niektórzy pracowali motykami, inni na czworakach, odsłaniając delikatne kiełki spod warstwy popiołu. Nie skarżyli się. Zaledwie ośmielali się myśleć. Tak właśnie być powinno, byli bowiem skaa. Byli...

Zamarł, gdyż jeden ze skaa nagle uniósł głowę. Mężczyzna spojrzał wprost w oczy Trestinga, z iskrą – nie, płomieniem buty – na twarzy. Tresting nigdy nie widział podobnego wyrazu, przynajmniej nie na obliczu skaa. Cofnął się odruchowo, przeszedł go dreszcz, bo ten dziwny skaa o prostym grzbiecie nadal wpatrywał się w jego oczy.

I uśmiechał się.

Tresting odwrócił wzrok.

– Kurdon! – warknął.

Potężny, krępy ekonom podbiegł do niego po zboczu.

– Tak, panie?

Tresting obrócił się, wskazując na...

Zmarszczył brwi. Gdzież stał ten skaa? Byli tacy podobni do siebie, z pochylonymi głowami, ciałami pokrytymi sadzą i popiołem. Tresting zawahał się, szukając wzrokiem. Wydawało mu się, że poznał to miejsce... puste miejsce, gdzie teraz nie było nikogo. Ale nie. To niemożliwe. Ten człowiek nie mógł tak szybko ulotnić się ze środka grupy. Dokąd mógł pójść? Przecież musi gdzieś tutaj być i pracować ze schyloną głową, jak należy. Ale i tak ten moment pozornej buty był niewybaczalny.

– Panie? – raz jeszcze zagadnął Kurdon.

Obligator stał z boku, obserwując ich z zainteresowaniem. Nie byłoby dobrze, gdyby ten człowiek się dowiedział, że jeden ze skaa zachował się tak bezczelnie.

– Przyciśnij trochę mocniej skaa na południowym odcinku – rozkazał Tresting, pokazując palcem. – Są ślamazarni, nawet jak na skaa. Spuść któremuś lanie.

Kurdon wzruszył ramionami, ale skinął głową. Właściwie nie było powodu do chłosty... ale kto potrzebuje powodu, żeby przyłoić robotnikom?

W końcu to tylko skaa.

***

Kelsier słyszał różne opowieści.

Słyszał szepty o czasach, kiedy – dawno, dawno temu – słońce nie było czerwone. Niebo nie było wtedy przesłonięte popiołem i dymem, rośliny nie musiały walczyć o życie, a skaa nie byli niewolnikami. W czasach przed Ostatnim Imperatorem. Jednak te czasy właściwie uległy już zapomnieniu. Nawet legendy przestały być wiarygodne.

Kelsier obserwował słońce, wodząc wzrokiem za gigantyczną czerwoną tarczą, która pełzła powoli w stronę zachodniego horyzontu. Przez chwilę stał w milczeniu, sam na pustym polu. Dzień pracy dobiegł końca. Skaa zostali zapędzeni z powrotem do baraków. Wkrótce nadciągną mgły.

Wreszcie Kelsier westchnął, po czym odwrócił się, by wąskimi miedzami i ścieżkami przecisnąć się pomiędzy ogromnymi hałdami popiołu. Starał się nie rozdeptywać roślin, choć nawet nie wiedział dlaczego. Zasiew był niewart uwagi. Wątłe kiełki o zwiędniętych liściach wydawały się równie przygnębione jak ludzie, którzy je pielęgnowali.

Chaty skaa wznosiły się ciemnymi plamami w gasnącym świetle. Kelsier widział już pierwsze tworzące się smugi mgły, wiszące w powietrzu i nadające bryłowatym budynkom odrealniony, niematerialny wygląd. Chat nie strzeżono – nie było takiej potrzeby, gdyż żaden skaa nie odważyłby się wychynąć na zewnątrz po nadejściu zmroku. Zbyt mocno obawiali się mgieł.

Kiedyś będę musiał ich z tego wyleczyć, pomyślał Kelsier, zbliżając się do jednego z większych budynków. Ale wszystko w swoim czasie.

Pchnął drzwi i wśliznął się do środka.

Rozmowy urwały się natychmiast. Kelsier zamknął drzwi, po czym odwrócił się z uśmiechem. W sali znajdowało się około trzydziestu skaa. W palenisku pośrodku pomieszczenia płonął mizerny ogień, a stojący obok kocioł był wypełniony wodą z pływającą w niej garścią warzyw – zalążek wieczornego posiłku. Zupa naturalnie będzie jałowa, ale pachniała kusząco.

– Dobry wieczór wszystkim – rzekł Kelsier z uśmiechem, stawiając swoje brzemię przy nodze i opierając się o drzwi. – Jak minął dzień?

Jego słowa przerwały milczenie, a kobiety wróciły do przygotowywania kolacji. Grupa mężczyzn, siedząca wokół prymitywnie skleconego stołu, przyglądała mu się jednak z niezadowolonym wyrazem twarzy.

– Nasz dzień był wypełniony pracą, wędrowcze – rzekł Tepper, jeden ze starszych skaa. – Tobie udało się tego uniknąć.

– Praca w polu nigdy mnie nie pasjonowała – odparł Kelsier. – Jest zbyt ciężka dla mojej delikatnej skóry.

Uśmiechnął się, wyciągając przed siebie ręce pokryte warstwami wąskich blizn. Pokrywały one całą skórę, biegnąc wzdłuż, jakby jakaś bestia darła ją szponami w górę i w dół.

Tepper prychnął. Był młody jak na członka starszyzny, zaledwie dobiegał czterdziestki – mógł być najwyżej pięć lat starszy od Kelsiera. Jednak ten obdarty człowiek wyglądał na kogoś, kto lubi mieć ostatnie słowo.

– Nie czas na błahostki – odparł z powagą Tepper. – Kiedy przyjmujemy wędrowca, oczekujemy, że będzie się godnie zachowywał i nie ściągnie na nas podejrzeń. Dzisiaj rano uciekłeś z pola, a to mogło skończyć się chłostą dla pracujących wokół ciebie ludzi.

– To prawda – rzekł Kelsier. – Ale mogli oberwać batem także i za to, że stanęli w niewłaściwym miejscu, że zbyt długo się wahali, czy też za zakasłanie, kiedy ekonom przechodził obok. Kiedyś widziałem, jak człowiek został wychłostany, ponieważ jego pan utrzymywał, że „niewłaściwie mrugnął”.

Tepper usiadł, mrużąc oczy, sztywno jak drąg i z nieustępliwym wyrazem twarzy oparł przedramiona na stole.

Kelsier westchnął i wywrócił oczyma.

– Dobrze, jeśli chcecie, to sobie pójdę. Już mnie nie ma.

Zarzucił worek na ramię i nonszalancko otworzył drzwi.

Przez szczelinę natychmiast zaczęła wsączać się mgła, unosząc się leniwie wokół Kelsiera, zbierając na podłodze i pełznąc przez kurz jak nieśmiałe zwierzę. Kilka osób krzyknęło ze strachu, choć większość była zbyt oszołomiona, by wydać z siebie głos. Kelsier stał przez chwilę nieruchomo, spoglądając na mroczne smugi mgły, wijące się powoli wokół paleniska.

– Zamknij drzwi – słowa Teppera brzmiały jak błaganie, a nie jak rozkaz.

Kelsier spełnił żądanie, pchnął drzwi i odciął strumień białej mgły.

– Mgła nie jest tym, co sądzisz. Boicie się jej o wiele za bardzo.

– Ludzie, którzy pogrążają się w mgle, tracą dusze – szepnęła kobieta.

Jej słowa obudziły wątpliwość – czy Kelsier wędrował we mgle? A jeśli tak, to co się stało z jego duszą?

Gdybyś tylko wiedziała, pomyślał Kelsier.

– Cóż, jeśli dobrze rozumiem, zostaję. – Skinął ręką na chłopaka, żeby przyniósł mu stołek. – I bardzo dobrze... szkoda by było, żebym poszedł, nie dzieląc się z wami tym, co wiem.

Niejeden z obecnych ożywił się na te słowa. Była to prawdziwa przyczyna, dla której jeszcze go tolerowali – przyczyna, dla której nawet zahukani wieśniacy przygarnęli takiego człowieka jak Kelsier. Był skaa, który igrał z wolą Ostatniego Imperatora, podróżując od plantacji do plantacji. Może i był renegatem, zagrożeniem dla całej społeczności, ale przywoził wieści ze świata.

– Przybywam z północy – oznajmił Kelsier. – Z ziem, gdzie Dotyk Ostatniego Imperatora jest mniej zauważalny.

Mówił czystym, wyraźnym głosem, a ludzie, nie przerywając zajęć, podświadomie pochylali się ku niemu. Nazajutrz plotki przyniesione przez Kelsiera zostaną przekazane kilkuset osobom mieszkającym w innych barakach. Skaa byli poniżani i pokorni, ale plotkowali bez opamiętania.

– Na Zachodzie panują lokalni lordowie – mówił Kelsier – i żyją z dala od żelaznej pięści Ostatniego Imperatora i jego obligatorów. Niektórzy z tych dalekich szlachciców stwierdzili, że szczęśliwi skaa pracują lepiej niż źle traktowani. Jeden z nich, lord Renoux, zażądał nawet, aby jego ekonomowie zaprzestali chłost bez zezwolenia. Chodzą słuchy, że rozważa wypłacanie wynagrodzenia swoim skaa z plantacji, i to takiego, jakie miewają rzemieślnicy z miasta.

– Nonsens – mruknął Tepper.

– Przepraszam – odparł Kelsier. – Nie wpadłbym na to, że kum Tepper ostatnio był w posiadłości lorda Renoux. Kiedy ostatnio jadłeś z nim kolację, czy powiedział ci o czymś, o czym nie powiedział mnie?

Tepper oblał się rumieńcem. Skaa nie podróżowali, a już z całą pewnością nie jadali przy jednym stole z lordami.

– Uważasz mnie za głupca, wędrowcze – rzekł Tepper. – Ale ja wiem, co robisz. Jesteś tym, którego nazywają Ocalałym, zdradzają cię blizny na ramionach. Jesteś też mąciwodą – wędrujesz od plantacji do plantacji, wzniecasz niezadowolenie. Zjadasz naszą żywność, opowiadasz wielkie historie i kłamstwa, potem znikasz i zostawiasz takich ludzi jak ja, by radzili sobie z fałszywymi nadziejami, jakie wzbudziłeś w naszych dzieciach.

Kelsier uniósł brew.

– Spokojnie, kumie Tepper – rzekł. – Twoje obawy są całkowicie bezpodstawne. Nie mam najmniejszego zamiaru zjadać waszej żywności, przyniosłem własną.

Z tymi słowy Kelsier sięgnął i rzucił worek na ziemię przed stołem Teppera. Luźno zawiązana torba przechyliła się. Wysypała się z niej żywność. Chleb, owoce, nawet kilka grubych, wędzonych kiełbas.

Nektaryna potoczyła się po twardym klepisku i odbiła lekko od stopy Teppera. Niemłody już skaa spojrzał na owoc ze zdumieniem.

– To jedzenie szlachty!

Kelsier prychnął.

– Ledwie ledwie. Jak na człowieka o takim prestiżu i geście, wasz lord Tresting ma zastanawiająco kiepski gust. Jego spiżarnia to kompromitacja dla tak wspaniałej posesji.

Tepper pobladł jeszcze bardziej.

– To tam się wybrałeś dzisiaj – szepnął. – Poszedłeś do zamku... Okradłeś pana!

– Istotnie – zgodził się Kelsier. – Mogę jeszcze dodać, że o ile gusta kulinarne waszego pana są rozpaczliwe, jego talent w doborze żołnierzy robi znacznie większe wrażenie. Wśliźnięcie się do jego domu w biały dzień było nie lada wyzwaniem.

Tepper wciąż gapił się na worek z żywnością.

– Jeśli ekonom to tutaj znajdzie...

– Więc zróbcie coś, żeby nie znalazł – odparł Kelsier. – Jestem przekonany, że to smakuje o wiele lepiej niż rozwodniona jarzynówka.

Dwa tuziny par wygłodniałych oczu pożerały wzrokiem żywność. Jeśli nawet Tepper szykował kolejne argumenty, nie uczynił tego dość szybko, bo chwila milczenia została natychmiast uznana za przyzwolenie. W ciągu kilku minut sprawdzono i podzielono zawartość worka, a garnek zupy bulgotał w zapomnieniu, podczas, kiedy skaa spożywali znacznie bardziej egzotyczny posiłek.

Kelsier rozsiadł się wygodnie, opierając się o drewnianą ścianę chaty i obserwując, jak ludzie rzucają się na jedzenie. Miał rację – to, co znalazł w spiżarni było żałośnie przyziemne. Ci ludzie jednak od najmłodszych lat żywili się tylko zupą i kaszą. Dla nich chleb i owoce były rzadkimi

przysmakami – zwykle kosztowali ich jedynie w postaci nieświeżych resztek, przynoszonych przez służbę domową.

– Nie pozwolono ci dokończyć opowieści, młody człowieku – zauważył niemłody już skaa i przykuśtykał do Kelsiera, by zająć miejsce na stołku obok.

– Och, podejrzewam, że później będzie jeszcze na to czas – odrzekł Kelsier . – Kiedy już wszystkie dowody mojej kradzieży zostaną doszczętnie spożyte. Nie chcesz skosztować?

– Nie potrzebuję – odparł starzec. – Kiedy ostatnio próbowałem pańskiego jedzenia, żołądek bolał mnie przez trzy dni. Nowe smaki są jak nowe idee, młodzieńcze – im jesteś starszy, tym trudniej ci je strawić.

Kelsier się zawahał. Staruszek nie wydawał się silny. Jego pomarszczona twarz i łysa czaszka sprawiały, że wyglądał raczej na słabeusza, niż na mędrca. A jednak musiał być silniejszy, niż wskazywały na to pozory; mała część skaa z plantacji dożywała tego wieku. Wielu panów nie pozwalało starcom pozostawać w domu w ciągu dnia pracy, a częste chłosty zbierały wśród wiekowych skaa ponure żniwo.

– Jak się nazywasz? – zapytał Kelsier.

– Mennis.

Kelsier znów spojrzał na Teppera.

– A więc, kumie Mennis, powiedz mi, dlaczego pozwalasz, aby to on był przywódcą?

Mennis wzruszył ramionami.

– Kiedy dożywasz moich lat, stajesz się bardzo ostrożny z marnotrawieniem energii. Niektóre bitwy nie są po prostu warte, by w nich walczyć. – Mennis spojrzał znacząco. Mówił o sprawach ważniejszych niż jego zmagania z Tepperem.

– Więc to cię zadowala? – zapytał Kelsier, wskazując ruchem głowy chatę i jej przepracowanych, wygłodzonych mieszkańców. – Jesteś zadowolony z życia pełnego chłosty i niekończącej się harówki?

– Przynajmniej jakoś żyję – odparł Mennis. – Wiem, jakie szanse dają niezadowolenie i bunt. Oko Ostatniego Imperatora i gniew Stalowych Ministrów mogą okazać się straszniejsze niż kilka chłost. Ludzie tacy jak ty mówią o zmianach, ale ja się zastanawiam. Czy to jest bitwa, do której rzeczywiście możemy stanąć?

– Już walczycie, kumie Mennis. Tyle tylko, że na razie ponosicie sromotną klęskę. – Kelsier wzruszył ramionami. – Zresztą, co ja wiem? Jestem tylko wędrownym mącicielem, zjadam wasze jedzenie i mieszam w głowach młodzieży.

Mennis pokręcił głową.

– Żartujesz sobie, ale Tepper może mieć rację. Obawiam się, że twoja wizyta sprowadzi na nas nieszczęście.

Kelsier się uśmiechnął.

– Dlatego nie zaprzeczyłem. Przynajmniej w kwestii mąciwody. – Urwał, po czym uśmiechnął się szerzej. – Właściwie to były jedyne prawdziwe słowa, jakie Tepper wypowiedział od chwili, kiedy tu wszedłem.

– Jak ty to robisz? – zapytał Mennis, marszcząc brwi.

– Co?

– Ciągle się uśmiechasz.

– Och, jestem szczęśliwą osobą.

Mennis spojrzał na dłonie Kelsiera.

– Wiesz, takie blizny widziałem tylko u jednej osoby – i ta osoba nie żyła. Ciało zwrócono lordowi Trestingowi jako dowód, że kara została wykonana. – Mennis spojrzał na Kelsiera. – Ten ktoś został przyłapany na podżeganiu do rebelii. Tresting wysłał go do Czeluści Hathsin, gdzie pracował do śmierci. Chłopak nie wytrzymał nawet miesiąca.

Kelsier spojrzał na swoje dłonie i przedramiona. Wciąż jeszcze czasem go paliły, choć był pewien, że ten ból istniał tylko w jego umyśle. Podniósł wzrok na Mennisa i znów się uśmiechnął.

– Zapytasz zaraz, czemu się uśmiecham, kumie Mennis? Cóż, Ostatni Imperator myśli, że zagarnął na własność całą radość i śmiech. Nie mam ochoty mu na to pozwalać. To jedyna bitwa, której stoczenie nie wymaga wielkiego wysiłku.

Mennis wytrzeszczył oczy na Kelsiera i ten przez chwilę spodziewał się, że starzec odpowie uśmiechem. Jednakże Mennis jedynie pokręcił głową.

– Nie wiem, po prostu nie...

Przerwał mu krzyk. Dochodził z zewnątrz, może z północy, choć mgły zniekształcały dźwięki. Ludzie w chacie zamilkli, wsłuchując się w odległe, piskliwe krzyki. Pomimo odległości i mgły Kelsier wyczuwał zawarte w nich cierpienie.

Kelsier spalił cynę.

Teraz, po latach ćwiczeń, było to całkiem proste. Cyna spoczywała w jego żołądku, połknięta wcześniej, wraz z innymi allomantycznymi metalami, czekającymi, by zaczerpnął z nich siłę. Sięgnął umysłem do wnętrza i dotknął cyny, czerpiąc moc, której do końca nie pojmował. Cyna ożyła z błyskiem, paląc go w żołądku jak gorący, zbyt szybko połknięty napój.

Allomantyczne moce wezbrały w jego ciele, wyostrzając zmysły. Otaczające go pomieszczenie nabrało wyrazistości, blade palenisko zabłysło oślepiająco jasno. Wyczuwał słoje drewna stołka, na którym siedział. Wciąż czuł w ustach smak bochenka chleba, który zjadł wiele godzin temu. A co najważniejsze, jego nadnaturalny słuch wychwytywał krzyki. Krzyczały dwie osoby. Jedna była starszą kobietą, druga młodą dziewczyną, prawie dzieckiem. Młodszy głos oddalał się z każdą chwilą.

– Biedna Jess – odezwała się jedna z kobiet w izbie, a jej słowa zagrzmiały w wyczulonych uszach Kelsiera jak grom. – To jej dziecko było przekleństwem. Kobiety skaa nie powinny mieć ładnych dzieci.

Tepper skinął głową.

– Lord Tresting posłałby po nią wcześniej czy później. Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Jess też.

– Ale to i tak wstyd – rzekł inny mężczyzna.

Krzyki rozbrzmiewały dalej. Paląc cynę, Kelsier był w stanie dokładnie określić odległość. Głos oddalał się w kierunku posiadłości lorda. Odgłos coś w nim przełamał, poczuł, że jego twarz zalewa płomień gniewu.

Obejrzał się.

– Czy lord Tresting kiedykolwiek uwalnia dziewczęta, kiedy już się nimi nasyci?

Stary Mennis pokręcił głową.

– Lord Tresting przestrzega prawa, zabija dziewczęta po kilku tygodniach. Nie chce ściągnąć na siebie uwagi Inkwizytorów.

Taki był rozkaz Ostatniego Imperatora. Nie mógł sobie pozwolić na hasające swobodnie bękarty – bękarty, które mogłyby posiadać umiejętności, o jakich zwykły skaa nie miał nawet prawa wiedzieć...

Krzyki ucichły w oddali, ale gniew Kelsiera narastał. Przypomniały mu się inne krzyki. Głosy kobiety z przeszłości. Wstał gwałtownie, przewracając stołek.

– Ostrożnie, chłopcze – powiedział Mennis. – Pamiętaj o tym, co ci mówiłem na temat marnowania energii. Nie wzniecisz rebelii, jeśli dasz się dzisiaj zabić.

Kelsier spojrzał na starca, a potem zmusił się do uśmiechu, ignorując krzyki i ból.

– Nie jestem tutaj po to, by poprowadzić waszą rebelię, kumie Mennis. Chcę tylko trochę pomącić wodę.

– A co to da?

Kelsier uśmiechnął się szerzej.

– Nadchodzą nowe dni. Pożyj jeszcze trochę, a może zobaczysz wielkie wydarzenia, jakie nastąpią w Ostatnim Imperium. Wszystkim składam wielkie dzięki za gościnność.

Pchnął drzwi i wyszedł w mgłę.

***

Mennis leżał bez snu aż do wczesnych godzin rannych. Wydawało mu się, że im jest starszy, tym gorzej zasypia. Działo się to szczególnie wtedy, kiedy coś go gnębiło, tak jak to, że wędrowiec nie powrócił do chaty.

Mennis miał nadzieję, że Kelsier odzyskał rozum i poszedł dalej, ale po chwili uznał, że to niezbyt prawdopodobne. Widział ogień w jego oczach. Co za szkoda, że człowiek, który wyszedł żywy z Czeluści, znalazł śmierć właśnie tutaj, na przypadkowej plantacji, usiłując bronić dziewczynę, którą wszyscy uznali już za straconą.

Jak zareaguje lord Tresting? Powiadali, że wobec śmiałków, którzy odważyli się zakłócić jego nocne zabawy, okazywał szczególną brutalność. Jeśli Kelsier zdołał mu przeszkodzić w zażywaniu rozkoszy, Tresting może równie dobrze ukarać całą resztę skaa za współudział.

Wreszcie pozostali skaa również zaczęli się budzić. Mennis leżał na twardym klepisku – bolały go kości, protestował kręgosłup, mięśnie zesztywniały – i zastanawiał się, czy warto wstawać. Codziennie był bliski kapitulacji. Codzienne wstawanie wydawało się odrobinę trudniejsze. Aż przyjdzie taki dzień, że po prostu zostanie w chacie, czekając, kiedy ekonomowie przyjdą dobić tych wszystkich, którzy byli zbyt chorzy lub zbyt starzy, żeby pracować.

Ale nie dzisiaj. Widział w oczach skaa zbyt wiele strachu – wiedzieli, że nocne eskapady Kelsiera napytają im biedy. Potrzebowali Mennisa, liczyli na niego. Musi wstać.

I wstał. Kiedy zrobił kilka pierwszych kroków, starcze bóle powoli zaczęły ustępować. Powoli wyszedł z chaty i wsparty na ramieniu młodszego mężczyzny ruszył ku polom. Nagle poczuł dziwny zapach.

– Co to jest? – zapytał. – Czy też czujecie dym?

Shum – chłopak, na którego ramieniu wspierał się Mennis – zawahał się. Ostatnie pasma nocnej mgły wyparowały i za zwykłą zasłoną chmur pojawiła się czerwona tarcza słońca.

– Ostatnio zawsze czuję dym – rzekł – Popielne Rumaki są w tym roku bardzo gwałtowne.

– Nie. – Mennis pokręcił głową, czując coraz większy niepokój. – To coś innego.

Zwrócił się na północ, w stronę, gdzie właśnie zbierała się grupka skaa. Puścił ramię Shuma i podreptał w stronę grupy, powłócząc nogami i wzniecając chmury pyłu i popiołu.

Pośrodku grupy ujrzał Jess. Jej córka, ta sama, którą miał porwać lord Tresting, stała obok niej. Oczy dziewczyny były zaczerwienione z braku snu, ale wyglądało, że nic jej nie jest.

– Wróciła wkrótce potem, jak ją zabrali – wyjaśniała kobieta. – Przybiegła i zaczęła z krzykiem tłuc w drzwi. Flen był pewien, że to mgielny upiór, ale ja musiałam ją wpuścić! Nie obchodzi mnie, co on wygaduje. Wyprowadziłam ja na słońce i nie znikła. To dowód, że nie jest mgielnym upiorem.

Mennis oddalił się od grupy. Czy nikt tego nie zauważył? Żaden ekonom nie przyszedł, aby rozpędzić zgromadzenie. Nie pojawili się żołnierze, by przeprowadzić poranne zliczanie skaa. Coś było bardzo nie w porządku. Mennis ruszył na północ, desperacko brnąc ku dworowi.

Zanim tam dotarł, inni już spostrzegli wijącą się, ledwie widoczną w porannym słońcu smugę dymu. Mennis nie dotarł jako pierwszy do krawędzi niewielkiego płaskowyżu, ale kiedy się zjawił, pozostali się rozstąpili.

Dworu nie było. Została jedynie poczerniała, dymiąca jama.

– Na Ostatniego Imperatora! – wyszeptał Mennis. – A tutaj co się stało?

– Zabił ich wszystkich.

Mennis się obejrzał. Głos należał do córki Jess. Stała obok, spoglądając z satysfakcją na twarzy na zburzony dom.

– Kiedy mnie wyprowadził, już nie żyli – powiedziała. – Wszyscy. Ekonomowie, żołnierze, lordowie... wszyscy byli martwi. Nawet lord Tresting i jego obligatorzy. Pan zostawił mnie, żeby się dowiedzieć, co się dzieje, kiedy zaczęły się hałasy. Wychodząc, widziałam go w kałuży krwi, z ranami od noża na piersi. Człowiek, który mnie uratował, wychodząc, wrzucił pochodnię do budynku.

– Ten człowiek – zagadnął Mennis – czy on miał blizny na dłoniach i ramionach, sięgające aż poza łokcie?

Dziewczyna skinęła w milczeniu głową.

– Cóż to za demon? – niepewnie wymamrotał jeden ze skaa.

– Mgielny upiór – szepnął drugi, widocznie nie pamiętając, że Kelsier pojawiał się również w dzień.

Ale wyszedł z mgły, pomyślał Mennis. I jak mógł tego dokonać...? Lord Tresting miał dwa tuziny żołnierzy! Czy i Kelsier miał ukrytą bandę buntowników?

W głowie rozbrzmiały mu słowa Kelsiera z poprzedniego wieczoru: „Nadchodzą nowe dni...”.

– Ale co z nami? – zapytał z przerażeniem Tepper. – Co się stanie, kiedy Ostatni Imperator się o tym dowie? Pomyśli, że to my! Wyśle nas do Czeluści, a może nawet po prostu wyśle swojego kolosa, żeby nas pozabijał! Po co ten mąciwoda zrobił coś takiego? Czy nie rozumie, jakich szkód narobił?

– Rozumie – odparł Mennis. – Ostrzegł nas, Tepper. Przybył tu, by namącić.

– Ale po co?

– Bo wiedział, że sami się nigdy nie zbuntujemy. Zatem nie dał nam wyboru.

Tepper pobladł.

Ostatni Imperatorze, pomyślał Mennis. Nie mogę tego zrobić. Zaledwie dźwigam się rankami na nogi. Nie ocalę tych ludzi.

Ale czy miał wybór?

Odwrócił się.

– Tepper, zbierz ludzi. Musimy uciec, zanim wieści o tej katastrofie dotrą do Ostatniego Imperatora.

– Dokąd pójdziemy?

– Jaskinie na wschodzie – odparł Mennis. – Wędrowcy mówią, że tam właśnie ukrywają się zbuntowani skaa. Może nas przyjmą.

Tepper pobladł jeszcze bardziej.

– Ale... będziemy musieli wędrować przez wiele dni. Spędzać noce we mgle!

– Mamy wybór – odparł Mennis. – Równie dobrze możemy zostać tutaj i umrzeć.

Tepper przez chwilę stał osłupiały i Mennis zaczął się obawiać, że mógł nie wytrzymać wstrząsu, jaki wywołała ta sytuacja. Po chwili jednak młodszy mężczyzna pobiegł pozbierać pozostałych ludzi.

Mennis westchnął, spoglądając znów na snujący się dym i przeklinając w duchu tego szaleńca Kelsiera.

Rzeczywiście, nowe dni.

Część pierwsza:

OCALAŁY Z HATHSIN

Uważam się za człowieka z zasadami. Ale który człowiek sądzi inaczej? Nawet rzezimieszek, jak zauważyłem, uważa swoje czyny za w pewnym sensie „moralne”.

Może inna osoba, czytając o moim życiu, nazwie mnie religijnym tyranem. Może nazwie mnie arogantem. Czemu opinia tego człowieka miałaby być mniej ważna niż moja własna?

Chyba wszystko sprowadza się do jednego faktu. W ostatecznym rozrachunku to ja mam wojsko.

1

Z nieba spadał popiół.

Vin obserwowała, jak puszyste płatki unoszą się w powietrzu. Leniwie. Beztrosko. Swobodnie. Kłębki sadzy spadały jak czarny śnieg, zasypując ciemne miasto Luthadel. Wirowały wokół murów, unosząc się na wietrze i tańcząc w małych wirach nad kocimi łbami. Wydawały się takie beztroskie. Jakie to uczucie?

Vin siedziała skulona w jednym z otworów obserwacyjnych – ukrytej alkowie, wbudowanej w mur budynku. Można było obserwować z niej

ulice i w porę dostrzec zagrożenie. Vin nie miała warty, otwór był jednym z niewielu miejsc, gdzie mogła być sama.

A Vin lubiła samotność. „Kiedy jesteś sam, nikt nie może Cię zdradzić". Słowa Reena. Brat nauczył ją tak wielu rzeczy, a potem poparł je czynem, jak to zawsze obiecywał . „Tylko tak się nauczysz, Vin. Każdy cię zdradzi. Każdy".

Popiół padał dalej. Czasem Vin wyobrażała sobie, że jest jak ten popiół, albo jak wiatr, albo wręcz jak mgła. Czymś bezmyślnym, co po prostu istnieje, nie myśli, nie martwi się, nie cierpi. Wtedy byłaby... wolna.

Opodal rozległo się szuranie, a potem drzwi w głębi alkowy otwarły się.

– Vin! – zawołał Ulef, wsadzając głowę do środka. – Jesteś! Camon szuka cię od pół godziny.

Właśnie dlatego się tu schowałam.

– Powinnaś się ruszyć – rzekł Ulef. – Zaraz się zacznie robota.

Ulef był młodym chłopcem. Miłym na swój sposób i naiwnym. Oczywiście, o ile można nazwać naiwnym kogoś, kto wychował się w tym światku. Ale to nie znaczyło, że i on jej nie zdradzi. Zdrada nie miała nic wspólnego z przyjaźnią. Na ulicy życie było ciężkie, więc jeśli złodziej skaa nie chciał być złapany i powieszony, musiał myśleć praktycznie.

A bezwzględność była jednym z najpraktyczniejszych uczuć. Kolejne powiedzonko Reena.

– No i co? – zapytał Ulef. – Powinnaś iść. Camon jest wściekły.

A kiedy nie jest? – pomyślała Vin. Skinęła głową i wygramoliła się z ciasnej, ale bezpiecznej niszy. Wyminęła Ulefa i wyskoczyła na korytarz, a potem do zrujnowanej spiżarni. Pomieszczenie było jednym z wielu na zapleczu sklepu, który stanowił fasadę dla ich kryjówki. Jaskinia szajki znajdowała się w pełnej tuneli kamiennej pieczarze pod budynkiem.

Wyszła tylnymi drzwiami. Ulef wlókł się za nią. Zadanie miało być wykonane o kilka przecznic dalej, w bogatszej części miasta. Było dość skomplikowane – właściwie jedno z bardziej skomplikowanych, z jakimi się spotkała Vin. Gdyby uznać, że Camon nie zostanie złapany, to może być naprawdę intratna robota. Jeśli zostanie schwytany... Cóż, oszukiwanie szlachty i obligatorów to bardzo niebezpieczne zajęcie – ale z pewnością lepsze niż praca w kuźni czy fabryce włókienniczej.

Wyszła z alejki, kierując się ku ciemnej, otoczonej kamienicami uliczce w jednym z licznych slumsów skaa w mieście. Skaa, zbyt chorzy, by

pracować, leżeli skuleni po kątach i kanałach, obsypywani lekkim popiołem. Vin opuściła głowę i włożyła kaptur, aby uchronić się przed wciąż opadającymi płatkami.

Wolna. Nie, nigdy nie będę wolna. Reen już się o to postarał, kiedy odchodził.

***

– Jesteś! – Camon uniósł krótki, gruby palec i dźgnął nim w kierunku jej twarzy. – Gdzie byłaś?

Vin nie pozwoliła, by bunt i nienawiść pojawiły się w jej spojrzeniu. Po prostu spuściła wzrok, pokazując Camonowi to, co chciał zobaczyć. Były inne sposoby okazania siły. Tej lekcji nauczyła się samodzielnie.

Camon warknął cicho, po czym uderzył ją w twarz. Siła tego ciosu rzuciła Vin na ścianę, policzek zapłonął bólem. Oparła się o drewno, ale zniosła karę w milczeniu. To tylko kolejny siniak. Była dość silna, żeby o tym nie myśleć. To nie pierwszy raz.

– Słuchaj – syknął Camon. – To ważna robota. Warta tysiąca skrzyńców, warta tysiąc razy więcej niż ty. Nie dopuszczę, żebyś ją schrzaniła. Rozumiesz?

Vin skinęła głową.

Camon obserwował ją przez chwilę, z zaczerwienioną z gniewu pulchną twarzą. Wreszcie odwrócił wzrok, mamrocząc pod nosem.

Coś go zdenerwowało. Coś innego, niż tylko Vin. Może słyszał o buncie skaa daleko na północy, o kilka dni drogi stąd. Jeden z lordów na prowincji, niejaki Themos Tresting, został podobno zamordowany, a jego posiadłość spalono do gołej ziemi. Takie zamieszki źle wpływały na interesy, sprawiały, że arystokracja była czujniejsza, mniej naiwna. A to z kolei bardzo poważnie zmniejszało zyski Camona.

Szuka kogoś, żeby się wyładować, pomyślała Vin. Zawsze robi się nerwowy przed robotą.

Spojrzała na Camona, zlizując krew z wargi. Musiała okazać nieco swej pewności siebie, bo spojrzał na nią kątem oka i znowu sposępniał. Podniósł rękę, jakby chciał ją znowu uderzyć.

Użyła odrobiny Szczęścia.

Wykorzystała naprawdę odrobinkę: potrzebowała reszty do pracy. Skierowała je na Camona, uspokajając jego zdenerwowanie. Przywódca się zawahał – nieświadom dotknięcia Vin, czuł jednak jego skutki. Stał tak przez chwilę, po czym westchnął i odwrócił się ze spuszczoną głową.

Otarła usta, patrząc, jak odchodzi. Szef złodziei wydawał się bardzo przekonujący w swoim stroju szlachcica. Był to najbogatszy strój, jaki Vin widziała – biała koszula, na niej ciemnozielona kamizelka z grawerowanymi złotymi guzikami. Czarny surdut był długi, według najnowszej mody, a na głowie Camona spoczywał czarny kapelusz. Jego palce lśniły od pierścieni, miał nawet długą laskę pojedynkową. Doprawdy, Camon doskonale udawał szlachcica – kiedy przychodziło do odtwarzania jakiejś roli, niewielu złodziei mogło się z nim równać. Oczywiście, o ile potrafił zapanować nad swoją złością.

Samo pomieszczenie robiło znacznie skromniejsze wrażenie. Vin wstała, a tymczasem Camon łajał innych członków szajki. Wynajęli jeden z apartamentów na górnym piętrze lokalnego hotelu. Niezbyt luksusowy – ale o to właśnie chodziło. Camon miał odegrać rolę niejakiego „lorda Jedue”, szlachcica zaściankowego, który popadł w ciężkie problemy finansowe i przybył do Luthadelu, by starać się o ostatnie desperackie kontrakty.

Główny salon został przekształcony w coś w rodzaju pokoju przesłuchań, z wielkim biurkiem, za którym zasiadał Camon, i o ścianach udekorowanych tanimi obrazkami. Obok biurka stali dwaj mężczyźni, odziani w oficjalne liberie służby. Mieli odgrywać rolę służących Camona.

– Co to za hałasy? – zapytał mężczyzna, który właśnie wszedł do pokoju.

Był wysoki, ubrany w prostą szarą koszulę i parę spodni, z wąskim mieczem przy pasie. Theron był drugim przywódcą – akurat ta robota była przygotowana przez niego. To on wprowadził Camona jako partnera – potrzebował kogoś, kto odegrałby rolę lorda Jedue, a wszyscy wiedzieli, że Camon jest jednym z najlepszych.

Camon podniósł wzrok.

– Hm? Hałasy? Och, tylko drobny problem z dyscypliną. Nie przejmuj się tym, Theronie. – Camon podkreślił swe słowa niedbałym ruchem dłoni, nie bez kozery doskonale odgrywał role arystokratów. Był tak arogancki, że mógł śmiało pochodzić z jednego z Wielkich Domów.

Theron zmrużył oczy. Vin wiedziała, co prawdopodobnie myśli. Zastanawiał się, na ile ryzykowne będzie wbicie noża w tłuste plecy Camona, skoro tylko przestanie być potrzebny. Wreszcie wysoki mężczyzna odwrócił wzrok od Camona i spojrzał na Vin.

– A to kto?

– Członek mojej drużyny – odparł Camon.

– Myślałem, że nie potrzebujemy nikogo innego.

– A jej owszem – odparł. – Nie zwracaj na nią uwagi. Moja część zadania to nie twój interes.

Theron przyglądał się Vin, widocznie zauważając jej zakrwawioną wargę. Odwróciła wzrok, ale czuła jego spojrzenie, błądzące po całym jej ciele. Miała na sobie zwykłą białą koszulę i ubranie robocze. Nie wyglądała szczególnie atrakcyjnie – wymięta, z młodzieńczą twarzą, nikt by jej pewnie nie dał tych szesnastu lat. Mimo to są mężczyźni, którzy lubią takie kobiety.

Zastanawiała się, czy nie użyć na niego odrobiny Szczęścia, ale w końcu się odwrócił.

– Obligator zaraz tu będzie – rzekł. – Jesteście gotowi?

Camon wywrócił oczyma i usadowił się za biurkiem.

– Wszystko jest w idealnym porządku. Zostaw mnie, Theron! Wracaj do siebie i czekaj.

Theron zmarszczył brwi, ale okręcił się na pięcie i wyszedł, mamrocząc coś pod nosem.

Vin rozejrzała się po pokoju, przyglądając się kolejno wystrojowi, służbie i atmosferze. Wreszcie podeszła do biurka Camona. Przywódca siedział, przeglądając stos papierów – widocznie usiłował się zdecydować, które z nich pozostawić na blacie.

– Camonie – odezwała się Vin – służba wygląda za dobrze.

Camon zmarszczył brwi i spojrzał na nią.

– Co tam mamroczesz?

– Służący – powtórzyła Vin, wciąż mówiąc przyciszonym głosem. – Lord Jedue ma być zdesperowany. Ma bogate stroje, które zostały mu z dobrych czasów, ale nie mógłby sobie pozwolić na tak bogatą służbę. Wziąłby skaa.

Camon spojrzał na nią gniewnie, ale się zamyślił. Fizycznie między szlachtą i skaa była niewielka różnica. Służący, których wybrał Camon, byli

jednak odziani jak pośledniejsi arystokraci – wolno im było nosić kolorowe kamizelki i stali przed nim nieco zbyt pewni siebie.

– Obligator musi myśleć, że jesteś bliski nędzy – rzekła Vin. – Możesz zamiast tego wypełnić pokój skaa.

– Co wiesz? – Camon spojrzał na nią koso.

– Wystarczy. – Natychmiast pożałowała tego słowa, bo zabrzmiało zbyt butnie.

Camon uniósł pokrytą klejnotami dłoń i Vin przygotowała się na kolejny policzek. Nie mogła sobie pozwolić na wykorzystanie jeszcze odrobiny swego Szczęścia. I tak niewiele jej go pozostało.

Ale Camon nie uderzył jej. Westchnął tylko i położył pulchną dłoń na jej ramieniu.

– Czemu ciągle musisz mnie prowokować, Vin? Wiesz, jakie długi pozostawił twój brat, kiedy uciekł. Zdajesz sobie sprawę, że ktoś mniej miłosierny ode mnie sprzedałby cię do burdelu dawno temu? Jak by ci się to podobało służyć szlachcicowi w łóżku, dopóki mu się nie znudzisz, zanim skaże cię na śmierć?

Vin spojrzała na swoje stopy.

Uścisk Camona zacieśnił się, jego palce wbiły się w jej skórę w miejscu, gdzie szyja przechodziła w ramię, i dziewczyna mimowolnie jęknęła z bólu. Uśmiechnął się, widząc jej reakcję.

– Doprawdy, nie wiem, po co cię trzymam, Vin – rzekł, jeszcze mocniej zaciskając chwyt. – Powinienem był pozbyć się ciebie wiele miesięcy temu, kiedy twój brat mnie zdradził. Chyba mam za miękkie serce.

Puścił ją wreszcie, po czym wskazał miejsce pod ścianą pokoju, obok wielkiej rośliny w doniczce. Posłuchała, ustawiając się tak, by dobrze widzieć cały pokój. Zaledwie Camon odwrócił wzrok, potarła ramię.

To tylko ból. Potrafię sobie poradzić z bólem.

Camon siedział przez chwilę. A potem, jak się tego spodziewała, skinął na służących.

– Wy dwaj! – rozkazał. – Jesteście za dostatnio ubrani. Idźcie przebrać się w coś, aby wyglądać bardziej na służących skaa, i sprowadźcie tu jeszcze z sześciu ludzi, kiedy będziecie wracać.

Wkrótce pomieszczenie wypełniło się zgodnie z sugestią Vin. Obligator przybył niedługo potem.

Vin obserwowała, jak prelan Laird dumnie wkracza do pokoju. Był ogolony na zero, jak wszyscy obligatorzy, i miał na sobie ciemnoszarą szatę. Tatuaże Zakonu wokół oczu identyfikowały go jako prelana, starszego urzędnika w Kantonie Zakonu. Za jego plecami tłoczył się rząd pośledniejszych obligatorów, o znacznie mniej skomplikowanych tatuażach wokół oczu.

Camon wstał na widok prelana, okazując szacunek – gest, który nawet najwyższy z arystokratów Wielkiego Domu uznawał za stosowny wobec obligatora rangi Lairda. Laird nie odpowiedział tym samym, lecz podszedł do biurka i zajął miejsce naprzeciw Camona. Jeden z członków szajki, odgrywający rolę służącego, podbiegł i podsunął obligatorowi tacę z chłodnym winem i owocami.

Laird wybrał sobie owoc, pozwalając, by służący stał z tacą obok niego niczym mebel.

– Lord Jedue – rzekł wreszcie. – Cieszę się, że mamy okazję się spotkać.

– Ja również, wasza miłość – odparł Camon.

– Możesz mi zatem wyjaśnić, dlaczego nie byłeś w stanie przybyć do budynku Kantonu, zamiast żądać, abym to ja zjawił się tutaj?

– To moje kolana, wasza miłość – odrzekł Camon. – Lekarze zalecają, bym podróżował możliwie jak najmniej.

A ty bałeś się, że wylądujesz w twierdzy Zakonu, pomyślała Vin.

– Rozumiem – odparł Laird. – Niefortunna przypadłość dla człowieka, który zajmuje się transportem.

– Nie muszę sam wyruszać w podróże, wasza miłość – odrzekł Camon, skłaniając głowę. – Tylko je organizuję.

Dobrze, pomyślała Vin. Camon, pamiętaj, masz pozostać służalczy. Musisz się wydawać zdesperowany.

Vin potrzebowała powodzenia tej akcji. Camon groził jej, bił ją, ale uważał za szczęśliwy amulet. Nie była pewna, czy zdawał sobie sprawę z tego, dlaczego wszystkie jego plany łatwiej było zrealizować w jej obecności, ale chyba jednak potrafił skojarzyć fakty. Dzięki temu była cenna – a Reen zawsze mówił, że nieodzowni najdłużej pozostają przy życiu.

– Rozumiem – powtórzył Laird. – Cóż, obawiam się, że nasze spotkanie odbyło się zbyt późno. Kanton Finansów już przegłosował twoją ofertę.

– Tak szybko?! – zawołał ze szczerym zdumieniem Camon.

– Tak – odparł Laird, pociągając łyk wina, ale wciąż nie odprawiając sługi. – Zdecydowaliśmy, że nie przyjmiemy twojego kontraktu.

Camon siedział przez chwilę jak skamieniały.

– Przykro mi to słyszeć, wasza miłość.

Laird przyszedł spotkać się z tobą, pomyślała Vin. Więc wciąż istnieje pole do negocjacji.

– Istotnie – ciągnął Camon – to doprawdy niefortunne, ponieważ zamierzałem złożyć wam jeszcze lepszą ofertę.

Laird uniósł tatuowaną brew.

– Wątpię, czy to coś zmieni. W Radzie znajduje się frakcja, która uważa, że Kanton będzie lepiej obsłużony, jeśli wybierze bardziej stabilną firmę transportową do przewozu naszych ludzi.

– A to by był poważny błąd – odparł gładko Camon. – Bądźmy szczerzy, wasza miłość. Obaj wiemy, że ten kontrakt to ostatnia szansa Rodu Jedue. Teraz, kiedy straciliśmy kontrakt z Farwanem, nie możemy już sobie pozwolić na wysyłanie łodzi aż do Luthadelu. Bez patronatu Zakonu mój ród jest zrujnowany finansowo.

– Przyznam, że to nie ma wielkiego wpływu na moją decyzję, wasza lordowska mość – odparł obligator.

– Doprawdy? – odparował Camon. – Wasza miłość, proszę sobie zadać to pytanie: kto będzie wam lepiej służył? Czy ród, który ma tuziny kontraktów, pomiędzy które musi dzielić swoją uwagę, czy taki, który wasz kontrakt uważa za swą ostatnią nadzieję? Kanton Finansów nie znajdzie bardziej spolegliwego partnera, niż desperat. Niech to moje łodzie sprowadzają z północy waszych akolitów, niech moi żołnierze ich eskortują, a nie będziecie rozczarowani.

Dobrze, pomyślała Vin.

– Cóż... rozumiem – odparł obligator, nieco zaniepokojony.

– Chętnie przyznam wam przedłużony kontrakt, za stałą cenę ryczałtową pięćdziesięciu skrzyńców na głowę i podróż, wasza miłość. Twoi akolici mogą teraz podróżować do woli naszymi łodziami i zawsze będą mieli niezbędną eskortę.

Obligator uniósł brew.

– To połowa poprzedniej ceny.

– Przecież mówiłem, że jesteśmy zdesperowani – odparł Camon. – Mój ród chce utrzymać łodzie w ruchu. Pięćdziesiąt skrzyńców to dla nas żaden

zysk, ale to nie ma znaczenia. Kiedy kontrakt z Zakonem przywróci nam stabilność, będziemy mogli znaleźć inne kontrakty, by napełnić swoje skarbce.

Laird się zamyślił. Oferta była istotnie bajeczna – w normalnych warunkach wydawałaby się wręcz podejrzana. Jednakże z zachowania Camona było widać, że jego ród jest na granicy zapaści finansowej. Drugi przywódca, Theron, pracował przez pięć lat, budując, oszukując i kombinując, aby dojść do tego momentu. Zakon byłby szalony, gdyby nie rozważył takiej oferty.

Laird też zdawał sobie z tego sprawę. Stalowy Zakon nie był silny wyłącznie biurokracją i władzą prawną Ostatniego Imperium – sam również stanowił coś w rodzaju arystokratycznego rodu. Im więcej miał bogactw, tym lepsze były jego własne kontrakty handlowe, tym lepsze punkty nacisku różne Kantony Zakonu miały między sobą – i w relacjach z arystokratycznymi rodami.

Było jednak widać, że Laird wciąż się waha, Vin widziała to w jego spojrzeniu, doskonale znała ten podejrzliwy wzrok. Nie da się złapać na ten kontrakt.

Teraz moja kolej, pomyślała.

Użyła Szczęścia na Lairdzie. Sięgnęła ku niemu bardzo ostrożnie – nie była pewna, co właściwie robi, albo dlaczego. Jednak dotyk ten był całkiem instynktowny, wyszkolony przez wiele lat subtelnych ćwiczeń. Miała zaledwie dziesięć lat, kiedy się zorientowała, że inni ludzie nie potrafią robić tego, co ona.

Delikatnie naparła na uczucia Lairda, stłumiła je. Stał się mniej podejrzliwy, mniej przestraszony. Posłuszny. Jego obawy rozpłynęły się, Vin ujrzała, jak w jego oczach pojawia się spokojne uczucie kontroli.

Wciąż jednak wydawał się nieco niepewny. Vin naparła mocniej. Prelan przechylił głowę z zamyśloną miną. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale znów natarła na niego, desperacko rzucając na szalę ostatnie uncje Szczęścia.

Laird zawahał się znowu.

– Doskonale – rzekł. – Przedstawię Radzie twoją nową ofertę. Może jednak uda nam się dojść do porozumienia.

Gdyby ludzie przeczytali te słowa, niechby się dowiedzieli, jak ciężkim brzemieniem jest moc. Starajcie się nie dać skrępować jej łańcuchom. Proroctwa Terrisa głoszą, że będę miał moc, by uratować świat.

Ale sugerują, że moja moc może go również zniszczyć.

2

W opinii Kelsiera miasto Luthadel – siedziba Ostatniego Imperatora – było posępnym miejscem. Większość budynków wzniesiono z kamiennych bloków, z dachami z dachówek dla bogatych, a drewnianymi dla pozostałych. Budowle były stłoczone, co sprawiało wrażenie, że są przysadziste, choć niektóre miały trzy piętra.

Kamienice i sklepy były do siebie całkiem podobne: nie było to miejsce, gdzie człowiek chciałby zwracać na siebie uwagę. Oczywiście, o ile nie byłeś członkiem arystokracji.

W całym mieście było rozrzuconych kilkanaście monolitycznych twierdz. Skomplikowane, ozdobione rzędami podobnych do włóczni iglic i głębokich podcieni, mieściły w sobie domostwa wysokiej szlachty. W istocie były po prostu oznakami szlachectwa. Każda rodzina, która

mogła sobie pozwolić na zbudowanie twierdzy i utrzymywanie wysokiej stopy życia w Luthadelu, była uważana za Wielki Ród.

Większość otwartych przestrzeni w mieście znajdowała się właśnie wokół tych twierdz. Wolne place pośród kamienic były niczym polany w lecie, a same twierdze – jak samotne góry wznoszące się ponad resztą krajobrazu. Czarne góry. Podobnie, jak reszta miasta, zamki były poznaczone plamami wielu lat popielistych opadów.

Każda budowla w Luthadelu – dosłownie każda, jaką Kelsier kiedykolwiek widział – była w jakimś stopniu poczerniała. Nawet mury miejskie, na których teraz stał, były pokryte patyną sadzy. Budowle ogólnie były najciemniejsze u góry, gdzie zbierał się popiół, ale deszcz i wieczorna rosa przenosiły sadzę po gzymsach i wzdłuż ścian. I, jak farba spływająca po obrazie, czerń ściekała po ścianach budynków w nierównych frędzlach.

Ulice oczywiście były całkowicie czarne. Kelsier stał i czekał, obserwując miasto, kiedy grupa robotników skaa pracowała na ulicy poniżej, oczyszczając ostatnie zaspy popiołu. Zawiozą je potem do rzeki Channerel, która przepływa przez centrum miasta, zmywając sterty popiołu, by hałdy w końcu nie zasypały grodu. Czasem Kelsier zastanawiał się, czemu całe imperium nie stało się jedną wielką kupą popiołu. Podejrzewał, że popiół może kiedyś zacznie rozkładać się w glebę, ale utrzymanie pól i miast w stanie nadającym się do użytku wymagało na razie nieprawdopodobnego wysiłku.

Na szczęście zawsze było dość skaa, by odwalić tę robotę. Robotnicy w dole byli odziani w proste płaszcze i spodnie, utytłane w popiele i zniszczone. Podobnie jak robotnicy na plantacjach, które opuścił kilka tygodni temu, pracowali znużonymi, pozbawionymi nadziei ruchami. Obok robotników przeszła druga grupa skaa, przywołanych odległym dźwiękiem dzwonów, który wyznaczał dla nich kolejną zmianę i kolejny dzień pracy w kuźniach i hutach. Metal był głównym towarem eksportowym Luthadelu, w mieście wybudowano mnóstwo kuźni i rafinerii. Jednakże spiętrzenia rzeki dawały znakomitą lokalizację również dla młynów do ziarna i krosien fabryk tekstyliów.

Skaa pracowali. Kelsier odwrócił się od nich, spoglądając ku centrum miasta, gdzie wznosił się pałac Ostatniego Imperatora, niczym potworny owad o najeżonym kolcami grzbiecie. Kredik Shaw, Wzgórze Tysiąca

Wież. Pałac był kilkakrotnie większy od każdej ze szlacheckich posesji i zdecydowanie największym budynkiem w mieście.

Kiedy Kelsier tak stał i przyglądał się miastu, spadła kolejna fala popiołu. Płatki osiadały lekko na ulicach i budynkach. Ostatnio pada dużo popiołu, pomyślał, zadowolony z pretekstu, by nasunąć kaptur na twarz. Popielne Rumaki znów się uaktywniły.

Nie obawiał się, że ktokolwiek w Luthadelu może go rozpoznać – od jego schwytania minęły trzy lata. Jednakże kaptur dodawał mu pewności siebie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Kelsier zechce być widzianym i rozpoznawanym. Na razie wolał pozostać anonimowy.

Wreszcie ujrzał postać zbliżającą się ku niemu wzdłuż muru. Dockson był niższy od Kelsiera, miał kwadratową twarz, która doskonale pasowała do jego dość krępej sylwetki. Ciemne włosy skrywał mu kaptur pospolitego, brunatnego płaszcza, a twarz zdobiła niewielka bródka, którą zapuścił od czasu pierwszego młodzieńczego zarostu dwadzieścia lat temu.

Podobnie jak Kelsier, miał na sobie strój szlachecki: kolorową kamizelkę, ciemny surdut i spodnie, oraz cienki płaszcz dla ochrony przed popiołem. Tkaniny nie były zbyt bogate, ale arystokratyczne – znak przynależności do klasy średniej Luthadelu. Większość ludzi ze szlachetnych rodów nie była dość bogata, by zostać uznanymi za członków Wielkiego Domu, ale w Ostatnim Imperium szlachectwo nie wiązało się wyłącznie z pieniędzmi. Miały w nim swój udział również pochodzenie i historia, Ostatni Imperator był nieśmiertelny i najwyraźniej doskonale pamiętał ludzi, którzy wspierali go we wczesnych latach panowania. Potomkowie tych ludzi, nieważne, jak zubożeli, zawsze będą faworyzowani.

Odzież sprawi, że przechodzące patrole nie zadadzą wielu pytań. W przypadku Kelsiera i Docksona ten strój był oczywiście jedynie przebraniem. Żaden z nich w istocie nie był szlachcicem, choć technicznie rzecz biorąc, Kelsier był przynajmniej półkrwi. Jednakże to z wielu względów bywało gorsze, niż być normalnym skaa.

Docson podszedł do Kelsiera i przystanął, opierając się o blankę. Splótł ręce na kamieniu.

– Spóźniłeś się o kilka dni, Kell.

– Postanowiłem zrobić kilka przystanków na północnych plantacjach.

– Ach – odparł Dockson. – Więc jednak maczałeś palce w sprawie śmierci lorda Trestinga?

Kelsier się uśmiechnął.

– Można tak powiedzieć.

– Jego śmierć spowodowała spore zamieszanie wśród lokalnej szlachty.

– Mniej więcej taka była intencja – odparł Kelsier. – Choć, mówiąc uczciwie, nie planowałem niczego aż tak dramatycznego. W gruncie rzeczy był to bardziej przypadek niż cokolwiek innego.

Dockson uniósł brew.

– Jak można „przypadkowo” zabić szlachcica w jego własnej posesji?

– Nożem w serce – odparł Kelsier. – A raczej kilkoma nożami. Zawsze lepiej dmuchać na zimne.

Dockson wzniósł oczy w niebo.

– Jego śmierć chyba nie jest wielką stratą, Dox – rzekł Kelsier. – Nawet wśród szlachty Tresting był znany z okrucieństwa.

– Nie obchodzi mnie Tresting – odparł Dockson. – Po prostu zastanawiam się, jakim muszę być idiotą, żeby iść z tobą na kolejną robotę. Atakować prowincjonalnego lorda w jego własnej posesji, otoczonej strażą... szczerze mówiąc, Kell, prawie już zapomniałem, jaki z ciebie wariat.

– Wariat? – Kelsier się zaśmiał. – To nie było wariactwo. Ot, taka mała dywersja. Powinieneś zobaczyć, co planuję teraz!

Dockson stał nieruchomo przez chwilę, po czym także się roześmiał.

– Na Ostatniego Imperatora, dobrze, że wróciłeś, Kell! Obawiam się, że stałem się dość nudny przez te ostatnie kilka lat.

– Zajmiemy się tym – obiecał Kelsier. Odetchnął głęboko, spojrzał na opadający delikatnie popiół. Ekipy zamiataczy skaa już wzięły się do roboty, oczyszczając ulice z ciemnego pyłu. Za nimi przeszedł strażnik, skinieniem głowy pozdrawiając Kelsiera i Docksona. Czekali w milczeniu, aż znów zostaną sami.

– Dobrze jest wrócić – rzekł wreszcie Kelsier. – Luthadel jest dla mnie dziwnie przyjaznym miejscem, nawet jeśli to ponura, pusta dziura. Zorganizowałeś spotkanie?

Dockson skinął głową.

– Ale nie możemy spotkać się przed wieczorem. Jak się tu w ogóle dostałeś? Moi ludzie pilnowali bram.

– Hm? Ach, wśliznąłem się wieczorem.

– Ale jak... – Dockson się zawahał. – Och, racja. Będę musiał się przyzwyczaić.

Kelsier wzruszył ramionami.

– Nie rozumiem, przecież zawsze pracujesz z Dziećmi Mgły.

– Tak, ale to co innego – odparł Dockson. Podniósł dłoń, aby powstrzymać dalsze argumenty. – Nie trzeba, Kell. Nie wzbraniam się, po prostu potrzebuję trochę czasu, żeby się przyzwyczaić.

– Dobrze, kto dzisiaj będzie?

– Cóż, pojawią się oczywiście Breeze i Ham. Są bardzo ciekawi tej twojej tajemniczej roboty... nie wspomnę już, że dość zirytowani, że nie chcę im powiedzieć, co kombinowałeś przez ostatnie kilka lat.

– I dobrze – odparł Kelsier. – Niech się dalej zastanawiają. A co z Trapem?

Dockson pokręcił głową.

– Trap nie żyje. Zakon dogonił go w końcu parę miesięcy temu. Nawet nie zawracali sobie głowy wysyłaniem go do Czeluści – ścięli go na miejscu.

Kelsier przymknął oczy i cicho westchnął. Wydawało się, że Stalowy Zakon ostatecznie dopadnie każdego. Czasem Kelsier myślał sobie, że życie skaa Mglistego nie ma nic wspólnego z przetrwaniem, a raczej z wyborem odpowiedniego momentu na śmierć.

– No to zostaliśmy bez Dymiarza – rzekł wreszcie, otwierając oczy. – Masz jakieś propozycje?

– Ruddy – podsunął Dockson.

Kelsier pokręcił głową.

– Nie, jest dobrym Dymiarzem, ale nie dość dobrym człowiekiem.

Dockson się uśmiechnął.

– Nie dość dobrym człowiekiem, aby znaleźć się w złodziejskiej szajce... Kell, tęskniłem za pracą z tobą. No cóż, to kto?

Kelsier zamyślił się na chwilę.

– Czy Clubs dalej prowadzi swój warsztat?

– O ile wiem, to tak – powoli odrzekł Dockson.

– Podobno to jeden z najlepszych Dymiarzy w mieście.

– Zdaje się, że tak – odparł Dockson. – Ale czy nie jest znany z tego, że trudno się z nim współpracuje?

– Nie jest taki zły – mruknął Kelsier. – Trzeba się tylko do niego przyzwyczaić. Poza tym sądzę, że do tej konkretnej roboty może... dać się namówić.

– Doskonale. – Dockson wzruszył ramionami. – Zaproszę go. O ile wiem, Tineye jest jego krewnym. Czy jego też mam zaprosić?

– Dobrze. – Dockson skinął głową. – Cóż, poza tym pozostaje tylko Yeden. Oczywiście, o ile jest nadal zainteresowany...

– Będzie tam – zapewnił Kelsier.

– Lepiej, żeby był – odparł Dockson. – W końcu to on nam płaci.

Kelsier przytaknął, po czym zmarszczył brwi.

– Nie wspomniałeś o Marshu.

Dockson wzruszył ramionami.

– Mówiłem ci, że twój brat nigdy nie aprobował naszych metod, a teraz... znasz Marsha. Nie będzie chciał w ogóle mieć do czynienia z Yedenem i całą rebelią, a co dopiero z garścią takich rzezimieszków jak my. Musimy znaleźć kogo innego do infiltracji obligatorów.

– Nie – zaoponował Kelsier. – Zrobi to. Muszę tylko go przekonać.

– Skoro tak twierdzisz – Dockson zamilkł i obaj stali przez chwilę, wsparci na parapecie, wodząc wzrokiem po pokrytym popiołem mieście.

Wreszcie Dockson pokręcił głową.

– To szaleństwo, prawda?

Kelsier się uśmiechnął.

– Przyjemnie, co?

– Fantastycznie – zgodził się Dockson.

– To będzie robota jak żadna inna – mruknął Kelsier, spoglądając na północ i w kierunku pokręconego budynku w centrum miasta.

Dockson odszedł od muru.

– Mamy kilka godzin do spotkania. Chciałbym ci coś pokazać. Myślę, że wciąż jest czas... jeśli się pospieszymy.

Kelsier się obejrzał.

– Właśnie się wybierałem zmyć głowę mojemu grzecznemu bratu. Ale...

– Nie będziesz żałował – obiecał Dockson.

***

Vin siedziała w kącie głównego pomieszczenia, trzymając się jak zwykle w cieniu. Im mniej ją było widać, tym bardziej była ignorowana przez pozostałych. Nie mogła sobie pozwolić na marnowanie Szczęścia na opędzanie się od niewczesnych zalotów. Zaledwie miała czas zregenerować to, co zużyła kilka dni temu, w czasie spotkania z obligatorem.

Wokół stolików zebrała się zwykła klientela, grając w kości lub dyskutując na temat drobnych robót. Dym z kilkunastu różnych fajek unosił się i kłębił pod sklepieniem, a ściany były pokryte ciemnymi plamami, jakie pozostawiły niezliczone lata podobnego traktowania. Podłoga była ciemna od śladów popiołu. Podobnie, jak większość złodziejskich szajek, banda Camona nie przesadzała z czystością.

W głębi sali znajdowały się drzwi, a za nimi kręte kamienne schodki, wiodące do fałszywej kratki ściekowej w alejce. Ta sala, podobnie jak wiele innych ukrytych w imperialnej stolicy Luthadelu, nie miała prawa istnieć.

Z przedniej części pomieszczenia, gdzie Camon z kilku innymi bandytami spędzali miłe popołudnie przy piwie i świńskich dowcipach, dobiegał rubaszny śmiech. Stolik Camona znajdował się tuż przy barze, gdzie drinki, serwowane po zawyżonych cenach, były kolejnym sposobem na wykorzystanie tych, którzy dla niego pracowali. Element kryminalny Luthadelu szybko się uczył od swojej szlachty.

Vin robiła co mogła, by pozostać niewidzialna. Pół roku temu nie przypuszczała, że jej życie bez Reena może stać się jeszcze gorsze. A jednak, pomimo wybuchów wściekłości, pilnował, by inni bandyci nie pozwalali sobie z Vin na poufałość. W szajkach złodziejskich było niewiele kobiet – najczęściej wszystkie kobiety, które pogrążały się w półświatku, kończyły jako dziwki. Reen zawsze powtarzał, że dziewczyna musi być twarda – twardsza nawet od mężczyzny – jeśli chce przetrwać.

„Myślisz, że jakikolwiek przywódca będzie chciał cię wlec w swojej ekipie?” powiadał. „Nawet ja nie chcę z tobą pracować, a jestem twoim bratem”.

Plecy wciąż pulsowały jej bólem. Camon wychłostał ją wczoraj. Krew zniszczy koszulę, a nie stać ją na nową. Camon już położył rękę na jej zarobkach, żeby pokryć długi, których narobił jej brat.

Ale ja jestem silna, pomyślała.

W tym była cała ironia. Chłosta już prawie nie bolała, gdyż częste napady gniewu Reena uczyniły ją odporną, a jednocześnie nauczyły, jak

wydawać się żałosną i cierpiącą. W pewien sposób chłosta odnosiła wręcz odwrotny skutek. Za każdym razem Vin wychodziła z niej silniejsza i lepiej zahartowana.

Camon wstał. Sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął złoty zegarek. Skinął głową jednemu ze swych towarzyszy i rozejrzał się po sali, szukając... Vin.

Jego spojrzenie wbiło się w nią.

– Już czas – rzekł.

Zmarszczyła brwi.

Czas? Na co?

***

Kanton Finansów Zakonu był imponującą budowlą, ale – prawdę mówiąc – wszystko, co dotyczyło Stalowego Zakonu, było imponujące.

Wysoki, masywny budynek miał ogromne rozetowe okno na frontowej ścianie, choć z zewnątrz szkło wydawało się ciemne. Po obu stronach okna zwisały proporce, a poplamiona sadzą czerwona tkanina była zapisana hymnami pochwalnymi na cześć Ostatniego Imperatora.

Camon obserwował budynek krytycznym okiem. Vin wyczuwała jego obawę. Kanton Finansów nie był raczej najgroźniejszym z urzędów Zakonu – Kanton Inkwizycji, a nawet Kanton Ortodoksji miały znacznie gorszą opinię. Jednakże dobrowolne wejście do jakiegokolwiek urzędu Zakonu... oddanie się we władzę obligatorów... cóż, takiego czynu można dokonać jedynie po starannym namyśle.

Camon zaczerpnął tchu, po czym ruszył przed siebie, stukając laską po kamieniach w rytm kroków. Miał na sobie strój bogatego szlachcica i towarzyszyło mu sześciu członków szajki – w tym i Vin – w charakterze „służby”.

Vin weszła za Camonem po stopniach, po czym przystanęła, kiedy jeden ze „służących” podskoczył, aby otworzyć drzwi przed swoim „panem”. Z całej szóstki najwyraźniej tylko Vin nie wiedziała o planie Camona. Podejrzane było to, że Therona – partnera Camona w skoku na Zakon – nie było w zasięgu wzroku.

Vin weszła do budynku Kantonu. Z rozetowego okna padało wibrujące, czerwone światło, poprzecinane błękitnymi promieniami. W ogromnym

holu za biurkiem siedział samotny obligator z tatuażami średniego poziomu wokół oczu.

Camon podszedł do niego, stukając laską po dywanie.

– Jestem lord Jedue – rzekł.

Co robisz, Camonie? – pomyślała Vin. Do Therona twierdziłeś, że nigdy nie spotkasz się z prelanem Lairdem w jego biurze w Kantonie. A teraz sam tu przyszedłeś.

Obligator skinął głową, odnotowując coś w swojej księdze. Machnął ręką.

– Do poczekalni możesz wziąć ze sobą jednego służącego, reszta musi zostać tutaj.

Pogardliwe sapnięcie Camona dobitnie świadczyło o jego zdaniu na temat tego ograniczenia. Obligator nawet nie uniósł głowy sponad księgi. Camon stał przez chwilę i Vin nie była pewna, czy jest naprawdę wściekły, czy tylko odgrywa rolę urażonego szlachcica. Wreszcie wyciągnął palec i dźgnął nim powietrze, wskazując na Vin.

– Chodź – rzekł i odwrócił się, powoli kierując się ku wskazanym drzwiom.

Pokój za nimi był urządzony z przepychem i wygodą. Kilku panów szlachetnego rodu odpoczywało w różnych wyczekujących pozycjach. Camon wybrał sobie fotel, usadowił się w nim, po czym wskazał stół zastawiony winem i ciasteczkami z czerwonym lukrem. Vin posłusznie podała mu kielich wina i talerz z ciastkami, ignorując ssanie żołądka.

Camon pożerał ciastka, mlaszcząc cicho.

Jest zdenerwowany. Jeszcze bardziej niż przedtem.

– Kiedy wejdziemy, masz się nie odzywać – polecił z pełnymi ustami.

– Zdradzasz Therona – odparła szeptem.

Skinął głową.

– Ale jak? Dlaczego?

Plan Therona był skomplikowany w realizacji, ale koncepcja była prosta. Co roku Zakon przesyłał nową grupę akolitów obligatorów z północnego klasztoru na południe, do Luthadelu, by dokończyli nauk. Theron odkrył jednak, że ci akolici i ich nadzorcy zwozili ukryte w bagażu ogromne sumy z funduszy Zakonu, by przechować je w twierdzy w Luthadelu.

Rabunek w Ostatnim Imperium był trudną sprawą, zwłaszcza przy nieustannych patrolach strzegących kanałów żeglownych. Jednakże, jeśli

ktoś sam kierował barkami przewożącymi akolitów, był w stanie przeprowadzić napad. W odpowiedniej chwili strażnicy zwracali się ku swoim pasażerom – i człowiek mógł nieźle zarobić, a potem zwalić wszystko na rabusiów.

– Drużyna Therona jest słaba – odparł cicho Camon. – Za dużo wydał na tę robotę.

– Ale przecież mu się zwróci... – zaprotestowała.

– Nigdy, jeśli wezmę teraz wszystko, co się da i ucieknę – odrzekł Camon z uśmiechem. – Namówię obligatorów, żeby wypłacili mi zaliczkę na uruchomienie floty, a potem zniknę i zostawię Theronowi załatwienie spraw z rozwścieczonym Zakonem, kiedy ten się zorientuje, że został nabrany.

Vin wyprostowała się, nieco wstrząśnięta. Przygotowanie takiej akcji z pewnością kosztowało Therona wiele tysięcy skrzyńców – jeśli teraz poniesie porażkę, będzie zrujnowany. A z Zakonem depczącym mu po piętach nie będzie miał nawet szansy na zemstę. Camon szybko się dorobi i jednocześnie uwolni się od jednego z najpotężniejszych rywali.

Theron był głupcem, że wziął do tego Camona, pomyślała. Ale kwota, którą obiecał Camonowi, była ogromna. Prawdopodobnie przypuszczał, że zachłanność Camona powstrzyma go od nieuczciwości, zanim sam Theron nie spłata mu psikusa. Camon po prostu był szybszy niż ktokolwiek mógł sądzić, nawet Vin. Jak Theron mógłby się zorientować, że Camon sam udaremni jego pracę, zamiast czekać i skraść cały ładunek z barki?

Poczuła ucisk w żołądku.

To tylko jeszcze jedna zdrada, pomyślała z bólem. Dlaczego wciąż tak się tym przejmuję? Wszyscy wszystkich zdradzają. Takie jest życie...

Miała ochotę znaleźć sobie kąt, najlepiej bezpieczny i ciasny, i ukryć się. Sama.

Wszyscy cię zdradzą. Wszyscy.

Ale nie miała dokąd pójść. Wreszcie wszedł jakiś obligator niższej rangi i wywołał lorda Jedue. Vin poszła za Camonem do sali audiencyjnej.

Mężczyzna, który na nich czekał, usadowiony wygodnie za biurkiem, nie był jednak prelanem Lairdem.

Camon przystanął w wejściu. Ujrzał gabinet, wyścielany szarym dywanem i biurko. Ściany były nagie, a jedyne okno wąskie na szerokość dłoni. Obligator, który na nich czekał, miał jeden z najbardziej

skomplikowanych tatuaży wokół oczu, jakie Vin kiedykolwiek widziała. Nie była pewna, jaka ranga z nich wynika, ale kreski wędrowały daleko poza uszy i na czoło obligatora.

– Lord Jedue – rzekł dziwny obligator.

Podobnie jak Laird miał na sobie szarą szatę, ale różnił się bardzo od poważnych, biurokratycznych ludzi, z jakimi Camon miewał wcześniej do czynienia. Ten był szczupły, ale muskularny, a jego ogolona na gładko, trójkątna głowa nadawała mu drapieżny wygląd.

– Odniosłem wrażenie, że będę miał przyjemność z prelanem Lairdem – rzekł Camon, wciąż nie wchodząc do środka.

– Prelan Laird został odwołany do innych zadań. Jestem wielki prelan Arriev, przewodniczący rady, która rozpatrywała twoją ofertę. Masz rzadką możliwość porozmawiania ze mną bezpośrednio. Zwykle nie prowadzę tych spraw osobiście, ale nieobecność Lairda sprawiła, że musiałem wziąć na siebie część jego obowiązków.

Instynkt Vin sprawił, że zesztywniała.

Musimy się stąd wynosić. Natychmiast.

Camon stał nieruchomo przez dłuższą chwilę i widziała, że się zastanawia. Uciekać od razu? Czy podjąć ryzyko dla większej zdobyczy? Vin nie obchodziła zdobycz, chciała tylko żyć. Camon jednak nie został przywódcą bez ryzyka od czasu do czasu. Powoli wszedł do gabinetu i rozglądając się ostrożnie, zajął miejsce naprzeciwko obligatora.

– Dobrze, wielki prelanie Arriev – rzekł ostrożnie. – Przyjmuję, że skoro zostałem wezwany na kolejne spotkanie, to rada rozważyła moją ofertę?

– W istocie – odparł obligator. – Choć muszę przyznać, że niektórzy członkowie Rady są niechętni, by robić interesy z rodem tak bliskim katastrofy ekonomicznej. Zakon ogólnie woli podchodzić konserwatywnie do swoich operacji finansowych.

– Rozumiem.

– Ale – wtrącił Arriev – na pokładzie znajdzie się wielu, którzy chętnie skorzystaliby z oszczędności, jakie nam zaoferowałeś.

– A z jaką grupą ty się identyfikujesz, wasza miłość?

– Jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji. – Obligator się pochylił. – Dlatego zauważyłem, że masz tę rzadką okazję, by mnie przekonać. Zrób to, lordzie Jedue, a będziesz miał swój kontrakt.

– Z pewnością prelan Laird przedstawił szczegóły naszej oferty – odparł Camon.

– Tak, ale chciałbym usłyszeć te argumenty od ciebie. Zrób to dla mnie.

Vin zmarszczyła brwi. Pozostała w głębi sali, stojąc w pobliżu drzwi, wciąż niepewna, czy nie powinna uciekać.

– I co? – zagadnął Arriev.

– Potrzebujemy tego kontraktu, wasza miłość – odrzekł Camon. – Bez niego nie będziemy w stanie kontynuować naszej działalności transportowej, Wasz kontrakt pozwoli nam na uzyskanie tak potrzebnego okresu stabilności, szansę na utrzymanie naszych barek do czasu, aż znajdziemy kolejne kontrakty.

Arriev przez moment przyglądał się Camonowi.

– Z pewnością stać cię na więcej, lordzie Jedue. Laird powiedział, że byłeś bardzo przekonujący... chciałbym usłyszeć coś, co pozwoli mi uwierzyć, że zasłużyłeś na nasz kontrakt.

Vin przygotowała swoje Szczęście. Mogła sprawić, by Arriev stał się skłonniejszy do negocjacji, ale... coś ją powstrzymało. Sytuacja wydawała się bardzo ryzykowna.

– Jesteśmy dla was najlepszym wyborem, wasza miłość – rzekł Camon. – Obawiasz się, że mój ród poniesie klęskę ekonomiczną? Cóż, jeśli tak się stanie, co stracicie? W najgorszym razie moje barki przestaną kursować, a wy będziecie musieli znaleźć innych kupców. Jednak, jeśli wasz kontrakt wystarczy, by utrzymać moją działalność, będzie to dla was oznaczało wieloletni i bardzo korzystny interes.

– Rozumiem – odparł Arriev niedbale. – A dlaczego właśnie Zakon? Dlaczego nie znajdziesz sobie kogoś innego? Przecież z pewnością istnieją inne możliwości wykorzystania twoich statków... inne grupy, które rzucą się na takie stawki.

Camon zmarszczył brwi.

– Nie chodzi o pieniądze, wasza miłość, chodzi o zwycięstwo, o dowód zaufania – właśnie to zyskamy, otrzymując kontrakt od Zakonu. Jeśli wy nam zaufacie, inni też to uczynią. Potrzebuję waszego poparcia. – Camon zaczął się obficie pocić. Chyba już pożałował swojej gry. Czy został zdradzony? Czy to Theron stał za tym dziwnym spotkaniem?

Obligator czekał spokojnie. Vin wiedziała, że może ich zniszczyć. Gdyby nabrał podejrzeń, że próbują go oszukać, mógł ich przekazać

Kantonowi Inkwizycji. Niejeden szlachcic wszedł do budynku Kantonu i nigdy go nie opuścił.

Zacisnęła zęby, sięgnęła ku niemu i użyła Szczęścia na obligatorze, sprawiając, by przestał być podejrzliwy.

Arriev się uśmiechnął.

– Cóż, przekonałeś mnie – oznajmił.

Camon westchnął z ulgą.

– Twój ostatni list sugerował, że potrzebujesz trzech tysięcy skrzyńców jako zaliczki, aby odnowić sprzęt i podjąć działalność – mówił Arriev. – Przejdź do skryby w głównym holu, by dokończyć papierkową robotę i byś mógł się zgłosić po niezbędne fundusze.

Obligator wyjął ze stosu arkusz grubego, biurokratycznego papieru i przyłożył pieczęć na samym dole. Podał arkusz Camonowi.

– Oto twój kontrakt.

Camon uśmiechnął się szeroko.

– Wiedziałem, że Zakon będzie właściwym wyborem – rzekł, przyjmując kontrakt. Wstał, skłonił się obligatorowi z szacunkiem, po czym skinął na Vin, aby otwarła mu drzwi.

Uczyniła to.

Coś jest nie w porządku, pomyślała. Coś jest bardzo nie w porządku. Zatrzymała się, kiedy Camon wychodził i obejrzała na obligatora. Wciąż się uśmiechał.

Szczęśliwy obligator to zawsze zły znak.

Jednak, kiedy szli przez poczekalnię z jej szlachetnymi gośćmi, nikt ich nie zatrzymał. Camon opieczętował i dostarczył kontrakt odpowiedniemu skrybie, a żołnierze wciąż się nie zjawiali, by ich aresztować. Skryba wyjął małą skrzynkę pełną monet i obojętnie podał Camonowi.

A potem po prostu opuścili budynek Kantonu. Camon zebrał pozostałą służbę z widoczną ulgą. Żadnego alarmu, żadnych krzyków. Żadnego tupotu żołnierskich butów. Byli wolni. Camon zdołał oszukać zarówno Zakon, jak i drugiego przywódcę.

A przynajmniej tak się wydawało.

***

Kelsier wepchnął do ust jeszcze jedno czerwono lukrowane ciasteczko i żuł je z satysfakcją. Gruby złodziej i jego przerażona służąca przeszli przez poczekalnię do wyjścia. Obligator, który z nimi rozmawiał, pozostał w gabinecie, widocznie czekając na kolejnego petenta.

– No i co? – zapytał Dockson. – Co o tym myślisz?

Kelsier spojrzał na ciasteczka.

– Całkiem niezłe – rzekł, częstując się kolejnym. – Zakon zawsze miał doskonały gust. To oczywiste, że i przekąski mają znakomite.

Dockson przewrócił oczami.

– Mówię o dziewczynie, Kell.

Kelsier uśmiechnął się i ułożył cztery ciastka w stertę na dłoni, po czym skinął głową w stronę drzwi. Poczekalnia Kantonu była zbyt tłoczna, by w niej dyskutować o delikatnych sprawach. Po drodze zatrzymał się i powiedział sekretarzowi obligatora, że musi przełożyć spotkanie.

Minęli hol wejściowy, po drodze przechodząc obok tłustego herszta, który cicho rozmawiał ze skrybą. Kelsier wyszedł na ulicę, naciągnął kaptur na głowę dla ochrony przed wciąż padającym popiołem, po czym poszedł w dół ulicy. Zatrzymał się w bocznej alejce, zajmując taką pozycję, by wraz z Docksonem obserwować drzwi budynku Kantonu. Z zadowoleniem przeżuwał ciastka.

– Skąd się o niej dowiedziałeś? – zapytał pomiędzy jednym kęsem a drugim.

– To twój brat – odparł Dockson. – Camon próbował wykręcić numer Marshowi kilka miesięcy temu i ona też z nim wtedy była. Właściwie to ta mała maskotka Camona stała się już dość sławna w pewnych kręgach. Wciąż nie jestem pewien, czy on aby w ogóle wie, kim ona jest. Wiesz, jak przesądni bywają złodzieje.

Kelsier skinął głową, otrzepując dłonie.

– Skąd wiedziałeś, że ona dzisiaj tu będzie?

Dockson wzruszył ramionami.

– Kilka napiwków we właściwe ręce. Miałem tę dziewczynę na oku od dnia, kiedy Marsh mi ją pokazał. Chciałem, żebyś sam zobaczył ją w akcji.

Po drugiej stronie ulicy drzwi budynku Kantonu otwarły się wreszcie i u szczytu schodów stanął Camon, otoczony grupką „służących”. Drobna, krótkowłosa dziewczyna była wśród nich. Na jej widok Kelsier zmarszczył brwi. Jej kroki były nerwowe i płochliwe, podrywała się za każdym razem,

kiedy ktoś wykonał zbyt gwałtowny gest. Prawa strona jej twarzy wciąż była nieco bledsza od gojącego się już siniaka.

Kelsier spojrzał na nadętego Camona. Muszę wymyślić dla tego gościa coś szczególnie odpowiedniego.

– Biedactwo – mruknął Dockson.

– Wkrótce się od niego uwolni – rzekł Kelsier. – Dziwne, że nikt wcześniej jej nie odkrył.

– Więc twój brat miał rację?

– Jest co najmniej Mglistym, a jeśli Marsh twierdzi, że czymś więcej, jestem gotów mu uwierzyć. Jestem nieco zaskoczony, że używa Allomancji na członku Zakonu, zwłaszcza w budynku Kantonu, ale podejrzewam, że nie jest nawet świadoma tego, że wykorzystuje swoje zdolności.

– Czy to możliwe? – zapytał Dockson.

Kelsier skinął głową.

– Można palić minerały śladowe w wodzie, jeśli nie potrzeba dużo mocy. Dlatego właśnie Ostatni Imperator zbudował tu swój zamek, w ziemi jest mnóstwo metali. Powiedziałbym...

Urwał, marszcząc lekko brwi. Coś było nie w porządku. Spojrzał w kierunku Camona i jego grupy. Wciąż byli widoczni w niewielkiej odległości w głębi ulicy. Kierowali się na południe.

W portalu budynku Kantonu pojawiła się kolejna postać. Szczupły, o pewnej siebie postawie, wokół oczu nosił tatuaże wielkiego prelana Kantonu Finansów. Prawdopodobnie był to ten sam prelan, które przed chwilą rozmawiał z Camonem. Obligator wyszedł na zewnątrz, a za nim pojawił się drugi mężczyzna.

Dockson za plecami Kelsiera zesztywniał.

Drugi mężczyzna był wysoki i silnie zbudowany. Kiedy się obrócił, Kelsier ujrzał, że w każdy z jego oczodołów ktoś wbił gruby metalowy kolec. Trzon kolców miał średnicę oczodołu, a podobne do gwoździa końcówki były tak długie, że wystawały na około cala z tyłu jego nagiej czaszki. Płasko zakończone trzony, wystające z oczodołów w miejscu gałek ocznych, lśniły jak dwa srebrzyste dyski.

Stalowy Inkwizytor.

– A „to” co tu robi? – szepnął Dockson.

– Spokój – polecił Kelsier, usiłując zmusić się do wypełnienia własnego polecenia.

Inkwizytor spojrzał w ich stronę, zwracając ku Kelsierowi kolce, po czym zwrócił się w kierunku, w którym odszedł Camon wraz z dziewczyną. Podobnie jak wszyscy Inkwizytorzy, miał skomplikowane tatuaże wokół oczu – większość czarnych, z jedną wyraźną czerwoną kreską – które dobitnie świadczyły o jego wysokiej randze w Kantonie Inkwizycji.

– On nie jest tutaj z naszego powodu – odparł Kelsier. – Nic nie palę. Pomyśli, że jesteśmy zwyczajną szlachtą.

– Dziewczyna – mruknął Dockson.

Kelsier skinął głową.

– Powiedziałeś, że Camon kombinuje z oszukiwaniem Zakonu już od jakiegoś czasu. Dziewczyna prawdopodobnie została namierzona przez któregoś z obligatorów. Są wyszkoleni, by rozpoznawać, kiedy Allomanta dotyka ich uczuć.

Dockson zmarszczył brwi. Po drugiej stronie ulicy Inkwizytor rozmawiał z drugim obligatorem, po czym obaj ruszyli wolno w kierunku, w którym znikł Camon.

– Chyba wysłali za nimi ogon – mruknął Dockson.

– To Zakon – odparł Kelsier. – Założę się, że co najmniej dwa.

Dockson przytaknął.

– Camon doprowadzi ich prosto do swojej kryjówki. Dziesiątki ludzi zginą. Nie wszyscy są wspaniałymi jednostkami, ale...

– Walczą z Ostatnim Imperium na swój własny sposób – dokończył Kelsier. – Poza tym, nie mam zamiaru pozwolić, aby potencjalni Mgliści wymknęli się z naszych rąk... Chcę pogadać z tą dziewczyną. Dasz sobie radę z ogonami?

– Kell, mówiłem, że stanę się nudny, nie leniwy – odparł Dockson. – Potrafię sobie poradzić z paru lokajami Zakonu.

– Dobrze – odparł Kelsier, sięgając do kieszeni płaszcza.

Wyjął mała fiolkę, w której w roztworze alkoholowym pływały płatki kilku metali. Żelazo, stal, cyna czysta i stopiona ze srebrem, miedź, brąz, cynk i mosiądz – osiem podstawowych metali allomantycznych. Kelsier wyjął zatyczkę i jednym szybkim łykiem wypił zawartość.

Schował pustą fiolkę i otarł dłonią usta.

– Ja się zajmę Inkwizytorem.

Dockson spojrzał na niego z lękiem.

– Chcesz pójść i tak sobie go załatwić?

Kelsier pokręcił głową.

– To zbyt niebezpieczne. Po prostu odwrócę jego uwagę. A teraz ruszaj. Lepiej, żeby ogony nie wiedziały, gdzie jest kryjówka.

Dockson skinął głową.

– Spotkamy się na piętnastym skrzyżowaniu – rzekł, po czym ruszył alejką i zaraz znikł za rogiem.

Kelsier doliczył do dziesięciu, po czym sięgnął w głąb siebie i zaczął spalać metale. Jego ciało wypełniło się siłą, jasnością i mocą.

Kelsier uśmiechnął się, po czym – spalając cynk – sięgnął i mocno szarpnął emocje Inkwizytora. Istota zamarła i okręciła się w miejscu, spoglądając w kierunku budynku Kantonu.

No to teraz się pogonimy, pomyślał Kelsier.

Przybyliśmy do Terris na poczatku tego tygodnia i muszę powiedzieli, że wieś bardzo mi się spodobała. Ogromne góry na północy – z nagimi lodowcami na szczytach, okryte płaszczem lasu – stoją niczym czujni bogowie, strzegący zielonej, żyznej ziemi. Moje własne ziemie na południu są równinami, myślę, że wyglądałyby mniej posępnie, gdyby dorzucić im parę gór.

Tutejsi ludzie to przede wszystkim pasterze – choć zdarzają się drwale i rolnicy. Ta ziemia to głównie pastwiska, i dziwne, jak miejsce tak skromne i rolnicze mogło stać się źródłem proroctw i teologii, na których dzisiaj opiera się cały świat.

3

Camon liczył monety, wrzucając złote skrzyńce jeden po drugim do małego pudełka na stole. Wciąż wydawał się nieco zaskoczony i nic dziwnego. Trzy tysiące skrzyńców to bajeczna kwota pieniędzy. O wiele więcej, niż Camon zarobiłby w ciągu roku, nawet bardzo dobrego. Zbiry z jego najbliższego otoczenia siedzieli z nim przy stole, a ale – i śmiech – płynęły swobodnym strumieniem.

Vin siedziała w kącie, usiłując zrozumieć uczucie przerażenia, jakie ją ogarniało. Trzy tysiące skrzyńców. Zakon nie powinien był nigdy dopuścić, by taka suma została wydana aż tak łatwo. Prelan Arriev wydawał się o wiele za sprytny, żeby tak łatwo dać się podejść.

Camon wrzucił do skrzyni kolejną monetę. Vin nie była pewna, czy ten pokaz bogactwa to głupota, czy spryt. Szajki złodziejskie pracowały zgodnie z jedną ścisłą zasadą. Każdy otrzymywał dolę proporcjonalną do jego pozycji w grupie. Czasem kusiło, by zabić przywódcę i zgarnąć wszystko dla siebie, ale ogólnie przywódca, który miał szczęście, oznaczał więcej pieniędzy dla każdego. Jeśli zabijesz go za wcześnie, odetniesz sobie dalsze dochody – nie mówiąc już o ściągnięciu sobie na głowę gniewu pozostałych rabusiów.

Ale jednak trzy tysiące skrzyńców... To wystarczy, by skusić najbardziej nawet logicznego złodzieja. Wszystko było nie tak.

Muszę się stąd wynosić, pomyślała. Uciec od Camona, z dala od kryjówki, gdyby coś miało się stać.

Ale... odejść? Sama? Nigdy przedtem nie była sama, zawsze miała Reena. To on prowadził ją od miasta do miasta, pokazując kolejne złodziejskie bandy. Kochała samotność. Ale sama myśl o tym, że mogłaby być zdana wyłącznie na siebie, gdzieś w mieście, przerażała ją. Dlatego nigdy nie uciekła od Reena, dlatego została przy Camonie.

Nie mogła odejść – ale musiała. Spojrzała ze swego kąta na członków szajki. Wśród nich niewielu było takich, do których żywiła jakiekolwiek przywiązanie. Jednak było kilku takich, których krzywdy nie chciałaby, nawet, gdyby obligatorzy zwrócili się przeciwko szajce. Kilku ludzi, którzy nie próbowali jej wykorzystać, lub – w niektórych przypadkach – nawet okazali jej pewną sympatię.

Na szczycie tej listy znajdował się Ulef. Nie był przyjacielem, lecz najbliższym znajomym od czasów Reena. Jeśli pójdzie z nią, przynajmniej nie będzie sama. Ostrożnie wstała i przeszła pod ścianą do miejsca, gdzie siedział Ulef, pijąc w grupie młodszych bandytów.

Pociągnęła go za rękaw. Obejrzał się. Był podpity.

– Vin?

– Ulef – szepnęła. – Musimy wyjść.

Zmarszczył brwi.

– Wyjść? Dokąd?

– Jak najdalej – odparła cicho. – Wyjść stąd.

– Teraz?

Skinęła głową.

Obejrzał się na swoich kumpli, którzy chichotali cicho, rzucając na Ulefa i Vin wymowne spojrzenia.

Ulef się zaczerwienił.

– Chcesz gdzieś pójść, tak tylko ty i ja?

– Nie tak – odrzekła. – Tylko... muszę odejść z kryjówki. I nie chcę być sama.

Ulef zmarszczył brwi. Pochylił się ku niej. Jego oddech lekko pachniał ale.

– O co właściwie chodzi, Vin? – zapytał.

Vin się zawahała.

– Ja... myślę, że coś się zdarzy, Ulefie – szepnęła. – Coś, co ma związek z obligatorami. Po prostu nie chcę teraz być tutaj.

Ulef siedział przez chwilę w milczeniu.

– Dobrze – rzekł. – Ile to może potrwać?

– Nie wiem – odrzekła. – Co najmniej do wieczora. Ale musimy iść teraz.

Skinął głową.

– Czekaj tu przez chwilę – szepnęła i odwróciła się. Rzuciła okiem na Camona, który śmiał się z własnego dowcipu, i ostrożnie przeszła przez brudne od popiołu pomieszczenia do pokoju w głębi kryjówki.

Sypialnia szajki mieściła się w prostym, długim korytarzu, wzdłuż którego ułożono materace. Był zatłoczony i niewygodny, ale i tak lepszy niż zimne uliczki, w których sypiała przez wiele lat, podróżując z Reenem.

Pewnie będę musiała znów przyzwyczaić się do alejek, pomyślała. Kiedyś to przeżyła. Przeżyje znowu.

Podeszła do swojego materaca. Z sąsiedniej sali dochodziły stłumione rozmowy i śmiechy mężczyzn. Uklękła, spoglądając na swój skąpy majątek. Gdyby coś się stało szajce, nie będzie mogła tu wrócić. Nigdy. Ale nie mogła wziąć ze sobą materaca – byłoby to zbyt ostentacyjne. Pozostawała jedynie niewielka szkatułka, w której przechowywała najbardziej osobiste przedmioty, kamyk z każdego miasta, w którym bywała, kolczyk – Reen powiedział, że to matka jej go dała – i kawałek obsydianu wielkości dużej monety. Był obłupany, całkiem nieregularnie, ale

Reen nosił go przy sobie jako coś w rodzaju amuletu i było to jedyne, co po sobie zostawił, kiedy uciekł pół roku temu. Kiedy ją porzucił.

Zawsze mówił, że to zrobi, pomyślała. Nie sądziłam, że rzeczywiście odejdzie... I właśnie dlatego musiał to zrobić.

Chwyciła kawałek obsydianu w rękę, kamyki wrzuciła do kieszeni. Kolczyk zawiesiła w uchu – była to prościutka ozdoba, zwykła kropla metalu, niewarta nawet kradzieży, dlatego nie bała się zostawić go pod materacem. Nosiła go jednak bardzo rzadko, z obawy, że ozdoba doda jej kobiecości.

Nie miała pieniędzy, ale Reen nauczył ją kraść i żebrać. I jedno, i drugie było trudne w Ostatnim Imperium, a zwłaszcza w Luthadelu, ale znajdzie sposób, jeśli będzie musiała.

Pozostawiła szkatułkę i materac, po czym wróciła do ogólnej sali. Może przesadzała, może nic się nie stanie. Ale jeśli... Cóż, Reen nauczył ją jednego: chronić własny kark. Zabranie Ulefa było dobrym pomysłem. Miał kontakty w Luthadelu. Jeśli coś się stanie szajce Camona, Ulef prawdopodobnie znajdzie pracę dla siebie i dla niej...

Zamarła w progu głównej sali. Ulef nie czekał na nią przy stole, gdzie go zostawiła. Stał spłoszony w przedniej części sali. Koło baru. Obok... Camona.

– A to co? – Camon wstał, z twarzą czerwoną jak słońce. Odepchnął krzesło i na pół pijany rzucił się w jej stronę. – Zwiewasz? Chcesz mnie zdradzić Zakonowi, tak?

Vin rzuciła się w kierunku schodów, desperacko potykając się o stoły i potrącając towarzyszy.

Camon rzucił w ślad za nią drewniane krzesło, które uderzyło ją w sam środek pleców, obalając na podłogę. Poczuła okropny ból między łopatkami, kilku towarzyszy krzyknęło, kiedy stołek odskoczył od niej i z trzaskiem upadł na klepisko.

Vin leżała oszołomiona. A potem... coś w jej wnętrzu... coś, o czym wiedziała, ale nie rozumiała tego... dodało jej sił. Przestało jej się kręcić w głowie, ból skupił się w jednym punkcie. Niezdarnie stanęła na nogi.

Camon już był przy niej. Uderzył ją w twarz, zanim jeszcze wstała. Jej głowa poleciała w bok od siły ciosu, ale kręgi w karku strzeliły tak boleśnie, że ledwie poczuła ponowne zderzenie z podłogą.

Camon pochylił się, chwycił ją za kołnierz koszuli i postawił na nogi, znów unosząc pięść. Vin nie próbowała nawet myśleć czy mówić – nie było na to czasu. Jednym desperackim wysiłkiem zebrała całe swoje Szczęście i rzuciła na Camona, uspokajając jego furię.

Camon zawahał się. Jego spojrzenie złagodniało na chwilę. Postawił ją na podłodze.

A potem wściekłość powróciła. Twarda. Przerażająca.

– Cholerna dziwka – warknął, chwytając ją za ramiona i potrząsając. – Ten twój zdradziecki braciszek nigdy mnie nie szanował, a ty jesteś taka sama. Za dobry byłem dla was. Powinienem był...

Vin próbowała się wyrwać, ale Camon trzymał mocno. Rozpaczliwie czekała na pomoc innych członków szajki, ale wiedziała, na co może liczyć. Obojętność. Odwrócili się z zakłopotaniem na twarzach, ale nie wydawali się zmartwieni. Ulef stał wciąż koło stolika Camona i ze wstydem wbijał wzrok w ziemię.

Wydało jej się nagle, że słyszy głos, szepczący jej do ucha. Głos Reena. Idiotka! Brak litości to najmądrzejsze z uczuć. Nie masz tu żadnych przyjaciół. Nigdy ich nie będziesz miała w przestępczym świecie!

Szarpnęła się znowu, ale Camon uderzył ją po raz kolejny, aż upadła na ziemię. Cios ogłuszył ją. Jęknęła, gdy całe powietrze uciekło jej z płuc.

Wytrzymać, tylko wytrzymać, myślała jak przez mgłę. Nie zabije mnie przecież. Potrzebuje mnie.

Kiedy jednak odwróciła się mozolnie, ujrzała, że Camon nadal pochyla się nad nią z twarzą pełną pijackiej wściekłości. Wiedziała już, że tym razem będzie inaczej, to nie będzie zwykłe lanie. Myślał, że zamierzała zdradzić go i wydać Zakonowi. Nie zachowywał już kontroli nad sobą.

W oczach miał mord.

Błagam! – desperacko myślała Vin, sięgając po swoje Szczęście, usiłując zmusić je do pracy. Żadnej reakcji. Szczęście ją opuściło, choć i tak miała go mało.

Camon pochylił się, mrucząc coś pod nosem i szarpnął ją za ramię. Podniósł rękę – jego mięsista dłoń zwinęła się znowu w pięść, mięśnie się napięły ... Kropla potu spłynęła z zaczerwienionej furią twarzy i skapnęła z podbródka wprost na jej policzek.

O kilka stóp dalej drzwi do klatki schodowej zadygotały, a potem otwarły się z trzaskiem. Camon znieruchomiał z uniesioną ręką i gniewnie

spojrzał na wejście, by sprawdzić, który z jego ludzi miał pecha wybrać sobie właśnie ten moment na powrót do kryjówki.

Vin skorzystała z tej chwili roztargnienia. Ignorując nowo przybyłego, usiłowała się uwolnić z rąk Camona, ale była zbyt słaba. Twarz jej płonęła w miejscu, gdzie ją uderzył, na wargach czuła smak krwi. Rękę miała wykręconą pod dziwnym kątem, a bok bolał w miejscu, gdzie uderzyła nim o podłogę. Wbiła paznokcie w dłoń Camona, ale nagle poczuła, że słabnie, jej wewnętrzna siła zawiodła ją dokładnie tak samo, jak wcześniej Szczęście. Ból wydał jej się nagle silniejszy, bardziej obezwładniający, bardziej... wymagający.

Desperacko obejrzała się w stronę drzwi Była blisko, tak rozpaczliwie blisko. Prawie już uciekła. Jeszcze trochę... dalej...

Wtedy ujrzała mężczyznę, stojącego w milczeniu w wejściu. Nie znała go. Wysoki, o sokolej twarzy, miał jasne włosy i był ubrany w swobodny strój szlachecki. Płaszcz odrzucił do tyłu. Miał może trzydzieści pięć lat, nie nosił kapelusza ani laski.

I wyglądał na bardzo, bardzo wściekłego.

– Co to znaczy?! – zawołał Camon. – Kim ty jesteś?!

Jak on minął czujki...? – myślała Vin, usiłując odzyskać jasność myślenia. Ból... Potrafi sobie poradzić z bólem. Obligatorzy... czy to oni go przysłali?

Nowo przybyły spojrzał na Vin i wyraz jego twarzy nieco złagodniał. A potem podniósł wzrok na Camona i oczy mu pociemniały.

Gniewne okrzyki herszta zostały ucięte, kiedy jakaś potężna siła odrzuciła go w tył, odrywając jego ramię od barku Vin, a jego samego ciskając na podłogę, aż zadrżały wszystkie deski.

W sali zapadła cisza.

Muszę uciekać, myślała gorączkowo Vin, zbierając się na czworaki. Camon jęczał z bólu o kilka stóp dalej i Vin szybko odpełzła na bok, chowając się pod pusty stół. Kryjówka miała ukryte wyjście, klapę w podłodze pod tylną ścianą. Jeśli zdoła do niej dotrzeć...

Nagle ogarnął ją obezwładniający spokój. Uczucie spadło na nią jak nagły ciężar, zagłuszając całkowicie jej własne emocje, jakby zmiażdżyła je potężna dłoń. Jej strach zgasł jak zdmuchnięta świeca i nawet ból wydawał się mało ważny.

Zwolniła, zastanawiając się, czego się tak bała. Wstała, zatrzymując się przed klapą. Oddychała ciężko, wciąż nieco oszołomiona.

Camon właśnie próbował mnie zabić! – ostrzegała ją logiczna część umysłu. A ktoś atakuje naszą kryjówkę.

Jednakże emocje nie nadążały za logiką. Czuła się... spokojna. Niewzruszona. I coraz bardziej zaciekawiona.

Ktoś właśnie zastosował na niej Szczęście.

W jakiś sposób rozpoznała to uczucie, choć nigdy wcześniej osobiście go nie doznała. Zatrzymała się przy stole, z jedną ręką na blacie, po czym powoli się odwróciła. Nowo przybyły wciąż stał u stóp schodów. Obserwował ją przez chwilę krytycznym spojrzeniem, po czym uśmiechnął się rozbrajająco.

Co się dzieje?

Przybysz wreszcie wszedł do sali. Reszta szajki Camona pozostała przy stolikach. Wydawali się zaskoczeni, ale dziwnie beztroscy.

Używa Szczęścia przeciwko wszystkim naraz... Ale... jak może to robić jednocześnie i tak długo? Vin nigdy nie była w stanie zebrać dosyć Szczęścia, by starczyło go na coś więcej niż pojedyncze, krótkie dotknięcie.

Przybysz wszedł do sali i Vin dopiero teraz zobaczyła, że za jego plecami stoi ktoś jeszcze. Drugi mężczyzna był mniej imponujący. Niższy, z ciemną, krótką bródką i prostymi, krótko ostrzyżonymi włosami, również był odziany w szlachecki strój, choć mniej elegancki.

Po drugiej stronie pomieszczenia Camon jęknął i usiadł, trzymając się za głowę. Spojrzał na przybyszów.

– Pan Dockson! Ależ, uch... co za niespodzianka!

– Istotnie – odparł niższy mężczyzna. – Dockson.

Vin zmarszczyła brwi, czując, że ci mężczyźni są jej jakby znajomi. Gdzieś już ich widziała.

Kanton Finansów. Siedzieli w poczekalni, kiedy wychodziliśmy wraz z Camonem.

Camon chwiejnie stanął na nogach, obserwując jasnowłosego gościa. Spojrzał na dłonie tamtego, które były pokryte dziwnymi, przeplatającymi się bliznami.

– Na Ostatniego Imperatora – wyszeptał. – Ocalały z Hathsin!

Vin zmarszczyła brwi. Tytuł nie był jej znany. Czy powinna znać tego człowieka? Jej rany wciąż pulsowały bólem, pomimo spokoju, jaki

odczuwała, kręciło jej się w głowie. Oparła się na blacie, by nie upaść, ale nie usiadła.

Kimkolwiek był przybysz, Camon widocznie uważał go za ważną osobistość.

– Proszę, i pan Kelsier – warknął. – Cóż za zaszczyt!

Przybysz – Kelsier – pokręcił głową.

– Nie mam wielkiej ochoty cię słuchać.

Camon wydał z siebie cichy jęk bólu, kiedy znów coś odrzuciło go w tył. Kelsier nawet nie ruszył palcem, by tego dokonać. A jednak Camon padł na ziemię, jakby pchnęła go jakaś niewidzialna siła.

Bandyta zamilkł, a Kelsier rozejrzał się po sali.

– Czy wszyscy wiedzą, kim jestem?

Wielu z członków szajki przytaknęło.

– Dobrze. Przybyłem tu, drodzy przyjaciele, ponieważ macie wobec mnie wielki dług.

W sali panowała cisza, jeśli nie liczyć jęków Camona. Wreszcie ktoś odezwał się nieśmiało:

– My... panie Kelsier?

– Tak. Widzicie, pan Dockson i ja właśnie uratowaliśmy wam życie. Wasz dość niekompetentny przywódca wyszedł z Kantonu Finansów Zakonu godzinę temu i wrócił do kryjówki. Podążali za nim dwaj zwiadowcy Zakonu, jeden prelan wysokiej rangi i jeden Stalowy Inkwizytor.

Cisza.

O Panie, pomyślała Vin. Miała rację... nie byli dość szybcy. Ale jeśli był tam Inkwizytor...

– Inkwizytorem się zająłem – odrzekł Kelsier, pozwalając, aby wszyscy domyślali się, w jaki sposób to uczynił.

Kim musiał być człowiek, który „zajął się” Inkwizytorem? Krążyły plotki, że te istoty są nieśmiertelne, mogą zaglądać do ludzkiej duszy, a jako wojownicy są niepokonani.

– Żądam zapłaty za wyświadczone usługi – oznajmił Kelsier.

Tym razem Camon nie wstał. Upadł bardzo ciężko i teraz był zdezorientowany. W sali panowała cisza. Wreszcie Milev – ciemnoskóry mężczyzna, który był zastępcą Camona – podniósł kuferek ze skrzyńcami zakonu i podbiegł, usłużnie podając go Kelsierowi.

– To pieniądze, jakie Camon dostał z Zakonu – wyjaśnił skwapliwie. – Trzy tysiące skrzyńców.

Milev tak bardzo chce mu się przypodobać, pomyślała Vin. To coś więcej niż tylko Szczęście, albo to jakiś rodzaj Szczęścia, którego ja nigdy nie byłabym w stanie użyć.

Kelsier zawahał się, ale przyjął skrzynkę z monetami.

– A ty kim jesteś?

– Milev, panie Kelsier.

– Cóż, przywódco Milev, uznam to wynagrodzenie za zadowalające... o ile zrobisz dla mnie jeszcze coś.

Milev znieruchomiał.

– A cóż by to miało być?

Kelsier wskazał ruchem głowy półprzytomnego Camona.

– Zajmij się nim.

– Oczywiście – odparł Milev.

– Chcę, żeby żył, Milev – zaoponował Kelsier, unosząc palec. – Ale nie chcę, żeby się tym cieszył.

Milev skinął głową.

– Uczynimy z niego żebraka. Ostatni Imperator nie lubi tej profesji... Camon będzie miał ciężki żywot w Luthadelu.

A Milev pozbędzie się go i tak, skoro tylko uzna, że Kelsier tego nie widzi.

– Dobrze – mruknął Kelsier, po czym otwarł kuferek i zaczął odliczać złociste skrzyńce. – Pomysłowy z ciebie człowiek, Milev. Szybki i nie tak łatwo cię onieśmielić, jak innych.

– Miałem już wcześniej do czynienia z Dziećmi Mgły, panie Kelsier – odparł Milev.

Kelsier skinął głową.

– Dox – rzekł, zwracając się do swego towarzysza. – Gdzie spotykamy się dzisiaj?

– Myślałem, że dobrym miejscem będzie sklep Clubsa – odparł zapytany.

– Niezbyt neutralne miejsce – odparł Kelsier. – Zwłaszcza gdy nie zechce się do nas przyłączyć.

– To prawda.

Kelsier spojrzał na Mileva.

– Planuję robotę w tej okolicy. Przydałoby mi się wsparcie miejscowych. – Pokazał mu stosik mniej więcej setki skrzyńców. – Chcemy skorzystać z waszej kryjówki dziś wieczorem. Można to załatwić?

– Oczywiście – odparł Milev, skwapliwie zgarniając monety.

– Doskonale – rzekł Kelsier. – A teraz wyjdźcie.

– Wyjść? – zapytał z wahaniem Milev.

– Tak – odrzekł Kelsier – Weź swoich ludzi... razem z byłym szefem... i idźcie sobie. Chcę porozmawiać w cztery oczy z panną Vin.

W pomieszczeniu znów zapadła cisza i Vin wiedziała, że nie ona jedna zastanawia się, skąd Kelsier zna jej imię.

– No co, słyszeliście? – warknął Milev.

Machnięciem ręki nakazał kilku zbirom zebrać z podłogi Camona i skierował całą resztę w stronę schodów.

Vin obserwowała, jak odchodzili, czując narastający niepokój. Ten Kelsier był potężnym człowiekiem, a instynkt podpowiadał jej, że potężni ludzie są niebezpieczni. Czy wiedział o jej Szczęściu? Widocznie tak, bo jakiż miałby inny powód, żeby ją wyróżniać?

Jak ten Kelsier będzie chciał mnie wykorzystać? – myślała, rozcierając ramię w miejscu, gdzie uderzyła nim o podłogę.

– A poza tym, Milevie – niedbale dorzucił Kelsier – jeśli mówię „sam na sam” to znaczy, że nie chcę być podglądany przez czterech ludzi, którzy obserwują nas przez judasze w ścianie. Weź ich łaskawie ze sobą na ulicę, dobrze?

Milev pobladł.

– Oczywiście, panie Kelsier.

– Doskonale. W zaułku znajdziecie dwóch martwych szpiegów Zakonu. Czy możecie posprzątać za nas trupy?

Milev skinął głową i odwrócił się.

– A, Milev, jeszcze jedno – dodał Kelsier.

Milev obejrzał się znowu.

– Dopilnuj, by żaden z twoich ludzi nas nie zdradził – rzekł cicho Kelsier. Vin znów poczuła to samo: zwiększony nacisk na swoje emocje. – Wasza grupa wpadła już w oko Stalowemu Zakonowi... nie róbcie sobie wroga jeszcze ze mnie.

Milev przytaknął skwapliwie, po czym znikł na klatce schodowej, zamykając za sobą drzwi. Kilka chwil później Vin usłyszała kroki ludzi

opuszczających pomieszczenie obserwacyjne, po czym wszystko ucichło. Została sama z człowiekiem, który z jakiegoś powodu wywierał tak szczególny wpływ na ludzi, że mógł utrzymać w ryzach całe pomieszczenie pełne rzezimieszków i złodziei.

Zerknęła na zamknięte na zasuwę drzwi. Kelsier obserwował ją spokojnie. Co by zrobił, gdyby spróbowała ucieczki?

Twierdzi, że zabił Inkwizytora, pomyślała. I... używa Szczęścia. Muszę zostać, choćby tylko po to, żeby się zorientować, ile wie.

Kelsier uśmiechnął się szerzej, aż wreszcie zachichotał.

– To była naprawdę zbyt dobra zabawa, Dox.

Drugi mężczyzna, ten którego Camon nazwał Docksonem, prychnął i podszedł do nich. Vin znieruchomiała, ale Dox nie skierował się w jej stronę, lecz do baru.

– Przedtem byłeś już wystarczająco nieznośny, Kell – zauważył. – Nie mam pojęcia, co myśleć o tej twojej nowej sławie. A przynajmniej nie wiem, jak myśleć, żeby się nie śmiać.

– Zazdrosny jesteś.

– Tak, naturalnie. Jestem potwornie zazdrosny o twoje zdolności do dominowania nad drobnymi kryminalistami. Jeśli coś ci to powie, uważam, że byłeś zbyt surowy dla Camona.

Kelsier usiadł przy jednym ze stolików. Jego wesołość przygasła nieco, gdy przemówił:

– Widziałeś, co robił dziewczynie.

– Właściwie nic nie widziałem – odparł oschle Dockson, przeglądając zapasy w barze. – Ktoś mi zasłonił przejście.

Kelsier wzruszył ramionami.

– Popatrz na nią, Dox. Biedactwo, prawie ją zatłukł na śmierć. Nie czuję żadnego współczucia do tego człowieka.

Vin siedziała tam, gdzie przedtem, obserwując obu mężczyzn. W miarę, jak napięcie uchodziło z jej mięśni, rany i stłuczenia zaczęły pulsować bólem. Cios pomiędzy łopatki – będzie z niego niezły siniak – i uderzenie w twarz paliły coraz bardziej. Wciąż jeszcze kręciło jej się w głowie.

Kelsier obserwował ją uważnie. Zacisnęła zęby. Ból. Poradzi sobie z bólem.

– Potrzeba ci czegoś, dziecko? – zapytał Dockson. – Mokrą chusteczkę na twarz?

Nie odpowiedziała, koncentrując się na Kelsierze.

No dawaj. Powiedz, czego ode mnie chcesz. Rozegraj to.

Dockson po chwili wzruszył ramionami, po czym na chwilę schylił się pod bar. Kiedy się wyprostował, w dłoni miał kilka butelek.

– Coś dobrego? – zagadnął Kelsier.

– A jak ci się zdaje? – zapytał Dockson. – Nawet wśród złodziei Camon raczej nie jest znany z wytwornego smaku. Mam skarpetki warte więcej niż to wino.

Kelsier westchnął.

– A daj mi szklankę, tak czy owak. – Spojrzał znowu na Vin. – Chcesz coś?

Nie odpowiedziała.

Kelsier się uśmiechnął.

– Nie bój się, jesteśmy znacznie mniej straszni, niż sądzą twoi przyjaciele.

– Myślę, że to nie byli jej przyjaciele, Kell – rzekł Dockson zza baru.

– Masz rację – zgodził się Kelsier. – Nieważne. Dziecko, nie masz się czego obawiać z naszej strony, jeśli nie liczyć oddechu Doxa.

Dockson wywrócił oczami.

– Albo żartów Kella.

Vin stała w milczeniu. Mogła udawać słabą i nieporadną, jak przy Camonie, ale instynkt podpowiadał jej, że ci ludzie nie zareagują przyjaźnie na taką taktykę. Pozostała zatem tam, gdzie była, oceniając sytuację.

Znów ogarnął ją ten sam spokój. Zachęcał ją do rozluźnienia, zaufania, spełnienia propozycji mężczyzn...

Nie! Została na miejscu.

Kelsier uniósł brew.

– A to niespodzianka.

– Co? – zapytał Dockson, nalewając wino do szklanki.

– Nic – mruknął Kelsier, obserwując Vin.

– Chcesz się napić czy nie, mała? – wtrącił Dockson.

Vin nie odpowiedziała. Przez całe życie, odkąd sięgała pamięcią, miała swoje Szczęście. To czyniło ją silną, dawało jej przewagę nad innymi złodziejami i pewnie tylko dzięki niemu jeszcze żyła. Przez cały ten czas nie miała jednak pojęcia, jak i dlaczego może go używać. Logika i instynkt podpowiadały jej to samo – że musi się zorientować, co wie ten człowiek.

Jakkolwiek planował ją wykorzystać, jakiekolwiek były jego zamierzenia, będzie to musiała znieść. Musi się dowiedzieć, jak stał się taki potężny.

– Ale – rzekła wreszcie.

– Ale? – zapytał Kelsier. – Na pewno?

Skinęła głową, obserwując go uważnie.

– Lubię.

Kelsier potarł podbródek.

– Będziemy musieli nad tym popracować – mruknął. – Ale dobrze, siadaj.

Z wahaniem podeszła i usiadła przy stoliku naprzeciw Kelsiera. Jej rany pulsowały bólem, ale nie mogła sobie pozwolić na okazanie słabości. Słabość zabija. Musi udawać, że nie czuje bólu. Przynajmniej, kiedy siedziała, nie kręciło jej się w głowie.

Dockson dołączył do nich chwilę później, podając Kelsierowi szklankę wina, a Vin kufel ale. Na razie go nie tknęła.

– Kim jesteście? – zapytała cicho.

Kelsier uniósł brew.

– Nie owijasz w bawełnę, co?

Nie odpowiedziała.

Westchnął.

– To tyle, jeśli chodzi o moją intrygującą aurę tajemniczości.

Dockson prychnął cicho.

Kelsier się uśmiechnął.

– Nazywam się Kelsier. Jestem kimś, kogo właściwie można nazwać szefem szajki, ale moja szajka nie przypomina tych, które zapewne znasz. Ludzie tacy jak Camon i jego podwładni lubią uważać się za drapieżników, karmiących się na szlachcie i różnych organizacjach Zakonu.

Vin pokręciła głową.

– Nie drapieżnicy. Ścierwojady.

Ktoś mógłby pomyśleć, że tak blisko pod nosem Ostatniego Imperatora, szajki złodziejskie nie mają prawa bytu. A jednak Reen udowodnił, że rzeczywistość jest wręcz odwrotna. Potężna, bogata szlachta zbierała się wokół Ostatniego Imperatora. A tam, gdzie istniała potęga i bogactwa, istniała tez korupcja – zwłaszcza że Ostatni Imperator miał tendencję do

pobłażliwszego traktowania szlachty aniżeli skaa. Widocznie miało to coś wspólnego z sympatią dla ich przodków.

W każdym razie szajki złodziejskie takie, jak szajka Camona były szczurami żywiącymi się na korupcji i zepsuciu miasta. I podobnie jak gryzonie, nie dało się ich całkowicie wyplenić, zwłaszcza w mieście o tak licznej populacji jak Luthadel.

– Ścierwojady – odparł Kelsier z uśmiechem. Lubił się uśmiechać. – Bardzo odpowiednie określenie, Vin. Cóż, Dox i ja też byliśmy ścierwojadami... tylko trochę wyższego gatunku. Byliśmy lepiej urodzeni, można rzec... A może tylko ambitniejsi.

Zmarszczyła brwi.

– Jesteście szlachcicami?

– Ale skąd – odparł Dockson.

– A przynajmniej nie czystej krwi – dodał Kelsier.

– Przecież mieszańcy podobno nie istnieją – ostrożnie zauważyła Vin. – Zakon na nich poluje.

Kelsier uniósł brew.

– Mieszańcy, tacy jak ty?

Vin zadrżała. Skąd...?

– Nawet Stalowy Zakon nie jest nieomylny, Vin – rzekł Kelsier. – Jeśli mogli przeoczyć ciebie, mogli też przeoczyć innych.

Vin się zamyśliła.

– Milev. Nazwał was Dziećmi Mgły. To jakiś rodzaj allomanty, tak?

Dockson spojrzał na Kelsiera.

– Jest spostrzegawcza – zauważył, kiwając z aprobatą głową.

– Istotnie – zgodził się Kelsier. – Ludzie nazywają nas Dziećmi Mgły, Vin. Choć ta nazwa jest nieco na wyrost, ponieważ ani ja, ani Dox technicznie nimi nie jesteśmy. Jednak bardzo często z nimi współpracujemy.

Vin przetrawiała tę informację pod bacznymi spojrzeniami obu mężczyzn. Allomancja. Mistyczna moc, którą posiadała szlachta, otrzymana od Ostatniego Imperatora jakieś tysiąc lat temu w nagrodę za lojalność. Podstawowa doktryna Zakonu; nawet skaa taki jak Vin wiedział o tym. Szlachta miała allomancje i przywileje dzięki swoim przodkom; skaa zostali ukarani z tego samego powodu.

Prawda była jednak taka, że Vin nie wiedziała, co to jest allomancja. Miało to coś wspólnego z walką, a przynajmniej tak jej się zdawało. Podobno jeden „Mglisty” był tak niebezpieczny, że mógł zabić całą szajkę złodziei. Jednakże skaa, których znała, mówili o tej mocy szeptem i niepewnie. Do tej pory nigdy nie brała pod uwagę możliwości, że może być to po prostu to samo, co jej Szczęście.

– Powiedz mi, Vin – zagadnął Kelsier, pochylając się. – Czy wiedziałaś, co robisz temu obligatorowi w Kantonie Finansów?

– Użyłam mojego Szczęścia – odparła cicho. – Używam go, żeby ludzie się mniej gniewali.

– Albo byli mniej podejrzliwi. Łatwiejsi do oszukania.

Vin skinęła głową.

Kelsier uniósł palec.

– Jest wiele rzeczy, których będziesz się musiała nauczyć. Technik, zasad i ćwiczeń. Jedna lekcja jednak nie może czekać. Nigdy nie stosuj allomancji na obligatorach. Są przeszkoleni w rozpoznawaniu, kiedy ich emocje są przez kogoś manipulowane. Nawet wysokiej szlachcie nie wolno Naciągać i Naciskać uczuć obligatora. To przez ciebie obligator posłał po inkwizytora.

– Módl się, dziewczę, żeby ta kreatura nigdy więcej nie wpadła na twój ślad – dodał cicho Dockson, sącząc wino.

Vin pobladła.

– Nie zabiliście tego inkwizytora?

Kelsier pokręcił głową.

– Tylko trochę powodziłem go za nos, a i to było dość niebezpieczne, że tak powiem. Nie martw się, wiele plotek na ich temat to wyssane z palca bzdury. Teraz, kiedy stracił twój ślad, nie odnajdzie cię tak łatwo.

– Najprawdopodobniej – dodał Dockson.

Vin z niepokojem spojrzała na niego.

– Najprawdopodobniej – zgodził się Kelsier. – Jest wiele rzeczy, których nie wiemy na temat Inkwizytorów. Wydaje się, że nie żyją według normalnych zasad. Te kolce, które przechodzą przez ich oczy, na przykład, powinny ich w zasadzie zabić. Nic, czego się dowiedziałem o allomancji, nie dostarczyło mi jeszcze żadnego wyjaśnienia, jak te istoty żyją. Gdyby podążał za tobą zwykły Szperacz-Mglisty, nie martwilibyśmy się. Ale

Inkwizytor... no cóż, musisz mieć oczy otwarte. Oczywiście, widać, że masz to doskonale opanowane.

Vin przez chwilę siedziała w milczeniu, zakłopotana. Wreszcie Kelsier ruchem głowy wskazał jej kufel ale.

– Nie pijesz.

– Mogłeś coś tam wrzucić – odparła.

– O, nie mam potrzeby wrzucać ci czegokolwiek do napoju – odparł z uśmiechem, wyjmując z kieszeni surduta jakiś przedmiot. – W końcu zawartość tej fiolki na pewno wypijesz bardzo chętnie.

Postawił na blacie niewielką szklaną fiolkę. Zmarszczyła brwi na widok jej zawartości. Na dnie osiadło coś ciemnego.

– Co to jest? – zapytała.

– Gdybym ci powiedział, nie byłoby tajemnicy – odparł Kelsier. – Fiolka jest napełniona roztworem alkoholowym i płatkami metalu, Vin.

– Metalu? – zapytała, marszcząc brwi.

– Dwóch z ośmiu podstawowych allomantycznych metali – wyjaśnił. – Musimy zrobić kilka testów.

Vin niepewnie zerknęła na fiolkę.

Kelsier wzruszył ramionami.

– Musisz to wypić, jeśli mamy się dowiedzieć czegokolwiek na temat tego twojego Szczęścia.

– Najpierw ty wypij połowę – odparła.

Kelsier uniósł brew.

– Ciut paranoiczna, jak mi się zdaje.

Westchnął, wziął fiolkę i odkorkował.

– Najpierw zamieszaj – powiedziała Vin. – Żebyś zebrał trochę osadów.

Wzniósł oczy w górę, ale spełnił jej żądanie. Wstrząsnął fiolką i przełknął połowę jej zawartości. Odstawił buteleczkę z rozmachem.

Vin zmarszczyła brwi, spojrzała zezem na Kelsiera, który uśmiechnął się w odpowiedzi. Wiedział już, że ją ma. Pokazał jej własną moc, skusił ją. „Jedynym powodem, aby być służalczym wobec możnych, jest nadzieja, że nauczysz się kiedyś, jak im odebrać to, co mają”. Słowa Reena.

Wzięła fiolkę i przełknęła jej zawartość. Siedziała przez chwilę, oczekując na jakąś magiczną przemianę albo wzbierające uczucie siły... albo oznaki otrucia. Ale nic.

Ależ... popsuł całą atmosferę.

Zmarszczyła brwi, oparła się o oparcie krzesła. Z ciekawości sięgnęła ku swemu Szczęściu.

I poczuła, jak ze zdumienia oczy wychodzą jej z orbit.

Było tam, jak ogromny złoty skarb. Magazyn tak niewiarygodnej potęgi, że nie umiała jej objąć rozumem. Zawsze musiała oszczędzać Szczęścia, trzymać je w zapasie, ostrożnie używając po odrobince. Teraz poczuła się jak głodująca kobieta zaproszona na szlachecką ucztę. Siedziała oszołomiona ogromem ukrytego w swym wnętrzu bogactwa.

– No – odezwał się Kelsier. – Spróbuj. Ułagodź mnie.

Sięgnęła, ostrożnie dotykając nowej masy Szczęścia. Wzięła odrobinę, skierowała na Kelsiera.

– Dobrze – pochwalił ją i pochylił się. – Ale wiemy już, że to potrafisz. Teraz prawdziwa próba, Vin. Widzę, że umiesz tłumić moje uczucia, ale czy umiesz też je rozniecać?

Zmarszczyła brwi. Nigdy wcześniej nie używała Szczęścia w taki sposób. Nie miała pojęcia, że to możliwe. Dlaczego był tym taki zainteresowany?

Podejrzliwie sięgnęła ku swemu źródłu Szczęścia. W tym momencie zauważyła coś interesującego. Początkowo sądziła, że ma do czynienia z jednym potężnym źródłem mocy, lecz w istocie były to dwa różne źródła. Dwa różne typy Szczęścia.

Osiem. Powiedział, że było ich osiem. Ale... co zatem robią inne?

Kelsier wciąż czekał. Vin sięgnęła ku drugiemu, nieznanemu źródłu Szczęścia, podobnie jak to robiła przedtem, i skierowała je ku niemu.

Kelsier uśmiechnął się szerzej i rozparł na krześle, spoglądając na Docksona.

– No i mamy. Zrobiła to.

Dockson pokręcił głową.

– Szczerze mówiąc, Kell, nie wiem co myśleć. Jeden z was wystarczy, żeby mnie przyprawić o ciarki. A dwoje...

Spojrzała na nich z powątpiewaniem przez zmrużone powieki.

– Dwoje czego?

– Nawet wśród szlachty, Vin, allomancja jest dość rzadka – odparł Kelsier. – Prawdę mówiąc, to umiejętność dziedziczna, przy czym najpotężniejsze rody znajdują się wśród wysoko urodzonej szlachty. Samo urodzenie jednak nie gwarantuje allomantycznej siły.

Wielu szlachciców ma dostęp do jednej allomantycznej umiejętności. Tacy ludzie, ci którzy potrafią używać allomancji w jednym z ośmiu podstawowych jej aspektów, zwani są Dziećmi Mgły. Takie umiejętności czasem pojawiają się u skaa, ale tylko wtedy, jeśli dany, lub dana skaa posiadają wśród swoich bliskich przodków szlachtę. Jednego Mglistego możesz znaleźć wśród... powiedzmy około dziesięciu tysięcy skaa krwi mieszanej. Im lepsi i bliżsi są szlachetni przodkowie, tym bardziej jest prawdopodobne, że skaa będzie Mglistym.

– Kim byli twoi rodzice, Vin? – zapytał Dockson. – Pamiętasz ich?

– Wychował mnie przyrodni brat, Reen – odrzekła cicho, zakłopotana. Nie lubiła mówić o tych sprawach z obcymi.

– Czy opowiadał ci o matce i ojcu?

– Czasami – przyznała. – Reen mówił, że matka była dziwką. Nie z wyboru, ale wiadomo, jak jest... – Urwała. Matka kiedyś próbowała ją zabić, kiedy jeszcze była bardzo młoda. Vin zaledwie pamiętała to zdarzenie. Reen ją ocalił.

– A ojciec, Vin? – dopytywał się Dockson.

Podniosła wzrok.

– Jest wysokim prelanem w Zakonie Stali.

Kelsier gwizdnął cicho.

– No cóż, widzę w tym zaniedbaniu pewną ironię.

Spuściła wzrok. Wreszcie sięgnęła po kufel i pociągnęła porządny łyk ale.

Kelsier się uśmiechnął.

– Większość wyższych rangą obligatorów w Zakonie to szlachta. Ojciec wraz z krwią podarował ci rzadki dar.

– Więc... jestem jednym z tych Mglistych, o których wspominałeś?

Kelsier pokręcił głową.

– Właściwie nie. Widzisz, zainteresowaliśmy się tobą właśnie dlatego, Vin. Mgliści mają dostęp jedynie do jednej umiejętności allomantycznej. Właśnie udowodniłaś, że masz dwie. A jeśli masz dostęp do dwóch z ośmiu, to masz również dostęp do reszty. Tak to działa – jeśli jesteś allomantką, to albo masz jedną umiejętność, albo wszystkie.

Kelsier pochylił się.

– Vin, jesteś tym, co ogólnie nazywa się Zrodzonym z Mgły. Nawet pośród szlachty są niezwykle rzadcy. Pośród skaa... cóż, powiedzmy, że

w całym moim życiu spotkałem tylko jednego skaa Zrodzonego z Mgły.

Nagle w sali zapadła cisza. Wszystko jakby znieruchomiało. Vin spoglądała na swój kufel roztargnionym i pełnym zakłopotania wzrokiem. Zrodzona z Mgły. Słyszała opowieści, oczywiście. Legendy.

Kelsier i Dockson siedzieli w milczeniu, dając jej czas, by sobie wszystko przemyślała.

Wreszcie się odezwała.

– A... co to znaczy?

– To znaczy, że ty, Vin – rzekł Kelsier – jesteś kimś bardzo szczególnym. Masz moc, której mogą ci pozazdrościć najlepiej urodzeni arystokraci. Moc, która, gdybyś urodziła się wśród nich, uczyniłaby cię jedną z najbardziej zabójczych i wpływowych osób w całym Ostatnim Imperium. – Pochylił się ku niej. – Ale nie urodziłaś się arystokratką. Nie jesteś szlachetnej krwi, Vin. Nie musisz grać według ich zasad... i to czyni cię jeszcze potężniejszą.

Jak widać, kolejny etap mojej krucjaty zaprowadzi nas na wyżyny Terris. Powiadają, że to zimne, bezlitosne miejsce – ziemia, gdzie same góry stworzone są z lodu.

Nasi normalni służący nie wystarczą na taką podróż. Prawdopodobnie do noszenia bagaży trzeba będzie wynająć tragarzy z Terris.

4

– Słyszałeś, co powiedział! Planuje robotę. – Oczy Ulefa zalśniły podnieceniem. – Ciekawe, w który z Wielkich Domów uderzy.

– Z pewnością w jeden z najpotężniejszych – odparł Disten, jeden z głównych szpiegów Camona. Nie miał ręki, lecz jego oczy i uszy należały do najbystrzejszych w drużynie. – Kelsier nigdy nie zawraca sobie głowy drobiazgami.

Vin siedziała cicho, kufel piwa – ten sam, który podał jej Kelsier – stał przed nią na stole, wciąż prawie pełny. Wokół stołu tłoczyli się ludzie – Kelsier pozwolił złodziejom wrócić do domu na chwilę, zanim sam rozpocznie spotkanie. Vin wolałaby jednak posiedzieć samotnie. Życie

z Reenem przyzwyczaiło ją do samotności – jeśli dopuścisz kogoś zbyt blisko, dasz mu więcej możliwości do zdrady.

Nawet po zniknięciu Reena Vin starała się pozostać samodzielna. Nie chciała odchodzić, ale nie czuła również, że powinna spoufalić się z pozostałymi członkami szajki. Oni z kolei nie mieli absolutnie nic przeciwko temu, by zostawić ją w spokoju. Pozycja Vin była niepewna, wszelkie spoufalanie się z nią mogło oznaczać kompromitację przez współudział. Jedynie Ulef starał się pozostać jej przyjacielem.

„Jeśli dopuścisz kogoś do siebie, zdrada będzie cię bolała jeszcze bardziej”, szeptał Reen w jej głowie.

Czy Ulef naprawdę był jej przyjacielem? Z pewnością sprzedałby ją bardzo szybko. Wszyscy członkowie bandy przyjęli najpierw chłostę, a potem nagłe ocalenie Vin, nie wspominając nawet o własnej zdradzie czy odmowie pomocy. Zrobili tylko to, czego się po nich spodziewała.

– Ocalały dość dawno nie zawracał sobie głowy robotą – rzekł Harmon, podstarzały włamywacz o skołtunionej brodzie. – Rzadko widywano go w Luthadelu, tylko kilka razy w ciągu ostatnich paru lat. Właściwie chyba nie robił nic od...

– To pierwsza robota?! – ochoczo zawołał Ulef. – Pierwsza, odkąd uciekł z Czeluści? Więc to będzie coś spektakularnego!

– Mówił ci coś na ten temat, Vin? – zapytał Disten. – Vin?

Zamachał kikutem ramienia w jej kierunku, usiłując ściągnąć na siebie jej uwagę.

– Co? – zapytała, podnosząc wzrok. Trochę się ogarnęła po laniu, jakie dostała z ręki Camona i wreszcie przyjęła chusteczkę od Docksona, żeby otrzeć krew z twarzy. Z sińcami niewiele mogła zrobić. Ciągle pulsowały bólem. Miała nadzieję, że nic nie było złamane.

– Kelsier – powtórzył Disten. – Czy powiedział coś o robocie, którą szykuje?

Vin pokręciła głową. Spojrzała na zakrwawioną chusteczkę. Kelsier i Dockson odeszli całkiem niedawno, obiecując, że wrócą, kiedy sobie przemyśli to wszystko, co jej powiedzieli. W ich słowach było jednak coś więcej – zaproszenie. Cokolwiek planowali, zaprosili ją do udzialu.

– Dlaczego właśnie ciebie wybrał na swojego twixta, Vin? – zapytał Ulef. – Czy mówił coś na ten temat?

Właśnie tak sądzili – że Kelsier wybrał ją, aby była jego osobą do kontaktów z drużyną Camona... Mileva...

Podziemie Luthadelu miało dwa oblicza. Były tam regularne oddziały, takie jak drużyna Camona. I były grupy... specjalne. Składające się z wyjątkowo zręcznych, wyjątkowo zdolnych lub wyjątkowo utalentowanych. Allomantów.

Te dwie strony półświatka nie mieszały się ze sobą i zwyczajni złodzieje pozostawiali w spokoju tych lepszych od siebie. Czasem jednak któryś z tych zespołów Mglistych wynajmował zwykłych bandytów, aby odrobili za nich przyziemne zadania i wtedy wybierali sobie twixta – coś w rodzaju posłańca – który pracował z obu grupami. Stąd przypuszczenie Ulefa.

Ludzie z grupy Mileva zauważyli jej niechęć i zmienili temat na Mglistych. Mówili o Allomancji niepewnymi, przyciszonymi tonami, a ona słuchała z coraz większą niepewnością. Jak mogła być powiązana z czymś, co wszyscy otaczali tak nabożnym lękiem? Jej Szczęście... jej Allomancja... było czymś niewielkim, czymś, co wykorzystywała, by przetrwać, ale właściwie całkiem nieważnym.

Jednak taka moc... pomyślała, spoglądając na jej rezerwy Szczęścia.

– Ciekawe, co Kelsier robił przez kilka ostatnich lat? – zapytał Ulef. Na początku rozmowy wydawał się w jej obecności nieco skrępowany, ale szybko mu przeszło. Zdradziłby ją, ale taki był ten światek. Żadnych przyjaciół.

Ale Kelsier i Dockson wydawali się inni. Zdawało się, że sobie ufają. Udawali? A może byli jedną z tych rzadkich ekip, które naprawdę nie obawiały się zdrady?

Najbardziej niepokojąca w ich zachowaniu była otwartość wobec Vin. Wyglądało na to, że jej ufali, a nawet akceptowali ją po stosunkowo krótkim czasie. To nie mogło być szczere – nikt nie mógłby przeżyć w podziemiu, wykorzystując taką taktykę. Ich przyjazne zachowanie zbijało z tropu.

– Dwa lata... – mruknął Hrud, cichy zabijaka o płaskiej twarzy. – Musiał chyba cały ten czas spędzić na planowaniu roboty.

– To coś naprawdę wielkiego... – wymamrotał Ulef.

– Opowiedz mi o nim – szepnęła Vin.

– O Kelsierze? – zapytał Disten.

Skinęła głową.

– Na południu nie mówili o Kelsierze?

Vin zaprzeczyła.

– Był najlepszym przywódcą w Luthadelu – wyjaśnił Ulef. – Legenda, nawet wśród Mglistych. Obrabował kilka najbogatszych Wielkich Domów w mieście.

– I? – zapytał Vin.

– Ktoś go zdradził – odparł cicho Harmon.

Oczywiście, pomyślała.

– Kelsiera schwytał sam Ostatni Imperator – rzekł Ulef. – Wysłał go i jego żonę do Czeluści Hathsinu. Ale on uciekł. Uciekł z Czeluści, Vin! Jedyny, któremu się to kiedykolwiek udało.

– A żona? – zapytała Vin.

Ulef spojrzał na Harmona, który pokręcił głową.

– Jej się nie udało.

Więc i on kogoś stracił. Jak wobec tego może się tak głośno śmiać? Tak szczerze?

– Wtedy właśnie dorobił się tych blizn – dodał Disten. – Tych na ramionach. Dorobił się ich w Czeluściach, kiedy wspinał się po nagiej ścianie, najeżonej skałami.

Harmon prychnął.

– Nie tak. Zabił Inkwizytora podczas ucieczki, stąd ma blizny.

– Słyszałem, że walczył z jednym z potworów, które strzegą Czeluści – wtrącił Ulef. – Wsadził mu łapę w pysk i udusił od środka. A zęby podrapały mu ręce.

Disten zmarszczył brwi.

– Jak można kogoś udusić od środka?

Ulef wzruszył ramionami.

– Tak słyszałem.

– Ten człowiek nie jest zwyczajny – mruknął Hrud. – Coś się z nim stało w Czeluściach, coś złego. Przedtem nie był Allomantą, wiecie? Wszedł do Czeluści jako zwykły skaa, a teraz... Nie, na pewno jest Mglistym, ale nie wiem, czy jeszcze istotą ludzką. Za dużo łaził we mgle. Niektórzy powiadają, że prawdziwy Kelsier nie żyje, a to co ma jego twarz, to... coś innego.

Harmon pokręcił głową.

– A to już tylko głupoty, opowiadane przez skaa z plantacji. Wszyscy wychodziliśmy w czasie mgieł.

– Nie w mgły poza miastem – upierał się Hrud. – Tam są mgielne upiory. Chwytają człowieka i zabierają mu twarz, to pewne jak Ostatni Imperator.

Harmon wywrócił oczyma.

– Hrud ma rację z jednym – rzekł Disten. – To nie jest człowiek. Może nie jest też mgielnym upiorem, ale na pewno nie skaa. Słyszałem, że robił różne rzeczy, takie, które tylko „oni” potrafią. Ci, którzy wychodzą nocą. Widziałeś, co zrobił z Camonem.

– Zrodzony z Mgły – wymamrotał Harmon.

Zrodzony z Mgły. Vin oczywiście słyszała to określenie, zanim Kelsier je przy niej wymówił. Któż nie słyszał? Jednak plotki na temat Zrodzonych z Mgły sprawiały, że i historie opowiadane o Inkwizytorach i Mglistych wydawały się bardziej prawdopodobne. Powiadano, że Zrodzeni z Mgły sami byli zwiastunami mgieł, a Ostatni Imperator obdarzył ich wielkimi mocami. Jedynie najwyższa szlachta mogła być Zrodzona z Mgły; powiadano, że była to tajna sekta morderców, która mu służyła, wychodząca jedynie nocami. Reen zawsze jej tłumaczył, że to mit, a Vin uważała, że ma rację.

A Kelsier mówi, że ja – tak samo jak on – jestem jedną z nich. Jak mogła być kimś takim? Ona – dziecko prostytutki? Była nikim. Niczym.

„Nigdy nie ufaj człowiekowi, który przynosi dobre nowiny” pouczał ją Reen. „To najstarszy, ale i najłatwiejszy sposób, żeby kogoś oszukać”.

Ale ona miała swoje Szczęście. Swoją Allomancję. Wciąż czuła zasoby, które dała jej fiolka Kelsiera, i próbowała swoich możliwości na członkach grupy. Nie ograniczając się już do odrobiny Szczęścia na dzień, czuła, że może wywoływać znacznie bardziej efektowne skutki.

Dochodziła do wniosku, że jej poprzedni cel życiowy – nie dać się zabić – był mało inspirujący. Mogła tak wiele zdziałać. Była niewolnicą Reena, potem niewolnicą Camona. Zostanie także niewolnicą Kelsiera, jeśli to doprowadzi ją do wolności.

Milev spojrzał na kieszonkowy zegarek i wstał.

– W porządku, wychodzimy.

Pomieszczenie zaczęło pustoszeć w oczekiwaniu na spotkanie z Kelsierem. Vin pozostała tam, gdzie była; Kelsier wyraźnie dał wszystkim do zrozumienia, że jest zaproszona. Przez chwilę siedziała w milczeniu,

czując się znacznie lepiej teraz w pustym pomieszczeniu. Wkrótce zaczęli przybywać pierwsi towarzysze Kelsiera.

Pierwszy przybysz, który zszedł po schodach, miał sylwetkę żołnierza. Był odziany w luźną koszulę bez rękawów, odsłaniającą doskonale wyrzeźbione ramiona. Był dobrze umięśniony, ale nie otyły, a krótko obcięte włosy sterczały mu lekko.

Towarzyszem żołnierza był elegancko odziany mężczyzna w szlacheckim stroju – śliwkowa kamizelka, złote guziki, czarny kaftan, wraz z kapeluszem o krótkim rondzie i laską pojedynkową. Był starszy od żołnierza i nieco przy kości. Wchodząc, zdjął kapelusz, odsłaniając doskonale przycięte czarne włosy. Obaj mężczyźni rozmawiali przyjaźnie, ale urwali, kiedy ujrzeli pusty pokój.

– Ach, to będzie zapewne nasz twixt – powiedział mężczyzna w surducie. – Czy Kelsier już przybył, moja droga?

Mówił ze swobodną poufałością, jakby byli od dawna przyjaciółmi. Nagle, wbrew sobie, Vin poczuła, że lubi tego dobrze ubranego, eleganckiego człowieka.

– Nie – odpowiedziała cicho. Wprawdzie kombinezon roboczy i koszula zwykle jej wystarczyły, ale teraz nagle zaczęła żałować, że nie ma nic porządniejszego.

– Powinienem był się spodziewać, że Kell spóźni się na własne spotkanie – stwierdził żołnierz, siadając przy jednym ze stołów w pobliżu środka sali.

– Istotnie –rzekł mężczyzna w kubraku. – Chyba skorzystamy z jego spóźnialstwa i napijemy się czegoś. Ja przynajmniej bardzo chętnie...

– Zaraz panu coś podam. – Vin zerwała się na nogi.

– Jaka jesteś milutka – rzekł mężczyzna, wybierając miejsce obok żołnierza. Usiadł z jedną nogą założoną na drugą, laskę postawił z boku, jedną ręką wspierając się na gałce.

Vin podeszła do baru i zaczęła rozglądać się wśród napojów.

– Breeze.... – ostrzegawczo odezwał się żołnierz, kiedy Vin wybrała butelkę najdroższego z win Camona i zaczęła nalewać do kielicha.

– Hmmm...? – mruknął tamten, unosząc brew.

Żołnierz skinął głową w kierunku Vin.

– Och, niech będzie – odparł z lekkim westchnieniem mężczyzna w surducie.

Vin znieruchomiała z na pół przechyloną butelką i lekko zmarszczyła brwi. Co ja właściwie robię?

– Słowo daję, Ham – odparł mężczyzna w kaftanie – czasem jest z ciebie straszny sztywniak.

– Jeśli możesz kogoś Popchnąć, to nie znaczy, że koniecznie musisz to robić, Breeze.

Vin stała oszołomiona.

On... użył na mnie Szczęścia.

Kiedy Kelsier próbował nią manipulować, czuła jego dotyk i była w stanie mu się oprzeć. Teraz jednak nawet się nie zorientowała, co robi.

Podniosła wzrok na tamtego, mrużąc oczy.

– Zrodzony z Mgły.

Mężczyzna w kaftanie, Breeze, zachichotał.

– Ale skąd. Kelsier jest jedynym Zrodzonym z Mgieł skaa, jakiego kiedykolwiek poznasz, moja droga, i módl się, byś nigdy nie była w sytuacji, kiedy spotkasz szlachcica. Ja jestem tylko zwykłym, skromnym Mglistym.

– Skromnym? – Ham się zaśmiał.

Breeze wzruszył ramionami.

Vin spojrzała na napełniony do połowy puchar.

– Pociągnąłeś za moje uczucia. Przy pomocy... Allomancji, oczywiście.

– Pchnąłem je właściwie – odparł Breeze. – Ciągnięcie sprawia, że dana osoba jest mniej ufna i bardziej zdeterminowana. Popychanie uczuć... Łagodzenie ich, sprawia, że osoba staje się ufniejsza.

– Tak czy owak kontrolowałeś mnie – odparła Vin. – Zmusiłeś, bym podała ci drinka.

– Och, nie powiedziałbym, że cię zmusiłem – odrzekł Breeze. – Ja tylko z lekka skorygowałem twoje uczucia, wprowadzając cię w taki stan umysłu, w którym chętniej zrobisz to, czego ja chcę.

Ham podrapał się po podbródku.

– Nie wiem, Breeze. To interesujące pytanie. Czy wpływając na jej emocje, odebrałeś jej możliwość wyboru? Gdyby teraz, pod twoją kontrolą, zaczęła zabijać lub kraść, czy ta zbrodnia byłaby jej, czy twoja?

Breeze wzniósł oczy do nieba.

– Naprawdę to nie ma żadnego znaczenia. Nie powinieneś myśleć o takich sprawach, Hammondzie, zmęczysz sobie mózg. Ja ją tylko leciutko

zachęciłem, używając do tego celu nieco niekonwencjonalnych metod.

– Ale...

– Nie będę się z tobą sprzeczał, Ham.

Mężczyzna westchnął z nieco zagubioną miną.

– Przyniesiesz mi może tego drinka...? – zapytał Breeze, spoglądając na Vin. – To znaczy, że skoro już stoisz, a i tak będziesz musiała tu podejść, żeby dojść do swojego stołka, to...

Vin przeanalizowała swoje emocje. Czy czuła się gotowa do spełnienia życzeń tego człowieka? Czy znowu była przezeń manipulowana?

Odeszła od baru, pozostawiając drinka na blacie.

Breeze westchnął, ale nie ruszył się, żeby wziąć szklankę.

Vin niepewnie podeszła do stołu, przy którym siedzieli obaj mężczyźni. Była przyzwyczajona do cieni i kątów – wystarczająco blisko, żeby podsłuchiwać, ale dość daleko, by szybko uciec. Przed tymi ludźmi jednak nie mogła się ukryć – nie teraz, kiedy pokój był taki pusty. Wybrała zatem krzesło przy stole znajdującym się obok i usiadła ostrożnie. Potrzebowała informacji – jak długo nie wiedziała, co się dzieje, znajdowała się w nowej grupie Mglistych na bardzo niekorzystnej pozycji.

Breeze zachichotał.

– Nerwowe maleństwo z ciebie!

Zignorowała ten komentarz.

– Ty. – Skinęła głową, wskazując na Hama. – Ty też jesteś Mglistym?

– Jestem Zbirem.

Vin zmarszczyła brwi, zmieszana.

– Palę cynę – wyjaśnił Ham.

Znów spojrzała na niego pytająco.

– Potrafi uczynić cię silniejszą, moja droga – wyjaśnił Breeze. – Uderza wszystko... zwłaszcza innych ludzi, którzy próbują wtrącać się do tego, co robimy.

– Nie tylko o to chodzi – odparł Ham. – Ogólnie zapewniam ochronę wypadów, dostarczam przywódcy ludzi i wojowników, jeśli uznam, że tacy są potrzebni.

– A kiedy nie są, zanudza cię na śmierć swoją przypadkową filozofią – dodał Breeze.

Ham westchnął.

– Breeze, słowo honoru, czasem nie wiem, dlaczego... – Urwał, bo drzwi otwarły się znowu i stanął w nich kolejny gość.

Nowo przybyły miał na sobie ciemnobeżowy kaftan, brązowe spodnie i prostą, białą koszulę. Jego twarz była jednak znacznie bardziej charakterystyczna niż ubranie. Była cała sękata i guzowata, jak pokręcony kawał drewna, a oczy lśniły mu pełnym nagany niezadowoleniem, jakie okazują jedynie starsi ludzie. Vin nie umiała określić jego wieku – był dość młody, by nie mieć zgarbionych pleców, a na tyle wiekowy, by nawet Breeze wydawał się przy nim młody.

Przybysz spojrzał na Vin i pozostałych, sapnął wzgardliwie i podszedł do stołu po drugiej stronie sali. Zanim usiadł, było widać, że mocno kuleje.

Breeze westchnął.

– Będę tęsknił za Trapem.

– Wszyscy będziemy – odparł cicho Ham. – Ale Clubs też jest dobry. Pracowałem z nim przedtem.

Breeze obserwował nowego.

– Ciekawe, czy zdołam przynajmniej jego zmusić do przyniesienia mi drinka.

Ham zachichotał.

– Zapłacę złotem, żeby zobaczyć, jak próbujesz.

– O, wierzę w to – odparł Breeze.

Vin obserwowała nowego, który wydawał się błogo ignorować ją i obu mężczyzn.

– Co z nim?

– Clubs? – zapytał Breeze. – On, moja droga, jest Dymiarzem. To on sprawi, żebyśmy wszyscy nie zostali odkryci przez Inkwizytorów.

Vin przygryzła wargi, przetwarzając nowe informacje i obserwując Clubsa. Mężczyzna spojrzał na nią groźnie, więc odwróciła wzrok. W tym momencie zauważyła, że Ham jej się przygląda.

– Podobasz mi się, mała – rzekł. – Inne twixty były zawsze albo zbyt nieśmiałe, żeby rozmawiać, albo zazdrosne, że weszliśmy na ich terytorium.

– Istotnie – odparł Breeze. – Nie przypominasz innych okruchów. Oczywiście, podobałabyś mi się znacznie bardziej, gdybyś mi przyniosła tę szklankę wina...

Vin zignorowała go i spojrzała na Hama.

– Okruch?

– Niektórzy co zarozumialsi członkowie naszej społeczności nazywają tak drobniejszych złodziejaszków – odparł Ham. – Nazywają was okruchami, ponieważ macie tendencję do angażowania się w... mniej inspirujące działania.

– Oczywiście, bez obrazy – dorzucił Breeze.

– Och, nie obraziłabym się o... – Urwała, czując nagle niezwykłą potrzebę przypodobania się temu dobrze ubranemu mężczyźnie. Spojrzała na Breeze'a gniewnie. – Przestań!

– Popatrz – odparł Breeze, spoglądając na Hama. – Wciąż zachowuje możliwość wyboru.

– Jesteś beznadziejny.

Uważają, że jestem twixtem, pomyślała Vin. Więc Kelsier nie powiedział im, kim jestem. Dlaczego? Z powodu braku czasu? A może ten sekret był zbyt cenny, by się nim dzielić? Na ile można było ufać tym ludziom? A jeśli myślą, że jest zwyczajnym „okruchem", dlaczego są dla niej tacy mili?

– Na kogo jeszcze czekamy? – zapytał Breeze, spoglądając na drzwi. – Oczywiście poza Kellem i Doksem.

– Yeden – odparł Ham.

Breeze zmarszczył brwi i zrobił kwaśną minę.

– A, racja.

– Zgadzam się – odrzekł Ham. – Ale chętnie się założę, że on myśli to samo o nas.

– Nie mam pojęcia, po co w ogóle został zaproszony – mruknął Breeze.

Ham wzruszył ramionami.

– Chyba ma to coś wspólnego z planem Kella.

– Ach, ten sławetny „plan". – Breeze się zadumał. – Co to może być za robota, cóż za robota...?

Ham pokręcił głową.

– Kell i ten jego przeklęty dramatyzm.

– Istotnie.

Kilka chwil później otwarły się drzwi i do pokoju weszła osoba, o której właśnie była mowa – Yeden. Okazał się bezpretensjonalnym człowiekiem i Vin nie mogła pojąć, dlaczego pozostali dwaj byli tak niezadowoleni z jego obecności.

Niski, o kręconych, ciemnych włosach, był odziany w prosty strój skaa i połatany, poplamiony sadzą brązowy płaszcz robotnika. Rozejrzał się po pomieszczeniu z lekką dezaprobatą, ale nie wydawał się tak otwarcie nieprzyjazny, jak Clubs, który siedział w najodleglejszym kącie sali i krzywił się do każdego, kto spojrzał w jego stronę.

Niezbyt duża ekipa, pomyślała Vin. Wraz z Kelsierem i Docksonem będzie ich raptem sześciu.

Oczywiście Ham powiedział, że prowadzi grupę „Zbirów". Czy ci ludzie to tylko przedstawiciele? Przywódcy mniejszych, bardziej wyspecjalizowanych grup? Niektóre ekipy właśnie w ten sposób pracowały.

Breeze spojrzał na zegarek kieszonkowy jeszcze trzykrotnie, zanim wreszcie pojawił się Kelsier. Zrodzony z Mgły przywódca wpadł przez drzwi z radosnym entuzjazmem, Dockson biegł tuż za nim w podskokach. Ham natychmiast wstał, uśmiechnął się szeroko i uścisnął Kelsierowi dłoń, Breeze również się podniósł, a choć jego powitanie było nieco mniej wylewne, Vin musiała przyznać, że nie widziała nigdy przywódcy równie radośnie witanego przez swoich podwładnych.

– Ach – rzekł Kelsier, spoglądając na drugą stronę pomieszczenia. – Clubs i Yeden też tu są. Więc jesteśmy wszyscy. Doskonale, strasznie nie lubię, kiedy każą mi czekać.

Breeze uniósł brew i razem z Hanem zajęli znowu swoje miejsca. Dockson przysiadł się do tego samego stołu.

– Czy otrzymamy jakiekolwiek wyjaśnienie twojego spóźnienia?

– Dockson i ja odwiedzaliśmy mojego brata – wyjaśnił Kelsier i podszedł do baru. Obrócił się i oparł łokciem o szynkwas, obserwując zebranych. Kiedy jego wzrok spoczął na Vin, mrugnął.

– Twojego brata? – zdziwił się Ham. – Czy Marsh przyjdzie na spotkanie?

Kelsier i Dockson wymienili spojrzenia.

– Nie dzisiaj – odparł Kelsier. – Ale w końcu do nas dołączy.

Vin obserwowała pozostałych.

Jakieś napięcia pomiędzy Kelsierem a jego bratem?

Breeze uniósł laskę i wycelował jej czubek w Kelsiera.

– Dobrze, Kelsier. Od ośmiu miesięcy ukrywasz przed nami, co to za robota. Wiemy, że to coś dużego, wiemy, że cię nosi z podniecenia,

i wszyscy mamy już wystarczająco dość twoich tajemnic. Może wreszcie się złamiesz i powiesz, o co chodzi?

Kelsier się uśmiechnął. Wstał, wyprostował się i skinął ręką w stronę brudnego, pospolicie wyglądającego Yedena.

– Panowie, poznajcie naszego nowego pracodawcę.

Te słowa były ogromnym zaskoczeniem.

– On? – zapytał Ham.

– On. – Kelsier skinął głową.

– Co? – zapytał Yeden. – Nie umiecie pracować z kimś, kto naprawdę ma jakieś morale?

– Nie o to chodzi, mój drogi – odparł Breeze, układając laskę na kolanach. – Tylko o to, że widzisz... miałem dziwne wrażenie, że to ty nie lubisz pracować z takimi jak my.

– Nie lubię – zgodził się Yeden beznamiętnie. – Jesteście samolubni, niezdyscyplinowani, odwróciliście się plecami do reszty skaa. Ładnie się ubieracie, ale wasze wnętrza są brudne jak popiół.

Ham prychnął.

– O, już widzę, że ta robota będzie wspaniała na morale ekipy.

Vin obserwowała ich w milczeniu, przygryzając wargę. Yeden był widocznie robotnikiem skaa, prawdopodobnie z fabryki tekstyliów albo kuźni. Jakie powiązania miał ze światem przestępczym? I... czy będzie go stać na usługi złodziejskiej szajki, zwłaszcza wyspecjalizowanej, jak grupa Kelsiera?

Kelsier być może zauważył jej zmieszanie, bo stwierdziła, że patrzy na nią, choć słucha pozostałych.

– Wciąż nie całkiem rozumiem – odezwał się Ham. – Yedenie, wiem doskonale, co sądzisz o złodziejach. Więc... dlaczego nas wynająłeś?

Yeden się zmieszał.

– Dlatego – rzekł wreszcie – że wszyscy wiedzą, jak jesteście skuteczni.

Breeze zachichotał.

– To, że nie aprobujesz naszej moralności, nie oznacza, że nie skorzystasz z naszych umiejętności, kiedy będzie potrzeba. Rozumiem. Więc co to za robota? Co wspólnego ma z nami rebelia skaa?

Rebelia skaa? Kolejny element układanki znalazł się na miejscu. Podziemie dzieliło się na dwa odłamy. Większy z nich obejmował złodziei,

szajki, dziwki i żebraków, którzy próbowali przeżyć poza dominującą kulturą skaa.

I byli rebelianci. Ludzie, którzy walczyli z Ostatnim Imperium. Reen zawsze nazywał ich głupcami – zresztą to zdanie podzielało wiele osób znanych Vin, zarówno z podziemia, jak i spośród skaa.

Wszystkie oczy powoli zwróciły się na Kelsiera, który znów oparł się o bar.

– Rebelia skaa, dzięki swemu przywódcy Yedenowi, wynajęła nas do bardzo szczególnej pracy.

– Jakiej? – zapytał Ham. – Rabunek? Morderstwo?

– Trochę i tego, i tego – odparł Kelsier. – A jednocześnie ani to, ani to. Panowie, to nie będzie zwykła robota. Będzie inna niż cokolwiek, co do tej pory zrobiła jakakolwiek szajka. Zamierzamy pomóc Yedenowi w obaleniu Ostatniego Imperium.

Milczenie.

– Słucham? – zapytał Ham.

– Dobrze słyszałeś, Ham – odparł Kelsier. – To właśnie ta robota, którą planuję – zniszczenie Ostatniego Imperium. A przynajmniej jego ośrodka władzy. Yeden wynajął nas, aby mieć armię i sposobność do przejęcia kontroli nad miastem.

Ham usiadł, po czym wymienił spojrzenia z Breeze’em. Obaj mężczyźni zwrócili się w stronę Docksona, który skinął głową. W sali jeszcze przez chwilę panowała cisza, po czym zakłócił ją sam Yeden, śmiejąc się.

– Nie powinienem był się na to godzić – rzekł, kręcąc głową. – Teraz, kiedy to mówisz, sam słyszę, jak głupio to brzmi.

– Yedenie, uwierz mi – odparł Kelsier. – Ci ludzie mają zwyczaj podejmowania się planów, które na pierwszy rzut oka wydają się idiotyczne.

– Może to i prawda, Kell – odparł Breeze – ale w tym przypadku zgadzam się z naszym niezadowolonym przyjacielem. Obalić Ostatnie Imperium... to coś, nad czym robotnicy skaa trudzili się przez ponad tysiąc lat! Dlaczego sądzisz, że potrafimy osiągnąć coś, czego nie udało się osiągnąć tamtym ludziom?

Kelsier się uśmiechnął.

– Nam się uda, ponieważ mamy wizję, Breeze. A tego zawsze rebelii brakowało.

– Słucham? – wtrącił z oburzeniem Yeden.

– Niestety to prawda – rzekł Kelsier. – Rebelia potępia ludzi takich jak ja z powodu naszej zachłanności, ale pomimo swej wybujałej moralności – którą poniekąd szanuję – nigdy nie potrafią niczego doprowadzić do końca. Yedenie, twoi ludzie kryją się w lasach i górach, planują, jak pewnego dnia powstaną i poprowadzą chwalebną wojnę przeciwko Ostatniemu Imperium. Nie wiecie jednak, jak przygotować porządny plan, a co dopiero wprowadzić go w życie.

Yeden spochmurniał.

– A ty nie wiesz, o czym mówisz.

– O? – Kelsier spojrzał na niego. – Powiedz, czego dokonała rebelia przez tysiąc lat walki? Jakie odnieśliście sukcesy i zwycięstwa? Masakra Tougier trzysta lat temu, gdzie zabito ponad siedem tysięcy skaa? Od czasu do czasu napaść na barkę lub porwanie drobnego szlachetki na miernym stanowisku?

Yeden spąsowiał.

– Nie potrafimy osiągnąć więcej z takimi ludźmi! Nie oskarżaj moich ludzi o te błędy, lecz całą resztę skaa. Nie możemy ich przymusić do pomocy. Przez całe tysiąclecie byli uciskani, teraz nie zostało w nich ani trochę ducha. Trudno jest zmusić jednego na tysiąc, aby nas słuchał, a co dopiero się zbuntował!

– Spokojnie, Yedenie – odrzekł Kelsier, unosząc dłoń. – Nie chcę zaniżać twojej odwagi. Jesteśmy po tej samej stronie, pamiętasz? Przyszedłeś do mnie specjalnie dlatego, że rekrutowałeś ludzi do swojej armii.

– Żałuję tej decyzji z każdą chwilą coraz bardziej, złodzieju – odparł Yeden.

– Już nam zapłaciłeś – odparł Kelsier. – Chyba trochę za późno się wycofywać. Ale my ci zdobędziemy armię, Yedenie. Ludzie w tym pokoju są najzręczniejszymi, najsprytniejszymi i najlepiej wykształconymi allomantami w mieście. Zobaczysz.

W sali znów zapadła cisza. Vin siedziała przy stole, ze zmarszczonymi brwiami obserwując wymianę zdań. W co ty grasz, Kelsier? Jego słowa dotyczące obalenia Ostatniego Imperium były tylko pretekstem. Wydawało się raczej, że zamierza wystrychnąć na dudka rebeliantów skaa. Ale... skoro mu już zapłacono, po co kontynuować szaradę?

Kelsier odwrócił się od Yedena i spojrzał na Breeze’a i Hama.

– Dobrze, panowie. Co sądzicie?

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Wreszcie odezwał się Breeze.

– Sam Ostatni Imperator wie, że nigdy nie odrzucałem wyzwania. Ale, Kellu, tym razem kwestionuję twoje rozumowanie. Jesteś pewien, że damy radę?

– Całkowicie – odparł Kelsier. – Poprzednie próby obalenia Ostatniego Imperatora nie przyniosły skutku, ponieważ brakowało im właściwej organizacji i planowania. Jesteśmy złodziejami, panowie, i to wyjątkowo dobrymi. Możemy obrabować tych, których obrabować się nie da, i wystrychnąć na dudka najsprytniejszych. Wiemy, jak się podjąć niewyobrażalnie wielkiego zadania i podzielić je na małe, proste części, a potem wykonać każdą po kolei. Wiemy, jak osiągnąć to, czego chcemy. A to czyni nas doskonałymi kandydatami do tego zadania.

Breeze zmarszczył brwi.

– A... ile dostaniemy za dokonanie niemożliwego?

– Trzydzieści tysięcy skrzyńców – odparł Yeden. – Połowę teraz, połowę, kiedy zbierzecie armię.

– Trzydzieści tysięcy?! – zawołał Ham. – Za takie wielkie zadanie? Przecież to ledwo pokryje wydatki. Potrzebujemy szpiega, który wśród szlachty pilnowałby plotek, kilka dobrych kryjówek, nie wspomnę już o miejscu dość dużym, aby ukryć i przeszkolić całą armię...

– Teraz już nie możesz się targować, złodziejaszku – warknął Yeden. – Trzydzieści tysięcy może nie wydawać się dużą sumą, ale to owoc dziesięcioleci oszczędności z naszej strony. Nie możemy zapłacić więcej, ponieważ więcej nie mamy.

– To dobra robota, panowie – zauważył Dockson, po raz pierwszy włączając się do rozmowy.

– No cóż, to wspaniale – odparł Breeze. – Uważam się za bardzo miłego człowieka, ale... to wydaje się odrobinę zbyt altruistyczne. Nie mówiąc już o tym, że głupie.

– Hmm – wtrącił Kelsier – dla nas może być tam coś jeszcze...

Vin uniosła głowę, a Breeze się uśmiechnął.

– Skarbiec Ostatniego Imperatora – wyjaśnił Kelsier. – Plan w obecnej sytuacji dotyczy dostarczenia Yedenowi armii i możliwości opanowania miasta. Kiedy zajmie pałac, zdobędzie skarbiec i wykorzysta jego zasoby, by się umocnić. A w samym środku tego skarbca...

– Znajduje się atium Ostatniego Imperatora – uzupełnił Breeze.

Kelsier skinął głową.

– Nasza umowa z Yedenem opiewa na połowę zasobów atium, jakie znajdziemy w pałacu, nieważne, ile tego będzie.

Atium. Vin słyszała o tym metalu, ale nigdy go nie widziała. Podobno był niezwykle rzadki, używany wyłącznie przez szlachetnie urodzonych.

Ham się uśmiechał.

– No cóż – rzekł. – To zdobycz, która prawie może skusić.

– Podobno zapasy atium są ogromne.

– Ostatni Imperator sprzedaje ten metal w małych ilościach, żądając od szlachty niewyobrażalnych sum. Musi trzymać duże zasoby, żeby zapewnić sobie kontrolę rynku i wystarczające sumy na wypadek problemów.

– Prawda... – mruknął Breeze. – Ale czy jesteś pewien, że chcesz spróbować czegoś takiego wkrótce po... po tym, co się stało ostatnio, kiedy próbowaliśmy wejść do pałacu?

– Tym razem wszystko zorganizujemy inaczej – odparł Kelsier. – Panowie, to nie będzie łatwe zadanie, ale powinno się udać. Plan jest prosty. Znajdziemy sposób, aby zneutralizować Garnizon Luthadelu, co pozostawi teren bez sił policyjnych. A wtedy rozpętamy tu chaos.

– A mamy parę możliwości, jak tego dokonać – wtrącił Dockson. – O tym jednak możemy pomówić później.

Kelsier skinął głową.

– A potem w tym chaosie Yeden wraz ze swoją armią wkroczy do miasta i opanuje pałac, biorąc w niewolę Ostatniego Imperatora. Podczas, gdy Yeden będzie zabezpieczał miasto, my się zajmiemy atium. Damy mu połowę, a potem znikniemy z drugą. A potem jego zadanie będzie polegało na utrzymaniu wszystkiego, co zagarnął.

– To brzmi dość niebezpiecznie dla ciebie, Yedenie – zauważył Ham, spoglądając na przywódcę rebeliantów.

Ten wzruszył ramionami.

– Możliwe. Ale jeśli jakimś cudem uda nam się przejąć kontrolę nad pałacem, przynajmniej dokonamy czegoś, czego wcześniej nie udało się nigdy osiągnąć rebelii skaa. Dla moich ludzi to nie tylko kwestia bogactw – nawet nie przeżycia. Chodzi o dokonanie czegoś wielkiego, czegoś cudownego, żeby dać skaa nadzieję. Ale nie oczekuję, że tacy ludzie jak wy to zrozumieją.

Kelsier spojrzał z naganą w oczach na Yedena, który pociągnął nosem i usiadł. Ciekawe, czy użył allomancji,zastanawiała się Vin. Widziała już wcześniej relacje pracodawca-szajka i teraz wydało jej się, że to Yeden siedzi w kieszeni Kelsiera, a nie odwrotnie.

Kelsier spojrzał na Hama i Breeze'a.

– W tym jest coś więcej niż zwykły pokaz odwagi. Jeśli zdołamy ukraść to atium, będzie to ciężki cios dla finansowych podstaw władzy Ostatniego Imperatora. On istnieje głównie dzięki pieniądzom, jakie ma ze sprzedaży atium. Bez nich najprawdopodobniej nie będzie miał czym opłacać swoich wojsk. Nawet jeśli umknie z naszej pułapki... albo, jeśli po jego ucieczce zdecydujemy, żeby opanować miasto i mieć z nim jak najmniej do czynienia, będzie zrujnowany finansowo. Nie zdoła zebrać armii, żeby odebrać miasto Yedenowi. Jeśli to się uda, w mieście i tak zapanuje chaos, a szlachta będzie zbyt słaba, by stawić opór siłom rebelii. Ostatni Imperator zostanie sam, bez środków do zebrania wojsk.

– A kolosy? – zapytał cicho Ham.

Kelsier się zawahał.

– Jeśli wprowadzi te stwory do własnej stolicy, zniszczenie, jakie spowodują, będzie jeszcze bardziej niebezpieczne niż niestabilność finansowa. W chaosie prowincjonalna szlachta zbuntuje się i obwoła królami, a Ostatni Imperator nie będzie miał wojska, by przywołać ich do porządku. Buntownicy Yedena utrzymają Luthadel, a my, przyjaciele, będziemy bardzo, bardzo bogaci. Wszyscy dostaną to, czego pragną.

– Zapominasz o Stalowym Zakonie – warknął siedzący na uboczu Clubs. Prawie zapomniano o jego obecności. – Ci Inkwizytorzy nie pozwolą, by ich śliczna teokracja popadła w chaos.

Kelsier urwał i spojrzał na sękatego mężczyznę.

– Będziemy musieli znaleźć sposób na Stalowy Zakon. Mam nawet pewne plany. W każdym razie my, jako grupa, musimy zajmować się właśnie takimi problemami i rozwiązywać je. Musimy pozbyć się Garnizonu z Luthadelu. Niczego nie zdziałamy, dopóki oni patrolują ulice. Musimy znaleźć sposób, by w mieście zapanował chaos, a potem nie dopuścić, by obligatorzy trafili na nasz ślad. Jeśli jednak wszystko dobrze zaplanujemy, może będziemy w stanie zmusić Ostatniego Imperatora, by wysłał straż pałacową – może nawet Inkwizytorów – do miasta, żeby przywrócili porządek. To pozostawi pałac bez opieki, a Yeden zyska

doskonałą sposobność, żeby uderzyć. A potem to już wszystko jedno, co się stanie z Zakonem czy garnizonem – Ostatni Imperator nie będzie miał za co utrzymać kontroli nad swoim imperium.

– Nie wiem, Kell – wtrącił Breeze, kręcąc głową. Wydawał się dziwnie przygaszony, jakby analizował plan zgodnie z własnym sumieniem. – Ostatni Imperator skądś bierze to atium. A jeśli wybierze się do kopalni i wykopie nowe zapasy?

Ham skinął głową.

– Nikt nie wie, gdzie jest kopalnia atium.

– Nie powiedziałbym, że nikt – odparł z uśmiechem Kelsier.

Breze i Ham wymienili spojrzenia.

– Ty wiesz? – zapytał Ham.

– Oczywiście – odparł Kelsier. – Pracując tam, straciłem rok życia.

– Czeluście?! – zawołał zaskoczony Ham.

Kelsier skinął głową.

– Dlatego właśnie Ostatni Imperator robi wszystko, żeby nikt nie wyszedł stamtąd żywy... nie może dopuścić, by jego tajemnica ujrzała światło dzienne. To nie jest kolonia karna, nie piekielne miejsce, gdzie skaa są wysyłani na śmierć. To kopalnia.

– Oczywiście... – mruknął Breeze.

Kelsier wyprostował się i wstał, odszedł od baru, kierując się w stronę stolika Hama i Breeze’a.

– Mamy szansę, panowie. Szansę, by dokonać czegoś wielkiego, czego nie dokonała żadna inna złodziejska szajka. Ograbimy samego Ostatniego Imperatora! Jest jeszcze coś. Czeluście omal mnie nie zabiły, a od czasu, kiedy uciekłem, pewne sprawy widzę... inaczej. Widzę skaa, pracujących bez nadziei. Widzę bandy złodziei, starających się przeżyć na resztkach z pańskich stołów, nieraz ginąc albo wciągając w to innych. Widzę rebelię skaa, która usiłuje stawiać opór Ostatniemu Imperatorowi i jak dotąd bezskutecznie. Rebelia ponosi klęskę, bo jest zbyt trudna w prowadzeniu, zbyt rozproszona. Za każdym razem, kiedy jeden z wielu kawałków nabiera rozpędu, Stalowy Zakon go miażdży. To nie sposób na pokonanie Ostatniego Imperium, panowie. Ale niewielka grupa – wyspecjalizowana i bardzo zręczna – może coś zdziałać. Możemy pracować swobodnie, bez większego ryzyka ujawnienia. Wiemy, jak unikać macek Stalowego

Zakonu. Wiemy, jak myśli wysoko urodzona szlachta i jak to wykorzystać. Możemy to zrobić!

Urwał i zatrzymał się przed stołem Hama i Breeze’a.

– Nie wiem, Kell – mruknął Ham. – Nie chodzi o to, że się nie zgadzam z twoimi motywami. Po prostu... cóż, wydaje mi się to nieco szalone.

Kelsier się uśmiechnął.

– Wiem, że tak jest. Ale idziesz z nami, prawda?

Ham zawahał się, po czym skinął głową.

– Wiesz, że dołączę do was, niezależnie od tego, jakie to zadanie. To brzmi jak szaleństwo, ale tak jest ze wszystkimi twoimi planami. Tylko... tylko powiedz mi jedno. Mówisz poważnie, że chcesz obalić Ostatniego Imperatora?

Kelsier skinął głową. Vin była prawie gotowa mu uwierzyć.

– Dobrze zatem, wchodzę – rzekł Ham.

– Breeze? – zapytał Kelsier.

Elegancko ubrany mężczyzna pokręcił głową.

– Sam nie wiem, Kell. To naprawdę szalone, nawet jak na ciebie.

– Potrzebujemy cię, Breeze – rzekł Kell. – Nikt tak nie umie Uspokoić tłumu jak ty. Jeśli mamy stworzyć armię, potrzebujemy wszystkich Allomantów... i waszych mocy.

– Cóż, to prawda – zgodził się Breeze. – Ale i tak...

Kelsier uśmiechnął się, po czym postawił na stole kubek z winem, który Vin nalała dla Breeze’a. Nawet nie zauważyła, kiedy wziął go z baru.

– Pomyśl o tym wyzwaniu, Breeze – rzekł Kelsier.

Breeze spojrzał na kubek, potem podniósł wzrok na Kelsiera. Wreszcie zaśmiał się i sięgnął po wino.

– Dobrze, wchodzę.

– To niemożliwe – rozległ się nagle naburmuszony głos z głębi sali. Clubs siedział z założonymi rękami i przyglądał się Kelsierowi z grymasem na twarzy. – A co naprawdę planujesz, Kelsier?

– Jestem uczciwy – odrzekł Kelsier. – Planuję przejąć atium Ostatniego Imperatora i obalić jego imperium.

– Nie możesz – odparł tamten. – To idiotyzm. Inkwizytorzy powieszą nas na hakach za gardła.

– Możliwe – odrzekł Kelsier. – Ale pomyśl o nagrodzie, jeśli nam się uda. Bogactwo, potęga i ziemia, gdzie skaa mogą żyć jak ludzie, a nie jak

niewolnicy.

Clubs prychnął głośno. Wstał gwałtownie, aż jego krzesło przewróciło się na podłogę.

– Żadna nagroda nie wystarczy. Ostatni Imperator próbował cię zabić raz... widzę, że nie spoczniesz, dopóki nie dasz mu szansy zrobić tego porządnie. – Z tymi słowy starszy człowiek odwrócił się i kuśtykając, opuścił salę. Zatrzasnął za sobą drzwi.

W sali zapadła cisza.

– Cóż, chyba potrzebny nam będzie inny Dymiarz – zauważył Dockson.

– Pozwolicie mu tak odejść?! – zawołał Yeden. – On wie o wszystkim.

Breeze zachichotał.

– Czy to nie ty miałeś być tym szczytem moralności naszej grupy?

– Moralność nie ma z tym nic wspólnego – odparł Yeden. – Przecież wypuszczanie kogoś w ten sposób to głupota! Może na nas sprowadzić obligatorów w ciągu kilku minut.

Vin skinęła głową, ale Kelsier zaprzeczył.

– Ja tak nie pracuję, Yedenie. Zaprosiłem Clubsa na spotkanie i przedstawiłem niebezpieczny plan – taki, który niektórzy ludzie nazwaliby głupim. Nie zamierzam go zamordować tylko dlatego, że uznał go za zbyt niebezpieczny. Jeśli zaczniesz robić takie rzeczy, w końcu przestaną w ogóle z tobą rozmawiać.

– Poza tym – dodał Dockson – nie zaprosilibyśmy na nasze spotkanie kogoś, komu nie zaufalibyśmy, że nas nie zdradzi.

Niemożliwe, pomyślała Vin, marszcząc czoło. Musi blefować, żeby zachować morale wśród grupy, przecież nikt nie jest aż taki naiwny. W końcu czy ktoś nie wspominał, że porażka Kelsiera kilka lat temu – wydarzenie, które posłało go do Czeluści Hathsin – była spowodowana zdradą? Prawdopodobnie w tej właśnie chwili za Clubsem podążają mordercy i obserwują, czy nie wybiera się zdradzić spisku.

– Dobrze, Yeden – rzekł Kelsier, wracając do sprawy. – Zaakceptowali. Plan wchodzi w życie. Czy nadal w to wchodzisz?

– A czy oddasz rebelii pieniądze, jeśli powiem: nie? – zapytał Yeden.

Jedyną odpowiedzią był cichy chichot Hama. Twarz Yedena pociemniała, ale tylko pokręcił głową.

– Gdybym miał inną opcję...

– Och, przestań się skarżyć – odrzekł Kelsier. – Oficjalnie jesteś teraz członkiem szajki złodziejskiej, więc równie dobrze możesz tu podejść i usiąść z nami.

Yeden zawahał się, po czym westchnął i podszedł. Usiadł przy stole Breeze'a, Hama i Docksona, obok którego stał Kelsier. Vin wciąż siedziała przy drugim stole.

Kelsier obejrzał się na nią.

– A co z tobą, Vin?

Zawahała się. Dlaczego on mnie pyta? Przecież wie, że ma nade mną władzę. Zadanie nie ma znaczenia, jeśli dowiem się tego, co on wie.

Kelsier czekał spokojnie.

– Wchodzę – rzekła, uznając, że to właśnie chce od niej usłyszeć.

Chyba odgadła prawidłowo, bo Kelsier uśmiechnął się i skinieniem głowy wskazał jej ostatnie krzesło przy stole.

Westchnęła, ale posłusznie wstała i podeszła do miejsca.

– Co to za dzieciak? – zapytał Yeden.

– Twixt – odparł Breeze.

Kelsier uniósł brew.

– Właściwie Vin jest czymś w rodzaju nowego rekruta. Mój brat przyłapał ją na Uspokajaniu jego emocji kilka miesięcy temu.

– Uspokajaczka, co? – mruknął Ham. – Zawsze nam się przyda jeszcze jedna.

– Jeśli o to chodzi – zauważył Kelsier – doskonale potrafi również Mącić ludzkie uczucia.

Breeze podskoczył.

– Poważnie? – zapytał Ham.

Kelsier skinął głową.

– Dox i ja przetestowaliśmy ją parę godzin temu.

Breeze zachichotał.

– A ja jej właśnie mówiłem, że prawdopodobnie nigdy nie zobaczy innego Zrodzonego z Mgły poza tobą.

– Drugi Zrodzony z Mgły w grupie... – mruknął z uznaniem Ham. – Cóż, ona w pewnym stopniu zwiększa nasze szanse.

– Co mówisz? – prychnął Yeden. – Skaa nie mogą być Zrodzonymi z Mgły. Nie jestem pewien, czy Zrodzeni z Mgły w ogóle istnieją! Z pewnością nikogo takiego nigdy nie poznałem.

Breeze uniósł brew i położył dłoń na ramieniu Yedena.

– Powinieneś nieco mniej mówić, przyjacielu – zasugerował. – W ten sposób nie będziesz wydawał się taki głupi.

Yeden strząsnął dłoń Breeze'a, a Ham parsknął śmiechem. Vin siedziała cicho, rozważając implikacje tego, co powiedział Kelsier. Ta część o kradzieży zapasów atium wydawała się kusząca, ale czy po to trzeba opanowywać całe miasto? Czy ci ludzie byli naprawdę tak nierozsądni?

Kelsier przyciągnął krzesło i usiadł, kładąc ręce na oparciu.

– Dobrze – rzekł – mamy już grupę. Szczegóły zaplanujemy na następnym spotkaniu, ale chcę, żebyście wszyscy sobie to przemyśleli. Mam pewne plany, lecz chciałbym, aby świeże umysły wszystko przemyślały. Musimy wymyślić sposób, aby wywabić garnizon Luthadelu z miasta i coś, co rozpętałoby w mieście taki chaos, żeby Wielkie Rody nie były w stanie zmobilizować sił do zatrzymania armii Yedena, kiedy zaatakuje.

Wszyscy członkowie grupy, z wyjątkiem Yedena, przytaknęli.

– Jednak, zanim wieczór się skończy – ciągnął Kelsier – jest jedna część planu, co do której muszę was ostrzec.

– Jeszcze jedna? – Breeze zachichotał. – Czy kradzież fortuny Ostatniego Imperatora i obalenie imperium nie wystarczy?

– Nie – odparł Kelsier. – Jeśli zdołam, to go jeszcze zabiję.

Milczenie.

– Kelsier – odezwał się Ham. – Ostatni Imperator jest Skrawkiem Nieskończoności. Jest kawałkiem samego Boga. Nie można go zabić. Nawet pojmanie go prawdopodobnie jest niemożliwe.

Kelsier nie odpowiedział. Jego spojrzenie jednak było pełne determinacji.

Właśnie, pomyślała Vin. Jest szalony.

– Ostatni Imperator i ja – rzekł cicho Kelsier – mamy niezałatwione porachunki. Zabrał mi Mare, omal nie odebrał mi zmysłów. Przyznaję, że mój udział w tej akcji w znacznej mierze jest spowodowany chęcią zemsty. Odbierzemy mu rząd, dom i fortunę. Jednakże, by to się udało, musimy się go pozbyć. Mogę zamknąć go w jego własnych lochach... a co najmniej wywabić go z miasta. Jednak myślę, że jest inne wyjście niż te dwie opcje. Tam, w czeluściach, do których mnie zesłał, załamałem się i doszedłem do

przebudzenia moich allomanckich mocy. Teraz zamierzam ich użyć, aby go zabić.

Kelsier sięgnął do kieszeni i wyjął coś. Postawił to na stole.

– Na północy opowiadają taką legendę – rzekł. – O tym, że Ostatni Imperator nie jest nieśmiertelny, nie do końca. Powiadają, że może go zabić właściwy metal. Jedenasty metal. Ten metal.

Wszystkie oczy zwróciły się na przedmiot na stole. Była to wąska sztabka metalu, długości i grubości małego palca Vin, o gładkich bokach. Jego barwa była srebrzystobiała.

– Jedenasty metal? – mruknął Breeze. – Nie słyszałem o tej legendzie.

– Ostatni Imperator ją stłumił – odrzekł Kelsier. – Ale wciąż można ją znaleźć, jeśli wie się, gdzie szukać. Teoria allomancji mówi o dziesięciu metalach, ośmiu podstawowych i dwóch wysokich. Jednak jest jeszcze jeden, nieznany większości. Jeden, który jest potężniejszy niż dziesięć pozostałych.

Breeze zmarszczył czoło.

Yeden jednak wydawał się zaintrygowany.

– I ten metal jakoś może zabić Ostatniego Imperatora?

Kelsier skinął głową.

– To jego słaby punkt. Stalowy Zakon chciałby, żebyś wierzył w jego nieśmiertelność, ale nawet on może zginąć... z rąk allomanty spalającego ten metal.

Ham wziął cienką sztabkę w palce.

– Skąd to masz?

– Z północy – rzekł Kelsier. – Z ziemi w okolicy Dalekiego Półwyspu, miejsca gdzie ludzie wciąż pamiętają, jak nazywało się ich dawne królestwo, w czasach przed Wstąpieniem.

– Jak to działa? – zapytał Breeze.

– Nie jestem pewien – odparł Kelsier. – Ale zamierzam się dowiedzieć.

Ham obracał w palcach metal barwy porcelany, przyglądając mu się uważnie.

Zabić Ostatniego Imperatora? – pomyślała Vin. Ostatni Imperator był siłą, jak wiatr lub mgły. Nie zabija się takich istot. One przecież tak naprawdę nie żyją. Po prostu są.

– Nieważne – rzekł Kelsier, biorąc sztabkę z rąk Hama. – Nie musicie się teraz o to martwić. Zabicie Ostatniego Imperatora to moje zadanie. Jeśli to

się okaże niemożliwe, wystarczy nam wywabienie go z miasta, a potem w głupi sposób go obrobimy. Po prostu pomyślałem, że powinniście wiedzieć, co planuję.

Chyba związałam się z szaleńcem, pomyślała Vin z rezygnacją. Ale to przecież nie miało znaczenia... o ile nauczy ją allomancji.

Nie rozumiem nawet, co powinienem zrobić. Terrisańscy filozofowie twierdzą, że dowiem się, co mam zrobić, kiedy nadejdzie czas, ale to niewielka pociecha.

Głębia musi zostać zniszczona i wygląda na to, że jestem jedynym, który może to zrobić. Już teraz rujnuje świat. Jeśli nie zatrzymam jej czym prędzej, nic nie zostanie na tej ziemi prócz kości i pyłu.

5

– Aha! – Tryumfująca twarz Kelsiera wychynęła spod baru Camona. Oczy błyszczały mu satysfakcją. Z łomotem postawił na kontuarze zakurzoną butelkę wina.

Dockson spojrzał na niego z rozbawieniem.

– Gdzieś ty ją znalazł?

– Jedna z sekretnych szuflad – odparł Kelsier, ścierając kurz.

– Myślałem, że znalazłem już wszystkie – zauważył tamten.

– Owszem. Ale jedna miała podwójne dno.

Dockson zachichotał.

– Sprytne.

Kelsier skinął głową, odkorkował butelkę i nalał do trzech szklanic.

– Cała sztuka polega na tym, żeby nigdy nie przestawać szukać. – Zaniósł wszystkie trzy szklanki do stołu, przy którym siedzieli Vin i Dockson.

Vin niepewnie wzięła szklankę do ręki. Spotkanie skończyło się kilka minut wcześniej. Breeze, Ham i Yeden wyszli, by przemyśleć sobie to, co powiedział im Kelsier. Vin czuła, że też powinna była odejść, ale nie miała dokąd. Dockson i Kelsier z kolei uznali za oczywiste, że powinna z nimi zostać.

Kelsier pociągnął długi łyk rubinowego wina i uśmiechnął się.

– O, tak jest o wiele lepiej.

Dockson skinął głową, ale Vin nie spróbowała trunku.

– Będziemy potrzebowali innego Dymiarza – zauważył Dox.

Kelsier przytaknął.

– Inni jednak zdaje się nieźle to przyjęli.

– Breeze wciąż jest niepewny.

– Nie wycofa się. Lubi wyzwania, a nigdy nie znajdzie większego niż to. – Kelsier uśmiechnął się. – Poza tym chybaby zwariował, gdyby miał świadomość, że coś robimy bez niego.

– Ale ma rację, że żywi pewne obawy – zgodził się Dockson. – Sam się trochę martwię.

Kelsier przytaknął i Vin zmarszczyła brwi. Więc oni poważnie myślą o tym planie? A może wciąż coś grają na mój użytek? Obaj mężczyźni wydawali się tacy kompetentni. Ale obalenie Ostatniego Imperium? Szybciej chyba powstrzymają płynące mgły lub wstające słońce.

– Kiedy przybędą tu pozostali przyjaciele? – zapytał Dockson.

– Za kilka dni – odparł Kelsier. – Będziemy wtedy potrzebować innego Dymiarza. No i będzie mi potrzeba trochę więcej atium.

Dockson zmarszczył brwi.

– Już?

Kelsier przytaknął.

– Większość zużyłem, wykupując kontrakt OreSeura, a ostatki na plantacji Trestinga.

Tresting. Szlachcic, który w zeszłym tygodniu został zamordowany we własnym domu. A co Kelsier miał z tym wspólnego? I co wcześniej

powiedział na temat atium? Mówił, że Ostatni Imperator kontrolował szlachtę, utrzymując monopol na ten metal.

Dockson poskrobał się po zarośniętym policzku.

– Atium nie jest takie łatwe do zdobycia, Kell. Ostatnio potrzebowałeś ośmiu miesięcy planowania, żeby skraść sobie ten ostatni kawałek.

– Dlatego że chciałeś być delikatny – odparł Kelsier.

Dockson zmierzył go spojrzeniem pełnym obawy. Kelsier tylko uśmiechnął się szerzej i wreszcie Dockson wywrócił oczami z westchnieniem. Potem spojrzał na Vin.

– Nie spróbowałaś wina.

Pokręciła głową.

Po chwili pomyślała, że powinna coś odpowiedzieć:

– Nie lubię pić niczego, czego sama nie przygotowywałam.

Kelsier zachichotał.

– Przypomina mi Venta.

– Venta? – prychnął Dockson. – Dziewczyna ma lekką paranoję, ale nie aż taką. Przysięgam, ten facet był tak nerwowy, że mógł wyskoczyć ze skóry na odgłos bicia własnego serca.

Obaj mężczyźni parsknęli śmiechem. Vin jednak poczuła się tylko bardziej zakłopotana ich przyjaznym zachowaniem. Czego ode mnie oczekują? Że mam być jakimś czeladnikiem, czy coś?

– No dobrze – zagaił Dockson. – Może zatem powiesz mi, jak planujesz zdobyć sobie trochę atium?

Kelsier otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale na schodach rozległy się nagle kroki. Ktoś schodził do kryjówki. Dickson i Kelsier obejrzeli się. Vin, oczywiście usadowiła się tak, żeby mieć na oku oba wejścia do sali, nie musząc się poruszać.

Vin spodziewała się, że przybysz okaże się jednym z członków gangu Camona, wysłanego, by sprawdzić, czy Kelsier opuścił już kryjówkę. Dlatego była bardzo zaskoczona, kiedy drzwi otwarły się i pojawiło się w nich kwaśne, sękate oblicze człowieka zwanego Clubsem.

Kelsier uśmiechnął się z błyskiem w oku.

Nie jest zaskoczony. Zadowolony, ale nie zaskoczony, pomyślała.

– Clubs – rzekł przywódca.

Clubs stał w drzwiach, obrzucając pozostałych spojrzeniem pełnym dezaprobaty. Wreszcie pokuśtykał w kierunku baru. Za nim szedł chudy,

niezgrabnie wyglądający chłopak.

Podał Clubsowi krzesło i przystawił do stołu Kelsiera. Clubs usiadł ciężko, mamrocząc coś pod nosem. Wreszcie spojrzał na Kelsiera, mrużąc powieki i marszcząc nos.

– Uspokajacz sobie poszedł?

– Breeze? – zapytał Kelsier. – Tak, poszedł.

Clubs stęknął i spojrzał zezem na butelkę wina.

– Częstuj się – rzekł Kelsier.

Clubs skinął na chłopaka, który poszedł natychmiast do baru po szklankę, po czym spojrzał znów na Kelsiera.

– Musiałem być pewien – rzekł. – Nigdy sobie nie ufam, kiedy w okolicy jest Uspokajacz, zwłaszcza taki jak on.

– Jesteś Dymiarzem, Clubs – zauważył Kelsier. – Nie mógł ci wiele zrobić.

Clubs wzruszył ramionami.

– Nie lubię Uspokajaczy. To nie jest tylko allomancja... tacy ludzie... nie możesz im ufać, że właśnie tobą nie manipulują, kiedy są w pobliżu. Miedź czy nie miedź.

– Nie polegałbym na czymś takim, aby zdobyć sobie twoją lojalność – zaoponował Kelsier.

– Tak słyszałem – rzekł Clubs. Chłopak nalał mu wina. – Ale musiałem być pewien. Musiałem przemyśleć to sobie bez Breeze’a. – Skrzywił się, choć Vin nie bardzo wiedziała dlaczego, po czym wziął szklankę i łyknął połowę jej zawartości.

– Dobre wino – mruknął. Znów spojrzał na Kelsiera. – Więc Czeluście naprawdę doprowadziły cię do obłędu, hę?

– Tak – odparł śmiertelnie poważnie Kelsier.

Clubs uśmiechnął się.

– Chcesz to naprawdę przeprowadzić? Tę tak zwaną robotę.

Kelsier skinął głową.

Clubs wypił resztkę wina.

– No to masz Dymiarza. Nie za pieniądze. Jeśli mówisz poważnie o obaleniu rządu, to ja w to wchodzę.

Kelsier się uśmiechnął.

– I nie uśmiechaj się do mnie – warknął Clubs. – Nienawidzę tego.

– Gdzieżbym śmiał.

– Dobra. – Dockson dolał sobie wina. – To rozwiązuje kwestię Dymiarza.

– I tak nic to nie da – odparł Clubs. – Przegracie. Całe moje życie ukrywałem Mglistych przed Ostatnim Imperatorem i jego obligatorami. W końcu ich wyłapał.

– Więc po co chcesz nam pomagać? – zapytał Dockson.

– Po prostu chcę – odparł tamten, wstając. – Imperator dopadnie mnie wcześniej czy później. Przynajmniej będę mógł napluć mu w twarz, zanim odejdę. Obalenie ostatniego Imperium... – Uśmiechnął się. – To ma swój styl. Idziemy, mały. Musimy przygotować warsztat dla gości.

Vin obserwowała, jak odchodzą. Clubs, kulejąc, wyszedł za próg, chłopak zamknął za nim drzwi. Dopiero wtedy spojrzała na Kelsiera.

– Wiedziałeś, że on wróci.

Wzruszył ramionami, wstał i się przeciągnął.

– Miałem na to nadzieję. Ludzi przyciąga wizjonerstwo. To, co proponuję... cóż, nie jest to coś, od czego by się chciało wymigać... nie wtedy, kiedy jest się znudzonym staruszkiem, którego życie ogólnie irytuje. A teraz, Vin, przypuszczam, że twoja szajka zajmuje cały budynek?

– Tak. – Kiwnęła głową. – Sklep na górze to przykrywka.

– Dobrze – rzekł Kelsier, sprawdzając swój zegarek kieszonkowy, po czym podał go Docksonowi. – Powiedz swoim przyjaciołom, że mogą dostać kryjówkę z powrotem. Mgły już chyba wychodzą.

– A my? – zapytał Dockson.

– A my na dach. Tak jak powiedziałem, potrzebuję trochę atium.

***

Za dnia Luthadel był poczerniałym miastem, zżartym przez sadzę i czerwone światło słoneczne. Było twarde, charakterystyczne i przytłaczające.

W nocy jednak nadchodziły mgły, łagodząc kontury i wiele ukrywając. Potężne twierdze arystokracji stawały się upiornymi, majaczącymi w górze cieniami. Ulice były we mgle węższe, nawet duże deptaki wyglądały jak samotne, niebezpieczne zaułki. Nawet szlachta i złodzieje niechętnie i lękliwie opuszczali domy w nocy – trzeba było odwagi, by zanurzyć się

w tę złowieszczą, mglistą ciszę. Czarne miasto nocą było miejscem dla desperatów i szaleńców, to była kraina wirującej tajemnicy i dziwnych istot.

Dziwnych istot, takich jak ja, pomyślał Kelsier. Stał na gzymsie, który prowadził wzdłuż krawędzi płaskiego dachu kryjówki. Pogrążone w mroku budynki wznosiły się w noc wokół niego, a mgły sprawiały, że wszystko się poruszało i falowało. Z niektórych okien padały słabe promyki światła, ale te maleńkie paciorki jasności były skulonymi, przerażonymi stworzonkami.

Po dachu przetoczył się podmuch zimnego wiatru, unosząc mgły, ocierając się o wilgotny od rosy policzek Kelsiera. Dawniej – zanim jeszcze wszystko poszło nie tak – zawsze przed zadaniem wychodził na dach, próbując spojrzeć na miasto. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że tej nocy wrócił do tego starego zwyczaju, dopóki nie spojrzał w bok, spodziewając się, że jak zwykle zobaczy tam Mare.

Zamiast niej ujrzał jednak tylko mgłę. Pustkę. Milczenie. Mgła zajęła jej miejsce. Nieudolnie.

Westchnął i się odwrócił. Vin i Dockson stali za nim na dachu. Oboje wydawali się zaniepokojeni, że stoją we mgle, ale jakoś radzili sobie z lękiem. W podziemiu nie zajdzie się daleko, jeśli nie nauczy się tolerować mgły.

Kelsier nauczył się znacznie więcej, niż ją „tolerować”. Przebywał w niej w ciągu ostatnich lat tak często, że zaczynał lepiej czuć się w nocy, w maskujących objęciach mgieł, aniżeli w dzień.

– Kell – rzekł Dockson. – Musisz tak stać na gzymsie? Nasze plany są może nieco szalone, ale nie chciałbym, aby wraz z tobą rozbryznęły się na bruku.

Wciąż nie umie myśleć o mnie jako o Zrodzonym z Mgły, pomyślał Kelsier. Trzeba im wszystkim trochę czasu, by się do tego przyzwyczaili.

Wiele lat temu stał się najbardziej osławionym szefem szajki złodziejskiej w Luthadelu i dokonał tego nie będąc nawet allomantą. Mare była Cynowym Okiem, ale on i Dockson... byli zwykłymi ludźmi. Jeden mieszaniec bez mocy, drugi zbiegły skaa z plantacji. Razem rzucili na kolana Wysokie Rody, okradając najpotężniejszych ludzi w Ostatnim Imperium.

Teraz Kelsier był czymś więcej. O wiele więcej. Kiedyś śnił o Allomancji, marząc o mocy takiej, jaką miała Mare. Ona umarła, nim się

Załamał, nabierając mocy. Nigdy nie zobaczy, co Kelsier potrafi z nią zrobić.

Przedtem arystokracja bała się go. Trzeba było zasadzki zastawionej przez samego Ostatniego Imperatora, żeby go schwytać. Teraz... całe Ostatnie Imperium zadrży, zanim z nim skończy.

Jeszcze raz rozejrzał się po mieście, wdychając mgłę, po czym zeskoczył z gzymsu i dołączył do Docksona i Vin. Nie mieli ze sobą latarni – światło gwiazd rozproszone przez mgły zwykle wystarczyło.

Kelsier zdjął kaftan i kamizelkę i podał je Docksonowi, po czym wyciągnął ze spodni koszulę.

– Dobrze – rzekł. – Od kogo powinienem zacząć?

Dockson zmarszczył brwi.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? – Dockson westchnął. – Niedawno napadnięto na rody Urbain i Teniert, choć nie z powodu atium.

– Który z domów jest teraz najsilniejszy? – zapytał Kelsier, przykucając, aby rozwiązać sznurki plecaka, który spoczywał u stóp Docksona. – Kogo nikomu nie przyszłoby do głowy zaatakować?

Dockson się zamyślił.

– Venture – rzekł wreszcie. – Od kilku lat trzymają się na samym szczycie. Mają w gotowości kilkuset ludzi, a lokalna szlachta rodu obejmuje co najmniej dwa tuziny Mglistych.

Kelsier skinął głową.

– Doskonale, więc tam się wybiorę. Z pewnością mają atium. – Otwarł plecak, wyjął z niego ciemnoszary płaszcz, uszyty z setek długich, wstęgowatych pasków. Były przeszyte na ramionach i w poprzek piersi, ale większość zwisała luźno, jak nakładające się na siebie pióra.

Kiedy Kelsier go włożył, paski materiału zaczęły się kręcić i zwijać.

Dockson zaczerpnął tchu.

– Nigdy nie byłem tak blisko kogoś, kto to nosi...

– Co to jest? – zapytała Vin, a jej cichy, stłumiony przez mgłę głos, zabrzmiał niemal upiornie.

– Płaszcz Zrodzonego z Mgły – rzekł Dockson. – Wszyscy je noszą... To jest jak znak członkostwa w ich klubie.

– Jest tak pofarbowany i skrojony, by ukrywać postać we mgle – wyjaśnił Kelsier. – I ostrzega strażników miejskich i innych Zrodzonych,

aby noszącej go osobie dali spokój . – Okręcił się i płaszcz zafalował. – Chyba mi w nim do twarzy.

Dockson wywrócił oczyma.

– Dobrze. – Kelsier zaśmiał się, pochylając się, by wyjąć z plecaka pas z materiału. – Dom Venture. Czy jest coś jeszcze, co powinienem wiedzieć?

– Podobno lord Venture ma sejf w gabinecie – rzekł Dockson. – I tam zapewne trzyma swój zapas atium. Gabinet znajduje się na drugim piętrze, trzy pokoje w głąb od południowego balkonu. Uważaj. W domu Venture oprócz normalnych żołnierzy i Mglistych jest około tuzina mgłobójców.

Kelsier skinął głową i zawiązał pas – nie miał klamry, ale był wyposażony w dwie małe pochwy. Wyjął z worka dwa szklane sztylety, sprawdził, czy nie są wyszczerbione, i wsunął je do pochew. Zdjął buty i pończochy. Wraz z butami znikł ostatni kawałek metalu, jaki miał na sobie, z wyjątkiem sakiewki z monetami i trzech fiolek z metalami przy pasie. Wybrał największą, wychylił jej zawartość i podał Docksonowi pustą buteleczkę.

– To tyle? – zapytał.

Dockson skinął głową.

– Życzę szczęścia.

Zza jego ramienia Vin bacznie obserwowała przygotowania Kelsiera. Ta mała, cicha istota kryła w sobie siłę, którą uznał za imponującą. Była paranoiczką, to fakt, ale na pewno nie była nieśmiała.

Będziesz miała swoją szansę, mała, pomyślał. Ale nie dzisiaj.

– Dobrze – rzekł, wyciągając monetę z sakiewki i zrzucając ją z dachu budynku. – Spotkamy się w sklepie Clubsa za jakiś czas.

Dockson skinął głową.

Kelsier odwrócił się i wrócił na gzyms dachu. Skoczył w dół z budynku.

Palił stal, drugi z podstawowych allomanckich metali. Wokół niego tańczyła mgła i rozpostarła się sieć przejrzystych niebieskich linii, widocznych tylko dla jego oczu. Linie były bardzo blade – oznaczało to, że źródła, które wskazywały, były niewielkie: zawiasy, gwoździe, inne drobiazgi. Rodzaj metalu nie miał znaczenia. Palenie żelaza lub stali zawsze będzie wskazywać niebieskimi promieniami wszelkie rodzaje metalu, o ile są dość bliskie i duże, by je zauważyć.

Kelsier wybrał linię, która wskazywała wprost pod niego, w kierunku monety. Paląc stal, Odepchnął monetę.

Jego spadek zatrzymał się natychmiast, został wyrzucony w powietrze wzdłuż niebieskiej linii w przeciwnym kierunku. Sięgnął w bok, wybrał haczyk okna, obok którego przelatywał i Odepchnął się od niego, kierując się w bok. Ostrożne odbicie się przeniosło go w górę, ponad dachem budynku znajdującego się dokładnie po drugiej stronie ulicy, naprzeciw kryjówki Vin.

Wylądował, przycupnął, po czym pobiegł wzdłuż szczytu dachu. Zatrzymał się w ciemności po drugiej stronie, wbijając wzrok w wirujące powietrze. Palił cynę, czuł, jak eksploduje życiem w jego piersi, wyostrzając mu zmysły. Nagle mgła wydała się mniej gęsta. Nie, to nie noc wokół niego się rozjaśniła, lecz po prostu zwiększyła się jego zdolność postrzegania. W dali, ku północy, z trudem rozróżniał ogromną budowlę. Twierdza Venture.

Kelsier pozostawił cynę płonącą. Paliła się powoli, nie musiał się obawiać, że jej zabraknie. Stał tak, a mgły delikatnie otulały jego ciało. Wirowały i kręciły się, tworząc lekki, ledwie dostrzegalny prąd wokół niego. Znały go, traktowały jak swojego, wyczuwały allomancję.

Skoczył. Odpychając się od metalowego komina za plecami, wykonał długi poziomy skok. W locie rzucił kolejną monetę. Maleńki kawałek metalu poleciał w ciemność i mgłę. Odepchnął się od monety, nim ta uderzyła w ziemię, swoim ciężarem popchnął ją w dół, aż uderzyła o kamienie. Skoro tylko dotknęła bruku, Odpychanie Kelsiera wyniosło go w górę, zmieniając drugą połowę skoku w zgrabny łuk.

Wylądował na kolejnym spiczastym drewnianym dachu. Odpychanie Stali i Przyciąganie Żelaza były pierwszymi rzeczami, których nauczył go Gemmel. „Kiedy Odpychasz coś, to jakbyś napierał na to swoim ciężarem” mówił mu stary wariat. „Nie możesz zmienić tego, ile ważysz – jesteś allomantą, nie jakimś mistykiem z północy. Nie Przyciągaj nic, co waży mniej od ciebie, chyba że chcesz, aby przyleciało do ciebie jak kamień, i nie Odpychaj niczego cięższego od siebie, chyba że chcesz zostać popchnięty w przeciwnym kierunku”.

Kelsier podrapał blizny i otulił się ciasno mgielnym płaszczem. Przycupnął na dachu, słoje drewna wbijały się w bose palce stóp. Często żałował, że palenie cyny wzmacnia wszystkie jego zmysły... a przynajmniej nie musiało tego robić jednocześnie. Potrzebował lepszego wzroku, by widzieć w ciemności, umiał też dobrze wykorzystać lepszy słuch. Jednakże

płonąca cyna sprawiała, że noc wydawała się jeszcze zimniejsza, a stopy wyczuwały każdy kamyk i pofałdowanie drewna, którego dotykały.

Twierdza Venture wznosiła się przed nim. W porównaniu z mrocznym miastem wyglądała, jakby płonęła światłem. Arystokracja żyła inaczej niż zwykli ludzie – mogła sobie pozwolić na kupno, a nawet rozrzutne używanie oleju i świec, co oznaczało, że nie muszą uginać się pod kaprysami pory roku czy słońca.

Twierdza była majestatyczna – tyle było widać po architekturze. Wprawdzie otaczał ją wysoki mur obronny, lecz sama twierdza była bardziej konstrukcją artystyczną niż fortyfikacją. Z boków wystawały krzepkie przypory, pozostawiając miejsce dla misternych okien i delikatnych iglic. Lśniące witrażowe okna rozciągały się wzdłuż boków prostokątnego budynku, całe rozjarzone blaskiem oświetlały otaczające mgły feerią barw.

Kelsier palił żelazo, rozpalał mocno, by znaleźć w mroku większe jego fragmenty. Był za daleko, by używać tak małych przedmiotów jak monety czy zawiasy. Potrzebował lepszego zakotwienia, żeby przebyć tę odległość.

Większość błękitnych linii była blada. Kelsier zaznaczył kilka, poruszając się powoli w górę i przed siebie – pewnie była to para strażników stojących na dachu. Kelsier wyczuwał zapewne ich napierśniki i broń. Pomimo allomanckich rozważań, większość szlachty nadal zbroiła swoich żołnierzy w metal. Mgliści, którzy mogli Odpychać lub Przyciągać metale, byli nieliczni, a pełni Zrodzeni z Mgły jeszcze rzadsi. Wielu lordów uznało zatem za niepraktyczne pozostawianie żołnierzy i gwardii bezbronnych, aby ustrzec się tak niewielkiego zagrożenia.

Większość szlachciców miała inne sposoby, by się uporać z allomantami. Kelsier się uśmiechnął. Dockson powiedział, że lord Venture prowadził oddział mgłobójców: jeśli to prawda, spotka się z nimi jeszcze przed świtem. Na razie zignorował żołnierzy, koncentrując się na ciągłej linii błękitu wskazującej na wysmukły dach twierdzy. Widocznie była pokryta arkuszami brązu lub miedzi. Kelsier rozpalił żelazo, zaczerpnął głęboko tchu i Pociągnął linię.

Nagłym szarpnięciem wzniósł się w powietrze.

Nie przestawał palić żelaza, wciągając się w kierunku twierdzy z ogromną szybkością. Krążyły plotki, że Zrodzeni z Mgły umieją latać, ale była to wielka przesada. Odpychanie i Przyciąganie metali zazwyczaj mniej

przypominało latanie niż spadanie – tyle że w odwrotną stronę. Allomanta musiał Pociągać mocno, żeby uzyskać właściwy rozpęd, a to sprawiało, że leciał w kierunku swej kotwicy z oszałamiającą szybkością.

Kelsier wystrzelił w kierunku twierdzy, ciągnąc za sobą wirującą smugę mgły. Bez trudu wyminął mur obronny otaczający twierdzę, ale jego ciało i tak powoli kierowało się ku ziemi. Znowu ten przeklęty ciężar, ściągał go w dół. Nawet najszybsza strzała, lecąc, zawsze zdążała ku ziemi.

Działanie ciężaru w dół oznaczało, że zamiast wylądować na dachu, zakreślił łuk. Zbliżył się do ściany twierdzy kilkanaście stóp poniżej poziomu dachu, wciąż lecąc z przerażającą szybkością.

Zaczerpnął głęboko tchu i zaczął palić cynę z ołowiem, wykorzystując ją do zwiększenia siły fizycznej mniej więcej w ten sam sposób, jak czysta cyna wyostrzała jego zmysły. Obrócił się w powietrzu i uderzył w mur stopami. Nawet jego wzmocnione muskuły zaprotestowały przeciwko takiemu traktowaniu, ale udało mu się zatrzymać, nie łamiąc sobie kości. Natychmiast zwolnił uchwyt dachu, rzucił monetę i Odepchnął się od niej, kiedy zaczął spadać. Wyciągnął rękę, szukając źródła metalu nad sobą – jednej z drucianych ram witrażowego okna – i Pociągnął.

Moneta uderzyła o ziemię i nagle Kelsier był już w stanie utrzymać swój ciężar. Rzucił się w górę, Odpychając monetę i jednocześnie Pociągając okno. A potem, wygaszając oba metale, pozwolił, by rozpęd zaniósł go przez ostatnie kilka stóp w ciemną mgłę. Jego płaszcz łopotał cicho, kiedy przysiadł na krawędzi górnego chodnika dla strażników twierdzy, przewinął się ponad kamienną poręczą i łagodnie wylądował na gzymsie.

O trzy kroki od niego stał zaskoczony strażnik. Kelsier dopadł go w sekundę, wyskakując wysoko w górę i Pociągając lekko za napierśnik tamtego. Strażnik zachwiał się, a Kelsier wyrwał z pochwy jeden ze szklanych sztyletów, pozwalając, aby Pociąganie Żelaza rzuciło nim o przeciwnika. Wylądował stopami na piersi tamtego, przykucnął i ciął z siłą wspomaganą stopem cyny z ołowiem.

Strażnik upadł z poderżniętym gardłem, a Kelsier zwinnie wylądował obok niego, nasłuchując, czy nie rozlegnie się alarm. Wokół panowała cisza.

Kelsier pozostawił charczącego, dogorywającego strażnika. Był to zapewne jakiś pomniejszy szlachcic. Wróg. Gdyby to był nawet żołnierz

skaa – zawsze chętny wydać towarzyszy za kilka monet – Kelsier tym chętniej pomógłby mu odejść ze świata.

Odepchnął się od napierśnika rannego, wskoczył na kamienny chodnik, a z niego na dach. Brąz był pod jego stopami zimny i śliski. Pobiegł w kierunku południowej części budynku, szukając balkonu, o którym wspomniał Dockson. Nie martwił się, że mogą go zauważyć; jednym celem tego wypadu było zdobycie nieco atium, dziesiątego i najpotężniejszego z ogólnie znanych metali allomantycznych. Drugim jego celem wzniecenie zamętu.

Bez trudu znalazł balkon. Szeroki, długi, prawdopodobnie pełnił rolę tarasu, gdzie mogły odpoczywać niewielkie grupki ludzi. W tej chwili jednak panowała na nim cisza – balkon był pusty, jeśli nie liczyć dwóch strażników. Kelsier przycupnął cicho w szarej mgle ponad balkonem; zwinięty szary płaszcz osłaniał jego postać. Dwaj strażnicy poniżej rozmawiali.

Czas nieco pohałasować.

Kelsier zeskoczył na gzyms wprost pomiędzy strażników. Paląc stop cyny z ołowiem, by wzmocnić ciało, sięgnął i silnym Pchnięciem Stali uderzył jednocześnie obu mężczyzn. Ponieważ znajdował się pośrodku, jego Pchnięcie rzuciło strażników w przeciwne strony. Mężczyźni krzyknęli z zaskoczenia, kiedy nagła siła rzuciła ich w tył i przelecieli przez balustradę balkonu w ciemną przepaść.

Kelsier otwarł szeroko drzwi balkonowe, pozwalając, aby wraz z nim wtargnęła do środka fala mgły, długimi mackami zagarniając ciemne pomieszczenie.

Trzeci pokój, pomyślał Kelsier. Drugi pokój był pustym, przypominającym szklarnię studiem. Niskie klomby były porośnięte krzewami, a wokół ścian rosły niewielkie drzewka, jedna ze ścian była ogromnym oknem, aby zapewnić dość światła słonecznego roślinom. Choć było ciemno, Kelsier wiedział, że rośliny będą miały nieco inne kolory niż zwykły brąz – niektóre będą białe, inne czerwonawe, a może niektóre nawet bladożółte. Rośliny, które nie były brązowe, stanowiły rzadkość hodowaną jedynie przez arystokrację.

Kelsier ruszył szybko przez studio. Zatrzymał się przed kolejnymi drzwiami, zauważając światło padające przez szczeliny. Wygasił cynę, by

wzmocniony wzrok nie doznał porażenia na widok oświetlonego pomieszczenia, i otwarł szeroko drzwi.

Wszedł do środka, mrugając od zbyt mocnego światła, ze szklanymi sztyletami w dłoniach. Pokój jednak był pusty – było widać, że to gabinet, bo na każdej ścianie płonęła latarnia umieszczona pomiędzy regałami z książkami, a w kącie stało biurko.

Kelsier schował noże, paląc stal i szukając źródeł metalu. W kącie pokoju był duży sejf – zbyt duży i oczywisty. I rzeczywiście, drugie źródło metalu zalśniło z wnętrza wschodniej ściany. Kelsier podszedł, dotykając dłońmi tynku. Podobnie jak wiele innych ścian w twierdzach szlacheckich, i ta była pokryta delikatnym freskiem. Dziwne stwory wylegiwały się pod czerwonym słońcem. Fałszywa część ściany stanowiła kwadrat o boku około dwóch stóp i umieszczono ją tak, by szczeliny kryły się we fresku.

Zawsze jest kolejny sekret, pomyślał Kelsier. Nie marnował czasu na zastanawianie się, jak otworzyć tę konstrukcję. Po prostu spalał stal – sięgnął do wnętrza i pociągnął za słabe źródło metalu, które, jak uznał, powinno być mechanizmem zamykającym skrytkę. Początkowo stawiało opór, przyciągając go do ściany, ale zapalił cynę z ołowiem i szarpnął mocniej. Zamek prysł i panel się odchylił, ukazując mały sejf wpuszczony w ścianę.

Kelsier się uśmiechnął. Wyglądał na dość mały, by mógł go unieść mężczyzna wspomagany cyną z ołowiem, o ile zdoła go wyrwać ze ściany.

Skoczył w górę. Odpychając Żelazo sejfu, wylądował stopami na ścianie, stając okrakiem nad wyrwanym panelem. Rozpalił cynę z ołowiem. Poczuł przypływ siły w nogach i zapalił stal, Pociągając sejf. Napiął się, stękając cicho z wysiłku. Była to próba, co ustąpi pierwsze – sejf czy jego nogi.

Sejf poruszył się w swoim gnieździe. Kelsier Pociągnął mocniej, jego mięśnie zaprotestowały. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Nagle sejf zadrżał i wyrwał się ze ściany. Mężczyzna upadł w tył, paląc stal i Odpychając sejf, aby zejść mu z drogi. Z czoła ściekały mu krople potu, gdy sejf z łomotem runął na drewnianą podłogę, wzbijając deszcz odłamków.

Do gabinetu wpadło dwóch przerażonych strażników.

– Najwyższy czas – zauważył Kelsier, unosząc dłoń i Przyciągając miecz jednego ze strażników.

Broń wyrwała się z pochwy, okręciła w powietrzu i ruszyła w stronę Kelsiera sztychem do przodu. Zgasił żelazo, odstąpił na bok i chwycił miecz za rękojeść w chwili, kiedy broń przelatywała obok niego.

– Zrodzony! – wykrzyknął strażnik.

Kelsier uśmiechnął się i skoczył w przód.

Strażnik wyjął sztylet. Kelsier Pchnął go, wyrywając broń z dłoni mężczyzny, po czym ciął, oddzielając głowę strażnika od reszty ciała. Drugi strażnik zaklął, szarpiąc rzemienie napierśnika.

Kelsier Pchnął swój miecz, zanim jeszcze skończył zamach. Ostrze wyskoczyło mu z ręki i świsnęło wprost w stronę drugiego strażnika. Zbroja tamtego upadła na ziemię – uniemożliwiając Kelsierowi Odepchnięcie jej – w tym samym momencie, kiedy ciało pierwszego ze strażników dotknęło podłogi. Chwilę potem miecz Kelsiera wbił się w nieosłoniętą pierś drugiego strażnika.

Mężczyzna potknął się i upadł.

Kelsier odwrócił się od ciał. Jego płaszcz zaszeleścił gwałtownie. Gniew Kelsiera nie był teraz tak zacięty, jak w dniu, kiedy zabił lorda Trestinga. Czuł go jednak przez cały czas – w swędzeniu blizn i wciąż dźwięczących w pamięci krzykach ukochanej kobiety. W opinii Kelsiera każdy człowiek, który popierał Ostatnie Imperium, tym samym tracił prawo do życia.

Rozpalił cynę z ołowiem, wzmacniając ciało, po czym przykucnął i podniósł sejf. Zachwiał się pod jego ciężarem, ale odzyskał równowagę i zaczął się cofać w kierunku balkonu. Może sejf zawierał atium, a może nie – nie miał teraz jednak czasu zastanawiać się nad innymi możliwościami.

Znajdował się w połowie oranżerii, kiedy usłyszał kroki. Obejrzał się i stwierdził, że gabinet wypełnia się ludzkimi postaciami. Każda miała na sobie szarą, luźną szatę, a w ręku zamiast miecza trzymała laskę i tarczę. Mgłobójcy.

Rzucił sejf na ziemię. Mgłobójcy nie byli allomantami, ale byli przeszkoleni, by walczyć ze Zrodzonymi z Mgły i Dziećmi Mgły. Nie mieli na sobie ani grama metalu i z pewnością byli przygotowani na jego sztuczki.

Kelsier odstąpił, przeciągając się z uśmiechem. Ośmiu mężczyzn otoczyło go kręgiem, poruszając się bezszelestnie i precyzyjnie.

To zaczyna być interesujące.

Mgłobójcy zaatakowali, wpadając po dwóch do oranżerii. Kelsier wyciągnął sztylety, uchylając się przed atakiem i tnąc w pierś pierwszym. Jednak mgłobójca odskoczył i zmusił Kelsiera do cofnięcia się, wymachując mu laską przed nosem.

Kelsier rozpalił cynę z ołowiem, pozwalając, by wzmocnione nogi przeniosły go potężnym skokiem z powrotem. Jedną ręką wyrwał garść monet i Pchnął je w przeciwników. Metalowe tarcze wystrzeliły ze świstem z jego rąk i poleciały w kierunku mgłobójców, lecz ci byli przygotowani – unieśli tarcze i monety odbiły się od drewna. Poleciały drzazgi, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Kelsier obserwował kolejnych mgłobójców, którzy weszli do pokoju i ruszyli w jego kierunku. Nie mogli liczyć na dłuższą walkę – ich taktyka będzie polegała na tym, żeby rzucić się na niego i mieć nadzieję na szybkie zakończenie walki, a co najmniej zatrzymanie go, dopóki nie zbudzą się allomanci i nie przygotują do walki. Lądując, spojrzał na sejf.

Nie może uciec bez niego. On też musi szybko zakończyć walkę. Paląc cynę z ołowiem, skoczył w przód, świsnął na próbę sztyletem, ale nie był w stanie przedrzeć się przez obronę tamtego. Zaledwie na czas uchylił się, żeby mgłobójca nie rozwalił mu głowy ciosem laski.

Trzech mgłobójców skoczyło za jego plecy, odcinając mu drogę ucieczki na balkon. Wspaniale, pomyślał Kelsier, starając się mieć na oku wszystkich ośmiu naraz. Ruszyli na niego ostrożnie i precyzyjnie, działając w grupie.

Kelsier zacisnął zęby i znów rozpalił cynę z ołowiem. Kończyła się. Cyna z ołowiem spalała się najszybciej z ośmiu podstawowych metali.

Nie ma czasu na to, żeby się teraz zastanawiać. Ludzie za jego plecami atakowali i Kelsier musiał uskoczyć im z drogi, Pociągając za sejf, aby przenieść się na środek pokoju. Odepchnął się natychmiast, kiedy tylko znalazł się obok niego, wyskakując w powietrze wysoko, lecz na skos. Zwinął się w kłębek, przekoziołkował nad głowami dwóch atakujących i wylądował na podłodze obok pięknie utrzymanego klombu z drzewkami. Obrócił się, paląc cynę z ołowiem i unosząc rękę w obronie przed ciosem, którego się spodziewał.

Laska spadła na rękę. Przedramię eksplodowało bólem, ale wzmocniona cyną z ołowiem kość wytrzymała. Kelsier szedł dalej, wysuwając w przód drugą rękę, by wbić sztylet w pierś napastnika.

Mężczyzna, zaskoczony, cofnął się, wyrywając tym ruchem sztylet z dłoni Kelsiera. Drugi mgłobójca zaatakował, ale Kelsier przykucnął, po czym sięgnął w dół wolną ręką, namacał i wyrwał zza pasa sakiewkę z monetami. Mgłobójca przygotowywał się do zablokowania ostatniego sztyletu Kelsiera, lecz ten niespodziewanie użył drugiej ręki i wbił worek z monetami w tarczę tamtego.

Wepchnął monety w jej środek.

Mgłobójca krzyknął, gdy potężna siła Pchnięcia Stali odrzuciła go w tył. Kelsier rozpalił stal. Pchając tak mocno, że sam również został odrzucony w tył – uskakując z drogi dwójce kolejnych napastników, którzy próbowali go zaatakować. Kelsier i jego wróg oderwali się od siebie z ogromną siłą, ciśnięci w przeciwne strony. Kelsier zderzył się ze ścianą, ale Pchał nadal, rozpłaszczając swego przeciwnika – sakiewkę, tarczę i całą resztę – na jednym z ogromnych okien oranżerii.

Szkło pękło na milion kawałków, światło latarni z gabinetu zamigotało na odłamkach. Zdesperowana twarz mgłobójcy znikła w ciemności, a mgła – cicha i złowróżbna – zaczęła przesączać się przez strzaskane okna.

Pozostałych sześciu ludzi zbliżało się bezlitośnie i Kelsier musiał zignorować ból w ramieniu, żeby umknąć przed dwoma ciosami. Odskoczył z drogi, trącając małe drzewko, ale wtedy zaatakował trzeci, wbijając laskę w bok Kelsiera.

Atak rzucił go na klomb z drzewami. Kelsier potknął się, po czym upadł w pobliżu wyjścia, upuszczając sztylet. Jęknął z bólu, przetoczył się na kolana, trzymając za obolały bok. Innemu człowiekowi ten cios połamałby żebra, nawet Kelsier mógł liczyć na potężnego siniaka.

Sześciu ludzi ruszyło w przód, rozstawiając się, by znów go otoczyć. W oczach zaczęło mu się ćmić z bólu i zmęczenia. Zacisnął zęby, sięgnął do pasa i wyjął kolejną fiolkę metali. Przełknął zawartość jednym łykiem, uzupełniając cynę z ołowiem, po czym zapalił samą cynę. Światło omal go nie oślepiło, a ból w ramieniu i boku zdał się nagle ostrzejszy, lecz przypływ informacji z wyostrzonych zmysłów rozjaśnił mu w głowie.

Sześciu mgłobójców ruszało do natychmiastowego, skoordynowanego ataku.

Kelsier wysunął dłoń w bok, paląc żelazo i szukając najbliższego źródła metalu. Był nim gruby, srebrny przycisk do papieru na biurku w gabinecie.

Kelsier podrzucił go w dłoni, po czym odwrócił się, wyciągając rękę w kierunku zbliżających się napastników i przyjął postawę obronną.

– No dobra – warknął.

Rozpalił ogień i eksplodował siłą. Prostokątna sztabka wyleciała mu z rąk i ze świstem przecięła powietrze. Pierwszy z mgłobójców podniósł tarczę, lecz poruszał się zbyt wolno. Sztabka uderzyła go w ramię z nieprzyjemnym chrupnięciem i mężczyzna upadł z krzykiem.

Kelsier skoczył w bok, unikając zamachu laską i ustawiając się tak, by mgłobójca znalazł się pomiędzy nim a jego powalonym kompanem. Znów zapalił żelazo, Przyciągając sztabkę do siebie. I znów metal ze świstem przeciął powietrze, uderzając tamtego w czaszkę. Odbił się i poleciał dalej, a człowiek osunął się na ziemię.

Jeden z pozostałych zaklął i rzucił się do ataku. Kelsier Pchnął wciąż lecącą sztabkę, odpychając ją od siebie i od atakującego z podniesioną tarczą mgłobójcy. Kelsier usłyszał, jak sztabka uderzyła w ziemię przed nim, i sięgnął w górę – paląc cynę z ołowiem – zaciskając rękę na lasce tamtego w pół ciosu.

Mgłobójca stęknął, walcząc z odzyskanymi siłami Kelsiera. Ten nawet nie zawracał sobie głowy wyrywaniem mu laski z dłoni – Pociągnął mocno za sztabkę za swoimi plecami, kierując ją z przerażającą szybkością między własne łopatki, i wykorzystał rozpęd, żeby obrócić mgłobójcę wokół siebie – wprost na tor lotu sztabki.

Mężczyzna upadł.

Paląc cynę z ołowiem Kelsier zaparł się, oczekując na kolejne ataki. Jak się należało spodziewać, pierwszy cios padł mu na barki. Upadł na kolana, słysząc trzask drewna, ale zapalona cyna pozwalała mu zachować przytomność. Ból i światło wirowały mu w mózgu. Pociągnął sztabkę – wyrywając ją z pleców umierającego – i odstąpił na bok, pozwalając, aby zaimprowizowana broń przeleciała obok.

Dwaj najbliżsi niego mgłobójcy przycupnęli ostrożnie. Sztabka uderzyła w tarczę jednego, ale Kelsier nie Odpychał dalej, żeby samemu nie stracić równowagi. Zamiast tego zapalił żelazo, ściągając sztabkę ku sobie. Uchylił się, zgasił żelazo i poczuł pęd powietrza przelatującego obok pocisku. Rozległ się trzask, kiedy sztabka uderzyła mężczyznę, który zakradał się od tyłu.

Kelsier okręcił się, paląc to żelazo, to stal, żeby posłać sztabkę ku dwóm pozostałym napastnikom. Odskoczyli, ale Kelsier szarpnął sztabkę, rzucając ją na ziemię tuz przed sobą. Mężczyźni patrzyli na nią czujnie, tymczasem Kelsier cofnął się i skoczył, Odpychając się stalą od sztabki i przelatując nad ich głowami. Mgłobójcy zakleli. Kelsier, lądując, Pociągnął znowu sztabkę, uderzając nią jednego z nich w tył głowy.

Mgłobójca upadł. Sztabka okręciła się kilka razy w ciemności i Kelsier chwycił ją w locie, czując jej zimną, śliską od krwi powierzchnię. Mgła z rozbitego okna pełzała u jego stóp, owijając mu się wokół kostek. Opuścił rękę, kierując ją wprost na ostatniego mgłobójcę.

Gdzieś w głębi pokoju rozległ się jęk rannego.

Ostatni mgłobójca cofnął się, rzucił broń i uciekł. Kelsier uśmiechnął się, opuszczając dłoń.

Nagle jakaś siła wyrwała sztabkę z jego dłoni. Kawałek metalu przeleciał przez pokój, rozbijając kolejne okno. Kelsier zaklął i obejrzał się, widząc, jak druga, większa grupa ludzi wpada do gabinetu. Ci mieli na sobie arystokratyczne stroje. Allomanci.

Kilku uniosło ręce i w kierunku Kelsiera poleciał grad monet. Rozpalił stal, odepchnął monety z drogi. Szyby leciały z okien, od drewna odpryskiwały drzazgi, kiedy monety rozleciały się po całym pokoju. Kelsier poczuł szarpnięcie paska, kiedy wyrwano mu ostatnią fiolkę z metalami, Pociągając ją w kierunku drugiego pokoju. Kilku krzepkich ludzi rzuciło się ku niemu w przysiadzie, uchylając się przed świszczącymi monetami. Zabijaki – Mgliści, którzy podobnie jak Ham, umieli palić cynę z ołowiem.

Czas się zbierać, pomyślał Kelsier, odpychając kolejną falę monet i zaciskając zęby z bólu, jaki promieniował z jego boku i ramienia. Obejrzał się – miał kilka chwil, ale nie zdąży na balkon. W czasie, gdy Mgliści zbliżali się do niego, zdążył jedynie zaczerpnąć głęboko tchu i rzucić się w stronę jednego z rozbitych okien. Skoczył w mrok, obracając się w powietrzu i mocno Pociągając za upuszczony sejf.

Szarpnęło nim, zawisł przy ścianie budynku, jakby wisząc na linie przyczepionej do sejfu. Poczuł, jak sejf przesuwa się, trąc o podłogę oranżerii, ściągany ciężarem Kelsiera, który uderzył o ścianę budynku, ale ciągnął dalej, chwytając się górnej framugi okna. Napiął mięśnie, stojąc do góry nogami w obramowaniu okna i Ciągnął sejf.

Sejf pojawił się na krawędzi wyższego piętra. Zachwiał się, po czym wypadł z okna i zaczął lecieć wprost na Kelsiera. Ten uśmiechnął się, gasząc żelazo i odpychając się nogami od budynku, rzucił się w mgłę, chwytając kątem oka widok gniewnej twarzy spoglądającej z wybitego okna.

Kelsier Pociągał ostrożnie za sejf, przemieszczając się w powietrzu. Mgły otaczały go, wijąc się, utrudniając mu widzenie, sprawiając, że czuł się tak, jakby w ogóle nie leciał, lecz wisiał pośrodku nicości.

Dotarł do sejfu, po czym okręcił się w powietrzu i Odepchnął od niego, wyrzucając się w górę.

Sejf uderzył w bruk tuż pod nim. Kelsier delikatnie Pchnął, zwalniając własny spadek, aż wreszcie zatrzymał się w powietrzu kilka stóp nad ziemią. Przez chwilę wisiał we mgle, a wstęgi płaszcza zwijały się i powiewały na wietrze.

Sejf rozbił się przy upadku. Kelsier rozchylił jego pogięte drzwiczki, łowiąc wzmocnionymi cyną uszami krzyki alarmu w budynku. Wewnątrz sejfu znalazł niewielką sakiewkę pełną klejnotów i kilka akredytyw na dziesięć tysięcy skrzyńców każdą. Wsadził je do kieszeni. Macał wnętrze sejfu, nagle ogarnięty uczuciem zawodu, że wszystko na nic, cała nocna praca. Dopiero po chwili jego palce natrafiły na mały woreczek na samym dnie.

Wyjął go i otworzył, odsłaniając kilka ciemnych, podobnych do paciorków kawałków metalu. Atium. Blizny zapłonęły, umysł wypełniły mu wspomnienia pobytu w Czeluściach.

Zamknął woreczek i wstał. Z rozbawieniem zauważył na bruku opodal poskręcaną postać – zmiażdżone upadkiem szczątki mgłobójcy, którego wyrzucił przez okno. Podszedł i szarpnięciem Pociągnięcia Stali odzyskał swoją sakiewkę z monetami.

Nie, to nie była zmarnowana noc. Nawet, gdyby nie znalazł atium, każda noc, która kończyłaby się śmiercią kilku szlachciców, winna być uznana za dobrze wykorzystaną. Przynajmniej zdaniem Kelsiera.

Chwycił sakiewkę jedną ręką, a worek z atium drugą. Wciąż palił cynę z ołowiem – bez siły, jaką dawała jego ciału, prawdopodobnie zemdlałby z bólu i ran – i ruszył w noc, kierując się w stronę sklepu Clubsa.

Nigdy tego nie chciałem, to prawda. Ale ktoś musiał powstrzymać Głębię. Widać jednak, że Terris jest jedynym miejscem, gdzie można tego dokonać.

Jednakże nie muszę w tej sprawie wierzyć filozofom na słowo. Wyczuwam teraz nasz cel. Mogę go wyczuć, choć inni nie mogą. On... pulsuje, w moim mózgu, daleko, gdzieś w górach.

6

Vin obudziła się w cichym pokoju. Czerwone światło poranka przesączało się przez szczeliny w okiennicach. Leżała przez chwilę nieruchomo, niespokojna. Coś było nie tak. Nie chodziło o to, że budzi się w nieznanym miejscu – podróże z Reenem przyzwyczaiły ją do nomadycznego stylu życia. Dopiero po chwili zrozumiała, dlaczego czuje się tak nieswojo.

Pokój był pusty.

Nie tylko pusty, ale i przestrzenny. Niezatłoczony. I bardzo... wygodny. Leżała na prawdziwym materacu, usadowionym na słupkach, z prześcieradłami i pluszową narzutą. Pomieszczenie ozdabiała drewniana

szafa, a na podłodze leżał okrągły dywan. Może kto inny uznałby ten pokój za ciasny i spartański, ale Vin wydawał się szczytem przepychu.

Usiadła, marszcząc czoło. To nie w porządku, żeby mieć cały pokój dla siebie. Zawsze była wciskana w ciasne baraki, wraz z innymi członkami gangu. Nawet w podróży sypiała w uliczkach z żebrakami, albo w jaskiniach rebeliantów, a Reen zawsze był przy niej. Zawsze musiała walczyć o prywatność. Wydawało jej się, że dostając ją tak łatwo, dewaluuje wszystkie lata, jakie spędziła, rozkoszując się krótkimi chwilami samotności.

Wysunęła się z łóżka, nie fatygując się, by otworzyć okiennice. Światło słoneczne było słabe, co oznaczało, że jest jeszcze wcześnie. W holu jednak już było słychać jakiś łoskot. Podkradła się do drzwi, otwarła je i wyjrzała na zewnątrz.

Kiedy wczoraj rozstali się z Kelsierem, Dockson zaprowadził Vin do sklepu Clubsa, który, z powodu późnej pory, natychmiast zaprowadził ich do osobnych pokojów. Vin jednak nie od razu poszła do łóżka. Czekała, aż wszyscy zasną, po czym wyśliznęła się, by się rozejrzeć.

Dom bardziej przypominał gospodę niż sklep. Wprawdzie na dole miał wystawę i wielki warsztat na zapleczu, ale całe pierwsze piętro budynku było zdominowane przez długie korytarze z pokojami gościnnymi. Było jeszcze drugie piętro – tu drzwi były rzadziej rozstawione, sugerując, że pokoje są większe. Nie szukała ukrytych przejść i fałszywych ścian – hałas mógłby kogoś zbudzić – ale doświadczenie mówiło jej, że dom nie byłby normalną kryjówką, gdyby nie miał ukrytych piwnic i co najmniej kilku innych zakamarków.

Ogólnie była pod wrażeniem. Narzędzia ciesielskie i niewykończone wyroby wskazywały na dobrą, uczciwą przykrywkę. Kryjówka była bezpieczna, dobrze zaopatrzona i utrzymana. Wyglądając przez szczelinę w drzwiach Vin spostrzegła grupkę sześciu zaspanych młodzieńców wychodzących z holu naprzeciwko jej pokoju. Mieli na sobie zwyczajne ubrania i szli schodami w kierunku warsztatu.

Czeladnicy, pomyślała. To zasłona Clubsa – jest rzemieślnikiem skaa. Większość skaa żyło, tyrając na plantacjach, nawet ci, którzy mieszkali w mieście, byli zmuszani do pracy fizycznej. Jednakże niektórym utalentowanym jednostkom zezwalano na handel. Wciąż pozostawali skaa,

byli słabo opłacani i zawsze poddani kaprysom szlachty. Jednak cieszyli się pewną swobodą, której inni skaa mogliby jedynie zazdrościć.

Clubs był prawdopodobnie mistrzem ciesielskim. Co spowodowało, że taki człowiek – wiodący jak na skaa wspaniałe życie – dołączył do podziemia?

Jest Mglistym, pomyślała. Kelsier i Dockson nazwali go „Dymiarzem". Prawdopodobnie sama będzie musiała domyślić się, co to oznacza, doświadczenie podpowiadało jej, że tak potężny człowiek jak Kelsier będzie przed nią ukrywał wiedzę, wiążąc ją ze sobą pojedynczymi informacjami. Wiedza była smyczą, na której ją uwiązał – byłoby niemądre zdradzać zbyt wiele i zbyt szybko.

– Vin, pewnie chcesz się przygotować – rzekł Dockson, mijając jej drzwi. Miał na sobie elegancką koszulę szlachcica i spodnie, wydawał się rozbudzony i rześki. Zatrzymał się i dodał: – W sali na końcu korytarza czeka na ciebie kąpiel, a ja poprosiłem Clubsa, żeby wynalazł dla ciebie klika zmian odzieży. Powinny wystarczyć, dopóki nie znajdziemy czegoś właściwszego. Nie spiesz się z kąpielą, Kell zaplanował spotkanie na popołudnie, ale nie możemy zacząć, dopóki nie przybędą Breeze i Ham.

Uśmiechnął się, spojrzał na nią i ruszył dalej korytarzem. Vin zaczerwieniła się ze wstydu, że tak ją przyłapano. Bardzo spostrzegawczy ludzie. Muszę to zapamiętać.

W korytarzu zapadła cisza. Dziewczyna wysunęła się z pokoju i skierowała do wskazanego pomieszczenia. Z zaskoczeniem stwierdziła, że rzeczywiście czeka na nią kąpiel. Ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się metalowej wannie i kafelkom na podłodze. Woda pachniała, jak perfumy eleganckich dam.

Ci ludzie bardziej przypominają arystokratów niż skaa, pomyślała. Nie była pewna, co o tym sądzić. Jednak najwyraźniej oczekiwali od niej, żeby robiła to co oni, zatem zamknęła i zaryglowała drzwi, po czym rozebrała się i weszła do wanny.

***

Dziwnie pachniała.

Zapach był delikatny, ale Vin wciąż chwytała jego smużki. Był to zapach przechodzącej obok arystokratki, zapach perfumowanej szuflady, otwieranej palcami jej brata-włamywacza. W miarę jak mijał czas, zapach stawał się coraz mniej zauważalny, ale wciąż ją martwił. Będzie ją wyróżniał spośród innych skaa. Jeśli grupa oczekiwała od niej regularnego zażywania kąpieli, będzie musiała zażądać usunięcia zapachu z wody.

Poranny posiłek nieco bardziej odpowiadał jej oczekiwaniom. Kilka kobiet skaa w różnym wieku krzątało się po kuchni, przygotowując naleśniki – cienkie, zwijane placki, nadziane gotowaną kaszą jęczmienną i warzywami. Vin stanęła w drzwiach kuchni, obserwując ich pracę. Żadna nie pachniała tak, jak ona, choć były zdecydowanie czyściejsze i zadbane niż przeciętny skaa.

Właściwie w całym budynku panowało zaskakujące wrażenie czystości. Wczoraj wieczorem nie zauważyła tego z powodu ciemności, ale podłoga była doszorowana do czysta. Wszyscy pracownicy – i kobiety, i czeladnicy – mieli czyste twarze i dłonie. Vin czuła się z tym dziwnie. Była przyzwyczajona do tego, że jej palce były czarne od popiołu, a przy Reenie, nawet gdyby umyła twarz, musiałaby ją zaraz znów natrzeć popiołem. Czysta twarz wyróżniała się na ulicy.

Żadnego popiołu po kątach, pomyślała, przyglądając się podłodze. Zamiatają wszystko. Nigdy wcześniej nie mieszkała w takim domu. Prawie jak szlachecki pałac.

Spojrzała znowu na kobiety. Miały na sobie proste, biało-szare suknie, włosy przepasane szalami i zwisające w długich warkoczach na plecy. Vin dotknęła swoich włosów. Zawsze ścinała je na krótko, jak chłopak – jej obecna postrzępiona fryzura była dziełem jednego z członków szajki. Nie była podobna do tych kobiet. Na polecenie Reena zachowywała się zawsze tak, by inni członkowie szajki myśleli o niej najpierw jako o złodzieju, a o kobiecie dopiero potem.

Ale kim jestem teraz? Pachnąca po kąpieli, ale odziana w płowe spodnie, zapinaną na guziki koszulę czeladnika ciesielskiego, czuła się wyraźnie nie na miejscu. Niedobrze, jeśli czuła się niezręcznie, zapewne też tak wyglądała. Jeszcze jedna wyróżniająca cecha.

Obejrzała się, obejmując wzrokiem warsztat. Czeladnicy już zajęli się swoimi porannymi pracami, obrabiając meble. Trzymali się w głębi sali,

podczas, kiedy Clubs pracował w głównej wystawowej, dokonując ostatnich poprawek.

Nagle tylne drzwi kuchni otwarły się z trzaskiem. Vin odruchowo odskoczyła na bok i przywarła do ściany, niepewnie wyglądając zza rogu.

W drzwiach stał Ham, okolony czerwonym blaskiem słonecznym. Miał na sobie luźną koszulę i kaftan, jedno i drugie bez rękawów, i trzymał kilka dużych pakunków. Nie był brudny od sadzy – nikt w szajce nie był, o ile zdążyła dotąd zauważyć.

Ham minął kuchnię i wszedł do warsztatu.

– No – rzekł, rzucając paczki. – Ktoś wie, który pokój jest mój?

– Zapytam mistrza Cladenta – rzekł jeden z czeladników, przechodząc do frontowego pomieszczenia.

Ham uśmiechnął się i spojrzał na Vin.

– Bry, Vin. Wiesz, nie musisz się przede mną chować. Jesteśmy w tej samej grupie.

Vin odetchnęła, ale pozostała tam, gdzie była, to znaczy obok szeregu praktycznie wykończonych krzeseł.

– Też tu będziesz mieszkał?

– Zawsze opłaca się trzymać się Dymiarza – odparł Ham, odwracając się i wychodząc z kuchni. Chwilę później wrócił ze stosem czterech wielkich naleśników. – Wie ktoś, gdzie jest Kell?

– Śpi – odparła Vin. – Wrócił wczoraj bardzo późno, jeszcze nie wstał.

Ham burknął coś, gryząc naleśnik.

– Dox?

– W swoim pokoju na drugim piętrze – odparła. – Wstał wcześnie, przyszedł tu coś zjeść, a potem wrócił na górę.

Nie dodała, że zajrzała przez dziurkę od klucza i wiedziała co robi – siedzi przy biurku i coś pisze.

Ham, uniósł brew.

– Zawsze wiesz, gdzie kto jest?

– Tak.

Zawahał się, po czym dodał:

– Dziwny z ciebie dzieciak Vin. – Zebrał paczki, kiedy czeladnik wrócił i obaj ruszyli na górę.

Vin stała, wsłuchując się w oddalające się kroki. Zatrzymali się w połowie korytarza na pierwszym piętrze, chyba o kilka pokoi od niej.

Zapach parowanej kaszy jęczmiennej kusił ją. Rozejrzała się po kuchni. Ham wszedł i poczęstował się jedzeniem. Czy wolno jej zrobić to samo?

Usiłując wyglądać na pewną siebie, weszła do kuchni. Na tacy leżał stos naleśników, prawdopodobnie po to, żeby dostarczać je czeladnikom w trakcie pracy. Vin wzięłą dwa. Żadna z kobiet nie wyraziła sprzeciwu – co więcej, niektóre spojrzały na nią z szacunkiem.

Jestem teraz ważną osobą, pomyślała z zakłopotaniem. Czy one wiedziały, że jest... Zrodzona z Mgły? Czy była traktowana z szacunkiem tylko dlatego, że jest gościem?

Ostatecznie wzięła jeszcze jednego naleśnika i uciekła do pokoju. Miała więcej, niż mogłaby zjeść, zamierzała jednak zeskrobać całą kaszę i zachować same placki. Będą się dobrze trzymać, gdyby później była głodna.

***

Ktoś zapukał do jej drzwi. Podeszła do nich i uchyliła ostrożnie – po drugiej stronie stał młodzieniec – ten sam, który był wczoraj z Clubsem w kryjówce Camona.

Wysoki, chudy i niezgrabny, był odziany w szary strój. Miał może czternaście lat, choć przez swój wzrost wydawał się starszy. Z jakiegoś powodu był bardzo zdenerwowany.

– Tak? – zapytała.

– Eee...

Zmarszczyła brwi.

– Co jest?

– Jesteś potrzebna – rzekł z wyraźnym wschodnim akcentem. – Tam gdzie w górze z robiącymi. Z mistrzem Skokiem na drugie piętro. Uch, musieć iść. – Zarumienił się, obrócił i pobiegł w górę po schodach.

Stała przez chwilę w drzwiach, oszołomiona. To miało mieć jakiś sens? – pomyślała.

Wyjrzała do holu. Chłopak najwyraźniej czekał, aby do niego dołączyła. Wreszcie zdecydowała się pójść za nim, i uczyniła to, ostrożnie wspinając się stopień za stopniem.

Z otwartych drzwi na końcu holu dobiegały głosy. Vin podeszła i zajrzała do środka. Był to elegancki pokój, z ładnym dywanem i wygodnymi fotelami. Z boku znajdował się duży kominek, na którym płonął ogień, a fotele były tak ustawione, żeby siedzący mogli swobodnie spoglądać na wielką tablicę do pisania węglem, ustawioną na sztalugach.

Kelsier stał przy kominku, opierając łokieć na ceglanej obmurówce. Przesuwając się lekko, Vin zorientowała się, że rozmawiał z Breezem. Uspokajacz przybył w południe i zaangażował połowę czeladników Clubsa do rozładowywania swoich bagaży. Vin obserwowała z okna, jak czeladnicy nosili kufry – ukryte w skrzyniach po odpadach drewna – do pokoju Breeze'a. Breeze ani myślał pomagać.

Ham był już na miejscu, podobnie Dockson i Clubs. Ten ostatni usadowił się w wielkim, wyścielanym fotelu jak najdalej od Breeze'a. Chłopak, który poszedł po Vin, siedział na stołku obok Clubsa i wyraźnie starał się na nią nie patrzeć. Ostatni z zajętych foteli należał do Yedena, odzianego – jak przedtem – w strój zwykłego robotnika skaa. Siedział w fotelu, nie opierając się, jakby nie podobała mu się jego elegancja. Twarz miał pomazaną sadzą, jak Vin oczekiwałaby tego od robotnika skaa.

Były jeszcze dwa wolne fotele. Kelsier zauważył Vin stojącą w drzwiach i obdarował ją zapraszającym uśmiechem.

– O, jest wreszcie. Wejdź.

Vin rozejrzała się po pokoju. Było tu okno, lecz jego okiennice były zamknięte, odcinając zbliżający się zmierzch. Jedynymi fotelami były te, które znajdowały się w półkolu Kelsiera. Zrezygnowana podeszła do pustego fotela obok Docksona. Był dla niej o wiele za duży, więc skuliła się w nim i podwinęła nogi pod siebie.

– Jesteśmy wszyscy – rzekł Kelsier.

– A po co to ostatnie krzesło? – zapytał Ham.

Kelsier mrugnął, ale zignorował pytanie.

– Dobrze, porozmawiajmy. Mamy przed sobą całkiem poważne zadanie i im szybciej zaczniemy je planować, tym lepiej.

– Myślałem, że masz plan – zauważył niepewnie Yeden.

– Mam ramowy – wyjaśnił Kelsier. – Wiem, co ma się stać i mam pewne pomysły, jak do tego doprowadzić. Ale nie zbiera się takiej grupy tylko po to, żeby jej powiedzieć, co ma robić. Musimy to opracować razem,

zaczynając od listy problemów, które musimy rozwiązać, jeśli nasz plan ma zadziałać.

– Cóż – wtrącił Ham. – Może najpierw uściślijmy sprawę ramowego planu. Polega on na zebraniu armii przez Yedena, spowodowanie chaosu w Luthadelu, zabezpieczeniu pałacu, kradzieży atium Ostatniego Imperatora i zostawieniu rządu, żeby sam się zawalił?

– Mniej więcej – zgodził się Kelsier.

– A zatem – rzekł Ham – naszym głównym problemem jest Garnizon. Jeśli jest nam potrzebny chaos w Luthadelu, nie możemy mieć tutaj dwudziestu tysięcy żołnierzy, którzy będą pilnować porządku. Nie wspomnę o tym, że oddziały Yedena nigdy nie zdobędą miasta, jeśli na murach będą gotowe do walki siły zbrojne.

Kelsier skinął głową. Biorąc kawałek kredy, napisał na tablicy „Garnizon Luthadel".

– Co dalej?

– Musimy znaleźć sposób, aby rozpętać wspomniany chaos w Luthadelu – rzekł Breeze, machając kubkiem wina. – Instynkt dobrze ci podpowiada, mój drogi. To miasto jest miejscem, gdzie Zakon ma swoją siedzibę, a Wielkie Rody prowadzą swoje kupieckie imperia. Musimy obalić Luthadel, jeśli chcemy pozbawić zdolności rządzenia Ostatniego Imperatora.

– Skoro już wspominamy o arystokracji, jest jeszcze jedna sprawa – wtrącił Dockson. – Wszystkie Wielkie Rody mają gwardie w mieście, nie wspominając o ich Allomantach. Jeśli mamy przekazać miasto Yedenowi, musimy sobie poradzić z tymi ludźmi.

Kelsier skinął głową, dopisując na tablicy „Chaos" i „Wielkie domy", pod „Garnizon Luthadel".

– Zakon – rzekł Clubs, odchylając się w fotelu tak mocno, że Vin prawie mogła zobaczyć jego twarz. – Nie będzie w rządzie zmiany tak długo, jak długo Stalowi Inkwizytorzy będą mieli cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie.

Kelsier dopisał „Zakon" na tablicy.

– Co jeszcze?

– Atium – powiedział Ham. – Możesz równie dobrze je tu wpisać. Musimy szybko zabezpieczyć pałac, kiedy zaczną się zamieszki, i upewnić się, że nikt inny nie skorzysta z okazji, żeby wśliznąć się do skarbca.

Kelsier skinął głową i zapisał: „Atium: Zabezpieczyć Skarbiec”.

– Trzeba znaleźć sposób, aby zebrać oddziały Yedena – dodał Breeze. – Musimy działać cicho, ale szybko, i szkolić ich gdzieś, gdzie nie znajdzie ich Ostatni Imperator.

– Musimy chyba także zapewnić, że rebelia skaa jest w stanie zapanować nad Luthadelem – dodał Dockson. – Przejęcie pałacu i wypatroszenie go będzie spektakularne, ale miło będzie, jeśli Yeden i jego ludzie będą naprawdę gotowi do rządzenia, kiedy to wszystko się skończy.

Na tablicy pojawiły się kolejne słowa „Oddziały” i „Skaa”.

– I – rzekł Kelsier – zamierzam dodać „Ostatni Imperator”. Potrzebujemy przynajmniej planu, jak go wywabić z miasta, jeśli inne opcje zawiodą. – Dopisał do listy „Ostatni Imperator” i znów spojrzał na grupę. – Zapomniałem o czymś?

– No cóż – mruknął Yeden. – Skoro już wymieniasz problemy, jakie mamy pokonać, powinieneś jeszcze dopisać, że wszyscy jesteśmy porządnie stuknięci... choć trudno nam będzie coś na to zaradzić.

Grupa zachichotała i Kelsier dopisał na tablicy „Niewłaściwa postawa Yedena”. A potem odstąpił w tył i uważnie spojrzał na listę.

– Prawdę mówiąc, to wszystko nie wygląda tak strasznie, co?

Vin zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy Kelsier próbował żartować, czy mówi poważnie. Lista nie była śmiała – była niepokojąca. Dwadzieścia tysięcy żołnierzy imperialnych? Zebrana potęga i siła całej szlachty? Zakon? Jeden Stalowy Inkwizytor jest podobno silniejszy od tysiąca żołnierzy.

Znacznie bardziej niepokojące było jednak to, jak rzeczowo rozpatrywali temat po temacie. Jak oni w ogóle mogą myśleć o stawianiu oporu Ostatniemu Imperatorowi? Był... no cóż, był Imperatorem. Władał całym światem. Był stwórcą, obrońcą i karzącą ręką dla ludzkości. Ochronił ich przed Głębią, a potem sprowadził popiół i mgłę jako karę za brak wiary ludzkości. Vin nie była szczególnie religijna – inteligentni złodzieje wiedzieli, że Stalowego Zakonu należy unikać – ale nawet ona znała legendy.

A jednak grupa spoglądała na swoją „listę problemów” z determinacją. Była w nich jakaś posępna wesołość, jakby sobie zdawali sprawę, że łatwiej im będzie zmusić słońce do wschodu w nocy, niż obalić Ostatnie Imperium. Ale chcieli spróbować.

– Na Ostatniego Imperatora – szepnęła. – Mówicie poważnie. Naprawdę chcecie to zrobić.

– Nie używaj tego imienia jako przekleństwa, Vin – rzekł Kelsier. – Nawet bluźnierstwo oddaje mu cześć, kiedy przeklinasz imieniem tego stwora, uznajesz w nim swojego boga.

Vin zamilkła i skuliła się w fotelu, nieco oszołomiona.

– W każdym razie – rzekł Kelsier, uśmiechając się – czy ktoś ma pomysł, jak rozwiązać te problemy? Oczywiście, poza postawą Yedena, wszyscy wiemy, że to beznadziejny przypadek.

W pokoju zapadła cisza.

– Jakieś pomysły? – zapytał Kelsier. – Punkty widzenia? Wrażenia?

Breeze pokręcił głową.

– Teraz, kiedy mam to wszystko przed oczami, zaczynam się zastanawiać, czy dzieciak nie ma racji. To bardzo śmiałe wyzwanie.

– Ale możliwe do zrealizowania – rzekł Kelsier. – Zacznijmy od zastanowienia się, jak wzbudzić zamieszki w mieście. Co możemy zrobić tak groźnego, by wśród szlachty zapanował chaos, a nawet okazała się konieczna interwencja gwardii pałacowej w mieście, pozostawiając ich na pastwę naszych żołnierzy? Coś, co by odwróciło uwagę Zakonu, a nawet samego Ostatniego Imperatora, gdy nasze oddziały ruszą do ataku?

– Cóż, do głowy przychodzi mi jakaś powszechna rewolucja – rzekł Ham.

– Nic z tego nie będzie – odparł stanowczo Yeden.

– Czemu nie? – zapytał Ham. – Wiesz, jak traktowani są ludzie. Mieszkają w slumsach, pracują w kopalniach i warsztatach przez cały dzień, a i tak połowa z nich wciąż głoduje.

Yeden pokręcił głową.

– Nie rozumiesz tego? Rebelia usiłuje od tysiąca lat podburzyć skaa w mieście i nigdy się to nie udaje. Są zbyt stłamszeni. Nie mają nawet woli ani nadziei na opór. Dlatego właśnie do ciebie przyszedłem po armię.

W pokoju zapadła cisza. Vin pokiwała głową. Widziała to. Czuła. Nikt nie walczy z Ostatnim Imperatorem. Nawet żyjąc jako złodziejka, balansująca na krawędzi społeczeństwa, wiedziała o tym. Nie będzie żadnej rebelii.

– Obawiam się, że on ma rację – rzekł Kelsier. – Skaa nie powstaną, nie w obecnym stanie. Jeśli mamy obalić rząd, musimy to zrobić bez pomocy

mas. Prawdopodobnie uda nam się rekrutować naszych żołnierzy spośród nich, ale na ogół społeczeństwa liczyć nie możemy.

– A może by spowodować jakąś katastrofę? – podsunął Ham. – Jakiś pożar?

Kelsier pokręcił głową.

– To może na chwilę rozregulować handel, ale wątpię, by dało oczekiwane przez nas skutki. Poza tym, koszt istnień skaa byłby zbyt wysoki. To slumsy się spalą, a nie twierdze szlachty.

Breeze westchnął.

– Więc co moglibyśmy zrobić?

Kelsier się uśmiechnął.

– A może by skierować Wielkie Rody przeciwko sobie?

Breeze się zadumał.

– Wojna Rodów... – mruknął, pociągając łyk wina. – Dawno czegoś takiego w mieście nie było.

– A to znaczy, że napięcie dość długo narastało – odparł Kelsier. – Arystokracja rośnie w siłę, Ostatni Imperator zaledwie ich już kontroluje, dlatego mamy szansę, by zrzucić z siebie jego jarzmo. Wielkie Rody Luthadelu są kluczem, kontrolują handel imperialny, nie wspominając już o tym, że są właścicielami największej grupy skaa.

Kelsier wskazał na tablicę, przesuwając palce pomiędzy wersem „Chaos” a „Wielkie Rody”.

– Jeśli zdołamy zwrócić domy w Luthadelu przeciwko sobie, miasto legnie. Fortuny upadną. Nie minie wiele czasu, a na ulicach zaczną się otwarte walki. Część naszego kontraktu z Yedenem stwierdza, że damy mu możliwość przejęcia miasta dla siebie. Macie jakiś lepszy pomysł?

Breeze skinął głową.

– To niezły plan... podoba mi się pomysł, aby szlachta pozabijała się wzajemnie.

– Zawsze wolisz, kiedy ktoś za ciebie odwala robotę, Breeze – zauważył Ham.

– Drogi przyjacielu – odrzekł Breeze. – Cały sens życia zawiera się w tym, aby znaleźć sposób na zmuszenie kogoś, żeby wykonał twoją robotę. Nie wiesz nic na temat podstaw ekonomii?

Ham uniósł brew.

– Właściwie to...

– Ham, to było pytanie retoryczne – przerwał Breeze, wywracając oczyma.

– Takie są najlepsze! – odparował Ham.

– Filozofię zostaw sobie na później – rzekł Kelsier. – Skup się na zadaniu. Co myślisz o mojej sugestii?

– Może się udać – odparł Ham. – Ale jakoś nie widzę Ostatniego Imperatora, żeby pozwolił sprawom zajść aż tak daleko.

– Naszym zadaniem jest sprawić, żeby nie miał wyboru – odparł Kelsier. – Wiadomo, że pozwala się szarpać szlachcie między sobą, prawdopodobnie po to, żeby nie mogła pewnie stanąć na nogach. Podsycamy te napięcia, a potem będziemy musieli jakoś zmusić Garnizon, by się wyniósł z miasta. Kiedy Rody zaczną w najlepsze walkę, Ostatni Imperator nie będzie w stanie nic zrobić, żeby je powstrzymać, może tylko wysłać swoją gwardię pałacową na ulicę, a przecież właśnie tego chcemy.

– Może również wysłać na nas armię kolossów – zauważył Ham.

– Prawda – zgodził się Kelsier. – Ale one stacjonują dość daleko stąd. Tę kwestię musimy dokładniej rozpatrzyć. Wojska kolossów są świetne, ale muszą być trzymane z dala od cywilizowanych miast. Sam ośrodek Ostatniego Imperium jest narażony, lecz Ostatni Imperator wciąż jest pewien swojej siły. Dlaczego miałby nie być? Od wieków nie stanął przed prawdziwym zagrożeniem. Większość miast potrzebuje jedynie niewielkich sił policyjnych.

– Dwadzieścia tysięcy raczej trudno nazwać „małą” liczbą – zauważył Breeze.

– Ale to na skalę krajową – odparł Kelsier, unosząc palec. – Ostatni Imperator utrzymuje większość swoich wojsk na granicach imperium, gdzie zagrożenie rebelią jest najsilniejsze. Dlatego właśnie na niego uderzymy tutaj, w samym Luthadelu. I dlatego nam się uda.

– Oczywiście, jeśli załatwimy Garnizon – zauważył Dockson.

Kelsier skinął głową i odwrócił się, by dopisać „Wojna Rodów” pod „Wielkie Rody” i „Chaos”.

– Doskonale. Porozmawiajmy zatem o Garnizonie. Co możemy z nim zrobić?

– Cóż – mruknął Ham – historycznie rzecz ujmując, najlepszym sposobem zaangażowania dużej grupy żołnierzy jest posiadanie własnej dużej grupy żołnierzy. Stworzymy dla Yedena armię – dlaczego nie miałaby

ona zaatakować Garnizonu? Czy nie jest to w ogóle główny powód tworzenia armii?

– To się nie uda, Hammondzie. – Breeze przez chwilę przyglądał się pustej szklance po winie, po czym uniósł ją w stronę chłopaka siedzącego obok Clubsa, który natychmiast podbiegł, by ją napełnić.

– Gdybyśmy chcieli zniszczyć Garnizon – ciągnął Breeze –będziemy potrzebować własnych sił o co najmniej takiej samej liczebności. Przydałaby się nam zapewne znacznie większa armia, ponieważ nasi ludzie będą świeżo przeszkoleni. Może i bylibyśmy w stanie stworzyć armię dla Yedena – może nawet dość dużą, by przez jakiś czas utrzymała miasto. Ale czy zdołamy zebrać wystarczającą liczbę ludzi, by pokonać Garnizon w jego własnych fortyfikacjach? Możemy równie dobrze się poddać, jeśli tak wygląda nasz plan.

Grupa zamilkła. Vin poruszyła się niespokojnie w swoim fotelu, wodząc wzrokiem od jednego obecnego do drugiego. Słowa Breeze’a wywarły głębokie wrażenie. Ham otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął i oparł się, żeby to przemyśleć.

– Dobrze – rzekł wreszcie Kelsier. – Na chwilę wróćmy do Garnizonu. Spójrzmy na naszą własną armię. Jak możemy stworzyć liczne oddziały i ukryć je przed wzrokiem Ostatniego Imperatora?

– To też będzie trudne – zauważył Breeze. – Istnieje bardzo dobry powód, dla którego Ostatni Imperator tak dobrze się czuje w Środkowym Dominium. Po ulicach i kanałach krążą patrole, trudno też podróżować choć przez jeden dzień, żeby nie natknąć się na miasteczko lub plantację. Nie jest to miejsce, gdzie można stworzyć armię i nie zwrócić na siebie uwagi.

– Rebelianci mają jaskinie na północy – odparł Dockson. – Możemy ukryć tam paru ludzi.

Yeden pobladł.

– Wiesz o jaskiniach Arguois?

– Nawet Ostatni Imperator wie o nich, Yedenie – odrzekł Kelsier. – Rebelianci po prostu jeszcze nie stali się dość niebezpieczni, żeby się nimi przejmował.

– A ilu masz ludzi, Yedenie? – zapytał Ham. – W Luthadelu i dookoła, włącznie z jaskiniami. Co mamy na początek?

Yeden wzruszył ramionami.

– Może trzystu... w tym kobiety i dzieci.

– A jak ci się zdaje, ilu mogą pomieścić jaskinie? – dopytywał się Ham.

Yeden znów wzruszył ramionami.

– W jaskiniach zmieści się z pewnością więcej osób – wtrącił Kelsier. – Może dziesięć tysięcy. Byłem tam – rebelia ukrywa w nich ludzi całymi latami i Ostatni Imperator nigdy nie próbował ich zniszczyć.

– Mogę sobie wyobrazić dlaczego – odparł Ham. – Walka w jaskiniach to paskudna sprawa, zwłaszcza dla agresora. Ostatni Imperator woli zredukować liczbę porażek do minimum – jest zbyt próżny. W każdym razie dziesięć tysięcy. To przyzwoita liczba. Utrzyma pałac bez problemu – może nawet miasto, gdyby miało mury.

Dockson spojrzał na Yedena.

– Kiedy prosiłeś o armię, o jakiej liczebności myślałeś?

– Dziesięć tysięcy, cóż, myślę, że to dobra liczba – odrzekł zapytany. – W sumie... jest nawet większa, niż planowałem.

Breeze lekko przechylił szklankę i zakręcił winem.

– Nie lubię wciąż się sprzeciwiać – zwykle to robota Hammonda – ale muszę wrócić do naszego poprzedniego problemu. Dziesięć tysięcy ludzi. To nawet nie przestraszy Garnizonu. Mówimy o około dwudziestu tysiącach dobrze uzbrojonych i przeszkolonych żołnierzy.

– On ma rację, Kell – rzekł Dockson. Zapisywał w notesie przebieg spotkania.

Kelsier zmarszczył brwi.

Ham skinął głową.

– Jakkolwiek na to patrzeć, Kell, Garnizon będzie ciężkim orzechem do zgryzienia. Może powinniśmy po prostu skoncentrować się na szlachcie. Może uda nam się zasiać dość chaosu, by nawet Garnizon nie był w stanie go stłumić.

– Wątpię. Głównym zadaniem Garnizonu jest utrzymanie porządku w mieście – rzekł Kelsier. – Jeśli nie poradzimy sobie z tymi żołnierzami, nigdy nam się nie uda. – Spojrzał na Vin. – A ty co myślisz? Jakieś sugestie?

Zamarła. Camon nigdy nie pytał jej o zdanie. Czego Kelsier chce od niej? Skuliła się w fotelu, kiedy sobie zdała sprawę, że wszystkie spojrzenia są skierowane na nią.

– Ja... – zaczęła.

– Och, nie zawstydzaj biedaczki, Kelsier! – rzekł Breeze, machając ręką.

Vin skinęła głową, ale Kelsier nie ustępował:

– Nie, naprawdę chcę wiedzieć. Powiedz, co myślisz, Vin. Masz znacznie silniejszego wroga, który ci zagraża. Co robisz?

– Cóż – odparła ostrożnie. – Nie możesz z nim walczyć, to oczywiste. Nawet jeśli jakimś cudem zwyciężysz, będziesz tak poraniony i rozbity, że nie zmierzysz się już z nikim innym.

– To ma sens – odparł Dockson. – Możemy nie mieć wyboru. Musimy jakoś pozbyć się tej armii.

– A gdyby po prostu wyszła z miasta? – zapytała. – Czy to by wystarczyło? Gdybym musiała walczyć z kimś wielkim, próbowałabym odwrócić jego uwagę, skłonić, żeby zostawił mnie w spokoju.

Ham zachichotał.

– Życzę szczęścia w wywabianiu Garnizonu z Luthadelu. Ostatni Imperator wysyła czasem na partol niewielkie oddziały, ale jedynym przypadkiem, kiedy cały Garnizon opuścił miasto, była rebelia skaa, która wybuchła w Courteline pół wieku temu.

Dockson pokręcił głową.

– Pomysł Vin jest zbyt dobry, żeby go tak po prostu odrzucić. Naprawdę nie możemy walczyć z Garnizonem. Jeśli problem nie będzie wystarczająco poważny, Ostatni Imperator nie wyśle całego Garnizonu. Jeśli będzie zbyt niebezpieczny, stchórzy i wyprowadzi kolossy.

– Bunt w jednym z pobliskich miasteczek? – podsunął Ham.

– Problem pozostaje ten sam i nic się nie zmienia – rzekł Kelsier, potrząsając głową. – Jeśli nie możemy zmusić skaa do buntu tutaj, to jak mamy to uczynić ze skaa z innego miasta?

– A może jakaś finta? – podsunął Ham. – Przyjmujemy, że uda nam się zebrać dużą grupę żołnierzy. Jeśli sfingujemy atak gdzieś niedaleko, Ostatni Imperator może wyśle Garnizon na pomoc?

– Wątpię, by go wysłał na pomoc innemu miastu – odparł Breeze. – Zwłaszcza jeśli to sprawi, że w Luthadelu będzie odsłonięty.

Zebrani znów zamilkli. Vin rozejrzała się i stwierdziła, że Kelsier przygląda jej się uważnie.

– Co? – zapytał.

Znów się skuliła i spuściła wzrok.

– Jak daleko są Czeluście Hathsin? – zapytała.

Breeze parsknął śmiechem.

– O nie, to naprawdę perwersja! Szlachta nie wie, że w Czeluściach wydobywa się atium, więc Ostatni Imperator nie będzie mógł robić zbyt dużego zamieszania, żeby nie ujawnić, że jest w nich coś ważnego. A to oznacza, że nie wyśle kolossów.

– I tak by nie dotarli – odrzekł Ham. – Czeluście są tylko o kilka dni stąd. Gdyby były zagrożone, Ostatni Imperator musiałby zareagować szybko. Garnizon byłby jedyną siłą w zasięgu.

Kelsier uśmiechnął się, oczy mu błyszczały.

– A żeby zaatakować Czeluście, nie trzeba nam tak dużo ludzi. Wystarczy około tysiąca. Wyślemy ich do ataku, a kiedy Garnizon wyjdzie z miasta, wprowadzimy naszą drugą, większą grupę i zajmiemy Luthadel. Zanim Garnizon zorientuje się, że wyprowadzono go w pole, będzie tak daleko, że nie zdąży wrócić, aby powstrzymać nas przed zajęciem miasta.

– Ale czy ich utrzymamy? – zapytał Yeden.

Ham ochoczo skinął głową.

– Z dziesięciu tysiącami skaa mogę utrzymać miasto nawet przeciwko Garnizonowi. Ostatni Imperator musiałby wysłać kolossy.

– Do tej pory już będziemy mieć atium – rzekł Kelsier – a Wielkie Rody nas nie powstrzymają. Będą słabe i rozbite przez wewnętrzne konflikty.

Dockson szybko notował w swoim zeszyciku.

– Będziemy musieli skorzystać z jaskiń Yedena. Są w odległości ataku dla obu naszych celów, bliżej Luthadelu niż Czeluście. Jeśli nasza armia wyruszy stamtąd, będzie w mieście, zanim Garnizon zdoła wrócić z Czeluści.

Kelsier skinął głową.

Dockson wciąż notował.

– Muszę zacząć zbierać zapasy w jaskiniach, może wybrać się, by zobaczyć, jakie tam są warunki?

– I jak tam dostarczymy żołnierzy? – zapytał Yeden. – To tydzień drogi poza miasto, a skaa nie mogą poruszać się sami.

– Już mam kogoś, kto nam w tym pomoże – orzekł Kelsier, dopisując na tablicy„Czeluście Hathsin” obok „Garnizonu z Luthadelu”. – Mam przyjaciela, który stworzy dla nas przykrywkę, abyśmy mogli przetransportować ich barkami i kanałem na północ.

– Oczywiście przyjmując, że dotrzymasz swojej pierwszej i głównej obietnicy – rzekł Yeden. – Zapłaciłem ci za zebranie armii. Dziesięć tysięcy to duża liczba, ale wciąż nie dostałem wystarczającego wyjaśnienia, jak ich zamierzasz zdobyć. Opowiedziałem ci już o problemach rekrutacji w Luthadelu.

– Nie będziemy potrzebowali wsparcia ze strony ludności – odparł Kelsier. – Jedynie niewielkiego odsetka – w i wokół Luthadelu mamy co najmniej milion robotników. W gruncie rzeczy to będzie najłatwiejsza część planu, ponieważ znajdujemy się w obecności jednego z najlepszych Uspokajaczy świata. Breeze, liczę na ciebie i twoich Allomantów, że pomożecie nam zmusić do współpracy ładną grupę rekrutów.

Breeze pociągnął łyk wina.

– Kelsier, dobry człowieku. Wolałbym, żebyś nie używał słowa „zmusić” w odniesieniu do moich umiejętności. Ja tylko zachęcam ludzi.

– A możesz dla nas zachęcić całą armię? – zapytał Dockson.

– A ile mam czasu? – odparował Breeze.

– Rok – rzekł Kelsier. – Planujemy zacząć przyszłej jesieni. Oczywiście, jeśli Ostatni Imperator zbierze siły i zaatakuje Yedena, kiedy opanujemy miasto, możemy równie dobrze zmusić go do walki zimą.

– Dziesięć tysięcy ludzi – mruknął Breeze – zebranych spośród opornej ludności w ciągu roku. Z pewnością będzie to wyzwanie.

Kelsier zachichotał.

– W twoich ustach te słowa oznaczają „tak”. Zacznij w Luthadelu, a dopiero potem przejdź do okolicznych miast. Potrzebujemy ludzi, którzy są dość blisko, by zebrać się w jaskiniach.

Breeze skinął głową.

– Będziemy potrzebować broni i zapasów – mówił dalej Ham. – I musimy przeszkolić ludzi.

– Co do broni, mam już plan, jak ją zdobyć – odparł Kelsier. – A znajdziesz paru ludzi, którzy przeprowadziliby ćwiczenia?

Ham się zamyślił.

– Chyba tak. Znam paru żołnierzy skaa, którzy walczyli w jednej z Niszczycielskich Kampanii Ostatniego Imperatora.

Yeden pobladł.

– Zdrajcy!

Ham wzruszył ramionami.

– Większość z nich wcale nie jest dumna z tego, co zrobili – rzekł. – Ale też lubią od czasu do czasu coś jeść. To brutalny świat, Yedenie.

– Moi ludzie nigdy nie zechcą współpracować z kimś takim – rzekł Yeden.

– Będą musieli – rzekł gniewnie Kelsier. – Wiele buntów skaa upadło, ponieważ ich ludzie byli źle przeszkoleni. Zamierzamy dać ci armię dobrze wyposażonych i wyszkolonych ludzi. I niech mnie piorun strzeli, jeśli dopuszczę, byś posłał ich na rzeź tylko dlatego, że nikt ich nigdy nie nauczył, za który koniec trzyma się miecz. – Urwał i spojrzał na Hama. – Jednak sugeruję, abyś szukał ludzi, którzy mają urazę do Ostatniego Imperium, za wszystko, do czego byli zmuszani. Nie wierzę tym, których lojalność zależy od ilości skrzyńców w kieszeni.

Ham skinął głową. Kelsier odwrócił się i napisał: „Ham: szkolenie” i „Breeze: Rekrutacja” pod słowem „Oddziały”.

– Interesuje mnie twój plan zdobycia broni – rzekł Breeze. – Jak zamierzasz uzbroić dziesięć tysięcy ludzi, nie wzbudzając podejrzeń Ostatniego Imperatora? On bardzo uważnie śledzi przepływ broni.

– Możemy wykonać broń sami – stwierdził Clubs. – I sądzę, że jest to dobry pomysł. Będziemy jednak potrzebować czegoś więcej niż lasek. Potrzebujemy mieczy, tarczy i zbroi – i musimy mieć je dość szybko, żeby rozpocząć szkolenie.

– Jak zamierzasz to osiągnąć? – zapytał Breeze.

– Wielkie Rody mogą kupować broń – rzekł Kelsier. – Nie mają żadnych problemów z uzbrojeniem własnych oddziałów do swych potrzeb.

– Chcesz im ukraść broń?

Kelsier pokręcił głową.

– Nie, choć raz przeprowadzimy cokolwiek legalnie – kupimy broń. A raczej znajdzie się współczujący szlachcic, który nam ją kupi.

Clubs zaśmiał się ironicznie.

– Szlachcic współczujący skaa? Coś takiego nigdy się nie zdarzy!

– To „nigdy” nastąpiło zatem całkiem niedawno – odparł Kelsier. – Ponieważ już znalazłem kogoś, kto nam pomoże.

W pokoju zapadła cisza. Vin lekko skuliła się w fotelu, rozglądając się po twarzach pozostałych. Wydawali się zaskoczeni.

– Kto? – zapytał Ham.

– Niejaki lord Renoux – odparł Kelsier. – Przybył całkiem niedawno, Mieszka w Fellise – nie ma dość wpływów, aby się ulokować w Luthadelu. Poza tym sądzę, że rozsądne będzie, by działania lorda Renoux przebiegały z dala od Ostatniego Imperatora.

Vin przekrzywiła głowę. Fellise było małym, nieco prowincjonalnym miasteczkiem oddalonym o godzinę drogi od Luthadelu. Pracowali tam wraz z Reenem, zanim przenieśli się do stolicy. Jak Kelsier przekonał tego lorda Renoux? Czy go przekupił, czy może to znów jakaś kombinacja?

– Znam Renoux – rzekł Breeze. – To lord z Zachodu, ma wielkie wpływy w Najdalszym Dominium.

Kelsier skinął głową.

– Lord Renoux niedawno postanowił spróbować wzniesienia siebie i rodziny do statusu arystokraty. Oficjalnie przyjechał na południe, żeby rozszerzyć swoją działalność handlową. Ma nadzieję, że dostawa doskonałej broni z Południa na Północ przyniesie mu dość pieniędzy i nowych powiązań, że będzie mógł zbudować sobie fortecę w Luthadelu, zanim upłynie to dziesięciolecie.

– Ale – zaczął ostrożnie Ham – ta broń będzie teraz płynęła do nas.

– Będziemy musieli sfałszować papiery dostawcze, tak na wszelki wypadek – odparł Kelsier.

– To... to bardzo ambitna przykrywka, Kell – powiedział Ham. – Rodzina lordowska działająca na naszą korzyść.

– Ale – rzekł Breeze – przecież ty nienawidzisz szlachty, Kelsierze.

– Ten jest inny – odparł Kelsier z przebiegłym uśmieszkiem.

Wszyscy spoglądali na niego uważnie. Nie podobała im się współpraca z arystokratą. Vin bez trudu wywnioskowała to z ich min. Prawdopodobnie potęga i wpływy Renoux także nie pozostawały tu bez wpływu.

Nagle Breeze parsknął śmiechem. Rozparł się w fotelu, wychylając resztę wina.

– Ty błogosławiony szaleńcze! Zabiłeś go, prawda? Renoux – zabiłeś go i zastąpiłeś sobowtórem.

Kelsier uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Yeden zaklął, ale Ham tylko się uśmiechnął.

– No tak, teraz to zrozumiałe. Oczywiście, tylko w przypadku, jeśli jesteś tym Zwariowanym Kelsierem.

– Renoux na stałe osiedli się w Fellise – wyjaśnił Kelsier. – Będzie naszą przykrywką, jeśli zechcemy zrobić coś oficjalnie. Wykorzystam go na przykład do zakupu broni i zapasów.

Breeze skinął głową.

– Skuteczne.

– Skuteczne?! – wykrzyknął Yeden. – Zabiliście szlachcica! I to bardzo ważnego.

– Yeden, planujesz obalić całe imperium – zauważył Kelsier. – Renoux nie będzie ostatnią arystokratyczną ofiarą w tym drobnym przedsięwzięciu.

– Tak, ale podszywać się pod niego? – odparł Yeden. – To mi się wydaje nieco ryzykowne.

– Wynająłeś nas, ponieważ chcesz osiągnąć niezwykłe rezultaty, mój drogi panie – rzekł Breeze, popijając wino. – W naszym fachu niezwykłe rezultaty oznaczają często niezwykłe ryzyka.

– Redukujemy je, o ile w ogóle jest to możliwe, Yedenie – dodał Kelsier. – Mój aktor jest bardzo dobry. Jednak należy się liczyć, że to nie po raz ostatni stosujemy te metody, jeśli chcemy uzyskać efekty.

– A jeśli rozkażę wam powstrzymać się przed niektórymi działaniami? – zapytał Yeden.

– Możesz odwołać zadanie w każdej chwili – odrzekł Dockson, nie unosząc głowy znad notatek. – Ale jak długo jest w ruchu, Kelsier ma ostatnie słowo, jeśli chodzi o plany, cele i procedury. Tak właśnie teraz pracujemy i wiedziałeś o tym, kiedy nas wynajmowałeś.

Yeden pokręcił głową.

– No i co? – spytał Kelsier. – Brniemy w to dalej czy nie? Decyzja należy do ciebie, Yedenie.

– Możesz w każdej chwili wydać polecenie, a my zakończymy sprawę, przyjacielu – rzekł przyjaznym tonem Breeze. – Nie obawiaj się, że nas obrazisz. Ja na przykład bardzo lubię dostawać pieniądze za nic.

Vin zauważyła, że Yeden pobladł. Uważała, że powinien cieszyć się już z tego, że Kelsier nie zabrał mu pieniędzy i nie dźgnął nożem. Coraz bardziej jednak nabierała przekonania, że w tym towarzystwie sprawy załatwia się zupełnie inaczej.

– To szaleństwo – rzekł Yeden.

– Próba obalenia Ostatniego Imperatora? – zapytał Breeze. – Ależ tak, masz rację, w gruncie rzeczy to szaleństwo.

– Dobrze – rzekł Yeden. – Kontynuujemy.

– Doskonale – odparł Kelsier, dopisując „Kelsier: sprzęt” pod „Oddziały”. – Renoux pozwoli nam również uzyskać wejście do wyższych kręgów społecznych Luthadelu. To wielka zaleta – musimy bardzo starannie śledzić politykę Wielkich Rodów, jeśli mamy rozpętać wojnę.

– Ta wojna rodów może nie być aż tak łatwa do rozpętania, jak ci się wydaje, Kelsier – ostrzegł Breeze. – Obecna szlachta jest czujną bandą.

Kelsier się uśmiechnął.

– Dlatego dobrze, że jesteś tutaj i możesz pomóc, Breeze. Jesteś ekspertem w skłanianiu ludzi do tego, by robili to, co zechcesz – razem zaplanujemy, jak zwrócić ich przeciwko sobie. Zdaje się, że duże wojny między rodami zdarzają się co kilka stuleci, albo coś około tego. Mądrość obecnej grupy sprawi, że będą jeszcze bardziej niebezpieczni, więc podburzenie ich nie powinno być aż takie trudne. Właściwie nawet już zacząłem sam...

Breeze uniósł brew, po czym spojrzał na Hama. Zbir burknął coś, ale wyjął złotą monetę dziesięcioskrzyńcową i rzucił ją wyraźnie zadowolonemu z siebie Breeze’owi.

– O co tu znowu chodzi? – zapytał Dockson.

– Założyliśmy się – odparł Breeze. – Chodziło o to, czy Kelsier był zamieszany we wczorajszą nocną awanturę, czy nie.

– Awanturę?! – zawołał Yeden. – Jaką awanturę?

– Ktoś zaatakował Ród Venture – odrzekł Breeze. – Chodzą plotki, że to trzech pełnych Zrodzonych z Mgły zostało wysłanych, aby zamordować samego Straffa Venture.

Kelsier prychnął.

– Trzech? Straff ma zdaje się zbyt wysokie mniemanie o sobie. Nawet się nie zbliżyłem do jego lordowskiej mości. Byłem tam po atium, i żeby się upewnić, że mnie zobaczą.

– Venture nie wie dokładnie, kogo obwiniać – rzekł Breeze. – Ale ponieważ w grę wchodzi Zrodzony z Mgły, należy przypuszczać, że to ktoś z Wielkich Rodów.

– Taka była idea – odparł Kelsier. – Wysoka szlachta bardzo serio traktuje ataki Zrodzonych z Mgły... Mają między sobą niepisaną umowę, że nie będą ich używać, aby się wzajemnie mordować. Jeszcze kilka takich ataków i zaczną na siebie warczeć jak przerażone zwierzęta.

Odwrócił się i dodał pod „Wielkimi Domami” dwa hasła „Breeze” planowanie” i „Kelsier: ogólne zamieszanie”.

– W każdym razie – ciągnął Kelsier – musimy mieć oko na lokalną politykę i obserwować, które rody się sprzymierzają. A to oznacza wysłanie szpiega, by uczestniczył w ich spotkaniach.

– Czy to naprawdę konieczne? – zapytał niepewnie Yeden.

Ham skinął głową.

– To standardowa procedura przy każdym działaniu w Luthadelu. Jeśli istnieje jakaś informacja, która jest warta posiadania, zwykle pojawi się na ustach ważnych osób przy dworze. Zawsze dobrze jest mieć parę otwartych uszu, która będzie krążyła w okolicy.

– Cóż, to będzie proste – rzekł Breeze. – Sprowadź tu swojego uzurpatora i wysyłaj na przyjęcia.

Kelsier pokręcił głową.

– Niestety, lord Renoux nie będzie mógł osobiście wybrać się do Luthadelu.

Yeden zmarszczył brwi.

– Dlaczego nie? Czy nie wygląda wystarczająco podobnie, by wytrzymać konfrontację z bliska?

– Och, nie, naprawdę jest bardzo podobny do lorda Renoux – odrzekł Kelsier. – Właściwie wygląda dokładnie jak lord Renoux. Po prostu nie może znaleźć się blisko Inkwizytora...

– Ach. – Breeze pokiwał głową. – To jeden z tych. No cóż, rozumiem.

– Co? – zapytał Yeden. – Co on ma na myśli?

– Nie chciałbyś wiedzieć – odparł Breeze.

– Nie?

Breeze pokręcił głową.

– Sam wiesz, jak byłeś zaniepokojony, kiedy Kelsier powiedział, że zastąpił lorda Renoux uzurpatorem. No cóż, to jest dziesięć razy gorsze. Wierz mi, im mniej wiesz, tym lepiej się będziesz czuł.

Yeden spojrzał na Kelsiera, który uśmiechał się szeroko. Pobladł i cofnął się w fotelu.

– Chyba rzeczywiście masz rację.

Vin rozejrzała się po twarzach obecnych w pomieszczeniu. Wydawało się, że wszyscy wiedzą, o czym mowa. Będzie musiała kiedyś uważniej przyjrzeć się temu lordowi Renoux.

– W każdym razie potrzebny nam ktoś, kto będzie mógł uczestniczyć w wydarzeniach towarzyskich. Dox od tej chwili będzie odgrywał rolę siostrzeńca i spadkobiercy lorda Renoux, jakiejś dziesiątej wody po kisielu, który niedawno wkradł się w łaski lorda Renoux.

– Czekaj no, Kell – rzekł Dockson. – Nie mówiłeś mi o tym.

Kelsier wzruszył ramionami.

– Będziemy musieli znaleźć kogoś, kto będzie naszą wtyczką wśród szlachty. Uznałem, że nadajesz się do tej roli.

– Nie nadaję się – odrzekł Dockson. – Jestem spalony od czasu sprawy z Eiserem kilka miesięcy temu.

Kelsier zmarszczył brwi.

– Co? – zapytał Yeden. – Czy teraz już chcę wiedzieć, o czym rozmawiacie?

– On ma na myśli to, że ściga go Zakon – odrzekł Breeze. – Udawał szlachcica, a oni się o tym dowiedzieli.

Dockson skinął głową.

– Raz widział mnie nawet sam Ostatni Imperator. A on ma bezbłędną pamięć. Nawet gdyby udało mi się go unikać, ktoś i tak w końcu mnie rozpozna.

– Więc... – Yeden się zawahał.

– Więc musimy znaleźć kogo innego, kto będzie grał dziedzica lorda Renoux.

– Nie patrz na mnie – powiedział Yeden.

– Uwierz mi – odparł spokojnie Kelsier – nikt nawet nie miał takiego zamiaru. Clubs też odpada, jest zbyt znany wśród lokalnych rzemieślników skaa.

– Ja też odpadam – odrzekł Breeze. – Mam już kilka fałszywych osobowości wśród szlachty. Podejrzewam, że mógłbym użyć jednej z nich, ale nie pojawiłbym się wówczas na żadnym większym balu czy spotkaniu... kłopotliwe byłoby, gdybym spotkał tam kogoś, kto zna mnie pod innym nazwiskiem.

Kelsier się zamyślił.

– Ja mógłbym to zrobić – rzekł Ham. – Ale wiesz, że kiepski ze mnie aktor.

– A mój siostrzeniec? – zapytał Clubs, wskazując młodego człowieka u swego boku.

Kelsier spojrzał na chłopaka.

– Jak się nazywasz, synu?

– Lestibournes.

Kelsier uniósł brew.

– Strasznie skomplikowane. Nie masz pseudonimu?

– Jeszcze nie jezdem w łobiegu.

– Będziemy musieli nad tym popracować – mruknął Kelsier. – Zawsze mówisz tym slangiem wschodnich ulic?

Chłopak wzruszył ramionami, najwyraźniej zakłopotany, że znalazł się w centrum uwagi.

– Jakem był mały, to tam żem mieszkał.

Kelsier spojrzał na Docksona, który pokręcił głową.

– Kell, nie sądzę, by to był dobry pomysł.

– Zgadzam się. – Kelsier spojrzał na Vin i się uśmiechnął.

– Umiałabyś zagrać arystokratkę?

Vin pobladła.

– Brat dał mi kilka lekcji, ale nigdy naprawdę nie próbowałam...

– Będziesz dobra – odrzekł, dopisując „Vin: Infiltracja” pod „Wielkie Rody”. – W porządku, Yedenie, prawdopodobnie powinieneś już zacząć planowanie, jak zamierzasz kontrolować imperium, kiedy dostaniesz władzę.

Yeden skinął głową. Vin poczuła współczucie dla tego człowieka, widząc, jak wszystkie te plany – i cała nieprawdopodobna bezczelność tego spisku – go przerastają. Trudno jednak było go żałować po tym, co powiedział Kelsier na temat jej roli w całym zamachu.

Odgrywać szlachciankę? – pomyślała. Przecież na pewno znają kogoś, kto sobie poradzi lepiej ode mnie...

Breeze nie spuszczał wzroku z wyraźnie zakłopotanego Yedena.

– Nie bądź taki poważny, drogi przyjacielu – rzekł. – Nie sądzę, byś musiał rzeczywiście panować w mieście. Istnieją szanse, że złapią nas wszystkich i pozabijają, zanim to się rzeczywiście stanie.

Yeden się uśmiechnął.

– A jeśli nie? Co was powstrzyma, żeby wbić mi nóż w plecy i zatrzymać całą władzę dla siebie?

Breeze wywrócił oczyma.

– Jesteśmy złodziejami, mój drogi, nie politykami. Naród jest towarem zbyt niewygodnym, żeby zawracać sobie nim głowę. Kiedy dostaniemy atium, będziemy całkowicie zadowoleni.

– Nie mówiąc o tym, że również bogaci – dodał Ham.

– Te dwa słowa są synonimami, Hammondzie – dodał Breeze.

– Poza tym – ciągnął Kelsier, patrząc na Yedena – nie zamierzamy oddać ci we władanie całego imperium. Mam nadzieję, że rozpadnie się ono zaraz po upadku Luthadelu. Dostaniesz miasto i być może spory kawałek Środkowego Dominium, o ile będziesz w stanie przekupić lokalne armie, by cię poparły.

– A... Ostatni Imperator? – zapytał Yeden.

Kelsier się uśmiechnął.

– Wciąż zamierzam zająć się nim osobiście... muszę się tylko zorientować, jak działa Jedenasty Metal.

– A jeśli ci się to nie uda?

– No cóż – mruknął Kelsier i dopisał „Yeden: Przygotowanie i Panowanie” pod „Rebelia Skaa” – będziemy musieli znaleźć sposób, aby go wywabić z miasta. Może zdołamy skłonić go, by wyruszył wraz z armią do Czeluści zaprowadzić tam porządek.

– A co potem? – zapytał Yeden.

– Znajdziesz jakiś sposób, żeby się z nim uporać – rzekł Kelsier. – Nie wynająłeś nas po to, abyśmy zabili Ostatniego Imperatora, Yedenie, to tylko jedna z możliwych korzyści, które spróbuję osiągnąć.

– Ja też nie martwiłbym się zanadto, Yedenie – dodał Ham. – Niewiele zdoła zdziałać bez funduszy i armii. Jest potężnym Allomantą, ale nie wszechmocnym.

– Jeśli jednak się zastanowić, nieprzyjazne, zdetronizowane bóstwa to nieprzyjemni sąsiedzi – stwierdził Breeze. – I tak będziesz musiał coś z nim zrobić.

Yeden nie wydawał się zachwycony tym pomysłem, ale nie kontynuował dyskusji.

Kelsier się odwrócił.

– To chyba wszystko.

– Uhm – odrzekł Ham. – A co z Zakonem? Czy nie powinniśmy znaleźć jakiegoś sposobu, żeby mieć tych Inkwizytorów na oku?

– Pozwolę, żeby mój brat się nimi zajął – odparł Kelsier.

– Tylko spróbuj – rozległ się głos z głębi pokoju.

Vin skoczyła na równe nogi, okręciła się na pięcie i spojrzała w stronę pogrążonych w cieniu drzwi wejściowych. Stał w nich mężczyzna. Wysoki, szeroki w barach, sztywny jak posąg. Był skromnie odziany – w prostą koszulę i spodnie pod luźną kurtką skaa. Skrzyżował ręce na piersi, z niezadowoloną miną na kwadratowej twarzy, która wydawała się nieco znajoma.

Vin spojrzała na Kelsiera. Podobieństwo było oczywiste.

– Marsh?! – zawołał Yeden, zrywając się na nogi. – Marsh, to naprawdę ty! Obiecał, że włączysz się do działań, ale... Cóż, witaj z powrotem!

Twarz Marsha pozostała niewzruszona.

– Nie jestem pewien, czy wróciłem, czy nie, Yedenie. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym porozmawiać sam na sam z moim braciszkiem.

Kelsier nie wydawał się w najmniejszym stopniu onieśmielony ostrym tonem Marsha. Skinął głową w kierunku grupy.

– Na dzisiaj to wszystko, przyjaciele.

Mężczyźni wstawali powoli, omijając Marsha szerokim łukiem. Vin poszła za nimi, starannie zamykając drzwi i kierując się ku schodom, aby sprawić wrażenie, że wraca do swojego pokoju.

Niecałe trzy minuty później była już z powrotem przy drzwiach, uważnie wsłuchując się w rozmowę toczącą się wewnątrz.

Rashek to wysoki mężczyzna – oczywiście, większość Terrisan jest wysokiego wzrostu. Jest dość młody, jak na szacunek, jakim obdarzają go pozostali ze sfory. Ma charyzmę, a kobiety dworskie prawdopodobnie uznałyby go za przystojnego, na nieco brutalny sposób.

Jednakże zdumiewa mnie, że ktokolwiek słucha człowieka, który mówi z taką nienawiścią. Nigdy nie widział Khlennium, a jednak przeklina to miasto. Nie zna mnie, ale ja już widzę nienawiść i gniew w jego oczach.

7

Trzy lata nie zmieniły aż tak bardzo wyglądu Marsha. Wciąż był tą samą posępną, apodyktyczną osobą, którą Kelsier znał od dziecka. Wciąż miał w oczach ten sam błysk rozczarowania i mówił z tą samą pełną dezaprobaty miną.

Jednakże, jeśli wierzyć Docksonowi, zachowanie Marsha bardzo zmieniło się od tego dnia trzy lata temu. Kelsier wciąż nie mógł uwierzyć, że jego brat zrezygnował z przywództwa rebelii skaa. Zawsze wkładał w swoją pracę mnóstwo pasji.

Widać jednak, że i ta pasja zniknęła. Marsh podszedł bliżej, obrzucając krytycznym wzrokiem tablicę. Jego odzież była nieco poplamiona ciemnym popiołem, choć twarz miał stosunkowo czystą, jak na skaa. Stał przez chwilę, kontemplując notatki Kelsiera, po czym obejrzał się i rzucił arkusz papieru na fotel obok niego.

– Co to jest? – zapytał Kelsier, biorąc go do ręki.

– Nazwiska jedenastu ludzi, których zabiłeś zeszłej nocy – rzekł Marsh. – Uznałem, że powinieneś przynajmniej wiedzieć.

Kelsier rzucił papier w trzaskający wesoło ogień.

– Służyli Ostatniemu Imperium.

– To byli ludzie, Kelsier – warknął Marsh. – Mieli życie, rodziny. Kilku z nich było skaa.

– Zdrajcy.

– Ludzie – powtórzył Marsh. – Ludzie, którzy próbowali sobie radzić jak najlepiej z tym, co dało im życie.

– Cóż, ja robiłem to samo – odparł Kelsier. – I na szczęście to mnie życie dało zdolność do zrzucania takich ludzi jak oni z dachów budynków. Jeśli chcą stawać przeciwko mnie jako szlachta, niech i giną jako szlachta.

Twarz Marsha pomroczniała.

– Jak możesz mówić o tym z takim lekceważeniem?

– Jak, Marsh? – odparował Kelsier. – Humor to jedyne, co mi pozostało. Humor i determinacja.

Marsh prychnął cicho.

– Powinieneś się cieszyć – dodał Kelsier. – Po dziesięcioleciach słuchania twoich wykładów wreszcie postanowiłem zrobić z moimi talentami coś pożytecznego. A teraz, kiedy przyszedłeś nam pomóc, jestem pewien...

– Nie zmierzam pomóc – przerwał mu Marsh.

– Więc po co przyszedłeś?

– Żeby zadać ci pytanie. – Marsh podszedł bliżej, stając przed bratem. – Jak śmiesz to robić? Poświęciłem życie, by obalić Ostatnie Imperium. Kiedy ty i twoi złodziejscy przyjaciele świętowaliście, ja ukrywałem zbiegów. Kiedy ty planowałeś drobne włamania, ja organizowałem wypady. Kiedy ty żyłeś w luksusie, ja patrzyłem, jak dzielni ludzie umierają z głodu. – Marsh dźgnął palcem w pierś Kelsiera. – Jak śmiesz? Jak śmiesz kraść

rebelię i zabawiać się nią, jak innymi twoimi drobnymi „robotami”? Jak śmiesz wykorzystywać czyjeś marzenie, by się wzbogacić?

Kelsier odepchnął palec Marsha.

– Wcale nie o to chodzi.

– O! – zawołał Marsh, wskazując słowo „atium” na tablicy. – Po co te gierki, Kelsier? Czemu wplątujesz w to Yedena, udając, że przyjmujesz go za swojego „pracodawcę”? Czemu zachowujesz się tak, jakby skaa cię obchodzili? Wiemy przecież obaj, co tak naprawdę cię interesuje.

Kelsier zacisnął zęby i wyraźnie stracił humor.

– Nie znasz mnie już, Marsh – rzekł cicho. – Nie chodzi o pieniądze... Kiedyś miałem więcej bogactw, niż człowiek jest w stanie wydać. Tu chodzi o coś innego.

Marsh podszedł bliżej i zajrzał Kelsierowi w oczy.

– Zawsze umiałeś dobrze kłamać – rzekł.

Kelsier spojrzał na niego.

– Dobrze, myśl sobie co chcesz. Ale nie praw mi kazań. Obalenie imperium może kiedyś naprawdę było twoim marzeniem, ale teraz stałeś się już dobrym, małym skaa, siedzącym w swoim warsztaciku i obskakującym szlachciców.

– Spojrzałem prawdzie w oczy – odparł Marsh. – Tobie to nigdy nie wychodziło. Nawet jeśli mówisz poważnie o tym swoim planie, nie uda ci się. Wszystko, czego dokonała rebelia... napady, kradzieże, śmierć... nie doprowadziły do niczego. Wszelkie nasze wysiłki nie były dla Ostatniego Imperatora nawet drobną nieprzyjemnością.

– Ach – odparł Kelsier. – Ale ja jestem naprawdę nieprzyjemny, jeśli tego zechcę. Jestem czymś znacznie więcej niż tylko „drobną” nieprzyjemnością. Ludzie powiadają, że potrafię być irytujący do szaleństwa. Mogę przynajmniej to wykorzystać w dobrej sprawie, prawda?

Marsh westchnął i się odwrócił.

– Nie chodzi o „sprawę”, Kelsier. Chodzi o zemstę. Chodzi o ciebie, jak zawsze, jak zwykle. Wierzę, że nie chodzi ci o pieniądze... uwierzę nawet w to, że chcesz dostarczyć Yedenowi tę armię, za którą zdaje się ci płaci. Ale nie uwierzę, że ci zależy.

– I tutaj się mylisz, Marsh – zaoponował spokojnie Kelsier. – Zawsze się myliłeś.

Marsh zmarszczył brwi.

– Może. Ciekawe, jak się to zaczęło? Czy Yeden przyszedł do ciebie, czy ty do niego?

– A co to ma za znaczenie? – zapytał Kelsier. – Słuchaj, Marsh, potrzebuję kogoś, kto infiltruje Zakon. Ten plan nie ma szans na powodzenie, jeśli nie odkryjemy, jak mieć Inkwizytorów pod kontrolą.

Marsh obejrzał się.

– Naprawdę oczekujesz, że ci pomogę?

Kelsier skinął głową.

– Przecież dlatego tu przyszedłeś, niezależnie od tego, co mówisz. Kiedyś powiedziałeś mi, że według ciebie jestem w stanie dokonać wielkich rzeczy, jeśli tylko wyznaczę sobie szlachetny cel. No cóż, właśnie to robię, a ty mi w tym pomożesz.

– To już nie jest takie łatwe, Kell – rzekł Marsh, kręcąc głową. – Niektórzy ludzie bardzo się zmienili. Inni... odeszli.

Kelsier milczał. W pokoju panowała cisza. Ogień na kominku powoli przygasał.

– Ja też za nią tęsknię.

– Jestem pewien, że tak jest, ale... muszę być z tobą uczciwy, Kell. Pomimo tego, co zrobiła... czasem wolałbym, żebyś to nie ty był tym, który przeżył Czeluście.

– A ja żałuję tego każdego dnia.

Marsh odwrócił się i wbił w Kelsiera zimne spojrzenie. Patrzył nań Oczami Szperacza. Cokolwiek odbijało się teraz w oczach Kelsiera, musiało przekonać go ostatecznie.

– Odchodzę – rzekł. – Ale z jakiegoś powodu naprawdę tym razem wydajesz mi się szczery. Wrócę i posłucham, jaki to wariacki plan tym razem wymyśliłeś. A potem... potem się zobaczy.

Kelsier się uśmiechnął. Pod warstwą szorstkości Marsh był dobrym człowiekiem. Lepszym niż kiedykolwiek był sam Kelsier. Kiedy szedł w stronę drzwi, Kelsier pochwycił kątem oka jakiś ruch za drzwiami. Cień ruchu. Natychmiast zapalił żelazo i z jego ciała wytrysnęły niebieskie linie, łącząc go z najbliższymi źródłami metalu. Marsh naturalnie nie miał przy sobie niczego metalowego, nawet monet. Poruszanie się po mieście w sektorach skaa mogło okazać się bardzo niebezpieczne dla człowieka, który wydawałby się bodaj odrobinę bogatszy od innych.

Ktoś jednak jeszcze nie nauczył się, że nie powinien nosić na sobie metalu. Błękitne linie były cienkie i słabe – niełatwo przechodziły przez drewno – ale wystarczyły, by zlokalizować zapinkę pasa osoby, która znajdowała się w korytarzu i teraz szybko i bezszelestnie oddalała się od drzwi.

Kelsier się uśmiechnął. Dziewczyna była naprawdę zdolna. Czas, jaki spędziła na ulicy, pozostawił jednak na niej świeże blizny. Miał nadzieję, że będzie w stanie rozwinąć zdolności, pomagając jednocześnie zatrzeć blizny.

– Wrócę jutro – rzekł Marsh, przechodząc przez próg.

– Byle nie za wcześnie – odparł Kelsier, mrugając. – Mam dzisiaj jeszcze to i owo do zrobienia.

***

Vin czekała spokojnie w ciemnym pokoju, wsłuchując się w kroki, człapiące z piętra na dół. Przycupnęła przy wejściu, usiłując stwierdzić, czy obie osoby schodzą na parter, czy nie. W holu zapadła cisza i wreszcie Vin mogła odetchnąć z ulgą.

I w tym momencie nad jej głową rozległo się stukanie.

Podskoczyła, zaskoczona, i omal nie upadła. Jest dobry! – pomyślała.

Szybko rozczochrała sobie włosy i potarła oczy, by wyglądało na to, że spała. Wyciągnęła koszulę ze spodni i czekała, aż pukanie się powtórzy, zanim otwarła drzwi.

Kelsier oparł się o framugę, stojąc w smudze światła padającego z korytarza. Uniósł brew, widząc jej rozczochrane włosy.

– Tak? – zapytała, próbując udawać, że jest zaspana.

– No więc co sądzisz o Marshu?

– A bo ja wiem? – odparła. – Nie przyjrzałam się, zanim nas wyrzucił.

– Nie przyznasz się, że cię przyłapałem, co?

Vin omal nie odpowiedziała uśmiechem. Na pomoc przyszło jej tylko szkolenie Reena. „Człowiek, który chce, abyś mu zaufała, jest tym, którego najbardziej powinnaś się bać”. Wydawało jej się, jakby głos brata rozbrzmiał jej w uchu. Odkąd poznała Kelsiera, ten głos był jeszcze silniejszy, jakby jej instynkty były wyostrzone do maksimum.

Kelsier obserwował ją przez chwilę, po czym odstąpił od progu.

– Włóż tę koszulę w spodnie i chodź ze mną.

Zmarszczyła brwi.

– Dokąd idziemy?

– Zaczynamy twoje szkolenie.

– Teraz? – zapytała, spoglądając na ciemne okiennice pokoju.

– Oczywiście – odparł. – Piękna noc na spacer.

Vin uporządkowała swój strój i dołączyła do Kelsiera. Jeśli rzeczywiście chciał ją czegoś nauczyć, nie będzie się skarżyła, niezależnie od godziny. Zeszli po schodach na parter. Pracownia była ciemna, części mebli leżały wokół, pogrążone w cieniu. Kuchnia jednak była zalana jasnym światłem.

– Chwileczkę – rzekł Kelsier, kierując się ku kuchni.

Vin czekała w cieniu pracowni. Zaledwie widziała, co się dzieje w środku. Dockson, Breeze i Ham siedzieli z Clubsem i jego uczniami wokół wielkiego stołu. Stały na nim wino i ale, a mężczyźni przeżuwali skromny wieczorny posiłek z puszystych placków jęczmiennych i siekanych warzyw.

Usłyszała ich śmiech. Nie żaden rubaszny ryk, jaki często rozbrzmiewał wokół stołu Camona. Ten był łagodny, wesoły.

Nie była pewna, dlaczego nie chce tam wchodzić. Wolała pozostać w ciemnym, cichym warsztacie. Obserwowała ich jednak z mroku i nie była w stanie całkiem opanować tęsknoty.

Kelsier wrócił chwilę później, niosąc swój plecak i mały węzełek. Spojrzała na niego z zaciekawieniem. Kelsier podał jej zawiniątko.

– Prezent.

Materiał był śliski i miękki. Vin szybko się zorientowała, co to takiego. Pozwoliła, by szary materiał rozwijał się w jej palcach, odsłaniając płaszcz Zrodzonego z Mgły. Podobnie jak strój, który Kelsier miał na sobie wczoraj, był uszyty z oddzielnych wstęg materiału.

– Wyglądasz na zaskoczoną – zauważył.

– Ja... myślałam, że na to trzeba sobie jakoś zapracować.

– A co tu jest do zapracowywania? – zapytał, wyjmując własny płaszcz. – Tym właśnie jesteś, Vin.

Zawahała się, po czym narzuciła płaszcz i zawiązała. Wydawał się... inny. Ciężki i gruby na ramionach, leciutki i niekrępujący ruchów wokół rąk i nóg. Wstęgi były zeszyte na górze, pozwalając się ciasno otulić, gdyby zechciała. Poczuła się... osłonięta. Bezpieczna.

– Jakie wrażenia? – zapytał Kelsier.

– Dobrze – odrzekła.

Skinął głową, wyjmując kilka szklanych fiolek. Podał jej dwie.

– Jedną wypij teraz, drugą zostaw na później, gdyby ci była potrzebna. Potem pokażę ci, jak je przygotowywać.

Skinęła głową, wypiła zawartość pierwszej fiolki, a drugą wsunęła za pas.

– Zamówiłem dla ciebie nowe ubrania – rzekł. – Musisz się przyzwyczaić do noszenia ubrań, które nie mają w sobie żadnych metali – pasy bez sprzączek, spodnie bez klamerek. Może później, jeśli nabierzesz odwagi, znajdziemy ci jakieś kobiece suknie.

Zarumieniła się lekko.

Kelsier się zaśmiał.

– Żartuję. Jednakże wchodzisz w nowy świat i możesz stwierdzić pewnego dnia, że w niektórych sytuacjach korzystniej ci będzie wyglądać bardziej jak młoda dama, niż złodziej z szajki.

Skinęła głową i poszła za nim do drzwi frontowych sklepu. Otwarł je, odsłaniając ścianę powoli kłębiącej się mgły. Wyszedł wprost w nią. Vin zaczerpnęła głęboko tchu i ruszyła za nim.

Kelsier zamknął starannie drzwi. Brukowana ulica wydawała się Vin dziwnie cicha, a leniwie płynąca mgła sprawiała, że wszystko było odrobinę wilgotne. Nie sięgała wzrokiem dalej niż kilka metrów w każdym kierunku, a ulica zdawała się podążać donikąd, jak ścieżka wiodąca do wieczności. Nad nimi nie było nieba, tylko wirujące prądy szarości na szarości.

– Dobrze, zaczynamy – rzekł Kelsier, idąc ulicą. Vin szła tuż za nim. – Nie chodzi o Allomancję, lecz o podejście. – Wyciągnął rękę i zatoczył nią krąg. – Vin, to należy do nas. Noc, mgła... to wszystko jest nasze. Skaa unikają mgły, jakby była śmiercią. Tylko złodzieje i żołnierze wychodzą w noc, ale też się jej boją. Szlachta udaje nonszalancję, ale mgła sprawia, że źle się czują.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Mgły to twoi przyjaciele, Vin. Ukrywają cię, chronią... i dają siłę. Doktryna Zakonu... coś, czym rzadko dzielą się ze skaa... głosi, że Zrodzeni z Mgły są potomkami jedynych ludzi, którzy pozostali wierni Ostatniemu Imperatorowi po jego Wstąpieniu. Inne twierdzą, że jesteśmy czymś, co

wykracza nawet poza potęgę Ostatniego Imperatora, czymś, co się zrodziło w dniu, kiedy mgły po raz pierwszy ogarnęły tę ziemię.

Vin skinęła głową. Wydawało jej się dziwne, że Kelsier opowiada o wszystkim tak otwarcie. Budynki pełne uśpionych skaa pochylały się nad nimi z obu stron ulicy. A jednak okiennice i cisza sprawiały, że czuła się tak, jakby była z nim sam na sam. Sam na sam w jednym z najgęściej zaludnionych, zatłoczonych miast w całym Ostatnim Imperium.

Kelsier szedł dalej sprężystym krokiem, całkowicie niepasującym do otaczającego ich posępnego mroku.

– Nie powinniśmy obawiać się żołnierzy? – zapytała cicho. Jej szajki zawsze starały się unikać nocnych patroli Garnizonu.

Kelsier pokręcił głową.

– Nawet gdybyśmy byli dość nieostrożni, żeby dać się zauważyć, żaden patrol imperialny nie odważy się zaczepić Zrodzonych z Mgły. Zobaczą nasze płaszcze i będą udawać, że nas nie widzą. Pamiętaj, prawie wszyscy Zrodzeni z Mgły są członkami Wielkich Rodów, a reszta pochodzi z pomniejszych domów Luthadelu. Tak czy owak, są ważnymi osobistościami.

Vin zmarszczyła brwi.

– Więc straże po prostu ignorują Zrodzonych z Mgły?

Wzruszył ramionami.

– To w złym tonie przyznać się, że wiesz, że skradająca się po dachu postać to bardzo dystyngowany i przyzwoity lord... albo nawet dama. Zrodzeni z Mgły są tak rzadcy, że rody nie pozwalają sobie względem nich na przesądy dotyczące płci. W każdym razie większość Zrodzonych z Mgły prowadzi podwójne życie – normalnego, dworskiego arystokraty i śliskiego, szpiegującego Allomanty. Tożsamość Zrodzonych z Mgły to najściślej strzeżone tajemnice rodów – domysły, kto jest Zrodzonym, a kto nie, zawsze stanowią główny temat arystokratycznych plotek.

Kelsier skręcił w kolejną ulicę. Vin szła za nim, wciąż nieco podenerwowana. Nie wiedziała, dokąd ją zabiera, tak łatwo było się zgubić w ciemności. Może nawet nie miał konkretnego celu, a tylko przyzwyczajał ją do mgieł.

– W porządku – rzekł Kelsier. – Czas, abyś się przyzwyczaiła do podstawowych metali. Czujesz swoje ich zasoby?

Zatrzymała się. Jeśli się skoncentrowała, mogła wyczuć w sobie osiem źródeł mocy – każde nawet potężniejsze niż te dwa, które czuła pierwszego dnia, kiedy Kelsier ją testował. Od tamtej pory starała się nie korzystać ze swojego Szczęścia. Zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, że używa broni, której nigdy tak naprawdę nie rozumiała – broni, która przypadkowo zwróciła na nią uwagę Stalowego Inkwizytora.

– Zacznij je spalać, pojedynczo – polecił.

– Spalać?

– Tak to nazywamy, kiedy uruchamiasz swoje Allomanckie zdolności – wyjaśnił. – „Spalasz” metal związany z jakąś siłą. Zobaczysz, o czym mówię. Zacznij od metali, których jeszcze nie znasz, nad Uspokajaniem i Gniewem popracujemy kiedy indziej.

Skinęła głową, zatrzymując się pośrodku ulicy. Ostrożnie, nieśmiało sięgnęła ku nowym źródłom mocy. Jedno wydało jej się odrobinę znajome. Czy używała go już wcześniej, nie zdając sobie z tego sprawy? Co potrafi?

Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić... Niepewna, co właściwie ma robić, uchwyciła jedno ze źródeł mocy i spróbowała go użyć.

Natychmiast poczuła w piersi coś niczym rozbłysk gorąca. Nie było to nieprzyjemne, ale wyraźne i namacalne. Wraz z ciepłem przyszło coś innego – uczucie odmłodnienia i siły. Poczuła się... jakby trwalsza.

– Co się stało? – zapytał Kelsier.

– Czuję się inaczej – odparła. Uniosła rękę i wydało jej się, że kończyna zareagowała nieco zbyt szybko. Muskuły rwały się do ruchu. – Moje ciało jest dziwne. Nie jestem już zmęczona, przeciwnie, jestem bardzo czujna.

– Ach – odparł Kelsier. – To cyna z ołowiem. Wzmacnia zdolności fizyczne, czyni cię silniejszą, łatwiej znosisz zmęczenie i ból. Reagujesz szybciej, kiedy ją spalasz, a twoje ciało jest silniejsze.

Vin poruszyła się na próbę. Jej mięśnie nie sprawiały wrażenia ani trochę większych, ale czuła ich siłę. Nie chodziło tylko o mięśnie. O wszystko. Kości, ciało, skóra. Sięgnęła ku swojej rezerwie i poczuła, że ta się kurczy.

– Kończy się – zauważyła.

Kelsier skinął głową.

– Cyna z ołowiem pali się stosunkowo szybko. Fiolka, którą ci dałem, była obliczona na około dziesięciu minut ciągłego palenia, choć skończy się szybciej, jeśli będziesz ją częściej rozjarzać, albo wolniej, jeśli będziesz jej używać ostrożnie.

– Rozjarzać?

– Możesz palić metale nieco mocniej, jeśli spróbujesz – rzekł Kelsier. – Wtedy spalają się znacznie szybciej. Trudno to utrzymać, ale dodaje ci kopa.

Zmarszczyła brwi, próbując zrobić to, o czym mówił. Przy pewnym wysiłku zdołała spiętrzyć płomienie w swej piersi, rozjarzając cynę z ołowiem.

Odczuła to jak głęboki oddech przed odważnym skokiem. Nagły przypływ siły i energii. Jej ciało spięło się oczekiwaniem i przez krótką chwilę poczuła się niezwyciężona. A potem wszystko przeszło, a ciało się uspokoiło.

Interesujące, pomyślała, kiedy zauważyła, jak szybko wypaliła się cyna z ołowiem. Jeden krótki moment.

– Teraz jest coś, co musisz wiedzieć na temat Allomantycznych metali – rzekł Kelsier, idąc dalej w mgłę. – Im są czystsze, tym są skuteczniejsze. Fiolki, które przygotowujemy, zawierają całkowicie czyste metale, przygotowywane i sprzedawane specjalnie dla Allomantów.

– Stopy, takie jak cyna z ołowiem, są jeszcze groźniejsze, ponieważ procentowa zawartość metalu musi być dobrana bardzo starannie, by uzyskać maksymalną moc. Właściwie, jeśli nie będziesz ostrożna, kupując te metale, możesz dostać całkiem inny stop.

Vin zmarszczyła czoło.

– Mówisz, że ktoś może mnie oszukać?

– Nie umyślnie – odparł Kelsier. – Chodzi o to, że większość nazw, jakie stosują ludzie, słowa takie jak „brąz”, „mosiądz” i „cyna” są niejasne, jeśli dobrze się temu przyjrzeć. Cyna na przykład, jest uważana za stop cyny z ołowiem, czasem z odrobiną miedzi lub srebra, w zależności od zastosowania i okoliczności. Cyna Allomantyczna jednak to stop dziewięćdziesięciu jeden procent cyny i dziewięciu procent ołowiu. Jeśli chcesz uzyskać z tego metalu jak największą siłę, musisz stosować te proporcje.

– A jeśli... proporcje będą niewłaściwe? – zapytała Vin.

– Jeśli mieszania jest tylko trochę inna, wciąż możesz z niej wyciągnąć nieco energii – odparł. – Jednak, jeżeli proporcja jest rzeczywiście niewłaściwa, spalając ją możesz się rozchorować.

Vin skinęła powoli głową.

– Ja... mam wrażenie, że przedtem już spalałam te metale. Czasami, w niewielkich ilościach.

– Metale śladowe – potwierdził. – Piłaś wodę zanieczyszczoną metalami albo jadłaś cynowymi sztućcami.

Przytaknęła. Niektóre kubki w kryjówce Camona były cynowe.

– Dobrze – odrzekł Kelsier. – Wygaś energię i przechodzimy do kolejnego metalu.

Posłusznie wygasiła cynę. Zniknięcie energii sprawiło, że poczuła się słaba, zmęczona i obnażona.

– Teraz – ciągnął Kelsier – powinnaś już rozróżniać pewne pary, jakie tworzą się w twoich rezerwach metali.

– Jak dwa metale emocji – zauważyła.

– Właśnie. Znajdź metal związany z energią.

– Widzę go – odrzekła.

– Dla każdego rodzaju energii są dwa metale. Jeden Odpycha, drugi Przyciąga... ten drugi zwykle jest stopem pierwszego. Dla emocji – zewnętrznych sił umysłu – Odpychanie to cynk, a Przyciąganie to mosiądz. Właśnie użyłaś cyny z ołowiem, aby Pchnąć swoje ciało. To jedna z twoich wewnętrznych sił fizycznych.

– Jak Ham – odrzekła. – On spala cynę z ołowiem.

Kelsier skinął głową.

– Mgliści którzy potrafią spalać cynę z ołowiem są zwani Zbirami. Nieprzyjemne określenie, ale i oni nie są przyjemnymi ludźmi. Nasz drogi Hammond jest miłym wyjątkiem od tej zasady.

– A zatem co robią inne wewnętrzne metale fizyczne?

– Spróbuj, sama zobaczysz.

Vin ochoczo spełniła polecenie i świat wokół niej nagle pojaśniał. Albo... nie, nie pojaśniał. Mogła widzieć lepiej i dalej, choć mgła wciąż tam była. Były tylko... nieco bardziej przezroczyste. Otaczające światło też wydawało się jakby jaśniejsze.

Były też inne zmiany. Czuła swoją odzież. Zdała sobie sprawę z tego, że zawsze ją czuła, ale zwykle to ignorowała. Teraz jednak czuła ją bliżej. Wyczuwała strukturę tkanin i bardzo wyraźnie uświadamiała sobie miejsce, gdzie ubranie przylegało ciasno do ciała.

Była głodna. To też ignorowała, ale teraz jej głód wydawał się znacznie bardziej intensywny. Jej skóra wydawała się wilgotniejsza, czuła też ostre

powietrze zmieszane z zapachami brudu, sadzy i odchodów.

– Cyna wyostrza twoje zmysły – wyjaśnił Kelsier. Jego głos wydawał się nagle bardzo głośny. – I jest to jeden z najwolniej spalających się metali. Cyny w fiolce wystarczy na całe godziny. Większość Zrodzonych pozostawia zapaloną cynę zawsze, kiedy wychodzą w mgłę. Ja nie gasiłem jej od chwili, kiedy opuściliśmy sklep.

Vin skinęła głową. Bogactwo wrażeń było oszałamiające. Słyszała trzaski i szuranie w ciemności, z trudem powstrzymywała się od nerwowych gestów, odnosząc wrażenie, że ktoś skrada się za jej plecami.

Dość trudno będzie się do tego przyzwyczaić.

– Niech się pali – rzekł Kelsier i oboje znów ruszyli ulicą. – Musisz się przyzwyczaić do wyczulonych zmysłów. Tylko nie rozjarzaj jej nieustannie. Po pierwsze, bardzo szybko ci się wyczerpie, a po drugie, ciągłe rozjarzanie metali robi... z ludźmi dziwne rzeczy.

– Dziwne? – zapytała.

– Metale, zwłaszcza cyna i jej stop z ołowiem, rozciągają ciało. Rozjarzanie metali powoduje jeszcze dalsze rozciągnięcie. Jeśli rozciągniesz je za bardzo, wszystko zacznie się rwać.

Vin skinęła niepewnie głową. Kelsier zamilkł, szli teraz w ciszy, co pozwalało jej zbadać nowe uczucia i szczegóły, jakie odsłaniała przed nią cyna. Przedtem jej widzenie było ograniczone do niewielkiego bąbla w ciemności. Teraz jednak widziała całe miasto otulone całunem tańczącej, wirującej mgły. Mogła rozróżnić twierdze – małe, ciemne góry, w których dostrzegała światełka w oknach, jak dziurki przekłute szpilką w nocy. A wyżej... ujrzała światła na niebie.

Przystanęła w zachwycie, z zadartą głową. Były malutkie, zamglone nawet dla jej wzmocnionego cyną wzroku. Musiała to być szczególnie jasna noc. Ludzie kiedyś często wychodzili i patrzyli w niebo – tak było, dopóki nie pojawiły się mgły, zanim Popielne Rumaki nie rozsypały po niebie popiołu i dymu.

Spojrzała na swego towarzysza.

– Skąd wiedziałeś?

Kelsier się uśmiechnął.

– Ostatni Imperator bardzo się starał zetrzeć nasze wspomnienia tamtych dni. – Odwrócił się i szedł dalej. Podążyła za nim. Nagle, z cyną, wszystko

wokół przestało być takie złowróżbne. Zaczęła rozumieć, dlaczego Kelsier porusza się w mroku z taką pewnością siebie.

– Dobrze – rzekł wreszcie Kelsier. – Spróbujmy kolejnego metalu.

Skinęła głową, pozostawiając zapaloną cynę, ale jednocześnie wybierając kolejny metal do zapalenia. Kiedy to zrobiła, stało się coś dziwnego – z jej piersi wytrysnął pęk niebieskich promieni, które znikały we mgle. Zamarła i jęknęła cicho, spoglądając na swoją pierś. Większość linii była cienka, jak przezroczyste kawałki szpagatu, choć kilka było grubych jak przędza.

Kelsier zachichotał.

– Zostaw na chwilę ten metal i jego partnera. Są nieco bardziej skomplikowane od innych.

– Co...? – zapytała Vin, obserwując linie i wodząc wzdłuż nich wzrokiem. Wskazywały na różne obiekty. Drzwi, okna... kilka nawet na samego Kelsiera.

– Dojdziemy do tego – obiecał. – Wygaś ten i spróbuj jednego z dwóch ostatnich.

Vin wygasiła dziwny metal, zignorowała jego towarzysza i wybrała jeden z ostatnich. Natychmiast odczuła dziwne wibracje. Zatrzymała się. Impulsy nie wydawały się słyszalne, ale czuła, jak ją opływają. Zupełnie jakby pochodziły od Kelsiera. Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– Prawdopodobnie brąz – wyjaśnił. – Wewnętrzny metal Pociągający umysł. Pozwala ci wyczuć, że ktoś w pobliżu stosuje Allomancję. Używają go Szperacze, jak mój brat. Ogólnie nie jest zbyt użyteczny, o ile nie jesteś Stalowym Inkwizytorem poszukującym Mglistych skaa.

Vin pobladła.

– Inkwizytorzy używają Allomancji?

Skinął głową.

– Wszyscy są Szperaczami. Nie jestem pewien, czy to dlatego, że na Inkwizytorów wybiera się Szperaczy, czy proces stawania się Inkwizytorem zwiększa tę moc. Tak czy tak, ich głównym zadaniem jest wyszukiwanie bękartów i szlachty, którzy niewłaściwie korzystają z Allomancji, i jest to dla nich użyteczna umiejętność. Niestety „użyteczna” dla nich, dla nas oznacza „raczej irytującą”.

Chciała przytaknąć, ale zamarła. Pulsowanie ucichło.

– Co się stało? – zapytała.

– Zacząłem palić miedź – odparł. – Towarzyszkę brązu. Kiedy spalasz miedź, ukrywa ona twoje moce przed innymi Allomantami. Możesz teraz spróbować, choć pewnie wiele nie wyczujesz.

Vin posłuchała. Jedyną zmianą okazała się lekka wibracja, jaką odczuła.

– Miedź to bardzo ważny metal. Musisz się go nauczyć – rzekł Kelsier. – Ukryje cię przed Inkwizytorami. Prawdopodobnie dzisiaj nie mamy się czego obawiać – Inkwizytorzy uznają, że jesteśmy zwyczajnymi Zrodzonymi z Mgły szlachetnego pochodzenia, którzy wyszli się podszkolić. Jednak, jeśli kiedykolwiek będziesz w stroju skaa i zaczniesz spalać metale, upewnij się, że najpierw zaczęłaś palić miedź.

Skinęła głową.

– Właściwie – rzekł Kelsier – wielu ze Zrodzonych przez cały czas pali miedź. Miedź pali się powoli, a jednocześnie czyni cię niewidzialnym przed innymi Allomantami. Ukrywa cię przed brązem i, co najważniejsze, nie pozwala innym manipulować twoimi uczuciami.

Ożywiła się wyraźnie.

– Pomyślałem, że cię to może zainteresować – odparł. – Każdy, kto pali miedź, jest niewrażliwy na Allomancję uczuciową. Dodatkowo, wpływ miedzi działa jak bąbel. Taka chmura, nazwijmy ją chmurą miedzi, ukrywa każdego w swoim zasięgu przed wpływem Szperacza, choć nie chroni go przed wpływem emocjonalnej Allomancji, jak ciebie.

– Clubs – stwierdziła Vin. – Tym się zajmuje Dymiarz.

Kelsier skinął głową.

– Jeśli ktoś z naszych ludzi zostanie spostrzeżony przez Szperacza, mogą uciec do kryjówki i zniknąć. Mogą również ćwiczyć swoje zdolności bez obawy o wykrycie. Impulsy Allomantyczne pochodzące ze zwykłego sklepu w sektorze skaa szybko by nas zdradziły przed przechodzącym Inkwizytorem.

– Tak, ale skoro ty możesz palić miedź – zapytała – po co szukałeś Dymiarza dla grupy?

– To prawda, że mogę palić miedź – odrzekł. – Ty również. Możemy używać wszystkich mocy, ale nie możemy być wszędzie naraz. Mądry przywódca wie, jak podzielić zadania, zwłaszcza w tak wielkim przedsięwzięciu. Standardowa praktyka to posiadanie w kryjówce przez cały czas jednego Dymiarza. Clubs nie robi wszystkiego sam – kilku z jego uczniów to także Dymiarze. Kiedy wynajmujesz takiego człowieka jak

Clubs, to oczywiste, że dostarcza ci on bazy wypadowej i grupy Dymiarzy dość kompetentnych, aby ukrywali nas przez cały czas.

Vin skinęła głową. Była jednak bardziej zainteresowana zdolnością miedzi do ukrywania jej uczuć. Będzie potrzebowała wystarczająco bogatego źródła, żeby cały czas ją palić.

Znów ruszyli przed siebie i Kelsier dał jej nieco więcej czasu, by przywykła do palenia cyny. Jej umysł jednak zaczął wędrować swoimi ścieżkami. Coś wydawało jej się nie całkiem... prawidłowe. Po co Kelsier mówił jej to wszystko? Wydawało się, że zbyt łatwo dzieli się swoimi sekretami.

Z wyjątkiem jednego, pomyślała. Metal z błękitnymi liniami. Nie wrócił już do niego. Możliwe, że właśnie to chciał przed nią ukryć, skorzystać z tej mocy, by zachować nad nią kontrolę.

Musi być potężny. Najpotężniejszy ze wszystkich ośmiu.

Vin ostrożnie sięgnęła ku niemu. Nie spuszczając Kelsiera z oka, zapaliła ów nieznany metal. I znów wokół niej pojawiły się linie, wskazując w pozornie przypadkowych kierunkach.

Linie poruszały się wraz z nią. Jeden koniec każdej wychodził z jej piersi, drugi zaś jakby był przywiązany do danego miejsca wzdłuż ulicy. Kiedy szła, jedne linie się pojawiały, inne znikały za jej plecami. Były różnej szerokości, a niektóre jaśniejsze od innych.

Z zaciekawieniem sprawdziła je umysłem, usiłując odkryć ich sekret. Wybrała jedną, szczególnie cienką i niewinnie wyglądającą i stwierdziła, że jeśli się skoncentruje, może ją wyczuwać osobno. Miała prawie wrażenie, jakby mogła jej dotknąć. Sięgnęła myślą i pociągnęła lekko.

Linia zadrżała i coś natychmiast wystrzeliło z ciemności w jej kierunku. Vin pisnęła i spróbowała odskoczyć, ale obiekt – zardzewiały gwóźdź – leciał wprost ku niej.

Nagle coś złapało go w powietrzu, przechwyciło i wyrzuciło z powrotem w mrok.

Vin wstała z przewrotu, po którym wylądowała w kucki. Mgielny płaszcz łopotał wokół niej. Rozejrzała się, próbując przebić noc wzrokiem, po czym spojrzała na Kelsiera, który śmiał się cicho.

– Powinienem był wiedzieć, że spróbujesz – rzekł.

Zarumieniła się.

– Daj spokój. – Machnął ręką. – Nic się nie stało.

– Ten gwóźdź mnie zaatakował!

Czy ten metal ożywia przedmioty? To rzeczywiście byłoby niezwykłe.

– Właściwie to sama siebie zaatakowałaś – odparł.

Wstała ostrożnie i podeszła do niego, po czym oboje znów ruszyli przed siebie.

– Za chwilę wyjaśnię ci, co zrobiłaś – obiecał. – Najpierw jednak musisz coś zrozumieć, jeśli chodzi o Allomancję.

– Jeszcze jedna zasada?

– Raczej filozofia – odrzekł Kelsier. – Chodzi o konsekwencje.

Vin zmarszczyła brwi.

– Co masz na myśli?

– Każde działanie, które podejmujemy, ma swoje konsekwencje, Vin – wyjaśnił Kelsier. – Stwierdziłem, że zarówno w Allomancji, jak i w życiu, sukces odniesie jedynie osoba, która będzie umiała ocenić konsekwencje swoich działań. Weź na przykład spalanie cyny z ołowiem. Jakie są konsekwencje?

Wzruszyła ramionami.

– Stajesz się silniejszy.

– A co się stanie, jeśli niesiesz coś ciężkiego i w tym czasie twoje zasoby cyny z ołowiem się wyczerpią?

Zamyśliła się.

– Chyba to upuszczę.

– A jeśli jest to coś ciężkiego, możesz sobie zrobić krzywdę. Niejeden Mglisty Zbir nie zauważył niebezpiecznej rany w walce, by potem od niej umrzeć, kiedy cyna z ołowiem się skończyła.

– Rozumiem – odparła cicho Vin.

– Ha!

Vin podskoczyła, przerażona, zatykając dłońmi nadwrażliwe uszy.

– Au! – jęknęła, patrząc z urazą na Kelsiera.

Uśmiechnął się.

– Spalanie cyny też ma swoje konsekwencje. Jeśli ktoś nagle zaatakuje cię jaskrawym światłem lub dźwiękiem, możesz zostać oślepiona lub ogłuszona.

– Ale co to ma wspólnego z dwoma ostatnimi metalami?

– Stal i żelazo dają ci możliwość manipulowania innymi metalami wokół ciebie – wyjaśnił Kelsier. – Za pomocą żelaza możesz Przyciągnąć do

siebie metalowy obiekt. Za pomocą stali możesz go Odepchnąć. No, jesteśmy na miejscu.

Przystanął, podnosząc wzrok.

Poprzez mgłę Vin widziała wznoszące się nad nimi potężne mury miejskie.

– Co tu robimy?

– Będziemy ćwiczyć Pociąganie Żelaza i Odpychanie Stali – wyjaśnił Kelsier. – Ale najpierw parę podstaw.

Wyjął zza pasa spinkę, najniższy nominał monety. Pokazał jej go w palcach i odsunął się na bok.

– Zapal stal, partnera metalu, który paliłaś wcześniej.

Vin skinęła głową. Niebieskie linie znów wytrysnęły z jej piersi. Jedna wskazywała prosto na monetę, trzymaną przez Kelsiera w palcach.

– Dobrze – rzekł Kelsier. – A teraz ją Pchnij.

Vin sięgnęła ku właściwej linii i Odepchnęła ją lekko. Moneta wyrwała się z palców Kelsiera i wystrzeliła ku ścianie. Vin koncentrowała się na niej, Odpychając monetę od siebie do momentu, aż ta zatrzymała się na ścianie najbliższego domu i z brzękiem przywarła do niej.

Vin mocnym szarpnięciem nagle została gwałtownie odrzucona w tył. Kelsier chwycił ją i uchronił przed upadkiem.

Potknęła się, ale po chwili odzyskała równowagę. Po drugiej stronie ulicy moneta, teraz uwolniona od jej wpływu, spadła na bruk.

– Co się stało? – zapytał Kelsier.

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Odpychałam monetę, a ona leciała, ale kiedy uderzyła w ścianę, to ja zostałam odepchnięta.

– Dlaczego?

Zamyśliła się.

– Zdaje się... zdaje się że skoro moneta nie mogła lecieć dalej, to ja musiałam...

Kelsier skinął głową.

– Konsekwencje, Vin. Odpychając stal, używasz własnego ciężaru. Jeśli jesteś o wiele cięższa od twojego zakotwienia, ono odleci od ciebie jak moneta. Jednak, jeśli obiekt jest o wiele cięższy od ciebie, albo jeśli staje się czymś cięższym, to ty zostaniesz Odepchnięta. Podobnie jest z Pociąganiem żelaza. Albo ty jesteś Pociągana w kierunku obiektu, albo on

w twoim. Jeśli wasze ciężary są podobne, będziecie poruszać się jednocześnie. Oto wielka sztuka Allomancji, Vin. Wiedzą o tym, jak dużo lub jak mało się poruszysz, kiedy palisz stal, da ci znaczną przewagę nad twoimi przeciwnikami. Przekonasz się, że te dwie umiejętności są najbardziej uniwersalne i przydatne ze wszystkich.

Skinęła głową.

– A teraz pamiętaj – ciągnął. – W obu przypadkach siła, z jaką Odpychasz lub Przyciągasz, jest skierowana wprost na ciebie lub od ciebie. Nie możesz przerzucać przedmiotów wokół siebie za pomocą umysłu. Allomancja nie działa w ten sposób, ponieważ świat fizyczny również w ten sposób nie działa. Kiedy pchasz coś – Allomancją lub rękami – przedmiot porusza się dokładnie w przeciwnym kierunku. Siła, reakcja, konsekwencje. Rozumiesz?

Znów skinęła głową.

– Dobrze – rzekł Kelsier. – A teraz hop na drugą stronę tego muru.

– Co?

Pozostawił ją oszołomioną na środku drogi. Obserwowała, jak podchodzi pod podnóże muru, i szybko dołączyła do niego.

– Jesteś szalony! – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Zdaje się, że mówisz mi to dzisiaj już po raz drugi. Lepiej uważaj, gdybyś posłuchała wszystkich wokoło, dowiedziałabyś się już, że mój rozum opuścił mnie dawno temu.

– Kelsierze – odrzekła, mierząc wzrokiem mur. – Nie mogę... to znaczy do dzisiaj nigdy nie próbowałam Allomancji!

– Nie, ale szybko się uczysz – rzekł Kelsier, wyciągając spod płaszcza pas. – Masz, włóż to. Ma przymocowane metalowe obciążniki. Jeśli coś pójdzie źle, prawdopodobnie będę mógł cię złapać.

– Prawdopodobnie? – zapytała nerwowo, zapinając pas.

Kelsier uśmiechnął się i rzucił na ziemię spory kawałek metalu.

– Ustaw sztabkę dokładnie pod sobą i pamiętaj, że masz Pchać stalą, a nie Ciągnąć żelazem. Nie przestawaj Odpychać, dopóki nie znajdziesz się równo ze szczytem muru.

A potem schylił się i skoczył.

Wystrzelił w powietrze, jego postać natychmiast zniknęła w kłębiącej się mgle. Vin czekała przez chwilę, ale Kelsier nie spadł i nie rozbił się o bruk.

Wszędzie panowała cisza, nawet dla jej wzmocnionego słuchu. Mgła tańczyła wesoło wokół niej. Kusiła. Droczyła się z nią.

Spojrzała znów na sztabkę, paląc stal. Niebieska linia zabłysła słabym, upiornym światłem. Vin spojrzała w górę i po raz ostatni w dół.

Wreszcie odetchnęła głęboko i z całej siły Odepchnęła się od sztabki.

Będzie bronił ich wiedzy, ale będzie postępował wbrew niej. Będzie ich zbawcą, lecz oni nazwą go heretykiem. Jego imię będzie Niezgoda, ale będą go za to kochać.

8

Vin wystrzeliła w powietrze. Z trudem stłumiła krzyk, pamiętając, aby Odpychać dalej pomimo strachu. Kamienna ściana śmigała w dół z ogromną prędkością o kilka stóp od niej. Ziemia w dole znikła, a błękitna linia wskazująca na sztabkę stawała się coraz cieńsza i bledsza.

Co się stanie, jeśli zniknie całkiem?

Zaczęła zwalniać. Im słabsza była linia, tym bardziej zwalniała. Po kilku sekundach lotu zatrzymała się i pozostała zawieszona w powietrzu ponad ledwie widoczną niebieską kreską.

– Zawsze lubiłem widok stąd.

Spojrzała w bok. Kelsier stał niedaleko od niej, była tak skoncentrowana, że nie zauważyła, że znajduje się o kilka stóp od szczytu muru.

– Pomóż! – zawołała, ciągle Odpychając się desperacko, żeby nie spaść. Mgły pod jej stopami wirowały i tańczyły.

– Nie musiałaś się bardzo martwić – rzekł Kelsier. – Łatwiej jest utrzymać równowagę w powietrzu, jeśli masz trójkąt kotwic, ale z jedną też sobie poradzisz. Twoje ciało jest przyzwyczajone do samorzutnego odzyskiwania równowagi. Część tego, czego nauczyłaś się przy chodzeniu, dotyczy również Allomancji. Jak długo pozostajesz nieruchomo, wisząc na samym skraju twojej umiejętności Odpychania, będziesz całkiem stabilna, twój umysł i ciało skorygują każde odchylenie od podstawowego środka twojego zakotwienia w dole, nie pozwalając spadać ci na boki. Gdybyś teraz Odepchnęła się od czegoś innego, lub poruszyła za daleko w bok, no cóż... straciłabyś zaczepienie w dole i nie odpychałabyś się. I wtedy byłyby problemy – spadłabyś jak ołowiany ciężarek z wysokiego słupa.

– Kelsier... – szepnęła.

– Mam nadzieję, że nie boisz się wysokości, Vin – odparł. – To byłby spory problem dla Zrodzonego z Mgły.

– Nie... boję... się... wysokości – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Ale też nie jestem przyzwyczajona, by wisieć w powietrzu sto stóp nad tą cholerną ulicą!

Kelsier zachichotał, a Vin poczuła potężne pociągnięcie za pas i poleciała w kierunku muru. Chwycił ją i przeniósł ponad kamienną poręczą, po czym postawił na szczycie, obok siebie. Wysunął rękę przez poręcz i po chwili sztabka wystrzeliła w górę, szorując po murze, aby wskoczyć w jego dłoń.

– Dobra robota – rzekł. – Teraz w dół.

Rzucił sztabkę przez ramię, wprost w ciemne mgły po drugiej stronie muru.

– Naprawdę wybieramy się na zewnątrz? – dopytywała się Vin. – Poza mury miasta? Nocą?

Kelsier uśmiechnął się znów w ten sam, irytujący sposób. Podszedł i wspiął się na blanki.

– Kontrolowanie siły Odpychaniem i Pociąganiem jest trudne, ale możliwe. Lepiej trochę spaść, potem się Odepchnąć, żeby zwolnić. Puścić, znowu trochę spaść i Odepchnąć się znowu. Jeśli dobierzesz właściwy rytm, dotrzesz na dół całkiem bezpiecznie.

– Kelsier? – zawołała, podchodząc do muru. – Ja...

– Jesteś teraz na szczycie murów, Vin – rzekł, robiąc krok i zawisając w powietrzu. Unosząc się lekko, w równowadze, dokładnie tak, jak jej to

opisywał. – Są tylko dwie możliwe drogi na dół. Albo skaczesz, albo będziesz musiała zostać i wyjaśnić patrolowi strażników, czemu Zrodzona z Mgły musi użyć ich schodów.

Vin obejrzała się z troską i zobaczyła kołyszące się w ciemnej mgle światło latarni.

Obejrzała się na Kelsiera, ale jego już nie było. Zaklęła, wychyliła się przez mur i desperacko spojrzała w dół, w kłęby mgły. Nie miała lęku wysokości, ale kto by się nie bał, stojąc na murze i spoglądając w przepaść, gdzie czeka go zguba? Poczuła mrowienie w sercu i ucisk w żołądku.

Mam nadzieję, że Kelsier zszedł mi z drogi, pomyślała, sprawdzając niebieską linię, by się upewnić, że jest dokładnie nad sztabką. Zeszła z muru.

Natychmiast zaczęła spadać. Odepchnęła się odruchowo stalą, ale jej trajektoria była niewłaściwa, zaczęła spadać w bok od sztabki, nie na nią. W konsekwencji jej manewr Odepchnął ją jeszcze dalej i zaczęła spadać.

Przerażona Pchnęła raz jeszcze, tym razem mocniej, rozjarzając stal. Nagły wysiłek podrzucił ją w górę. Zatoczyła krótki łuk wzdłuż szczytu muru. Przechodzący strażnicy podskoczyli przerażeni, ale ich twarze po chwili stały się niewidoczne, a Vin znów spadała w kierunku ziemi.

Otumaniona przerażeniem odruchowo sięgnęła i Pociągnęła sztabkę, usiłując skierować się ku niej. Sztabka posłusznie wyleciała jej na spotkanie.

Koniec ze mną.

Nagle jej ciało podskoczyło, pociągnięte za pas. Zaczęła spadać wolniej, a po chwili dryfowała łagodnie w powietrzu. Z mgły wyłonił się Kelsier, stał tuż pod nią i – oczywiście – uśmiechał się.

– No i co, wesoło było – rzekł.

Nie odpowiedziała.

Kelsier usiadł na pobliskim kamieniu, dając jej czas, aby ochłonęła. Wreszcie zapaliła trochę cyny z ołowiem, żeby uczucie pewności pomogło jej uspokoić nerwy.

– Dobrze sobie poradziłaś – rzekł Kelsier.

– Prawie się zabiłam.

– Każdy tak ma za pierwszym razem – odparł Kelsier. – Odpychanie stalą i Przyciąganie żelazem to niebezpieczne umiejętności. Możesz przebić się kawałkiem metalu, który przyciągniesz do swojego ciała, możesz

skoczyć i pozostawić swoją kotwicę zbyt daleko albo popełnić dziesiątki innych błędów. Moje doświadczenie, choć także ograniczone, jest takie, że lepiej wcześniej znaleźć się w tak skrajnych okolicznościach, kiedy ktoś może nad tobą czuwać. W każdym razie teraz chyba rozumiesz, dlaczego każdy Allomanta stara się nosić na sobie możliwie jak najmniej metalu.

Vin skinęła głową, po czym zawahała się i sięgnęła ręką do ucha.

– Mój kolczyk – szepnęła. – Muszę przestać go nosić.

– Czy to klips? – zapytał.

Pokręciła głową.

– To mała zatyczka, pręcik z tyłu zagina się w dół.

– Więc nic się nie stanie – odparł Kelsier. – Metale w twoim ciele nie mogą być Odpychane ani Przyciągane. Inaczej inni Allomanci mogliby ci wyrywać metale z żołądka, kiedy je spalasz.

Dobrze wiedzieć, pomyślała.

– Dlatego też Inkwizytorzy chodzą tak spokojnie z parą stalowych szpil wystających im z głów. Metal przebija ich ciała, więc jest nieosiągalny dla innego Allomanty. Zachowaj kolczyk, jest mały, wiele z nim nie zdziałasz, ale w razie potrzeby możesz go użyć jako broni.

– Dobrze.

– A teraz jesteś gotowa, żeby iść?

Spojrzała w górę, na mur, szykując się do kolejnego skoku. Skinęła głową.

– Nie wracamy – rzekł Kelsier. – Chodź.

Zmarszczyła brwi, kiedy Kelsier ruszył w mgłę. Więc jednak ma jakiś cel, a może tylko chce się przejść nieco dalej? Dziwne, ale jego pełna uprzejmości nonszalancja sprawiała, że trudno go było rozszyfrować.

Pospieszyła za nim, nie chcąc zostać sama we mgle. Krajobraz wokół Luthadelu był nagi, jeśli nie liczyć paru krzaków i kęp zielska. Ciernie i suche liście, pokryte popiołem z ostatniej chmury, ocierały się o jej nogi. Ściółka trzeszczała pod nogami cicho, bo nocna rosa nieco ją zmoczyła.

Od czasu do czasu mijali sterty popiołu, które zostały wywiezione z miasta. W większości popiół jednak był zrzucany do rzeki Channerel, która przepływała przez miasto. Woda rozmywała go, a przynajmniej tak się wydawało Vin, bo inaczej cały kontynent byłby już dawno pogrzebany.

Starała się trzymać jak najbliżej Kelsiera. Przedtem już zdarzało jej się wędrować poza miasto, ale zawsze poruszała się w grupie wioślarzy –

robotników skaa, którzy pływali barkami i długimi łodziami po licznych szlakach wodnych Ostatniego Imperium. Była to ciężka praca – większość arystokratów wykorzystywała skaa zamiast koni, żeby ciągnąć barki wzdłuż brzegu – ale sam fakt, że podróżowała, oznaczał już pewną wolność, większość skaa bowiem nigdy nie opuszczała swojego miasta czy plantacji.

Nieustanne wędrówki z miasta do miasta były pomysłem Reena: nie chciał się dać zamknąć. Zazwyczaj znajdował dla nich miejsca na barkach prowadzonych przez szajki złodziejskie, nigdy nie zagrzewając miejsca na dłużej niż rok. Zawsze w biegu, zawsze w ruchu, jakby przed czymś uciekał.

Szli dalej. Nocą nawet nagie wzgórza i pokryte krzakami równiny nabierały złowrogiego wyglądu. Vin milczała, starając się robić możliwie jak najmniej hałasu. Słyszała opowieści o różnych rzeczach, które wypełzały nocą na powierzchnię pod osłoną mgieł – nawet rozjaśnionych cyną, tak jak teraz – i przez cały czas miała wrażenie, że coś ją śledzi.

To wrażenie z każdą chwilą stawało się bardziej irytujące. Wkrótce zaczęła słyszeć szmery w ciemności. Były stłumione i słabe – trzask łamanych roślin, szuranie kroków niesione przez mgłę.

Zaczynam dostawać paranoi! – zganiła się, kiedy podskoczyła po kolejnym, na pół wyimaginowanym dźwięku. Wreszcie poczuła, że już dłużej tego nie zniesie.

– Kelsier! – zawołała gorączkowym szeptem, który w jej wspomaganych cyną uszach brzmiał niebezpiecznie głośno. – Kelsier, tam chyba coś jest!

– Hę?

– Chyba coś za nami idzie!

– Och – odparł – tak, masz rację. To mgielny upiór.

Zatrzymała się jak wryta. Kelsier szedł dalej.

– Kelsier! – zawołała. – Chcesz powiedzieć, że one istnieją?

– Oczywiście – odparł Kelsier. – Jak sądzisz, skąd się biorą te wszystkie historie?

Vin stała oszołomiona, niezdolna wykrztusić słowa.

– Chcesz go zobaczyć? – zapytał.

– Zobaczyć mgielnego upiora? – zapytała. – Czy ty...

Przystanęła.

Zachichotał i uśmiechnął się do niej.

– Mgielne upiory to niezbyt przyjemny widok, ale są dość nieszkodliwe. To w większości padlinożercy. Chodź.

Zawrócił po własnych śladach i skinął, żeby poszła za nim. Niechętnie, ale wiedziona zabójczą ciekawością, poszła za nim. Kelsier szedł szybko, prowadząc ją na szczyt nagiego, pozbawionego zarośli wzgórza. Przycupnął i gestem nakazał jej zrobić to samo.

– Mają niezbyt dobry słuch – wyjaśnił, kiedy przyklękła obok w grubym, pokrytym popiołem żwirze. – Ale ich zmysł węchu... czy może raczej smaku, jest dość wyostrzony. Prawdopodobnie idzie za nami w nadziei, że wyrzucimy coś jadalnego.

Vin zmrużyła oczy i spojrzała w mrok.

– Nie widzę go – mruknęła, usiłując dostrzec we mgle mroczną postać.

– Tam. – Pokazał palcem na niskie wzgórze.

Zmarszczyła czoło i wytężyła wzrok, spodziewając się zobaczyć coś na szczycie pagórka.

Wtedy pagórek się poruszył.

Vin podskoczyła. Ciemna masa – wysoka na dziesięć stóp i dwa razy dłuższa – ruszyła przed siebie dziwnym, powłóczystym krokiem i Vin pochyliła się, żeby zobaczyć go lepiej.

– Rozjarz cynę – poradził Kelsier.

Skinęła głową, przywołując eksplozję dodatkowych mocy Allomantycznych. Wszystko natychmiast stało się jaśniejsze.

To, co zobaczyła, wywołało w niej dreszcze – fascynacji, odrazy i czegoś więcej niż niepokoju. Stworzenie miało dymną, przejrzystą skórę i Vin mogła widzieć jego kości. Miało dziesiątki kończyn, a każda wyglądała, jakby pochodziła od innego zwierzęcia. Były tam ludzkie ręce, bydlęce racice, psie łapy i inne, których nie mogła zidentyfikować.

Niedopasowane członki pozwalały stworzeniu się poruszać, choć było to raczej pełzanie. Wędrowało powoli, jak niezgrabna stonoga. Wiele z członków nawet nie wyglądało na używane – po prostu sterczały z ciała zwierzęcia niczym poskręcane, nienaturalne kolce.

Ciało było bulwiaste i wydłużone. Nie była to jednak bezkształtna masa, lecz... w jego kształcie można było dostrzec pewną logikę. Widać było wyraźny szkielet, oraz – kiedy zmrużyła oczy – wydawało jej się, że widzi przejrzyste mięśnie i ścięgna otulające kości. Stworzenie, poruszając się, kurczyło mięśnie w przedziwne kłębowiska i wyglądało, jakby miało co

najmniej tuzin klatek piersiowych. Wzdłuż całego ciała zwisały pod dziwacznymi kątami ramiona i nogi.

I głowy – naliczyła ich sześć. Pomimo przejrzystej skóry odróżniła końską głowę osadzoną obok głowy łani. W jej stronę zwróciła się trzecia głowa i Vin stwierdziła, że spogląda na ludzką czaszkę. Głowa spoczywała na długim kręgosłupie zwieńczającym jakiś zwierzęcy tors, który z kolei opierał się na przedziwnym kłębowisku kości.

Omal nie zwymiotowała.

– Co...? Jak...?

– Upiory mają elastyczne ciała – wyjaśnił. – Mogą ukształtować swoją skórę wokół dowolnej struktury kostnej i czasem są w stanie nawet odtworzyć mięśnie i organy, jeśli mają przykład, z którego mogą czerpać wzorce.

– Chcesz powiedzieć...?

Kelsier skinął głową.

– Kiedy znajdują ciało, otaczają je i trawią powoli mięśnie i organy. A potem, używając tego, co zjadły, jako wzorca, tworzą dokładny duplikat pożartej istoty. Nieco przestawiają części ciała – wydalając kości, których nie potrzebują, dodając te, które chcą mieć w swoim ciele – i tworzą taki kłąb, jak ten, który właśnie widzisz.

Vin obserwowała, jak stworzenie człapie przez pole, węsząc po jej śladach. Z jego podbrzusza zwisał płat oślizłej skóry, ciągnąc się po ziemi. Smakuje zapachy, pomyślała. Idzie za naszym zapachem. Pozwoliła, by jej cyna wróciła do normalnego stanu i upiór znów stał się ciemną plamą. Teraz jednak, kiedy widziała tylko jego sylwetkę, wydał jej się jeszcze bardziej nienaturalny.

– Czy są inteligentne? – zapytała. – Jeśli potrafią podzielić... ciało i użyć jego elementów tam, gdzie chcą?

– Inteligentne? – zapytał Kelsier. – Nie, ten jest młody. Więcej instynktu niż inteligencji.

Vin znowu zadrżała.

– Czy ludzie wiedzą o tych istotach? To znaczy, coś innego, niż legendy?

– Co masz na myśli, mówiąc „ludzie”? – zapytał Kelsier. – Wielu Allomantów wie o nich, jestem pewien, że Zakon też. Zwykli ludzie... cóż, po prostu nie wychodzą nocą. Większość skaa boi się i przeklina mgielne upiory, ale potrafią przeżyć całe życie, nie wiedząc, jak wyglądają.

– I mają szczęście – wymamrotała Vin. – Czemu ktoś czegoś z tym nie zrobi?

Kelsier wzruszył ramionami.

– Nie są aż tak niebezpieczne.

– Ten miał ludzką głowę!

– Prawdopodobnie znalazł trupa – odparł. – Nigdy nie słyszałem, aby upiór zaatakował dorosłego, zdrowego człowieka. Pewnie dlatego wszyscy je omijają. Ale oczywiście szlachta znalazła zastosowanie dla tych istot.

Spojrzała na niego pytająco, ale nie powiedział nic więcej. Wstał i zszedł z pagórka. Vin jeszcze raz rzuciła okiem w stronę nienaturalnej istoty, po czym ruszyła za Kelsierem.

– Po to mnie tu przyprowadziłeś? – zapytała.

Kelsier zachichotał.

– Mgielne upiory może i wyglądają strasznie, ale raczej nie są warte takiej wycieczki. Wybieramy się tam.

Podążyła wzrokiem za jego gestem i zdołała dostrzec zmianę w otaczającym ich krajobrazie.

– Imperialna droga? Zawróciliśmy do głównych bram miasta.

Kelsier skinął głową. Po krótkiej przechadzce – podczas której Vin oglądała się co najmniej trzy razy, żeby sprawdzić, czy upiór ich nie dogonił – wyszli z zarośli i znaleźli się na płaskiej, ubitej ziemi imperialnej drogi. Kelsier zatrzymał się, obserwując drogę w obu kierunkach. Vin zmarszczyła brwi, zastanawiając się, co on robi.

Wtedy zobaczyła powóz. Był zaparkowany przy drodze i Vin zauważyła, że stoi obok niego jakiś człowiek.

– Ho, Sazed – rzekł Kelsier, podchodząc do niego.

Mężczyzna skłonił się.

– Mistrzu Kelsier – rzekł. Jego łagodny głos dobrze niósł się w nocnym powietrzu. Brzmiały w nim nieco wyższe nuty i mówił z prawie melodyjnym akcentem. – Myślałem już, że postanowiłeś się nie zjawiać.

– Znasz mnie, Saze – rzekł Kelsier, jowialnie klepiąc tamtego po ramieniu. – Jestem wcieleniem punktualności. – Obejrzał się i zamachał do Vin. – To małe, lękliwe stworzenie to Vin.

– Ach tak – rzekł Sazed, starannie wymawiając każde słowo.

Vin podeszła bliżej, obserwując go uważnie. Sazed miał długą, płaską twarz i delikatne ciało. Był wyższy od Kelsiera – dość wysoki, by

wydawało się to nie całkiem naturalne – a jego ręce były niezwykle długie.

– Jesteś Terrisaninem – powiedziała.

Jego płatki uszu były naciągnięte, a same uszy ozdobione kolczykami wzdłuż całej krawędzi. Miał na sobie przepyszne, kolorowe szaty terrisańskiego lokaja – strój uszyty był z haftowanych, nakładających się na siebie klinów w trzech kolorach domu jego pana.

– Tak, dziecko – rzekł Sazed, kłaniając się. – Znałaś wielu przedstawicieli mojego ludu?

– Nikogo – odparła. – Ale wiem, że arystokracja woli terrisańską służbę i dworzan.

– Istotnie – odrzekł Sazed i spojrzał na Kelsiera. – Jedziemy, mistrzu Kelsier. Jest późno, a my wciąż jesteśmy o godzinę drogi od Fellise.

Fellise, pomyślała Vin. Jedziemy spotkać się z uzurpatorem lordem Renoux.

Sazed otworzył drzwi powozu i zamknął je za nimi, kiedy wsiedli. Vin usiadła w pluszowym fotelu i słuchała, jak Sazed wspina się na kozioł i pogania konie.

***

Kelsier milczał. Zasłonki w oknach były opuszczone, odgradzając ich od mgły. A w kącie wisiała niewielka latarnia, częściowo osłonięta. Vin siedziała naprzeciwko niego, z podkulonymi nogami, ciasno owinięta mgielnym płaszczem, okrywającym jej ramiona i nogi.

Zawsze to robi, pomyślał Kelsier. Gdziekolwiek jest, stara się być możliwie jak najmniejsza, najmniej zauważalna. Jest taka napięta. Nawet kiedy siedziała w otwartej przestrzeni, starała się ukrywać.

Ale jest dzielna, tak czy owak. W czasie swego szkolenia Kelsier nie był aż tak skory, by rzucać się z murów miasta – Gemmel musiał go popchnąć.

Obserwowała go wielkimi, ciemnymi oczami. Kiedy zauważyła, że na nią patrzy, odwróciła wzrok, jeszcze bardziej kuląc się pod płaszczem. Jednak nieoczekiwanie przemówiła.

– Twój brat – powiedziała cicho. – Nie zgadzacie się ze sobą.

Kelsier uniósł brew.

– Nie. Nigdy nam to nie wychodziło. Szkoda. Powinniśmy, a jednak nie... nie umiemy.

– Jest starszy od ciebie?

Skinął głową.

– Często cię bił? – zapytała.

Zmarszczył brwi.

– Bił? Nie, nigdy tego nie robił.

– Nie pozwoliłeś mu? – zdziwiła się. – Może właśnie dlatego cię nie lubi. Jak się obroniłeś? Uciekłeś, czy po prostu byłeś silniejszy od niego?

– Vin, Marsh nigdy nawet nie próbował mnie bić. Kłóciliśmy się, owszem... ale nigdy tak naprawdę nie próbowaliśmy się krzywdzić.

Nie zaprzeczyła, ale widział, że mu nie wierzy.

Co za życie... pomyślał. W podziemiu był mnóstwo takich dzieciaków jak Vin. Oczywiście, wiele ginęło, zanim osiągnęło jej wiek. Kelsier był jednym ze szczęśliwców. Jego matka była pomysłową kochanką potężnego arystokraty, sprytną kobietą, która potrafiła przed swoim panem ukryć fakt, że jest skaa. Kelsier i Marsh wyrośli w uprzywilejowanej sytuacji – uznani za bękartów, ale wciąż arystokratycznych – dopóki ojciec wreszcie nie odkrył prawdy.

– Dlaczego mnie tego wszystkiego uczyłeś? – zapytała Vin. – Chodzi mi o Allomancję.

Kelsier zmarszczył brwi.

– Obiecałem ci przecież.

– Teraz, kiedy znam twoje tajemnice, co może mnie powstrzymać przed ucieczką od ciebie?

– Nic – odparł.

I znów jej nieufne spojrzenie powiedziało mu, że dziewczyna mu nie wierzy.

– Są metale, o których mi nie mówiłeś. Na spotkaniu pierwszego dnia powiedziałeś, że jest ich dziesięć.

Kelsier skinął głową i się pochylił.

– Bo jest. Ale nie pominąłem tych dwóch ostatnich dlatego, że chciałem coś przed tobą ukryć. One po prostu są... trudne do opanowania. Łatwiej będzie, jeśli najpierw poćwiczysz z podstawowymi. Jednak, jeśli chcesz poznać i te dwa, nauczę cię, kiedy dotrzemy do Fellise.

Zmrużyła oczy.

Kelsier wbił wzrok w sufit.

– Nie zamierzam cię oszukać, Vin. Ludzie w moich grupach służą dlatego, że chcą, a ja jestem skuteczny, ponieważ możemy na sobie wzajemnie polegać. Żadnego braku zaufania, żadnych zdrad.

– Z wyjątkiem jednej – szepnęła. – Zdrady, która zesłała cię do Czeluści.

Kelsier zamarł.

– Skąd o tym wiesz?

Wzruszyła ramionami.

Westchnął, pocierając czoło dłonią. Nie tego chciał w tej chwili... chciał drapać swoje blizny, te, które biegły wzdłuż palców i dłoni, wspinając się ku ramionom. Powstrzymał się.

– Nie jest to coś, o czym chciałbym rozmawiać – rzekł.

– Więc był zdrajca – odrzekła.

– Nie wiemy tego na pewno. Nieważne. Moje szajki działają w oparciu o zaufanie. To oznacza, że nie ma przymusu. Jeśli chcesz odejść, możemy w tej chwili wracać do Luthadelu. Pokażę ci dwa ostatnie metale i ruszaj swoją drogą.

– Nie mam dość pieniędzy, żeby przetrwać sama – szepnęła.

Kelsier sięgnął pod płaszcz i wyciągnął sakiewkę z monetami. Rzucił ją na siedzenie obok Vin.

– Trzy tysiące skrzyńców. Pieniądze, które zabrałem Camonowi.

Spojrzała nieufnie na sakiewkę.

– Bierz to – rzekł Kelsier. – To ty na nie zarobiłaś... z tego, co zrozumiałem, to twoja Allomancja stanowiła podstawę ostatnich sukcesów Camona. To ty ryzykowałaś, Popychając uczucia obligatora.

Nie poruszyła się.

Dobrze, pomyślał. Uniósł dłoń i zastukał w dach powozu. Pojazd zatrzymał się i po chwili w oknie pojawiła się głowa Sazeda.

– Saze, zawróć powóz – poprosił Kelsier. – Zabierz nas z powrotem do Luthadelu.

– Tak, mistrzu Kelsier.

Powóz potoczył się w kierunku, z którego nadjechał. Vin milczała, ale wydawała się nieco mniej pewna siebie. Zezowała na sakiewkę.

– Mówię poważnie, Vin – rzekł. – Nie mogę mieć w grupie nikogo, kto nie chce ze mną pracować. To nie jest kara, po prostu tak musi być.

Nie odpowiedziała. Ryzykował, puszczając ją wolno... ale zmuszenie do pozostania było ryzykiem jeszcze większym. Kelsier siedział, próbując czytać w jej myślach, usiłując ją zrozumieć. Czy jeśli odejdzie, zdradzi ich Ostatniemu Imperium? Uznał, że nie. Nie była złą osobą.

Myślała tylko, że wszyscy inni są źli.

– Uważam, że twój plan jest szalony – szepnęła.

– To samo myśli połowa mojej grupy.

– Nie pokonacie Ostatniego Imperium.

– Nie musimy – odparł Kelsier. – Musimy tylko znaleźć armię dla Yedena, a potem opanować pałac.

– Ostatni Imperator was powstrzyma – odrzekła. – Nie możecie go pokonać. Jest nieśmiertelny.

– Mamy Jedenasty Metal – szepnął Kelsier. – Znajdziemy sposób, żeby go zabić.

– Zakon jest zbyt potężny. Znajdą waszą armię i zniszczą ją.

Kelsier pochylił się i spojrzał jej w oczy.

– Uwierzyłaś mi na tyle, żeby skoczyć ze szczytu muru, a ja cię złapałem. Musisz zaufać mi i tym razem.

Było widać, że Vin nie lubi słowa „zaufanie”. Obserwowała Kelsiera uważnie w słabym świetle latarni, milcząc tak długo, że ta cisza stała się nagle kłopotliwa.

Wreszcie chwyciła sakiewkę i szybko wsunęła pod płaszcz.

– Zostaję – rzekła. – Ale nie dlatego, że ci ufam.

Kelsier uniósł brew.

– A dlaczego?

Wzruszyła ramionami, ale kiedy odpowiedziała, wydawała się całkowicie szczera.

– Bo chcę zobaczyć, co się stanie.

***

Posiadanie twierdzy w Luthadelu świadczyło o wysokim statusie rodu arystokratycznego. Jednakże posiadanie twierdzy nie oznaczało, że trzeba było w niej mieszkać, przynajmniej nie przez cały czas. Wiele rodzin utrzymywało rezydencje w miastach poza Luthadelem.

Mniej zatłoczone, czystsze i mniej przestrzegające praw imperialnych Fellise było bogatym miastem. Zamiast potężnych, obwarowanych twierdz wypełniały je eleganckie posesje i wille. Niektóre ulice nawet obsadzono drzewami – w większości osikami, których mlecznobiała kora była najwyraźniej niewrażliwa na odbarwienia popiołem.

Vin obserwowała spowite w mgłę miasto przez okno powozu. Poprosiła, by Kelsier zgasił latarnię wewnątrz. Paląc cynę, mogła spokojnie przyglądać się ładnie rozplanowanym i doskonale utrzymanym ulicom. Była to dzielnica Fellise, do której prawie nigdy się nie zapuszczała. Pomimo wspaniałości bogatych dzielnic, slumsy wyglądały w nim niezmiernie podobnie do slumsów w innych miastach.

Kelsier przyglądał się ze zmarszczonym czołem ulicom.

– Nie lubisz takiego marnotrawstwa – domyśliła się. Mówiła cicho, niemal szeptem. Dźwięk i tak dotrze do wyczulonych uszu Kelsiera. – Widzisz bogactwa tego miasta i myślisz o skaa, którzy na to pracowali.

– Częściowo – zgodził się Kelsier. – Ale jest w tym coś więcej. Biorąc pod uwagę, ile pieniędzy się na to wydaje, to miasto powinno być przepiękne.

Przechyliła głowę.

– Przecież jest.

Kelsier pokręcił głową.

– Domy wciąż są w czarnych plamach. Ziemia jest jałowa i pozbawiona życia. Drzewa wypuszczają brązowe liście.

– Oczywiście, że brązowe. A jakie miałyby być?

– Zielone – odparł. – Wszystko powinno być zielone.

Zielone? – pomyślała Vin. Co za dziwaczny pomysł. Próbowała sobie wyobrazić drzewa z zielonymi liśćmi, ale ów obraz wydał jej się głupi. Kelsier naprawdę miał swoje dziwactwa – choć z drugiej strony człowiek, który spędził tyle czasu w Czeluściach Hathsin, miał prawo do odrobiny zdziwaczenia.

Odwrócił się do niej.

– Nim zapomnę, jest jeszcze parę rzeczy, których powinnaś się dowiedzieć o Allomancji.

Skinęła głową.

– Po pierwsze, pamiętaj, żeby przed snem spalić wszystkie nieużywane metale, jakie w tobie pozostały. Niektóre z metali, których używamy, są

trujące i lepiej nie zasypiać z nimi w żołądku.

– Dobrze – odparła.

– Również nie próbuj nigdy spalać metalu, który nie jest jednym z dziesięciu. Ostrzegałem cię już, że niezbyt czyste metale i stopy mogą ci zaszkodzić. Cóż, jeśli spróbujesz spalać metal, który nie jest Allomantyczny, możesz umrzeć.

Dobrze wiedzieć, pomyślała.

– Aha – rzekł Kelsier, odwracając się do okna. – Proszę bardzo, oto jesteśmy: świeżo zakupiony Manor Renoux. Powinnaś zdjąć płaszcz. Tutejsi ludzie są wobec nas lojalni, ale zawsze lepiej zachować ostrożność.

Vin zgadzała się z nim całkowicie. Zdjęła płaszcz i Kelsier schował go w swoim plecaku. Znów wyjrzała przez okno, spoglądając poprzez mgłę na posiadłość, do której się zbliżali. Posesja miała niski kamienny mur i żelazną bramę. Kiedy Sazed się przedstawił, dwóch strażników wpuściło ich na dziedziniec.

I tu droga także była wysadzona osikami, a na szczycie wzgórza było widać spory pałacyk, rozsiewający z okien widmowe światło.

Sazed zatrzymał powóz przed wejściem, po czym podał lejce służącemu i zsiadł z kozła.

– Witamy w Manor Renoux, panienko Vin – rzekł, otwierając drzwi i podając jej dłoń.

Vin spojrzała na zaofiarowaną rękę, ale nie skorzystała i sama wygramoliła się z powozu. Terrisanin nie wydawał się urażony jej odmową.

Stopnie wiodące do pałacyku były oświetlone podwójnym rzędem słupów z latarniami. Kiedy Kelsier wyskoczył z powozu, Vin spostrzegła grupę mężczyzn zbierających się u szczytu szerokich marmurowych schodów. Kelsier wspiął się na górę kilkoma sprężystymi susami, Vin poszła za nim, dostrzegając, jak czyste są stopnie. Muszą być regularnie szorowane, żeby popiół nie pozostawiał plam. Czy skaa służący w tym domu wiedzą, że ich pan to oszust? Jak „łaskawy” plan obalenia Ostatniego Imperium Kelsiera pomoże pospolitym ludziom, którzy sprzątają te schody?

Chudy, podstarzały „lord Renoux” miał na sobie bogaty strój, a na nosie arystokratyczne okulary. Rzadkie, siwiejące wąsy ocieniały usta lorda, który – pomimo wieku – nie korzystał z laski. Z szacunkiem skłonił się

Kelsierowi, ale zachował dystyngowaną postawę. Vin natychmiast zrozumiała jedno: ten człowiek wie, co robi.

Camon dość zręcznie umiał się wcielać w arystokratę, ale jego nadęta mina zawsze nieco bawiła Vin, wydając jej się zbyt dziecinna. Oczywiście, istnieli tacy szlachcice jak Camon, ale największy szacunek wzbudzali tacy, jak lord Renoux: spokojni, pewni siebie. Ludzie, którzy swoje szlachectwo objawiali raczej postawą niż umiejętnością pogardliwego wyrażania się o innych. Vin musiała starać się z całych sił, aby nie kulić się za każdym razem, kiedy jego spojrzenie padało na nią. Za bardzo wydawał się szlachcicem, a ona nauczona była odruchowo unikać ich uwagi.

– Posesja wygląda znacznie lepiej – rzekł Kelsier, ściskając dłoń Renoux.

– Tak, sam jestem pod wrażeniem postępów – odparł Renoux. – Moje ekipy sprzątające są bardzo skuteczne. Dajcie nam jeszcze trochę czasu, a dom będzie tak wspaniały, że nie zawaham się ugościć tutaj samego Ostatniego Imperatora!

Kelsier zachichotał.

– Ale by to było dziwne przyjęcie. – Odstąpił na krok i gestem wskazał Vin. – A oto młoda dama, o której mówiłem.

Renoux przyjrzał się jej uważnie i Vin natychmiast odwróciła wzrok. Nie lubiła, gdy ludzie jej się przyglądali w ten sposób – odnosiła wrażenie, że się zastanawiają, jak ją wykorzystać.

– Musimy jeszcze porozmawiać o tym, Kelsierze – rzekł Renoux, wskazując gestem wejście do domostwa. – Godzina jest późna, więc...

Kelsier wszedł do budynku.

– Późna? Przecież dopiero północ. Każ ludziom przygotować coś do jedzenia. Lady Vin i ja nie jedliśmy jeszcze kolacji.

Brak kolacji nie był dla Vin niczym nowym. Renoux jednak natychmiast skinął na służbę, a ta bez chwili ociągania zaczęła się krzątać. Renoux wszedł do budynku i Vin podążyła za nim, ale zatrzymała się w przejściu. Sazed czekał cierpliwie za jej plecami.

Kelsier przystanął również, kiedy zauważył, że została w tyle. Odwrócił się.

– Vin?

– Tu jest tak... czysto – szepnęła, niezdolna do wymyślenia innego określenia. Czasem na wypadach widywała domy szlachty, ale zwykle było

to w nocy i w głębokiej ciemności. Nie była przygotowana na jaskrawo oświetlony widok, który teraz ukazał się jej oczom.

Białe marmurowe podłogi błyszczały, odbijając światła kilkunastu lamp. Wszystko było... nieskazitelne. Ściany pozostawiono białe, jeśli nie liczyć tradycyjnych fresków przedstawiających zwierzęta. Nad podwójnymi schodami wisiał lśniący kandelabr, a inne dekoracje pomieszczenia – kryształowe rzeźby, wazony z gałęziami osiki – były nieskażone popiołem, najmniejszą plamą czy odciskiem palca.

Kelsier zachichotał.

– Jej reakcja chyba wiele mówi o powodzeniu twoich wysiłków – rzekł do lorda Renoux.

Weszli do budynku. Skręcili w prawo, wchodząc do Sali, gdzie biel została cokolwiek złagodzona dodatkiem brązowych mebli i draperii.

Renoux przystanął.

– Może lady skorzysta z okazji i orzeźwi się nieco – rzekł do Kelsiera. – Są pewne kwestie hmmm... delikatnej natury, które chciałbym z tobą omówić.

Kelsier wzruszył ramionami.

– Naturalnie – rzekł, idąc za Renoux w stronę drugich drzwi. – Saze, czy możesz dotrzymać towarzystwa Vin, dopóki nie omówimy z lordem Renoux naszych spraw?

– Oczywiście, mistrzu Kelsier.

Kelsier uśmiechnął się, zerkając na Vin, i dziewczyna nagle zrozumiała, że zostawia z nią Sazeda, żeby nie mogła podsłuchiwać.

Rzuciła za nim zirytowane spojrzenie. Czy ty mówiłeś coś na temat zaufania, Kelsierze? Zdecydowanie jednak bardziej irytowała sama siebie, czując własny niepokój. Co ją to obchodzi, że Kelsier uznał za stosowne coś przed nią ukryć? Przez całe życie bywała ignorowana i pomijana i jakoś nigdy do tej pory jej to nie przeszkadzało, gdy inni członkowie gangu wykluczali ją ze swoich sesji planowania.

Usiadła w grubo wyścielanym brązowym fotelu i podciągnęła stopy pod siebie. Wiedziała, w czym tkwi problem. Kelsier okazywał jej zbyt wiele szacunku, co sprawiało, że czuła się zbyt ważna. Zaczynała myśleć, że należy jej się udział w tych sekretnych zwierzeniach. Śmiech Reena w głębi jej mózgu zdyskredytował te naiwne myśli i Vin siedziała teraz

zdenerwowana i na siebie, i na Kelsiera, czując wstyd, choć nie do końca wiedziała, z jakiego powodu.

Służba Renoux przyniosła jej na tacy bułeczki i owoce. Postawili obok jej fotela niewielki stolik, a nawet podali jej kryształowy kielich wypełniony lśniącym czerwonym płynem. Nie wiedziała, czy to wino, czy sok, i nie chciała sprawdzać. Za to poskubała trochę jedzenia –instynkt nie pozwolił jej zrezygnować z darmowego posiłku, nawet jeśli przygotowywały go nieznajome ręce.

Sazed stanął tuż za jej fotelem, po prawej. Czekał, wyprostowany, z dłońmi złożonymi na piersi, ze wzrokiem wlepionym przed siebie. Miała to być zapewne postawa pełna szacunku, ale w najmniejszym stopniu nie poprawiała nastroju Vin.

Dziewczyna starała się skoncentrować na otoczeniu. Czuła się niepewnie wśród takiego przepychu – miała wrażenie, że nie pasuje tu tak, jak czarna plama nie pasuje do czystego dywanu. Nie jadła bułeczek, z obawy, że nakruszy na podłogę, martwiła się też, że stopami i nogami – które nosiły ślady popiołu z wędrówki po bezdrożach – pobrudzi meble.

I cała ta czystość kosztem ciężkiej pracy skaa, pomyślała. Właściwie dlaczego się przejmuję, że coś pobrudzę? Wiedziała jednak, że nie potrafi czuć urazy, ponieważ były to jedynie pozory. „Lord Renoux” musiał zachować pewien poziom elegancji, inaczej stałby się podejrzany.

Coś jeszcze sprawiało, że nie czuła wyrzutów sumienia. Służba była zadowolona. Zajmowali się swoimi obowiązkami rzeczowo i profesjonalnie, w ich pracy nie wyczuwało się znużenia. W korytarzach było słychać śmiech. Ci skaa nie byli źle traktowani – niezależnie od tego, czy wiedzieli o planie Kelsiera, czy nie.

Vin zmusiła się zatem do zjedzenia owoców, ziewając od czasu do czasu. Zdaje się, że to będzie naprawdę długa noc. Wreszcie służba zostawiła ją samą, ale Sazed wciąż nad nią stał.

Nie jestem w stanie tak jeść, pomyślała z irytacją.

– Czy mógłbyś nie stać tak nad moim ramieniem?

Suzed skinął głową. Zrobił dwa kroki w przód i stał teraz obok jej fotela, zamiast za nim. Przyjął tę samą sztywną postawę, górując nad nią dokładnie tak samo jak przedtem.

Vin zmarszczyła gniewnie brwi, kiedy spostrzegła uśmiech na jego ustach. Spojrzał na nią z błyskiem w oku, zadowolony z żartu, po czym

podszedł i usiadł naprzeciwko niej.

– Nigdy dotąd nie znałam Terrisanina z poczuciem humoru – zauważyła oschle Vin.

Sazed uniósł brew.

– Odniosłem wrażenie, że panienka nie znała żadnego Terrisanina, panienko Vin.

Vin się zawahała.

– No dobrze, nie słyszałam nigdy o Terrisaninie z poczuciem humoru. Podobno jesteście strasznie sztywni i formalni.

– Jesteśmy tylko subtelni, panienko – odparł Sazed. Siedział sztywno, a jednak sprawiał wrażenie... zrelaksowanego. Wydawało się, że jest mu równie wygodnie w wytwornej, sztywnej pozycji siedzącej, jak innym ludziom w półleżącej.

Właśnie tacy mają być. Doskonali służący, całkowicie lojalni wobec Ostatniego Imperium.

– Czy coś panienkę kłopocze, panienko Vin? – zapytał Sazed, widząc, że jest obserwowany.

Ciekawe, ile on wie? Może nawet nie zdaje sobie sprawy, że Renoux nie jest sobą.

– Zastanawiałam się tylko, jak... się tutaj znalazłeś – odparła.

– Chodzi ci o to, jak terrisański lokaj znalazł się w samym środku rebelii zamierzającej obalić Ostatnie Imperium? – zapytał cicho Sazed.

Zaczerwieniła się. Był jednak bardzo dobrze poinformowany.

– To intrygujące zagadnienie, panienko – rzekł. – Z pewnością moja sytuacja nie jest zwyczajna. Powiedziałbym, że przybyłem tu z powodu wiary.

– Wiary?

– Tak – odparł Sazed. – Powiedz, panienko, w co ty wierzysz?

Zmarszczyła brwi.

– A co to za pytanie?

– Myślę, że jedno z ważniejszych.

Vin milczała, ale było widać, że Sazed oczekuje od niej odpowiedzi, więc tylko wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Ludzie często tak mówią – rzekł Sazed. – Ale wiem, że rzadko jest to prawdą. Czy wierzysz w Ostatnie Imperium?

– Wierzę, że jest silne – odparła Vin.

– Nieśmiertelne?

Znów wzruszyła ramionami.

– Do tej pory było.

– A Ostatni Imperator? Czy jest Wzniesionym Wcieleniem Boga? Czy wierzysz, że tak jak naucza Zakon, jest Skrawkiem Nieskończoności?

– Ja.. nigdy przedtem się nad tym zastanawiałam.

– A może powinnaś – odrzekł Sazed. – Jeśli po zastanowieniu się dojdziesz do wniosku, że nauki Zakonu ci nie odpowiadają, wówczas będę zachwycony, mogąc zaoferować ci alternatywę.

– Jaką alternatywę?

– To zależy. Moim zdaniem prawdziwa wiara jest jak dobry płaszcz. Jeśli ci pasuje, jest ci w nim ciepło i wygodnie. Niedopasowany może udusić.

Vin zawahała się, lekko marszcząc brwi, ale Sazed tylko się uśmiechnął. Wróciła do przerwanego posiłku. Po krótkim czasie boczne drzwi otwarły się i do Sali wrócili Kelsier i Renoux.

– A teraz – rzekł Renoux, kiedy obaj z Kelsierem usadowili się wygodnie, a grupa służących podała kolejną tacę z posiłkiem – porozmawiajmy o dziecku. Powiedziałeś, że ten człowiek który miał odgrywać mojego dziedzica, nie zrobi tego?

– Niestety – odparł Kelsier, szybko rozprawiając się z jedzeniem.

– To bardzo komplikuje sprawy – odparł Renoux.

Kelsier wzruszył ramionami.

– Po prostu to Vin będzie twoją dziedziczką.

Renoux pokręcił głową.

– Dziewczynka w jej wieku może dziedziczyć, ale byłoby podejrzane, dlaczego wybrałem właśnie ją. W linii Renoux istnieje sporo legalnych kuzynów, którzy byliby znacznie lepszym wyborem. I tak dość trudno byłoby przepchnąć człowieka w średnim wieku. A młoda dziewczyna... nie, zbyt wielu ludzi zaczęłoby interesować się jej pochodzeniem. Nasze fałszywe powiązania rodzinne zniosą pobieżną analizę, ale gdyby ktoś rzeczywiście zechciał wysłać posłańców, aby sprawdzili jej pochodzenie...

Kelsier zmarszczył brwi.

– Poza tym – dodał Renoux – jest jeszcze jeden problem. Jeśli mianują moją spadkobierczynią młodą, niezamężną dziewczynę, stanie się ona

natychmiast jedną z najlepszych partii w Luthadelu. Bardzo trudno jej będzie szpiegować, jeśli zostanie otoczona aż takim zainteresowaniem.

Vin zarumieniła się. Z zaskoczeniem stwierdziła, że jej serce ścisnęło się na słowa starego oszusta. A więc Kelsier tylko taką rolę przydzielił mi w swoim planie. Jeśli nie mogę tego robić, do czego się nadam w grupie?

– Więc co proponujesz? – zapytał Kelsier.

– Cóż, nie musi być moją dziedziczką – odparł Renoux. – A gdyby po prostu była młodą krewną, którą zabrałem ze sobą do Luthadelu? Może obiecałem jej rodzicom – odległym, ale lubianym kuzynom – że przedstawię ich córkę na dworze? Każdy uzna, że moim skrytym motywem jest dobrze wydać ją za mąż, najlepiej za kogoś z wysokich rodów, tym samym zdobywając kolejne powiązanie z możnymi. Ona sama jednak nie zwróci szczególnej uwagi – będzie miała niski status, że nie wspomnę o pewnym wiejskim charakterze.

– Co wyjaśni też, dlaczego jest mniej wytworna niż pozostali dworzanie – rzekł Kelsier. – Nie obraź się, Vin.

Vin spojrzała na niego, przyłapana w pół gestu, kiedy chowała owiniętą w serwetkę bułeczkę do kieszeni koszuli.

– Dlaczego miałabym się obrazić?

Kelsier uśmiechnął się.

– Nieważne.

Renoux skinął głową.

– Tak, to będzie znacznie lepsze. Wszyscy uważają, że Ród Renoux w końcu dołączy do wysokiej szlachty, więc z grzeczności przyjmą Vin w swoich szeregach. Jednak ona sama będzie wystarczająco mało ważna, by większość osób ją ignorowało. Idealna sytuacja, jeśli ma wywiązać się ze swojego zadania.

– Podoba mi się to – odrzekł Kelsier. – Niewiele osób oczekuje od człowieka w twoim wieku i o twoich zainteresowaniach handlowych, że będzie interesował się balami i przyjęciami, ale posiadanie młodej przedstawicielki, którą będziesz mógł posłać zamiast uprzejmej odmowy, tylko poprawi twoją reputację.

– W istocie – zgodził się Renoux. – Ale potrzebny jej będzie pewien szlif... i to nie tylko w wyglądzie.

Vin skuliła się pod ich uważnymi spojrzeniami. Wydawało się, jakby jej udział w planie nabrał rozpędu, a ona nagle zrozumiała, co to oznacza. Już

w towarzystwie Renoux czuła się niepewnie – a on był tylko udawanym szlachcicem. Jak zareaguje na całą salę prawdziwej szlachty?

– Obawiam się, że będę musiał na jakiś czas wypożyczyć od ciebie Sazeda – rzekł Kelsier.

– Masz absolutną rację – odparł Renoux. – W gruncie rzeczy przecież to nie mój lokaj, tylko twój.

– Właściwie – zaoponował Kelsier – on chyba już nie jest niczyim lokajem, co, Saze?

Sazed przechylił głowę.

– Terrisanin bez pana jest jak żołnierz bez broni, mistrzu Kelsier. Byłem szczęśliwy, służąc lordowi Renoux, zapewne będę także szczęśliwy, wracając na służbę do pana.

– O nie, nie wrócisz do mnie na służbę – rzekł Kelsier.

Sazed uniósł brew.

Kelsier skinął głową w stronę Vin.

– Renoux ma rację. Vin musi się trochę podszkolić, a ja znam wielu arystokratów, którzy nie są tak wytworni jak ty. Czy myślisz, że możesz pomóc ją przygotować?

– Jestem pewien, że mogę pomóc młodej damie – odparł Sazed.

– Dobrze. – Kelsier się uśmiechnął, wcisnął do ust ostatnie ciastko i wstał. – Cieszę się, że to już ustalone, ponieważ zaczynam czuć się zmęczony. A biedna Vin wygląda, jakby miała zamiar zdrzemnąć się z talerzem owoców pod głową.

– Nieprawda – odpowiedziała natychmiast Vin, ale jej słowom zaprzeczyło częściowo stłumione ziewnięcie.

– Sazed – rzekł Renoux – czy możesz odprowadzić ich do pokoi gościnnych?

– Oczywiście, panie Renoux – odparł Sazed, wstając.

Vin i Kelsier ruszyli za wysokim Terrisaninem, a służący natychmiast zajęli się sprzątaniem resztek posiłku. Zostawiłam jedzenie na talerzu, zauważyła Vin, czując ogarniającą ją senność. Nie była pewna, co o tym myśleć.

Weszli po schodach i skręcili w boczny korytarz. Kelsier dogonił Vin.

– Przepraszam, że na chwilę musiałem cię zostawić, Vin.

Wzruszyła ramionami.

– Nie muszę znać wszystkich planów.

– Nonsens – odparł Kelsier. – Twoja dzisiejsza decyzja sprawia, że jesteś częścią grupy w takim samym stopniu jak pozostali. Moja rozmowa z Renoux była jednak natury całkowicie prywatnej. Jest wspaniałym aktorem, ale czuje się bardzo źle, ponieważ ludzie znają okoliczności, w jakich zajął miejsce lorda Renoux. Uwierz mi, nic, o czym rozmawialiśmy, nie ma najmniejszego wpływu na twoją rolę w planie.

Vin się nie zatrzymywała.

– Wierzę ci.

– Dobrze – odparł z uśmiechem Kelsier, poklepując ją po ramieniu. – Saze, potrafię znaleźć drogę do pokoju gościnnego dla panów... przecież to ja w końcu kupiłem ten dom.

– Doskonale, mistrzu Kelsier – rzekł Sazed z pełnym szacunku ukłonem.

Kelsier posłał Vin uśmiech i odwrócił się, ruszając w głąb korytarza charakterystycznym dla siebie, energicznym krokiem.

Vin obserwowała go przez chwilę, po czym poszła za Sazedem do drugiego bocznego korytarza, rozważając w myśli trening Allomancji, rozmowę z Kelsierem w powozie, a także jego obietnicę sprzed kilku minut. Trzy tysiące skrzyńców – mała fortuna w monetach – dziwnie ciążyły jej u pasa.

Wreszcie Sazed otwarł przed nią drzwi, ale wszedł pierwszy, by zapalić latarnie.

– Pościel jest świeża, rano przyślę pokojówki, by przygotowały panience kąpiel. – Odwrócił się, podając jej świecę. – Będzie panienka jeszcze czegoś potrzebować?

Pokręciła głową. Sazed uśmiechnął się, życzył jej dobrej nocy, po czym wyszedł. Vin stała przez chwilę, rozglądając się po pokoju. Potem odwróciła się i wyjrzała na korytarz.

– Sazed?! – zawołała.

Lokaj przystanął i się obejrzał.

– Tak, panienko Vin?

– Kelsier – wyszeptała. – To dobry człowiek, prawda?

Sazed się uśmiechnął.

– Bardzo dobry, panienko. Jeden z najlepszych, jakich znam.

Vin skinęła głową.

– Dobry człowiek – mruknęła. – Chyba nigdy wcześniej nie znałam dobrych ludzi.

Sazed uśmiechnął się, z szacunkiem skłonił głowę i odwrócił się, żeby odejść.

Vin zamknęła drzwi.

Część druga:

REBELIANCI POD NIEBEM Z POPIOŁU

Boję się, że ostatecznie moja arogancja wszystko zniszczy.

9

Vin Odepchnęła się od monety i rzuciła we mgłę. Uleciała w górę, ponad ziemię i kamienie, przecinając mroczne prądy nieba, z wiatrem łopoczącym we wstęgach płaszcza.

To jest wolność, pomyślała, oddychając głęboko zimnym, wilgotnym powietrzem. Zamknęła oczy, smakując uderzenia wiatru. Właśnie tego zawsze mi brakowało, choć nigdy tego nie znałam.

Otwarła oczy, kiedy zaczęła się zniżać. Czekała do ostatniej chwili, po czym rzuciła monetę, która z brzękiem upadła na bruk, a Vin mogła Odepchnąć ją lekko, spowalniając upadek. Na krótką chwilę rozpaliła cynę z ołowiem i uderzyła w ziemię już w biegu, śmigając przez ciche ulice Fellise. Późnojesienne powietrze było chłodne, ale zimy w Środkowym Dominium zwykle były łagodne. Minęło już kilka lat, odkąd ostatnio padał śnieg.

Rzuciła monetę w tył i użyła jej, aby lekko się Odepchnąć w górę i na prawo. Wylądowała na niskim kamiennym murze, zaledwie zwalniając kroku. Spalanie cyny z ołowiem wzmacniało nie tylko mięśnie –

zwiększało wszystkie możliwości fizyczne ciała. Utrzymywanie słabo palącej się cyny z ołowiem dawało poczucie równowagi, jakiego pozazdrościłby Vin każdy włamywacz.

Mur skręcił na północ i Vin zatrzymała się na rogu. Przykucnęła na bosych stopach i wrażliwymi palcami chwyciła zimny kamień. Paląc miedź, aby ukryć Allomancję, rozjarzyła cynę, żeby wyostrzyć zmysły.

Cisza. Osiki otaczały ją niewyraźnymi kształtami we mgle, jak zmęczeni skaa stojący w szeregu przy pracy. W oddali rozpościerały się posiadłości – każda otoczona murem, wymuskana i dobrze strzeżona. W mieście było znacznie mniej punktów świetlnych niż w Luthadelu. Wiele z domów było jedynie rezydencjami sezonowymi, a ich państwo bawili właśnie w innym skrawku Ostatniego Imperium.

Przed Vin pojawiły się nagle błękitne linie – wszystkie jednym końcem wychodziły z jej piersi, a drugim znikały we mgle. Vin natychmiast skoczyła w bok, uchylając się, kiedy dwie monety przecięły nocne powietrze, pozostawiając ślady we mgle. Rozjarzyła ołów z cyną, lądując na kocich łbach drogi obok muru. Jej wyostrzony cyną słuch wychwycił odgłos skrobania – jakiś ciemny kształt nagle wystrzelił z nieba. Kilka niebieskich linii zbiegało się na jego sakiewce z monetami.

Vin rzuciła monetę i skoczyła w górę za przeciwnikiem. Przez chwilę wznosili się ponad ziemiami jakiegoś niczego niepodejrzewającego szlachcica, po czym przeciwnik Vin nagle zmienił kierunek w powietrzu, rzucając się ku domowi. Vin podążyła za nim, uwalniając monetę, a za to paląc żelazo i koncentrując się na jednym z zamków okiennic.

Jej przeciwnik uderzył pierwszy, usłyszała głuchy łomot, gdy wpadł na ścianę budynku. Sekundę później znów wystartował.

Rozbłysło światło i z okna wysunęła się rozczochrana głowa. Vin wywinęła koziołka w powietrzu i wylądowała stopami na ścianie budynku. Natychmiast odepchnęła się od pionowej powierzchni, nieco w bok i Odpychając się od tego samego zamka. Szyba pękła, a ona wystrzeliła w noc, zanim grawitacja zdążyła ściągnąć ją w dół.

Leciała przez mgłę, wytężając wzrok, żeby nie stracić z oczu ofiary. Rzucił w jej kierunku kilka monet, ale Odepchnęła je niedbale. Niebieska linia wystrzeliła w dół – to tamten rzucił monetę i znów przemknął w bok.

Ona także rzuciła monetę i Odepchnęła się. Jednakże jej moneta nagle podskoczyła na bruku – wynik Pchnięcia ze strony tamtego. Nagły ruch

zmienił trajektorię lotu Vin, rzucając ją w bok. Zaklęła, rzucając kolejną monetę, by Odepchnąć się z powrotem na właściwy tor. Przez ten czas przeciwnik uciekł.

Dobrze... pomyślała, lądując na miękkiej ziemi tuż za murem. Wysypała na rękę kilka monet i rzuciła dość pełną jeszcze sakiewkę w górę, Popychając ją mocno w kierunku, gdzie widziała znikającego przeciwnika. Sakiewka znikła we mgle, ciągnąc za sobą słabą Allomantyczną linię.

Nagle z pobliskich krzaków wystrzelił ku niej deszcz monet, kierując się w stronę jej sakiewki. Vin się uśmiechnęła. Jej przeciwnik myślał, że to leci sama Vin. Był za daleko, aby widzieć monety w jej dłoni, podobnie jak ona nie mogła widzieć monet, które on miał przy sobie.

Z zarośli wychnęła ciemna postać i skoczyła na kamienny mur. Vin czekała nieruchomo, aż tamten przebiegnie szczytem muru i ześliźnie się po drugiej stronie.

Teraz skoczyła pionowo w górę, po czym rzuciła garść monet w przechodzącą pod jej stopami postać. Odepchnął je natychmiast, wysyłając we wszystkie strony, ale było to tylko odwrócenie uwagi. Vin wylądowała na ziemi przed nim, wyrywając z pochew dwa szklane sztylety. Rzuciła się, cięła, ale jej przeciwnik skoczył w tył.

Coś było nie tak. Vin uchyliła się i rzuciła w bok, kiedy garść lśniących monet – jej monet, które przeciwnik Odepchnął – strumieniem spłynęła teraz w jego wyczekującą dłoń. Odwrócił się i cisnął wszystkie w jej stronę.

Vin rzuciła sztylety z cichym okrzykiem, wyciągnęła ręce i Odepchnęła monety. Natychmiast poleciała w tył, bo przeciwnik Pchnął je również ze swojej strony.

Jedna z monet podskoczyła w powietrzu i zawisła między nimi. Pozostałe znikły w mgle, rozrzucone przez działające w przeciwnych kierunkach siły.

Lecąc, Vin rozjarzyła stal i usłyszała stęknięcie tamtego, gdy i on został Pchnięty w tył. Uderzył w mur. Vin rozpłaszczyła się na drzewie, ale rozjarzyła cynę z ołowiem i zignorowała ból. Wykorzystała korę, żeby się zaprzeć, i Odpychała dalej.

Moneta drżała w powietrzu, uwięziona pomiędzy zwiększonymi oddziaływaniami dwojga Allomantów. Nacisk narastał. Vin zacisnęła zęby, czując, jak delikatna osika zgina się za jej plecami.

Odpychanie jej przeciwnika było bezlitosne.

Nie... dam... się... pobić! – pomyślała, rozjarzając jednocześnie stal i cynę z ołowiem i z cichym stęknięciem skupiła na monecie wszystkie siły.

Nastąpiła chwila ciszy. A potem Vin poleciała w tył łamiąc z trzaskiem drzewko, o które się opierała.

Upadła na ziemię jak głaz, drzazgi z łamanego drewna poleciały na wszystkie strony. Nawet cyna i cyna z ołowiem nie wystarczyły, by zachowała przytomność umysłu, kiedy potoczyła się po bruku, żeby po chwili znieruchomieć w oszołomieniu. Ciemna postać zbliżyła się do niej, łopocząc wstęgami mgielnego płaszcza. Vin skoczyła na nogi, szukając sztyletów. Zapomniała, że upuściła je wcześniej.

Kelsier zdjął kaptur i podał jej noże. Jeden był pęknięty.

– Wiem, że to instynktowne, ale nie musisz wyciągać przed siebie rąk, kiedy Odpychasz, ani upuszczać tego, co trzymasz.

Vin skrzywiła się w ciemności, rozcierając ramię i kiwając głową. Wzięła od niego sztylety.

– Dobra robota z tą sakiewką – pochwalił ją Kelsier. – Przez moment dałem się nabrać.

– Niewiele to pomogło – burknęła.

– Robisz to dopiero od kilku miesięcy, Vin – odparł. – Biorąc pod uwagę wszystko, czynisz fantastyczne postępy. Jednakże zalecałbym, abyś unikała pojedynków na Odpychanie z ludźmi, którzy ważą więcej od ciebie. – Spojrzał na jej smukłą, ale niewysoką sylwetkę. – A to znaczy, że praktycznie ze wszystkimi.

Westchnęła i przeciągnęła się lekko. Będzie miała kolejne sińce. Przynajmniej nie będą widoczne. Teraz, kiedy z jej twarzy zeszły wreszcie siniaki po ciosach Camona, Sazed ostrzegł ją, żeby uważała. Puder nie pokryje wszystkiego, a jeśli chce wkraść się w dworskie towarzystwo, musi wyglądać jak „przyzwoita” młoda arystokratka.

– Masz – rzekł Kelsier, podając jej jakiś przedmiot. – Coś na pamiątkę.

Vin wzięła go do ręki – była to ta sama moneta, którą przepychali między sobą. Wygięta i spłaszczona od nacisku.

– Zobaczymy się w domu – rzekł.

Skinęła głową, a Kelsier zniknął w ciemności. On ma rację, pomyślała. Jestem mniejsza, mniej ważę, mam mniejszy zasięg od tych, z którymi zapewne przyjdzie mi walczyć. Jeśli zaatakuję kogoś głową w przód, przegram.

Alternatywa i tak zawsze była jej ulubioną metodą – walczyć cicho, pozostawać niewidoczną. Musiała nauczyć się używać Allomancji w ten sam sposób. Kelsier twierdził, że nawet jak na Allomantkę rozwija się zaskakująco szybko. Chyba sądził, że to jego nauki, ale Vin czuła, że to coś innego. Mgły... nocne wędrówki... wszystko to wydawało jej się takie właściwe. Nie bała się, że nie zdąży opanować Allomancji, by pomóc Kelsierowi w walce przeciwko innym Zrodzonym z Mgły.

To ta druga część planu martwiła ją najbardziej.

Z westchnieniem przeskoczyła przez mur, aby odnaleźć swoją sakiewkę z monetami. W domu – nie należącym do Renoux, lecz do innego szlachcica – płonęły światła, wokół krzątali się ludzie. Żaden z nich nie zagłębiał się daleko w noc. Skaa obawiali się mgielnych upiorów, szlachta domyślała się, że to Zrodzeni z Mgły spowodowali zamieszanie. Żadne z nich nie było istotą, z którą chciałaby się spotkać zdrowa na umyśle osoba.

Vin odnalazła wreszcie swą sakiewkę poprzez linię stali – na górnych gałęziach drzewa. Pociągnęła ją ostrożnie, chwytając w dłoń, po czym ruszyła z powrotem na ulicę. Kelsier prawdopodobnie zostawiłby sakiewkę – kilkanaście spinek, jakie zawierała, nie byłoby warte jego fatygi. Jednakże Vin przez większość życia głodowała i oszczędzała. Nie potrafiła zmusić się do rozrzutności. Nawet rzucenie monety, by skoczyć, wprawiało ją w zakłopotanie.

Używała zatem monet bardzo oszczędnie, wracając do domu Renoux, Odpychając się i Przyciągając do budynków i porzuconych kawałków metalu. Ten pół-bieg a pół-skoki Zrodzonego z Mgły stały się teraz dla niej naturalnym sposobem poruszania i nie musiała dużo myśleć o swoich ruchach.

Jak sobie poradzi, próbując udawać szlachciankę? Nie mogła skryć obaw, nie przed samą sobą. Camon doskonale udawał szlachcica z powodu swojej pewności siebie, a była to cecha, której Vin nie posiadała. Jej sukces w Allomancji oznaczał najwyraźniej, że urodziła się do cieni i zakamarków, a nie paradowania po przyjęciach w pięknych sukniach.

Kelsier jednak nie pozwolił jej się wycofać. Vin wylądowała w kucki tuż poza ogrodzeniem pałacu Renoux, dysząc lekko z wysiłku. Spojrzała na światła z niejakim lękiem.

„Nauczysz się to robić”, powtarzał jej Kelsier. „Jesteś utalentowaną Allomantką, ale będzie ci potrzebne coś więcej niż tylko Odpychanie Stali, by zwyciężyć ze szlachtą. Dopóki nie będziesz poruszała się w społeczeństwie równie swobodnie, jak we mgle, będziesz zawsze w gorszym położeniu”.

Westchnęła cicho i wstała, po czym zdjęła płaszcz i schowała go, żeby móc zabrać go później. Następnie weszła po schodach do budynku. Kiedy zapytała o Sazeda, służba skierowała ją do kuchni, więc ruszyła w stronę odciętej, ukrytej części posesji, gdzie mieściły się pomieszczenia służby.

Nawet ta część budynku była utrzymywana w nieskazitelnej czystości. Vin zaczęła rozumieć, dlaczego Renoux był tak przekonujący w swej roli. Nie pozwalał na niedoskonałość. Jeśli będzie zachowywał swoje wcielenie z połową staranności, z jaką utrzymywał porządek w domu, Vin wątpiła, czy ktokolwiek odkryje podstęp.

Ale przecież musi mieć jakąś wadę, pomyślała. Na spotkaniu dwa miesiące temu Kelsier powiedział, że Renoux nie byłby w stanie przejść przez badanie Inkwizytora. Może oni potrafią wyczuwać jego emocje, coś, co go zdradza?

To był drobiazg, ale Vin nie zapomniała o nim. Pomimo słów Kelsiera na temat zaufania i uczciwości wciąż miał tajemnice. Jak każdy.

Sazed rzeczywiście siedział w kuchni. Rozmawiał z kobietą w średnim wieku. Kobieta była wysoka jak na skaa, choć obok Sazeda wydawała się drobna. Vin rozpoznała w niej jedną ze służących – miała na imię Cosahn. Vin starała się zapamiętać wszystkie imiona służących, choćby tylko po to, żeby mieć ich na oku.

Sazed spojrzał na nią.

– Ach, panienka Vin. Dobrze, że panienka wróciła. – Gestem wskazał swoją towarzyszkę. – To jest Cosahn.

Cosahn przyglądała się dziewczynie z miną znawczyni. Vin nagle zapragnęła wrócić w mgły, gdzie nikt tak na człowieka nie patrzy.

– Teraz już chyba są wystarczająco długie – mruknął Sazed.

– Owszem – odparła Cosahn. – Ale nie oczekuj ode mnie cudów, mistrzu Vaht.

Sazed skinął głową. „Vaht” był prawdopodobnie stosownym tytułem dla terrisańskiego lokaja. Nie całkiem skaa, ale już zdecydowanie nie szlachta,

Terrisanie zajmowali w imperialnym społeczeństwie bardzo dziwną pozycję.

Vin obserwowała podejrzliwie oboje.

– Twoje włosy, panienko – wyjaśnił Sazed. – Cosahn obetnie ci włosy.

– Och – mruknęła, unosząc do nich rękę. Urosły rzeczywiście już nieco za długie, jak na jej gust – ale dziwnie wątpiła, że Sazed pozwoli, by znów obcięto je krótko, po chłopięcemu.

Cosahn wskazała jej gestem krzesło i Vin niechętnie usiadła. Uznała, że to bardzo denerwujące, siedzieć nieruchomo, kiedy ktoś szczęka nożyczkami tak blisko jej głowy, ale nie mogła tego zmienić.

Po chwili przeczesywania palcami włosów Vin i cichego kląskania językiem Cosahn zaczęła ciąć.

– Takie piękne włosy – rzekła półgłosem, jakby do siebie. – Gęste, ślicznego, głębokiego czarnego koloru. Szkoda, że tak słabo o nie dbała, mistrzu Vaht. Wiele kobiet na dworze dałoby się zabić za takie włosy... Są dość puszyste, żeby wydawać się gęste i dość proste, by łatwo je było układać.

Sazed się uśmiechnął.

– Musimy dopilnować, żeby od tej pory były lepiej pielęgnowane – powiedział.

Cosahn pracowała dalej, kiwając głową. Wreszcie Sezad wziął krzesło i usiadł kilka kroków przed Vin.

– Kelsier jeszcze nie wrócił, prawda? – zapytała Vin.

Sazed pokręcił głową, a Vin westchnęła. Kelsier uważał, że Vin nie ma dość wprawy i nie zabierał jej na nocne rajdy, z których wiele następowało bezpośrednio po ćwiczeniach z Vin. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Kelsier pojawiał się w posiadłościach kilkunastu różnych szlachetnych rodów, zarówno w Luthadelu, jak i Felise. Zmieniał przebrania i pozorne motywy, starając się zasiać zamieszanie wśród Wielkich Rodów.

– O co chodzi? – zapytała Vin, mierząc wzrokiem Sazeda, który przyglądał jej się z zainteresowaniem.

Terrisanin skłonił z szacunkiem głowę.

– Zastanawiałem się, czy będzie panienka gotowa wysłuchać jeszcze jednej propozycji.

Vin westchnęła, wywracając oczyma.

– Proszę.

Jakbym miała jakieś inne wyjście, siedząc tutaj, pomyślała.

– Wydaje mi się, że mam dla panienki odpowiednią religię – rzekł Sazed, a jego twarz pojaśniała. – Nazywa się Trelagizm od boga Trella. Trell był czczony przez grupę znaną jako Nelazanie, ludzi, którzy mieszkają daleko na północy. Na tamtejszych terenach cykl dnia i nocy był bardzo dziwny. Przez kilka miesięcy w roku prawie cały dzień było ciemno. Latem z kolei na odwrót, ściemniało się również tylko na kilka godzin. Nelazanie wierzyli, że ciemność to piękno, a światło słoneczne jest nieczyste. Uważali gwiazdy za Tysiąc Oczu Trella, które nad nimi czuwają. Słońce było pojedynczym, zawistnym okiem brata Trella, Nalta. Ponieważ Nalt miał tylko jedno oko, musiało ono błyszczeć mocno, by przyćmić brata. Nelazanie jednak nie dali się skusić i woleli czcić spokojnego Trella, który czuwał nad nimi nawet wtedy, kiedy Nalt przesłaniał niebo.

Sazed zamilkł. Vin nie wiedziała co odpowiedzieć, więc wolała milczeć.

– To naprawdę dobra religia, panienko Vin – rzekł Sazed. – Bardzo łagodna, ale potężna. Nelazanie nie byli cywilizowanym ludem, ale bardzo zdeterminowanym. Wyrysowali mapę całego nocnego nieba, zliczyli i umiejscowili każdą większą gwiazdę. Ich obyczaje pasują do ciebie, a zwłaszcza to, że woleli noc. Mogę opowiedzieć ci więcej, jeśli chcesz.

Vin pokręciła głową.

– Wystarczy, Sazedzie.

– Nie pasuje panience? – rzekł Sazed, lekko marszcząc brwi. – No cóż, muszę zatem jeszcze to przemyśleć. Dziękuję, panienko. Jest panienka dla mnie naprawdę bardzo cierpliwa.

– Jeszcze przemyśleć? – zapytała Vin. – To piąta religia, na którą usiłujesz mnie nawrócić. Ile jeszcze może ich być?

– Pięćset sześćdziesiąt dwie – odparł Sazed. – A przynajmniej tyle jest systemów wierzeń, o których wiem. Prawdopodobnie i nieszczęśliwie z pewnością jest jeszcze wiele innych, o których mój lud nie słyszał i których śladów nie zdołał zebrać.

Vin się zamyśliła.

– I wszystkie te religie znasz na pamięć?

– O ile to możliwe – odrzekł. – Ich modlitwy, wierzenia, mitologie. Wiele jest podobnych, to odłamy lub sekty.

– Ale i tak, jak możesz je wszystkie spamiętać?

– Mam... metody – odparł.

– Tylko po co?

Sazed zmarszczył brwi.

– Odpowiedź powinna być oczywista, jak sądzę. Ludzie są cenni, panienko Vin, a zatem i ich wierzenia. Od czasu Wstąpienia tysiąc lat temu tak wiele wierzeń zanikło. Stalowy Zakon nie zezwala czcić nikogo innego, tylko Ostatniego Imperatora, a Inkwizytorzy całkiem zręcznie zniszczyli setki innych religii. Jeśli ktoś nie będzie ich pamiętał, po prostu zaginą.

– Chcesz powiedzieć – zawołała z niedowierzaniem – że próbujesz wprowadzić mnie w religię martwą od tysiąca lat?

Sazed skinął głową.

Czy wszyscy, którzy mają coś wspólnego z Kelsierem, są stuknięci? – pomyślała Vin.

– Ostatnie imperium nie będzie trwało wiecznie – rzekł cicho Sazed. – Nie wiem, czy to mistrz Kelsier będzie tym, który sprowadzi jego koniec, ale ten koniec nastąpi. A kiedy to się stanie... kiedy Stalowy Zakon nie będzie już przeszkadzał, ludzie wrócą do wierzeń swoich ojców. Tego dnia zwrócą się do Opiekunów i tego dnia zwrócimy ludzkości jej zapomniane prawdy.

– Opiekunowie? – zapytała Vin, podczas, kiedy Cosahn okrążyła ją, żeby przyciąć jej grzywkę. – Takich jak ty jest więcej?

– Niewielu – odrzekł. – Ale są. Wystarczy, by przekazać prawdy następnej generacji.

Vin siedziała w zadumie, walcząc z pokusą, żeby się powiercić pod zabiegami Cosahn. Kobieta naprawdę się nie spieszyła. Kiedy Reen obcinał włosy Vin, zazwyczaj kończył po kilku szybkich cięciach.

– Może powtórzymy sobie lekcje dla zabicia czasu, panienko Vin? – zaproponował Sazed.

Vin zmierzyła go wzrokiem. Uśmiechnął się lekko. Wiedział, że wreszcie ją dopadł. Nie mogła się ukryć, nie mogła nawet siedzieć w oknie i gapić się na mgłę. Mogła tylko siedzieć i słuchać.

– Niech będzie.

– Możesz nazwać wszystkie Wielkie Rody Luthadelu w kolejności potęgi?

– Venture, Hasting, Elariel, Tekiel, Lekal, Erikeller, Haught, Urbain i Buvidas.

– Dobrze, a ty kim jesteś?

– Jestem lady Valette Renoux, czwartą kuzynką lorda Trevena Renoux, który jest panem tego domu. Moi rodzice, lord Hadren i lady Fellette Renoux mieszkają w Chakath, mieście we Wschodnim Dominium. Główny towar eksportowy: wełna. Moja rodzina pracuje przy handlu farbami, zwłaszcza czerwieni rumienicowej, ze ślimaków, które są tam bardzo popularne, oraz kaczeńcowej żółci wyrabianej z kory drzew. Jako część umowy handlowej z dalekim kuzynem, rodzice przysłali mnie tu, do Luthadelu, żebym mogła spędzić trochę czasu na dworze.

Sazed skinął głową.

– A tobie jak się ten pomysł podoba?

– Jestem zdumiona i nieco oszołomiona – rzekła Vin. – Ludzie będą na mnie zwracali uwagę, ponieważ chcą zasłużyć sobie na łaski lorda Renoux. Ponieważ nie znam się na dworskich obyczajach, ich uwaga będzie mi pochlebiała. Postaram się znaleźć w społeczności dworskiej, ale będę się trzymać z dala od kłopotów.

– Twoja pamięć jest zdumiewająca, panienko – rzekł Sazed. – Skromny dworzanin zastanawia się, jakie mogłabyś odnieść sukcesy, gdybyś poświęciła się nauce w równym stopniu, jak teraz poświęcasz się uciekaniu z zajęć.

Vin zmierzyła go wzrokiem.

– Czy wszyscy terrisańscy „skromni dworzanie” tak marudzą swoim państwu, jak ty?

– Tylko ci najlepsi.

Przyglądała mu się przez chwilę, po czym westchnęła.

– Przepraszam, Saze. Nie chcę unikać zajęć z tobą. Ja tylko... mgła... no wiesz, rozpraszam się czasami.

– Cóż, na szczęście i uczciwie mówiąc uczy się panienka bardzo szybko. Jednakże ludzie na dworze poświęcali na naukę etykiety całe życie. Nawet jako zaściankowa szlachcianka, powinnaś pewne rzeczy wiedzieć.

– Wiem – odparła Vin. – Nie chcę się wyróżniać.

– O, tego nie unikniesz, panienko. Nowo przybyła, z odległej części imperium? Ależ tak, zostaniesz zauważona. Nie chcemy tylko, żeby nabrali podejrzeń. Muszą ci się przyjrzeć, a potem zapomnieć. Jeśli będziesz zachowywać się głupio, to samo z siebie stanie się podejrzane.

Świetnie.

Sazed urwał i lekko przekrzywił głowę. Kilka sekund później Vin usłyszała kroki w korytarzu. Do kuchni wbiegł Kelsier z uśmiechem na twarzy. Zdjął mgielny płaszcz i przystanął, kiedy ujrzał Vin.

– Co? – zapytała, nieco cofając się na siedzeniu.

– Fryzura wygląda dobrze – rzekł Kelsier. – Świetna robota, Cosahn.

– To nic takiego, mistrzu Kelsier – odparła z zadowoleniem w głosie kobieta. – Pracuję z tym, co mam do dyspozycji.

– Lustro – zażądała Vin, wyciągając rękę.

Cosahn podała jej zwierciadło. Vin podniosła je i to, co zobaczyła, zamurowało ją na chwilę. Wyglądała... jak dziewczyna.

Cosahn zrobiła z jej włosów absolutne dzieło sztuki, udało jej się pozbyć wszystkich niesfornych kosmyków. Vin zawsze uważała, że kiedy jej włosy są zbyt długie, sterczą we wszystkie strony. Teraz, choć włosy Vin wciąż nie były długie – zaledwie przykrywały jej uszy – leżały płasko.

„Nie chciej, aby myśleli o tobie jako o dziewczynie”, ostrzegał ją Reen. Ale po raz pierwszy w życiu stwierdziła, że chce go zignorować.

– Vin, naprawdę jeszcze zrobimy z ciebie damę! – zawołał Kelsier ze śmiechem, za co został natychmiast nagrodzony piorunującym spojrzeniem dziewczyny.

– Najpierw musimy ją przekonać, żeby nie robiła tak często groźnych min, mistrzu Kelsier – podsunął Sazed.

– Z tym będzie problem – zgodził się Kelsier. – Ona bardzo lubi się wykrzywiać. W każdym razie świetna robota, Cosahn.

– Mam jeszcze trochę wyrównywania, mistrzu Kelsier – powiedziała kobieta.

– Oczywiście, nie przeszkadzaj sobie – rzekł Kelsier. – Ale zabiorę wam na chwilę Sazeda.

Kelsier mrugnął do Vin, uśmiechnął się do Cosahn i wyszedł z Sazedem na korytarz, znów zostawiając Vin tam, gdzie nie mogła podsłuchiwać.

***

Kelsier zajrzał do kuchni, obserwując siedzącą na krześle nadąsaną Vin. Fryzura była naprawdę świetna. Jednak jego komplementy miały również inny cel – podejrzewał, że Vin zbyt wiele życia spędziła na wysłuchiwaniu,

jak bardzo jest do niczego. Może, gdyby miała więcej pewności siebie, nie kryłaby się aż tak bardzo.

Powoli zamknął drzwi i spojrzał na Sazeda. Terrisanin czekał jak zawsze, spokojnie i cierpliwie.

– Jak idzie nauka?

– Bardzo dobrze, mistrzu Kelsier – odparł Sazed. – Zna już pewne zagadnienia z nauk, jakie odebrała u swojego brata. A poza tym to rzeczywiście wyjątkowo inteligentna dziewczyna – spostrzegawcza i ma dobrą pamięć. Nie spodziewałem się takich umiejętności u kogoś, kto wychował się w takich warunkach jak ona.

– Wiele dzieci ulicy wykazuje spryt – odparł Kelsier. – Te, które go nie mają, już nie żyją.

Sazed skinął poważnie głową.

– Jest niesamowicie skryta. Czuję, że nie dostrzega pełnej wartości moich lekcji. Jest bardzo posłuszna, ale błyskawicznie wykorzystuje błędy lub nieporozumienia. Jeśli nie powiem jej dokładnie, gdzie i kiedy mamy się spotkać, często muszę jej szukać po całym pałacu.

Kelsier skinął głową.

– Myślę, że to jej sposób na zachowanie pewnej kontroli nad swoim życiem. W każdym razie chciałem po prostu wiedzieć, czy jest gotowa, czy nie.

– Nie jestem pewien, mistrzu Kelsier – odparł Sazed. – Czysta wiedza nie jest równoważna umiejętnościom. Nie mam pewności, czy ma dość... tupetu, żeby udawać szlachciankę, nawet młodą i niedoświadczoną. Ćwiczyliśmy już kolację, przerobiliśmy etykietę w konwersacji, zapamiętaliśmy plotki. Wydaje się, że opanowała to wszystko w kontrolowanej sytuacji. Nawet dobrze jej szło siedzenie na spotkaniach przy herbatce, które Renoux organizował dla szlachetnie urodzonych gości. Niestety, nie dowiemy się, co potrafi, dopóki nie wpuścimy jej samej na przyjęcie pełne arystokratów.

– Szkoda, że nie może więcej poćwiczyć – rzekł Kelsier, kręcąc głową. – Ale każdy tydzień zwiększa prawdopodobieństwo, że Zakon odkryje naszą pączkującą w jaskiniach armię.

– To zatem próba równowagi – rzekł Sazed. – Musimy czekać wystarczająco długo, aż zbierzemy potrzebną liczbę ludzi, a jednocześnie ruszyć dość szybko, by uniknąć wykrycia.

Kelsier skinął głową.

– Nie możemy czekać przez jednego członka ekipy... Będziemy musieli znaleźć kogo innego, jeśli Vin sobie nie poradzi. Biedna dziewczyna, żałuję, że nie udało mi się podszkolić jej lepiej w Allomancji, zaledwie przerobiliśmy pierwsze cztery metale. Po prostu nie ma dość czasu!

– Jeśli mógłbym coś zasugerować...

– Oczywiście, Saze.

– Wyślij małą z którymś ze swoich Mglistych – poradził Sazed. – Podobno niejaki Breeze jest doświadczonym Uspokajaczem, pozostali zapewne są równie zręczni. Niech pokażą panience Vin, jak ma korzystać ze swych umiejętności.

Kelsier się zamyślił.

– To dobry pomysł, Saze.

– Ale?

Kelsier znów spojrzał na drzwi, za którymi Vin niechętnie poddawała się zabiegom Cosahn.

– Nie jestem pewien. Dzisiaj, kiedy trenowaliśmy, zmierzyliśmy się na Odpychanie Stali. Dziewczyna waży o połowę mniej ode mnie, a jednak spuściła mi niezłe manto.

– Różni ludzie mają różne Allomantyczne umiejętności – odparł Sazed.

– Tak, ale różnica zwykle nie jest aż tak duża – odparł Kelsier. – Poza tym mnie zajęło kilka miesięcy, zanim nauczyłem się manipulować Odepchnięciami i Przyciąganiami. Nie jest to takie łatwe, jak się wydaje, nawet coś tak prostego jak Odpychanie się na dach wymaga zrozumienia ciężaru, równowagi i trajektorii. Ale Vin... ona jakby to wszystko wiedziała instynktownie. Oczywiście, umie operować tak naprawdę tylko czterema metalami, ale postępy, jakie poczyniła, są zdumiewające.

– To szczególna dziewczyna.

Kelsier skinął głową.

– Należy jej się więcej czasu na naukę. Czuję się nieco winny, że wciągam ją w nasze plany. Prawdopodobnie skończy na ceremonii egzekucyjnej Zakonu wraz z nami.

– Ale to poczucie winy nie powstrzyma cię przed użyciem jej jako szpiega wśród arystokracji.

Kelsier pokręcił głową.

– Nie – rzekł spokojnie. – Nie powstrzyma. Potrzebujemy każdej przewagi, na jaką nas stać. Tylko... pilnuj jej, Saze. Od tej chwili będziesz lokajem i strażnikiem Vin na wszystkich spotkaniach towarzyskich, w jakich będzie brała udział. To nie będzie dziwne, że ma obok siebie Terrisanina.

– Wcale nie – zgodził się Sazed. – Właściwie dziwne byłoby wysyłanie dziewczyny w jej wieku na dworskie uroczystości bez eskorty.

– Chroń ją, Saze. Może być potężną Allomantką, ale jest niedoświadczona. Będę czuł się mniej winny z powodu wysyłania jej na te spotkania, jeśli będę wiedział, że jesteś z nią.

– Będę ją chronił za cenę własnego życia, mistrzu Kelsier. Obiecuję to.

Kelsier uśmiechnął się, z wdzięcznością kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Żal mi tego, kto wam wejdzie w drogę.

Sazed pokornie spuścił głowę. Wydawał się nieszkodliwy, ale Kelsier znał jego siłę. Niewielu ludzi, Allomantów czy nie, skończyłoby dobrze w walce z Opiekunem, którego gniew wzniecili. Dlatego właśnie Zakon ścigał tę sektę niemal do całkowitego wyniszczenia.

– Dobrze – rzekł Kelsier. – Wracaj do nauczania. Pod koniec tygodnia lord Venture wydaje bal i – gotowa czy nie – Vin tam będzie.

Zdumiewa mnie, ile narodów zjednoczyło się dla naszego celu. Wciąż są sprzeczki, oczywiście – niektóre królestwa, niestety, zaczęły toczyć wojny, których ja nie byłem w stanie powstrzymać.

Jednakże to ogólne zjednoczenie jest wspaniałe, a nawet budzi pokorę. Chciałbym, żeby ludzkość nie potrzebowała aż tak wielkiego zagrożenia. By dostrzegła potrzebę pokoju i współpracy.

10

Vin szła ulicą w Szczelinach – jednej z wielu slumsowych dzielnic Luthadelu. Głowę nakryła kapturem. Z jakiegoś powodu wolała duszne ciepło kaptura niż uporczywe czerwone światło słoneczne.

Szła schylona, ze spuszczonym wzrokiem, trzymając się skraju ulicy. Mijani skaa mieli podobne, posępne i beznadziejne miny. Żaden nie unosił głowy, nie prostował pleców i nie wodził wokół optymistycznym spojrzeniem – w slumsach byłoby to podejrzane.

Już prawie zapomniała, jak przygnębiający jest to widok. Kilka tygodni w Fellise przyzwyczaiło ją do drzew i wyszorowanego kamienia. Tu nic nie

było białe – ani pełzające osiki, ani bielony granit. Wszystko tchnęło czernią.

Budynki były poczerniałe od ciągłych opadów popiołu. Powietrze kłębiło się dymem słynnych kuźni Luthadelu i dziesiątków arystokratycznych kuchni. Bruk, drzwi i kąty były zalepione sadzą – slumsy rzadko zamiatano.

To jakby... wszystko w istocie było jaśniejsze nocą niż w dzień, pomyślała, otulając się mocniej połatanym płaszczem skaa i skręcając za róg. Mijała żebraków, skulonych pod murami, z wyciągniętymi rękami i nadzieją na jałmużnę, lecz ich błagania nie docierały do uszu przechodniów, którzy sami często głodowali. Mijała robotników idących ze zgarbionymi ramionami i spuszczonymi głowami, z czapkami i kapturami nasuniętymi na twarz, żeby popiół nie opadał im do oczu. Czasem mijała oddziały gwardii miejskiej w pełnej zbroi – napierśnik, hełm i czarny płaszcz – usiłujących wyglądać jak najbardziej onieśmielająco.

Grupa tych ostatnich kręciła się po slumsach, działając w imieniu Ostatniego Imperatora tam, gdzie obligatorzy nie raczyli się pojawić. Kopali żebraków, żeby się upewnić, że są naprawdę inwalidami, zatrzymywali robotników i ganili za to, że włóczą się po okolicy, zamiast pracować, i ogólnie starali się wszystkim uprzykrzyć życie. Kiedy przechodzili, Vin odsunęła się, nisko opuszczając kaptur. W jej wieku powinna być albo w ciąży, albo pracować w fabryce, ale dzięki wzrostowi brano ją za dużo młodszą.

Albo jej wybieg poskutkował, albo ten akurat oddział nie był zainteresowany szukaniem siły roboczej, bo zaszczycili ją zaledwie spojrzeniem. Skręciła za róg, w wypełnioną popiołem alejkę i podeszła do kuchni wydającej zupę na końcu wąskiej uliczki.

Podobnie jak większość przybytków tego rodzaju, kuchnia była ciemna i brudna. W gospodarce, gdzie robotnicy rzadko, a wręcz nigdy nie byli bezpośrednio wynagradzani, kuchnie musiały być wspierane przez szlachtę. Niektórzy lokalni lordowie – być może właściciele hut i kuźni w okolicy – opłacali kuchnię, by ta dostarczała posiłki dla lokalnych skaa. Robotnicy otrzymywali żetony na posiłek i pozwalano im na jedną przerwę dziennie około południa, by mogli go spożyć.

Oczywiście, ponieważ właściciel kuchni był opłacany bezpośrednio, mógł nakraść składników, które udało mu się zaoszczędzić.

Z doświadczenia Vin wiedziała, że posiłki smakowały tutaj tak jak woda z popiołem.

Na szczęście nie przyszła tu jeść. Stanęła w kolejce, czekając, aż robotnicy oddadzą żetony. Kiedy przyszła jej kolej, wyjęła mały drewniany krążek i podała go skaa przy drzwiach. Przyjął go, prawie niedostrzegalnie skinąwszy głową na prawo.

Vin poszła we wskazanym kierunku, przechodząc przez brudną jadalnię, gdzie na podłodze widniały warstwy wniesionego z zewnątrz popiołu. Kiedy podeszła do ściany w głębi, zauważyła w kącie niewielkie drzwi z surowego drewna. Siedzący przy drzwiach mężczyzna pochwycił jej wzrok, skinął głową i uchylił je przed nią. Vin szybko przeszła do mniejszego pomieszczenia, które znajdowało się za nimi.

– Vin, moja droga! – zawołał Breeze, siedzący przy stole pośrodku pokoju. – Witaj! Jak było w Fellise?

Vin wzruszyła ramionami i usiadła przy stole.

– Ach – mruknął Breeze. – Już zapomniałem, jaka z ciebie fascynująca rozmówczyni. Wina?

Pokręciła głową.

– Cóż, ja w każdym razie mam ochotę. – Breeze miał na sobie jeden ze swoich charakterystycznych ekstrawaganckich strojów, a na kolanach trzymał laskę.

Pokój był oświetlony jedną lampą, ale i tak o wiele czystszy od jadalni. Spośród czwórki ludzi, którzy się tu znajdowali, Vin rozpoznała tylko jednego – ucznia ze sklepu Clubsa. Dwóch ludzi przy drzwiach było prawdopodobnie strażnikami. Ostatni wydawał się zwykłym robotnikiem skaa, w poczerniałej kurtce i z twarzą pokrytą popiołem. Jego pewna siebie mina świadczyła jednak o tym, że był członkiem podziemia. Prawdopodobnie jednym z rebeliantów Yedena.

Breeze uniósł szklankę, stukając w nią paznokciem. Rebeliant spojrzał na nią ponuro.

– Zastanawiasz się pewnie – zagaił Breeze – czy teraz używam wobec ciebie Allomancji. Może tak, a może nie. Czy to ma znaczenie? Jestem tutaj na zaproszenie twojego przywódcy, a on ci nakazał, by zapewnić mi wszelkie wygody. A zapewniam cię, że szklanka wina w dłoni jest absolutnie dla mojej wygody niezbędna.

Mężczyzna skaa stał jeszcze przez chwilę, po czym chwycił szklankę i wyszedł, mamrocząc coś pod nosem o bezsensownych kosztach i zmarnowanych zasobach.

Breeze uniósł brew, spoglądając na Vin. Wydawał się bardzo zadowolony z siebie.

– Popchnąłeś go? – zapytała.

Breeze pokręcił głową.

– Szkoda mosiądzu. Czy Kelsier powiedział ci, po co tu jesteś?

– Kazał mi ciebie obserwować – odparła, nieco zirytowana, że przekazano ją Breeze'owi. – Powiedział, że nie ma czasu szkolić mnie we wszystkich metalach.

– Cóż, w takim razie zacznijmy – odparł. – Po pierwsze, musisz zrozumieć, że Uspokajanie to coś innego niż tylko Allomancja. Chodzi o szlachetną i delikatną sztukę manipulacji.

– Szlachetna, faktycznie – odparła Vin.

– Ach, mówisz jak jeden z nich! – zawołał.

– Nich, czyli kogo?

– Nich, czyli wszystkich innych – odparł Breeze. – Sama widziałaś, jak ten dżentelmen skaa mnie potraktował. Ludzie nas nie lubią, moja droga. Sama myśl o kimś, kto może igrać z ich emocjami, kto „mistycznie" może ich zmusić do pewnych rzeczy, sprawia, że czują się niepewnie. Nie wiedzą tylko o jednym – za to ty musisz wiedzieć – że manipulacja innymi to coś, co robią wszyscy. Właściwie manipulacja leży u podstaw relacji społecznych. – Rozsiadł się wygodnie, uniósł laskę i gestykulował nią: – Pomyśl o tym. Co robi młody człowiek, kiedy stara się o względy dziewczyny? Cóż, próbuje nią manipulować tak, by spojrzała na niego łaskawym wzrokiem. Co robią dwaj przyjaciele, którzy przysiedli na drinka? Opowiadają sobie różne historie, próbując wywrzeć na sobie wrażenie. Życie istoty ludzkiej to ciągłe pozowanie i wpływy. Nie jest to nic złego, właściwie polegamy na tym. Te interakcje uczą nas, jak reagować na innych.

Urwał, celując laską w Vin.

– Różnica pomiędzy Uspokajaczami i zwykłymi ludźmi polega na tym, że my wiemy, co robimy. Mamy też pewną... przewagę. Ale czy naprawdę jest to o wiele „potężniejsze" niż charyzmatyczna osobowość albo ładne zęby? Nie sądzę.

Teraz to Vin się zamyśliła.

– Poza tym – kontynuował Breeze – jak już wspomniałem, dobry Uspokajacz musi umieć o wiele więcej, niż tylko używać Allomancji. Allomancja nie pozwala czytać umysłów ani uczuć – w pewnym sensie jesteś prawie tak samo ślepa, jak każdy człowiek. Odpalasz impulsy uczuć, skierowane na jedną osobę lub na cały obszar, powodując zmianę uczuć i, być może, wywołując taki skutek, jakiego sobie życzyłeś. Jednakże wielkimi Uspokajaczami są tylko ci, którzy z powodzeniem mogą użyć swoich oczu i instynktu, by się dowiedzieć, w jakim nastroju jest dana osoba, nim zaczną ją Uspokajać.

– A jakie to ma znaczenie, w jakim jest nastroju? – zapytała Vin, usiłując ukryć irytację. – I tak będziesz próbował ją Uspokoić, prawda? A zatem kiedy skończysz, i tak będzie się czuła tak, jak chcesz, żeby się czuła.

Breeze westchnął, kręcąc głową.

– Co byś powiedziała, gdybyś się dowiedziała, że w czasie naszej rozmowy Uspokoiłem cię aż trzy razy w trzech oddzielnych momentach?

Vin znieruchomiała.

– Kiedy? – zapytała.

– A czy to ma znaczenie? – odparł. – To lekcja, którą musisz odebrać, moja droga. Jeśli nie umiesz odczytać, jak ktoś się czuje, nigdy nie będziesz miała subtelnego wyczucia emocjonalnej Allomancji. Popchnij kogoś zbyt mocno, a nawet najbardziej ślepi spośród skaa zorientują się, że są w jakiś sposób manipulowani. Dotknij zbyt lekko, a nie spowodujesz zauważalnych skutków; inne, silniejsze emocje będą nadal rządzić twoim obiektem. – Pokręcił głową. – Chodzi o zrozumienie ludzi. Musisz odczytać, jak się ktoś czuje, zmienić te uczucia, popychając je w odpowiednim kierunku, a potem ukierunkować nowy stan emocjonalny na swoją korzyść. I to jest, moja droga, wyzwanie w naszej pracy. Jest trudne, ale dla tych, którzy potrafią to robić dobrze...

Drzwi się otwarły i stanął w nich nadąsany skaa z butelką wina. Postawił ją wraz z kubkiem przed Breeze’em, po czym poszedł na drugą stronę pokoju, obok wzierników pozwalających widzieć, co się dzieje w jadalni.

– Korzyści są ogromne – ciągnął z łagodnym uśmiechem Breeze. Mrugnął do niej, po czym nalał trochę wina.

Vin nie była pewna, co ma myśleć. Opinia Breeze’a wydawała się okrutna. Jednakże Reen wyszkolił ją dobrze. Jeśli nie będzie panowała nad

tymi sprawami, to one przejmą kontrolę nad nią. Zaczęła spalać miedź – tak jak ją nauczył Kelsier, żeby osłonić się przed dalszymi manipulacjami ze strony Breeze’a.

Drzwi otwarły się znowu i do środka wpadła znajoma postać w kamizelce.

– Hej, Vin – rzekł z przyjaznym skinieniem dłoni Ham. Podszedł do stołu, łypiąc okiem na butelkę. – Breeze, wiesz, że rebelia nie ma pieniędzy na takie ekscesy.

– Kelsier im zwróci – odparł Breeze. – Po prostu nie umiem pracować z suchym gardłem. Jak na zewnątrz?

– Bezpiecznie – odparł Ham. – Ale rozstawiłem Cynookich po kątach, tak na wszelki wypadek. Wasze wyjście awaryjne jest za tym włazem w rogu.

Breeze skinął głową i Ham obrócił się, spoglądając na ucznia Clubsa.

– A ty tam Dymisz, Cobble?

Chłopak skinął głową.

– Grzeczny dzieciak – pochwalił Ham. – Więc na razie to wszystko. Teraz musimy tylko czekać na przemowę Kella.

Breeze sprawdził czas na zegarku kieszonkowym.

– Przyjdzie dopiero za parę minut. Mam wysłać kogoś po kubek?

– Dziękuję – odparł Ham.

Breeze wzruszył ramionami i dalej popijał wino.

Nastała chwila milczenia. Wreszcie odezwał się Ham.

– Więc...

– Nie – przerwał Breeze.

– Ale...

– Nieważne o co chodzi, nie chcemy o tym słyszeć.

Ham obrzucił Uspokajacza obojętnym spojrzeniem.

– Nie możesz Popchnąć mnie i zmusić do milczenia, Breeze.

Breeze wywrócił oczami i nalał sobie wina.

– Co? – zapytała Vin. – Co chciałeś powiedzieć?

– Nie namawiaj go, moja droga – wtrącił Breeze.

Vin zmarszczyła brwi. Spojrzała na uśmiechającego się Hama.

Breeze westchnął.

– Po prostu mnie do tego nie mieszajcie. Nie mam nastroju na kolejną bezsensowną debatę Hama.

– Nie zwracaj na niego uwagi – odparł Ham, przysuwając krzesło, by siedzieć nieco bliżej Vin. – Więc zastanawiałem się. Czy, obalając Ostatnie Imperium, robimy coś dobrego, czy może raczej złego?

Vin się zamyśliła.

– A czy to ma znaczenie?

Ham spojrzał na nią, zaskoczony, ale Breeze zachichotał.

– Dobra odpowiedź – rzekł Uspokajacz.

Ham zgromił go wzrokiem, po czym znów spojrzał na Vin.

– Oczywiście, że ma.

– No dobrze – odparła. – Uważam, że robimy coś dobrego. Ostatnie Imperium uciska skaa od setek lat.

– Zgadza się – odparł Ham. – Ale istnieje pewien problem. Ostatni Imperator jest Bogiem, tak?

Vin wzruszyła ramionami.

– A to ma jakieś znaczenie?

Ham znów zgromił ją wzrokiem.

Wzniosła oczy.

– No dobrze. Zakon twierdzi, że jest Bogiem.

– W zasadzie – zauważył Breeze – Ostatni Imperator jest jedynie kawałkiem Boga. Jest Skrawkiem Nieskończoności – nie wszystkowiedzącym, czy wszechobecnym, ale niezależnym fragmentem świadomości, która jest.

Ham westchnął.

– Myślałem, że nie chcesz się w to mieszać.

– Ja tylko się upewniam, że wszyscy mają dokładne informacje – odparł lekko Breeze.

– Tak czy owak – rzekł Ham – Bóg to stwórca wszechrzeczy, tak? Siła, która dyktuje prawa wszechświata, dlatego jest ostatecznym źródłem etyki. Jest moralnością absolutną.

Vin zamrugała.

– Widzisz ten dylemat? – zapytał Ham.

– Widzę idiotę – wymamrotał Breeze.

– Nie rozumiem – odparła Vin. – W czym problem?

– Twierdzimy, że czynimy dobrze – wyjaśnił Ham. – Jednak Ostatni Imperator, jako Bóg, definiuje to, co jest dobre. Przeciwstawiając mu się,

w istocie czynimy źle. A skoro on robi coś złego, to czy w tym przypadku zło rzeczywiście nie liczy się jako dobro?

Vin zmarszczyła brwi.

– No i? – zagadnął Ham.

– Zdaje się, że przyprawiłeś mnie o ból głowy – odparła.

– Przecież cię ostrzegałem – wtrącił Breeze.

Ham westchnął.

– Ale czy nie uważacie, że warto o tym porozmawiać?

– Nie jestem pewien.

– A ja tak – odparł Breeze.

Ham pokręcił głową.

– Nikt nie ma ochoty na przyzwoitą, inteligentną rozmowę.

Rebeliant skaa w kącie poderwał się nagle.

– Kelsier tu jest!

Ham uniósł brew, po czym wstał.

– Idę popilnować gromadki. Pomyśl o tym zagadnieniu, Vin.

– Dobrze... – mruknęła, kiedy wyszedł.

– Chodź tutaj! – zawołał ją Breeze, wstając. – Mamy na tej ścianie wzierniki. Bądź tak dobra i przynieś mi krzesło, dobrze?

Nie obejrzał się, by sprawdzić, czy wypełniła jego polecenie. Zawahała się, niepewna. Paliła miedź, nie powinien więc jej Uspokajać, ale...Westchnęła i zaniosła oba krzesła pod ścianę. Breeze odsunął długą, wąską deskę w ścianie, odsłaniając widok na jadalnię.

Wokół stołów siedziała grupa umorusanych skaa, odzianych w brązowe robocze fartuchy lub podarte płaszcze. Była to ponura grupa o twarzach ubrudzonych popiołem i przygarbionych ramionach. Jednakże ich obecność na spotkaniu oznaczała, że są gotowi słuchać. Yeden siedział przy stole bliżej frontu, ubrany w zwykły, połatany płaszcz. W czasie nieobecności Vin ściął włosy na krótko.

Vin spodziewała się ze strony Kelsiera jakiegoś wielkiego wejścia, tymczasem on po prostu wyłonił się z drzwi kuchennych. Przystanął przy stole Yedena, uśmiechnął się do niego i przez chwilę rozmawiali stłumionymi głosami, po czym podszedł do siedzących robotników.

Vin nigdy nie widziała go w tak skromnym stroju. Miał na sobie brunatny kubrak skaa i beżowe spodnie, podobnie jak większość słuchaczy. Jego odzież była jednak czysta. Materiału nie plamiły smugi sadzy, i choć

była to ta sama szorstka tkanina, z której zwykle szyto ubrania skaa, nie miała śladu łat ani dziur. Różnica była wystarczająco wyraźna. Vin uznała, że gdyby pojawił się w stroju szlachty, byłaby zbyt wyraźna.

Splótł dłonie za plecami i zebrani powoli się uspokajali. Vin obserwowała go przez szczelinę i zastanawiała się nad Kelsierem, który potrafił zapanować nad tłumem głodnych robotników, po prostu stając przed nimi. A może używał Allomancji? Nie, nawet przy zapalonej miedzi, wyczuwała od niego... obecność.

Kiedy tylko w sali zapadła cisza, Kelsier zaczął mówić.

– Prawdopodobnie do tej pory już wszyscy o mnie słyszeliście – rzekł. – I z całą pewnością nie byłoby was tutaj, gdybyście przynajmniej trochę nie popierali mojej sprawy.

Stojący obok Vin Breeze sączył wino.

– Uspokajanie i Podburzanie nie są takie, jak inne rodzaje Allomancji – rzekł cicho. – W większości przypadków Popychanie i Pociąganie mają po prostu odwrotne skutki. Jednakże przy emocjach można osiągnąć często ten sam wynik, stosując zarówno Uspokajanie, jak i Podżeganie. Nie dotyczy to skrajnych stanów emocjonalnych – kompletnego braku emocji lub głębokiej pasji. Najczęściej nie jest ważne, jakiej mocy użyjesz. Ludzie nie przypominają twardych cegiełek metalu – w dowolnym momencie będą się w nich kłębiły dziesiątki różnych emocji. Doświadczony Uspokajacz może stłumić wszystkie emocje poza tą, którą chce pozostawić jako dominującą. – Breeze obrócił się lekko. – – Rudd, przyślij niebieską kelnerkę, jeśli możesz.

Jeden ze strażników skinął głową, uchylił drzwi i wyszeptał coś do człowieka siedzącego na zewnątrz. Chwilę później Vin zobaczyła krążącą w tłumie służącą, ubraną w spłowiałą niebieską sukienkę.

– Moi Uspokajacze są wmieszani w tłum – wyjaśnił nieco roztargnionym tonem Breeze. – Służące są znakiem, który mówi im, jakie emocje powinni Uspokajać. Będą pracować, tak samo jak ja. – Urwał, koncentrując się na zebranych.

– Zmęczenie... – wyszeptał po chwili. – Nie jest to teraz potrzebne uczucie. Głód... rozprasza. Podejrzliwość... zdecydowanie nie pomaga. Tak, a kiedy Uspokajacze pracują, Podżegacze rozpalają uczucia, które chcemy obudzić w tłumie. Ciekawość... to im się teraz przyda. Słuchajcie Kelsiera. Słyszeliście legendy i opowieści. Zobaczcie go sami.

– Wiem, dlaczego przyszliście tu dzisiaj – rzekł spokojnie Kelsier. Mówił bez charakterystycznego zapału, równym głosem, wprost. – Dwadzieścia cztery godziny na dobę w fabryce, kopalni czy kuźni. Chłosta, brak zapłaty, kiepskie jedzenie. I za co? Żebyście mogli wieczorem wrócić do baraków i zastać kolejną tragedię? Przyjaciela zabitego przez beztroskiego karbowego. Córkę porwaną dla rozrywki jakiegoś szlachcica. Brata zabitego przez lorda, który miał kiepski dzień.

– Tak – szepnął Breeze. – Dobrze. Rudd, poślij dziewczynę w jasnej czerwieni.

Do sali weszła kolejna służąca.

– Pasja i gniew – mruknął Breeze. – Ale tylko troszkę. Tylko... przypomnienie.

Zaciekawiona Vin na chwilę zgasiła miedź, paląc brąz, aby wyczuć, jak Breeze używa Allomancji. Breeze jednak nie wysyłał żadnych impulsów.

Oczywiście, pomyślała. Zapomniałam o uczniu Clubsa... na pewno pilnuje, żebym nie poczuła żadnych allomantycznych impulsów.

Zapaliła miedź z powrotem.

– Przyjaciele, nie jesteście osamotnieni w swojej tragedii – kontynuował Kelsier. – Są miliony takich jak wy. I potrzebują was. Nie przyszedłem tu błagać. Proszę tylko, żebyście pomyśleli. Gdzie wolelibyście wyładowywać energię? Kując broń dla Ostatniego Imperatora? Czy na coś cenniejszego?

Nie mówi o naszych oddziałach, stwierdziła w myślach Vin. Ani nawet o tym, co będą robić ci, którzy się przyłączą. Nie chce, by ktokolwiek z nich znał szczegóły. Prawdopodobnie to dobry pomysł – ci, którzy się przyłączą, mogą zostać wysłani do wojska, a reszta nie będzie w stanie przekazać żadnej szczegółowej informacji.

– Wiecie, po co tu jestem – rzekł Kelsier. – Znacie mojego przyjaciela, Yedena. Każdy skaa w mieście wie o rebelii. Może nawet myśleliście, żeby się do niej przyłączyć. Większość nie zrobi tego – wrócicie do pokrytych sadzą fabryk, płonących palenisk i umierających domów. Wrócicie, bo to straszne życie jest swojskie. Ale niektórzy... niektórzy pójdą za mną. I to ich będzie się pamiętać w przyszłości. Będzie się ich pamiętać za wielkie czyny.

Wielu robotników spojrzało po sobie, choć niektórzy nie podnosili wzroku znad częściowo opróżnionych misek zupy. Wreszcie odezwał się ktoś z głębi sali.

– Jesteś głupcem – rzekł. – Ostatni Imperator cię zabije. Nie możesz się zbuntować przeciwko Bogu w jego własnym mieście.

W sali zapadła pełna napięcia cisza. Vin uniosła się, gdy Breeze zaczął szeptać do siebie.

W jadalni Kelsier stał przez chwilę w milczeniu. Wreszcie uniósł dłonie i podciągnął rękawy, ukazując plątaninę blizn na ramionach.

– Ostatni Imperator nie jest naszym bogiem – rzekł cicho. – I nie może mnie zabić. Próbował, ale mu się to nie udało. Jestem istotą, której nigdy nie zdoła zabić. – Odwrócił się i wyszedł z jadalni tymi samymi drzwiami, którymi wszedł.

– Hm – mruknął Breeze – no tak, to było dość dramatyczne. Rudd, ściągnij czerwoną i wyślij brązową.

Chwilę później w tłum weszła kobieta w brunatnej sukni.

– Zdumienie – rzekł Breeze. – I tak, duma. Złagodzić gniew, na razie...

Zgromadzeni siedzieli przez chwilę w milczeniu. Wreszcie wstał Yeden i zaczął mówić, zachęcając do zainteresowania i udzielając dalszych wyjaśnień, co powinni robić, jeśli zechcą się dowiedzieć czegoś więcej. Kiedy mówił, mężczyźni wrócili do posiłku.

– Zielona, Rudd – szepnął Breeze. – Hm, tak. Sprawimy teraz, że zaczniecie się zastanawiać, lekko popchniemy waszą lojalność. Nie chcemy, żeby ktokolwiek pobiegł z jęzorem do obligatorów, prawda? Kell dość dobrze pozacierał ślady, ale im mniej wiecie, tym lepiej, prawda? Och, a co z tobą, Yeden? Jesteś odrobinę za nerwowy. Uspokoimy cię zaraz, pozbędziesz się trosk. Pozostanie tylko ta twoja pasja – mam nadzieję, że to pozwoli ukryć ton głupoty w twym głosie.

Vin obserwowała dalej. Teraz, kiedy Kelsier wyszedł, łatwiej jej było skupić się na reakcjach tłumu i działaniach Breeze’a. W miarę, jak Yeden przemawiał, robotnicy reagowali dokładnie tak, jak im to nakazywały mamrotane przez Breeze’a instrukcje. Yeden również zaczął reagować na Uspokajanie. Stał się swobodniejszy, a jego głos był coraz pewniejszy.

Zaciekawiona Vin znów wygasiła miedź. Skoncentrowała się, sprawdzając, czy będzie w stanie wyczuć dotknięcie Breeze’a na swoich uczuciach, bo powinna zostać objęta ogólnymi projekcjami allomantycznymi. Nie miał przecież czasu wybierać pojedynczych osobników, może z wyjątkiem Yedena. Bardzo, bardzo trudno było

cokolwiek wyczuć. Kiedy jednak tak siedział i mamrotał pod nosem, zaczęła odczuwać dokładnie te emocje, które opisywał.

Vin nie mogła opanować podziwu. Te kilka razy, kiedy Kelsier używał Allomancji na jej emocjach, odczuła jego dotknięcie jak nagłe, bezpardonowe uderzenie w twarz. Miał siłę, ale bardzo niewiele delikatności.

Dotknięcie Breeze'a było niewiarygodnie subtelne. Uspokajał pewne emocje, tłumiąc je, podczas gdy inne pozostawiał nietknięte. Vin miała wrażenie, że potrafi też wyczuć, jak jego ludzie Podżegają jej uczucia, ale ich dotknięcia ani w części nie były tak subtelne jak Breeze'a. Pozostawiła miedź zgaszoną, obserwując dotknięcia na swoich uczuciach w miarę, jak Yeden ciągnął przemowę. Wyjaśnił, że ludzie, którzy się do niego przyłączą, muszą na jakiś czas pozostawić rodzinę i przyjaciół – aż na rok – ale w tym czasie będą dobrze karmieni.

Vin poczuła, że jej szacunek dla Breeze'a rośnie z każdą chwilą. Nagle przestała mieć pretensje do Kelsiera, że przekazał ją komu innemu. Breeze umiał robić tylko jedno, ale najwidoczniej miał w tym ogromną praktykę. Kelsier, jako Zrodzony, musiał się nauczyć wszystkich allomantycznych umiejętności i było oczywiste, że nie uda mu się skoncentrować na jednej.

Muszę dopilnować, żeby wysłał mnie na nauki do pozostałych, pomyślała. Będą mistrzami w tym, co robią.

Zerknęła na salę, bo Yeden właśnie kończył przemowę.

– Słyszeliście Kelsiera, Ocalałego z Hathsin – rzekł. – Plotki o nim są prawdziwe. Dał sobie spokój z kradzieżami, a całą uwagę skupił na pracy nad rebelią skaa! Ludzie, przygotowujemy się do czegoś wspaniałego. Czegoś, co rzeczywiście może się okazać naszą ostatnią walką z Ostatnim Imperium. Dołączcie do nas, dołączcie do waszych braci. Dołączcie do samego Ocalałego!

W jadalni zapadła cisza.

– Jaskrawoczerwona – rzekł Breeze. – Chcę, żeby ci ludzie poczuli żar na myśl o tym, co usłyszeli.

– Emocje przygasną, prawda? – zapytała Vin, kiedy w tłumie pojawiła się dziewczyna w czerwonej sukni.

– Tak – odparł Breeze, cofając się i zasuwając panel. – Ale wspomnienia pozostaną. Jeśli ludzie łączą z jakimś wydarzeniem silne emocje, zwykle pamiętają je lepiej.

Kilka chwil później przez tylne drzwi wszedł Ham.

– Dobrze poszło. Ludzie wychodzą pokrzepieni, a spora grupa zostaje. Będziemy mieli porządny oddział ochotników, których można będzie wysłać do jaskiń.

Breeze pokręcił głową.

– To nie wystarczy. Dox potrzebuje kilku dni na zorganizowanie takiego spotkania, a każde daje nam około dwudziestu ludzi. W tym tempie nigdy nie dojdziemy na czas do dziesięciu tysięcy.

– Myślisz, że będziemy potrzebować większej liczby spotkań? – zapytał Ham. – Trudno będzie, musimy działać bardzo ostrożnie, by zapraszać jedynie tych, którym można zaufać.

Breeze siedział przez chwilę, wreszcie jednym haustem wychylił resztę wina.

– Nie wiem, ale musimy coś wymyślić. Na razie wracamy do sklepu. Mam wrażenie, że Kelsier będzie chciał dzisiaj wieczorem spotkać się i porozmawiać o postępach.

***

Kelsier spojrzał na zachód. Popołudniowe słońce miało jadowitą barwę czerwieni, gniewnie przezierając przez warstwę dymów. Tuż pod nim Kelsier widział ciemną plamę ogromnej góry, Tyriana, najbliższej z Popielnych Gór.

Stał na płaskim dachu sklepu Clubsa, wsłuchując się w gwar rozmów robotników wracających do domu ulicą u jego stóp. Płaski dach oznaczał konieczność częstego zmiatania popiołu, dlatego też większość budynków skaa miała spiczaste dachy. Jednakże w opinii Kelsiera widok był wart poświęcenia.

U jego stóp robotnicy skaa dreptali pokornie, wzniecając niewielkie tumany popiołu. Kelsier odwrócił się od nich, spoglądając ku północnemu horyzontowi – ku Czeluściom Hathsin.

Gdzie ono znika? – myślał. Atium dociera do miasta, a potem znika. To nie Zakon, a dłonie skaa go nie dotykają, bo to zostało sprawdzone. Uważamy, że idzie do skarbca. A przynajmniej mamy taką nadzieję.

Paląc atium, Zrodzony jest w zasadzie niepokonany, dlatego metal był tak cenny. Jego plan dotyczył jednak czegoś innego niż tylko bogactwa. Kelsier wiedział, ile atium wydobywa się w kopalni, a Dockson dowiadywał się, jakie ilości Ostatni Imperator sprzedawał szlachcie – oczywiście po niebotycznych cenach. Zaledwie jedną dziesiątą tego, co zostało wydobyte, sprzedawano na rynku.

Dziewięćdziesiąt procent wydobytego w świecie atium przechowywano gdzieś, rok po roku, przez tysiąc lat. Z taką ilością metalu grupa Kelsiera mogłaby zmusić do pokory nawet najpotężniejsze ze szlachetnych rodów. Plan Yedena, by przejąć pałac, wielu zapewne wydałby się bezsensowny. W istocie i tak był skazany na niepowodzenie. Jednakże inne plany...

Kelsier spojrzał na małą, białą sztabkę w dłoni. Jedenasty metal. Znał krążące o nim plotki – sam je rozpowszechniał. Teraz musiał tylko je sprawdzić.

Westchnął, kierując wzrok w stronę Kredik Shaw, pałacu Ostatniego Imperatora. Nazywał się Terris. Oznaczał „Wzgórze Tysiąca Iglic". Odpowiednio, ponieważ imperialny pałac przypominał las ogromnych czarnych włóczni wbitych w ziemię. Niektóre były skręcone, inne proste. Jedne grube jak wieże, inne cienkie i ostre jak iglice. Miały różną wysokość, ale wszystkie były ogromne i wszystkie miały ostre zakończenia.

Kredik Shaw. To tutaj trzy lata temu wszystko się skończyło. A on musiał tam wrócić.

Klapa otwarła się i na dach wyszedł Sazed. Kelsier obejrzał się i uniósł brew, widząc, jak tamten otrzepuje szatę, po czym podchodzi z charakterystyczną dla niego pokorą. Nawet u zbuntowanego Terrisanin brało górę przeszkolenie.

– Mistrzu Kelsier – rzekł z pokłonem.

Kelsier skinął mu głową i Sazed podszedł bliżej, spoglądając w stronę imperialnego pałacu.

– Ach – rzekł, jakby podążając za tokiem myśli Kelsiera.

Kelsier się uśmiechnął. Sazed istotnie stanowił cenny nabytek. Opiekunowie byli z konieczności tajemniczy, ponieważ Ostatni Imperator ścigał ich od Dnia Wstąpienia. Niektóre legendy głosiły, że całkowite podporządkowanie sobie ludu terrisańskiego przez Imperatora – włącznie z programem rozmnażania i posługi – było wynikiem jego nienawiści do Opiekunów.

– Zastanawiam się, co by pomyślał, gdyby wiedział, że w Luthadelu znajduje się Opiekun – mruknął Kelsier – i to o kilka minut drogi od jego pałacu.

– Miejmy nadzieję, że nigdy się tego nie dowie, mistrzu Kelsier – odparł Sazed.

– Doceniam twoją dobrą wolę, z jaką przyjechałeś do miasta, Saze. Wiem, że to ryzyko.

– To dobra robota – odrzekł Sazed. – A plan jest niebezpieczny dla wszystkich. Prawdę mówiąc, samo życie jest dla mnie niebezpieczne. Nie jest zdrowo należeć do sekty, której obawia się Ostatni Imperator.

– Obawia się? – zapytał Kelsier, obracając się. Pomimo wysokiego wzrostu był wciąż o dobrą głowę niższy od Terrisanina. – Nie jestem pewien, czy on w ogóle odczuwa lęk przed czymkolwiek, Saze.

– Obawia się Opiekunów – rzekł Sazed. – Zdecydowanie i niezrozumiale. Może z powodu naszych mocy. Nie jesteśmy Allomantami, ale... czymś innym. Czymś, czego nie zna.

Kelsier skinął głową, znów zwracając się w stronę miasta. Miał tak wiele planów, tyle pracy do wykonania... a skaa byli podstawą wszystkiego. Biedni, poniżeni, pokonani skaa.

– Opowiedz mi o tym innym, Saze – rzekł. – Tym z mocą.

– Mocą? – zapytał Sazed. – To moim zdaniem bardzo relatywne określenie, jeśli chodzi o religię. Może chciałbyś posłuchać o jaizmie. Jego wyznawcy byli bardzo wierni i pełni poświęcenia.

– Opowiedz mi o nich.

– Jaizm został stworzony przez jednego człowieka – rzekł Sazed. – Jego prawdziwe imię zaginęło, choć wyznawcy po prostu nazywali go „Ja”. Został zamordowany przez lokalnego króla, za głoszenie niezgody – podobno był w tym naprawdę dobry – ale to tylko spowodowało powiększenie się grona jego wyznawców. Jaiści sądzili, że osiągną szczęście proporcjonalne do swego otwartego poświęcenia, znani też byli z częstych i żarliwych demonstracji wiary. Zdaje się, że rozmowa z jaistą bywała denerwująca, ponieważ mieli tendencję do kończenia każdego zdania zwrotem „Chwała niech będzie Ja”.

– To miłe, Saze – rzekł Kelsier. – Ale moc to coś więcej niż słowa.

– Och, to istotnie prawda – zgodził się Sazed. – Jaiści byli silni wiarą. Legendy powiadają, że Zakon musiał ich całkiem zgładzić, ponieważ żadne

z nich nie chciało zaakceptować Ostatniego Imperatora jako Boga. Nie przetrwali długo po Wstąpieniu, ale tylko dlatego, że obnosili się ze swym wyznaniem tak otwarcie, że nietrudno ich było odnaleźć i wytępić.

Kelsier skinął głową i uśmiechnął się, spoglądając na Sazeda.

– Nie spytałeś, czy nie chcę się nawrócić.

– Przepraszam, mistrzu Kelsier – odparł Sazed. – Ale moim zdaniem ta religia do ciebie nie pasuje. W pewnym stopniu jest odważna, co mogłoby ci się spodobać, teologię jednak uznałbyś za zbyt prostą.

– Poznajesz mnie coraz lepiej – odparł Kelsier, wciąż wpatrując się w miasto. – Pod koniec, kiedy królestwa i armie upadły, religie walczyły nadal, prawda?

– Istotnie – odrzekł Sazed. – Niektóre z bardziej trwałych religii doczekały piątego wieku.

– Co sprawiło, że były tak silne? – zapytał Kelsier. – Jak tego dokonały, Saze? Co dawało tym teologiom tak wielką władzę nad ludźmi?

– Najprawdopodobniej to nie był jeden czynnik – odrzekł Sazed. – Siłę niektórych budowała uczciwa wiara, innych nadzieja, jaką obiecywały. Inne umiały skusić.

– Ale wszystkie miały w sobie pasję – odrzekł Kelsier.

– Tak, mistrzu Kelsier – rzekł Sazed, kiwając głową. – To bardzo prawdziwe stwierdzenie.

– A my to właśnie straciliśmy – odrzekł Kelsier, spoglądając znów na miasto z jego setkami tysięcy mieszkańców, z których jedynie garstka miała odwagę walczyć. – Oni nie wierzą w Ostatniego Imperatora, oni się go po prostu boją. Nie zostało im nic, w co mogliby wierzyć.

– A w co ty wierzysz, mistrzu Kelsierze, jeśli mogę spytać?

Kelsier uniósł brew.

– Jeszcze nie jestem całkiem pewien – przyznał. – Ale obalenie Ostatniego Imperium wydaje się dobrym początkiem. Czy na twojej liście są jakiekolwiek religie, które jako część świętych obowiązków uwzględniają wyrżnięcie szlachty?

Sazed zmarszczył z dezaprobatą brwi.

– Nie sądzę, mistrzu Kelsier.

– Może powinienem ją znaleźć – odparł z leniwym uśmiechem Kelsier. – Czy Breeze i Vin już wrócili?

– Na krótko przed tym, jak tu wyszedłeś.

– Dobrze – odparł, kiwając głową. – Za chwilę zejdę.

***

Vin siedziała w swoim grubo wyścielanym fotelu, z podwiniętymi pod siebie nogami, usiłując przyglądać się Marshowi kątem oka.

Wyglądał całkiem jak Kelsier. Był tylko... bardziej surowy. Nie wydawał się rozgniewany, ani burkliwy jak Clubs. Po prostu nie był szczęśliwy. Siedział nieruchomo, z obojętnym wyrazem twarzy.

Wszyscy poza Kelsierem już się zjawili i rozmawiali ściszonymi głosami. Vin pochwyciła spojrzenie Lestibourne'a i skinęła na niego ręką. Nastolatek podszedł i przykucnął przy jej fotelu.

– Marsh – szepnęła. – Czy to pseudonim?

– Nico bez wołania w domu.

Vin zawahała się, usiłując rozszyfrować wschodni dialekt tamtego.

– Więc to nie pseudonim?

Lestibournes pokręcił głową.

– Ale mniał takie cóś.

– Jakie?

– Żelaznooki. Inni przestali go używać. Za blisko żelaza w prawdziwnych oczach, nie? Inkwizytor.

Vin spojrzała znowu na Marsha. Jego wyraz twarzy był twardy, oczy niewzruszone, jakby rzeczywiście zostały odlane z żelaza. Wiedziała, dlaczego ludzie przestali używać tego pseudonimu – sama myśl o Stalowym Inkwizytorze przyprawiała ją o ciarki.

– Dzięki.

Lestibournes się uśmiechnął. Był usłużnym chłopcem. Dziwnym, pełnym napięcia, nerwowym, ale usłużnym. Wrócił na swój stołek, kiedy w drzwiach stanął Kelsier.

– Doskonale, załogo – rzekł. – Co mamy?

– Poza złymi wieściami? – zapytał Breeze.

– Dawaj.

– Minęło dwanaście tygodni i zebraliśmy niecałe dwa tysiące ludzi – rzekł Ham. – Nawet licząc tych, którzy już są w rebelii, nie zbierzemy tylu, ilu trzeba.

– Dox? – zapytał Kelsier. – Możemy organizować spotkania częściej?

– Chyba – odparł Dockson ze swojego miejsca obok stołu ze stertą ksiąg.

– Jesteś pewien, że chcesz podjąć to ryzyko, Kelsier? – zapytał Yeden.

W ciągu kilku ostatnich tygodni zmienił się, zwłaszcza odkąd rekruci Kelsiera zaczęli się przyłączać. Jak zawsze powiadał Reen: sukces ma wielu przyjaciół.

– Już i tak jesteśmy w niebezpieczeństwie – ciągnął Yeden. – Po całym podziemiu chodzą plotki. Jeśli zrobimy jeszcze więcej zamieszania, Zakon się zorientuje, że szykuje się coś większego.

– On prawdopodobnie ma rację, Kell – odparł Dockson. – Poza tym tylko pewna liczba skaa jest gotowa słuchać. Luthadel jest wielki, to prawda, ale nasze ruchy tutaj są ograniczone.

– Dobrze – rzekł Kelsier. – Wobec tego zaczynamy pracę w innych miastach w okolicy. Breeze, czy możesz podzielić swoich ludzi na dwie skuteczne grupy?

– Tak sądzę – odparł z wahaniem Breeze.

– Jedna grupa może działać w Luthadelu, a druga w okolicznych miastach. Prawdopodobnie zdołam być na wszystkich spotkaniach, o ile zorganizujemy się tak, aby nie wszystkie odbywały się w jednym terminie.

– Tyle spotkań jeszcze bardziej nas odsłoni – wtrącił Yeden.

– I pojawia się kolejny problem – dodał Ham. – Czy nie mieliśmy pracować nad infiltracją szeregów Zakonu?

– I co? – zapytał Kelsier, spoglądając na Marsha.

Marsh pokręcił głową.

– Zakon jest hermetyczny... potrzebuję więcej czasu.

– Nic z tego nie będzie – burknął Clubs. – Rebelianci już tego próbowali.

Yeden skinął głową.

– Próbowaliśmy wprowadzić szpiegów do Zakonów Wewnętrznych dziesiątki razy. To niemożliwe.

W pokoju zapadła cisza.

– Mam pomysł – odezwała się Vin.

Kelsier uniósł brew.

– Camon – odparła. – Właśnie nad czymś pracował, zanim mnie przejęliście. To właśnie było to zadanie, przez które obligatorzy wpadli na nasz trop. Całość była zorganizowana przez innego złodzieja, przywódcę

nazwiskiem Theron. Przygotowywał fałszywy konwój kanałem, aby przewieźć fundusze Zakonu do Luthadelu.

– I? – zachęcił ją Breeze.

– Te same barki miały wieźć nowych akolitów Zakonu do Luthadelu na końcowy etap szkolenia. Theron miał jakąś wtyczkę po drodze, drobnego obligatora otwartego na łapówki. Może udałoby się go skłonić, aby dodał do grupy „akolitę” z lokalnej kapituły.

Kelsier skinął w zadumie głową.

– Warto się temu przyjrzeć.

Dockson pisał coś piórem na papierze.

– Skontaktuję się z Theronem i sprawdzę, czy ten informator jest nadal dostępny.

– Jak tam nasze zapasy? – zapytał Kelsier.

Dockson wzruszył ramionami.

– Ham znalazł dwóch instruktorów po wojsku. Natomiast broń... no cóż, Renoux i ja nawiązujemy kontakty i transakcje, ale nie możemy działać za szybko. Na szczęście broń przyjdzie hurtowo.

Kelsier skinął głową.

– To wszystko, prawda?

Breeze odchrząknął.

– Słyszałem na ulicach wiele plotek, Kelsier – rzekł. – Ludzie mówią o tym twoim Jedenastym Metalu.

– I dobrze – odparł Kelsier.

– Nie obawiasz się, że Ostatni Imperator usłyszy? Jeśli zostanie ostrzeżony przed tym, co zamierzamy zrobić, będzie go o wiele trudniej... odeprzeć.

Nie powiedział „zabić”, pomyślała Vin. Nie wierzą, że Kelsier zdoła to uczynić.

Kelsier tylko się uśmiechnął.

– Nie martwcie się Ostatnim Imperatorem. Wszystko mam pod kontrolą. Właściwie w ciągu najbliższych kilku dni zamierzam złożyć mu wizytę.

– Wizytę? – zapytał Yeden. – Chcesz odwiedzić Ostatniego Imperatora? Czyś ty zwar... – Urwał, po czym rozejrzał się po sali. – Racja. Zapomniałem.

– Dociera do niego – zauważył Dockson.

W holu rozległy się nagle ciężkie kroki i do pokoju wszedł jeden ze strażników Hama. Przecisnął się do jego fotela i szepnął mu na ucho kilka słów.

Ham zmarszczył brwi.

– Co? – zapytał Kelsier.

– Wypadek – odrzekł Ham.

– Wypadek? – zapytał Dockson. – Jaki wypadek?

– Pamiętacie tę kryjówkę, w której spotkaliśmy się kilka tygodni temu? – zapytał Ham. – Tę, gdzie Kelsier po raz pierwszy przedstawił nam swój plan?

Kryjówkę Camona, pomyślała Vin, czując, jak ogarnia ją lęk.

– No cóż – rzekł Ham. – Zdaje się, że Zakon ją znalazł.

Wydaje się, że Rashek stanowi coraz większy odłam kultury Terris. Wielu młodych uważa, że ich niezwykłe moce powinny być wykorzystywane inaczej niż tylko do prac w polu, zajęć domowych i rzeźbiarstwa. Są zadziorni, nawet gwałtowni – bardzo różni od cichych, uważnych filozofów Terris i świętych ludzi, których znałem.

Będzie ich trzeba uważnie obserwować, tych Terrisan. Mogą być bardzo niebezpieczni, jeśli da im się możliwość i motywację.

11

Kelsier zatrzymał się w drzwiach, przesłaniając Vin widok. Zeszła ze schodów, próbując zajrzeć mu przez ramię, ale drogę zagradzało jej zbyt wiele osób. Mogła jedynie stwierdzić, że skrzydło drzwiowe zwisało smętnie, rozbite w drzazgi, z wyrwanym górnym zawiasem.

Kelsier stał przez chwilę nieruchomo. Wreszcie obejrzał się i spojrzał na nią, wymijając wzrokiem Docksona.

– Ham ma rację, Vin. Nie chciałabyś tego oglądać.

Vin stała w miejscu, spoglądając na niego. Wreszcie Kelsier westchnął i wszedł do pomieszczenia. Dockson poszedł za nim.

Vin ujrzała podłogę usłaną trupami. Ich powykręcane członki straszyły światłocieniami pojedynczej latarni Docksona. Ciała się jeszcze nie rozkładały – atak nastąpił dzisiaj rano – ale w pokoju wciąż unosił się odór śmierci, wolno schnącej krwi, przerażenia i rozpaczy.

Vin stała w progu. Wcześniej już widywała śmierć. Na ulicach. Widziała ludzi zasztyletowanych w zaułkach. Zatłuczonych na śmierć w kryjówkach. Dzieci, które umarły z głodu. Raz widziała staruszkę z karkiem skręconym przez jakiegoś niezadowolonego lorda. Ciało leżało na ulicy przez trzy dni, zanim grabarze skaa wreszcie je zabrali.

Żadne z tych zdarzeń nie wywołało jednak wrażenia umyślnej jatki, jakiego doznała w kryjówce Camona. Ci ludzie nie zostali po prostu zabici, lecz rozerwani na strzępy. Członki leżały oddzielone od tułowi. Fragmenty połamanych stołów i krzeseł sterczały powbijane w klatki piersiowe. Jedynie kilka kawałków podłogi nie było pokrytych lepką, ciemną krwią.

Kelsier spojrzał na nią. Vin stała, obserwując ten obraz śmierci, i czuła... otępienie. Jaka mogłaby być jej reakcja? Przecież ci ludzie źle ją traktowali, okradali, bili. A jednak ci sami ludzie dali jej schronienie, przyjęli, nakarmili, kiedy inni zapewne oddaliby ją do burdelu.

Reen prawdopodobnie byłby wściekły, gdyby się dowiedział o smutku, jaki wzbudził w niej ten widok. Zawsze się na nią wściekał, kiedy – jeszcze jako dziecko – płakała, wyjeżdżając z miasta; nie chciała opuszczać ludzi, których już poznała, choćby byli okrutni i obojętni. Widać nie do końca opanowała tę słabość. Weszła do pokoju, nie roniąc ani jednej łzy za tych ludzi, a jednak żałując, że spotkał ich taki smutny koniec.

Dodatkowo, niepokojące było to, że zdecydował się na taką jatkę. Vin próbowała zachować kamienną twarz, ale od czasu do czasu przyłapywała się na tym, że się cofa i odwraca wzrok od sponiewieranych trupów. Napastnicy wykonali swoje zadanie bardzo... dokładnie.

Wydaje mi się to skrajnością, nawet jak na Zakon, pomyślała. Jaki człowiek zrobiłby coś takiego?

– Inkwizytor – rzekł Dockson cicho, przyklękając przy zwłokach.

Kelsier skinął głową. Za Vin do pokoju wszedł Sazed, starannie unosząc szaty, by ich nie pobrudzić krwią. Vin spojrzała na Terrisanina.

Kelsier był Zrodzonym, a Dockson prawdopodobnie doskonałym wojownikiem. Ham i jego ludzie ubezpieczali teren. Jednakże reszta –

Breeze, Yeden i Clubs – została. Okolica po prostu była zbyt niebezpieczna. Kelsier nie chciał, aby Vin tu przychodziła.

Sazeda jednak zabrał bez cienia wahania. Ten gest, choć subtelny, sprawił, że Vin spojrzała na lokaja z nowym zainteresowaniem. Dlaczego miało tu być zbyt niebezpiecznie dla Mglistych, a wystarczająco bezpiecznie dla terrisańskiego opiekuna? Czy Sazed był wojownikiem? Jak miałby się nauczyć walki? Terrisanie podobno od urodzenia byli szkoleni przez bardzo ostrożnych instruktorów.

Płynne ruchy i spokojna twarz Sazeda zdradziły jej to i owo. Nie wydawał się jednak wstrząśnięty rzezią.

Interesujące, pomyślała Vin, starannie wymijając roztrzaskane meble, przekraczając kałuże krwi, by dotrzeć do Kelsiera, który przykucnął obok dwóch trupów. Jednym, jak zauważyła wstrząśnięta Vin, był Ulef. Chłopiec miał wykrzywioną i przepełnioną bólem twarz, pierś stanowiła masę połamanych kości i rozdartego ciała – jakby ktoś rozerwał mu klatkę piersiową. Vin zadrżała i odwróciła wzrok.

– To nie wygląda dobrze – rzekł Kelsier. – Inkwizytorzy zwykle nie zajmują się szajkami złodziei. Zwykle to obligatorzy przychodzą z wojskiem i biorą wszystkich do niewoli, po czym pewnego dnia wykonują na nich pokazową egzekucję. Inkwizytor wmieszałby się jedynie wtedy, gdyby ktoś z załogi rzeczywiście go zainteresował.

– Myślisz... – zaczęła z wahaniem Vin. – Myślisz, że to ten sam, co kiedyś?

Kelsier skinął głową.

– W całym Ostatnim Imperium jest tylko około dwudziestu Stalowych Inkwizytorów, a połowa z nich przez cały czas znajduje się poza Luthadelem. Uważam to za zbyt duży zbieg okoliczności, byś ściągnęła na siebie uwagę jednego z nich, uciekła, a następnie by ktoś napadł na twoją starą kryjówkę.

Vin wstała, zmuszając się do spojrzenia na ciało Ulefa.

– Zatem – szepnęła – Inkwizytorzy wciąż mają mój ślad?

Kelsier skinął głową i wstał.

– Więc to moja wina – szepnęła. – Ulef i pozostali...

– To wina Camona – stanowczo przerwał jej Kelsier. – To on próbował nabrać obligatora. – Urwał i spojrzał na nią. – Nic ci nie jest?

Vin podniosła wzrok znad zmasakrowanego ciała Ulefa. Wzruszyła ramionami.

– Żaden z nich nie był moim przyjacielem.

– To trochę bezduszne, Vin.

– Wiem – odparła, kiwając głową.

Kelsier przyglądał się jej przez chwilę, po czym przeszedł na drugą stronę pokoju, by porozmawiać z Docksonem.

Vin znów spojrzała na rany Ulefa.

Inkwizytor musiał mieć pomoc, pomyślała. To niemożliwe, żeby jedna osoba, choćby i Inkwizytor, mógł dokonać tego wszystkiego. W okolicach tylnego wyjścia leżał stos ciał, ale policzyła szybko wszystkie trupy i doszła do wniosku, że była tu prawie cała banda. Jeden człowiek nie mógł zabić ich wystarczająco szybko... A może mógł?

Jest wiele rzeczy, których nie wiesz o Inkwizytorach, powiedział jej Kelsier. Nie zawsze stosują się do nich normalne zasady.

Vin znów zadrżała.

Na schodach rozległy się kroki i Vin sprężyła się i przykucnęła, gotowa rzucić się do ucieczki.

Ujrzała jednak znajomą postać Hama.

– Bezpiecznie – zameldował. – Ani śladu obligatorów i garnizonu.

– To w ich stylu – rzekł Kelsier. – Chcą, żebyśmy odkryli masakrę... zostawili trupy jako znak.

W pokoju zapadła cisza, jeśli nie liczyć cichego mamrotania Sazeda, który stał w głębi. Vin ostrożnie przemknęła się ku niemu, nasłuchując rytmicznego zaśpiewu w jego głosie. Wreszcie przestał mówić, skłonił głowę i przymknął oczy.

– Co to było? – zapytała, kiedy znów spojrzał.

– Modlitwa – rzekł. – Pieśń śmierci Cazzi. Powinna obudzić duchy zmarłych i skłonić je do opuszczenia ciał, aby mogły wrócić na górę dusz. – Spojrzał na nią. – Mogę cię nauczyć tej religii, jeśli chcesz, panienko. Cazzi byli interesującymi ludźmi, doskonale znali się na śmierci.

Vin pokręciła głową.

– Nie teraz. Zmówiłeś ich modlitwę... czy to jest zatem religia, którą wyznajesz?

– Wyznaję je wszystkie.

Vin zmarszczyła brwi.

– Czy nie ma wśród nich wzajemnie sprzecznych?

Sazed się uśmiechnął.

– Och, często, nawet bardzo często. Ale szanuję prawdy zawarte w każdej... i wierzę, że istnieje potrzeba, by każda z nich została zapamiętana.

– Lecz jak decydujesz, której religii modlitwę zmówić? – zapytała.

– Ta mi się po prostu wydawała... odpowiednia – odparł cicho Sazed, przyglądając się skąpanej w półmroku scenie śmierci.

– Kell! – zawołał nagle Dockson. – Chodź zobaczyć!

Kelsier podszedł do niego, Vin również. Dockson stał obok długiego, przypominającego korytarz pomieszczenia, które służyło grupie za sypialnię. Vin wsunęła głowę do środka, spodziewając się zastać scenę podobną do tej, jaką ujrzała w głównej Sali, jednakże jej oczom ukazał się widok tylko jednego ciała przywiązanego do krzesła. W bladym świetle udało jej się dostrzec, że wyłupiono mu oczy.

Kelsier stał przez chwilę w milczeniu.

– To człowiek, którego mianowałem dowódcą.

– Milev – odparła Vin. – Co z nim?

– Został zabity powoli – odrzekł. – Zobacz, ile krwi jest na podłodze, jak powykręcane są jego członki. Miał czas krzyczeć i się szarpać.

– Tortury – przytaknął Dockson.

Vin zadrżała. Spojrzała na Kelsiera.

– Czy przeniesiemy bazę? – zapytała.

Kelsier pokręcił głową.

– Kiedy Clubs przychodził do tej kryjówki, zawsze był w przebraniu. Jako Dymiarz to on musi dopilnować, żebyś nie mogła go znaleźć jedynie pytając przechodniów na ulicy. Nikt z tych ludzi nie mógł nas zdradzić... powinniśmy nadal być bezpieczni.

Nikt nie odezwał się, by stwierdzić fakt, że Inkwizytor nie powinien być w stanie odnaleźć także i tej kryjówki.

Kelsier wrócił do głównego pokoju, odciągając na bok Docksona i rozmawiając z nim przyciszonym głosem. Vin podeszła bliżej, usiłując usłyszeć, co mówią, ale Sazed położył jej dłoń na ramieniu.

– Panienko Vin – rzekł z dezaprobatą – gdyby mistrz Kelsier chciał, żebyśmy słyszeli, co mówi, czy nie mówiłby głośniej?

Vin rzuciła Terrisaninowi wściekłe spojrzenie, po czym sięgnęła wewnątrz i zapaliła cynę.

Nagły odór krwi omal jej nie przewrócił. Słyszała oddech Sazeda. Pomieszczenie nie było już ciemne – jaskrawe światło dwóch lamp właściwie wycisnęło łzy z jej oczu. Uświadomiła sobie, że jest duszno, a powietrze czuć stęchlizną.

I wyraźnie, bardzo wyraźnie usłyszała głos Docksona:

– ...sprawdzałem go kilka razy, tak jak prosiłeś. Znajdziesz go o trzy ulice od Skrzyżowania Czterech Studni.

Kelsier skinął głową.

– Ham – powiedział głośno, na co aż Vin podskoczyła.

Sazed spojrzał na nią z naganą.

On wie coś o Allomancji, pomyślała, Vin. Domyślił się, co robię.

– Tak, Kell?! – zawołał Ham, wychylając się z zaplecza.

– Zabierz wszystkich z powrotem do sklepu – polecił Kelsier. – I bądź ostrożny.

– Oczywiście – obiecał Ham.

Vin spojrzała na Kelsiera, po czym nadąsana pozwoliła Docksonowi i Sazedowi wyprowadzić się z kryjówki.

***

Powinienem był wziąć powóz, myślał Kelsier, wściekły, że nie może iść szybciej. Pozostali mogli przejść z kryjówki Camona.

Korciło go, żeby zapalić stal i zacząć skakać w kierunku celu. Niestety, bardzo trudno pozostać niezauważonym, fruwając po mieście w biały dzień.

Kelsier poprawił kapelusz i ruszył dalej. Idący pieszo szlachcic nie był niczym niezwykłym, zwłaszcza w dzielnicach handlowych, gdzie na ulicach mieszali się skaa, którym się powiodło, i szlachcice, którym się nie powiodło – choć obie grupy robiły wszystko, by się wzajemnie ignorować.

Cierpliwości. Szybkość nie ma znaczenia. Jeśli o nim wiedzą, już nie żyje.

Wszedł na duży plac na skrzyżowaniu ulic. W narożnikach placu znajdowały się cztery studnie, a środek został zdominowany przez potężną miedzianą fontannę, której poczerniała zielona powłoka była oblepiona

sadzą. Pomnik przedstawiał Ostatniego Imperatora, stojącego w dramatycznej pozie w płaszczu i zbroi, z bezkształtną masą Otchłani spoczywającej martwo w wodzie u jego stóp.

Kelsier minął fontannę, gdzie na wodzie unosiły się płatki popiołu z ostatnich opadów. Z poboczy wołali do niego żebracy skaa, a ich żałobne zawodzenia przekraczały co chwila subtelną granicę pomiędzy słyszalnością a natręctwem. Ostatni Imperator zaledwie ich tolerował, zezwalał na żebranie jedynie skaa z widocznymi okaleczeniami. Ich żałosne życie nie było jednak do pozazdroszczenia nawet dla skaa z plantacji.

Kelsier rzucił im parę spinek, nie zwracając uwagi na to, że sam ten czyn wyróżniał go z tłumu, po czym ruszył dalej. Trzy ulice za placem natrafił na mniejsze skrzyżowanie, które również obsiedli żebracy, ale nie ozdabiała go ani elegancka fontanna, ani narożne studnie.

Tu żebracy wyglądali jeszcze żałośniej – były to żałosne istoty, zbyt wynędzniałe, by wywalczyć sobie miejsce na głównym placu. Niedożywione dzieci i przytłoczeni wiekiem dorośli krzyczeli wylęknionymi głosami: ludzie, którym brakowało więcej niż dwóch kończyn, kulili się w kątach, a ich pokryte sadzą postaci były w cieniu ledwie widoczne.

Kelsier sięgnął odruchowo po sakiewkę. Nie możesz uratować ich wszystkich, pomyślał. Nie za pomocą monet. Przyjdzie na to czas, kiedy upadnie Ostatnie Imperium.

Ignorując żałosne okrzyki, które stały się głośniejsze w chwili, kiedy żebracy się zorientowali, że ich obserwuje, Kelsier przyglądał się po kolei każdej twarzy. Widział Camona przelotnie, ale uznał, że go rozpozna. Żadna z twarzy jednak nie wydawała się podobna, a żaden z żebraków nie miał też tuszy Camona, która pomimo tygodni głodu powinna jeszcze być zauważalna.

Nie ma go tu, pomyślał z niezadowoleniem Kelsier. Rozkaz wydany Milevowi, nowemu przywódcy – aby Camon stał się żebrakiem – został wykonany. Dockson sprawdził to, żeby się upewnić.

Nieobecność Camona na placu mogła oznaczać na przykład, że znalazł lepsze miejsce. Mogła też znaczyć, że Zakon go odnalazł. Kelsier stał przez chwilę w bezruchu, wsłuchując się w upiorne zawodzenia. Z nieba zaczęły padać pojedyncze płatki popiołu.

Coś było nie w porządku. W północnym narożniku skrzyżowania nie dostrzegł ani jednego żebraka. Kelsier zapalił cynę i wyczuł w powietrzu krew.

Zdjął buty i odpiął pas. Następnie rozpiął płaszcz – elegancki materiał spadł na bruk. Teraz jedynym metalem, jaki miał na sobie, była sakiewka z monetami. Wysypał kilka monet na dłoń i ostrożnie ruszył przed siebie, zostawiając żebrakom porzuconą odzież.

Odór śmierci był coraz silniejszy, ale Kelsier nie słyszał nic, poza szuraniem i kotłowaniem się żebraków za plecami. Skręcił w północną odnogę i natychmiast zauważył po lewej stronie wąski zaułek. Odetchnął głęboko, zapalił cynę z ołowiem i wszedł w uliczkę.

Wąska uliczka była zapchana popiołem i śmieciami. Nikt na niego nie czekał, a przynajmniej nikt żywy.

Camon, przywódca szajki, który stał się żebrakiem, zwisał na uwiązanej wysoko linie. Jego ciało leniwie obracało się na wietrze, popiół opadał wokół drobnymi, lekkimi płatkami. Nie został powieszony w zwykły sposób – sznur przywiązano do haka, a hakiem przebito mu gardło. Krwawe ostrze wystawało ze skóry tuż pod podbródkiem, zwłoki miały głowę odchyloną w tył, a sznur wychodził z ust. Ręce były związane, wciąż pulchne ciało nosiło ślady tortur.

Niedobrze.

Za plecami Kelsiera czyjaś stopa szurnęła po bruku i mężczyzna obrócił się, rozjarzając stal i rzucając przed siebie garść monet.

Mała postać upadła z piskiem na ziemię, paląc stal i odbijając monety.

– Vin?! – zawołał Kelsier. Zaklął i szarpnięciem wciągnął ją w alejkę. Wyjrzał za róg i stwierdził, że żebracy ożywili się wyraźnie na dźwięk monet uderzających o kamień.

– Co ty tu robisz? – zapytał, spoglądając na nią.

Miała na sobie ten sam brązowy chałat i szarą koszulę, ale okazała przynajmniej dość rozumu, by się okryć nieokreślonej barwy płaszczem z kapturem.

– Chciałam zobaczyć, co robisz – szepnęła, kuląc się przed jego gniewem.

– To mogło być niebezpieczne! – rzekł Kelsier. – Co ty sobie myślisz?

Skuliła się jeszcze bardziej.

Kelsier zganił się w myśli. Nie możesz jej winić za ciekawość, pomyślał, kiedy kilku odważniejszych żebraków podbiegło do monet. Ona tylko...

Zamarł. Dotyk był tak subtelny, że omal go nie przegapił. Vin Uspokajała jego emocje.

Spojrzał w dół. Dziewczyna próbowała się wtopić w róg budynku. Wydawała się taka nieśmiała, a jednak zdołał pochwycić w jej oczach błysk determinacji. Ten dzieciak uczynił sztukę z udawania całkiem nieszkodliwej istoty.

Jest taka subtelna! Pomyślał. Jak ona mogła tak szybko się tego nauczyć?

– Nie musisz używać Allomancji, Vin – zganił ją łagodnie. – Nie skrzywdzę cię i dobrze o tym wiesz.

Zaczerwieniła się.

– Nie chciałam... to tylko odruch. Jeszcze teraz...

– Nie szkodzi – odparł Kelsier, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Pamiętaj tylko, cokolwiek mówi Breeze, niełądnie jest dotykać uczuć swoich przyjaciół. Poza tym szlachta uważa za obrazę używanie Allomancji przy oficjalnych okazjach. Te odruchy mogą ci napytać biedy, jeśli nie nauczysz się nad nimi panować.

Skinęła głową i spojrzała na Camona. Kelsier spodziewał się, że odwróci się z odrazą, ale ona tylko stała w milczeniu, z wyrazem ponurej satysfakcji na twarzy.

Nie, ona nie jest słaba, pomyślał. Cokolwiek ci się wydawało.

– Torturowali go tutaj? – zapytała. – Na otwartej przestrzeni?

Skinął głową, wyobrażając sobie krzyki dobiegające do uszu żebraków. Zakon lubił wymierzać karę pokazowo.

– A ten hak? – zapytała.

– To rytualne zabójstwo zarezerwowane dla najbardziej odrażających grzeszników: takich, którzy niewłaściwie używają Allomancji.

Zmarszczyła brwi.

– Camon był Allomantą?

Kelsier pokręcił głową.

– W czasie tortur musiał się przyznać do czegoś odrażającego – spojrzał na nią. – Zapewne wiedział, czym jesteś, Vin. Wykorzystywał cię z rozmysłem.

Pobladła lekko.

– Więc... Zakon wie, że jestem Zrodzona z Mgły?

– Możliwe. Zależy, czy Camon o tym wiedział, czy nie. Mógł sądzić, że jesteś tylko Mglistą.

Przez chwilę stała w milczeniu.

– A jakie to ma znaczenie dla mojej roli?

– Kontynuujemy według planu – odparł. – W budynku Kantonu widziało cię tylko kilku obligatorów, a trzeba doprawdy niezwykłego zmysłu spostrzegawczości, by połączyć służącą skaa i elegancką arystokratkę w jedną osobę.

– A Inkwizytor? – zapytała cicho.

Na to pytanie nie musiał odpowiadać.

– Chodź – rzekł. – I tak już ściągnęliśmy na siebie za dużo uwagi.

Jakby to było, gdyby wszystkie narody – od wysp na południu po wzgórza Terris na północy – zostały zjednoczone pod jednym rządem? Jakich cudów można byłoby dokonać, jaki byłby postęp, gdyby ludzkość raz na zawsze odłożyła na bok swoje potyczki i się zjednoczyła?

Sądzę, że to za wiele, by żywić jakąkolwiek nadzieję. Jedno, zjednoczone imperium ludzi? To się nigdy nie zdarzy.

12

Vin powstrzymywała pokusę ciągłego obciągania eleganckiej sukni. Nawet po pół tygodniu noszenia – na sugestię Sazeda – nie mogła się przyzwyczaić do szerokiej krynoliny. Suknia opinała mocno jej pierś i talię, po czym opadała w kilku warstwach falban, utrudniając chodzenie. Vin miała wrażenie, że za chwilę się potknie, i pomimo obszernej spódnicy czuła się w jakiś sposób obnażona przez materiał opinający jej piersi, nie wspominając już o głębokim dekolcie. Wprawdzie, nosząc normalne, zapinane na guziki koszule, odsłaniała prawie tyle samo ciała, ale mimo to teraz czuła się inaczej.

Musiała jednak przyznać, że suknia bardzo wiele zmieniła. Stojąca przed nią w lustrze dziewczyna była obcą, dziwną istotą. Jasnobłękitna suknia z białymi falbankami i koronkami pasowała do szafirowych wstążek we włosach. Sazed twierdził, że nie będzie zadowolony, dopóki włosy nie urosną jej co najmniej do ramion, ale zaproponował, żeby kupiła spinki w kształcie rozetek i przypięła je nad uszami.

– Arystokraci często nie kryją swoich niedostatków – wyjaśnił. – Czasem wręcz je podkreślają. Ściągaj uwagę na swoje krótkie włosy, a zamiast myśleć, że nie nadążasz za modą, wywrzesz na nich wrażenie swoją niezależnością.

Miała też na szyi szafirową kolię – skromną jak na arystokratyczne standardy, ale i tak wartą ponad dwie setki skrzyńców. Całości dopełniała rubinowa bransoletka, jako dodatkowy akcent. Widocznie moda nakazywała, by dodawać pojedynczy element innego koloru dla kontrastu.

I wszystko należało do niej, zapłacone z funduszy szajki. Gdyby teraz uciekła, zabierając klejnoty i swoje trzy tysiące skrzyńców, mogłaby żyć z tego przez kilkadziesiąt lat. Przed oczy powracały jej ciągle obrazy zabitych ludzi Camona, ich poskręcane ciała w zaciszu kryjówki. Prawdopodobnie to samo czekało i ją, jeśli tu zostanie.

Czemu więc nie odchodzi?

Odwróciła się od okna, otulając się jasnobłękitnym jedwabnym szalem, który stanowił damską, arystokratyczną wersję płaszcza. Dlaczego nie odeszła? Może z powodu obietnicy złożonej Kelsierowi? Ofiarował jej dar Allomancji i ufał jej. Może to był jej obowiązek wobec innych. Aby przeżyć, każda osoba w szajce musiała wykonać swoje zadanie.

Szkolenie Reena podpowiadało, że ci ludzie to szaleńcy, ale ją perspektywy oferowane przez Kelsiera i innych kusiły i wabiły. W końcu to nie bogactwa czy emocje związane z zadaniem sprawiły, że chciała zostać. Była to przyćmiona perspektywa – nieprawdopodobna i nierozsądna, ale wciąż kusząca – grupy, której członkowie rzeczywiście mogli sobie wzajemnie zaufać. Musiała zostać. Musiała wiedzieć, czy tak zostanie, czy też – jak obiecywały coraz częściej podszepty Reena – to wszystko jest kłamstwem.

Odwróciła się i wyszła z pokoju, kierując się ku frontowi pałacu Renoux, gdzie Sazed czekał na nią z powozem. Postanowiła zostać, a to oznaczało, że musi odegrać swoją rolę.

Nadszedł czas, aby po raz pierwszy pojawiła się jako dama.

***

Powóz zatrząsł się nagle i Vin podskoczyła. Pojazd toczył się jednak dalej i Sazed nie poruszył się na siedzeniu stangreta.

Z góry dobiegł nagle jakiś szelest. Vin rozjarzyła swoje metale i czekała w napięciu. Z góry, z dachu powozu zeskoczyła nagle jakaś postać i wylądowała na stanowisku dla lokaja tuż przed drzwiczkami. Kelsier wsunął z uśmiechem głowę do środka.

Vin odetchnęła z ulgą i oparła się o poduszki.

– Mogłeś po prostu powiedzieć, żeby cię zabrać.

– Nie trzeba – odparł Kelsier, otwierając drzwiczki i sadowiąc się w środku. Zapadła już noc i Kelsier był odziany w mgielny płaszcz.

– Powiedziałem Sazedowi, że wpadnę po drodze.

– Ale mnie nie powiedziałeś?

Mrugnął i zatrzasnął drzwiczki.

– Myślę, że byłem ci coś winien za zaskoczenie mnie w zeszłym tygodniu.

– Jakie to dorosłe z twojej strony – zauważyła obojętnie.

– Zawsze byłaś pewna mojej niedojrzałości. Czy jesteś gotowa na ten wieczór?

Wzruszyła ramionami, usiłując ukryć nerwowość. Spojrzała w dół.

– Jak... jak wyglądam?

– Wspaniale – odparł Kelsier. – Jak szlachetnie urodzona młoda dama. Nie denerwuj się, Vin... przebranie jest idealne.

Z jakiegoś powodu nie była to odpowiedź, którą chciała usłyszeć.

– Kelsier?

– Tak.

– Chciałam cię o to zapytać już od jakiegoś czasu – szepnęła, spoglądając w okno, choć widziała tam jedynie mgłę. – Rozumiem, ty uważasz, że to ważne, by mieć szpiega wśród szlachty, ale... cóż, czy naprawdę musimy to robić w ten sposób? Czy nie możemy się dowiedzieć od ulicznych informatorów, co dzieje się w polityce rodów?

– Możliwe – odrzekł Kelsier. – Ale ci ludzie są nazywani „informatorami” nie bez przyczyny, Vin. Każde pytanie, jakie im zadajesz, sugeruje twoje prawdziwe motywy. Nawet spotkanie z nimi ujawnia pewne drobne informacje, które oni będą mogli sprzedać komu innemu. Lepiej polegać na nich możliwie jak najmniej.

Vin westchnęła.

– Nie narażam cię bez potrzeby na zagrożenie, Vin – rzekł, pochylając się. – Potrzebujemy szpiega wśród szlachty. Informatorzy zazwyczaj uzyskują informacje od służby, ale arystokraci w większości nie są głupcami. Ważne spotkania odbywają się tam, gdzie nie może ich podsłuchać żadna służba.

– I chciałbyś, żebym ja się dostawała na takie spotkania?

– Może – odparł. – A może nie. Tak czy tak, nauczyłem się, że przeniknięcie do kręgów szlachty zawsze jest użyteczne. Wraz z Sazedem poznacie istotne informacje, których uliczni informatorzy nie uznaliby za ważne. Właściwie jedynie będąc na tych przyjęciach – nawet, jeśli nic nie podsłuchasz – zdobędziesz dla nas informacje.

– Jak to? – zapytała, marszcząc brwi.

– Zapamiętuj ludzi, którzy się tobą zainteresują – wyjaśnił. – Będą to rody, które musimy obserwować. Jeśli zwrócą uwagę na ciebie, zwrócą ją również na lorda Renoux, a jest jeden istotny powód, dla którego mogliby to robić.

– Broń – domyśliła się.

Skinął głową.

– Pozycja Renoux na rynku broni sprawi, że będzie cenny dla tych, którzy planują działania wojenne. Są to rody, na których muszę skupić uwagę. Już w tej chwili powinno się dać wyczuć napięcie pośród szlachty – mam nadzieję, że zaczną się zastanawiać, które rody zwrócą się przeciwko którym. Pomiędzy Wielkimi Rodami już od ponad wieku nie było prawdziwej wojny, ale ta ostatnia zniszczyła wiele. Musimy to powtórzyć.

– Ale to może oznaczać śmierć wielu arystokratów – odparła.

Kelsier się uśmiechnął.

– Umiem z tym żyć. A ty?

Również się uśmiechnęła.

– Jest jeszcze inny powód, byś to zrobiła – dodał. – W pewnym momencie tego mojego żałosnego planu możemy natknąć się na Ostatniego

Imperatora. Obawiam się, że im mniej osób musielibyśmy przemycić w jego otoczenie, tym lepiej. Posiadanie Zrodzonego z Mgły skaa wśród szlachty... cóż, to mogłaby być wielka przewaga.

Vin poczuła lekki dreszcz.

– Ostatni Imperator... czy będzie tam dzisiaj?

– Nie. Z pewnością będą obligatorzy, ale Inkwizytorów raczej nie powinno być... a Ostatniego Imperatora z pewnością. Takie przyjęcie jest niegodne jego uwagi.

Vin skinęła głową. Nigdy wcześniej nie widziała Ostatniego Imperatora... i nie chciałaby niczego w tej kwestii zmieniać.

– Nie martw się aż tak bardzo – rzekł Kelsier. – Nawet jeśli go zobaczysz, będziesz bezpieczna. Nie umie czytać myśli.

– Jesteś pewien?

Kelsier się zawahał.

– Cóż. Nie. Ale gdyby umiał czytać w myślach, nie robiłby tego każdemu, kogo spotka. Znam wielu skaa, którzy w jego obecności udawali szlachtę... sam to wiele razy robiłem, zanim... – Urwał, spoglądając na pokryte bliznami dłonie.

– W końcu cię dopadł – szepnęła.

– I prawdopodobnie uczyni to znowu – odparł, mrugając do niej. – Ale nie przejmuj się nim teraz – tego wieczoru naszym celem jest wprowadzenie na salony lady Valette Renoux. Nie musisz robić niczego niebezpiecznego ani niezwykłego. Po prostu się pojaw, a potem wyjdź, kiedy ci każe Sazed. Nawiązywanie znajomości i zwierzenia zostawimy na później.

Vin skinęła głową.

– Dobra dziewczyna. – Kelsier się uśmiechnął. Otworzył drzwiczki. – Będę w ukryciu niedaleko twierdzy, mając oczy i uszy otwarte.

Vin skinęła głową i Kelsier wyskoczył z powozu, po czym zniknął we mgle.

***

Vin nie była przygotowana na jasność, jaka panowała wokół twierdzy Venture. Potężny budynek był spowity aurą rozproszonego blasku.

W miarę, jak powóz się zbliżał, Vin coraz wyraźniej widziała osiem ogromnych świateł, jarzących się na froncie prostokątnego budynku. Były jaskrawe jak ogniska, ale o wiele bardziej stabilne. Za nimi ustawiono zwierciadła, kierujące światła wprost na twierdzę. Vin nie do końca wiedziała, jaki jest ich cel. Bal odbędzie się w środku – po co oświetlać fasadę budynku?

– Proszę schować głowę, panienko Vin – rzekł z kozła Sazed. – Wytworne młode damy się nie gapią.

Vin rzuciła mu ponure spojrzenie, którego nie mógł zobaczyć, ale posłusznie schowała głowę, niecierpliwie czekając, aż powóz podjedzie przed bramę wielkiej budowli. Wreszcie zatrzymali się i lokaj domu Venture natychmiast otwarł jej drzwiczki. Drugi pospieszył, by podać jej rękę.

Vin przyjęła pomoc, usiłując możliwie wdzięcznie wydobyć z powozu falbaniasty, obszerny skraj spódnicy. Zeszła ostrożnie – usiłując się nie potknąć – i poczuła wdzięczność za oparcie, jakie znalazła w dłoni lokaja. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego panowie powinni pomagać damie wysiąść z powozu. Nie był to tylko głupi obyczaj – głupia była jedynie odzież.

Sazed przekazał powóz, a sam ustawił się kilka kroków za nią. Miał na sobie szaty jeszcze bardziej eleganckie, niż zwykle – wprawdzie został zachowany klinowaty wzór, ale miały pas i szerokie, spowijające sylwetkę rękawy.

– Naprzód, panienko – poinstruował ją cicho zza pleców. – Po dywanie, żeby suknia nie zamiatała kamieni, i prosto przez główne wejście.

Skinęła głową, usiłując ukryć zakłopotanie. Ruszyła przed siebie, mijając panów i damy w eleganckich strojach. Nie patrzyli na nią, ale i tak czuła się jak obnażona. Jej chód nie był ani w połowie tak wdzięczny, jak innych pań, które w swoich sukniach wyglądały pięknie i swobodnie. Poczuła, że ręce jej się pocą pod biało-niebieskimi, jedwabnymi rękawiczkami.

Zmusiła się, by iść dalej. Sazed przedstawił ją przy drzwiach i podał zaproszenie odźwiernym. Dwaj mężczyźni, odziani w czarno-czerwone liberie, skłonili się i gestem zaprosili ją do środka. W foyer zgromadził się niewielki tłumek arystokratów, czekających na wejście do głównego holu.

Co ja robię? – myślała gorączkowo. Mogła stawić czoło mgle i Allomancji, złodziejom i włamaniom, upiorom mgielnym i chłoście. Ale wejść tu, pomiędzy tych wspaniałych panów i ich damy... wmieszać się pomiędzy nich w pełnym świetle, widoczna, nie mieć gdzie się schować... to ją przerażało.

– Naprzód, panienko – odezwał się Sazed uspokajającym tonem. – Pamiętaj, czego się nauczyłaś.

Ukryć się! Znaleźć kąt! Cień, mgłę, cokolwiek!

Trzymała ręce zaciśnięte sztywno przed sobą i parła naprzód. Sazed szedł obok. Kątem oka widziała troskę na jego zazwyczaj spokojnej twarzy.

I ma czym się martwić! Wszystko, czego jej nauczył, uleciało w jednej chwili – jak para, jak mgła. Nie pamiętała nazwisk, obyczajów, niczego.

Jakiś mężczyzna spojrzał na nią przelotnie i się odwrócił. Usłyszała wyraźnie wyszeptane scenicznym szeptem słowo „Renoux” i z obawą spojrzała w bok. Kilka kobiet wpatrywało się w nią.

Jednak zdawało się, że jej nie widzą. Oglądały jej suknię, włosy, klejnoty. Vin spojrzała w drugą stronę, gdzie stała grupa męskiej młodzieży. Oni również na nią patrzyli, lecz widzieli jedynie głęboki dekolt, ładną sukienkę i makijaż, a nie ją samą.

Nikt z nich nie umiał dostrzec Vin, widzieli jedynie maskę, którą włożyła – maskę, którą chciała im pokazać. Widzieli lady Valette. To tak, jakby Vin tam wcale nie było.

Jakby... się ukrywała. Ukrywała wprost na ich oczach.

Nagle napięcie zaczęło ustępować. Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, i poczuła, jak niepokój również się ulatnia. Szkolenie Sazeda powróciło i Vin przybrała minę młodej dziewczyny, zachwyconej swoim pierwszym oficjalnym balem. Odeszła na bok, podając szal lokajowi, i Sazed wyraźnie odetchnął. Vin uśmiechnęła się do niego i posuwistym krokiem ruszyła ku głównej sali.

Potrafi to zrobić. Wciąż była nerwowa, ale moment paniki już się skończył. Nie potrzebowała cieni i kątów – wystarczyła jej maska z szafirów, makijażu i błękitnej tkaniny.

Główny hol zamku Venture stanowił wspaniały, imponujący widok. Wysoki na cztery czy pięć pięter, był długi i stosunkowo wąski. Ogromne, prostokątne witrażowe okna ciągnęły się wzdłuż obu ścian, rzucając na pomieszczenie kaskadę kolorów. W ściany pomiędzy oknami wstawiono

masywne, ozdobne filary. W miejscu, gdzie powinny stykać się z podłogą, wykonano zagłębienie, tworząc pod oknami galerię o wysokości jednego piętra. W tej galerii ustawiono kilkanaście okrytych białymi obrusami stołów, pogrążonych w cieniu filarów i arkady. W dali, w końcu sali, Vin dostrzegła niski balkon w ścianie, na którym ustawiono mniejszą grupkę stolików.

– To stół lorda Straffa Venture – szepnął Sazed, wskazując balkon.

Vin skinęła głową.

– A te światła na zewnątrz?

– Światła wapienne, panienko – wyjaśnił Sazed. – Nie jestem pewien co do zastosowanego procesu... ale niegaszone wapno można jakoś podgrzać, aż będzie wydzielało światło, nie topiąc go.

Po lewej orkiestra smyczkowa grała cichą muzykę dla kilku par, które tańczyły pośrodku sali. Po prawej stały piętrowo zastawione tacami stoły z przekąskami, wokół których uwijali się odziani na biało kelnerzy.

Sazed podszedł do jednego z lokajów i podał zaproszenie Vin. Mężczyzna skinął głową i szepnął coś do ucha młodszemu służącemu. Ten skłonił się Vin i poszedł przodem.

– Poprosiłem o mały, pojedynczy stolik – wyjaśnił Sazed. – Dzisiaj nie musisz się włączać do towarzystwa, tylko być widziana.

Vin skinęła z wdzięcznością głową.

– Pojedynczy stolik oznacza, że jesteś samotna – ostrzegł Sazed. – Jedz powoli... kiedy skończysz, pojawią się mężczyźni, żeby cię zaprosić do tańca.

– Nie nauczyłeś mnie tańczyć! – szepnęła z niepokojem.

– Nie było czasu, panienko – odparł. – Nie martw się, możesz odmówić, z całym szacunkiem, i masz do tego pełne prawo. Uznają, że po prostu jesteś onieśmielona pierwszym balem, i nic złego się nie stanie.

Skinęła głową i służący poprowadził ją do małego stolika pośrodku holu. Vin usiadła na jedynym krześle, podczas gdy Sazed zamawiał dla niej posiłek. Po chwili powrócił i stanął za jej krzesłem.

Vin siedziała sztywno, czekając. Większość stolików stała tuż pod arkadą galerii – blisko parkietu tanecznego – przez co korytarz znajdował się za nimi, pod ścianą. Spacerowały po nim pary i grupki gości, rozmawiając cicho. Od czasu do czasu ktoś pokazał gestem na Vin lub skinął jej głową.

Cóż, akurat ta część planu Kelsiera powiodła się doskonale. Zauważono ją. Musiała się jednak zmusić, aby się nie kulić i nie garbić przy stole, kiedy za jej plecami przeszedł wielki prelan. Nie był to na szczęście ten sam, którego poznała, choć miał podobne szare szaty i tatuaże wokół oczu.

Na przyjęciu rzeczywiście było sporo obligatorów. Spacerowali, wmieszani w tłum gości. A jednak... było w nich coś wyniosłego. Podział. Krążyli wokół, prawie jak przyzwoitki.

Garnizon obserwuje skaa, pomyślała Vin. Widocznie obligatorzy wykonują takie samo zadanie w stosunku do szlachty. Dziwny to był widok – zawsze myślała, że szlachta jest wolna. Rzeczywiście, byli o wiele bardziej pewni siebie niż skaa. Wielu chyba nawet się dobrze bawiło, a obligatorzy raczej nie zachowywali się jak policja, ani nawet jak szpiedzy. Po prostu byli nieustannym przypomnieniem istnienia Ostatniego Imperatora i jego imperium.

Vin odwróciła wzrok od obligatorów – ich obecność wciąż ją nieco krępowała – koncentrując się na pięknych oknach. Ze swojego miejsca mogła obserwować rząd witraży po drugiej stronie sali.

Sceny w nich uwiecznione miały treść religijną, podobnie, jak większość ulubionych scen arystokracji. Może po to, by okazać pobożność, a może taki był wymóg. Vin nie miała dość wiedzy, ale prawdopodobne Vallette nie wiedziałaby tego również, więc wszystko było w porządku.

Na szczęście rozpoznawała niektóre obrazy – głównie dzięki naukom Sazeda. Zdaje się, że wiedział dużo o mitologii Ostatniego Imperatora, podobnie jak o wielu innych religiach, choć wydawało jej się nieco dziwne, że studiował religię, którą uważał za narzędzie ucisku.

Centralny punkt stanowiła Głębia. Głęboka czerń – czy też raczej witrażowy ciemny fiolet – rozpełzała się po kilku oknach bezkształtną masą o gniewnych mackach. Vin podniosła na nią wzrok i napotkała kolorowe wyobrażenia Ostatniego Imperatora. Była lekko zdumiona tym, co zobaczyła.

Co to było? – zastanawiała się. Czym była Głębia. Dlaczego przedstawiać ją tak bezkształtnie... czemu nie ukazać, czym była naprawdę?

Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała, ale lekcje Sazeda dały jej do myślenia. Instynkt podpowiadał, że to oszustwo. Ostatni Imperator wymyśli sobie jakieś straszliwe zagrożenie, które zdołał w przeszłości

zniszczyć, „zasługując” sobie tym samym na rolę imperatora. A jednak spoglądając na tę wijącą się potworność, była gotowa uwierzyć.

A jeśli rzeczywiście coś takiego istniało? A skoro istniało, jak Ostatni Imperator zdołał to pokonać.

Westchnęła, kręcąc głową. Już zaczynała myśleć jak szlachcianka. Podziwiała dekoracje, zastanawiała się, co znaczą, przelotnie tylko myśląc o bogactwie, koniecznym do tego, by je stworzyć. Pewnie dlatego, że wszystko tu było takie piękne.

Filary sali nie były zwyczajnymi kolumnami, lecz rzeźbionymi dziełami sztuki. Szerokie wstęgi zwisały z sufitu tuż nad oknami, a sklepiony, wysoki sufit był pokryty siecią belek konstrukcyjnych i nakrapiany kamieniami zwieńczeń. Jakimś cudem wiedziała, że każdy był misternie rzeźbiony, choć znajdowały się za wysoko, by to dostrzec z dołu.

Tancerze pasowali do tej wspaniałej oprawy. Pary poruszały się z wdziękiem w takt delikatnej muzyki, pozornie bez najmniejszego wysiłku. Wielu rozmawiało w czasie tańca. Kobiety poruszały się w swych strojach bardzo swobodnie – Vin zauważyła, że wiele sukien było o wiele wspanialszych niż jej falbaniasta sukienka. Sazed miał rację – długie włosy były rzeczywiście modne, choć kobiety nosiły je zarówno rozpuszczone, jak i upięte.

W otoczeniu majestatycznej sali elegancko odziani arystokraci wydali jej się nagle inni. Bardziej dystyngowani. Czy to rzeczywiście te same istoty, które niewoliły skaa? Wydawali się tacy... doskonali, zbyt dobrze wychowani, by dokonywać takich straszliwych czynów.

Zastanawiam się, czy oni w ogóle zauważają świat zewnętrzny, pomyślała, krzyżując ręce na piersi i z zainteresowaniem obserwując tancerzy. Może nic nie widzą poza twierdzami i balami... podobnie jak nie widzą mnie pod suknią i makijażem.

Sazed postukał ją w ramię i Vin z westchnieniem przybrała pozycję bardziej godną damy. Chwilę potem pojawił się posiłek – była to uczta tak dziwnych zapachów, że chętnie rzuciłaby się na niego, gdyby przez parę ostatnich miesięcy nie jadła podobnych potraw. Lekcje Sazeda pominęły taniec, lecz bardzo dokładnie wpoiły jej dobre maniery przy stole, za co Vin była teraz wdzięczna. Jak jej powiedział Kelsier, głównym celem tego wieczoru było wejście w świat – ważne, by zrobiła to we właściwy sposób.

Jadła ostrożnie, jak ją nauczono, starannie i dokładnie oddzielając kęsy. Nie podobała jej się myśl, że ktoś może zaprosić ją do tańca, miała wrażenie, że znów spanikuje, jeśli ktoś odezwie się do niej wprost. Jednakże posiłek można było przeciągać jedynie przez określony czas – zwłaszcza przy skromnych porcjach prawdziwej damy. Wkrótce skończyła i odłożyła widelec na skos na talerzu, dając znak, że można go zabrać.

Pierwszy kawaler pojawił się dosłownie dwie minuty później.

– Lady Valette Renoux? – zapytał młody człowiek, kłaniając się. Pod długim, ciemnym kaftanem miał zieloną kamizelkę. – Jestem lord Rian Strobe. Czy mogę poprosić do tańca?

– Mój panie – odparła, skromnie spuszczając wzrok – jesteś bardzo uprzejmy, ale to mój pierwszy bal i wszystko tutaj jest takie wspaniałe! Obawiam się, że mogłabym się potknąć ze zdenerwowania na parkiecie. Może następnym razem...?

– Oczywiście, pani – odparł, grzecznie skinąwszy głową, i odszedł.

– Doskonale, panienko – cicho rzekł Sazed. – Twój akcent jest doskonały. Oczywiście, na następnym balu będziesz musiała z nim zatańczyć, ale do tej pory, jak sądzę, zdążymy cię tego nauczyć.

Vin zarumieniła się lekko.

– Może jego nie będzie.

– Może – zgodził się Sazed. – Ale nie liczyłbym na to. Młoda szlachta bardzo lubi swoje wieczorne rozrywki.

– Robią to co wieczór?

– Prawie – odparł. – Bale są głównym powodem, dla którego ludzie zjeżdżają się do Luthadelu. Jeśli ktoś jest w mieście, a akurat wydają bal – co się zdarza niemal zawsze – zazwyczaj uczestniczy w nim, zwłaszcza jeśli jest młody i wolnego stanu. Nie będziesz musiała czynić tego aż tak często, ale i tak przyjdzie nam pewnie bywać dwa lub trzy razy w tygodniu.

– Dwa lub trzy... – jęknęła. – Będę potrzebowała więcej sukien!

Sazed się uśmiechnął.

– Ach, już myślisz jak dama. A teraz, panienko, jeśli mógłbym się oddalić...

– Oddalić? – zapytała, obracając się.

– Na przyjęcie służby – wyjaśnił Sazed. – Służący mojej rangi zazwyczaj zostaje zwolniony po zakończeniu posiłku przez pana. Waham się, czy aby na pewno cię zostawiać, ale tam będzie pełno ważnych lokajów wysoko

postawionej szlachty. Będą toczyły się rozmowy, które mistrz Kelsier zechce poznać za moim pośrednictwem.

– Zostawiasz mnie samą?

– Do tej pory znakomicie dawałaś sobie radę, panienko – odparł Sazed. – Żadnych dużych pomyłek, a przynajmniej takich, jakich nie powinna popełniać dama na swoim pierwszym balu.

– Na przykład? – zapytała niespokojnie.

– Porozmawiamy o tym później. Pozostań tylko przy stoliku, popijając wino... staraj się, by nie dolewali ci go zbyt często... i czekaj na mój powrót. Jeśli pojawią się inni młodzi mężczyźni, odpraw ich równie delikatnie, jak pierwszego.

Vin skinęła głową.

– Wrócę za godzinę – obiecał. Pozostał jednak na miejscu, jakby na coś czekał.

– Hm, możesz odejść – powiedziała.

– Dziękuję, panienko – odrzekł, skłonił się i odszedł.

Została sama.

Nie sama, pomyślała. Kelsier jest gdzieś tam na zewnątrz, obserwując wszystko. Ta myśl dodała jej otuchy, choć wolałaby nie odczuwać tak bardzo pustego miejsca obok jej krzesła.

Jeszcze trzech młodych ludzi podeszło, by ją prosić do tańca, ale za każdym razem przyjmowali jej uprzejmą odmowę. Potem już nie podszedł nikt, widocznie rozniosło się, że nie interesują jej tańce. Zapamiętała nazwiska czwórki młodych ludzi, którzy do niej podeszli – Kelsier będzie chciał je poznać – i czekała.

Wkrótce poczuła pierwsze oznaki znudzenia. Sala była dobrze wentylowana, ale i tak było jej gorąco pod wieloma warstwami tkaniny. Szczególnie kiepsko wyszły na tym jej nogi, ponieważ musiały się plątać w długich do kostek halkach. Długie rękawy też niewiele pomagały, choć jedwabisty materiał miękko otulał skórę. Tańce trwały nadal i przez jakiś czas obserwowała je z zainteresowaniem. Wkrótce jednak skupiła uwagę na obligatorach.

Spostrzegła, że najwyraźniej spełniają na przyjęciu jakąś określoną funkcję. Często stali w oddaleniu od grup rozmawiających arystokratów, czasem jednak przyłączali się tu i tam. W pewnych momentach grupa nagle

przestawała rozmawiać i pełnym szacunku gestem przywoływała do siebie obligatora.

Vin zmarszczyła brwi, zastanawiając się, co jej umyka. Nagle zauważyła, że grupa zajmująca sąsiedni stolik również zaprosiła do siebie przechodzącego obligatora. Stół był za daleko, żeby usłyszeć cokolwiek, ale z cyną...

Sięgnęła do wnętrza, by zapalić metal, ale się zawahała. Najpierw miedź, pomyślała. Musi się przyzwyczaić, aby ją nieustannie spalać, bo kiedyś mogłaby się zdradzić.

Teraz, gdy już ukryła swą Allomancję, można zapalić cynę. Natychmiast oślepiły ją światła sali i musiała przymknąć oczy. Muzyka rozbrzmiała o wiele głośniej, a pomruk rozmów zmienił się w wyraźne głosy. Trudno jej było skoncentrować się na tej, która ją interesowała, ale stół był jednym z najbliżej stojących i wreszcie udało jej się wyłuskać słowa.

– ...przysięgam, że podzielę się z nim nowiną o moim zobowiązaniu, zanim poinformuję o tym kogokolwiek innego – mówił ktoś.

Vin rozchyliła powieki – to był jeden z arystokratów przy stole.

– Doskonale – odparł obligator. – Będę świadkiem i spiszę to.

Szlachcic wyciągnął dłoń i zabrzęczały monety. Vin zgasiła cynę i szeroko otwarła oczy w samą porę, by zobaczyć, jak obligator odchodzi od stolika, wsuwając coś – prawdopodobnie monety – do kieszeni szaty.

Interesujące, pomyślała.

Niestety, ludzie przy sąsiednim stoliku wkrótce wstali i rozeszli się każdy w swoją stronę, pozostawiając Vin bez możliwości podsłuchiwania kogokolwiek. Znów się nudziła, obserwując, jak obligator idzie przez salę ku jednemu ze swych towarzyszy. Już miała zacząć stukać palcami po stole, leniwie obserwując obu obligatorów, kiedy nagle zdała sobie z czegoś sprawę.

Rozpoznała jednego z nich. Nie tego, który przed chwilą wziął pieniądze, lecz jego starszego towarzysza. Niski, o ostrych rysach twarzy, sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie. Nawet ten drugi obligator wyraźnie traktował go z szacunkiem.

Początkowo sądziła, że zna go z wizyty w Kantonie Finansów z Camonem i poczuła ukłucie paniki. Potem jednak stwierdziła, że to nie jest ten sam człowiek. To był...

Mój ojciec, stwierdziła ze zdumieniem.

Reen pokazał jej go raz, wkrótce po przybyciu do Luthadelu, rok temu. Obligator dokonywał inspekcji robotników w lokalnej kuźni. Reen zabrał Vin, wprowadził do środka, nalegając, aby choć raz zobaczyła ojca – choć do dzisiaj nie wiedziała po co. Zapamiętała jednak tę twarz.

Znów oparła się chęci wtulenia się w krzesło. Ten człowiek nie miał prawa jej rozpoznać... nie wiedział przecież nawet o jej istnieniu. Zmusiła się, by odwrócić od niego wzrok i znów zaczęła przypatrywać się oknom, ale nie mogła wiele zobaczyć, ponieważ filary i arkada ograniczały jej pole widzenia.

Siedząc, zauważyła jednak coś, czego nie widziała wcześniej – balkon wpuszczony w przeciwległą ścianę na prawie całej długości, jakby odpowiednik alkowy pod oknami, biegnący pod sklepieniem, pomiędzy witrażowymi oknami a sufitem.

Instynkt pociągnął ją w tamtą stronę, do miejsca z którego mogłaby obserwować zabawę, sama nie będąc widzianą. Miałaby wówczas doskonały widok na proporce i okna znajdujące się ponad jej głową, nie mówiąc o możliwości przyjrzenia się rzeźbom sklepienia, bez sprawiania wrażenia, że się gapi.

Sazed kazał jej zostać na miejscu, ale im dłużej siedziała, tym częściej jej spojrzenie wędrowało ku ukrytemu balkonowi. Miała wielką ochotę wstać i przejść się tam, rozprostować nogi. Obecność ojca – czy wiedział o jej istnieniu, czy nie – stanowiła kolejny powód, aby opuścić główną salę.

Chyba i tak nikt już nie poprosi mnie do tańca, pomyślała. Zrobiłam to, co kazał Kelsier, zostałam obejrzana przez wszystkich obecnych.

Zawahała się, po czym skinęła na lokajczyka.

Podbiegł skwapliwie.

– Tak, lady Renoux?

– Jak mogę się tam dostać? – zapytała, wskazując balkon.

– Schody znajdują się tuż obok orkiestry, pani – odparł chłopiec. – Trzeba po nich wejść na najwyższe piętro.

Vin podziękowała skinieniem głowy, po czym zdeterminowana wstała i ruszyła ku frontowej części sali. Nikt nie zaszczycił jej większą uwagą niż tylko przelotne spojrzenie, więc przeszła przez salę już z większą pewnością siebie.

Kamienny korytarz wił się w górę spiralą, stopnie były krótkie, ale strome. Niewielkie witrażowe okienka, nie szersze od jej dłoni, biegły

wzdłuż całej zewnętrznej ściany. Vin wspinała się ochoczo, starając się spożytkować nagromadzoną energię, ale wkrótce zadyszała się pod ciężarem sukni i ciągłego unoszenia jej, żeby się nie potknąć. Iskierka płonącej cyny z ołowiem pozwoliła pokonać bez wysiłku resztę schodów. Udało jej się nie spocić i nie zniszczyć makijażu.

Wspinaczka okazała się warta wysiłku. Górny balkon był ciemny – oświetlony jedynie kilkoma latarniami o błękitnych szkiełkach, wiszącymi na ścianie – i rozpościerał się z niego zdumiewający widok na witraże. Wokół panowała cisza i Vin poczuła się samotna, kiedy podeszła do żelaznej poręczy pomiędzy filarami. Spojrzała w dół. Kamienne płyty podłogi tworzyły wzór, którego wcześniej nie zauważyła, coś w rodzaju swobodnych, biało-szarych zawijasów.

Mgły? – zastanawiała się leniwie, opierając się o balustradę. Podobnie jak uchwyt latarni za jej plecami, barierka była misterna i pięknie wykonana – oba elementy przedstawiały grube, wijące się pnącza. Po obu jej stronach znajdowały się szczyty filarów wyrzeźbione w kształt kamiennych zwierząt, które wyglądały jak skamieniałe w czasie skoku w dół.

– No proszę, próba dolania sobie wina nagle stała się problemem.

Vin podskoczyła i się obejrzała. Stał za nią młody człowiek. Jego strój nie był najelegantszy, a kamizelka miała lekko wyblakłe kolory. Kubrak i koszula wydawały się odrobinę za luźne. Mężczyzna trzymał w ręku kieliszek wina; zewnętrzna kieszeń kubraka była wypchana książką nieco za dużą na ten sposób przechowywania.

– Problem polega na tym – rzekł młody człowiek – że kiedy wracasz na swoje miejsce, znajdujesz je zajęte przez piękną pannę. Dżentelmen powinien teraz przejść gdzie indziej, pozostawiając jej możliwość kontemplowania widoków. Jednakże jest to najlepsze miejsce na balkonie – jedyne, gdzie lampa jest dość blisko, by umożliwić czytanie.

Vin się zarumieniła.

– Przepraszam.

– O, nie, teraz to ja się czuję winien. Popatrz, tu jest dość miejsca dla dwóch osób – przesuń się tylko trochę.

Vin się zawahała. Czy może grzecznie odmówić? Było widać, że nieznajomy nie chce rezygnować z jej towarzystwa. Czyżby wiedział, kim jest? Czy powinna się dowiedzieć, jak on się nazywa?

Odsunęła się nieco i mężczyzna zajął miejsce obok. Oparł się o boczny filar i, ku jej zaskoczeniu, wyciągnął książkę i zaczął czytać. Miał rację – latarnia świeciła wprost na stronice. Vin stała przez chwilę, obserwując go, ale wydawał się całkowicie pochłonięty lekturą. Nawet na nią nie spojrzał.

Czy on w ogóle nie zwróci na mnie uwagi? – pomyślała, zdumiona własną urazą. Może powinnam mieć ładniejszą suknię?

Mężczyzna popijał wino, skupiony na książce.

– Zawsze czytujesz na balach? – zapytała.

Podniósł wzrok.

– Zawsze, kiedy tylko mi to uchodzi na sucho.

– Czy to nie jest w jakiś sposób sprzeczne z celem, dla jakiego się tu przychodzi? – zapytała. – Po co w ogóle się pojawiać, skoro się unika ludzi?

– Ty też tu jesteś – zauważył.

Spąsowiała.

– Chciałam tylko dokładniej obejrzeć całą salę.

– O? I dlatego odmówiłaś wszystkim trzem kawalerom, którzy prosili cię do tańca?

Zawahała się. Młody człowiek uśmiechnął się i wrócił do książki.

– Było ich czterech – odparła wreszcie z lekkim dąsem. – A odmówiłam, bo niezbyt dobrze umiem tańczyć.

Mężczyzna opuścił książkę i spojrzał na nią uważniej.

– Wiesz co, jesteś znacznie mniej nieśmiała, niż się wydajesz.

– Nieśmiała? – zapytała. – Przecież to nie ja gapię się w książkę, kiedy obok stoi młoda dama, i nawet się nie przedstawię jak należy.

Mężczyzna uniósł brew.

– No proszę, zaczynasz mówić jak mój ojciec. O wiele ładniejsza, ale równie marudna.

Zgromiła go wzrokiem. Po chwili westchnął i przewrócił oczami.

– Dobrze, to już będę dżentelmenem. – Skłonił się jej, elegancko wysuwając przed siebie stopę. – Jestem lord Elend. Lady Valette Renoux, czy mogę dostąpić zaszczytu dzielenia z tobą tego balkonu, czytając?

Vin skrzyżowała ręce na piersi. Elend? Nazwisko czy imię? A co mnie to obchodzi? Chciał tylko z powrotem swoją kryjówkę. Ale... skąd wiedział, że odmówiłam tańca? Nagle nabrała podejrzeń, że Kelsier chciałby usłyszeć relację z tej szczególnej rozmowy.

Co dziwniejsze, nie czuła takiej potrzeby pozbycia się tego człowieka jak w innych przypadkach. Poczuła ukłucie irytacji, kiedy znów uniósł książkę.

– Wciąż mi nie powiedziałeś, dlaczego wolisz czytać, zamiast uczestniczyć w balu – mruknęła.

Westchnął i opuścił książkę.

– No cóż, ja też nie jestem najlepszym tancerzem.

– Aha – odparła.

– To nie wszystko – dodał. – Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale nie jest trudno o przesyt zabawą. Po pięciu czy sześciu setkach takich bali zaczynasz odczuwać nieco ich powtarzalność.

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie nauczyłbyś się tańczyć, gdybyś więcej ćwiczył.

Elend uniósł brew.

– Nie pozwolisz mi wrócić do książki, co?

– Chyba raczej nie.

Westchnął i wcisnął książkę do kieszeni.

– No dobrze, wobec tego chcesz zatańczyć?

Zamarła.

Elend uśmiechnął się nonszalancko.

Bogowie! Jest albo niezwykle śliskim osobnikiem, albo skończonym gburem. Niepokoiło ją, że nie potrafi stwierdzić, która możliwość jest prawdziwa.

– Zdaje się, że to ma oznaczać „nie”? – zapytał. – Dobrze... uznałem, że powinienem zaproponować, skoro już ustaliliśmy, że jestem dżentelmenem. Wątpię jednak, czy tancerze na dole doceniliby nasze wysiłki i wybaczyliby podeptanie ich stóp.

– W porządku. Co czytałeś?

– Dilisteni – odparł. – *Próby Monumentu*. Słyszałaś?

Pokręciła głową.

– No cóż, niewielu słyszało. – Przechylił się przez poręcz i spojrzał w dół. – No i co myślisz o swoim pierwszym doświadczeniu na dworze?

– Bardzo... przytłaczające.

Zachichotał.

– Mów co chcesz o rodzie Venture, ale wiedzą jak wydawać bale.

Skinęła głową.

– Nie przepadasz za Domem Venture, co? – zapytała. Możliwe, że to jeden z tych rywali, o których mówił Kelsier.

– Niespecjalnie ich lubię – odparł Elend. – To ostentacyjna banda, nawet jak na wielką arystokrację. Nie potrafią po prostu wydać balu, muszą wydać najlepszy bal. Nieważne, że zajeżdżają służbę na śmierć przygotowaniami, a potem chłoszczą biedaków, jeśli wszystko do następnego poranka nie jest idealnie wysprzątane.

Przechyliła głowę. To nie były słowa, których można by się spodziewać od szlachcica.

Elend się zawahał, nieco zakłopotany.

– No cóż, nieważne. Zdaje się, że twój Terrisanin cię szuka.

Vin podskoczyła i wyjrzała na dół. Rzeczywiście, Sazed stał obok jej pustego stolika i rozmawiał z lokajczykiem.

Vin pisnęła cicho.

– Muszę pędzić! – zawołała, odwracając się ku schodom.

– No dobrze – odparł Elend. – To znaczy, że wracam do czytania.

Machnął jej ręką na pożegnanie, ale zanim dotarła do pierwszego stopnia, trzymał już nos w książce.

Vin dotarła na dół bez tchu.

– Przepraszam! – zawołała, podchodząc do Sazeda.

– Proszę mnie nie przepraszać, panienko – odparł cicho. – To nieprzyzwoite, a poza tym niepotrzebne. Spacer był dobrym pomysłem, jak sądzę. Sam bym to zaproponował, gdybyś nie była aż tak nerwowa.

Skinęła głową.

– Czy zatem czas wychodzić?

– Tak, to odpowiednia pora, żeby wyjść, jeśli sobie tego życzysz – rzekł, spoglądając na balkon. – Mogę zapytać, co tam robiłaś, panienko?

– Chciałam przyjrzeć się witrażom – odrzekła. – Ale skończyło się na rozmowie z kimś. Nie wydaje mi się jednak dość ważny, by zawracać Kelsierowi głowę jego nazwiskiem.

Sazed się zatrzymał.

– A z kim rozmawiałaś?

– Z tym mężczyzną w kącie, na balkonie – odparła.

– Jeden z przyjaciół lorda Venture’a?

Vin zamarła.

– Czy któryś z nich nazywa się Elend?

Sazed pobladł.

– Rozmawiałaś z lordem Elendem Venture?

– Eee... tak?

– Zaprosił cię do tańca?

Skinęła głową.

– Ale chyba nie mówił tego szczerze.

– O, nie – mruknął Sazed. – Koniec z kontrolowaną anonimowością.

– Venture? – zapytała, marszcząc brwi. – Jak Twierdza Venture?

– Spadkobierca tytułu rodu – odrzekł Sazed.

– Hm – mruknęła, zdając sobie sprawę, że powinna być jednak bardziej onieśmielona, niż była. – Był nieco irytujący... ale w przyjemny sposób.

– Nie powinniśmy teraz o tym tu rozmawiać – odparł Sazed. – Jesteś daleko, daleko poniżej jego poziomu. Wracamy. Nie powinienem był wychodzić na tę kolację...

Urwał, mrucząc coś pod nosem i poprowadził Vin do wyjścia. Odbierając szal, Vin jeszcze raz obejrzała się na salę i zapaliła cynę, mrużąc oczy i podążając wzrokiem ku balkonowi.

Trzymał w dłoni zamkniętą książkę i przysięgłaby, że spoglądał na nią. Uśmiechnęła się i pozwoliła, by Sazed zaprowadził ją do powozu.

Wiem, że nie powinienem dopuścić, by zwykły tragarz mnie zdenerwował. Ale on jest z Terris, gdzie się zrodziły wszystkie proroctwa. Jeśli ktokolwiek potrafi odkryć oszustwo, czy nie on?

Nieważne, kontynuuję moją wędrówkę. Idę tam, gdzie zapisane proroctwa głoszą, że spotkam mój los – idę, czując na plecach wzrok Rasheka. Zazdrosny. Drwiący. Nienawistny.

13

Vin siedziała z podwiniętymi, skrzyżowanymi nogami na jednym z eleganckich foteli lorda Renoux. Dobrze jej było bez obszernej sukni; wróciła do znajomej koszuli i spodni.

Jednakże niezadowolenie Sazeda sprawiło, że miała ochotę się schować. Stał po drugiej stronie pokoju i Vin odniosła wrażenie, że wpadła w tarapaty. Sazed wypytał ją bardzo dokładnie, wysondował każdy element rozmowy z lordem Elendem. Oczywiście, jego przesłuchanie było pełne szacunku, ale też wyjątkowo stanowcze.

Zdaniem Vin Terrisanin wydawał się niepotrzebnie zaniepokojony jej wymianą zdań z młodym szlachcicem. Nie mówili przecież o niczym

ważnym, a Elend wydawał się bardzo niepozorny jak na lorda z Wielkiego Rodu.

Ale było w nim coś dziwnego – coś, czego Vin nie powiedziała Sazedowi. Z Elendem czuła się... dobrze. Teraz, kiedy wspominała to doświadczenie, doszła do wniosku, że przez te kilka chwil nie była tak naprawdę lady Valette. Nie była też Vin, gdyż ta część jej osobowości – nieśmiała członkini gangu – była równie fałszywa jak Valette.

Nie, była po prostu tym... kim była. Dziwne doświadczenie. Od czasu do czasu czuła się tak samo, kiedy spędzała czas z Kelsierem i pozostałymi, ale w bardziej ograniczonym sensie. Jakim cudem Elend zdołał obudzić w niej prawdziwe ja tak szybko i tak dokładnie?

Może użył na mnie Allomancji? – pomyślała z niepokojem. Elend był wysokiego rodu, może był Uspokajaczem? Może w tej rozmowie było coś więcej, niż sądziła.

Usiadła wygodnie, marszcząc brwi. Paliła miedź, a to oznaczało, że nie mógł używać na niej emocjonalnej Allomancji. Po prostu zdołał ją skłonić do odsłonięcia się. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej się dziwiła, jak przyjemnie jej było. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie zachowała ostrożności.

Następnym razem będę ostrożniejsza.

Uznała, że spotkają się znowu.

Do pokoju wszedł służący i szepnął coś Sazedowi do ucha. Krótkie spalanie cyny pozwoliło jej podsłuchać rozmowę – Kelsier wreszcie powrócił.

– Poślij po lorda Renoux – rzekł Sazed.

Odziany na biało służący skinął głową i szybko opuścił pokój.

– Reszta z was może odejść – rzekł spokojnie Sazed i pokojowi posłusznie opuścili pomieszczenie.

Kelsier i lord Renoux przybyli razem, rozmawiając cicho. Jak zawsze, Renoux miał na sobie bogaty strój skrojony w obcym, zachodnim stylu. Starszy mężczyzna bardzo dbał o swoje siwe wąsy i teraz szedł z pewną siebie miną. Nawet po spędzeniu całego wieczoru pośród szlachty, Vin wciąż była zaskoczona jego arystokratycznymi manierami.

Kelsier wciąż miał na sobie mgielny płaszcz.

– Saze?! – zawołał od progu. – Masz wieści?

– Obawiam się, że tak, mistrzu Kelsier – odparł Sazed. – Zdaje się, że dzisiaj na balu panienka Vin zwróciła na siebie uwagę lorda Elenda Venture’a.

– Elenda? – zdziwił się Kelsier, krzyżując ręce na piersi. – Czy to nie dziedzic?

– Istotnie – odparł Renoux. – Spotkałem go jakieś cztery lata temu, kiedy jego ojciec zwiedzał Zachód. Zauważyłem, że jest nieco za mało dystyngowany, jak na kogoś o jego pozycji.

Cztery lata? – pomyślała Vin. Nie może przecież udawać lorda Renoux od tak dawna! Kelsier uciekł z Czeluści tylko dwa lata temu! Spojrzała na oszusta, ale – jak zwykle – nie była w stanie znaleźć żadnej skazy w jego zachowaniu.

– Jak bardzo zainteresowany był chłopak? – zapytał Kelsier.

– Poprosił ją do tańca – odparł Sazed. – Ale panienka Vin była dość mądra, by odmówić. Wydaje się, że ich spotkanie było przypadkowe, a rozmowa wyłącznie grzecznościowa, obawiam się jednak, że mogła mu się spodobać.

Kelsier zachichotał.

– Za dobrze ją wyszkoliłeś, Saze. Vin, w przyszłości postaraj się być nieco mniej czarująca.

– Dlaczego? – zapytała, starając się ukryć irytację. – Myślałam, że chcecie, żeby mnie polubili.

– Ale nie tak ważny człowiek jak Elend Venture, dziecko – odparł lord Renoux. – Wysłaliśmy cię na dwór, żebyś nawiązała kontakty, a nie wywoływała skandale.

Kelsier skinął głową.

– Venture jest młody, wolny i jest dziedzicem wielkiego rodu. Twój związek z kimś takim może nam napytać biedy. Kobiety na dworze będą ci zazdrościć, starsi zaczną się dąsać na różnicę pozycji społecznej. Zostaniesz wyalienowana ze znacznej części dworskich kontaktów. Byśmy uzyskali informacje, jakich potrzebujemy, arystokracja musi cię postrzegać jako niepewną, nieważną, a przede wszystkim niegroźną.

– Poza tym, dziecko – dodał lord Renoux – nie sądzę, by Elend Venture naprawdę się tobą zainteresował. Jest znany z tego, że jest dworskim ekscentrykiem – prawdopodobnie próbuje sobie stworzyć taką reputację, robiąc różne nieoczekiwane rzeczy.

Vin poczuła, że się rumieni. Prawdopodobnie Renoux ma rację, zganiła się gniewnie. Ale i tak była zirytowana całą trójką, zwłaszcza zachowaniem Kelsiera i jego złośliwym, nieczułym tonem.

– Tak – odrzekł Kelsier. – Lepiej, żebyś unikała Venture'a. Spróbuj go na przykład obrazić. Popatrz na niego tak brzydko, jak tylko ty potrafisz.

Vin spojrzała na Kelsiera obojętnie.

– O, widzisz, właśnie tak! – zawołał ze śmiechem.

Vin zacisnęła zęby.

– Widziałam dzisiaj na balu mojego ojca – rzekła w nadziei, że odwróci uwagę Kelsiera od lorda Venture'a.

– Naprawdę? – zainteresował się Kelsier.

Skinęła głową.

– Rozpoznałam go. Kiedyś brat mi go pokazał.

– O co chodzi? – wtrącił Renoux.

– Ojciec Vin jest obligatorem – wyjaśnił Renoux. – Widocznie dość ważnym, skoro ma takie kontakty, by się znaleźć na takim balu. Wiesz, jak się nazywa?

Pokręciła głową.

– Jak wygląda? – dopytywał się Kelsier.

– No... łysy, tatuaże wokół oczu.

Kelsier zachichotał.

– Pokaż mi go kiedyś, dobrze?

Pokiwała głową i Kelsier zwrócił się do Sazeda:

– A teraz wymień nazwiska tych arystokratów, którzy prosili Vin do tańca.

Sazed skinął głową.

– Podała mi listę, mistrzu Kelsier. Mam też kilka interesujących wieści z kolacji służby.

– Dobrze – odparł Kelsier, spoglądając na wielki zegar w kącie. – Ale jednak przekażesz mi je jutro rano. Muszę pędzić.

– Pędzić? – zapytała z nagłym ożywieniem Vin. – Przecież ledwie przyszedłeś!

– To jest właśnie ta zabawna sprawa z przyjściem dokądkolwiek – rzekł, mrugając. – Kiedy już tam jesteś, właściwie możesz zrobić już tylko jedno – wyjść znowu. Idź się prześpij, wyglądasz na nieco zmaltretowaną.

Pomachał ręką reszcie grupy, po czym wybiegł z pokoju, gwiżdżąc pod nosem.

Zbyt nonszalancki, pomyślała Vin. Zwykle mówi nam, w który ze szlachetnych domów zamierza uderzyć.

– Chyba naprawdę pójdę się położyć – rzekła, ziewając.

Sazed spojrzał na nią podejrzliwie, ale dał spokój, bo Renoux właśnie zaczął coś do niego mówić. Vin pobiegła po schodach do swojego pokoju, narzuciła mgielny płaszcz i otwarła drzwi balkonowe.

Do pokoju zaczęła się wlewać mgła. Vin rozjarzyła żelazo i została nagrodzona widokiem bladej linii metalu, znikającej gdzieś w oddali.

Zobaczymy, dokąd się wybierasz, panie Kelsier.

Zapaliła stal. Wypchnęła się w zimną, wilgotną jesienną noc. Cyna wzmacniała jej wzrok, a wilgotne powietrze łaskotało w gardle, gdy oddychała. Odepchnęła się mocno za siebie, po czym lekko Przyciągnęła bramy poniżej. Manewr pozwolił jej przelecieć wdzięcznym łukiem nad bramą, od której teraz znów się odbiła, by wyrzucić się jeszcze dalej w powietrze.

Nie spuszczała wzroku z błękitnej linii, która wskazywała na Kelsiera, podążając za nim w odpowiedniej odległości, by nie zostać zauważoną. Nie miała na sobie żadnego metalu – nawet monet, a przez cały czas paliła miedź, żeby ukryć użycie Allomancji. Teoretycznie mogła zaalarmować Kelsiera jedynie dźwiękiem, więc starała się biec możliwie najciszej.

Ku jej zdumieniu Kelsier nie skierował się w stronę miasta. Po przejściu przez bramy posesji ruszył na północ. Vin ruszyła w tę samą stronę, lądując na ziemi, i bezszelestnie podążyła za nim.

Dokąd on idzie? – zastanawiała się. Czy chce okrążyć Fellise? Wybiera się do któregoś z okolicznych zamków?

Kelsier biegł przez chwilę na północ, ale potem jego linia metalu nagle zbladła. Vin się zawahała i przystanęła w grupie sękatych drzew. Linia gasła bardzo szybko – widocznie Kelsier przyspieszył. Zaklęła pod nosem i ruszyła pędem za nim.

Linia Kelsiera ginęła w mroku przed nią. Vin westchnęła i zwolniła. Rozjarzyla żelazo, ale to zaledwie wystarczyło, by zobaczyć, jak znika w dali. Nigdy go nie dogoni.

Rozjarzone żelazo ujawniło jej jednak coś więcej. Zmarszczyła brwi, podążając naprzód, aż natrafiła na stacjonarne źródło metalu – dwie małe

sztabki brązu wetknięte w ziemię o kilka stóp od siebie. Wzięła jedną do ręki, podrzuciła i spojrzała w wirujące mgły na północy.

On skacze, pomyślała. Ale dlaczego? Skakanie było szybsze od chodzenia, ale nie było ważniejszych przyczyn, aby skakać w dziczy... Chyba że...

Ruszyła przed siebie i wkrótce znów natknęła się na dwie brązowe sztabki wetknięte w ziemię. Rozejrzała się, zerknęła w tył. Trudno było coś rozpoznać w ciemności, ale wydawało jej się, że cztery sztabki stanowią linię, wskazującą wprost na Luthadel.

Więc tak to robi, pomyślała. Kelsier miał niezwykłą zdolność do poruszania się z ogromną szybkością pomiędzy Luthadelem a Fellise. Myślała, że używa koni, ale chyba znalazł lepszy sposób. On – a może ktoś przed nim – stworzył allomantyczną drogę łączącą oba miasta.

Zamknęła w garści pierwszą sztabkę – będzie jej potrzebowała do złagodzenia lądowania, jeśli się myli, po czym stanęła przed drugą parą sztabek i skoczyła.

Wznosząc się, rozjarzyła żelazo, szukając kolejnych źródeł metalu. Wkrótce je spostrzegła – dwie wprost na północy, dwie nieco dalej na boki.

Te boczne służą do korekty kursu, pomyślała odkrywczo. Jeśli chce pozostać na brązowym szlaku, musi poruszać się prosto na północ. Odepchnęła się lekko na lewo, tak aby przelecieć dokładnie pomiędzy dwiema bocznymi sztabkami głównej trasy – i znów skoczyła długim łukiem przed siebie.

Bardzo szybko złapała rytm, skacząc od jednego punktu do drugiego, nawet nie zbliżając się do ziemi. W ciągu kilku minut tak go opanowała, że nie musiała korzystać z bocznych sztabek.

Poruszała się po posępnym terenie z oszałamiającą prędkością. Mgły owiewały ją, mgielny płaszcz łopotał i powiewał za nią. Próbowała jednak przyspieszyć jeszcze bardziej. Zbyt dużo czasu spędziła na przyglądaniu się sztabkom. Teraz musi dogonić Kelsiera, inaczej przybędzie do Luthadelu, ale tam już go nie odnajdzie.

Zaczęła rzucać się z punktu do punktu prawie bez opamiętania, desperacko szukając jakiegokolwiek śladu allomantycznej działalności. Po około dziesięciu minutach skoków wreszcie pojawiła się przed nią błękitna linia. Kierowała się w górę, a nie w stronę sztabek w ziemi. Vin odetchnęła z ulgą.

I wtedy pojawiła się druga linia, a potem trzecia.

Vin zmarszczyła brwi, ze stłumionym łomotem lądując na ziemi. Rozjarzyła cynę i ujrzała przed sobą w mroku ogromny cień. Na jego szczycie migotały kule światła.

Mury miasta! – stwierdziła ze zdumieniem. Tak szybko? Przebyłam tę drogę dwa razy szybciej, niż człowiek na koniu!

To jednak oznaczało również, że zgubiła Kelsiera. Zmarszczyła brwi i użyła sztabki, którą miała przy sobie, żeby odbić się na blanki. Kiedy wylądowała na mokrym kamieniu, sięgnęła za siebie i Pociągnęła sztabkę, aż wylądowała w jej dłoni. Teraz podeszła do drugiej strony muru. Wskoczyła na barierkę i przykucnęła, obserwując miasto.

Co teraz? – pomyślała zirytowana. Wracać do Fellise? Zatrzymać się przy sklepie Clubsa i sprawdzić, czy nie poszedł właśnie tam?

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, po czym rzuciła się z muru i zaczęła skakać z dachu na dach. Poruszała się bez celu, odpychając się od zamków i skrawków metalu, używając sztabki brązu i ściągając ją z powrotem w dłoń, kiedy konieczne były dłuższe skoki. Dopiero zatrzymawszy się, zdała sobie sprawę, że nieświadomie podążała ku określonemu celowi.

Przed nią w ciemności wznosiła się Twierdza Venture. Światła wapienne już wygaszono, jedynie w okolicy posterunków straży paliło się kilka widmowych latarni.

Vin przykucnęła na gzymsie dachu, zastanawiając się, co sprowadziło ją znowu do potężnej twierdzy. Zimny wiatr szarpał jej włosami i płaszczem, wydawało jej się też, że poczuła na policzku kilka kropli deszczu. Siedziała przez chwilę, dopóki nie poczuła, że zaczynają jej marznąć stopy.

Nagle zauważyła ruch po prawej. Przykucnęła i od razu rozjarzyła cynę.

Kelsier stał na dachu trzy domy dalej, ledwie oświetlony mizernymi światłami. Chyba jej nie zauważył. Obserwował twierdzę, ale była za daleko, by odczytać wyraz jego twarzy.

Obserwowała go podejrzliwie. Potraktował jej spotkanie z Elendem dość niedbale, ale może zaniepokoił się nim bardziej, niż był gotów przyznać. Nagle poczuła ukłucie strachu.

Czy mógł przyjść tutaj, aby zabić Elenda? Zabójstwo dziedzica wielkiego rodu z pewnością stworzyłoby odpowiednie napięcie wśród szlachty.

Pełna obaw Vin czekała. Wreszcie jednak Kelsier wstał i odszedł na bok, po czym Odepchnął się od dachu i skoczył.

Vin rzuciła sztabkę brązu – zdradziłaby ją – i skoczyła za nim. Jej żelazo ukazywało poruszające się w oddali niebieskie linie, więc pospiesznie przeskoczyła przez ulicę i Odepchnęła się od kraty kanału, zdecydowana nie zgubić go już nigdy.

Kierował się w stronę centrum miasta. Vin zmarszczyła brwi, próbując odgadnąć, dokąd zmierza. W tej okolicy znajdowała się jedynie Twierdza Erikeller, która była głównym dostawcą broni. Może Kelsier planował coś, aby przerwać jego dostawy, co uczyniłoby Ród Renoux jeszcze ważniejszym dla okolicznej szlachty.

Wylądowała na dachu i zawahała się, obserwując jak Kelsier znika w mroku. Znów porusza się szybko, a ja...

Czyjaś dłoń spadła na jej ramię.

Vin krzyknęła i odskoczyła, rozjarzając cynę z ołowiem.

Kelsier spojrzał na nią z uniesioną brwią.

– Miałaś podobno być w łóżku, młoda damo.

Vin spojrzała w bok, w kierunku linii metalu.

– Ale...

– Moja sakiewka z monetami – rzekł z uśmiechem Kelsier. – Dobry złodziej umie kraść sprytne triki równie łatwo, jak skrzyńce. Stałem się ostrożniejszy od czasu, kiedy wyśledziłaś mnie w zeszłym tygodniu. Początkowo sądziłem, że jesteś Zrodzonym Venture.

– Mają takich?

– Jestem pewien, że tak – odparł Kelsier. – Większość Wielkich Rodów ma Zrodzonych z Mgły... ale twój przyjaciel Elend nie jest jednym z nich. Nie jest nawet Mglistym.

– Skąd wiesz? Przecież może to ukrywać.

Kelsier pokręcił głową.

– Omal nie zginął w czasie napadu kilka lat temu – jeśli kiedykolwiek miałby ujawnić swoje moce, była to odpowiednia chwila.

Vin skinęła głową, wciąż spoglądając w dół i unikając wzroku Kelsiera.

Westchnął i usiadł na ukośnym dachu. Machnął nogą.

– Klapnij sobie.

Vin usadowiła się na dachu po przeciwnej stronie. Ponad nimi nieustannie kłębiła się zimna mgła, zaczęła padać lekka mżawka – nie

stanowiło to jednak wielkiej różnicy w stosunku do zwykłej nocnej wilgoci.

– Nie mogę pozwolić, żebyś tak za mną chodziła, Vin – rzekł Kelsier. – Czy pamiętasz naszą dyskusję na temat zaufania?

– Gdybyś mi ufał, powiedziałbyś mi, dokąd idziesz.

– Niekoniecznie – odparł Kelsier. – Może po prostu nie chcę, żebyś wraz z pozostałymi martwiła się o mnie.

– Wszystko, co robisz, jest niebezpieczne – odparła Vin. – Dlaczego mielibyśmy bać się choć trochę bardziej, gdybyś zdradził nam szczegóły?

– Niektóre zadania są bardziej niebezpieczne od innych – rzekł cicho Kelsier.

Vin zamyśliła się, po czym spojrzała w bok, w kierunku, w którym podążał Kelsier. W stronę centrum miasta.

W stronę Kredik Shaw, Wzgórza Tysiąca Wież. Pałacu Ostatniego Imperatora.

– Wybierałeś się stawić czoło Ostatniemu Imperatorowi! – szepnęła. – W zeszłym tygodniu mówiłeś, że zamierzasz złożyć mu wizytę.

– Wizyta to chyba za mocne słowo – odparł Kelsier. – Odwiedzę pałac, ale mam szczerą nadzieję, że nie wpadnę na samego Ostatniego Imperatora. Nie jestem jeszcze gotów na spotkanie z nim. Tak czy owak, ty teraz maszerujesz prosto do sklepu Clubsa.

Skinęła głową.

Kelsier zmarszczył brwi.

– I nie próbuj mnie znowu śledzić, jasne?

Vin zawahała się, po czym znów skinęła głową.

– Dlaczego?

– Ponieważ chcę pomóc – szepnęła cicho. – Do tej pory moja rola właściwie skończyła się na udziale w balu. Ale jestem Zrodzona... sam mnie szkoliłeś. Nie zamierzam siedzieć i czekać, aż wszyscy wykonają za mnie całą niebezpieczną część planu, podczas kiedy ja będę siedziała, jadła kolację i przyglądała się tańczącym gościom.

– To, co robisz na tych balach, jest ważne – rzekł Kelsier.

Skinęła głową, spuszczając wzrok. Pozwoli mu odejść, a potem pójdzie za nim. Po części rzeczywiście myślała to, co mu powiedziała: zaczęła czuć się częścią tej grupy i było to coś, czego do tej pory nigdy jeszcze nie doświadczyła. Chciała również brać udział w tym, co robią wszyscy; chciała pomagać.

Z drugiej strony jednak coś jej podpowiadało, że Kelsier nie mówi jej wszystkiego. Może jej ufał, a może nie. Jednak na pewno miał tajemnice. Wśród nich znajdował się Jedenasty Metal, a tym samym Ostatni Imperator.

Kelsier pochwycił jej wzrok i musiał w nim ujrzeć jej zamiary, bo westchnął i wyprostował się lekko.

– Vin, ja mówię poważnie! Nie możesz pójść ze mną.

– Dlaczego nie? – zapytała. – Jeśli to, co robisz, jest takie niebezpieczne, to czy nie lepiej, żeby drugi Zrodzony pilnował twoich tyłów?

– Wciąż nie znasz wszystkich metali – odparł Kelsier.

– Tylko dlatego że mnie nie nauczyłeś.

– Potrzebujesz więcej praktyki.

– Najwięcej praktyki zdobywa się w czasie pracy – odparła. – Brat nauczył mnie kradzieży, zabierając ze sobą na włamania.

Kelsier pokręcił głową.

– Zbyt niebezpieczne.

– Kelsier – odparła poważnym tonem. – Planujemy obalić Ostatnie Imperium. Naprawdę, i tak nie oczekuję, że dożyję końca roku. Wszystkim opowiadasz, jaka to zaleta, że mamy w grupie dwóch Zrodzonych. Cóż, nie będzie to wielka zaleta, dopóki nie pozwolisz mi naprawdę być tym Zrodzonym. Jak długo masz zamiar czekać? Dopóki nie będę „gotowa”? Nie sądzę, by to kiedykolwiek nastąpiło.

Kelsier obserwował ją przez chwilę, wreszcie się uśmiechnął.

– Kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, wyciągałem z ciebie siłą każde słowo. Teraz prawisz mi kazania.

Vin spąsowiała. Kelsier westchnął, sięgnął pod płaszcz i coś spod niego wyjął.

– Nie wierzę, że w ogóle biorę to pod uwagę – mruknął, podając jej kawałek metalu.

Vin obserwowała przez chwilę maleńką srebrzystą kulkę. Była tak lustrzana i jasna, że wydawała się kroplą cieczy, ale w dotyku była twarda.

– Atium – rzekł Kelsier. – Dziesiąty i najpotężniejszy ze znanych allomantycznych metali. Ta kropla jest warta więcej niż cały worek skrzyńców, jaki dałem ci przedtem.

– To maleństwo? – zapytała zaskoczona.

Kelsier skinął głową.

– Atium pochodzi tylko z jednego miejsca – Czeluści Hathsin – gdzie Ostatni Imperator kontroluje całą produkcję i dystrybucję. Wielkie Rody kupują swoją miesięczną rację atium, co stanowi jeden ze sposobów utrzymywania kontroli nad nimi. Do roboty, połykaj to.

Vin spojrzała na kawałek metalu, niepewna, czy chce zmarnować coś tak cennego.

– Nie można tego sprzedać – odparł Kelsier. – Szajki złodziejskie próbują, ale natychmiast zostają wyśledzone i rozbite. Ostatni Imperator bardzo pilnuje swoich zapasów atium.

Vin skinęła głową, po czym przełknęła metal. Natychmiast poczuła w sobie nowe źródło mocy, gotowe, by je spalić.

– Dobrze – rzekł Kelsier. – Spalaj je, skoro tylko ruszę.

Skinęła głową. Zaledwie ruszył, sięgnęła do nowego źródła mocy i zapaliła atium.

Obraz Kelsiera nagle się zaćmił, a potem przed nim pojawiła się przejrzysta, podobna do widma postać. Obraz wyglądał dokładnie tak samo jak Kelsier i szedł kilka kroków przed nim. Bardzo słaby, opóźniony poobraz ciągnął się od kopii do samego Kelsiera.

Było to niczym... odwrócony cień. Kopia robiła dokładnie to samo co Kelsier, tyle że obraz poruszał się pierwszy. Najpierw odwrócił się on, a potem Kelsier, dokładnie w ten sam sposób.

Usta obrazu zaczęły się poruszać. Sekundę później Kelsier przemówił:

– Atium pozwala ci spojrzeć nieco w przyszłość. A przynajmniej pozwala zobaczyć to, co ludzie zrobią w najbliższym momencie. Dodatkowo wyostrza umysł, pozwalając przetworzyć nową informację, zareagować szybciej i spójniej.

Cień się zatrzymał, Kelsier szedł jeszcze przez chwilę po czym też przystanął. Nagle cień wyciągnął rękę i uderzył Vin. Poruszyła się odruchowo, unosząc dłoń w chwili, kiedy zaczęła się poruszać prawdziwa dłoń Kelsiera. Pochwyciła jego ramię.

– Kiedy palisz atium – rzekł – nic nie może cię zaskoczyć. Możesz zamachnąć się sztyletem, mając pewność, że twój wróg nadzieje się na niego. Możesz bez trudu unikać ataków, ponieważ widzisz dokładnie, gdzie spadnie każdy cios. Atium sprawia, że jesteś prawie niezwyciężona. Wyostrza umysł, umożliwiając wykorzystanie całej nowej informacji.

Nagle z ciała Kelsiera wyskoczyły dziesiątki innych obrazów. Każdy skoczył w inną stronę, niektóre spacerowały po dachu, inne skakały w powietrze. Vin puściła jego ramię, wstała i cofnęła się, zmieszana.

– Teraz ja też zapaliłem atium – rzekł Kelsier. – Mogę zobaczyć, co chcesz zrobić, a to zmienia wszystko, co mam zamiar uczynić. To z kolei zmienia wszystko, co ty zamierzasz. Obrazy odzwierciedlają każdą możliwość działania, jaką możemy podjąć.

– To oszałamia – wyszeptała Vin, obserwując szalone kłębowisko obrazów, w którym stare nieustannie znikały, a nowe nieustannie się pojawiały.

Kelsier skinął głową.

– Jedynym sposobem pokonania kogoś, kto spala atium, jest spalanie go samemu. W ten sposób nikt z was nie ma przewagi.

Obrazy znikły.

– Co zrobiłeś? – spytała zaskoczona Vin.

– Nic – odrzekł. – Prawdopodobnie atium ci się skończyło.

Vin stwierdziła, że to prawda. Atium znikło.

– Spala się tak szybko!

Kelsier skinął głową i znowu usiadł.

– Prawdopodobnie to najszybciej roztrwoniona przez ciebie fortuna, co?

Vin skinęła głową.

– To się wydaje takim marnotrawstwem.

Kelsier wzruszył ramionami.

– Atium jest cenne wyłącznie z powodu Allomancji. Jeślibyśmy go nie spalali, nie byłoby warte aż takiej fortuny. Oczywiście, jeśli je spalamy, staje się tym rzadsze. Interesujące powiązanie, nie sądzisz? Zapytaj o to kiedyś Hama. On chętnie opowiada o gospodarce atium. Prawdopodobnie każdy Zrodzony, z jakim się zetkniesz, będzie spalał atium. Jednak będą go używać niechętnie. Poza tym, atium jest delikatne, a soki żołądkowe zniszczą je w ciągu kilku godzin. Musisz zachować równowagę między oszczędnością a skutecznością. Jeśli odniesiesz wrażenie, że przeciwnik używa atium, lepiej użyj go także – nie dopuść jednak, by sprowokował cię do zużycia rezerw, zanim sam to zrobi.

Vin skinęła głową.

– Czy to znaczy, że dzisiaj mogę iść z tobą?

– Pewnie będę tego żałował – odparł z westchnieniem. – Ale nie widzę innego sposobu, żeby się ciebie pozbyć. Może gdybym cię związał. Ale ostrzegam cię, Vin, to może być niebezpieczne. Bardzo niebezpieczne. Nie planuję spotkania z Ostatnim Imperatorem, ale zamierzam wtargnąć do jego twierdzy. Myślę, że wiem, gdzie mogę znaleźć wskazówkę, jak go pokonać.

Vin uśmiechnęła się i wstała, kiedy Kelsier wezwał ją skinieniem. Sięgnął do sakiewki, wyjął fiolkę i podał jej. Wyglądała jak zwykłe fiolki allomantyczne, ale ciecz zawierała tylko pojedynczą kroplę metalu. Koralik atium był wiele razy większy od tego, który dostała do ćwiczenia.

– Nie używaj go, jeśli nie będziesz musiała – ostrzegł. – Potrzebujesz innych metali?

Skinęła głową.

– Spaliłam większość stali, żeby się tu dostać.

Podał jej kolejną fiolkę.

– Chodź, znajdziemy moją sakiewkę z monetami.

Czasami się zastanawiam, czy nie tracę zmysłów.

Może jest to spowodowane przytłaczającą wiedzą, że muszę udźwignąć ciężar całego świata. Może przyczyną jest śmierć, którą oglądałem, przyjaciele, których straciłem. Przyjaciele, których byłem zmuszony zabić.

Tak czy owak, czasem widzę ścigające mnie cienie. Mroczne istoty, których nie rozumiem i rozumieć nie chcę. Może to jakiś twór mego przeciążonego umysłu?

14

Zaczęło padać, zaledwie odnaleźli sakiewkę. Nie był to gęsty deszcz, lecz odrobinę rozrzedzał mgłę. Vin zadrżała, podniosła kaptur i przykucnęła obok Kelsiera na dachu. Kelsier nie zwracał uwagi na pogodę, ona też nie. Odrobina wilgoci nikomu nie zaszkodzi – w zasadzie może nawet pomóc, ponieważ odgłosy deszczu zamaskują odgłosy ich kroków.

Przed nimi rozpościerał się Kredik Shaw. Spiczaste iglice i surowe wieże wznosiły się w niebo jak mroczne szpony. Miały bardzo zróżnicowaną grubość – jedne dość szerokie, by pomieścić schody i duże komnaty, inne były cienkimi prętami stali wbijającymi się w niebo. To zróżnicowanie

przydawało całej masie wypaczonej, dziwacznej symetrii – prawie równowagi.

Iglice i wieże w mroku wilgotnej, mglistej nocy wyglądały posępnie – jak poczerniałe od popiołu kości dawno wyschłych zwłok. Spoglądając na nie, Vin poczuła coś... przygnębienie, jakby samo przebywanie w pobliżu budynku wystarczyło do odarcia jej z całej nadziei.

– Naszym celem jest kompleks tuneli u podstawy jednej z tych iglic po prawej – rzekł Kelsier, a jego głos ledwie dochodził do niej poprzez monotonny szum deszczu. – Kierujemy się do pomieszczenia w samym środku tego kompleksu.

– Co jest w środku?

– Nie wiem – odrzekł. – Właśnie tego musimy się dowiedzieć. Raz na trzy dni, a dzisiaj akurat nie przypada ten dzień, Ostatni Imperator odwiedza tę komnatę. Zostaje tam przez trzy godziny, po czym wychodzi. Próbowałem tam się dostać, trzy lata temu.

– To zadanie... – wyszeptała. – To, kiedy...

– Zostałem schwytany. – Kelsier skinął głową. – Tak. Wtedy sądziliśmy, że Ostatni Imperator chowa w tej komnacie swoje bogactwa. Teraz tak nie myślę. Oby to była prawda, wciąż jednak nie mam pewności. Jego odwiedziny są tak regularne, że wydaje mi się to dziwne. Coś jest w tym pomieszczeniu, Vin. Coś ważnego. Może właśnie tam ukrywa swoją tajemnicę potęgi i nieśmiertelności.

– Dlaczego musimy się nad tym zastanawiać? – zapytała. – Przecież masz Jedenasty Metal, żeby go pokonać, prawda?

Kelsier zmarszczył lekko brwi. Vin czekała na odpowiedź, ale jej nie otrzymała.

– Ostatnio nie udało mi się tam wejść, Vin – rzekł. – Byliśmy blisko, ale, kiedy tam przybyliśmy, przed komnatą stali Inkwizytorzy. Czekali na nas.

– Ktoś im powiedział, że przyjdziecie?

Kelsier skinął głową.

– Planowaliśmy tę robotę przez wiele miesięcy. Byliśmy zbyt pewni siebie, choć mieliśmy ku temu powody. Mare i ja byliśmy najlepsi – robota powinna była przebiec bez najmniejszych problemów. – Urwał i spojrzał na nią. – Dzisiaj niczego nie planowałem. Po prostu tam wejdziemy. Jeśli ktokolwiek zechce nas zatrzymać, Uspokoimy go, po czym wejdziemy do komnaty.

Vin siedziała w milczeniu, czując, jak lodowaty deszcz spływa po jej ramionach i dłoniach. Skinęła głową.

Kelsier się uśmiechnął.

– Żadnych sprzeciwów?

Pokręciła głową.

– To ja cię zmusiłam, żebyś mnie ze sobą zabrał. Nie mogę teraz dyskutować.

Kelsier zachichotał.

– Chyba zbyt długo zadaję się z Breeze’em. Nie czuję się dobrze, dopóki ktoś mi nie powie, że zwariowałem.

Vin wzruszyła ramionami. Kiedy jednak ruszyli wzdłuż dachu, poczuła to samo – ogarnęło ją przygnębienie, emanowane przez Kredik Shaw.

– Coś w tym jest, Kelsier – szepnęła. – Pałac wydaje się jakiś... zły.

– To Ostatni Imperator – odparł. – Emanuje niczym niewiarygodnie potężny Uspokajacz, tłumiąc uczucia wszystkich, którzy podejdą blisko. Zapal miedź, to uczyni cię niewrażliwą.

Vin skinęła głową i zapaliła miedź. Rzeczywiście, wrażenie natychmiast znikło.

– W porządku? – zapytał Kelsier.

Skinęła głową.

– Doskonale – rzekł, podając jej garść monet. – Trzymaj się blisko mnie i miej atium pod ręką, na wszelki wypadek.

Z tymi słowy rzucił się z dachu. Vin podążyła za nim, czując, jak z płaszcza ścieka woda. Zapaliła cynę z ołowiem i wylądowała na allomantycznie wzmocnionych nogach.

Kelsier popędził przed siebie, a ona podążyła za nim. Na wilgotnych kamieniach ten bieg mógłby się wydawać nierozsądny, ale wzmocnione cyną z ołowiem mięśnie reagowały precyzyjnie, siłą i równowagą. Biegła przez mokrą, mglistą noc, paląc cynę i miedź, jedno – by wiedzieć, drugie – by się ukrywać.

Kelsier okrążył kompleks pałacowy. Dziwne, lecz teren nie był otoczony murami. A właściwie, po co? Kto by chciał atakować Ostatniego Imperatora?

Wzgórze Tysiąca Iglic otaczał tylko płaski brukowany teren. Żadne drzewa, krzewy ani budowle nie odwracały uwagi widza od dziwacznego zlepka skrzydeł, wież i iglic, jakim był Kredik Shaw.

– Proszę bardzo – szepnął Kelsier, ale dla wzmocnionych cyną zmysłów Vin zabrzmiało to jak okrzyk.

Odwrócił się i pobiegł prosto ku niskiej, bunkrowatej części pałacu. Zbliżając się, Vin dostrzegła dwóch strażników stojących przy ozdobnych, wielkich jak brama drzwiach.

Kelsier spadł na nich jak grom, jednego od razu ciął sztyletem. Drugi próbował krzyczeć, ale Kelsier skoczył i kopnął tamtego w pierś. Strażnik upadł na ścianę, po czym osunął się na ziemię. Sekundę później Kelsier zerwał się na nogi i wyważył ramieniem drzwi.

Z korytarza wylało się blade światło lamp. Schylony Kelsier przebiegł przez drzwi, Vin przygasiła cynę, po czym z bijącym sercem podążyła za nim, również w kucki. Nigdy, w całym swym złodziejskim życiu, nie zrobiła niczego podobnego. Jej życie kręciło się wokół mniej lub bardziej przebiegłych włamań i oszustw, a nie napadów z bronią w ręku. Biegnąc za Kelsierem w głąb korytarza – ich stopy i płaszcze pozostawiały na kamieniach mokrą smugę – nerwowo wyciągnęła szklany sztylet, mocno ściskając w spoconej dłoni oprawną w skórę rękojeść.

Z korytarza tuż przed nimi wyszedł nagle jakiś człowiek, prawdopodobnie opuszczając pomieszczenie dla strażników. Kelsier skoczył naprzód i uderzył go łokciem w żołądek, po czym przygwoździł do ściany. Nim ciało strażnika dotknęło podłogi, Kelsier był już w komnacie.

Vin poszła za nim, wkraczając w chaos. Kelsier Przyciągnął metalowy kandelabr z rogu sali i zaczął nim wywijać, obalając jednego żołnierza za drugim. Strażnicy krzyczeli, bezładnie próbując dotrzeć do włóczni stojących pod ścianą. Próbując zyskać nieco miejsca, ktoś przewrócił stół pełen niedojedzonych resztek posiłku.

Nagle jeden z żołnierzy odwrócił się w stronę Vin, która zareagowała instynktownie. Zapaliła stal i rzuciła garść monet. Pchnęła, a one spadły na strażnika jak pociski, wbijając mu się w ciało.

Zapaliła żelazo. Przyciągnęła do siebie monety. Odwróciła się z dłonią ociekającą krwią i zasypała pokój metalem, kładąc kolejnych trzech. Kelsier dokończył dzieła swoją zaimprowizowaną maczugą.

Właśnie zabiłam czterech ludzi, pomyślała wstrząśnięta. Przedtem to Reen zajmował się zabijaniem.

Usłyszała szelest za plecami. Obróciła się i ujrzała kolejny oddział żołnierzy, który wbiegł do pomieszczenia drugimi drzwiami. Kelsier u jej

boku rzucił kandelabr i wystąpił naprzód. Cztery latarnie oświetlające pokój nagle wyskoczyły z uchwytów i spadły na niego. Odskoczył, pozwalając, aby zderzyły się w powietrzu.

W pomieszczeniu zapanowała ciemność. Vin zapaliła cynę, a jej oczy natychmiast przyzwyczaiły się do światła padającego z korytarza. Żołnierze jednak stanęli jak wryci.

Sekundę potem spadł na nich Kelsier. W mroku było widać jedynie błyski sztyletów i słychać krzyki. A potem wszystko ucichło.

Vin stała otoczona śmiercią. Z monet zaciśniętych w zdrętwiałej dłoni ściekała krew. Nie wypuszczała jednak rękojeści sztyletu – choćby tylko po to, żeby uspokoić dygoczącą rękę.

Kelsier dotknął jej ramienia, aż podskoczyła ze strachu.

– To byli źli ludzie, Vin – rzekł. – Każdy skaa w głębi serca wie, że podniesienie broni w obronie Ostatniego Imperium to zbrodnia.

Skinęła głową, oszołomiona. Czuła się... źle. Może przez tę śmierć, ale teraz, kiedy znajdowała się w środku, mogłaby przysiąc, że znów odczuwa moc Ostatniego Imperatora. Coś jakby Popychało jej uczucia, sprawiając, że pomimo miedzi czuła przygnębienie.

– Chodź. Mamy mało czasu – rzekł Kelsier, zwinnie przeskakując trupy. Vin machinalnie podążyła za nim.

To ja go namówiłam, żeby mnie zabrał, pomyślała. Chciałam walczyć jak on. Muszę się po prostu przyzwyczaić.

Wbiegli do kolejnego korytarza i Kelsier skoczył wysoko w górę. Przyczaił się i rzucił w przód. Vin zrobiła to samo, skacząc w górę i szukając zakotwienia gdzieś w głębi korytarza, po czym użyła go, by Przyciągnąć się ku niemu.

Boczne korytarze śmigały w tył, powietrze wyło w jej wspomaganych cyną uszach. Przed nimi pojawili się znowu dwaj żołnierze. Pierwszego Kelsier zbił z nóg kopniakiem w pierś, wywinął koziołka i wbił drugiemu nóż w szyję. Obaj upadli.

Żadnego metalu, zauważyła Vin, opadając na ziemię. Żaden z pokonanych strażników nie miał na sobie nic metalowego. Mgłobójcy, tak ich nazywano. Ludzie przeszkoleni do walki z Allomantami.

Kelsier uskoczył w boczny korytarz i Vin musiała przyspieszyć, żeby go dogonić. Rozjarzyła cynę z ołowiem, zmuszając nogi do szybszego biegu. Kelsier zatrzymał się nagle i Vin z trudem przyhamowała obok niego. Po

prawej mieli wysokie, zwieńczone łukiem drzwi, z których padało światło o wiele silniejsze niż z przyćmionych lamp w korytarzu. Vin przygasiła cynę i poszła za Kelsierem. Przekroczyli próg i znaleźli się w komnacie.

W kątach ogromnego pomieszczenia o kopulastym sklepieniu paliło się sześć kozłów z ogniem. W przeciwieństwie do skromnych korytarzy, ściany tej sali były pokryte freskami. Naturalnie każdy przedstawiał Ostatniego Imperatora, przypominały okna, które Vin widziała wcześniej, jednak o mniejszym stopniu abstrakcji. Przedstawiały górę. Ogromną jaskinię. Jezioro światła.

I coś bardzo ciemnego.

Kelsier ruszył naprzód, a Vin się obejrzała. Środek sali był zdominowany przez niewielką budowlę – budynek w budynku. Jednopiętrowa struktura, ozdobna, wykonana z kamienia rzeźbionego w łagodne ornamenty, dostojnie spoczywała przed nimi. Cała ta cicha, pusta komnata wywarła na Vin dziwne wrażenie.

Kelsier podszedł bliżej, stąpając bosymi stopami po czarnym marmurze. Vin szła za nim na ugiętych nogach. Komnata wydawała się pusta, ale strażników powinno być więcej. Kelsier podszedł do wielkich, rzeźbionych dębowych drzwi, które broniły dostępu do wewnętrznej budowli. Ich powierzchnia była pokryta znakami, których Vin nie znała. Wyciągnął rękę i pchnął je.

W środku stał Stalowy Inkwizytor. Istota się uśmiechnęła, wyginając wargi w upiornym grymasie, kontrastującym z dwoma potężnymi ostrzami, które przebijały jej oczy.

Kelsier zawahał się na chwilę, po czym krzyknął:

– Vin, uciekaj!

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo dłoń Inkwizytora wystrzeliła w przód i chwyciła go za gardło.

Vin zamarła. Z obu stron, przez otwarte łukowate arkady do sali weszli dwaj kolejni Inkwizytorzy. Wysocy, szczupli, o nagich czaszkach, wyróżniali się stalowymi ostrzami zamiast oczu i skomplikowanymi tatuażami Zakonu.

Najbliższy podniósł Kelsiera za szyję, aż ten zawisł w powietrzu.

– Kelsier, Ocalały z Hathsin – rzekł zgrzytliwym głosem. Zwrócił się w stronę Vin. – A ty... szukałem cię. Pozwolę temu tutaj zginąć szybką śmiercią, jeśli powiesz mi, który ze szlachty cię spłodził, bękarcie.

Kelsier zakasłał, walcząc o oddech i daremnie próbując rozluźnić dławiące go palce. Inkwizytor obrócił się, spoglądając na niego ostrzami. Kelsier zakasłał znowu, jakby próbował coś powiedzieć, aż Inkwizytor z zainteresowaniem przysunął go sobie do twarzy.

Wtedy dłoń Kelsiera zatoczyła szybki łuk, wbijając w szyję przeciwnika ostrze sztyletu. Inkwizytor zachwiał się. Kelsier uderzył go pięścią w przedramię. Trzasnęła kość. Inkwizytor rozluźnił chwyt i Kelsier upadł na marmurową podłogę, zanosząc się kaszlem.

Z trudem chwytając oddech, spojrzał na Vin, marszcząc brwi.

– Mówiłem, uciekaj! – wycharczał, rzucając jej coś.

Zatrzymała się, wyciągnęła rękę i chwyciła sakiewkę z monetami. Ta jednak nagle skoczyła w przód i Vin zrozumiała, że Kelsier nie rzucił sakiewki jej, lecz w nią.

Torba uderzyła ją w pierś. Pchnięta Allomancją Kelsiera rzuciła ją na drugą stronę sali, między zaskoczonymi Inkwizytorami. Dziewczyna upadła niezgrabnie na marmurową podłogę, ślizgając się po gładkim kamieniu.

Uniosła głowę, nieco oszołomiona. Kelsier stał już na nogach. Główny Inkwizytor nie wydawał się jednak szczególnie przejęty tkwiącym w jego szyi sztyletem. Pozostali dwaj zagradzali jej drogę do Kelsiera. Jeden zwrócił się ku niej. Jego nienaturalne, przerażające spojrzenie przyprawiło ją o dreszcz.

– UCIEKAJ! – okrzyk odbił się pod sklepieniem komnaty. I tym razem wreszcie dotarł.

Z trudem stanęła na nogi – strach paraliżował ją, ogłuszał, ale popychał do działania. Rzuciła się ku najbliższemu wyjściu, niepewna, czy to przez nie się tu dostała. Ściskała sakiewkę Kelsiera i paliła żelazo, desperacko szukając zakotwienia w korytarzu.

Muszę uciec!

Chwyciła się pierwszego kawałka metalu, na jaki trafiła, odrywając się od podłoża. Z niekontrolowaną prędkością śmignęła przez korytarz, z przerażenia rozjarzając żelazo.

Nagle coś nią szarpnęło i wszystko zawirowało. Upadła, uderzając głową o podłogę. Leżała, półprzytomna, zastanawiając się, co się stało. Sakiewka z monetami... ktoś ją Przyciągnął, używając metalu, by szarpnąć ją w tył.

Przetoczyła się i ujrzała ciemną postać biegnącą korytarzem. Szaty Inkwizytora łopotały, kiedy lekko wylądował kilka kroków od Vin.

Podszedł bliżej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Vin rozjarzyła cynę i cynę z ołowiem, aby rozjaśnić umysł i odepchnąć ból. Wyciągnęła kilka monet i Pchnęła je w stronę Inkwizytora.

Uniósł dłoń i monety zawisły w powietrzu. Własne Pchnięcie Vin nagle odrzuciło ją w tył. Zatoczyła się, potykając i ślizgając na kamieniach.

Wreszcie znieruchomiała. Monety upadły z brzękiem na podłogę. Potrząsnęła głową. Inkwizytor przekroczył leżące monety i płynnym krokiem zbliżył się do Vin.

Muszę uciekać! Nawet Kelsier obawiał się konfrontacji z Inkwizytorem! Jeśli on nie był w stanie zwyciężyć, to jaką szansę miała Vin?

Żadnej. Poderwała się na nogi, rzucając sakiewkę, po czym odwróciła się i pobiegła, wpadając w pierwsze drzwi, jakie zobaczyła. Pokój za nimi był pusty, ale na środku stał ołtarz. Przestrzeń pomiędzy ołtarzem, czterema kandelabrami w narożnikach i masą innych religijnych akcesoriów była jednak bardzo ciasna.

Vin się obejrzała. Ściągnęła w dłoń kandelabr, przypominając sobie sztuczkę Kelsiera sprzed kilku minut. Inkwizytor wszedł do sali, niemal z rozbawieniem uniósł dłoń i wyrwał kandelabr z jej ręki jednym lekkim allomantycznym Pociągnięciem.

Jest taki silny! – pomyślała z przerażeniem. Prawdopodobnie stabilizował się, Pociągając uchwyty lamp za plecami. Jednakże siła jego Pociągnięć żelazem była o wiele większa niż Kelsiera.

Podskoczyła, lekko się Podciągając, aby przeskoczyć przez ołtarz. Inkwizytor w drzwiach sięgnął do miski, która stała na niewielkim kamiennym filarze, wyciągając coś, co wyglądało jak garść małych metalowych trójkątów. Były zaostrzone na krawędziach i wbiły się w jego dłoń w kilku miejscach. Inkwizytor jednak zignorował rany i uniósł ku niej krwawiącą dłoń.

Vin krzyknęła i schowała się za ołtarz, kiedy kawałki metalu zadzwoniły o ścianę za jej plecami.

– Jesteś w pułapce – oznajmił Inkwizytor chrapliwym głosem. – Chodź ze mną.

Vin spojrzała w bok. W sali nie było żadnych innych drzwi. Podniosła wzrok na Inkwizytora i w tym momencie ku jej twarzy poleciał kawałek metalu. Pchnęła go, ale Inkwizytor był zbyt silny. Musiała się uchylić

i pozwolić, by metal poleciał dalej, inaczej siła przeciwnika przyszpiliłaby ją do ściany.

Muszę go czymś zablokować. Czymś, co nie jest zrobione z metalu.

Usłyszała, jak Inkwizytor wchodzi do sali, ale właśnie znalazła to, czego szukała – wielką, oprawną w skórę księgę, leżącą obok ołtarza. Chwyciła ją i się zawahała. Nie było sensu się wzbogacać, jeśli miała umrzeć. Wyjęła fiolkę Kelsiera i połknęła atium, po czym zapaliła je.

Cień Inkwizytora okrążył ołtarz, sekundę później uczynił to rzeczywisty Inkwizytor. Uniosła księgę na spotkanie cieniom sztyletów w tej samej chwili, w której poleciały w jej stronę prawdziwe ostrza. Wychwyciła wszystkie; ostre, hakowate klingi wbiły się głęboko w pokrytą skórą okładkę księgi.

Inkwizytor zatrzymał się i Vin została nagrodzona czymś w rodzaju wyrazu zmieszania na jego wykrzywionej twarzy. Nagle z ciała Inkwizytora wyskoczyły setki cieni.

Ostatni Imperator! Pomyślała Vin. On też miał atium.

Nie tracąc czasu na zastanawianie się, co to oznacza, przeskoczyła przez ołtarz, zabierając ze sobą księgę jako tarczę przed kolejnymi pociskami. Inkwizytor obejrzał się, wiodąc za nią kolcami oczu, kiedy wybiegała na korytarz.

A tam czekał oddział żołnierzy. Każdy z nich miał jednak swojego cienia z przyszłości. Vin wymijała ich zwinnie, błyskawicznie przewidując, gdzie za chwilę uderzy ich broń, i bez wysiłku umykając przed atakami dwunastu mężczyzn. Na moment zapomniała nawet o bólu i strachu, które ustąpiły miejsca niewiarygodnemu przypływowi mocy. Uciekała bez wysiłku, kije śmigały nad nią i pod nią, mijając ją dosłownie o cale. Była niezwyciężona.

Prześliznęła się pomiędzy szeregami żołnierzy, nie próbując ich ranić czy zabijać – chciała jedynie uciec. Kiedy wyminęła ostatniego, skręciła za róg.

Drugi Inkwizytor, otoczony cieniami własnego ciała, nagle podszedł i z rozmachem wbił coś w jej lewy bok.

Jęknęła z bólu. Istota wyrwała z ohydnym mlaśnięciem broń z jej ciała – była to długa drewniana włócznia z ostrzem z obsydianu. Vin przycisnęła dłoń do boku i cofnęła się chwiejnie, czując, jak z rany wypływa przerażająco obfity strumień krwi.

Inkwizytor wydawał jej się znajomy. To ten pierwszy, z tamtej komnaty, pomyślała przez tuman bólu. Czy... to oznacza, że Kelsier nie żyje?

– Kim jest twój ojciec? – zapytał Inkwizytor.

Vin nie odrywała dłoni od boku, usiłując zatrzymać krwawienie. Rana była wielka. Paskudna. Widziała już przedtem takie rany. Zawsze były śmiertelne.

Ale ona wciąż stała. Cyna z ołowiem, przemknęło jej przez oszołomiony umysł. Rozjarzyć cynę z ołowiem!

Zrobiła to i metal dodał siły jej ciału, pozwalając utrzymać się na nogach. Żołnierze odstąpili, robiąc miejsce drugiemu Inkwizytorowi, by mógł do niej podejść z boku. Vin z przerażeniem wodziła wzrokiem od jednego Inkwizytora do drugiego. Obaj zbliżali się do niej, pomiędzy palcami czuła ściekającą krew. Jeden wciąż trzymał w rękach podobną do topora broń. Ostrze było splamione krwią. Jej krwią.

Umrę, pomyślała z przerażeniem.

I wtedy usłyszała coś. Deszcz. Odgłos był słaby, ale jej wzmocniony cyną słuch wychwycił go gdzieś z tyłu. Obróciła się, rzuciła w najbliższe drzwi i na przeciwległej ścianie ujrzała z ulgą wyjście. Nad podłogą zebrała się mgła, a na dworze deszcz chłostał kamienie.

Chyba tamtędy weszła gwardia, pomyślała. Nadal rozjarzała ołów z cyną, zdumiona, jak dobrze reaguje jej ciało. Zataczając się, wybiegła na zewnątrz, odruchowo przyciskając do piersi księgę oprawną w skórę.

– Chcesz uciec? – dobiegł zza jej pleców rozbawiony głos głównego Inkwizytora.

Oszołomiona, sięgnęła ku niebu i Przyciągnęła się do jednej z wielu iglic pałacowych. Usłyszała przekleństwo Inkwizytora, kiedy się wznosiła, pędząc na oślep w ciemną noc.

Wokół niej wyrastały tysiące iglic. Przyciągnęła się do jednej, potem do drugiej. Deszcz zmienił się teraz w ulewę, aż noc od niego poczerniała. Nie było mgły, która odbijałaby światło, a gwiazdy skryły się ponad chmurami. Vin nie widziała, gdzie leci, musiała używać Allomancji, żeby wyczuwać metalowe zwieńczenia iglic i mieć nadzieję, że nic nie stanie na przeszkodzie.

Uderzyła w iglicę, chwyciła się jej w mroku i zatrzymała. Muszę zabandażować ranę, pomyślała. Zaczynała tracić siły, kręciło jej się w głowie pomimo cyny i ołowiu.

Coś uderzyło w iglicę ponad nią i usłyszała niski pomruk. Odepchnęła się, czując, jak Inkwizytor tnie powietrze obok niej.

Miała jedyną szansę. W pół skoku Pociągnęła się w bok, w kierunku innej iglicy, a jednocześnie Odepchnęła się dłońmi od księgi, w którą wciąż jeszcze były wbite kawałki metalu. Księga poleciała dalej prosto, pozostawiając w ciemności słabe błękitne smugi. Był to jedyny metal, jaki Vin miała ze sobą.

Bez trudu dotarła do kolejnej iglicy, starając się czynić jak najmniej hałasu. Wytężyła zmysły, paląc cynę. Odgłos deszczu brzmiał w jej uszach jak grom. Poprzez niego słyszała wyraźnie, jak coś uderzyło w iglicę od strony, w którą Pchnęła księgę.

Inkwizytor dał się nabrać na jej wybieg. Vin westchnęła, zwisając ze swojej iglicy, ociekając deszczem, pilnowała, żeby jej miedź wciąż płonęła. Przyciągnęła się lekko do iglicy, po czym oddarła kawałek koszuli, żeby zabandażować ranę. Pomimo otępienia, nie uszło jej uwagi, jak wielkie było to cięcie.

O Panie, pomyślała. Bez cyny z ołowiem zemdlałaby już dawno temu. Byłaby martwa.

To nie może być. On nie może...

Coś uderzyło w jej iglicę. Vin krzyknęła i odskoczyła. Przyciągnęła się do drugiej iglicy, uchwyciła się jej z trudem, po czym natychmiast Odepchnęła się znowu. Inkwizytor podążał za nią, było słychać głuche odgłosy, kiedy skakał z iglicy na iglicę.

Znalazł mnie. Nie mógł mnie widzieć, słyszeć ani wyczuć. Ale mnie znalazł.

Uderzyła w kolejną iglicę, zwisając bezwładnie w ciemności. Siły już ją prawie opuściły. Muszę... uciekać... kryć się...

Dłonie jej zdrętwiały, umysł prawie przestał pracować. Palce ślizgały się po zimnym, mokrym metalu iglicy i nagle Vin poczuła, że spada w mrok.

Spadała wraz z deszczem.

Jednak przeleciała tylko kilka metrów i z łomotem uderzyła w twardą powierzchnię – dach najwyższej części pałacu. Oszołomiona wygramoliła się na kolana i na czworakach usiłowała oddalić się od iglicy, znaleźć jakiś kąt i się w nim ukryć.

Ukryć się... ukryć... ukryć...

Z trudem podpełzła do wgłębienia utworzonego przez drugą wieżę. Wcisnęła się najgłębiej, jak mogła, i leżała w głębokiej kałuży wody zmieszanej z popiołem, obejmując się ramionami. Jej ciało ociekało deszczem i krwią.

Przez chwilę wydawało jej się, że uciekła.

Z dachu zeskoczyła jakaś ciemna postać. Deszcz ustał nieco i cyna ukazała jej oczom dwa błyszczące stalowe szpice i ciało odziane w ciemną szatę.

Była za słaba, by się poruszyć, za słaba, aby zareagować inaczej, niż tylko dygocząc w swojej kałuży, z ciałem oblepionym ubraniem. Inkwizytor podszedł bliżej.

– Co za kłopotliwe maleństwo – mruknął. Zrobił w jej stronę jeszcze krok, ale Vin nawet nie słyszała, co mówił.

Znów zapadała ciemność... nie, to tylko jej umysł. Pociemniało jej w oczach, powieki zaczęły opadać. Rana przestała boleć. Vin nie mogła... nawet... myśleć.

Nagle rozległ się trzask, jakby łamanych gałęzi.

Potem chwyciły ją czyjeś ręce. Ciepłe ręce, nie uścisk śmierci. Zmusiła się do otwarcia oczu.

– Kelsier? – szepnęła.

Ale stroskana, pełna współczucia twarz, którą ujrzała, nie była twarzą Kelsiera. To było inne, łagodniejsze oblicze. Odetchnęła z ulgą i pozwoliła sobie na omdlenie, czując, jak silne ramiona obejmują ją mocno, dając dziwne poczucie bezpieczeństwa wśród rozszalałej nocnej burzy.

Nie wiem, czemu Kwaan mnie zdradził. Jednakże, tak czy owak, to zdarzenie mnie prześladuje. Przecież to on mnie odkrył, to on był terrisańskim filozofem, który po raz pierwszy nazwał mnie Bohaterem Wieków. Teraz wydaje mi się to ironiczne i nierealne – po tak długiej walce, aby przekonać swych kolegów – to jedyny kapłan Terris, który opowiada się przeciwko mojemu panowaniu.

15

– Zabrałeś ją ze sobą?! – zawołał Dockson, wpadając do pokoju. – Zabrałeś Vin do Kredik Shaw? Czy ty, do cholery, całkiem zwariowałeś?!

– Tak – warknął Kelsier. – Miałeś rację od samego początku. Idiota ze mnie. Szaleniec. Może powinienem był umrzeć w Czeluściach i nigdy nie wracać. Żeby was nie dręczyć!

Dockson zawahał się, zaskoczony gwałtownością słów Kelsiera, który z pasją uderzył w stół, aż od siły ciosu pękło drewno. Wciąż palił cynę z ołowiem, bo metal pomagał mu uporać się z kilkoma ranami. Jego mgielny płaszcz był w strzępach, ciało krwawiło z kilku skaleczeń. Cała

prawa strona ciała płonęła bólem. Będzie miał potężnego sińca i sporo szczęścia, jeśli się okaże, że nie ma połamanych żeber.

Kelsier rozjarzył cynę z ołowiem. Ogień w środku dobrze mu zrobił. Pozwolił skoncentrować się na gniewie i obrzydzeniu do samego siebie. Jeden z uczniów pracował szybko, obwiązując bandaż na największej z ran Kelsiera. Clubs siedział z Hamem przy kuchni, Breeze wyjechał poza miasto.

– Na Ostatniego Imperatora, Kelsier – powiedział cicho Dockson.

Nawet Dockson, myślał Kelsier. Nawet mój najstarszy przyjaciel przeklina imieniem Ostatniego Imperatora. Co my robimy? Jak mamy to znieść?

– Czekali na nas trzej Inkwizytorzy – rzekł.

Dockson pobladł.

– I ty ją tam zostawiłeś?

– Uciekła przede mną. Próbowałem odwrócić uwagę Inkwizytorów na tak długo, jak się dało, ale...

– Ale?

– Jeden z trójki poszedł za nią. Nie mogłem się wydostać, może dwaj pozostali mieli mnie jedynie powstrzymać, aby ich kompan mógł ją odnaleźć.

– Trzej Inkwizytorzy. – Dockson zadumał się, biorąc od jednego z uczniów szklaneczkę brandy i wychylając ją szybko.

– Musieliśmy zbyt głośno się zachowywać, kiedy wchodziliśmy – odparł Kelsier. – Albo to, albo przyszli tam po coś wcześniej. I wciąż nie wiemy, co tam jest!

W kuchni zapanowała cisza. Deszcz za oknami znów przybrał na sile, atakując budynek z podwójną, pełną wyrzutu furią.

– Więc... – zaczął Ham – co z Vin?

Kelsier spojrzał na Docksona i ujrzał w jego oczach pesymizm. Kelsier uciekł z wielkim trudem, a przecież miał za sobą lata treningów. Jeśli Vin wciąż była w Kredik Shaw...

Kelsier poczuł ostry, skręcający ból w piersi. Pozwoliłeś umrzeć także i jej. Najpierw Mare, potem Vin. Ilu jeszcze poprowadzisz na rzeź, zanim to się skończy?

– Może ukrywa się gdzieś w mieście – rzekł niepewnie. – Nie chce przyjść do sklepu, bo się boi, że Inkwizytorzy jej szukają. A może...

z jakiegoś powodu wróciła do Fellise.

Może gdzieś tam jest i samotnie umiera w deszczu?

– Ham – rzekł Kelsier. – Wracamy do pałacu, ty i ja. Dox, bierz Lestibournesa i pogadaj z innymi szajkami. Może jeden z ich zwiadowców widział coś. Clubs, wyślij ucznia do posesji Renoux i sprawdź czy nie ukryła się tam.

Grupa zaczęła się zbierać z posępnymi minami do wyjścia, ale Kelsier nie musiał mówić tego co oczywiste. On i Ham nie będą w stanie zbliżyć się do Kredik Shaw, żeby się nie nadziać na patrole straży. Jeśli nawet Vin ukrywa się gdzieś w mieście, Inkwizytorzy prawdopodobnie znajdą ją szybciej. Już by...

Kelsier zamarł nagle, a jego gwałtowny ruch sprawił, że reszta się zawahała.

Teraz już wszyscy usłyszeli pospieszne kroki i po chwili do pomieszczenia wpadł Lestibournes. Jego szczupła postać ociekała deszczem.

– Ktoś idzie! Z nocy i woła!

– Vin? – zapytał z nadzieją Ham.

Chłopak pokręcił głową.

– Wielki człowiek. Szata.

A więc stało się, sprowadziłem śmierć na grupę... Inkwizytorzy po moim śladzie dotarli do nich jak po sznurku.

Ham wstał, podnosząc drewnianą pałkę. Dockson chwycił parę sztyletów, a sześciu uczniów Clubsa, z wytrzeszczonymi lękiem oczami cofnęło się do kuchni.

Kelsier rozpalił metale.

Tylne drzwi kuchni otwarły się z trzaskiem. W deszczu stała wysoka, ciemna postać odziana w mokrą szatę. W ramionach trzymała drobną, owiniętą w koc postać.

– Sazed! – zawołał Kelsier.

– Jest ciężko ranna – rzekł Sazed, wchodząc szybko do kuchni. Z jego pięknych szat ściekała strumieniami woda. – Mistrzu Hammond, potrzebuję trochę cyny z ołowiem. Obawiam się, że jej zapasy uległy wyczerpaniu.

Sazed położył Vin na stole kuchennym. Jej skóra była blada i lepka od potu, a ubranie całkowicie przemoczone.

Jest taka drobniutka, pomyślał Kelsier. To niemal dziecko. Jak mogłem wziąć ją ze sobą?

Dziewczyna miała w boku ogromną ranę. Sazed odłożył coś na bok – wielką księgę, którą trzymał w ramionach wraz z Vin – i wziął od Hammonda fiolkę, po czym pochylił się i wlał ciecz w usta nieprzytomnej. W kuchni zapadła cisza; przez wciąż otwarte drzwi dobiegał tylko szelest padającego deszczu.

Twarz Vin nabrała lekkich kolorów i jej oddech nieco się uspokoił. Dla allomantycznych, zasilanych brązem zmysłów Kelsiera jej ciało zaczęło pulsować rytmem przypominającym bicie drugiego serca.

– Dobrze – rzekł Sazed, odwiązując prowizoryczny opatrunek. – Obawiałem się, że jej ciało nie jest dość dobrze zaznajomione z Allomancją, by nieświadomie spalać metale. Myślę, że jest dla niej nadzieja. Mistrzu Cladent, będę potrzebował garnek wrzątku, bandaże i torbę lekarską z mojego pokoju. Szybko!

Clubs kiwnął głową i skinął na jednego z uczniów. Kelsier się skrzywił. Rana była paskudna, gorsza niż jakakolwiek z jego ran, z których się wylizał. Cięcie przeszło przez brzuch – takie rany zabijały powoli, lecz nieubłaganie.

Vin jednak nie była zwykłą osobą. Cyna z ołowiem potrafiła utrzymać Allomantę przy życiu o wiele dłużej, niż mogłoby to uczynić samo ciało. Dodatkowo Sazed nie był zwyczajnym uzdrowicielem. Religijne rytuały nie były jedynymi wspomnieniami, jakie Opiekunowie przechowywali w swoich niezwykłych pamięciach, ich metalmyśli zawierały ogromne bogactwa informacji na temat kultury, filozofii i nauki.

Clubs wyprowadził uczniów z kuchni, skoro tylko zaczęła się operacja. Procedura trwała niepokojąco długo. Ham uciskał ranę, a Sazed cierpliwie zszywał wnętrzności Vin. Wreszcie zamknął zewnętrzne cięcie i okrył czystym bandażem, po czym poprosił Hama, by ostrożnie zaniósł dziewczynę do łóżka.

Kelsier stał, obserwując, jak Ham wynosi z kuchni bezwładne, osłabione ciało Vin. Spojrzał pytająco na Sazeda. Dockson siedział w kącie. Spośród wszystkich obecnych przy operacji pozostał tylko on.

Sazed pokręcił głową.

– Nie wiem, mistrzu Kelsier. Może przeżyje. Musimy podawać jej nieustannie cynę z ołowiem – to pozwoli ciału wyprodukować nową krew.

Tak czy owak, widziałem, jak dorośli, silni mężczyźni umierali od mniejszych ran.

Kelsier skinął głową.

– Myślę, że przybyłem za późno – rzekł Sazed. – Kiedy stwierdziłem, że uciekła z domu Renoux, udałem się do Luthadelu tak szybko, jak mogłem. Zużyłem całą metalmyśl, żeby przyspieszyć podróż, ale i tak przybyłem za późno...

– Nie, przyjacielu – odparł Kelsier. – Tej nocy dobrze ci poszło. Lepiej niż mnie.

Sazed westchnął, po czym wyciągnął rękę i przesunął palcami po oprawie wielkiej księgi, którą odłożył na bok przed rozpoczęciem operacji. Tom był mokry od deszczu i krwi.

Kelsier spojrzał na niego, marszcząc brwi.

– A to? Co to takiego?

– Nie wiem – odparł Sazed. – Znalazłem ją pod pałacem, kiedy szukałem Vin. Jest napisana w khlenni.

Khlenni, język Khlennium – pradawnej, przed-Wstąpieniowej ojczystej ziemi Ostatniego Imperatora. Kelsier ożywił się nieco.

– Potrafisz ją przetłumaczyć?

– Może – stwierdziłł Sazed nagle bardzo znużonym głosem. – Ale... jeszcze nie teraz, jak sądzę. Po tym wieczorze muszę nieco odpocząć.

Kelsier skinął głową i wezwał jednego z uczniów, aby przygotował Sazedowi pokój. Terrisanin skinął z wdzięcznością głową i zmęczonym krokiem ruszył na schody.

– Uratował dzisiaj coś więcej niż tylko życie Vin – rzekł Dockson, podchodząc cicho od tyłu. – To, co zrobiłeś, było głupie, nawet jak na ciebie.

– Musiałem się dowiedzieć – odparł Kelsier. – Musiałem wrócić. A jeśli tam naprawdę jest atium?

– Powiedziałeś, że nie ma.

– Powiedziałem. – Kelsier skinął głową. – Prawie jestem tego pewien. Ale co, jeśli się mylę?

– Nie ma wytłumaczenia – odrzekł gniewnie Dockson. – Vin umiera, Ostatni Imperator wie o naszym istnieniu. Nie wystarczy, że już Mare zginęła, bo chciałeś się koniecznie tam dostać?

Kelsier zawahał się, ale był zbyt znużony, by czuć gniew.

– Dox, to nie wszystko.

Dockson zmarszczył brwi.

– Starałem się nie mówić z innymi o Ostatnim Imperatorze – rzekł Kelsier – ale... boję się. Plan jest dobry, mam jednak to okropne, upiorne uczucie, że nigdy nam się nie uda, dopóki on żyje. Możemy obedrzeć go z pieniędzy, możemy zabrać mu wojsko, wywabić go z miasta... ale wciąż uważam, że nie będziemy w stanie go zatrzymać.

Dockson zmarszczył brwi.

– Ty poważnie mówiłeś o tym Jedenastym Metalu, prawda?

Kelsier skinął głową.

– Przez dwa lata próbowałem znaleźć sposób, żeby go zabić. Ludzie próbowali już wszystkiego, ale on ignoruje zwykłe rany, a ścięcie głowy jedynie go irytuje. Grupa żołnierzy spaliła mu gospodę w czasie jednej z pierwszych wojen. Ostatni Imperator wyszedł z pożaru prawie jak szkielet, po czym w ciągu kilku sekund wyzdrowiał. Jedynie możliwość, że istnieje Jedenasty Metal, dawała pewną nadzieję, ale nie mogę tego sprawdzić! Dlatego muszę wracać do pałacu. Ostatni Imperator coś ukrywa w tym pomieszczeniu... czuję to i nie mogę się pozbyć wrażenia, że jeśli się dowiemy, co to jest, zdołamy go pokonać.

– Nie musiałeś brać ze sobą Vin.

– Poszła za mną – odparł Kelsier. – Obawiałem się, że zechce pójść tam sama, jeśli ja jej nie pozwolę. Ta dziewczyna ma bardzo silny charakter. Ukrywa się doskonale, a jeśli chce, potrafi być diabelnie uparta.

Dockson skinął głową.

– I wciąż nie wiemy, co jest w tym pokoju – rzekł.

Kelsier spojrzał na księgę, którą Sazed pozostawił na stole. Deszcz zmoczył ją, ale tom został oprawiony tak, aby wiele przetrwać. Był mocno zamknięty i zaciśnięty paskami, żeby do środka nie dostała się woda, a okładka była z wyprawionej skóry.

– Nie – rzekł wreszcie Kelsier. – Nie wiemy.

Ale mamy to. Czymkolwiek jest.

– Czy warto było, Kell? – zapytał Dockson. – Czy ten wariacki wypad naprawdę był wart tego, byś omal nie zginął? I ty, i dzieciak?

– Nie wiem – odparł szczerze Kelsier. Spojrzał na Docksona i wytrzymał wzrok przyjaciela. – Zapytaj mnie, kiedy już będzie wiadomo, że Vin przeżyje.

Część trzecia:

REBELIANCI KRWAWEGO SŁOŃCA

Wielu sądzi, że moja podróż zaczęła się w Khlennium, wielkim mieście cudów. Zapomnieli, że nie byłem królem, kiedy to wszystko się zaczęło. O, nie, nie byłem.

Sądzę, że dobrze, by ludzie pamiętali, że to zadanie nie zostało zapoczątkowane przez imperatorów, kapłanów, proroków czy generałów. Nie zaczęło się w Khlennium ani w Kordelu, ani nie przyszło ze strony wielkich narodów na wschodzie, ani z ognistego imperium Zachodu.

Zaczęło się w niewielkim, mało ważnym mieście, którego nazwa nic wam nie powie. Zaczęło się od młodzieńca, syna kowala, który był pod każdym względem pospolity – może z wyjątkiem talentu do wpadania w kłopoty.

Zaczęło się ode mnie.

16

Vin obudziła się i czując ból, pomyślała, że znowu oberwała od Reena. Ale za co? Czy znów była zbyt miła dla innych członków szajki? Czy rzuciła niemądry komentarz, wywołując gniew przywódcy? Miała siedzieć

cicho, zawsze cicho, z dala od pozostałych, nigdy nie ściągając na siebie uwagi. Inaczej będzie ją bił. Mówił, że musi się nauczyć. Musi się uczyć...

Ale ból wydawał się zbyt silny. Już dawno nic jej tak nie bolało.

Zakasłała, otwierając oczy. Leżała w łóżku, które było o wiele za wygodne, a obok, na fotelu, siedział chudy nastolatek.

Lestibournes, pomyślała. Tak ma na imię. Jestem w warsztacie Clubsa.

Lestibournes zerwał się na nogi.

– Budzisz się!

Próbowała coś powiedzieć, ale tylko znów zakasłała, a chłopak pospiesznie podsunął jej kubek wody. Vin z wdzięcznością popijała małymi łykami, krzywiąc się z bólu. Właściwie całe ciało bolało ją tak, jakby zostało mocno obite.

– Lestibournes – wycharczała wreszcie.

– Nie teraz – odparł. – Kelsier nie kciał słuchać tego imia. Zmienił je na Upiorka.

– Upiorek? – zapytała Vin – Pasuje ci. Jak długo spałam?

– Dwa tygodnie – rzekł chłopak. – Czekaj.

Wstał z fotela i gdzieś poszedł. Chwilę potem usłyszała, jak kogoś woła.

Dwa tygodnie? Popijała wodę, usiłując zorganizować rozbiegane myśli. Czerwonawe popołudniowe słońce świeciło przez okna, oświetlając pokój. Odstawiła kubek, obmacała bok i znalazła tam szeroki bandaż.

Tu mnie ugodził Inkwizytor, pomyślała. Powinnam nie żyć.

Bok był posiniaczony i pożółkły w miejscu, gdzie uderzyła w dach, spadając, a całe ciało nosiło dziesiątki innych zadrapań, siniaków i cięć. Czuła się koszmarnie.

– Vin?! – zawołał Dockson, wchodząc do pokoju. – Obudziłaś się!

– Ledwo – odrzekła, opierając się z jękiem o poduszki.

Dockson zachichotał, podszedł i usiadł na miejscu Lestibournesa.

– Ile pamiętasz?

– Chyba wszystko. Tak mi się zdaje – odparła. – Przedostaliśmy się do pałacu, ale tam byli Inkwizytorzy. Gonili nas, Kelsier walczył... – Urwała i spojrzała na Docksona. – Kelsier? Czy...

– Kell jest w porządku – odparł Breeze. – Wyszedł z tej opresji w o wiele lepszym stanie niż ty. Zna pałac dość dobrze dzięki planom, które zrobiliśmy trzy lata temu i...

Vin zmarszczyła brwi.

– Co? – zapytała.

– Powiedział, że Inkwizytorzy nie byli zainteresowani zabiciem go. Zostawili jednego, żeby go dogonił, a dwóch posłali za tobą.

Dlaczego? – pomyślała Vin. Czy chcieli skoncentrować swoją energię najpierw na słabszym wrogu? A może był jakiś inny powód? Usiadła, zadumana, analizując w myślach zdarzenia tamtego wieczoru.

– Sazed – rzekła wreszcie. – To on mnie uratował. Inkwizytor miał zamiar mnie zabić, ale... Dox, kim on jest?

– Sazed? – zapytał Dockson. – To pytanie powinnaś prawdopodobnie zadać wyłącznie jemu.

– On tu jest?

Dockson pokręcił głową.

– Musiał wrócić do Fellise. Breeze i Kell wyjechali na rekrutację, a Ham pojechał w zeszłym tygodniu dokonać inspekcji naszych wojsk. Nie będzie go jeszcze przez co najmniej miesiąc.

Vin skinęła głową, czując, jak ogarnia ją senność.

– Wypij resztę wody – poradził jej Dockson. – Dodałem do niej coś, żeby mniej cię bolało.

Vin wychyliła resztę wody, odwróciła się na bok i znów zapadła w sen.

***

Kiedy się obudziła, Kelsier był już w sklepie. Siedział na stołku przy jej łóżku, z rękami splecionymi na łokciach i wspartymi na kolanach, obserwując ją w bladym świetle lampy. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył, że na niego patrzy.

– Witaj z powrotem.

Natychmiast sięgnęła po kubek wody stojący przy łóżku.

– Jak idą prace?

Wzruszył ramionami.

– Armia się rozrasta, a Renoux zaczął kupować broń i zapasy. Twoja sugestia dotycząca Zakonu okazała się trafna – znaleźliśmy wtyczkę Therona, prawie już wynegocjowaliśmy układ, który pozwoli nam umieścić kogoś wśród akolitów Zakonu.

– Marsh? – zapytała Vin. – Czy zrobi to sam?

– Zawsze był w pewnym stopniu... zafascynowany Zakonem. Jeśli jakikolwiek skaa jest w stanie naśladować obligatora, to jest nim Marsh.

Vin skinęła głową, popijając wodę. Coś się zmieniło w Kelsierze. Było to coś bardzo subtelnego, jakaś zmiana w zachowaniu i postawie. Coś się zmieniło w czasie jej choroby.

– Vin – zaczął z wahaniem Kelsier. – Winien ci jestem przeprosiny. Przeze mnie o mało nie zginęłaś.

Vin prychnęła cicho.

– To nie twoja wina. To ja cię zmusiłam.

– Nie powinienem był się zgodzić – odparł Kelsier. – Moja pierwotna decyzja, żeby cię odesłać, była poprawna. Przyjmij moje przeprosiny.

Skinęła lekko głową.

– Co mam teraz robić? Powoli realizujemy zadanie, prawda?

Kelsier się uśmiechnął.

– Istotnie. Kiedy tylko będziesz w stanie, chciałbym, żebyś przeprowadziła się znowu do Fellise. Spreparowaliśmy historyjkę, że lady Valette zachorowała, ale zaczynają już krążyć plotki. Im szybciej goście zobaczą cię całą i zdrową, tym lepiej.

– Mogę jechać jutro.

Kelsier zachichotał.

– Wątpię, ale niedługo na pewno będziesz mogła. Na razie odpoczywaj. – Wstał i ruszył do wyjścia.

– Kelsier? – zagadnęła.

Przystanął i obejrzał się na nią.

Vin z trudem ujmowała w słowa myśli.

– Pałac... Inkwizytorzy... nie jesteśmy niezwyciężeni, prawda? – Zaczerwieniła się, strasznie głupio zabrzmiało, kiedy wyraziła się w ten sposób.

Kelsier jednak tylko się uśmiechnął. Chyba zrozumiał, o co jej chodzi.

– Nie, Vin – rzekł łagodnie. – Zdecydowanie nie.

***

Vin obserwowała krajobraz przesuwający się za oknami powozu. Pojazd, wysłany z Zamku Renoux, miał zabrać lady Valette na przejażdżkę po

Luthadelu. W istocie nie zabrał Vin, dopóki nie zatrzymał się na chwilę na ulicy koło Clubsa. Teraz jednak firanki w oknach były podniesione, ukazując ją światu – oczywiście, jeśli kogokolwiek to obchodziło.

Powóz ruszył z powrotem w kierunku Fellise. Kelsier miał rację – musiała odpoczywać jeszcze przez trzy dni w sklepie Clubsa, zanim nabrała dość sił, by przetrzymać podróż. Poza tym musiała odczekać, ponieważ obawiała się, że z raną w boku i posiniaczonymi ramionami nie da rady wcisnąć się w elegancką suknię.

Dobrze jednak było znów stanąć na nogach. Było coś... niewłaściwego w wylegiwaniu się. Takie długie okresy odpoczynku byłyby nie do pomyślenia dla zwykłego złodziejaszka. Złodzieje wracali do pracy tak szybko, jak to było możliwe, albo porzucano ich na pastwę losu. Ci, którzy nie byli w stanie zarabiać na życie, nie mieli prawa zabierać miejsca w kryjówce.

Ale ludzie, jak widać, żyją nie tylko tak, dumała Vin. Wciąż nie czuła się dobrze z tą wiedzą. Kelsiera i pozostałych nie obchodziło, że trawią na nią swoje zasoby – nie wykorzystali jej osłabienia, ale opiekowali się nią, każdy po kolei czuwał przy jej łóżku. Najwięcej czasu spędzał przy niej młody Lestibournes. Kelsier twierdził, że chłopak całe godziny spędzał u jej wezgłowia, kiedy leżała nieprzytomna.

Co można sobie pomyśleć o świecie, w którym przywódca troszczy się o swoich ludzi? W świecie przestępczym każdy odpowiadał za siebie i za to, co mu się przytrafia. Słabsze ogniwa w szajce musiały odpaść i pozwalano im na to, żeby pozostali zarobili dość, by przeżyć. Jeśli ktoś został schwytany przez Zakon, pozostawiało się go swemu losowi i miało jedynie nadzieję, że nie zacznie sypać. Nie miewało się wyrzutów sumienia z powodu narażenia ich na niebezpieczeństwo.

To głupcy, słyszała w głowie głos Reena. Ich plan skończy się katastrofą, a jeśli zginiesz, to tylko i wyłącznie z własnej winy, że nie uciekłaś, kiedy jeszcze mogłaś.

Reen uciekł, kiedy jeszcze mógł. Może wiedział, że Inkwizytorzy w końcu ją dopadną, kierując się mocą, którą nieświadomie władała. Zawsze wiedział, kiedy się ulotnić, nic więc dziwnego, że nie został zaszlachtowany z resztą szajki Camona.

A jednak przez cały czas ignorowała podpowiedzi Reena, które rozbrzmiewały w jej głowie. Pozwoliła, by powóz zawiózł ją do Fellise.

Nie czuła się całkowicie bezpieczna na swojej pozycji w grupie Kelsiera, właściwie w pewnym sensie jej relacje z członkami grupy niepokoiły ją coraz bardziej. A co będzie, kiedy przestaną jej potrzebować? A jeśli stanie się dla nich bezużyteczna?

Musiała im udowodnić, że potrafi zrobić to, czego od niej żądają. Będzie uczestniczyć w przyjęciach, wmiesza się w towarzystwo. Ma swoje zajęcia i zadania, nie może pozwolić sobie na przesypianie czasu.

Dodatkowo, musiała wrócić do sesji ćwiczenia Allomancji. Wystarczyło kilka miesięcy, żeby się uzależniła od swoich możliwości i teraz tęskniła za swobodnymi skokami przez mgły, Przyciąganiem i Odpychaniem się przez niebo. Kredik Shaw nauczył ją, że nie jest niezwyciężona, ale już to, że Kelsier przeżył z zaledwie kilkoma zadrapaniami, udowodniło jej, że można być o wiele lepszym, niż ona. Musiała zatem ćwiczyć, nabierać sił, dopóki nie będzie w stanie uciec Inkwizytorom tak, jak Kelsier.

Powóz skręcił i wjechał do Fellise. Widząc znajome wiejskie przedmieścia, Vin uśmiechnęła się i wyjrzała przez otwarte okno powozu. Wiatr owiewał jej twarz. Wkrótce przechodnie będą plotkować, że widzieli, jak lady Valette jedzie przez miasto. Chwilę potem przybyła do posesji Renoux. Lokaj otworzył jej drzwiczki i Vin ze zdumieniem zobaczyła samego lorda Renoux, oczekującego z wyciągniętą ręką na jej wyjście z powozu.

– Mój panie? – zagadnęła, podając mu dłoń. – Z pewnością masz ważniejsze sprawy, którymi musisz się zająć.

– Nonsens – odparł. – Lord musi mieć trochę czasu, by się zaopiekować swoją ulubioną siostrzenicą. Przejażdżka była przyjemna?

Czy on nigdy nie wychodzi z roli? Nie zapytał o pozostałych w Luthadelu, nie dał też po sobie poznać, że wie o jej ranie.

– Bardzo odprężająca, wujku – odparła, kiedy szli po schodach do drzwi pałacu. Vin była wdzięczna za lekko tlącą się w jej żołądku cynę z ołowiem, która dodawała siły jej wciąż drżącym nogom. Kelsier ostrzegał ją przed nadużywaniem tego metalu, żeby się nie uzależniła od energii, jaką dawał, ale na razie nie widziała innej możliwości, dopóki nie dojdzie do siebie.

– To wspaniale – odparł Renoux. – Może kiedy już poczujesz się lepiej, powinniśmy kiedyś razem zjeść obiad na balkonie w ogrodzie. Ostatnio było bardzo ciepło, pomimo nadchodzącej zimy.

– To byłoby ogromnie przyjemne – odrzekła Vin. Przedtem szlachetna postawa oszusta krępowała ją nieco, teraz jednak, kiedy weszła w rolę lady Valette, odczuwała ten sam spokój co zwykle. Vin złodziejka była nikim dla człowieka takiego jak Renoux, ale dama Valette to całkiem inna kwestia.

– Doskonale – rzekł Renoux, przystając w korytarzu. – Jednakże odłóżmy to na inny dzień, na razie zapewne zechcesz odpocząć po podróży.

– Chciałabym odwiedzić Sazeda, panie. Mam pewne sprawy, które muszę z nim omówić.

– Ach – odparł Renoux – w takim razie znajdziesz go w bibliotece, pracuje nad jednym z moich projektów.

– Dziękuję. – Skinęła głową.

Renoux skłonił się i odszedł, stukając laską po białej marmurowej podłodze. Vin zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy lord jest całkowicie przy zdrowych zmysłach. Czy ktoś naprawdę może tak do cna przejąć cudzą osobowość?

Sama to robisz, upomniała się. Kiedy stajesz się lady Valette, ludzie widzą cię z zupełnie innej strony.

Odwróciła się i rozjarzyła cynę z ołowiem, by wejść na północne schody. Rozjarzała ją, dopóki nie dotarła na górę, po czym wróciła do normalnego poziomu spalania. Tak jak mówił Kelsier, rozjarzanie metali przez zbyt długi czas było niebezpieczne – Allomanta mógł szybko uzależnić od nich swoje ciało.

Odetchnęła głęboko kilka razy – wspinanie się po schodach było trudne, nawet z cyną i ołowiem – po czym skręciła w stronę biblioteki. Sazed siedział przy biurku w pobliżu niewielkiego piecyka węglowego po drugiej stronie małej salki, pisząc coś w notatniku. Wciąż miał na sobie zwykłe szaty sługi, a na czubku nosa sterczały mu cienkie okulary.

Zatrzymała się w progu, przyglądając się człowiekowi, który uratował jej życie. Dlaczego nosi okulary? Widziałam, jak czyta bez nich. Wydawał się całkowicie pochłonięty pracą, od czasu do czasu zaglądając do wielkiego tomiszcza na biurku, po czym notując coś na kartce.

– Jesteś Allomantą – zauważyła cicho.

Sazed znieruchomiał, po czym odłożył pióro i spojrzał na nią.

– Dlaczego tak sądzisz, panienko Vin?

– Zbyt szybko dotarłeś do Luthadelu.

– Lord Renoux trzyma w stajniach kilka naprawdę szybkich koni. Mogłem wziąć jednego.

– Znalazłeś mnie w pałacu – ciągnęła.

– Kelsier powiedział mi o swoich planach i poprawnie wywnioskowałem, że poszłaś za nim. Znalezienie cię było szczęśliwym trafem, ale omal się nie spóźniłem.

Vin zmarszczyła brwi.

– Zabiłeś Inkwizytora.

– Zabiłem? – zapytał Sazed. – Nie, panienko. Żeby zabić tego potwora, trzeba większej mocy niż moja. Po prostu... odwróciłem jego uwagę.

Vin jeszcze przez chwilę stała w progu, usiłując zrozumieć, czemu Sazed mówi ogólnikami.

– Zatem jesteś Allomantą czy nie?

Uśmiechnął się, po czym chwycił za stołek i przysunął go do biurka.

– Proszę, usiądź.

Vin przeszła przez pokój i siadła na stołku. Oparła się o potężną szafę z książkami.

– Co byś pomyślała, gdybym ci powiedział, że nie jestem Allomantą? – zapytał.

– Pomyślałabym, że kłamiesz – odrzekła.

– Czy kiedykolwiek wcześniej przyłapałaś mnie na kłamstwie?

– Najlepsi kłamcy to ci, którzy kłamią rzadko.

Sazed uśmiechnął się, spoglądając na nią przez okulary.

– To prawda. Ale jaki masz dowód, że jestem Allomantą?

– Zrobiłeś kilka rzeczy, których nie byłbyś w stanie zrobić bez Allomancji.

– O? Zrodzona z Mgły od dwóch miesięcy i już wiesz, co jest możliwe, a co nie?

Vin się zawahała. Do niedawna w ogóle nic nie wiedziała na temat Allomancji. Może jednak świat wyglądał nieco inaczej, niż sądziła.

Zawsze jest jakiś kolejny sekret. To słowa Kelsiera.

– A więc – szepnęła cicho – kim właściwie jest „Opiekun”?

Sazed się uśmiechnął.

– No widzisz, panienko, to już jest o wiele mądrzejsze pytanie. Opiekunowie to... magazyny. Pamiętamy różne rzeczy, żeby można z nich było skorzystać w przyszłości.

– Jak religie – zauważyła.

Skinął głową.

– Prawdy religijne to moja specjalność – wyjaśnił.

– Ale inne rzeczy też pamiętasz, prawda?

Skinął głową.

– Na przykład?

– No cóż – odparł Sazed, zamykając księgę, którą studiował. – Na przykład języki.

Vin natychmiast rozpoznała okładkę pokrytą glifami.

– Księga, którą znalazłam w pałacu! Skąd ją masz?

– Natrafiłem na nią, kiedy szukałem ciebie – odparł Terrisanin. – Jest napisana w bardzo starym języku, nikt go nie używa od tysiąca lat.

– Ale ty go znasz? – zapytała.

Skinął głową.

– Chyba wystarczająco, by tłumaczyć. Tak sądzę.

– A... ile znasz języków?

– Sto siedemdziesiąt dwa – odparł. – Większość, tak jak khlenni, to języki wymarłe. Ruch jedności Ostatniego Imperatora w piątym wieku tego dopilnował. Język, którym teraz mówią ludzie, jest w istocie odległym dialektem terrisańskiego, mojej ojczystej mowy.

Sto siedemdziesiąt dwa, pomyślała ze zdumieniem Vin.

– To... brzmi nieprawdopodobnie. Człowiek nie może pamiętać aż tyle.

– Jeden człowiek nie – odparł Sazed. – Jeden Opiekun. To, co robię, w pewnym stopniu przypomina Allomancję, ale nią nie jest. Wy czerpiecie z metali siłę, ja... używam ich do tworzenia wspomnień.

– Jak? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Może innym razem, panienko. Moja nacja... woli chronić swe tajemnice. Ostatni Imperator poluje na nas ze zdumiewającą, niezrozumiałą pasją. Jesteśmy znacznie mniej groźni niż Zrodzeni z Mgły, a jednak ignoruje Allomantów i próbuje zniszczyć nas, nienawidzi ludzi z Terris właśnie przez nas.

– Nienawidzi? – zdziwiła się. – Przecież jesteście traktowani lepiej niż zwykli skaa. Macie bardziej szanowaną pozycję.

– To prawda, panienko – zgodził się. – Ale w pewnym sensie skaa mają więcej swobody. Większość Terrisan jest uczona od urodzenia na lokajów.

Niewielu nas już zostało, a hodowcy Ostatniego Imperatora kontrolują nasze rozmnażanie. Żaden terrisański lokaj nie ma prawa mieć rodziny ani płodzić dzieci.

Vin prychnęła.

– Zdaje się, że to akurat nie tak łatwo narzucić.

Sazed zawahał się, kładąc dłoń na okładce księgi.

– A jednak – odparł, marszcząc brwi. – Wszyscy terrisańscy lokaje to eunuchowie. Myślałem, że o tym wiesz.

Vin zamarła, po czym zalała się rumieńcem.

– O rety... przepraszam.

– Prawdę mówiąc, nie ma potrzeby przepraszać. Zostałem wykastrowany wkrótce po urodzeniu, jak każdy, kto miał zostać lokajem. Często myślę, że chętnie zamieniłbym się na życie ze zwykłym skaa. Mój lud nie jest ludem niewolników, to fabrykowane automaty, stworzone przez programy rozmnażania, szkolone od urodzenia do wypełniania życzeń Ostatniego Imperatora.

Vin nie przestała się rumienić, przeklinając swój brak taktu. Dlaczego nikt jej nie powiedział? Sazed jednak nie wydawał się obrażony. Nigdy nie wydawał się zły – o nic.

Może to z powodu jego... sytuacji, pomyślała. Chyba tego właśnie chcieli hodowcy. Pokornych, spokojnych lokajów.

– Ale – zaczęła, marszcząc brwi – przecież ty jesteś rebeliantem, Sazedzie. Walczysz z Ostatnim Imperatorem.

– Jestem w pewnym sensie dewiantem – zgodził się Sazed. – A mój lud nie jest tak całkiem podporządkowany, jak moim zdaniem życzyłby sobie tego Ostatni Imperator. Ukrywamy Opiekunów pod samym jego nosem, a niektórzy mają nawet dość odwagi, by wyzbyć się szkolenia.

Urwał i pokręcił głową.

– Ale to nie jest łatwe, panienko. Jesteśmy słabymi ludźmi. Chętnie robimy to, co nam się każe, szybko pozwalamy się podporządkować. Nawet ja, którego ty nazywasz rebeliantem, natychmiast zająłem pozycję lokaja i sługi. Obawiam się, że nie jesteśmy tak dzielni, jak byśmy chcieli.

– Byłeś dość dzielny, by mnie uratować – zaprotestowała.

Sazed się uśmiechnął.

– Tak, ale w tym również był pewien element posłuszeństwa. Obiecałem mistrzowi Kelsierowi, że będę pilnował twego bezpieczeństwa.

Ach, pomyślała. Zastanawiała się wcześniej, co nim kierowało. W końcu kto ryzykowałby życie, żeby ocalić taką Vin? Zamyśliła się, a Sazed wrócił do księgi.

– Sazedzie? – zapytała po chwili.

– Tak, panienko?

– Kto zdradził Kelsiera trzy lata temu?

Sazed odłożył pióro.

– Fakty nie są jasne, panienko. Większość załogi uważa, że to Mare.

– Mare? – zapytała Vin. – Żona Kelsiera?

Sazed skinął głową.

– Prawdopodobnie była jedną z tych niewielu osób, które mogły to zrobić. Dodatkowo sam Ostatni Imperator sugerował, że to ona.

– Ale przecież ją także posłano do Czeluści?

– I tam umarła – odparł Sazed. – Mistrz Kelsier niechętnie mówi o Czeluściach, ale czuję, że te blizny, które wyniósł z tamtego okropnego miejsca, są głębsze niż to, co widać na jego rękach. Nie wiem, czy on w ogóle wiedział o tym, że to ona go zdradziła.

– Mój brat twierdził, że każdy cię zdradzi, jeśli tylko ma ku temu okazję i wystarczająco dobry motyw.

Sazed zmarszczył brwi.

– Nawet, gdyby to była prawda, nie chciałbym żyć, gdybym musiał w to wierzyć.

To byłoby chyba lepsze niż to, co się przytrafiło Kelsierowi – został wydany w ręce Ostatniego Imperatora przez ukochaną osobę.

– Kelsier ostatnio się zmienił – zauważyła. – Jakby miał w sobie więcej rezerwy. Czy to dlatego, że czuje się winien za to, co mi się przydarzyło?

– Sądzę, że masz trochę racji – odrzekł Sazed. – Jednakże zaczyna też rozumieć, że istnieje ogromna różnica pomiędzy dowodzeniem małą grupką ludzi a organizowaniem wielkiej rebelii. Nie może ryzykować tak jak kiedyś. Proces zmienia go na lepsze, jak sądzę.

Vin nie była tego aż taka pewna. Zachowała jednak milczenie, zdając sobie sprawę, że jest bardzo zmęczona. Nawet siedzenie na stołku było dla niej nużące.

– Idź się prześpij, panienko – poradził jej Sazed, biorąc pióro i przekładając palec, którym zaznaczył czytane miejsce w księdze. –

Przeżyłaś coś, co w zasadzie powinno cię zabić. Podziękuj swemu ciału tak, jak na to zasługuje, pozwól mu odpocząć.

Zmęczona Vin pokiwała głową, wstała z trudem i wyszła, pozostawiając go przy pracy w blasku popołudniowego słońca.

Nieraz zastanawiam się, co by się stało, gdybym tam pozostał, w tym leniwym miasteczku, gdzie się urodziłem. Pewnie byłbym kowalem, jak mój ojciec. Może miałbym rodzinę i własne dzieci.

Może ktoś inny poniósłby ten straszliwy ciężar. Ktoś, kto poniósłby go znacznie dalej niż ja. Ktoś, kto zasługiwałby na to, by być bohaterem.

17

Zanim Vin przybyła do zamku Renoux, nigdy nie widziała prawdziwego ogrodu. Podczas włamań lub wypadów zwiadowczych widywała rośliny ozdobne, ale nigdy nie zwracała na nie szczególnej uwagi – podobnie jak większość szlachetnych rozrywek, wydawały jej się zbyt frywolne.

Nie zdawała sobie sprawy, jak piękne mogą być rośliny, jeśli zostaną starannie rozmieszczone. Ogrodowy balkon zamku Renoux był niewielką owalną budowlą, która wznosiła się ponad ziemią. Te wielkie ogrody wymagały zbyt wiele wody i troski, żeby mogły stanowić coś więcej niż tylko ozdobną obramówkę wokół tyłów budynku.

I tak były cudowne. Zamiast pospolitych brązów i bieli rośliny ogrodowe miały głębsze, bardziej intensywne kolory – odcienie czerwieni, oranżu i żółci, z kolorami skoncentrowanymi na liściach. Ogrodnicy rozmieścili je tak, aby tworzyły skomplikowane, piękne wzory. Bliżej balkonu zasadzono egzotyczne drzewa, których soczyście żółte liście dawały cień i chroniły przed popiołem. Po łagodnej zimie większość drzew zachowała korony. Powietrze było chłodne, ale szelest gałęzi na wietrze brzmiał kojąco.

Tak kojąco, że Vin prawie zapomniała, jak bardzo jest zirytowana.

– Chcesz jeszcze herbaty, dziecko? – zapytał lord Renoux. Nie czekał na odpowiedź, po prostu skinął na sługę, by ten podbiegł i napełnił jej filiżankę.

Vin siedziała na pluszowej poduszce, w wygodnym wiklinowym fotelu. Przez ostatnie cztery tygodnie spełniano wszystkie jej prośby i kaprysy. Służący sprzątali za nią, rozpieszczali ją, karmili, a nawet pomagali się kąpać. Renoux pilnował, aby dostawała wszystko, czego potrzebowała, a z całą pewnością nie wymagano od niej niczego, co byłoby choć w najmniejszym stopniu męczące, niebezpieczne czy choćby niedogodne.

Innymi słowy jej życie było koszmarnie nudne. Czas spędzany w Pałacu Renoux był wypełniony lekcjami Sazeda i szkoleniem Kelsiera. Sypiała w dzień, zachowując jedynie minimum kontaktu ze służbą.

Teraz jednak Allomancja – a przynajmniej nocne skoki – została jej zakazana. Rana zagoiła się jedynie częściowo i zbyt wiele ruchu mogło sprawić, że otworzy się znowu. Sazed dawał jej od czasu do czasu jakieś lekcje, ale głównie poświęcał się tłumaczeniu książki, przez co długie godziny spędzał w bibliotece.

Znalazł nową wiedzę, myślała. Dla Opiekuna to prawdopodobnie coś tak upojnego jak uliczne narkotyki.

Popijała herbatę ze starannie ukrywaną urazą, obserwując kręcących się wokół służących. Wydawali się niczym ptaki padlinożercy, krążyli i czekali na każdą możliwą okazję, by uczynić życie Vin tak wygodnym – i tak frustrującym – jak to tylko możliwe.

Renoux też niewiele pomagał. Jego pojmowanie „zjedzenia razem obiadu” z Vin polegało na siedzeniu przy stole i zajmowaniu się podczas jedzenia własnymi sprawami – wprowadzaniem notatek do ksiąg i dyktowaniem listów. Jej obecność wydawała się dla niego ważna, ale

rzadko zwracał na nią uwagę, poza grzecznościowym zapytaniem, jak minął dzień.

Mimo wszystko Vin zmuszała się do odgrywania roli skromnej arystokratki. Lord Renoux wynajął kilkoro nowych służących, którzy nie znali sytuacji – nie służbę domową, lecz ogrodników i robotników. Kelsier i Renoux obawiali się, że pozostałe rody nabiorą podejrzeń, jeśli nie będą w stanie umieścić na ziemiach Renoux co najmniej kilku szpiegów. Kelsier nie uważał tego za zagrożenie dla ich planu, ale Vin wiedziała, że musi teraz odgrywać swoją rolę wszędzie tam, gdzie to możliwe.

Nie mogę uwierzyć, że ludzie tak żyją, myślała, kiedy służba zaczęła sprzątać po posiłku. Jak arystokratki wypełniają sobie czas takim nicnierobieniem? Nic dziwnego, że wszyscy chcą bywać na balach!

– Czy twój pobyt jest przyjemny, moja droga? – zapytał Renoux, pochylając się nad następną księgą.

– Tak, wujku – odrzekła. – Całkowicie.

– Powinnaś wkrótce wybrać się na zakupy – odrzekł, podnosząc na nią wzrok. – Może chciałabyś zwiedzić ulicę Kenton? Kup sobie nowe kolczyki, żebyś już nie nosiła tej pospolitej zatyczki.

Vin sięgnęła dłonią do ucha, gdzie wciąż tkwił kolczyk jej matki.

– Nie – powiedziała. – Zachowam go.

Renoux zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział, ponieważ właśnie podszedł służący.

– Mój panie – rzekł. – Właśnie przybył powóz z Luthadelu.

Vin się ożywiła. W ten sposób służący oznajmiali, że przybył członek grupy.

– Och, doskonale – odparł Renoux. – Wprowadź ich, Tawnson.

– Tak jest, panie.

Kilka chwil później na balkonie pojawili się Kelsier, Breeze, Yeden i Dockson. Renoux dyskretnie dał znak służbie, która zamknęła okna i opuściła balkon. Kilku ludzi zajęło miejsca przy drzwiach, pilnując, aby nieodpowiednie osoby nie miały okazji podsłuchiwać.

– Czy przeszkadzamy wam w posiłku? – zapytał Dockson.

– Nie – odparła szybko Vin. – Siadajcie, proszę.

Kelsier podszedł do poręczy balkonu i dyskretnie rozejrzał się po ogrodzie i otoczeniu.

– Macie tu ładny widok.

– Kelsier, czy to rozsądne? – zapytał Renoux. – Niektórzy z ogrodników to ludzie, za których nie mogę ręczyć.

Kelsier zachichotał.

– Jeśli zdołają mnie rozpoznać z tej odległości, to są warci więcej, niż Wielkie Rody im płacą. – Mimo to zszedł z balkonu, stanął przy stole, obrócił sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem, tyłem do przodu. W ciągu ostatnich kilku tygodni wrócił do siebie takiego, jakim go znała. Ale niektóre zmiany pozostały. Częściej miewał spotkania, więcej dyskutował ze swoimi ludźmi. Wydawał się też nieco inny, jakby bardziej... zadumany.

Sazed miał rację, pomyślała. Nasz atak na pałac mógł być dla mnie prawie zabójczy, ale zmienił Kelsiera na lepsze.

– Pomyśleliśmy, że dobrze byłoby spotkać się choć raz tutaj, ponieważ wy rzadko bywacie na naradach – zauważył Dockson.

– To bardzo miło z waszej strony, panie Dockson – rzekł Renoux – ale niepotrzebnie się martwicie. Radzimy sobie doskonale.

– Nie – przerwała Vin. – Nie radzimy sobie. Niektórzy z nas chcieliby informacji. Co się dzieje w grupie? Jak idzie rekrutacja?

Renoux spojrzał na nią z niezadowoleniem. Vin jednak zignorowała go. Nie jest przecież lordem, powiedziała sobie, jest tylko jeszcze jednym bandytą. Moja opinia liczy się tak samo, jak jego! Teraz, kiedy służba sobie poszła, mogę mówić, co mi się podoba.

Kelsier zachichotał.

– No cóż, niewola sprawiła, że stała się nieco pyskata, choć w innych kwestiach pomogła niewiele.

– Nie mam nic do roboty – poskarżyła się. – Już od tego wariuję.

Breeze odstawił na stół puchar z winem.

– Niektórzy zazdrościliby ci takiej sytuacji, Vin.

– Więc chyba już całkiem zwariowali.

– Och, mówię o szlachcie – odparł Kelsier. – Ona jest dość stuknięta.

– Zadanie – przypomniała mu Vin. – Co się dzieje?

– Rekrutacja nadal idzie powoli – odparł Dockson. – Ale radzimy sobie coraz lepiej.

– Może się okazać, że trzeba będzie poświęcić większe bezpieczeństwo za liczebność – dodał Yeden.

To też zmiana, zdziwiła się Vin, zaskoczona uprzejmością Yedena. Zaczął się ubierać lepiej – nie tak jak prawdziwy dżentelmen, niczym

Dockson czy Breeze, ale przynajmniej miał na sobie dobrze skrojoną kamizelkę i spodnie, a także koszulę zapinaną na guziki – wszystko czyste i wolne od sadzy.

– Na to nic nie poradzimy, Yedenie – odrzekł Kelsier. – Na szczęście Ham radzi sobie całkiem nieźle z oddziałami. Dostałem wiadomość od niego kilka dni temu. Jest zaskoczony postępami.

Breeze prychnął.

– Uważaj, Hammond ma tendencję do przesadnego optymizmu w tych sprawach. Gdyby armia składała się z jednonogich niemów, chwaliłby ich równowagę i umiejętność słuchania.

– Chciałbym zobaczyć armię! – ochoczo zawołał Yeden.

– Wkrótce – obiecał Kelsier.

– Powinniśmy być w stanie wprowadzić Marsha do Zakonu w ciągu miesiąca – rzekł Dockson i skinął głową Sazedowi, który właśnie minął strażników i wszedł na balkon. – Mam nadzieję, że Marsh podpowie nam, jak załatwić Stalowych Inkwizytorów.

Vin zadrżała.

– Są rzeczywiście niedogodnością – zgodził się Breeze. – Biorąc pod uwagę, co ich dwójka zrobiła z wami, nie zazdroszczę nikomu zajmowania pałacu, dopóki tam są. Są niebezpieczni jak Zrodzeni z Mgły.

– Bardziej – odrzekła cicho Vin.

– Czy armia naprawdę może ich zwalczyć? – zapytał niepewnie Yeden. – Chodzi mi o to, czy oni przypadkiem nie są nieśmiertelni, co?

– Marsh się tego dowie – obiecał Kelsier.

Yeden zamyślił się, po czym skinął głową i zaakceptował słowa Kelsiera.

Tak, zmienił się naprawdę, pomyślała Vin. Wydawało się, że nawet Yeden nie może oprzeć się charyzmie Kelsiera.

– Na razie – ciągnął Kelsier – mam nadzieję usłyszeć, czego Sazed zdołał dowiedzieć się o Ostatnim Imperatorze.

Sazed usiadł, odkładając tomiszcze na stół.

– Powiem wam tyle, ile mogę, choć nie jest to ta księga, której się spodziewałem. Myślałem, że panienka Vin znalazła jakiś dawny tekst religijny... ale to jednak historia zdecydowanie bardziej przyziemna.

– Przyziemna? – zdziwił się Dockson. – Jak to?

– To pamiętnik, mistrzu Dockson – odparł Sazed. – Historia, która wydaje się przelana na papier przez samego Ostatniego Imperatora. A raczej przez człowieka, który stał się Ostatnim Imperatorem. Nawet Zakon zgadza się, że przed Wstąpieniem Ostatni Imperator był śmiertelnym człowiekiem. Księga ta opowiada o jego życiu przed końcową bitwą u Studni Wstąpienia tysiąc lat temu. Jest to głównie historia jego podróży, opowieść o ludziach, jakich spotykał, miejscach, które odwiedzał, i próbach, jakim był poddawany w czasie swoich podróży.

– Interesujące – rzekł Breeze. – Ale w czym nam to pomoże?

– Nie jestem pewien, mistrzu Ladrian – rzekł Sazed. – Jednakże zrozumienie prawdziwej historii, jaka kryje się pod Wstąpieniem, może nam się przydać. W najgorszym wypadku, pozwoli nam to w pewnym stopniu wejrzeć w umysł Ostatniego Imperatora.

Kelsier wzruszył ramionami.

– Zakon uważa, że jest ważna. Vin powiedziała, że znalazła ją w czymś w rodzaju sanktuarium w centralnym kompleksie pałacowym.

– Oczywiście – zauważył Breeze – to w najmniejszym stopniu nie budzi wątpliwości co do jej autentyczności.

– Nie sądzę, żeby była sfabrykowana, mistrzu Ladrian – zaprotestował Sazed. – Zawiera zdecydowanie zbyt wiele szczegółów, zwłaszcza jeśli chodzi o niezbyt istotne kwestie, jak tragarze i zapasy. Dodatkowo Ostatni Imperator, jakiego przedstawia, jest targany sprzecznościami. Jeśli Zakon próbowałby stworzyć księgę, której mieliby oddawać cześć, zaprezentowaliby swojego boga w bardziej... boski sposób, jak sądzę.

– Zamierzam ją przeczytać, kiedy skończysz, Saze – rzekł Dockson.

– I ja też – dodał Breeze.

– Niektórzy uczniowie Clubsa czasem dorabiają jako skrybowie – zauważył Kelsier. – Niech zrobią kopię dla każdego.

– Przydają się te chłopaki – zauważył Dockson.

Kelsier skinął głową.

– To gdzie teraz się znajdujemy?

Grupa zamilkła. Dockson skinął w stronę Vin.

– Arystokracja.

Kelsier zmarszczył brwi.

– Mogę wrócić do pracy – zaoponowała Vin. – Jestem już prawie zdrowa.

Kelsier spojrzał na Sazeda, który uniósł brew. Od czasu do czasu oglądał jej ranę. Widocznie nie spodobało mu się to, co zobaczył.

– Kell – odezwała się Vin. – Zaczynam tu wariować. Wyrosłam jako złodziej, walcząc o jedzenie i miejsce do życia. Nie potrafię siedzieć i pozwalać, żeby służący skakali wokół mnie.

A poza tym muszę udowodnić, że wciąż jestem użyteczna dla grupy.

– Cóż – rzekł Kelsier. – Jesteś jednym z powodów, dla którego tu przyjechaliśmy. W ten weekend wydają bal i...

– Pójdę – odparła Vin.

Kelsier podniósł palec.

– Vin, posłuchaj mnie. Wiele ostatnio przeszłaś, a ta infiltracja może być niebezpieczna.

– Kelsier – odparowała stanowczo – Całe moje życie było niebezpieczne. Idę.

Kelsier nie wydawał się przekonany.

– Ona musi iść, Kell – wtrącił Dockson. – Po pierwsze, arystokracja nabierze podejrzeń, jeśli znów nie zacznie bywać na balach, a po drugie, musimy wiedzieć to, co tylko ona może zaobserwować. Szpiedzy w służbie to nie to samo co szpieg podsłuchujący lokalne spiski. Wiesz o tym.

– Doskonale – ustąpił wreszcie Kelsier. – Ale musisz mi obiecać, że nie będziesz używała fizycznej Allomancji, dopóki Sazed ci nie pozwoli.

***

Później, tego samego wieczoru, Vin wciąż nie posiadała się ze zdumienia, jak bardzo chce wybrać się na ten bal. Stała w pokoju, oglądając różne zestawy sukien, które Dockson dla niej wynalazł. Ponieważ już od ponad miesiąca musiała przez większość czasu chodzić w sukniach, zaczęła je znajdować odrobinę wygodniejszymi.

Nie, to nie oznacza, że one nie są frywolne, myślała, przyglądając się czterem sukniom. Te wszystkie koronki, warstwy materiału... Po prostu koszula i spodnie są o wiele praktyczniejsze.

Jednakże w sukniach było coś szczególnego – coś związanego z ich urodą, niczym ogrody pod balkonem. Kiedy patrzyło się na nie jako na pojedyncze przedmioty, podobnie, jak pojedyncza roślina, wyglądały

zwyczajnie. Ale, kiedy myślała o swoim wystąpieniu na balu, suknie nabierały całkiem nowego znaczenia. A do tego przydawały urody ich właścicielce. Były twarzami, które zamierzała pokazać dworowi i chciała koniecznie wybrać odpowiednią.

Ciekawe, czy Elend Venture będzie na balu... Czy Sazed nie mówił, że wielu młodych arystokratów odwiedza wszystkie bale?

Położyła dłoń na czarnej tkaninie ze srebrnymi haftami. Pasowałaby do jej włosów, ale czy nie była za ciemna? Większość kobiet nosiła kolorowe suknie, stłumione barwy były zarezerwowane dla męskich strojów. Vin zerknęła na żółtą, ale ta wydała jej się odrobinę zbyt... zalotna. A biała z kolei zbyt ozdobna.

Pozostawała czerwona. W tej dekolt był głębszy, a ona nie miała wiele do pokazania. Częściowo z kaszmiru, z szerokimi rękawami, które miejscami były wzbogacone muślinem, wydawała się ogromnie kusząca. Ale jednocześnie była taka... wyrafinowana. Wzięła ją do ręki, przesuwając w palcach miękki materiał, i wyobrażała sobie, jak będzie w niej wyglądać.

Jak to się stało? – pomyślała nagle. Przecież w tym się nie schowam! Te falbaniaste dziwadła to nie ja.

A jednak... jednak gdzieś w środku tęskniła za balem. Codzienne życie arystokratki doprowadzało ją do szału, ale wspomnienia tamtego wieczoru były ogromnie przyjemne. Piękne pary tancerzy, atmosfera i muzyka, cudowne kryształowe okna...

Nawet nie zauważyłam, kiedy przyzwyczaiłam się do perfum, stwierdziła ze zdumieniem. Wolała teraz codziennie kąpać się w pachnącej wodzie, a służba perfumowała jej ubrania. Wszystko oczywiście było niezwykle delikatne, ale wystarczy, by ją zdradzić, gdyby chciała się gdzieś zakraść.

Włosy jej urosły i zostały starannie przycięte przez fryzjera Renoux, tak, że opadały za uszy i leciutko się podwijały. Nie wydawała się sobie w lustrze już taka wychudzona, pomimo długiej choroby. Regularne posiłki pozwoliły jej nabrać ciała.

Staję się... Zawahała się. Nie wiedziała, czym się staje. Z pewnością nie damą. Damy nie odczuwają irytacji, kiedy nie mogą się włóczyć po nocach. Nie była także jednak ulicznym łobuziakiem. Była...

Zrodzoną z Mgły.

Starannie odłożyła na łóżko piękną czerwoną suknię, po czym podeszła do okna i wyjrzała przez nie. Słońce właśnie zachodziło, wkrótce nadpłynie mgła... choć Sazed jak zwykle postawi przed jej drzwiami strażników, żeby nie wymknęła się na żadne niedozwolone Allomantyczne szaleństwo. Nie skarżyła się na te środki ostrożności. Miał rację – bez nadzoru dawno temu złamałaby swoją obietnicę.

Kątem oka uchwyciła jakiś ruch po prawej i z trudem tylko dostrzegła postać na balkonie. Kelsier. Po chwili Vin wyszła na balkon.

Obrócił się ku niej. Dziewczyna zawahała się, nie chcąc zakłócać jego zadumy, ale on się do niej uśmiechnął. Ruszyła przed siebie, przystając przy barierce z rzeźbionego kamienia.

Obrócił się i spojrzał na zachód, gdzieś poza horyzont.

– Czy czasem wydaje ci się to niewłaściwe, Vin?

– Niewłaściwe? – zdziwiła się.

Skinął głową.

– Te wysuszone rośliny, to gniewne słońce, czarne od dymu niebo.

Wzruszyła ramionami.

– Jak to może być właściwe lub nie? Po prostu jest tak, jak jest.

– Niby tak – zgodził się Kelsier. – Sądzę jednak, że masz trochę niewłaściwe nastawienie. Świat nie powinien tak wyglądać.

Zmarszczyła brwi.

– Skąd takie przypuszczenie?

Kelsier sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął kawałek papieru. Delikatnie rozwinął go i podał Vin.

Wzięła arkusik z jego ręki i ostrożnie podniosła do oczu. Był tak stary i zniszczony, że wydawał się bliski rozpadnięcia się na zgięciach. Nie zawierał żadnych słów, a jedynie wyblakły obrazek. Przedstawiał dziwny kształt – coś w rodzaju rośliny, ale z gatunku, którego Vin nie znała. Wydawała się dziwnie... cienka. Nie miała grubej łodygi, a jej liście były o wiele za delikatne. Na czubku miała dziwną kępę liści o innym kolorze niż pozostałe.

– To jest kwiat – wyjaśnił Kelsier. – Kiedyś, przed Wstąpieniem, wyrastały na roślinach. Opis ich można znaleźć w starych opowieściach i poematach – a to są sprawy, o których wiedzą już tylko Opiekunowie i zbuntowani mędrcy. Podobno te rośliny były bardzo piękne i miały ładny zapach.

– Rośliny, które pachną? – zapytała Vin. – Jak owoce?

– Chyba jakoś tak, przynajmniej tak myślę. Niektóre doniesienia mówią, że z tych kwiatów wyrastały owoce, ale też w czasach przed Wstąpieniem.

Vin stała w milczeniu, marszcząc brwi i próbując sobie to wyobrazić.

– Ten obrazek należał do mojej żony, Mare – cicho rzekł Kelsier. – Dockson znalazł go w jej rzeczach, kiedy zostaliśmy aresztowani. Zachował go, mając nadzieję, że wrócimy. Dał mi go, kiedy uciekłem.

Vin znów spojrzała na obrazek.

– Mare była zafascynowana czasami przed Wstąpieniem – wyjaśnił, wciąż spoglądając na ogród. W dali było widać słońce dotykające horyzontu. Jego czerwień była coraz ciemniejsza. – Zbierała różne rzeczy, takie jak ten papierek: obrazki i opisy dawnych czasów. Wydaje mi się, że ta fascynacja – wraz z faktem, że była Cynooka – doprowadziły ją do podziemia i do mnie. To ona zapoznała mnie z Sazedem, choć wtedy nie należał do mojej grupy. Nie był zainteresowany kradzieżami.

Vin złożyła papier.

– A ty wciąż trzymasz ten obrazek? Po tym... co ci zrobiła?

Kelsier milczał przez chwilę, po czym spojrzał na nią uważnie.

– Znowu podsłuchiwaliśmy pod drzwiami, co? Och, nie przejmuj się, przypuszczam, że prawie wszyscy o tym wiedzą. – Zachodzące słońce w oddali zmieniło się w łunę, oświetlającą rudawym blaskiem zarówno chmury, jak i dym.

– Tak, zachowałem ten kwiat – szepnął. – Nie jestem pewien dlaczego. Ale... czy przestajesz kogoś kochać tylko dlatego, że cię zdradził? Nie sądzę. Właśnie dlatego zdrada tak mocno boli – ból, frustracja, gniew... A ja mimo to kochałem ją. I kocham nadal.

– Jak to?! – zawołała. – Jak możesz?! I jak możesz teraz ufać ludziom? Nie wyciągnąłeś żadnych wniosków z tego, co ci zrobiła?

Wzruszył ramionami.

– Myślę... myślę, że gdybym miał wybór: kochać Mare, nawet pomimo zdrady, a wcale jej nie poznać, chyba wybrałbym miłość. Zaryzykowałem i przegrałem, ale ryzyko było tego warte. Tak samo jest z moimi przyjaciółmi. Podejrzliwość to zdrowa cecha naszego zawodu – ale tylko do pewnych granic. Wolałbym ufać moim ludziom, niż zastanawiać się nad tym, co by się stało, gdyby zwrócili się przeciwko mnie.

– To brzmi głupio – odrzekła.

– A czy szczęście jest głupie? – zapytał, zwracając się ku niej. – Gdzie byłaś szczęśliwsza, Vin? Tutaj czy z Camonem?

Nie odpowiedziała.

– Nie mam pewności, czy Mare mnie zdradziła – dodał, spoglądając znów w stronę słońca. – Zawsze twierdziła, że nie.

– I została wysłana do Czeluści, prawda? – zapytała Vin. – To nie ma sensu, skoro była po stronie Ostatniego Imperatora.

Kelsier pokręcił głową, wciąż zapatrzony w dal.

– Pojawiła się w Czelusciach kilka tygodni po tym, jak ja zostałem tam zesłany. Zostaliśmy rozdzieleni po aresztowaniu. Nie wiem, co się działo w tym czasie ani dlaczego została zesłana do Hathsin, ale... fakt, że została tam zesłana na śmierć, sugeruje, że być może mnie nie zdradziła. Lecz...

Spojrzał na Vin.

– Nie słyszałaś go, kiedy nas schwytał. Ostatni Imperator... podziękował jej. Podziękował za to, że mnie zdradziła. Jego słowa... wypowiedziane z tak upiorną uczciwością, pasowały do sytuacji, gdyby cały plan był zasadzką. Cóż... trudno było uwierzyć Mare, ale to nie zmieniło mojej miłości. Prawie umarłem wraz z nią, kiedy umarła w rok później, zachłostana na śmierć przez poganiaczy w Czelusciach. Tamtej nocy, kiedy zabrali jej ciało, Złamałem się.

– Oszalałeś? – zapytała.

– Nie – odparł Kelsier. – Złamanie to termin allomantyczny. Nasze moce pozostają początkowo ukryte – wychodzą na jaw dopiero przy jakimś traumatycznym wydarzeniu. Przy czymś intensywnym... niemal zabójczym. Filozofowie twierdzą, że człowiek nie jest w stanie rozkazywać metalom, dopóki nie pozna śmierci i nie odrzuci jej.

– Więc... kiedy mnie się to zdarzyło? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. W takich okolicznościach, w jakich ty dorastałaś, miałaś zapewne wiele okazji, by się Złamać. – Skinął głową. – Dla mnie była to tamta noc. Sam w Czelusciach, z rękoma krwawiącymi od całodziennej pracy. Mare umarła, a ja bałem się, że to przeze mnie – że mój brak wiary zabrał jej siłę i wolę. Umarła, wiedząc, że nie wierzę w jej lojalność. Może, gdybym kochał ją naprawdę, nigdy bym jej nie kwestionował. Nie wiem.

– Ale nie umarłeś – zauważyła Vin.

Pokręcił głową.

– Uznałem, że chciałbym spełnić jej marzenie. Jeśli stworzę świat, do którego wrócą kwiaty, świat pełen zielonych roślin, świat, gdzie nie ma sadzy padającej z nieba... – Urwał i westchnął. – Wiem, jestem szaleńcem.

– Właściwie – odparła cicho – dopiero teraz to wszystko zaczyna nabierać sensu. Nareszcie.

Uśmiechnął się. Słońce skryło się za horyzontem, a choć jego blask wciąż jeszcze jarzył się na zachodzie, pojawiły się już pierwsze mgły. Nie wypływały z jakiegoś szczególnego miejsca, po prostu jakby... wyrastały. Wznosiły się w niebo niczym przejrzyste, wijące się pnącza – zwijały się na wszystkie strony, rosły, tańczyły, stapiały się.

– Mare chciała mieć dzieci – rzekł nagle Kelsier. – Kiedy się pobraliśmy, piętnaście lat temu. Ja... nie chciałem. Zamierzałem stać się najsłynniejszym złodziejem skaa swoich czasów i nie miałem ochoty na coś, co ograniczałoby mi swobodę. Chyba dobrze, że ich nie mieliśmy. Ostatni Imperator mógłby je odnaleźć i zabić. Ale być może nie zdołałby tego uczynić... przecież Dox i pozostali przeżyli. Teraz czasami marzy mi się, żeby mieć przy sobie jej cząstkę. Dziecko. Może córkę, o ciemnych włosach i upartym charakterze Mare.

Zawahał się i spojrzał na Vin.

– Nie chcę być odpowiedzialny za to, że coś ci się stanie, Vin. Nie chcę tego znów przeżywać.

Zmarszczyła brwi.

– Nie zamierzam już ani chwili pozostać zamknięta w tym domu.

– Wiem, że nie chcesz. Jeśli będziemy próbowali cię zatrzymywać jeszcze przez jakiś czas, po prostu pewniej nocy zrobisz coś bardzo głupiego, a potem zjawisz się w sklepie Clubsa. Pod tym względem jesteśmy do siebie bardzo podobni. Po prostu... bądź ostrożna.

Skinęła głową.

– Taki mam zamiar.

Przez chwilę stali jeszcze na balkonie, obserwując gromadzące się mgły. Wreszcie Kelsier wyprostował się i przeciągnął.

– Cóż, nie wiem, co z tego wyjdzie, ale cieszę się, że jesteś z nami, Vin.

Wzruszyła ramionami.

– Szczerze mówiąc, chciałabym kiedyś zobaczyć te kwiaty na własne oczy.

Można powiedzieć, że okoliczności zmusiły mnie do opuszczenia domu – oczywiście, gdybym został, teraz już bym nie żył. W tamtych czasach – uciekając, nie wiedząc dlaczego, niosąc ciężar, którego nie rozumiałem – myślałem, że ukryję się w Khlennium i wybiorę anonimowe życie. Powoli zaczynam rozumieć, że anonimowość, podobnie, jak wiele innych rzeczy, przepadła dla mnie na zawsze.

18

Postanowiła, że włoży czerwoną suknię. Był to zdecydowanie najodważniejszy wybór, ale czuła, że jest właściwy. W końcu ukrywała swą prawdziwą naturę za arystokratycznymi pozorami. Im bardziej widoczne były te pozory, tym łatwiejsze powinno być ukrycie ich.

Lokaj otworzył drzwiczki powozu. Vin odetchnęła głęboko – jej pierś była nieco skrępowana specjalnym gorsetem, który miał ukryć bandaże – po czym przyjęła dłoń lokaja i zeszła. Wygładziła suknię, skinęła głową Sazedowi i dołączyła do grupy arystokratów kierujących się ku Twierdzy Elariel. Twierdza była nieco mniejsza niż Venture, ale widocznie posiadała

oddzielną salę balową, podczas gdy Ród Venture wydawał swoje przyjęcia w ogromnym głównym holu.

Vin obserwowała inne damy i nagle poczuła, że jej pewność siebie się ulatnia. Miała piękną suknię, ale pozostałe kobiety nosiły tyle innych ozdób... Ich długie, rozpuszczone włosy i pewne siebie miny pasowały do okrytych klejnotami ramion i rąk, wypełniały górne części sukien przepysznymi krągłościami i poruszały się elegancko w falbaniastym splendorze szerokich dołów. Vin od czasu do czasu widziała wysuwające się spod spódnic pantofelki i zauważyła, że kobiety nosiły raczej obuwie na wysokich obcasach aniżeli płaskie baleriny, jak ona.

– Dlaczego nie mam takich butów? – zapytała cicho, kiedy wchodzili po okrytych dywanem stopniach.

– Obcasy wymagają nieco wprawy, by w nich chodzić, panienko – wyjaśnił Sazed. – Ponieważ dopiero teraz nauczyłaś się tańczyć, może lepiej by było, żebyś na razie nosiła zwykłe pantofelki.

Vin zmarszczyła brwi, ale zaakceptowała to wyjaśnienie. Sazed wspomniał o tańcu, co jeszcze spotęgowało jej zakłopotanie. Przypomniała sobie płynne ruchy tancerzy na ostatnim balu. Na pewno nie będzie w stanie ich naśladować, znała zaledwie podstawowe kroki.

Nie szkodzi, pomyślała. Nie będą widzieć mnie. Zobaczą lady Valette. Ona ma prawo być nowa i niepewna, wszyscy zresztą uważają, że była do tej pory chora. Nic dziwnego, jeśli nie będzie tańczyć dobrze.

Z tą myślą dotarła do szczytu schodów. Teraz czuła się nieco bezpieczniej.

– Muszę powiedzieć, panienko, że wydajesz się dzisiaj znacznie mniej nerwowa – rzekł Sazed. – Właściwie nawet wydajesz się podekscytowana. Myślę, że tak właśnie zachowywałaby się prawdziwa Valette.

– Dziękuję – odparła z uśmiechem.

Miał rację – była podekscytowana. Podekscytowana, że znów wykonuje swoje zadanie, nawet tym, że znów znajdzie się pośród szlachty, pośród ich splendoru i wdzięku.

Weszli do niskiego budynku z salą balową – jednego z kilku niskich skrzydeł odchodzących od głównej twierdzy – i sługa odebrał od niej szal. Vin zatrzymała się na sekundę tuż za drzwiami, czekając, aż Sazed zamówi dla niej stolik i posiłek.

Sala balowa Elariel różniła się bardzo od majestatycznego holu Venture. Okryta półmrokiem, miała tylko jedno piętro wysokości, a choć było tutaj wiele witrażowych okien, wszystkie znajdowały się w sklepieniu. Z góry była oświetlona okrągłymi rozetami, podświetlonymi światłami wapiennymi ustawionymi na dachu. Na każdym stole stały świece, ale pomimo oświetlenia z góry, w gruncie rzeczy sala balowa była pogrążona w ciemności. Wydawała się... przytulna, pomimo tak wielu gości.

Sala była przeznaczona wyłącznie do wydawania przyjęć. Pośrodku znajdował się parkiet, nieco obniżony w stosunku do reszty podłogi i lepiej oświetlony niż reszta pomieszczenia. Wokół niego ustawiono dwa poziomy stolików. Pierwszy znajdował się tylko o kilka stóp ponad poziomem parkietu, drugi głębiej i prawie dwa razy wyżej.

Służący podprowadził ją do stolika pod ścianą. Usiadła. Sazed zajął swoje zwykłe miejsce obok niej i oboje czekali na dostarczenie kolacji.

– Jak właściwie mam uzyskać informacje, których potrzebuje Kelsier? – zapytała cicho, obserwując przyciemnioną salę. Głębokie, krystaliczne barwy podświetlonych witraży kładły się na stolikach i ludziach, tworząc imponującą atmosferę, ale utrudniając rozpoznanie twarzy. Czy Elend był dzisiejszego wieczoru wśród uczestników balu?

– Na pewno mężczyźni będą cię prosić do tańca – mówił Sazed. – Przyjmij ich zaproszenia, to pozwoli ci później ich odszukać i wmieszać się w ich towarzystwo. Nie musisz uczestniczyć w rozmowie, a jedynie słuchać. Podczas kolejnych bali młodzi ludzie będą cię zapraszać, abyś im towarzyszyła. Wtedy będziesz mogła siedzieć przy ich stolikach i słuchać, o czym rozmawiają.

– Chcesz powiedzieć, że przez cały czas mam siedzieć z jednym mężczyzną?

Sazed skinął głową.

– To nie takie niezwykłe. Tego wieczoru również będziesz tańczyła tylko z nim.

Vin zmarszczyła brwi. Jednak nie drążyła tematu i zaczęła się rozglądać po sali. Pewnie nawet go tu nie będzie, w końcu mówił, że jeśli to możliwe, unika przyjęć. A nawet jeśli będzie, z pewnością będzie wolał siedzieć samotnie.

Ktoś z rozmachem i łomotem rzucił na jej stół stos książek. Vin podskoczyła, przestraszona i obejrzała się. Elend Venture odsunął krzesło

i usiadł wygodnie. Odchylił się w tył, ustawiając się tak, aby świecznik stojący na jej stole oświetlał mu stronice książki, i otworzył ją.

Sazed zmarszczył brwi. Vin uśmiechnęła się dyskretnie, zezując na Elenda. Dzisiaj również wyglądał tak, jakby od dawna nie używał grzebienia, a kamizelka i surdut miały rozpięte guziki. Strój nie był skromny, ale też nie tak bogaty jak pozostałych gości. Wydawał się uszyty tak, aby był luźny i wygodny, na przekór modzie, hołdującej dopasowanym, doskonale skrojonym ubiorom.

Elend przeglądał książkę. Vin czekała cierpliwie, aż się z nią przywita, ale on tylko czytał. Wreszcie uniosła brew.

– Nie przypominam sobie, bym udzieliła ci pozwolenia na przebywanie przy moim stole, lordzie Venture.

– Nie przejmuj się mną – rzekł, nie podnosząc wzroku. – Masz duży stół, oboje się doskonale zmieścimy.

– My być może – odparła Vin. – Ale nie jestem pewna co do tych książek. Gdzie służba ma postawić moją kolację?

– Na lewo od ciebie jest trochę miejsca – odparł niedbale.

Sazed wystąpił naprzód, zgarnął książki ze stołu i położył je na podłodze obok krzesła Elenda.

Elend czytał dalej jak gdyby nigdy nic. Uniósł tylko rękę i machnął nią.

– Widzisz, dlatego nigdy nie korzystam z usług Terrisan. Są nieznośnie skuteczni i sprawni, muszę im to przyznać.

– Sazed wcale nie jest nieznośny – zaprotestowała chłodno. – Jest dobrym przyjacielem i prawdopodobnie lepszym człowiekiem, niż ty kiedykolwiek będziesz, lordzie Venture.

Elend podniósł wzrok.

– Ja... przepraszam – rzekł otwarcie. – Proszę o wybaczenie.

Skinęła głową. On jednak ponownie wrócił do lektury.

Po co siedzi ze mną, skoro tylko czyta?

– Co robiłeś na przyjęciach, kiedy nie miałeś mnie do dręczenia? – zapytała znużonym tonem.

– Nie, no jakże ja cię znowu dręczę? – zapytał. – Doprawdy, Valette, ja po prostu sobie tu cichutko siedzę i czytam.

– Przy moim stole. Jestem pewna, że bez trudu dostaniesz cały stół dla siebie... jesteś dziedzicem Venture. Choć nie przyznałeś się do tego podczas naszego ostatniego spotkania.

– To prawda – zgodził się Elend. – Ale przy okazji powiedziałem ci też, że Venture’owie to irytująca kompania. Staram się po prostu postępować zgodnie z opisem.

– Sam sobie ten opis wymyśliłeś!

– Bo to takie wygodne – odparł, uśmiechając się znad książki.

Westchnęła, sfrustrowana i wykrzywiła usta.

Elend podniósł wzrok.

– Oszałamiająca suknia. Prawie tak piękna, jak ty.

Vin zamarła. Elend uśmiechnął się przekornie i wrócił do książki, z błyskiem w oku, który wskazywał, że rzucił ten komentarz wyłącznie dlatego, że przewidział jej reakcję.

Sazed pochylił się nad stołem, nie ukrywając dezaprobaty. Mimo to milczał. Widocznie Elend był zbyt ważną osobistością, żeby mógł go zrugać zwykły lokaj.

Wreszcie Vin odzyskała mowę.

– Jak to jest, lordzie Venture, że wolny mężczyzna przybywa na te wszystkie bale samotnie?

– O, wcale nie – mruknął. – Moja rodzina zwykle wybiera mi jakąś panienkę, żeby mi towarzyszyła. Dzisiejszą szczęśliwą wybranką jest lady Stase Blanches – to ta w zielonej sukni na dolnej platformie.

Vin spojrzała na drugą stronę sali. Lady Blanches była wspaniałą jasnowłosą kobietą. Nie spuszczała wzroku ze stolika Vin i z trudem ukrywała grymas niezadowolenia.

Vin zarumieniła się i odwróciła wzrok.

– Nie powinieneś przypadkiem być teraz z nią?

– Prawdopodobnie – zgodził się Elend. – Ale powiem ci coś w tajemnicy: tak naprawdę to wcale nie jestem dżentelmenem. Poza tym to nie ja ją zaprosiłem. Nie wiedziałem, kto będzie mi towarzyszył, dopóki nie wsiadłem do powozu.

– Rozumiem – odparła Vin, marszcząc brwi.

– Wiem, oczywiście, że moje zachowanie jest, tak czy owak, godne pożałowania. Niestety, takie już mam napady paskudnego zachowania. Popatrz choćby na moją skłonność do czytania przy stole. Przepraszam na moment, przyniosę sobie coś do picia.

Wstał, wcisnął książkę do kieszeni i poszedł w kierunku jednego ze stołów z napojami. Vin patrzyła w ślad zanim, równie wściekła, co

zaintrygowana.

– Niedobrze, panienko – mruknął Sazed.

– Nie jest aż taki straszny.

– Wykorzystuje cię, panienko – odparł sługa. – Lord Venture znany jest ze swego niekonwencjonalnego, krnąbrnego zachowania. Wielu ludzi go nie lubi, właśnie z tego powodu.

– Z tego?

– Siedzi z tobą, bo wie, że jego rodzinę to irytuje – wyjaśnił Sazed. – Och, dziecko, nie chcę ci sprawiać bólu, ale musisz zrozumieć, jak to jest na dworze. Ten młody człowiek nie jest tobą zainteresowany z romantycznego punktu widzenia. To młody, arogancki paniczyk, który miota się w ojcowskich nakazach – więc się buntuje, jest gburowaty i obraźliwy. Wie, że jego ojciec ustąpi, jeśli wystarczająco długo będzie nieznośny.

Vin poczuła ucisk w żołądku. Sazed prawdopodobnie ma rację, oczywiście. Dlaczegóż Elend miałby mieć inne motywy? Jestem dokładnie taka, jakiej potrzebuje – ktoś dość nisko urodzony, żeby irytować jego ojca, ale wystarczająco niedoświadczony, żeby nie widzieć prawdy.

Przyniesiono kolację, Vin jednak straciła apetyt. Rozgrzebywała jedzenie, kiedy Elend pojawił się znowu, stawiając na stole puchar. Czytając, pociągał co chwila łyk lub dwa.

Ciekawe, co zrobi, jeśli przestanę mu przeszkadzać w czytaniu, pomyślała zirytowana. Przypomniawszy sobie niedawno odebrane lekcje, zaczęła jeść z gracją prawdziwej damy. Był to skromny posiłek – głównie warzywa polane masłem – ale im szybciej skończy, tym szybciej pójdzie tańczyć, a wtedy przynajmniej nie będzie musiała siedzieć z Elendem Venture.

Młody lord kilkakrotnie podnosił wzrok, zezując na Vin ponad książką. Widocznie oczekiwał od niej jakiejś reakcji, ale się nie doczekał. A Vin czuła, jak z każdą chwilą jej gniew się ulatnia. Spojrzała na Elenda, studiując jego z lekka nieporządny wygląd, obserwując zaciekawienie, z jakim czytał książkę. Czy ten człowiek naprawdę mógł być takim pokrętnym manipulantem, jak twierdzi Sazed? Czy naprawdę ją wykorzystywał?

Każdy cię zdradzi, szepnął Reen. Każdy.

Elend wydawał się taki... szczery. Sprawiał wrażenie żywej istoty, nie maski czy aktora. I odnosiła wrażenie, że chciał, by do niego mówiła. Kiedy wreszcie odłożył książkę i spojrzał na nią, uznała to za osobiste zwycięstwo.

– Dlaczego tu jesteś? Valette? – zapytał.

– Tu na przyjęciu?

– Nie, tu w Luthadelu.

– Bo to centrum wszystkich wydarzeń – odparła.

Zmarszczył brwi.

– Chyba tak. Ale imperium to zbyt wielkie miejsce, żeby miało tak małe centrum. Chyba nie do końca zdajemy sobie sprawę, jak wielkie. Ile czasu tu jechałaś?

Vin ogarnęła chwilowa panika, ale szybko przypomniała sobie lekcje Sazeda.

– Prawie dwa miesiące kanałem, z kilkoma przystankami.

– Bardzo długo – odrzekł. – Podobno potrzeba aż pół roku, żeby przejechać imperium od jednego końca do drugiego, a jednak wszyscy je ignorują, poza tym niewielkim skrawkiem ziemi pośrodku.

Vin przejechała z Reenem całe Środkowe Dominium. Było to jednak najmniejsze z dominiów, a ona nigdy nie odwiedzała bardziej egzotycznych miejsc w imperium. To centrum stało się rajem dla złodziei. Dziwne, lecz najbliższe otoczenie Ostatniego Imperatora było jednocześnie centrum korupcji, nie wspominając o największych bogactwach.

– Więc co sądzisz o mieście? – pytał dalej.

Zawahała się.

– Jest... brudne – odparła uczciwie. W półmroku pojawił się służący, by zabrać jej pusty talerz. – Jest brudne i zatłoczone. Skaa są traktowani okropnie, ale chyba wszędzie jest to samo.

Przechylił głowę, obrzucając ją dziwnym spojrzeniem.

Nie powinnam była mówić o skaa. To niearystokratyczne.

Pochylił się.

– Uważasz, że skaa są tu traktowani gorzej niż na twojej plantacji? Zawsze myślałem, że lepiej im będzie w mieście.

– Hm... nie jestem pewna. Nieczęsto jeżdżę na pola.

– Więc nie masz z nimi wiele kontaktu?

Wzruszyła ramionami.

– A co to ma za znaczenie? To tylko skaa.

– Widzisz, zawsze tak mówimy – odparł. – Ale ja nie wiem. Może jestem zbyt ciekawski, lecz mnie interesują. Czy kiedykolwiek słyszałaś, jak ze sobą rozmawiają? Czy mówią jak zwykli ludzie?

– Co? – zdziwiła się. – Oczywiście, że tak. A jak mieliby mówić?

– Wiesz czego uczy Zakon.

Nie wiedziała. Ale jeśli dotyczyło skaa, prawdopodobnie nie było to nic pochlebnego.

– Mam taką zasadę, że nigdy nie wierzę całkowicie w to, co mówi Zakon.

Elend przekrzywił głowę.

– Jesteś... inna, niż myślałem, lady Valette.

– Ludzie rzadko są tacy, jak myślimy.

– Opowiedz mi o skaa z plantacji. Jacy oni są?

Wzruszyła ramionami.

– Tacy sami jak wszędzie indziej.

– Czy są inteligentni?

– Niektórzy i owszem.

– Ale nie tak jak ty czy ja, prawda? – zapytał.

Vin zawahała się. Jak odpowiedziałaby arystokratka?

– Nie, oczywiście, że nie, to tylko skaa. Dlaczego tak się nimi interesujesz?

Elend wydawał się... rozczarowany.

– Bez powodu – odparł, rozsiadłszy się wygodnie, i znów otwarł książkę. – Chyba któryś z tych panów chce cię zaprosić do tańca.

Vin obejrzała się i stwierdziła, że istotnie, nieopodal jej stolika stoi grupka młodych mężczyzn. Odwrócili wzrok natychmiast, kiedy na nich spojrzała. Po chwili jeden wskazał na inny stolik, po czym podszedł i poprosił do tańca siedzącą przy nim młodą damę.

– Wielu panów cię zauważyło, milady – rzekł Sazed. – Ale nie podejdą. Myślę, że obecność lorda Venture ich onieśmiela.

Elend prychnął.

– Powinni wiedzieć, że nie ma we mnie niczego onieśmielającego.

Vin zmarszczyła czoło, ale Elend po prostu czytał dalej. Doskonale, pomyślała, spoglądając znów w stronę młodych ludzi. Pochwyciła wzrok jednego z nich i uśmiechnęła się lekko.

Kilka chwil później młodzieniec podszedł do jej stolika i przemówił sztywnym, oficjalnym tonem:

– Lady Renoux, jestem lord Melend Liese. Czy zechce pani zatańczyć?

Vin spojrzała na Elenda, ale ten nawet nie podniósł wzroku znad książki.

– Z przyjemnością, lordzie Liese – rzekła, ujmując podaną dłoń i wstając.

Poprowadził ją na parkiet. W miarę, jak się do niego zbliżali, nerwowość Vin powracała. Nagle tydzień ćwiczeń wydał jej się żałośnie niewystarczający. Muzyka ucichła, co pozwoliło parom pozostać na parkiecie lub go opuścić. Lord Liese poprowadził ją naprzód.

Walczyła ze swą paranoją, przypominając sobie co chwila, że ludzie nie widzą jej samej, a tylko tytuł i suknię. Spojrzała w oczy lorda Liese'a i ku swemu zdziwieniu ujrzała w nich lęk.

Po chwili znów rozległa się muzyka i rozpoczęły tańce. Twarz lorda Liese'a przybrała wyraz konsternacji. Vin czuła, jak jego dłoń zaczyna się pocić.

Przecież on jest równie nerwowy, jak ja! Może nawet bardziej.

Liese był młodszy od Elenda. Prawdopodobnie nie miał zbyt wiele doświadczenia towarzyskiego i nie wyglądało na to, że dużo tańczy. Tak bardzo się koncentrował na krokach, że poruszał się jak automat.

To logiczne, pomyślała nagle Vin, odprężając się i pozwalając, by jej ciało poruszało się zgodnie z naukami Sazeda, że doświadczeni tancerze nie będą mnie na razie prosić do tańca. Nie teraz, kiedy jestem nowa. To poniżej ich godności.

Ale dlaczego Elend zwrócił na mnie uwagę? Widocznie jest tak, jak mówi Sazed – próbuje dokuczyć swemu ojcu. Dlaczego zatem jest tak bardzo zainteresowany tym, co mam do powiedzenia?

– Lordzie Liese – zagadnęła. – Jak dobrze znasz Elenda Venture?

Liese podniósł wzrok.

– Hm, ja...

– Nie koncentruj się tak na tańcu – mruknęła. – Mój instruktor twierdzi, że im mniej się starasz, tym naturalniej płyniesz.

Zarumienił się.

Ostatni Imperatorze! – jęknęła w duchu. Jak zielony jest ten młodzik?

– Uhm... lord Venture – mruknął Liese. – Nie wiem. To bardzo ważna osoba. O wiele ważniejsza ode mnie.

– Nie pozwól, aby jego pochodzenie cię onieśmieliło – odrzekła. – Z tego co widzę, jest całkiem nieszkodliwy.

– Nie wiem, pani – odparł. – Venture to bardzo wpływowy ród.

– Cóż, Elend nie odpowiada tej reputacji. Chyba bardzo lubi ignorować ludzi w swoim towarzystwie. Czy robi tak z każdym?

Liese wzruszył ramionami. Teraz, kiedy rozmawiali, tańczył o wiele swobodniej.

– Nie wiem. Chyba... chyba ty znasz go lepiej ode mnie, pani.

– Ja... – Vin się zawahała.

Czuła się tak, jakby znała go naprawdę bardzo dobrze – o wiele lepiej, niż należałoby się spodziewać po dwóch krótkich spotkaniach. Nie umiała tego jednak wyjaśnić Liese'owi.

Ale może... Czy Renoux nie powiedział, że kiedyś poznał Elenda?

– Och, Elend to przyjaciel rodziny – rzuciła, kiedy wirowali pod kryształowym świetlikiem.

– Naprawdę?

– Tak – odparła. – To miło ze strony wuja, że poprosił Elenda, by pilnował mnie na balach. Na razie jest naprawdę kochany. Chciałabym wszakże, żeby mniej siedział z nosem w książkach, a bardziej starał się wprowadzić mnie w świat.

Liese wyraźnie się ożywił i przestał sprawiać wrażenie osaczonego.

– Och, no tak, rozumiem.

– Tak – odrzekła. – Elend przez cały czas mojego pobytu w Luthadelu był dla mnie jak starszy brat.

Liese się uśmiechnął.

– Zapytałam cię o niego, bo sam niechętnie mówi o sobie – dodała.

– Venture'owie ostatnio są bardzo milczący – odparł. – Chyba od czasu tego ataku na ich twierdzę kilka miesięcy temu.

Vin skinęła głową.

– Wiesz coś o tym?

Pokręcił głową.

– Nikt mi nic nie mówi. – Spojrzał na ich stopy. – Doskonale tańczysz, lady Renoux. Zapewne w swoim rodzinnym mieście często bywałaś na balach.

– Pochlebiasz mi, panie – odparła.

– Nie, doprawdy, masz tyle... wdzięku.

Uśmiechnęła się, czując gwałtowny przypływ pewności siebie.

– Tak – kontynuował dalej Liese. – Jesteś zupełnie inna, niż mówiła lady Shan... – Urwał i drgnął, jakby nagle zdał sobie sprawę z tego, że powiedział za dużo.

– Co? – zapytała.

– Nic – odrzekł, czerwieniąc się jeszcze bardziej. – Przepraszam, to nic.

Lady Shan, pomyślała Vin. Zapamiętaj to nazwisko.

Jeszcze przez chwilę próbowała coś wyciągnąć z Liese'a, ale informacje, które uzyskała, były wręcz szczątkowe. Czuł, że pomiędzy rodami narasta napięcie. Choć bale były wydawane, to pojawiało się na nich coraz mniej osób, gdyż rody nie zaszczycały swą obecnością przyjęć wydawanych przez ich politycznych przeciwników.

Kiedy taniec dobiegł końca, Vin czuła się doskonale. Prawdopodobnie nie odkryła nic ważnego dla Kelsiera, ale Liese to przecież tylko początek. Dotrze do ważniejszych osób.

A to oznacza, myślała, kiedy Liese prowadził ją z powrotem do stolika, że będę musiała częściej chodzić na bale. Cóż, same w sobie bynajmniej nie były nieprzyjemne, zwłaszcza teraz, kiedy lepiej jej szły tańce, ale ta perspektywa oznaczała, że Vin będzie miała coraz mniej czasu na przebywanie we mgle.

Sazed i tak by mnie nie puścił, westchnęła w duchu, uśmiechając się, kiedy Liese oddalał się z ukłonem.

Elend porozkładał książki na stole, a alkowa została oświetlona kolejnymi świecznikami, prawdopodobnie podwędzonymi z innych stolików.

Cóż, pomyślała. Przynajmniej kradzież mamy oboje we krwi.

Elend pochylał się nad stołem, zapisując coś w niewielkim, kieszonkowym notatniku. Nie podniósł wzroku, gdy usiadła. Sazed z kolei znikł całkowicie z jej pola widzenia.

– Wysłałem Terrisanina na kolację – wyjaśnił roztargnionym tonem, nie przestając pisać. – Nie musi stać tu głodny, kiedy ty się kręcisz na dole.

Vin uniosła brew, obrzucając wzrokiem książki, które pokryły już cały blat. Kiedy tak patrzyła, Elend odsunął jeden z tomów – pozostawiając go otwartym na określonej stronie – i przyciągnął drugi.

– Jak ci poszło wyżej wspomniane kręcenie się? – zapytał.

– Było dość przyjemnie.

– Myślałem, że nie umiesz tańczyć.

– Nie umiałam – odrzekła. – Ale ćwiczyłam. Może cię zdziwi ta informacja, ale siedzenie w ciemności w głębi pokoju nad stertą książek nie pomoże nikomu stać się lepszym tancerzem.

– Czy to propozycja? – zapytał, odkładając książkę i biorąc kolejną. – To bardzo niewytwornie prosić mężczyznę do tańca, wiesz?

– Och, gdzieżbym śmiała oderwać cię od czytania – odparła, przyciągając ku sobie jedną z książek, i skrzywiła się. Tekst napisany był drobnym, ścisłym pismem. – Poza tym, taniec z tobą popsułby mi całą robotę, jaką do tej pory wykonałam.

Elend znieruchomiał. Wreszcie podniósł wzrok.

– Robotę?

– Tak – odrzekła lekko. – Sazed miał rację. Lord Liese uznał, że jesteś onieśmielający, a mnie uznał za onieśmielającą dla towarzystwa. Przecież to prawdziwa katastrofa dla życia towarzyskiego młodej damy, jeśli połowa męskiego towarzystwa uważa ją za niedostępną tylko dlatego, że jakiś nieznośny lord urządził sobie czytelnię przy jej stoliku.

– Więc... – zaczął.

– Więc powiedziałam, że po prostu wprowadzasz mnie na dwór. Coś jak... starszy brat.

– Starszy brat? – zdziwił się, marszcząc brwi.

– O wiele starszy – dodała z uśmiechem. – Przecież ty musisz mieć ze dwa razy tyle lat co ja.

– Dwa razy... Valette, mam dwadzieścia jeden lat. O ile nie jesteś bardzo przedwcześnie dojrzałą dziesięciolatką, nie mam nawet w przybliżeniu dwa razy tyle lat, co ty.

– Nigdy nie radziłam sobie z matematyką – odparła niedbale.

Westchnął i wywrócił oczami. Lord Liese rozmawiał właśnie z grupą przyjaciół, gestykulując i zerkając na Vin i Elenda. Miała nadzieję, że ktoś wkrótce poprosi ją do tańca.

– Znasz niejaką lady Shan? – zapytała niedbale.

Ku jej zaskoczeniu Elend uniósł głowę.

– Shan Elariel?

– Chyba tak – odrzekła. – Kim ona jest?

Wrócił do swojej książki.

– Nikt ważny.

Vin uniosła brew.

– Elendzie, bawię się w to dopiero od kilku miesięcy, ale nawet ja wiem, że takim słowom nie należy ufać.

– No... – mruknął niechętnie. – Może jestem z nią zaręczony.

– Masz narzeczoną? – zapytała ze zgrozą.

– Nie jestem pewien. Właściwie od roku z czymś przestaliśmy się w ogóle zajmować tą sprawą. Przypuszczalnie wszyscy już o tym zapomnieli.

Wspaniale, pomyślała.

Chwilę później podszedł do niej jeden z przyjaciół Liese'a. Zadowolona, że uwolniła się od irytującego dziedzica rodu Venture, wstała i przyjęła ramię młodego lorda. Idąc na parkiet, obejrzała się na Elenda i przyłapała go, jak przygląda się jej zza książki. Natychmiast odwrócił wzrok i zajął się czytaniem z ostentacyjnie obojętną miną.

***

Vin siedziała przy stole, ogarnięta nieprawdopodobnym znużeniem. Z trudem powstrzymywała się przed zdjęciem trzewików i rozmasowaniem stóp, ale uznała, że to zbyt mało eleganckie. Ostrożnie zapaliła miedź, a potem cynę z ołowiem, wzmacniając ciało i pozbywając się częściowo zmęczenia.

Po chwili zgasiła najpierw cynę z ołowiem, a potem miedź. Wprawdzie Kelsier zapewniał ją, że przy płonącej miedzi nikt nie będzie jej podejrzewał o Allomancję, ale Vin nie była tego pewna. Kiedy paliła cynę z ołowiem, miała błyskawiczne reakcje i nienaturalnie wytrzymałe ciało. Wydawało jej się, że osoba obdarzona zmysłem obserwacji wychwyci bez trudu jej dziwaczne zachowanie, choćby sama nie była Allomantą.

Po zgaszeniu cyny z ołowiem zmęczenie powróciło. Vin próbowała się ostatnio oduczyć ciągłego jej palenia. Rana zagoiła się już na tyle, że bolała tylko przy nieostrożnym wykręceniu tułowia, a Vin bardzo chciała odzyskać siły.

W pewnym sensie to zmęczenie było dla niej dobre – wynikało z długiego tańca. Teraz, kiedy młodzi ludzie widzieli w Elendzie jedynie strażnika, a nie romantycznego towarzysza, nie mieli obaw prosić Vin do

tańca. A ona, z obawy, że odmawiając, zajmie niechcący jakieś stanowisko w kwestii polityki, przyjmowała każde zaproszenie. Kilka miesięcy temu śmiałaby się na myśl, że mogłaby się zmęczyć tańcem. Teraz jednak obolałe stopy, rwanie w boku i zmęczone nogi stanowiły jedynie część problemu. Wysiłek towarzyszący zapamiętywaniu nazwisk i rodów – nie mówiąc już o prowadzeniu lekkiej konwersacji z partnerami – wycisnął jej umysł jak gąbkę.

Dobrze, że Sazed nie pozwolił mi włożyć pantofli na obcasach, pomyślała z westchnieniem, popijając zimny sok. Terrisanin nie wrócił jeszcze z obiadu. Co ciekawe, Elenda także nie było przy stole, choć książki wciąż leżały porozrzucane na blacie.

Vin spojrzała na nie. Może gdyby przez chwilę udawała, że czyta, młodzi ludzie zostawiliby ją na chwilę samą. Sięgnęła ku książkom, przekładając je w poszukiwaniu odpowiedniej kandydatki. Ta, która ją naprawdę interesowała – niewielki, obciągnięty skórą notatnik Elenda – znikła wraz z właścicielem.

Wzięła zatem ogromny, niebieski wolumin i przesunęła na swoją stronę stołu. Wybrała go z powodu dużych liter – czy papier naprawdę był tak drogi, że skrybowie musieli wciskać na każdą stronicę aż tyle linijek? Westchnęła, przeglądając książkę.

Nie wierzę, że ludzie czytają coś tak wielkiego, pomyślała. Pomimo dużych liter, każda stronica była wypełniona słowami. Przeczytanie całości zajęłoby jej wiele lat. Reen nauczył ją czytać, więc była w stanie rozszyfrowywać kontrakty, notować, a może nawet udawać szlachciankę, ale szkolenie nie obejmowało tak ogromnych tekstów.

„Praktyki historyczne w imperialnym panowaniu politycznym” – głosiła pierwsza strona. Vin przebiegła wzrokiem po tytułach rozdziałów – „Program Rządowy Piątego Stulecia”, „Powstanie Plantacji Skaa”. Przerzuciła stronice do końca książki, mając nadzieję natrafić na coś ciekawszego. Ostatni rozdział nosił tytuł „Obecna Struktura Polityczna”.

„Do tej pory” – czytała – „system plantacji stworzył o wiele stabilniejszy rząd, aniżeli poprzednie metodologie. Struktura Dominiów, gdzie każdy prowincjonalny lord przejmuje władzę nad swoimi skaa oraz odpowiedzialność za nich, stworzyła środowisko konkurencji, gdzie dyscyplina jest wymuszana surowymi metodami.

Ostatni Imperator widocznie uważa ten system za niepokojący z powodu wolności, jaką pozostawia on arystokracji. Jednakże stosunkowy brak zorganizowanych ruchów rewolucyjnych jest niewątpliwie kuszący; w ciągu dwustu lat istnienia systemu nie było w Pięciu Wewnętrznych Dominiach ani jednego znaczącego powstania.

Oczywiście, ten system polityczny jest jedynie rozszerzeniem większej władzy teokratycznej. Niezależność arystokracji została utemperowana przez nowy wigor służby obligatorów. Żaden z lordów, nieważne jak wielki, nie powinien się uważać za stojącego ponad prawem. Wezwanie od Inkwizytora może przyjść do każdego."

Vin zmarszczyła brwi. O ile sam tekst był oschły, o tyle zaskoczył ją fakt, że Ostatni Imperator pozwala sobie na tak analityczne dyskusje dotyczące jego rządów. Usiadła wygodniej w fotelu, trzymając księgę na kolanach, ale już nie czytała. Była zbyt zmęczona długimi godzinami, które spędziła na dyskretnym nakłanianiu swych partnerów do udzielania jej niezbędnych informacji.

Niestety, polityki nie interesowało zmęczenie Vin. Choć robiła co mogła, by udawać zaczytaną, wkrótce przy jej stole pojawiła się kolejna postać.

Westchnęła, szykując się do tańca. Wkrótce jednak stwierdziła, że nowo przybyły nie jest szlachcicem, ale terrisańskim lokajem. Podobnie jak Sazed, był odziany w szatę z nakładających się klinów i bardzo lubił biżuterię.

– Lady Valette Renoux? – zapytał z lekkim akcentem.

– Tak – odparła z wahaniem.

– Moja pani, lady Shan Earlier żąda pani obecności przy swym stole.

Żąda? – pomyślała Vin. Nie spodobał jej się ten ton i nie miała wielkiej ochoty spotkać się z dawną narzeczoną Elenda. Niestety, ród Elariel był jednym z potężniejszych Wielkich Rodów i prawdopodobnie nie wypadało zignorować zaproszenia.

Terrisanin czekał cierpliwie.

– Doskonale – odrzekła, wstając z takim wdziękiem, na jaki tylko mogła się zdobyć.

Terrisanin poprowadził Vin w stronę stołu znajdującego się niedaleko jej własnego. Stół był zatłoczony, bo siedziało przy nim aż pięć pań. Vin natychmiast się domyśliła, która z nich jest lady Elariel. Była to posągowa kobieta o długich czarnych włosach. Na jej ramionach błyszczały

lawendowe bransolety dobrane do sukni. Gdy Vin podeszła, Shan Earlier spojrzała na nią obojętne.

W ciemnych oczach kryła się jednak inteligencja. Vin poczuła się nagle obnażona – odarta z pięknej sukni, znów zredukowana do pozycji ulicznego złodziejaszka.

– Panie, zostawcie nas same – rzekła Shan.

Kobiety natychmiast spełniły rozkaz i dostojnie, acz pospiesznie opuściły swoje miejsca.

Shan wzięła do ręki widelec i zaczęła starannie dzielić na kawałki i pochłaniać mały kawałek ciasta deserowego. Vin stała niepewnie. Terrisanin zajął pozycję za krzesłem Shan.

– Możesz usiąść – rzekła Shan.

Znów się czuję jak skaa, pomyślała Vin, siadając. Czy szlachta tak się traktuje między sobą?

– Jesteś na pozycji godnej pozazdroszczenia, dziecko – odezwała się Shan.

– To znaczy? – zapytała Vin.

– Mów do mnie lady Shan – odparła tamta nie zmieniając tonu. – Albo może: wasza miłość.

Shan czekała spokojnie, krojąc ciastko na małe kawałki. Wreszcie Vin powtórzyła.

– To znaczy, wasza miłość?

– Ponieważ młody lord Venture uznał za stosowne wykorzystać cię do swoich gierek. Oznacza to, że masz okazję zostać wykorzystana również przeze mnie.

Vin zmarszczyła brwi. Pamiętaj, by nie wypaść z roli. Jesteś nieśmiałą Valette i łatwo cię zbić z tropu.

– Czy nie lepiej byłoby nie dać się wykorzystać nikomu, wasza miłość? – zapytała ostrożnie.

– Nonsens – odparła Shan. – Nawet tak niewychowana idiotka jak ty musi widzieć zalety wykorzystywania przez lepszych od siebie. – Shan wypowiedziała te słowa, a wraz z nimi obelgę, bez żadnej gwałtowności. Widocznie uważała za oczywiste, że Vin się z tym zgodzi.

Vin siedziała oniemiała. Żaden szlachcic nigdy jej tak nie potraktował. Oczywiście, jedynym członkiem Wielkich Rodów, jakiego do tej pory poznała, był Elend.

– Z twojego tępego spojrzenia wnoszę, że akceptujesz swoje miejsce – zauważyła Shan. – Spraw się dobrze, dziecko, a może pozwolę ci dołączyć do mojej świty. Możesz wiele się nauczyć od pań w Luthadelu.

– Na przykład? – zapytała Vin, starając się, by do jej głosu nie przesączyła się irytacja.

– Spójrz czasem na siebie, dziecko. Włosy takie, jakbyś przeszła jakąś straszną chorobę, chuda tak, że suknia wisi na tobie. Bycie damą w Luthadelu wymaga... doskonałości. Nie tego – dodała, niedbale machając ręką w jej stronę.

Vin się zaczerwieniła. W wyniosłym zachowaniu tej kobiety była jakaś wielka siła. Vin stwierdziła ze zdumieniem, że Shan przypomina jej niektórych przywódców szajek – ostatnim był Camon – ludzi, którzy są gotowi uderzyć i nie spodziewają się oporu. Wszyscy wiedzą, że stawianie oporu takim ludziom sprowadza jedynie większą chłostę.

– Czego pani chce ode mnie? – zapytała.

Shan uniosła brew i odłożyła widelczyk, pozostawiając niedojedzone ciastko. Terrisanin natychmiast zabrał talerzyk i odszedł.

– Jesteś naprawdę taka tępa czy udajesz? – zapytała Shan.

Vin się zawahała.

– Czego wasza miłość chce ode mnie?

– W końcu ci powiem, oczywiście, o ile lord Venture uzna za stosowne dalej z tobą igrać. – Kiedy wymawiała nazwisko Elenda, Vin zauważyła w jej oczach cień nienawiści.

– Na razie – ciągnęła – powiesz mi, o czym z nim dzisiaj wieczorem rozmawiałaś.

Vin otwarła usta, by odpowiedzieć. Ale... coś było nie tak. Przechwyciła jedynie najdelikatniejszy z przebłysków. Bez szkolenia Breeze’a nigdy by tego nie zauważyła.

Uspokajaczka? Interesujące.

Shan próbowała skłonić Vin do posłuszeństwa. A może do mówienia? Vin zaczęła relacjonować jej rozmowę z Elendem, pomijając wszystko, co mogłoby być interesujące. Wciąż jednak coś jej nie pasowało... coś w sposobie, w jaki Shan igrała z jej uczuciami. Kątem oka ujrzała, jak Terrisanin Shan wraca z kuchni. Nie podszedł wszakże do stołu swej pani, lecz oddalił się w innym kierunku.

W stronę stolika Vin. Przystanął przed nim i zaczął przeglądać leżące na nim książki Elenda.

Nie wiem, czego szuka, ale nie dostanie tego.

Wstała nagle, wreszcie prowokując Shan do jakiejś otwartej reakcji. Kobieta spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Przypomniałam sobie właśnie, że mój Terrisanin będzie mnie szukał przy moim stole – oznajmiła. – Zacznie się martwić, kiedy mnie tam nie znajdzie!

– Och, na miłość Ostatniego Imperatora – wycedziła Shan. – Dziecko, nie musisz...

– Wybacz, wasza miłość – odparła Vin. – Muszę się oddalić.

Było to nieco ostentacyjne, ale nie potrafiła lepiej rozwiązać tej sytuacji. Dygnęła i oddaliła się od stolika Shan, pozostawiając przy nim niezadowoloną damę. Terrisanin był bystry – zanim Vin odeszła na kilka kroków od stolika Shan, on już ją zauważył i ruszył dalej, jakby nic się nie stało.

Vin dotarła do swojego miejsca, zastanawiając się, czy popełniła gafę, pozostawiając Shan tak bezceremonialnie. Jednakże zaczynała być już zbyt znużona, by się tym martwić. Zauważyła kolejną grupę młodzieńców, którzy odprowadzali ją wzrokiem i na wszelki wypadek szybko usiadła, otwierając jedną z książek Elenda.

Na szczęście tym razem wybieg odniósł pożądany skutek. Młodzieńcy odeszli powoli, pozostawiając ją w spokoju. Wyprostowała się i odetchnęła lekko, ale wciąż nie zamykała księgi. Robiło się coraz później i sala balowa zaczęła powoli pustoszeć.

Książki, pomyślała Vin, marszcząc brwi. Pociągnęła łyk soku z kubka. Czego ten Terrisanin w nich szukał?

Rozejrzała się po stoliku, żeby sprawdzić, czy coś nie zginęło, ale Elend zostawił książki w takim nieładzie, że trudno było cokolwiek powiedzieć. Zauważyła jednak małą książeczkę leżącą pod innym tomem. Większość ksiąg była pootwierana na konkretnych stronach i Vin widziała, jak Elend do nich zagląda. Ta jedna pozostawała zawsze zamknięta. Była tu przez cały czas – Vin rozpoznawała ją, ponieważ tomik był o wiele cieńszy od pozostałych – więc to nie Terrisanin ją zostawił.

Zaciekawiona, sięgnęła i wysunęła książeczkę spod leżącego na niej tomu. Była oprawiona w czarną skórę, a na grzbiecie widniał napis

„Prawidłowości pogodowe w Północnym Dominium”. Zmarszczyła brwi, obracając książkę w dłoniach. Nie było na niej nazwiska autora ani nie miała strony tytułowej. Tekst zaczynał się od pierwszej stronicy.

„Kiedy przyglądamy się Ostatniemu Imperium jako całości, jeden fakt nie ulega najmniejszej wątpliwości. Jak na kraj rządzony przez samozwańcze bóstwo, imperium doświadczyło już przerażającej liczby kolosalnych błędów władzy. Większość z powodzeniem udało się zatuszować i można je znaleźć jedynie w metalmyślach Feruchemików lub na stronicach zakazanych tekstów. Jednakże wystarczy jedynie spojrzeć w niedawną przeszłość, aby stwierdzić takie błędy, jak Masakra w Devanex, zmiana doktryny o Głębi i przeniesienie ludu Renates.

Ostatni Imperator się nie starzeje. To przynajmniej jest fakt niezaprzeczalny. Tekst niniejszy jednak ma na celu udowodnienie, że nie jest nieomylny. W okresie przed Wstąpieniem ludzkość przeżywała chaos i niepewność, spowodowane nieustannym korowodem królów, imperatorów i innych monarchów. Można by pomyśleć, że dzisiaj, pod jednym nieśmiertelnym władcą, społeczeństwo wreszcie dozna okresu stabilności i oświecenia. Niestety, brak obu tych atrybutów w Ostatnim Imperium jest największym niedopatrzeniem Ostatniego Imperatora”.

Vin wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w stronicę. Niektóre słowa były jej całkowicie obce, ale potrafiła wyłowić myśl autora. Mówił, że...

Szybko zamknęła książkę i pospiesznie umieściła tam, skąd ją wzięła. Co by się stało, gdyby obligatorzy odkryli, że Elend jest w posiadaniu takiego tekstu? Rozejrzała się dyskretnie. Byli tu, oczywiście, wmieszani w tłum jak i na poprzednim balu, wyróżniając się szarymi szatami i wytatuowanymi twarzami. Wielu siedziało przy stołach ze szlachtą. Przyjaciele? Czy szpiedzy Ostatniego Imperatora? Nikt nie czuł się swobodnie w pobliżu Ostatniego Imperatora.

Co Elend robi tutaj z taką książką? Taki potężny szlachcic? Dlaczego czytuje teksty, które szkalują Ostatniego Imperatora?

Czyjaś dłoń spoczęła na jej ramieniu i Vin odruchowo obróciła się, rozjarzając jednocześnie ołów z cyną i miedź.

– Ojej! – zawołał Elend, odskakując i unosząc ręce. – Czy ktoś ci już powiedział, że jesteś okropnie nerwowa, Valette?

Vin odetchnęła, usiadła i wygasiła metale. Elend również usiadł.

– Podoba ci się Heberen?

Zmarszczyła brwi, a on ruchem głowy wskazał na większą, grubą księgę, która wciąż leżała przed nią.

– Nie – odparła. – Jest nudna, ale udawałam, że czytam, żeby ci młodzi panowie zostawili mnie na chwilę w spokoju.

Elend zachichotał.

– Zdaje się, że twoja przebiegłość zwróciła się przeciwko tobie.

Vin uniosła brew, kiedy Elend zaczął zbierać książki, układając je w stosik na stole. Wydawało się, że nie zauważył, że dotykała książki „o pogodzie", ale starannie wsunął ją w sam środek stosu.

Odwróciła wzrok. Prawdopodobnie nie powinnam mu mówić o Shan, przynajmniej dopóki nie porozmawiam z Sazedem.

– Myślę, że moja przebiegłość spełniła swe zadanie – odparła. – Przecież przyszłam na bal po to, by tańczyć.

– Moim zdaniem taniec jest przeceniany.

– Przecież nie możesz przez cały czas się wywyższać ponad dwór, lordzie Venture. Jesteś dziedzicem bardzo ważnego rodu.

Westchnął, przeciągnął się i rozparł na krześle.

– Chyba masz rację – rzekł z zaskakującą szczerością. – Ale im dłużej się izoluję, tym bardziej wściekły jest mój ojciec. To samo z siebie stanowi szczytny cel.

– Ale nie tylko jego krzywdzisz – zauważyła. – Co powiesz o dziewczynach, których nigdy nie zaprosiłeś do tańca, bo ciągle siedzisz z nosem w książkach?

– O ile dobrze sobie przypominam – zauważył Elend, układając ostatnią książkę na szczycie stosu – ktoś właśnie udawał, że czyta, by uniknąć tańca. Myślę, że panie bez trudu znajdą sobie milszych partnerów niż ja.

Vin uniosła brew.

– Nie miałam problemów, ponieważ jestem nowa i niskiego pochodzenia. Podejrzewam, że damy bliższe ci urodzeniem niełatwo znajdują partnerów, przyjaznych lub nie. O ile dobrze zrozumiałam, panowie niechętnie tańczą z damami lepiej urodzonymi od nich samych.

Elend znieruchomiał, wyraźnie szukając odpowiedniej riposty.

Vin się pochyliła.

– O co chodzi, Elendzie Venture? Dlaczego tak starannie unikasz wypełniania swoich obowiązków?

– Obowiązków? – zapytał Elend. – Valette, to nie są żadne obowiązki. Ten bal... to tylko puch marny i rozrywka. Strata czasu.

– A kobiety? – odparowała. – Czy one też są stratą czasu?

– Kobiety? – powtórzył. – Kobiety są jak burza. Są piękne, gdy się na nie patrzy, czasem jest też miło ich posłuchać, ale przez większość czasu są po prostu niewygodne.

Vin zaniemówiła.

Nagle dostrzegła w jego oczach iskierkę humoru i uśmiech błąkający się w kącikach ust. Poczuła, że sama też się uśmiecha.

– Mówisz to wszystko tylko po to, żeby mnie sprowokować!

Uśmiechnął się szeroko.

– Przecież taki właśnie jestem czarujący. – Wstał i spojrzał na nią z sympatią. – Ach, Valette, nie pozwól im się zmusić, abyś zaczęła traktować się zbyt poważnie. Nie warto. Ale teraz muszę się z tobą pożegnać. Postaraj się w przyszłości pojawiać na balach częściej niż raz na kilka miesięcy.

– Pomyślę o tym.

– Proszę – odparł Elend. Pochylił się i chwycił naręcze książek ze stołu. Zachwiał się lekko, ale zaraz wyprostował. Spojrzał w bok.

– Kto wie, może kiedyś naprawdę ze mną zatańczysz.

Uśmiechnęła się i pożegnała go lekkim skłonieniem głowy. Szlachcic odwrócił się i oddalił, idąc po obwodzie drugiego poziomu sali. Wkrótce podeszło do niego dwóch młodych ludzi. Vin z zainteresowaniem przyglądała się, jak jeden poklepał przyjacielsko Elenda po ramieniu, po czym wziął od niego część książek. Cała trójka poszła dalej, rozmawiając ze sobą.

Vin nie rozpoznała nowo przybyłych. Siedziała w zadumie, aż wreszcie z bocznego holu wychynął Sazed. Ochoczo skinęła na niego ręką. Podszedł pospiesznie.

– Kim są ci ludzie z lordem Venture? – zapytała, wskazując na Elenda.

Sazed zmrużył oczy ponad okularami.

– Ależ... jeden to lord Jastes Lekal. Drugi to Hasting, choć nie wiem, jak ma na imię.

– Wydajesz się zaskoczony.

– Rody Lekal i Hasting są politycznymi rywalami Rodu Venture, panienko. Szlachta często odwiedza się na niewielkich spotkaniach po balu,

zawiązując sojusze... – Terrisanin umilkł, spoglądając na nią. – Myślę, że mistrz Kelsier chciałby o tym usłyszeć. Czas wracać.

– Zgadzam się – odparła Vin, wstając. – Moje stopy też. Idziemy.

Sazed skinął głową i oboje skierowali się do drzwi frontowych.

– Czemu nie było cię tak długo? – zapytała, kiedy czekali, aż służba przyniesie jej szal.

– Wracałem kilka razy, panienko – odparł Sazed. – Ale zawsze tańczyłaś. Dlatego zdecydowałem, że bardziej użyteczna będzie rozmowa ze służbą aniżeli stanie obok pustego stołu.

Vin skinęła głową, przyjmując szal, po czym wyszła przed wrota i zeszła po pokrytych kobiercem schodach. Sazed podążał za nią. Vin przyspieszyła kroku – chciała czym prędzej wrócić i wymienić Kelsierowi nazwiska, które zapamiętała, nim zapomni całą listę. Zatrzymała się na podeście, czekając, aż służba sprowadzi powóz, kiedy nagle jej uwagę zwróciło coś dziwnego. Niedaleko, we mgle, coś się działo. Chciała podejść bliżej, ale Sazed położył jej dłoń na ramieniu i zatrzymał ją. Dama nie chodzi sama we mgle.

Sięgnęła do miedzi i cyny, i czekała. Wszystko stało się jasne, kiedy z mgły wyłonił się strażnik, ciągnąc za sobą mały, miotający się kształt: był to chłopiec skaa w brudnym odzieniu i o twarzy umorusanej sadzą. Żołnierz obszedł Vin szerokim łukiem, po czym podszedł do jednego z kapitanów straży. Vin zapaliła cynę, żeby usłyszeć jego słowa.

– Kuchcik – rzekł cicho żołnierz. – Próbował żebrać, kiedy jeden z gości zatrzymał powóz przed bramą, czekając na jej otwarcie.

Kapitan skinął głową. Żołnierz pociągnął swoją ofiarę z powrotem w mgłę, kierując się ku dalszej części dziedzińca. Chłopak się szarpał, a żołnierz burczał gniewnie, trzymając go mocno. Vin obserwowała, jak odchodzą. Na ramieniu cały czas czuła rękę Sazeda, jakby chciał ją powstrzymać. Oczywiście, nie mogą pomóc chłopcu. Nie powinien...

We mgle, poza zasięgiem wzroku zwykłych ludzi, żołnierz wyciągnął sztylet i poderżnął chłopcu gardło. Vin podskoczyła, wstrząśnięta, słysząc, jak szamotanina powoli ustaje. Strażnik upuścił ciało, potem złapał je za nogę i zaczął odciągać.

Vin stała przerażona, dopóki nie zajechał powóz.

– Panienko – ponaglił ją Sazed, ale ona dalej stała jak wryta.

Zabili go, myślała. Tu, o kilka kroków od miejsca, gdzie arystokraci czekają na swoje powozy. Jakby... śmierć nie była niczym niezwykłym. Jeszcze jeden zarżnięty skaa. Jak zwierzę.

Nie, nie jak zwierzę. Nikt nie zarzyna świń na dziedzińcu twierdzy. Postawa strażnika, kiedy mordował chłopca, sugerowała, że miał po prostu dość szarpaniny i nie chciało mu się szukać stosowniejszego miejsca. Jeśli nawet ktokolwiek z gości poza Vin zauważył zdarzenie, nie zwracali na nie uwagi, spokojnie kontynuując rozmowy. Wydawali się nawet nieco bardziej ożywieni, kiedy krzyki ucichły.

– Panienko – powtórzył Sazed i pchnął ją lekko.

Pozwoliła się zaprowadzić do powozu, wciąż zamyślona. Wydawało jej się to ogromnym kontrastem. Sympatyczni arystokraci, roztańczeni w sali lśniącej od świateł i klejnotów. Śmierć na dziedzińcu. Czy ich to w ogóle obeszło? Czy wiedzieli?

Oto Ostatnie Imperium, Vin, powiedziała do siebie w duchu, kiedy powóz ruszał z wolna. Nie zapominaj o popiele tylko dlatego, że nosisz jedwabie. Gdyby ci ludzie wiedzieli, że jesteś skaa, zarżnęliby cię równie łatwo, jak chłopaka.

Była to bardzo trzeźwiąca myśl i zaabsorbowała Vin na całą dalszą drogę do Fellise.

Kwaan i ja spotkaliśmy się przypadkiem, choć, jak sądzę, on powiedziałby, że to opatrzność.

Od tamtej pory spotkałem wielu terrisańskich filozofów. Wszyscy oni, co do jednego, byli ludźmi wielkiej mądrości i uważnego rozumu. Byli to ludzie o niemal namacalnej charyzmie.

Kwaan nie. W pewnym sensie jest równie nieprawdopodobnym prorokiem, jak ja bohaterem. Nigdy nie przybierał miny pełnej ceremonialnej mądrości, a nawet nie uczył się religii. Kiedy się spotkaliśmy, właśnie zajmował się jednym ze swoich dziwacznych projektów w ogromnej bibliotece Khlenni. Chyba próbował ustalić, czy drzewa umieją myśleć, czy nie.

To, że właśnie on ostatecznie odkrył wielkiego Bohatera z proroctwa Terris, w pewnym sensie mogłoby nawet budzić śmiech, gdyby wydarzenia potoczyły się nieco inaczej.

19

Kelsier czuł pulsującego we mgle drugiego Allomantę. Wibracje spływały po nim jak rytmiczne fale omywające spokojny brzeg. Były słabe, ale nieomylne.

Przykucnął na szczycie niskiego muru ogrodowego, wsłuchując się w drgania. Kłębiące się białe mgły spokojnie i beznamiętnie przelewały się z miejsca na miejsce – obojętne, jeśli nie liczyć tych najbliżej jego ciała, które jak zwykle zwijały się w allomantyczne prądy wokół jego członków.

Zmrużył oczy, spoglądając w mrok. Rozjarzył cynę w poszukiwaniu drugiego Allomanty. Wydało mu się, że widzi sylwetkę przycupniętą na murze po drugiej stronie, ale nie mógł być tego pewien. Rozpoznawał jednak allomantyczne wibracje. Każdy metal, kiedy się go spalało, emitował wyraźny sygnał, rozpoznawalny dla wszystkich, którzy mieli wprawę w używaniu brązu. Człowiek po drugiej stronie spalał cynę, podobnie jak czwórka pozostałych, których Kelsier wyczuwał ukrytych w różnych miejscach wokół Twierdzy Tekiel. Pięciu Cynookich tworzyło straż, obserwującą noc i czekając na intruzów.

Kelsier się uśmiechnął. Wielkie Rody zaczynały się denerwować. Utrzymywanie pięciu Cynookich na straży nie jest zbyt ciężkie dla rodu takiego jak Tekiel, ale szlachetnie urodzeni Allomanci uważaliby za ujmę, gdyby zmuszano ich do roli zwykłych strażników. A jeśli straż trzymało aż pięciu Cynookich, istniała szansa, że Zbiry, Monetostrzelni i Skoczkowie też są pod ręką. Luthadel czuwało, czekając na alarm.

Wielkie Rody nabrały takiej czujności, że Kelsier miał problemy ze znalezieniem luk w ich szańcach. Był sam, a nawet Zrodzony z Mgły ma swoje ograniczenia. Do tej pory odnosił sukcesy głównie dzięki działaniu z zaskoczenia. Jednak przy pięciu Cynookich na straży Kelsier nie będzie w stanie podejść do twierdzy, nie narażając się na wykrycie.

Na szczęście Kelsier nie musiał akurat tej nocy testować obrony Tekiela. Zamiast tego popełzł wzdłuż muru ku zewnętrznym terenom. Zatrzymał się w okolicy studni ogrodowej i – paląc brąz, by się upewnić, że w pobliżu nie ma żadnych Allomantów – sięgnął do gęstego klombu krzewów, żeby wyjąć z nich wielką torbę. Była dość ciężka i musiał zapalić cynę z ołowiem. Dopiero wtedy mógł ją podnieść i zarzucić na ramię. Zatrzymał się na chwilę w ciemności, wsłuchując się w odgłosy we mgle, po czym pociągnął worek w stronę twierdzy.

Zatrzymał się obok wielkiej, pomalowanej na biało werandy ogrodowej, która znajdowała się obok niewielkiego oczka wodnego. Tu zsunął worek z ramienia i wyrzucił na ziemię jego zawartość – ciało niedawno zabitego człowieka.

Ciało – należące do niejakiego lorda Charrsa Entrone – potoczyło się po ziemi i zatrzymało twarzą w dół. Na jego plecach lśniły dwie rany po sztyletach. Kelsier zasadził się na pijanego lorda na ulicy tuż za slumsami skaa, po czym uwolnił od niego świat. Nikt nie będzie za nim tęsknił, lord Entrone bowiem znany był ze swego zboczonego gustu w zażywaniu rozrywki. Uwielbiał na przykład krwawe pojedynki skaa i tak właśnie spędził dzisiejszy wieczór.

Entrone nie przypadkiem był głównym politycznym sojusznikiem Rodu Tekiel. Kelsier pozostawił ciało w kałuży krwi. Ogrodnicy znajdą go jako pierwsi – a kiedy służba dowie się o zabójstwie, żadna siła szlacheckiego uporu nie zatrzyma go w tajemnicy. Morderstwo wywoła skandal, a pierwsze podejrzenie padnie na Ród Izenry, rywala Rodu Tekiel. Jednakże podejrzanie nieoczekiwana śmierć Entrone’a może sprawić, że Ród Tekiel stanie się ostrożniejszy. Jeśli zaczną węszyć, dowiedzą się, że przeciwnikiem Entrone’a w zakładach tej właśnie nocy był Crews Geffenry – człowiek, którego ród namawiał Tekielów do silniejszego sojuszu. Crews był uznanym Zrodzonym i bardzo sprawnym nożownikiem.

I tak zacznie się intryga. Czy to Ród Izenry popełnił morderstwo? A może ta śmierć była próbą wprowadzenia Rodu Tekiel w stan wyższej gotowości przez Ród Geffenry, tym samym zachęcając tych pierwszych do nawiązywania sojuszy z pomniejszą szlachtą? Albo – o ile istniała trzecia odpowiedź – czy mógł to być ród, który chciał wzmocnić rywalizację pomiędzy Tekiel a Izenry?

Kelsier zeskoczył z muru ogrodu, drapiąc się po brodzie. W sumie nie obchodziło go, kogo Ród Tekiel uzna za winnego, prawdziwym celem Kelsiera było wywołanie u nich niepewności i troski, by siać nieporozumienie i nieufność. Chaos był jego najsilniejszym sprzymierzeńcem w rozpętaniu wojny rodów. Kiedy ta wojna wreszcie nadejdzie, każdy zabity w niej szlachcic będzie jednym mniej przeciwnikiem rebelii skaa.

Skoro tylko Kelsier znalazł się w pobliżu twierdzy Tekiel, rzucił monetę i ruszył na dach. Od czasu do czasu zastanawiał się, co myślą ludzie,

słysząc nad głowami jego kroki. Czy wiedzieli, że dla Zrodzonych z Mgły ich domy były wygodną drogą, miejscem gdzie mogą się poruszać bez obawy, że zaczepią ich strażnicy lub złodzieje? A może ludzie przypisywali te odgłosy wiecznie wszystkiemu winnym mgielnym upiorom?

Prawdopodobnie nawet tego nie zauważają. Niektórzy ludzie szybko zasypiają, kiedy wychodzą mgły. Wylądował na spiczastym dachu, wyjął ze szczeliny w murze zegarek, żeby sprawdzić godzinę, po czym schował go z powrotem – a wraz z nim niebezpieczny metal, z którego został wykonany. Wielu szlachciców obnosiło się z metalami nieostrożnie – cóż za głupia brawura. Lecz zwyczaj ten został wzięty wprost od Ostatniego Imperatora. Kelsier jednak nie chciał nosić metalu – zegarka, pierścienia ani bransoletki – jeśli nie musiał.

Znów wystrzelił w powietrze, kierując się w stronę Sootwarrens, slumsów skaa w północnej części miasta. Luthadel był ogromnym, szeroko rozpościerającym się miastem, co kilka dziesięcioleci dodawano nowe dzielnice, a mury miejskie wydłużano kosztem potu i wysiłku skaa. Wraz z przyjściem nowej ery kanałów kamień był coraz łatwiejszy do przemieszczania i dość tani.

Zastanawiam się, po co on w ogóle zawraca sobie głowę murem, myślał Kelsier, wędrując po dachach równolegle do masywnej konstrukcji. Kto go zaatakuje? Ostatni Imperator kontroluje wszystko. Nawet zachodnie wyspy już nie stawiają oporu.

W Ostatnim Imperium od wielu stuleci nie było prawdziwej wojny. Okazjonalne „rebelie” składały się z kilku tysięcy ludzi ukrywających się wśród wzgórz lub w jaskiniach i wychodzących czasem na łów. Nawet rebelia Yedena nie opierała się na sile – liczyli raczej na to, że wejście otworzy im chaos wojny domowej połączony ze strategicznym wyprowadzeniem Garnizonu Luthadel. Gdyby jednak przyszło do przedłużającej się kampanii, Kelsier przegra. Ostatni Imperator i Stalowy Zakon w razie potrzeby będą w stanie poprowadzić do walki dosłownie miliony wojsk.

Oczywiście, istniał również jego drugi plan. Kelsier nie mówił o nim, ledwie śmiał brać go pod rozwagę. Przypuszczalnie nie będzie miał nawet okazji go wprowadzić w życie. Ale gdyby taka okazja się jednak nadarzyła...

Zeskoczył na ziemię tuż przy Sootwarrens, po czym dokładnie otulił się mgielnym płaszczem i ruszył pewnym krokiem przez ulicę. Jego kontakt siedział w drzwiach zamkniętego sklepu, spokojnie pykając fajeczkę. Kelsier uniósł brew – tytoń uważano za kosztowny luksus. Hoid był albo marnotrawcą, albo powodziło mu się tak, jak twierdził Dockson.

Hoid odłożył fajkę i wstał. Niski, łysy człowieczek skłonił się głęboko w mglistą noc.

– Witam, mój panie.

Kelsier zatrzymał się przed nim, starannie skrywając ramiona pod mgielnym płaszczem. Nie chciał, aby uliczny informator rozpoznał w niezidentyfikowanym „szlachcicu”, z którym się spotkał, człowieka naznaczonego bliznami Hathsin na ramionach.

– Bardzo cię chwalą – rzekł Kelsier, naśladując wyniosły ton szlachcica.

– Jestem jednym z najlepszych, mój panie.

Każdy, kto żyje tak długo jak ty, musi być dobry, pomyślał Kelsier. Lordom nie podobało się, kiedy postronni ludzie znali ich sekrety. Informatorzy zwykle nie żyli długo.

– Muszę coś wiedzieć, informatorze – rzekł Kelsier. – Ale najpierw przysięgnij, że nikomu nie powiesz o tym spotkaniu.

– Oczywiście, mój panie – odparł Hoid. Z pewnością złamie tę obietnicę, zanim skończy się noc; kolejny powód, dla którego informatorzy nie żyli długo. – Jest jednak kwestia zapłaty...

– Będziesz miał swoje pieniądze, skaa – warknął Kelsier.

– Oczywiście, panie. – Hoid szybko skinął głową. – Chciałeś wiadomości dotyczących Rodu Renoux, jak sądzę...

– Tak. Co o nim wiadomo? Z którymi rodami się zadaje? Muszę to wiedzieć.

– Niewiele jest do powiedzenia, mój panie – odparł Hoid. – Lord Renoux przebywa w tej okolicy od niedawna i jest niezmiernie ostrożnym człowiekiem. Nie zawiera sojuszy i nie ma w tej chwili wrogów. Kupuje teraz wiele różnych rodzajów broni i zbroi, ale zapewne po prostu skupuje je od różnych rodów i handlarzy, tym samym zaskarbiając sobie ich wdzięczność. Mądra taktyka. Będzie miał za dużo towaru, ale też i za dużo przyjaciół.

Kelsier prychnął.

– Nie wiem, dlaczego miałbym za to płacić.

– Będzie miał za dużo towaru, panie – powtórzył Hoid. – Możesz nieźle zarobić, wiedząc, że Renoux dostarcza ze stratą.

– Nie jestem kupcem, skaa – odparł Kelsier. – Nie obchodzą mnie zyski i dostawy!

Niech to przegryzie. Teraz myśli, że pochodzę z Wielkich Rodów. Jeśli się tego nie domyślał z powodu płaszcza, nie jest wart swojej reputacji.

– Oczywiście, mój panie – odparł szybko Hoid. – Jest jeszcze coś.

No właśnie, zobaczmy co. Czy ulica wie, że Ród Renoux wiąże się z pogłoskami o rebelii? Jeśli ktokolwiek odkrył tę tajemnicę, Kelsier i jego grupa znaleźliby się w poważnych kłopotach.

Hoid zakasłał cicho i wyciągnął rękę.

– Nieznośny człeku! – warknął Kelsier i rzucił mu pod nogi sakiewkę.

– Tak, mój panie – odparł Hoid, padając na kolana i macając wokół ręką. – Wybacz, milordzie. Mam słaby wzrok. Ledwie widzę własne palce przed oczami.

Sprytnie, pomyślał Kelsier, czekając, aż Hoid znajdzie sakiewkę i schowa ją do kieszeni. Oczywiście kłamał, mówiąc o swoim słabym wzroku – nikt w podziemiu nie zaszedłby tak daleko, gdyby go dotknęło takie kalectwo. Jednakże szlachcic, który uważa, że jego informator jest na pół ślepy, będzie znacznie mniej paranoicznie obawiał się identyfikacji. Kelsier nie obawiał się tego – włożył na siebie jedno z najlepszych przebrań Docksona. Oprócz brody miał sztuczny, ale bardzo realistyczny nos, platformy pod butami i makijaż, żeby rozjaśnić skórę.

– Mówiłeś, że jest coś więcej – rzekł. – Skaa, przysięgam, jeśli to nie coś ważnego...

– To ważne – szybko odparł Hoid. – Lord Renoux rozważa związek swej siostrzenicy, lady Valette i lorda Elenda Venture.

Kelsier się zawahał. Tego się nie spodziewał.

– To głupie. Venture stoi o wiele wyżej niż Renoux.

– Oboje młodzi byli widziani razem pogrążeni w rozmowie, już miesiąc temu na balu Venture.

Kelsier zaśmiał się wzgardliwie.

– Wszyscy o tym mówią. To nic nie znaczy.

– Nie? – zapytał Hoid. – Czy wszyscy wiedzą, że lord Elend Venture bardzo pochlebnie wyraża się o dziewczynie do swych przyjaciół, to znaczy

tej grupy młodych paniczyków – filozofów, siedzących pod Złamanym Piórem?

– Młodzi ludzie często mówią o dziewczynach – odparł Kelsier. – To nic nie znaczy. Oddawaj pieniądze.

– Czekaj! – zawołał Hoid, po raz pierwszy z przerażeniem w głosie. – Jest coś więcej. Lord Renoux i lord Venture mają potajemne konszachty.

Co?

– To prawda – ciągnął Hoid. – Świeżutka nowina. Sam usłyszałem ją jakąś godzinę temu. Istnieje powiązanie pomiędzy Renoux a Venture. Lord Renoux poprosił Elenda Venture, by ten czuwał nad lady Valette w czasie balu. – Zniżył głos. – Mówi się nawet, że lord Renoux ma jakiś... haczyk na ród Venture.

Co się stało dzisiaj na balu? – zastanawiał się Kelsier.

– To wszystko brzmi bardzo nieprawdopodobnie, skaa – rzekł po chwili. – Masz coś więcej niż tylko bezsensowne spekulacje?

– Nie na temat rodu Renoux, mój panie – rzekł Hoid. – Próbowałem, ale nie musisz się martwić o ten ród! Powinieneś zająć się rodem bliższym polityce, jak na przykład Elariel...

Kelsier zmarszczył brwi. Wspominając o rodzie Elariel, Hoid sygnalizował, że ma jakąś ważną informację, która będzie warta zapłaty. Można było sądzić, że sekrety rodu Renoux są na razie bezpieczne, i przejść do dyskutowania na inne tematy, żeby Hoid nie nabrał podejrzeń, widząc zainteresowanie Kelsiera jednym rodem.

– Doskonale – odparł Kelsier. – Ale jeśli i to nie będzie warte mego czasu...

– Jest, panie. Lady Shan Elariel jest Uspokajaczem.

– Dowód?

– Poczułem jej dotknięcie na moich uczuciach – odparł Hoid. – W czasie pożaru w Twierdzy Elariel tydzień temu Uspokajała w ten sposób służbę.

To Kelsier wzniecił pożar, który, niestety, nie rozprzestrzenił się poza strażnice.

– Co jeszcze?

– Ród Elariel niedawno udzielił jej zezwolenia, by częściej używała swej mocy na dworskich przyjęciach – rzekł Hoid. – Obawiają się wojny domowej i chcą, żeby nawiązała jak najwięcej sojuszy. Zawsze ma przy sobie w prawej rękawiczce cienką kopertę z wiórami mosiądzu. Podpuść do

niej na balu Poszukiwacza, a sam zobaczysz. Mój panie, ja nie kłamię! Całe moje życie jako informatora zależy od mojej reputacji. Shan Elariel jest Uspokajaczem.

Kelsier zamilkł, jakby się zastanawiał. Była to informacja bezużyteczna dla niego, ale jego prawdziwy cel – sprawdzenie wiedzy na temat rodu Renoux – został już osiągnięty. Hoid zarobił swoje pieniądze, czy zdawał sobie z tego sprawę, czy nie.

Kelsier się uśmiechnął. A teraz zasiejemy nieco chaosu.

– A co z ukrytym związkiem Shan z Salmenem Tekielem? – zapytał. – Myślisz, że wykorzystała swoje umiejętności, aby sobie zaskarbić jego względy?

– O, z całą pewnością, mój panie – odparł szybko Hoid. Kelsier widział w jego oczach błysk podniecenia. Najwyraźniej uznał, że właśnie Kelsier oddał mu całkiem za darmo smakowity kąsek politycznej plotki.

– Może to ona zabezpieczyła Elarielom ten układ z Rodem Hasting w zeszłym tygodniu – dodał obojętnie Kelsier. Oczywiście taki układ nie istniał.

– Prawdopodobnie, mój panie.

– Dobrze, skaa – odparł Kelsier. – Zapracowałeś na swoje monety. Może jeszcze kiedyś mi się przydasz.

– Dziękuję, mój panie – rzekł Hoid, kłaniając się nisko.

Kelsier rzucił mu monetę i wyskoczył w powietrze. Kiedy lądował na dachu, kątem oka zauważył, jak Hoid pędzi na czworakach, żeby podnieść monetę. Nie miał najmniejszego problemu z jej znalezieniem, pomimo „słabego wzroku”. Kelsier uśmiechnął się i ruszył przed siebie. Hoid nie wspomniał o spóźnieniu, ale następna osoba, z którą Kelsier miał się spotkać, zapewne nie będzie tak pobłażliwa.

Ruszył na wschód, ku Placowi Ahlstrom. Biegnąc, zerwał z siebie mgielny płaszcz, potem kamizelkę, odsłaniając ukrytą pod spodem podartą koszulę. Zeskoczył w uliczkę, porzucając płaszcz i kamizelkę, chwycił w dwie garście popiół z kąta. Wtarł ostre, czarne płatki w ramiona, maskując blizny, a potem rozsmarował na twarzy i fałszywej brodzie.

Mężczyzna, który kilka sekund później wyszedł z alejki, w niczym nie przypominał szlachcica, który spotkał się z Hoidem. Broda, niedawno jeszcze czysta, teraz sterczała jak skołtunione włosie. Kilka starannie wybranych kawałków usunięto, żeby wyglądała na przerzedzoną. Kelsier

kuśtykał, udając, że ma zranioną nogę, i zamachał do cienistej postaci, stojącej w pobliżu milczącej fontanny na placu.

– Panie?! – zawołał Kelsier chrapliwym głosem. – Czy to ty, panie?

Lord Straff Venture, głowa Rodu Venture, był imponującym mężczyzną, nawet jak na szlachcica. Kelsier dostrzegł dwóch gwardzistów, stojących z boku. Sam lord wydawał się niewzruszony otaczającą ich mgłą. Kelsier wiedział, że lord jest Cynookim. Venture ruszył stanowczym krokiem przed siebie, postukując laską o ziemię.

– Spóźniłeś się, skaa! – warknął.

– Mój panie, ja... ja czekałem w alejce, tak jak to było uzgodnione!

– Niczego podobnego nie uzgadnialiśmy!

– Przepraszam, panie – odrzekł Kelsier, kłaniając się i znów potykając z powodu „kulawej” nogi. – Przepraszam. Przepraszam. Stałem w alejce. Nie chciałem, żeby pan czekał!

– Nie widziałeś nas?

– Przykro mi, panie – odparł Kelsier. – Moje oczy... nie są za dobre. Ledwie widzę własne palce przed oczami.

Dzięki za podpowiedź, Hoid.

Venture prychnął, podał laskę gwardziście i wymierzył Kelsierowi siarczysty policzek.

– Następnym razem, jeśli będę musiał czekać, zrobię to laską – rzekł oschle.

A ja będę wiedział, dokąd pójść, jeśli zechcę komuś podrzucić trupa na skwerek, pomyślał Kelsier, dźwigając się na nogi.

– A teraz przejdźmy do rzeczy – zażądał Venture. – Co to za ważne wieści, jakie miałeś mi przekazać?

– Chodzi o Ród Erikell, mój panie – rzekł Kelsier. – Wiem, że wasza lordowska mość miał z nimi kontakt w przeszłości.

– I?

– Cóż, panie, chyba cię oszukują. Sprzedają swoje miecze i laski Rodowi Tekiel za połowę ceny, którą ty płacisz!

– Dowód?

– Spójrz tylko na nową broń Tekiela, mój panie – wymamrotał Kelsier. – Mówię szczerą prawdę. Nie mam nic oprócz mojej reputacji! Gdyby nie to, nie miałbym z czego żyć.

Nie kłamał. A przynajmniej nie do końca. Kelsierowi na nic było rozsiewanie plotek, które Venture mógłby łatwo potwierdzić lub zanegować. Część z tego, co mówił, była prawdą – Tekiel dawał Erikellowi pewne zniżki. Kelsier oczywiście przesadzał. Jeśli dobrze to rozegra, pomiędzy Rodami Erikell i Venture pojawi się rozdźwięk, a jednocześnie Venture będzie zazdrościł Tekielowi. Jeśli teraz Venture zgłosi się po broń do Renoux zamiast do Erikella... cóż, będzie to dodatkowa korzyść.

Straff Venture prychnął. Jego ród był potężny – niewiarygodnie potężny – i nie opierał tej potęgi i bogactwa na żadnym szczególnym przemyśle czy przedsięwzięciu. Taka pozycja w Ostatnim Imperium była bardzo trudna do osiągnięcia, biorąc pod uwagę podatki Ostatniego Imperatora i koszty atium. Czyniła również Venture'a potężnym narzędziem dla Kelsiera. Jeśli tylko zdoła nakarmić go właściwą mieszanką prawdy i kłamstw...

– To mi się wcale nie przyda – oznajmił Venture. – Pokaż mi, co naprawdę wiesz, informatorze. Opowiedz mi o Ocalałym z Hathsin.

Kelsier zamarł.

– Przepraszam, panie?

– Chcesz zapłaty? – zapytał Venture. – Opowiedz mi o Ocalałym. Krążą pogłoski, że wrócił do Luthadelu.

– To tylko pogłoski, panie – szybko odpowiedział Kelsier. – Nigdy nie spotkałem się z tym Ocalałym, ale wątpię, by był w Luthadelu. Wątpię nawet, czy żyje.

– Słyszałem, że zbiera rebelię skaa.

– Zawsze znajdzie się jakiś głupiec, który opowiada skaa o rebelii, panie – odparł Kelsier. – I zawsze znajdą się tacy, którzy robią to w imieniu Ocalałego. Ale ja nie wierzę, by jakikolwiek człowiek mógł przeżyć Czeluście. Mogę poszukać więcej informacji na jego temat, jeśli chcesz, ale obawiam się, że rozczarujesz się tym, co znajdę. Ocalały nie żyje... Ostatni Imperator... nie pozwala sobie na takie niedopatrzenia.

– To prawda – mruknął w zadumie Venture. – Ale skaa wydają się przekonani o prawdziwości plotek na temat „jedenastego metalu". Słyszałeś o tym, informatorze?

– O, tak – odparł Kelsier, ukrywając zdenerwowanie. – Legenda, panie.

– Nigdy o niej nie słyszałem – stwierdził Venture. – A ja zwracam na te sprawy baczną uwagę. To nie jest „legenda". Ktoś bardzo sprytnie manipuluje skaa.

– To... interesujący wniosek, mój panie – zauważył Kelsier.

– Istotnie – odrzekł Venture. – I jeśli przyjmiemy, że Ocalały w istocie zginął w Czeluściach, a ktoś dopadł jego ciało... kości... są sposoby, by przybrać czyjś wygląd. Wiesz, o czym mówię?

– Tak, mój panie – szepnął Kelsier.

– Zwróć na to uwagę – polecił Venture. – Niepotrzebne mi plotki. Przynieś mi coś o tym człowieku, czy co to tam jest, który prowadzi skaa. Wtedy dopiero otrzymasz zapłatę.

Odwrócił się, skinął ręką na swoich ludzi i odmaszerował w mrok, pozostawiając za sobą zadumanego Kelsiera.

***

Kelsier przybył do pałacu Renoux wkrótce potem. Korzystając z kolcotraktu pomiędzy Fellise i Luthadelem, przebywał tę drogę bardzo szybko. Nie on umieścił kolce – nawet nie wiedział, kto to zrobił. Zawsze się zastanawiał, co by się stało, gdyby natknął się na drugiego Zrodzonego podróżującego w przeciwnym kierunku.

Pewnie zignorowalibyśmy się wzajemnie, pomyślał, kiedy wylądował na dziedzińcu pałacu. Doskonale nam to wychodzi.

Spojrzał poprzez mgłę na oświetlony latarniami zamek. Odzyskany mgielny płaszcz lekko łopotał na wietrze. Pusty powóz wskazywał, że Vin i Sazed wrócili z Pałacu Elariel. Kelsier znalazł ich w środku, czekających w salonie i pogrążonych w cichej rozmowie z lordem Renoux.

– Wyglądasz inaczej – zauważyła Vin, kiedy Kelsier wszedł do salonu. Wciąż miała na sobie piękną, czerwoną sukienkę, choć siedziała wcale nie jak dama, z nogami podwiniętymi pod siebie.

Kelsier się uśmiechnął. Kilka tygodni temu zrzuciłaby tę suknię natychmiast po powrocie. Jeszcze zrobimy z niej damę.

Znalazł sobie miejsce i zaczął skubać sztuczną brodę pokrytą sadzą.

– Poważnie? Próbuję zachowywać choć minimum modnego wyglądu – rzekł.

Vin prychnęła.

– Może minimum żebrackiego modnego wyglądu.

– Jak minął wieczór? – zapytał lord Renoux.

Kelsier wzruszył ramionami.

– Jak każdy inny. Na szczęście wszystko wskazuje na to, że Ród Renoux pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami, choć część szlachty nagle zainteresowała się moją skromną osobą.

– Tobą? – zdziwił się Renoux.

Kelsier skinął głową. Służący przyniósł mu właśnie wilgotną, ciepłą ściereczkę do umycia twarzy i rąk – choć Kelsier nie przysiągłby, czy służbie bardziej chodziło o jego wygodę, czy o nieskazitelną czystość mebli. Wytarł ręce, odsłaniając białe, podłużne blizny, po czym zaczął odczepiać brodę.

– Zdaje się, że skaa ogólnie zainteresowali się Jedenastym Metalem – ciągnął. – Niektórzy arystokraci słyszą narastające plotki, a co inteligentniejsi zaczynają się martwić.

– A jaki ma to wpływ na nas? – zapytał Renoux.

Kelsier wzruszył ramionami.

– Zaczniemy rozprzestrzeniać sprzeczne plotki, żeby arystokracja skupiła się na sobie zamiast na mnie. Choć to zabawne, lord Venture właśnie mnie zachęcał, abym zbierał informacje o samym sobie! Człowiek może się naprawdę zagubić, odtwarzając rozmaite role. Nie wiem, jak ty to robisz, Renoux.

– Chodzi o to, kim jestem – odparł obojętnie kandra.

Kelsier znów wzruszył ramionami, spoglądając na Vin i Sazeda.

– Jak wam upłynął wieczór?

– Rozpaczliwie – mruknęła Vin.

– Panienka Vin jest nieco poirytowana – odrzekł Sazed. – Po drodze z Luthadelu opowiedziała mi o sekretach, jakie odkryła podczas tańca.

Kelsier zachichotał.

– Sazed wiedział już o wszystkim! – warknęła. – Spędziłam wiele godzin na kręceniu się w kółko i szczebiotaniu do partnerów, i to wszystko na nic!

– Raczej nie na nic, Vin – odrzekł Kelsier, zdejmując ostatnie kłaczki fałszywej brody. – Nawiązałaś kilka kontaktów, byłaś widziana, potrenowałaś trochę szczebiotanie. A co do informacji, cóż, na razie nikt nie powie ci niczego ważnego. Daj im trochę czasu.

– Ile?

– Teraz, kiedy czujesz się lepiej, będziesz mogła zacząć regularnie bywać na balach. Po kilku miesiącach nawiążesz na pewno dość kontaktów,

aby zacząć zbierać informacje.

Skinęła głową i westchnęła. Nie wydawała się już tak przeciwna regularnemu uczęszczaniu na bale jak kiedyś.

Sazed odchrząknął.

– Mistrzu Kelsier, myślę, że muszę o czymś wspomnieć. Lord Elend Venture był obecny przy naszym stoliku przez większość wieczoru, choć panienka Vin znalazła sposób, by uczynić jego awanse mniej groźne dla dworu.

– Tak – odrzekł Kelsier. – Tak też słyszałem. Co powiedziałaś tym ludziom, Vin? Że Renoux i Venture są przyjaciółmi?

Vin pobladła lekko.

– Skąd wiesz?

– Mam tajemną moc – odparł Kelsier, machając ręką. – W każdym razie wszyscy myślą teraz, że Rody Renoux i Venture prowadzą jakieś tajne interesy. Chyba sądzą, że Venture gromadzi broń.

Vin zmarszczyła brwi.

– Nie sądziłam, że to zajdzie aż tak daleko...

Kelsier skinął głową, zeskrobując klej z podbródka.

– Tak to jest na dworze, Vin. Sprawy błyskawicznie wymykają się spod kontroli. To jednak nie stanowi szczególnego problemu... choć oznacza, lordzie Renoux, że będziesz musiał bardzo ostrożnie postępować z rodem Venture. Chciałbym wiedzieć, jakie będą ich reakcje na słowa Vin.

Lord Renoux skinął głową.

– Zgoda.

Kelsier ziewnął.

– Jeśli nie macie do mnie żadnej innej sprawy, to granie szlachcica i żebraka w ciągu jednego wieczoru potwornie mnie zmęczyło...

– Jest jeszcze jedna sprawa, mistrzu Kelsier – wtrącił Sazed. – Pod koniec wieczoru panienka Vin widziała lorda Elenda Venture’a wychodzącego z balu w towarzystwie młodych lordów Rodów Lekal i Hasting.

Kelsier zatrzymał się, marszcząc brwi.

– Dziwna kombinacja.

– Też tak myślę – odparł Sazed.

– Chyba próbuje znów zdenerwować ojca – mruknął w zadumie Kelsier. – Publicznie zadawać się z wrogami?

– Możliwe – odrzekł Sazed. – Wydawało się wszelako, że są w niezłej komitywie.

Kelsier skinął głową i wstał.

– Sprawdź to dokładniej, Saze. Istnieje szansa, że lord Venture i jego syn robią z nas głupców.

– Dobrze, mistrzu Kelsier.

Kelsier wyszedł z pokoju, przeciągając się, i podał mgielny płaszcz służącemu. Kierując się w stronę wschodniej klatki schodowej, usłyszał za plecami szybkie kroki. Obejrzał się i zobaczył Vin, która biegła ku niemu po schodach, unosząc zręcznie rąbek lśniącej sukni.

– Kelsier – szepnęła. – Jest jeszcze coś. Chciałam o tym porozmawiać.

Kelsier uniósł brew. Coś, o czym nie chce powiedzieć nawet Sazedowi?

– W moim pokoju – rzekł.

Poszła za nim po schodach.

– O co chodzi? – zapytał, kiedy zamknęła za sobą drzwi.

– O lorda Elenda – odrzekła ze spuszczonym wzrokiem i lekko zakłopotaną miną. – Sazed już go nie lubi, więc nie chciałam wspominać o tym przy wszystkich, ale znalazłam dzisiaj coś dziwnego.

– Co? – zapytał z zainteresowaniem Kelsier, przysiadając na biurku.

– Elend miał ze sobą stos książek – wyjaśniła.

Używa imienia, pomyślał z dezaprobatą Kelsier. Zadurzyła się w chłopaku.

– Wiadomo, że dużo czyta – ciągnęła Vin. – Ale niektóre z tych książek... cóż, kiedy sobie poszedł, zaczęłam je przeglądać.

Mądra dziewczyna. Ulica obdarzyła ją przynajmniej paroma dobrymi odruchami.

– Jedna zwróciła moją uwagę – ciągnęła. – Tytuł mówił coś o pogodzie, ale słowa dotyczyły Ostatniego Imperium i jego wad.

Kelsier uniósł brew.

– A czego dokładnie?

Wzruszyła ramionami.

– To było coś o tym, że skoro Ostatni Imperator jest nieśmiertelny, jego imperium powinno być bardziej cywilizowane i pokojowe.

Kelsier się uśmiechnął.

– *Księga Przedświtu* – każdy Opiekun potrafi przytoczyć jej tekst w całości. Nie wiedziałem, że zostały jakieś egzemplarze. Jej autor –

Deluse Couvre – napisał kilka książek, które były jeszcze bardziej krytyczne. Choć nie bluźnił przeciwko Allomancji, obligatorzy zrobili dla niego wyjątek i nadziali go na hak.

– No cóż – odrzekła. – W każdym razie Elend ma egzemplarz. Sądzę, że tamta arystokratka próbowała znaleźć książkę. Widziałam, jak jej sługa grzebał wśród tomów leżących na stoliku.

– Jaka arystokratka?

– Shan Elariel.

Kelsier skinął głową.

– Dawna narzeczona. Prawdopodobnie poszukuje czegoś, czym mogłaby chłopaka zaszantażować.

– Myślę, że ona jest Allomantką, Kelsier.

– Jest Uspokajaczką. Prawdopodobnie wiedziała, co robi, jeśli chodzi o książki. Jeśli dziedzic Venture czytuje takie pozycje, jak *Przedświt*, a jeszcze do tego jest dość głupi, by nosić ją ze sobą...

– Czy to niebezpieczne? – spytała Vin.

– Dość groźne. – Wzruszył ramionami. – To stara książka i w zasadzie nie nawołuje do rebelii, więc może ujść.

Vin zmarszczyła brwi.

– Książka dość krytycznie wyrażała się o Ostatnim Imperatorze. Czy on pozwala szlachcie czytać takie rzeczy?

– Właściwie nie „pozwala” im tego czytać – odrzekł Kelsier. – Co więcej, ignoruje, kiedy to czynią. Zakazywanie książek to skomplikowana procedura, Vin. Im więcej smrodu robi Zakon wokół tekstu, tym więcej ściąga na niego zainteresowania i tym więcej ludzi chce go przeczytać. *Przedświt* to trudna lektura i nie zabraniając jej, Zakon tym samym skazał ją na zapomnienie.

Vin powoli skinęła głową.

– Poza tym – ciągnął Kelsier – Ostatni Imperator jest znacznie pobłażliwszy wobec szlachty niż wobec skaa. Postrzega ich jako dzieci swoich dawno nieżyjących przyjaciół i sojuszników, tych samych, którzy podobno pomogli mu pokonać Głębię. Od czasu do czasu wybacza takie przewinienia, jak czytanie niepewnych tekstów czy wybijanie członków rodziny.

– Więc... nie ma się co martwić tą książką? – zapytała.

Kelsier wzruszył ramionami.

– Tego bym nie powiedział. Jeśli młody Elend ma *Przedświt*, może również posiadać inne książki, które są wyraźnie zakazane. Jeśli obligatorzy znajdą na to dowody, przekażą młodego Elenda Inkwizytorom – szlachcic czy nie. Pytanie tylko, jak do tego doprowadzić? Egzekucja dziedzica Venture z pewnością przyczyniłaby się do politycznego zamieszania w Luthadelu.

Vin pobladła.

Tak, westchnął w duchu Kelsier. Zdecydowanie zadurzyła się w nim. Powinienem był to przewidzieć. Wysłać młodą, ładną dziewczynę w arystokratyczną społeczność? Ten czy inny sęp zawsze weźmie ją sobie na cel.

– Nie powiedziałam ci o tym dlatego, żebyś doprowadził do jego śmierci, Kelsierze! – rzekła. – Myślałam... może... że jeśli czyta zakazane książki... A wydaje się dobrym człowiekiem. Może uczynilibyśmy z niego sojusznika albo coś...

Och, dziecko, pomyślał Kelsier. Mam nadzieję, że nie będziesz bardzo cierpiała, kiedy już się tobą znudzi. Jesteś na to za mądra.

– Nie licz na to – powiedział na głos. – Lord Elend może czyta zakazane książki, ale to nie czyni go naszym sprzymierzeńcem. Wśród arystokratów zawsze trafiali się tacy jak on – młodzi filozofowie i marzyciele, którzy uważają, że ich pomysły są nowe. Lubią pić z przyjaciółmi i marudzić na temat Ostatniego Imperatora, ale w duchu wciąż są arystokratami. Nigdy nie obalą ustroju.

– Ale...

– Nie, Vin – odparł Kelsier. – Musisz mi zaufać. Elenda Venture nie obchodzą skaa. Ani my. Jest dżentelmenem, anarchistą, ponieważ to modne i ekscytujące.

– Mówił mi o skaa – odrzekła. – Chciał wiedzieć, czy są inteligentni i czy się zachowują jak normalni ludzie.

– A czy jego zainteresowanie było podyktowane współczuciem, czy było czysto intelektualne?

Zawahała się.

– Widzisz. – Pokiwał głową. – Nie, ten człowiek nie jest naszym sprzymierzeńcem... właściwie, jeśli sobie dobrze przypominam, kazałem ci trzymać się od niego z daleka. Spędzając czas z Elendem Venture,

sprowadzasz zagrożenie na całą operację... i na swoich towarzyszy. Rozumiesz?

Spuściła wzrok i skinęła głową.

Kelsier westchnął.

Czemu mam wrażenie, że trzymanie się od niego z daleka jest ostatnią rzeczą, na jaką ona ma ochotę? Do diaska, nie mam teraz czasu na te sprawy.

– Idź się prześpij – polecił. – Możemy porozmawiać o tym później.

To nie cień.

To czarne coś, co mnie prześladuje, co tylko ja widzę. To nie jest zwykły cień. Jest czarne i przejrzyste, ale nie ma wyraźnego konturu. Jest bezcielesne – ulotne i pozbawione kształtu. Jakby stworzone z ciemnego dymu.

Albo z mgły.

20

Vin odczuwała rosnące znużenie scenerią panującą pomiędzy Fellise a Luthadelem. W ciągu kilku ostatnich tygodni odbywała tę samą podróż co najmniej dziesięć razy – oglądając te same brunatne wzgórza, mizerne drzewa i kobierzec chwastów. Czuła się już tak, jakby mogła po kolei nazwać i wymienić każdą koleinę na drodze.

Uczestniczyła w wielu balach – ale to był jedynie początek. Obiady, herbatki i wszelkie inne formy codziennych rozrywek cieszyły się w mieście równą popularnością. Często Vin podróżowała pomiędzy tymi miastami dwa lub trzy razy dziennie. Najwyraźniej młode arystokratki nie miały nic innego do roboty, jak tylko siedzieć w powozie po sześć godzin dziennie.

Vin westchnęła. W oddali grupka skaa dreptała po ścieżce wzdłuż kanału, ciągnąc barkę w stronę Luthadelu. Jej życie mogło wyglądać znacznie gorzej.

I tak czuła frustrację. Było dopiero południe, a do wieczora nie zapowiadały się żadne interesujące wydarzenia. Nie miała się dokąd udać, jedynie do Fellise. Wciąż myślała, o ile szybciej dostałaby się tam, gdyby mogła skorzystać z kolcotraktu. Tęskniła za skakaniem przez mgły, ale Kelsier nie kwapił się, by kontynuować jej szkolenie. Pozwalał jej na krótkie nocne wypady, by ćwiczyła umiejętności, lecz nie na długie, ekscytujące skoki. Jedynie podstawowe ruchy – głównie Odpychanie i Przyciąganie niewielkich obiektów w staniu na ziemi.

Zaczynała się też irytować nieustępującym osłabieniem. Od spotkania z Inkwizytorem minęły trzy miesiące; najcięższa część zimy upłynęła bez jednego płatka śniegu. Ile czasu jeszcze minie, zanim całkiem dojdzie do zdrowia?

Przynajmniej mogę chodzić na bale, pomyślała. Pomimo znużenia ciągłymi podróżami Vin polubiła swoje zadanie. Udawanie arystokratki było znacznie mniej uciążliwe niżi normalna praca złodzieja. Oczywiście, gdyby jej tajemnica kiedykolwiek ujrzała światło dzienne, przypłaciłaby to życiem, ale na razie szlachta wydawała się chętna ją zaakceptować – tańczono z nią, zapraszano na kolacje, rozmawiano. Było to przyjemne życie – może nieco nudne, ale ostateczny powrót do Allomancji powinien to załatwić.

Pozostały jej zatem jeszcze dwie inne sprawy, które ją irytowały. Pierwszą była niezdolność do zgromadzenia jakichkolwiek użytecznych informacji; czuła coraz większą frustrację, kiedy zbywano milczeniem jej pytania. Zdobyła już na tyle doświadczenia, że wiedziała, że pod gładkimi pozorami kłębią się niezliczone intrygi, wciąż jednak była zbyt nowa, by się nimi z nią dzielić.

Wprawdzie jej status outsidera denerwował, lecz Kelsier miał pewność, że wkrótce wszystko się zmieni. Drugi powód irytacji Vin był jednak znacznie bardziej beznadziejny. Lord Elend Venture nie pojawił się na kilku balach, które odbyły się w ciągu ostatnich tygodni. Wprawdzie Vin nie miała teraz zbyt wiele czasu na samotne siedzenie, jednak szybko zdała sobie sprawę, że żaden z młodych szlachciców nie miał... głębi Elenda.

Żaden nie posiadał tego zabawnego poczucia humoru, ani uczciwych, pełnych żaru oczu. Pozostali nie byli realni. Nie w takim sensie, jak on.

Nie miała wrażenia, że jej unika. Jednak nie starał się już spędzać z nią czasu za wszelką cenę.

Czy źle go zrozumiałam? – zastanawiała się, kiedy powóz wjeżdżał do Fellise. Elenda czasem trudno było zrozumieć. Niestety, jego widoczne niezdecydowanie bynajmniej nie zmieniło temperamentu byłej narzeczonej. Vin zaczęła pojmować, czemu Kelsier ostrzegał ją przed zwróceniem na siebie uwagi kogoś zbyt ważnego. Na szczęście niezbyt często spotykała Shan Elariel, ale kiedy już się znalazły w jednym miejscu, Shan wykorzystywała każdą okazję, by poniżać, obrażać i drwić z Vin. Robiła to w całkiem spokojny, arystokratyczny sposób, nawet zachowaniem dając do zrozumienia, jak mało Vin jest ważna.

Może zaczynam się przywiązywać do mojej roli Valette? – pomyślała Vin. Valette była jedynie maską: miała być dokładnie taka, jak mówiła Shan. Mimo to obelgi bolały.

Pokręciła głową, starając się wypędzić z umysłu zarówno Elenda, jak i Shan. W czasie jej podróży do miasta spadł popiół, a choć teraz przestał już padać, wciąż jeszcze były widoczne niewielkie wiry i obłoki, unoszące się nad ulicami. Robotnicy skaa krzątali się, zamiatając sadzę do pojemników i wynosząc ją z miasta. Czasem musieli się spieszyć, by uciec z drogi przejeżdżającemu powozowi, który nawet nie fatygował się, żeby zwolnić.

Biedactwa, myślała Vin, przejeżdżając obok grupki obdartych dzieci, otrząsających drzewa z popiołu, żeby można go było pozamiatać – nie wypadało, by przechodzący szlachcic dostał w głowę grudą popiołu zgromadzonego na drzewie. Dzieci trzęsły drzewami, zrzucając na siebie czarne lawiny. Uważni, uzbrojeni w laski nadzorcy przechadzali się po ulicy, pilnując, by nikt nie przerywał pracy.

Elend i pozostali, myślała. Oni nie rozumieją, jak koszmarne jest życie skaa. Mieszkają w pięknych zamkach, tańczą i nie rozumieją na czym tak naprawdę polega ucisk Ostatniego Imperatora.

Widziała piękno arystokracji – nie była jak Kelsier, który nienawidził wszystkich szlachciców bez wyjątku. Niektórzy wydawali się mili na swój sposób, zaczynała też sądzić, że niektóre opowieści skaa na temat ich okrucieństwa muszą być przesadzone. Kiedy jednak widziała takie

zdarzenia, jak egzekucja tego biednego dzieciaka lub pracę dzieci skaa, powoli zmieniała zdanie. Jak szlachta może tego nie widzieć? Jak może tego nie rozumieć?

Westchnęła, odwracając wzrok od skaa, kiedy powóz wreszcie wjechał na podjazd posesji Renoux. Zauważyła dużą grupę ludzi na wewnętrznym dziedzińcu i natychmiast chwyciła fiolkę z metalami, przekonana, że to Ostatni Imperator przysłał żołnierzy, by aresztowali lorda Renoux. Szybko jednak zorientowała się, że tłum nie składał się z żołnierzy, lecz ze skaa w zwykłej roboczej odzieży.

Powóz przejechał przez bramę i Vin całkiem straciła orientację. Między skaa spoczywały w stertach skrzynie i worki – wiele było obsypanych popiołem z ostatnich opadów. Robotnicy krzątali się, ładując pakunki na rząd wozów. Powóz Vin zatrzymał się przed domem i dziewczyna nie czekała, aż Sazed otworzy jej drzwiczki. Wyskoczyła z powozu, unosząc suknię, i natychmiast podbiegła do Kelsiera i Renoux, którzy nadzorowali całą operację.

– Przewozicie towary do jaskiń? – zapytała szeptem, zaledwie dotarła do obu mężczyzn.

– Dziecko, dygnij przynajmniej – zganił ją lord Renoux. – Zachowuj pozory, jesteśmy na widoku.

Vin spełniła polecenie, hamując irytację.

– Oczywiście, że tak, Vin – odrzekł Kelsier. – Renoux musi przecież coś robić z bronią i zapasami. Ludzie nabraliby podejrzeń, gdyby nie widzieli, jak je wywozi.

Renoux skinął głową.

– Oficjalnie wysyłamy wszystko barkami do moich plantacji na zachodzie. Po drodze jednak barki zatrzymają się, by zostawić ładunek – oraz część „flisaków” – w jaskiniach rebeliantów. Barki z pomniejszoną załogą popłyną dalej, żeby zachować pozory.

– Nasi żołnierze nawet nie wiedzą, że Renoux bierze w tym udział – dodał Kelsier. – Myślą, że występują przeciwko szlachcicowi. Poza tym to dla nas dobra okazja, żeby wreszcie zobaczyć armię. Spędzimy jakiś tydzień w jaskiniach i wrócimy do Luthadelu na jednej z barek Renoux, wracających na wschód.

Vin znieruchomiała.

– My? – zapytała, nagle wyobrażając sobie całe tygodnie na barce, przesuwające się przed oczami monotonne krajobrazy... I tak dzień po dniu, dzień po dniu w podróży. Byłoby to chyba jeszcze gorsze niż krążenie w tę i z powrotem na trasie Luthadel–Fellise.

Kelsier uniósł brew.

– Wyglądasz na zmartwioną. Ktoś chyba polubił bale i przyjęcia.

Vin się zarumieniła.

– Pomyślałam po prostu, że powinnam zostać tutaj, to znaczy... teraz, skoro mam zaległości z powodu choroby...

Kelsier uśmiechnął się i uniósł dłoń.

– Ty zostajesz. Jedziemy tylko Yeden i ja. Chcę dokonać inspekcji oddziałów, a Yeden zamierza pozostać i przejąć nadzór nad armią, żeby Ham mógł wrócić do Luthadelu. Zabieramy też mojego brata – zostawimy go w punkcie zbornym z akolitami Zakonu w Vennias. Dobrze, że jesteś. Chciałbym, żebyś z nim chwilkę porozmawiała, zanim wyjedziemy.

Zmarszczyła brwi.

– Z Marshem?

Kelsier skinął głową.

– To Mglisty Szperacz. Brąz jest jednym z mniej użytecznych metali, zwłaszcza dla pełnego Zrodzonego, ale Marsh twierdzi, że może ci pokazać parę sztuczek. Prawdopodobnie to twoja ostatnia szansa na lekcje z nim.

– Gdzie on jest?

Kelsier zmarszczył brwi.

– Spóźnia się.

To chyba cecha rodzinna.

– Wkrótce tu będzie, dziecko – odparł lord Renoux. – Może chcesz się trochę posilić w salonie?

Miałam dzisiaj dość posiłków, pomyślała, z trudem opanowując irytację. Zamiast wrócić do domu, przeszła się po dziedzińcu, przyglądając się towarom i robotnikom, pakującym zapasy na wozy, którymi zostaną przetransportowane do lokalnych doków kanału. Teren był ładnie utrzymany, i choć jeszcze nie posprzątano popiołu, krótko przycięta trawa sprawiała, że Vin nie musiała wysoko podnosić spódnicy, by jej nie ubrudzić.

Poza tym popiół zaskakująco łatwo dawał się usuwać z odzieży. Przy odpowiednim praniu i z użyciem dość kosztownego mydła, nawet białe

ubranie można było doprać do czysta. Dlatego szlachta zawsze nosiła ubrania, które wyglądały jak nowe. Ot, taka prosta, łatwa do zauważenia metoda podziału ludzi na skaa i arystokrację.

Kelsier ma rację, pomyślała Vin. Zaczyna mi się podobać rola damy. Martwiły ją też zmiany, jakie nowy styl życia w niej zapoczątkował. Kiedyś jej jedynym problemem był głód i bicie – teraz nudziły ją długie przejażdżki powozem i towarzysze, którzy spóźniali się na spotkania. Co może z człowiekiem zrobić taka transformacja?

Westchnęła w duchu, przechadzając się wśród zapasów. Niektóre ze skrzynek będą wypełnione bronią – mieczami, pikami, łukami – ale większość ładunku to żywność w workach. Kelsier mówił, że utworzenie armii wymaga znacznie więcej zboża niż stali.

Przesunęła palcami po skrzyniach, uważając, żeby nie naruszyć warstwy popiołu, która się na nich znajdowała. Wiedziała, że dzisiaj będą odprawiać barkę, ale nie spodziewała się, że Kelsier też wyjedzie. Oczywiście, podjął decyzję dopiero w ostatniej chwili – nawet ten nowy, bardziej odpowiedzialny Kelsier wciąż był impulsywny. Możliwe, że u dowódcy jest to dobra cecha. Nie obawiał się wprowadzać nowych pomysłów, nieważne, kiedy mu przyszły do głowy.

Może powinnam poprosić, żeby zabrał mnie ze sobą, pomyślała leniwie. Już o wiele za długo bawię się w damę. Kiedyś przyłapała się na tym, że siedzi w powozie prosto, z dłońmi złożonymi na kolanach, mimo że była sama. Obawiała się, że zaczyna tracić instynkt – bycie Valette stało się teraz bardziej naturalne niż bycie Vin.

Oczywiście nie mogła jechać. Miała w planie spotkanie przy lunchu z lady Flavine, nie wspominając nawet o balu u Hastingów – towarzyskie wydarzenie miesiąca. Jeśli Valette się nie pojawi, naprawienie tej szkody zajmie jej pewnie kilka tygodni. No i był też Elend. Zapomni o niej całkiem, jeśli przestanie ją widywać.

Już o tobie zapomniał, powiedziała sobie. Na ostatnich trzech balach zaledwie chciał z tobą rozmawiać. Głowa do góry, Vin. To tylko jeszcze jedno oszustwo... jeszcze jedna gra, jakie znasz od dawna. Budujesz swoją reputację po to, by zbierać informacje, a nie żeby flirtować i tańczyć.

Zdecydowanie skinęła głową. Obok niej kilku mężczyzn skaa ładowało skrzynie na jeden z wozów. Przystanęła obok i przyglądała się ich pracy. Dockson twierdził, że rekrutacja do armii nabiera tempa.

Nabieramy rozpędu, pomyślała. Chyba wieści się roznoszą. Dobrze, oczywiście, o ile nie rozniosą się zbyt daleko.

Przez chwilę obserwowała tragarzy, czując coś... dziwnego. Wydawali się roztargnieni. Po chwili mogła już określić źródło tego stanu. Co chwila zerkali na Kelsiera, szepcząc coś do siebie podczas pracy. Vin podeszła bliżej, wciąż trzymając się sterty skrzynek, i zapaliła cynę.

– Nie, to na pewno on – szeptał jeden z nich. – Widziałem blizny.

– Jest wysoki – zauważył drugi.

– Oczywiście. A czego się spodziewałeś?

– Przemawiał na spotkaniu, na którym zostałem zwerbowany – dodał trzeci. – Ocalały z Hathsin. – W tonie jego głosu brzmiał podziw.

Mężczyźni przeszli dalej, żeby znieść kolejne skrzynki. Vin przechyliła głowę, po czym zaczęła się przechadzać wśród robotników, nasłuchując. Nie wszyscy rozmawiali o Kelsierze, ale zdumiewająca większość. Wiele razy wspominano też o „Jedenastym Metalu”.

Wszystko dlatego, pomyślała Vin. To nie rebelia nabiera rozpędu... to Kelsier. Ludzie mówili o nim cicho, prawie nabożnym tonem. Z jakiejś przyczyny Vin czuła się tym zakłopotana. Nigdy by nie ścierpiała, gdyby to o niej mówiono takim tonem. Kelsier jednak przyswoił sobie go bez trudu: jego charyzmatyczna osobowość tylko podsycała pogłoski.

Zastanawiam się, czy będzie w stanie się wycofać, kiedy wszystko się skończy. Pozostali członkowie grupy nie byli zainteresowani przywództwem, ale Kelsier tylko o tym marzył. Czy naprawdę pozwoli, żeby rebelia skaa zwyciężyła? Czy jakikolwiek człowiek jest zdolny zrzec się takiej potęgi?

Zmarszczyła brwi. Kelsier był dobrym człowiekiem, prawdopodobnie będzie też dobrym władcą. Jeśli jednak spróbuje przejąć kontrolę, zostanie to uznane za zdradę, wycofa się bowiem z obietnic danych Yedenowi. Nie chciała, by tak się stało.

– Valette! – zawołał Kelsier.

Drgnęła, ogarnięta poczuciem winy. Kelsier wskazał jej powóz, który właśnie wjeżdżał na teren posesji. Przyjechał Marsh. Zawróciła, czekając, aż powóz stanie, i podeszła do Kelsiera niemal w tej samej chwili, co Marsh.

Kelsier uśmiechnął się i skinął jej głową.

– Jeszcze przez jakiś czas nie będziemy gotowi do wyjazdu – rzekł do Marsha. – Mógłbyś pokazać małej kilka sztuczek?

Marsh spojrzał na Vin. Ze smukłej budowy ciała i jasnych włosów był podobny do Kelsiera, lecz nie tak przystojny. Może dlatego, że nigdy się nie uśmiechał.

Wskazał palcem frontowy balkon pałacu.

– Czekaj tam na mnie.

Vin otwarła usta, żeby odpowiedzieć, ale coś w wyrazie twarzy Marsha sprawiło, że zrezygnowała. Przypomniały jej się stare czasy sprzed kilku miesięcy, kiedy nie kwestionowała decyzji swoich zwierzchników. Odwróciła się, pozostawiając całą trójkę, i ruszyła do pałacu.

Od schodów do balkonu dzieliła ją niewielka odległość. Kiedy dotarła na miejsce, przyciągnęła sobie krzesło i usiadła przy pobielonej drewnianej barierce. Balkon oczywiście został już dokładnie oczyszczony z popiołu. Na dole Marsh wciąż jeszcze rozmawiał z Kelsierem i Renoux. Poza nimi, a nawet poza rozstawioną karawaną wozów Vin widziała nagie wzgórza za miastem, oświetlone czerwonym blaskiem słońca.

Tylko kilka miesięcy zabawy w damę, a już wydaje mi się, że wszystko, czego nie dotknęła ludzka ręka, jest gorsze. W ciągu wielu lat podróży z Reenem nigdy nie uważała tego krajobrazu za „nagi”. A Kelsier twierdzi, że ta ziemia kiedyś była żyźniejsza niż ogrody szlachty.

Czy miał nadzieję przywrócić ten stan rzeczy? Opiekunowie mogli, być może, opanować języki i religie, ale nie potrafią stworzyć nasion roślin, które dawno temu wyginęły. Nie mogą powstrzymać opadów popiołu ani nie dopuścić mgły, by nie nadchodziła nocą. Czy świat naprawdę zmieni się tak bardzo, kiedy Ostatnie Imperium upadnie?

Poza tym, czy Ostatni Imperator nie miał prawa do swego miejsca? Pokonał Głębię, a przynajmniej tak twierdził. Uratował ten świat, co – w pewnym pokrętnym sensie – sprawiało, że należał do niego. Jakie mieli prawo mu go odbierać?

Często zastanawiała się nad tymi sprawami, choć z nikim nie dzieliła się swymi spostrzeżeniami. Wszyscy sprawiali wrażenie zaangażowanych w plan Kelsiera, niektórzy nawet dzielili jego wizję. Vin jednak w dalszym ciągu się wahała. Nauczyła się od Reena, że optymizm należy traktować sceptycznie.

A jeśli kiedykolwiek istniał plan godzien wahania, był nim plan Kelsiera.

Minęła już jednak punkt, w którym zadawała sobie pytania. Wiedziała, dlaczego pozostaje z grupą. Nie chodziło o plan, tylko o ludzi. Lubiła Kelsiera. Lubiła Docksona, Breeze'a i Hama. Lubiła nawet dziwnego małego Spooka i jego kostycznego wuja. Była to grupa niepodobna do żadnej, z jaką zdarzyło jej się pracować.

Czy to wystarczający powód, żeby dać się przez nich zabić? – podpowiadał jej głos Reena.

Zawahała się. Ostatnio coraz rzadziej słyszała w myślach jego podszepty, ale wciąż tam były. Niełatwo było pozbyć się nauk Reena, wpajanych jej przez ponad szesnaście lat życia.

Marsh pojawił się na balkonie kilka chwil później. Spojrzał na nią i rzekł:

– Kelsier widocznie oczekuje, że spędzę wieczór na uczeniu cię Allomancji. Zacznijmy od razu.

Skinęła głową.

Zmierzył ją wzrokiem, widocznie oczekując bardziej entuzjastycznej reakcji. Vin siedziała spokojnie. Nie tylko ty potrafisz być nadąsany, przyjacielu.

– Doskonale – rzekł Marsh, siadając obok niej i wspierając ramię na poręczy balkonu. Jego głos stracił nagle ton irytacji. – Kelsier powiedział, że nie miałaś wiele czasu na przeszkolenie się w wewnętrznych umiejętnościach mentalnych. Zgadza się?

Skinęła głową.

– Podejrzewam, że wielu pełnych Zrodzonych zaniedbuje te umiejętności – mówił. – A to wielki błąd. Brąz i miedź może nie są tak efektowne jak inne metale, ale mogą być potężną bronią w rękach odpowiednio przeszkolonych osób. Inkwizytorzy działają dzięki swojej manipulacji brązem, a podziemni Mgliści przeżywają dzięki temu, że polegają na miedzi. Brąz jednak jest o wiele subtelniejszy. Mogę cię nauczyć, jak go właściwie używać. A jeśli przećwiczysz to, czego cię nauczę, będziesz miała przewagę, którą zaniedbuje większość Zrodzonych.

– Ale czy inni Zrodzeni nie umieją spalać miedzi? – zapytała. – Jaki jest sens uczenia się brązu, skoro wszyscy, z którymi walczysz, są niewrażliwi na jego siłę?

– Widzę, że już zaczynasz myśleć jak tamci – odparł Marsh. – Nie wszyscy są Zrodzonymi, dziewczyno. Właściwie jest ich naprawdę

niewielu. A pomimo tego, co twoi pobratymcy sobie myślą, normalni Mgliści też mogą zabijać. Wiedza, czy człowiek, który cię atakuje, jest Zbirem, czy Monetostrzelnym, może bez trudu uratować ci życie.

– Dobrze.

– Brąz pomoże ci też zidentyfikować Zrodzonych z Mgły – ciągnął Marsh. – Jeśli zobaczysz kogoś wykorzystującego Allomancję, kiedy w pobliżu nie będzie Dymiarza, a nie poczujesz, że emituje on allomantyczne impulsy, będziesz wiedziała, że to Zrodzony. Albo Inkwizytor. W każdym przypadku powinnaś uciekać.

Vin skinęła głową, czując, jak rana w jej boku pulsuje.

– Spalanie brązu daje wielką przewagę w stosunku do spalania samej miedzi. Oczywiście, używając miedzi, Zadymiasz sama siebie, ale w pewnym sensie również się oślepiasz. Miedź uodparnia cię na Odpychanie lub Przyciąganie uczuć.

– Ale to chyba dobrze?

Marsh lekko przekrzywił głowę.

– O? A co daje większą przewagę? To, że jesteś odporna na uwagę jakiegoś Uspokajacza, ale nie wiesz o niej? Czy to, że wiesz, dzięki brązowi, jakie uczucia próbuje on w tobie stłumić?

Vin się zawahała.

– Możesz dostrzec to tak szczegółowo?

Kiwnął głową.

– Z odrobiną uwagi i wprawy możesz rozpoznawać bardzo drobne zmiany w allomantycznym spalaniu metali przez twoich przeciwników. Możesz dokładnie odróżnić, na jaką część uczuć danej osoby stara się wpłynąć Uspokajacz lub Podżegacz. Będziesz również w stanie stwierdzić, kiedy ktoś rozjarza metale. Jeśli dojdziesz do wprawy, możesz nawet określić, kiedy i który metal im się kończy.

Vin zamyśliła się głęboko.

– Zaczynasz widzieć zalety – rzekł Marsh. – Dobrze. A teraz zacznij spalać brąz.

Spełniła jego polecenie. Natychmiast wyczuła w powietrzu dwie rytmiczne pulsacje. Bezgłośne fale omywały ją, jak bębnienie bębnów lub fale oceanu uderzające o brzeg. Były zmieszane i stłumione.

– Co czujesz? – zapytał Marsh.

– Myślę... że spalane są dwa różne metale. Jeden pochodzi od Kelsiera na dole, drugi od ciebie.

– Dobrze – odparł z uznaniem. – Ćwiczyłaś.

– Niewiele – przyznała.

Uniósł brew.

– Niewiele? A już umiesz odróżnić źródła pulsacji. To wymaga praktyki.

Wzruszyła ramionami.

– Wydaje mi się to naturalne.

Marsh znieruchomiał na chwilę.

– Dobrze – rzekł. – Czy te dwie pulsacje różnią się?

Skoncentrowała się, marszcząc brwi.

– Przymknij oczy – polecił. – Odsuń inne bodźce. Skup się tylko na pulsacjach allomantycznych.

Zastosowała się do jego poleceń. Nie, to nie przypominało słuchania. Musiała się skoncentrować, żeby wykryć charakterystyczne różnice w pulsacjach. Jedna była... jakby w nią uderzała. Druga, cóż za dziwne wrażenie – jakby pociągała ją ku sobie z każdym uderzeniem.

– Jedna to metal Przyciągający, prawda? – zapytała, otwierając oczy. – To ten Kelsiera. Ty Odpychasz.

– Doskonale – odparł Marsh. – On spala żelazo. Poprosiłem go o to, żebyś mogła poćwiczyć. Ja, oczywiście, spalam brąz.

– Czy one wszystkie takie są? – zapytała. – To znaczy, czy jest między nimi taka różnica?

Marsh skinął głową.

– Możesz odróżnić metal Odpychający od Przyciągającego dzięki jego allomantycznej sygnaturze. Właśnie tak niektóre metale zostały podzielone na kategorie. Na przykład to, że cyna Pociąga, podczas gdy cyna z ołowiem Odpycha, nie jest intuicyjne. Nie powiedziałem, żebyś otwarła oczy.

Zamknęła je natychmiast.

– Skoncentruj się na pulsacjach – polecił. – Postaraj się rozpoznać ich długości. Potrafisz określić różnicę?

Zmarszczyła brwi. Koncentrowała się najbardziej, jak mogła, ale jej poczucie metali było jakby... przyćmione. Niewyraźne. Po kilku minutach długości oddzielnych pulsacji wciąż wydawały jej się takie same.

– Nie czuję zupełnie nic – odrzekła z rozpaczą.

– Dobrze – odparł beznamiętnie. – Ja potrzebowałem pół roku, żeby nauczyć się rozróżniać długości pulsacji. Gdybyś zrobiła to za pierwszym razem, czułbym się niekompetentny.

Otwarła oczy.

– Więc po co kazałeś mi to zrobić?

– Pewnego dnia wyczujesz dwie różne długości pulsacji. Metale wewnętrzne, takie jak miedź i brąz, dają dłuższe impulsy niż zewnętrzne, jak żelazo i stal. Praktyka powie ci też, że istnieją trzy wzorce pulsacji – jeden dla metali fizycznych, drugi dla umysłowych, a trzeci dla dwóch wyższych. Długość impulsu, grupa metali i wariacja Odpychania z Przyciąganiem – skoro poznasz te trzy elementy, będziesz umiała powiedzieć, które dokładnie metale spala twój przeciwnik. Długi impuls, uderzający w ciebie i z szybkim powtarzaniem to cyna z ołowiem – fizyczny wewnętrzny metal Odpychający.

– Skąd takie nazwy? – zapytała. – Wewnętrzne i zewnętrzne?

– Metale dzielą się na grupy po cztery – przynajmniej te niższe osiem. Dwa metale zewnętrzne, dwa wewnętrzne – jeden, który Odpycha, drugi, który Pociąga. Żelazem Pociągasz coś, co jest na zewnątrz ciebie, a stalą Odpychasz coś, co jest na zewnątrz. Cyną Pociągasz coś, co jest w tobie, cyną z ołowiem Odpychasz coś, co jest w tobie.

– Ale brąz i miedź – przerwała Vin. – Kelsier mówił, że to wewnętrzne metale, a jednak zdaje się, wpływają na rzeczy na zewnątrz. Miedź nie dopuszcza, by ludzie czuli, kiedy używasz Allomancji.

Marsh pokręcił głową.

– Miedź nie zmienia twoich przeciwników, zmienia w tobie coś, co ma na nich wpływ. Dlatego jest nazywana metalem wewnętrznym. Mosiądz z kolei bezpośrednio zmienia emocje innej osoby, stąd jest metalem zewnętrznym.

Vin spojrzała na Kelsiera.

– Wiesz wiele o wszystkich metalach, ale jesteś tylko Mglistym, prawda?

Skinął głową. Mimo to nie miał miny, jakby chciał udzielić odpowiedzi.

Spróbujmy zatem czegoś, pomyślała Vin, wygaszając brąz. Zaczęła lekko palić miedź, aby zamaskować Allomancję. Marsh nie zareagował, nadal spoglądał w dół, ku Kelsierowi i karawanie.

Powinnam być niewidzialna dla jego zmysłów, pomyślała, ostrożnie spalając cynk i mosiądz. Sięgnęła, dokładnie tak, jak uczył ją Breeze, by

dotknąć emocji Marsha. Stłumiła jego podejrzenia i ograniczenia, wydobywając uczucie tęsknoty. Teoretycznie powinien być teraz bardziej skłonny do zwierzeń.

– Musiałeś się tego przecież nauczyć? – zapytała ostrożnie. Na pewno zaraz zobaczy, co zrobiłam. Będzie wściekły i...

– Złamałem się, kiedy byłem bardzo młody – odparł. – Miałem dużo czasu, żeby ćwiczyć.

– Sporo ludzi tak ma.

– I... miałem powody. Trudno je wyjaśnić.

– Zawsze są – odparła, delikatnie wzmacniając allomantyczny nacisk.

– Wiesz, co Kelsier myśli o szlachcie? – zapytał nagle, obracając się ku niej z lodowato zimnym spojrzeniem.

Żelaznooki, pomyślała. Tak o nim mówili. Skinęła głową.

– No cóż, ja czuję to samo w stosunku do obligatorów – odparł. – Zrobię wszystko, żeby ich zniszczyć. Zabrali naszą matkę – wtedy się Złamałem, wtedy też poprzysiągłem, że ich zniszczę. Więc dołączyłem do rebelii i zacząłem się uczyć wszystkiego, co wiadomo o Allomancji. Inkwizytorzy ją wykorzystują, więc muszę ją zrozumieć, muszę zrozumieć wszystko i być tak dobrym, jak jestem w stanie, i chyba mnie Uspokajasz?

Vin podskoczyła i natychmiast wygasiła wszystkie metale. Marsh znów spojrzał na nią z zimnym wyrazem twarzy.

Uciekaj! – pomyślała odruchowo. Omal tego nie zrobiła. Dobrze wiedzieć, że dawne instynkty wciąż w niej tkwią, choć nieco przytłumione.

– Tak – odparła pokornie.

– Jesteś dobra – odparł. – Nie zorientowałbym się, gdybym nie zaczął bredzić. Przestań.

– Przestałam.

– Dobrze – rzekł. – Już drugi raz zmieniłaś moje emocje. Nigdy więcej tego nie rób.

Skinęła głową.

– Drugi raz?

– Po raz pierwszy w moim sklepie, osiem miesięcy temu.

Rzeczywiście. Czemu tego nie pamiętałam?

– Przepraszam.

– Jesteś Zrodzona... po prostu to robisz. On robi to samo. – Spoglądał teraz na Kelsiera.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Marsh? – zapytała nagle. – Skąd wiedziałeś, że jestem Zrodzona? Wtedy umiałam tylko Uspokajać.

– Pozostałe metale znałaś instynktownie. Tego dnia spalałaś cynę z ołowiem i cynę – odrobinkę, ledwie zauważalnie. Prawdopodobnie połknęłaś te metale wraz z wodą i używając sztućców. Czy nigdy się nie zastanawiałaś, dlaczego przeżyłaś, kiedy inni umierali?

Zamyśliła się.

Przeżyłam wiele chłost. Wiele dni bez jedzenia, noce spędzone w alejce w deszczu lub popiele...

Marsh skinął głową.

– Niewielu ludzi, nawet Zrodzonych z Mgły, jest tak zestrojonych z Allomancją, że instynktownie spalają metale. To mnie w tobie zainteresowało – dlatego powiedziałem Docksonowi, gdzie ma cię szukać. Czy znowu Popychasz moje uczucia?

– Przysięgam, że nie. – Pokręciła głową.

Zmarszczył brwi, obserwując ją.

– Jesteś groźny – szepnęła. – Jak mój brat.

– Byliście blisko ze sobą?

– Nienawidziłam go – odparła cicho.

Zawahał się i odwrócił twarz.

– Rozumiem.

– Czy ty nienawidzisz Kelsiera?

Pokręcił głową.

– Nie, nie czuję nienawiści. Jest postrzelony i zadufany, ale jest moim bratem.

– To wystarczy?

– Tak.

– Ja... nie potrafię tego pojąć – wyznała, spoglądając na pole pełne skaa, skrzynek i worków.

– Podejrzewam, że twój brat nie traktował cię dobrze?

Potrząsnęła głową.

– A twoi rodzice? – dopytywał się Marsh. – Jedno było szlachetnego rodu, a drugie?

– Szalone – odparła. – Słyszała głosy. Było tak źle, że brat bał się zostawiać nas z nią sam na sam. Ale oczywiście nie miał wyboru...

Marsh siedział, milcząc. Jakim sposobem odwrócił sytuację? – zastanawiała się Vin. Nie jest Uspokajaczem, ale wyciąga ze mnie co najmniej tyle samo, ile ja wyciągnęłam z niego.

Dobrze jednak było w końcu wyrzucić to z siebie. Uniosła rękę, bezmyślnie dotykając kolczyka.

– Ja tego nie pamiętam – powiedziała. – Ale Reen mówił, że pewnego dnia wrócił do domu i zastał matkę we krwi. Zabiła moją malutką siostrę. To była jatka. Mnie jednak nie ruszyła... dała mi tylko kolczyk. Reen powiedział... Mówił, że trzymała mnie na kolanach, bełkocząc i twierdząc, że jestem królową. U jej stóp leżało ciało mojej siostry... Zabrał mnie od matki, a ona uciekła. Chyba uratował mi życie. I pewnie dlatego potem zostałam z nim. Nawet kiedy był zły.

Pokręciła głową i spojrzała na Marsha.

– I tak nie wiesz, jakim jesteś szczęściarzem, że masz Kelsiera za brata.

– Tak mi się zdaje – odparł. – Tyle tylko... że wolałbym, żeby nie traktował ludzi jak zabawki. Często zabijałem obligatorów, ale mordować ludzi tylko za to, że są szlachetnego rodu... – Wzruszył ramionami. – Zresztą, chodzi nie tylko o to. On lubi, kiedy ludzie wokół niego skaczą.

Miał rację. Jednak Vin odkryła w jego głosie coś nowego. Zazdrość. Jesteś starszym bratem, Marsh. To ty jesteś tym odpowiedzialnym... ty dołączyłeś do rebelii, zamiast pracować ze złodziejami. Pewnie cię zabolało, że to Kelsiera wszyscy lubili.

– Ale... – ciągnął – jest coraz lepiej. Czeluście go zmieniły. Jej... śmierć go zmieniła.

A to co? – pomyślała Vin, ożywiając się nagle. Tu też się coś kryło. Ból. Głęboki ból, głębszy niż mężczyzna powinien odczuwać w stosunku do swojej szwagierki.

Więc o to chodzi. Nie chodzi o to, że „wszyscy” lubili Kelsiera bardziej, lecz o jedną, szczególną osobę. Kogoś, kogo kochałeś.

– Tak czy owak – ciągnął Marsh już znacznie spokojniejszym głosem – minęła mu dawna arogancja. Ten jego plan jest całkiem postrzelony, jestem pewien, że częściowo robi to wyłącznie po to, żeby się wzbogacić, ale... no cóż, po to nie musiał aż wszczynać rebelii. Próbuje zrobić coś dobrego... choć pewnie doprowadzi go to do grobu.

– Po co za nim idziesz, skoro wiesz, że poniesie klęskę?

– Bo wprowadzi mnie do Zakonu – wyjaśnił Marsh. – Informacje, które tam zbiorę, pomogą rebeliantom na przestrzeni wielu lat po śmierci mojej i Kelsiera.

Skinęła głową, spoglądając na dziedziniec.

– Marsh, wydaje mi się, że nie wszystko już mu przeszło – powiedziała z wahaniem. – Zobacz, jak się zachowuje w stosunku do skaa, jak oni na niego patrzą...

– Wiem – odrzekł. – To się zaczęło od „Jedenastego Metalu”. Nie wiem, czy się musimy obawiać... Kell jak zwykle bawi się w swoje gierki.

– Zastanawia mnie, po co wyjeżdża w tę podróż – odparła. – Będzie przez dobry miesiąc wyłączony z działań.

Marsh pokręcił głową.

– Zyska całą armię ludzi, przed którą będzie mógł się produkować. Poza tym musi opuścić miasto. Jego reputacja zaczyna być nieco niewygodna, a szlachta zbyt mocno zainteresowała się Ocalałym. Jeśli rozejdą się plotki, że człowiek z bliznami na rękach mieszka u lorda Renoux...

Skinęła głową ze zrozumieniem.

– Na razie odgrywa rolę dalekiego krewnego Renoux. Musi jednak opuścić to miejsce, zanim ktokolwiek skojarzy go z Ocalałym. Kiedy wróci, będzie musiał siedzieć cicho... przekradać się do domu, zamiast wchodzić po głównych schodach, w Luthadelu zawsze mieć kaptur na głowie... – Urwał, po czym wstał. – Cóż, pokazałem ci podstawy. Teraz musisz jedynie ćwiczyć. Za każdym razem, kiedy będziesz z Mglistymi, poproś, żeby palili metale dla ciebie, i ucz się pulsacji allomatycznych. Jeśli się jeszcze kiedyś spotkamy, nauczę cię czegoś więcej, ale teraz nie mogę zrobić nic, dopóki tego nie przećwiczysz.

Przytaknęła i Marsh skierował się ku drzwiom, bez dalszych pożegnań. Kilka chwil później zobaczyła, jak znów podchodzi do Kelsiera i Renoux.

Tak naprawdę oni się wcale nie nienawidzą, pomyślała, opierając splecione dłonie na barierce. Jak to jest? Po namyśle zdecydowała, że pojęcie braterskiej miłości jest dla niej w tej chwili niczym długości allomantycznych pulsacji, których miała szukać – zbyt obce, by mogła je pojąć.

Bohater Wieków nie będzie człowiekiem, lecz siłą. Żaden naród nie może się o niego upomnieć, żadna kobieta go nie zatrzyma, żaden król nie zabije. Nie będzie należał do nikogo, nawet do samego siebie.

21

Kelsier siedział spokojnie, czytając, a jego łódź płynęła z wolna kanałem na północ. „Czasem martwię się, że nie jestem tym bohaterem, za którego wszyscy mnie biorą” – głosił tekst.

„Jaki mamy dowód? Słowa ludzi dawno umarłych, dopiero dziś uznanych za proroków? Nawet jeśli zaakceptujemy proroctwa, ujrzymy, że jedynie bardzo naciągana interpretacja łączy je z moją osobą. Czy moja obrona Letniego Wzgórza to rzeczywiście »Ciężar, dzięki któremu bohater otrzyma imię«? Moje wielokrotne małżeństwa mogą stanowić »Bezkrwawe więzy z królami świata«, jeśli spojrzeć na to pod odpowiednim kątem. Istnieją dziesiątki podobnych zdań, które można odnieść do zdarzeń z mojego życia. Ale oczywiście, mogą to być również zbiegi okoliczności.

Filozofowie zapewniają mnie, że to właściwy czas, że pojawiły się wszystkie znaki.

Wciąż jednak zastanawiam się, czy nie mylą się co do człowieka. Tylu ludzi ode mnie zależy. Powiadają, że trzymam w ramionach los całego świata.

Co by powiedzieli, gdyby się dowiedzieli, że ich obrońca – Bohater Wieków, ich zbawca – wątpi sam w siebie? Może nie byliby wcale zaskoczeni. Właściwie to mnie martwi najbardziej. Może w głębi serca się zastanawiają? Tak samo jak ja.

Czy kiedy na mnie spojrzą, zobaczą kłamcę?

Rashek chyba tak właśnie uważa. Wiem, że nie powinienem pozwolić, aby zwykły tragarz mnie niepokoił. On jednak jest z Terris, gdzie narodziły się wszystkie proroctwa. Gdyby ktoś miał ujrzeć oszustwo, czy nie byłby to właśnie on?

Mimo wszystko kontynuuję moją wędrówkę, idąc tam, gdzie według zapisanych proroctw powinienem spotkać moje przeznaczenie – idę, czując na grzbiecie spojrzenie Rasheka. Zazdrosne. Drwiące. Nienawistne.

Zastanawiam się, czy moja arogancja w końcu nie zniszczy nas wszystkich”.

Kelsier opuścił książkę. Jego łódź kołysała się lekko, poruszana wysiłkiem ciągnących ją ludzi. Był rad, że Sazed dał mu egzemplarz przetłumaczonych części dziennika Ostatniego Imperatora, zanim łodzie karawany wypłynęły. W czasie podróży na szczęście nie miał nic lepszego do roboty.

Dziennik sam w sobie był fascynującą lekturą. Fascynującą i przerażającą zarazem. Niepokojące było czytanie słów, które zostały napisane przez samego Ostatniego Imperatora. Dla Kelsiera Ostatni Imperator był nie tyle człowiekiem, ile... istotą. Złą mocą, którą należy zniszczyć.

Osoba przedstawiona w dzienniku wydawała się jednak aż nadto śmiertelna. Ten człowiek zadawał pytania, zastanawiał się, wydawał się obdarzony głębokim rozumem, a nawet charakterem.

Chyba jednak lepiej nie ufać opowieści co do słowa, pomyślał Kelsier, przesuwając dłońmi po stronicy. Ludzie rzadko uważają swe własne czyny za nieusprawiedliwione.

Jednakże historia Ostatniego Imperatora dziwnie przypominała Kelsierowi legendy, które słyszał. Opowieści szeptane przez skaa, omawiane przez szlachtę, zapamiętywane przez Opiekunów. Głosiły one, że

kiedyś, przed Wstąpieniem, Ostatni Imperator był największym z ludzi. Ukochanym przywódcą, człowiekiem, któremu powierzono los całej ludzkości.

Niestety, Kelsier wiedział, jak kończy się ta historia. Samo Ostatnie Imperium było spuścizną dziennika. Ostatni Imperator nie uratował ludzkości, lecz ją zniewolił. Poznawanie opowieści z pierwszej ręki, śledzenie zwątpienia i walk wewnętrznych Ostatniego Imperatora, czyniło ją tylko jeszcze tragiczniejszą.

Kelsier podniósł książkę, by czytać dalej, lecz łódź właśnie zwolniła. Wyjrzał przez okno kabiny w górę kanału. Dziesiątki ludzi dreptały wzdłuż szlaku holowniczego – ścieżki wiodącej wzdłuż kanału – ciągnąc cztery barki i dwie łodzie, z których składał się ich konwój. Był to efektywny, choć pracochłonny sposób podróży; ludzie, ciągnący barkę po kanale mogli przetransportować o wiele więcej funtów towaru, niż gdyby mieli go nieść.

Teraz jednak się zatrzymali. Kelsier widział przed sobą mechanizm śluzy, za którym kanał dzielił się na dwa odcinki. Coś w rodzaju wodnego skrzyżowania. Wreszcie, pomyślał Kelsier. Tygodnie podróży dobiegły końca.

Nie czekał na posłańca. Po prostu wyszedł na pokład swej łodzi i wyjął kilka monet z sakiewki, ukrywając je w dłoni. Czas na odrobinę ostentacji, pomyślał i rzucił monetę na deski. Zapalił stal i Odepchnął się.

Wystrzelił w górę pod kątem, szybko nabierając wysokości, skąd mógł widzieć cały szereg ludzi – niektórzy ciągnęli barki, inni szli obok i czekali na swoją zmianę. Kelsier zakreślił łuk w powietrzu. Rzucił kolejną monetę, przelatując nad jedną z załadowanych zapasami barek, po czym Odepchnął się od niej, kiedy zaczął spadać. Ludzie spojrzeli w górę, wskazując palcami Kelsiera lecącego nad kanałem.

Kelsier zapalił cynę z ołowiem, wzmacniając ciało, by z łomotem wylądować na pokładzie łodzi wiodącej karawanę.

Yeden wyszedł z kajuty, wyraźnie zaskoczony.

– Lord Kelsier! Właśnie, eee... dotarliśmy do zbiegu tras.

– Widzę – odparł Kelsier, spoglądając na długi rząd łodzi. Ludzie na szlaku holowniczym rozmawiali z podnieceniem, pokazując go palcami. Dziwnie się czuli, widząc użycie Allomancji w biały dzień i w obliczu takiej liczby widzów.

Nic na to nie poradzę, pomyślał. Dla tych ludzi ta wizyta to ostatnia szansa zobaczenia się ze mną. Potem nastąpi wielomiesięczna przerwa we wszelkich kontaktach. Muszę wywrzeć odpowiednie wrażenie, dać im coś, w czym znajdą oparcie, jeśli w ogóle to wszystko ma się udać....

– Czy pójdziemy spotkać się z grupą z jaskiń, która przybyła przywitać się z nami? – zapytał Kelsier, spoglądając na Yedena.

– Oczywiście – odrzekł Yeden i skinął na sługę, by ten podciągnął łódź do brzegu i spuścił trap. Wydawał się podekscytowany, był naprawdę gorliwy, jeśli nawet trochę brakowało mu osobowości.

Przez większość życia miałem odwrotny problem, pomyślał z rozbawieniem Kelsier, schodząc wraz z Yedenem z łodzi. Za dużo osobowości, za mało gorliwości.

Obaj minęli długi szereg pracowników kanału. Na czele kolumny jeden ze Zbirów Hama, odgrywający rolę dowódcy gwardii Kelsiera, zasalutował.

– Dotarliśmy do zbiegu tras – zameldował.

– Widzę – powtórzył Kelsier.

Przed nimi rosła gęsta kępa brzóz, ciągnąca się aż na zbocze wzgórza. Kanały biegły z dala od lasu – w innych częściach Ostatniego Imperium było wiele lepszych źródeł drewna. Las stał zatem samotnie, ignorowany przez niemal wszystkich.

Kelsier rozpalił cynę, mrużąc oczy przed nagle oślepiającym światłem słonecznym. Szybko jednak przyzwyczaił się do wzmożonego postrzegania i był w stanie rozróżnić szczegóły, w tym niewielki ruch w lesie.

– Tam – rzekł, rzucając w górę monetę i Odpychając ją.

Moneta świsnęła w przód i uderzyła w pień. Na ten umówiony znak zza linii drzew wyszła grupa ludzi w kamuflażu, kierując się pokrytą popiołem równiną ku kanałowi.

– Lordzie Kelsier – rzekł człowiek idący na czele i zasalutował. – Nazywam się kapitan Demoux. Proszę zebrać rekrutów i pójść za mną. Generał Hammond oczekuje pana z niecierpliwością.

***

„Kapitan” Demoux był młodym człowiekiem, ale wyjątkowo zdyscyplinowanym. Miał zaledwie około dwudziestki, lecz prowadził swój

niewielki oddział z taką powagą, że mógłby się wydawać zarozumiały, gdyby nie był tak kompetentny.

Młodsi niż on wiedli żołnierzy do bitwy, pomyślał Kelsier. Jeśli nawet ja byłem w tym wieku smarkaczem, nie oznacza to, że każdy taki jest. Spójrzmy choćby na biedną Vin – ma szesnaście lat, a powagą dorównuje Marshowi.

Ruszyli okrężną drogą przez las – na polecenie Hama, każdy oddział wybierał inną trasę, by uniknąć zostawienia śladów. Kelsier obejrzał się na idącą za nim grupę stu czy dwustu ludzi i zmarszczył brwi. I tak pozostawią widoczny ślad, ale niewiele mógł na to poradzić – przemieszczanie się tak wielkiej grupy ludzi nieuchronnie będzie trudne do zamaskowania.

Demoux zwolnił, zamachał ręką i kilku ludzi z oddziału wystąpiło naprzód. Nie mieli nawet połowy wyczucia wojskowego porządku swego dowódcy, ale Kelsier i tak był pod wrażeniem. Kiedy odwiedzał ich ostatnio, widział bandę obszarpańców, nieskoordynowanych, jak większość wyrzutków skaa. Ham i jego oficerowie doskonale wykonali swoje zadanie.

Żołnierze usunęli część fałszywej ściółki, ukazując szczelinę w ziemi. W środku panował mrok, krawędzie były najeżone krystalicznym granitem. Nie była to zwykła jaskinia w zboczu, lecz pęknięcie w ziemi, wiodące prosto w dół.

Kelsier stał w milczeniu, spoglądając w ciemną, obramowaną kamieniem szczelinę. Zadrżał lekko.

– Kelsier? – zapytał Yeden ze zmarszczonym czołem. – Co się dzieje?

– Przypomina mi Czeluście. Właśnie tak wyglądały... jak szczeliny w ziemi.

Yeden pobladł lekko.

– Och... eee... no...

Kelsier machnął ręką.

– Wiedziałem, że tak będzie. Schodziłem do tych jaskiń codziennie przez cały rok i zawsze z nich wychodziłem. Pokonałem je. Nie mają nade mną władzy.

Aby to udowodnić, ruszył przed siebie i zszedł do wąskiej szczeliny. Była szeroka tylko na tyle, by jeden człowiek mógł salę przecisnąć. Schodząc, stwierdził, że żołnierze – cały oddział Demoux i nowi rekruci – przyglądają mu się w milczeniu. Specjalnie mówił tak głośno, żeby usłyszeli.

Niech zobaczą moje słabości i niech widzą, jak je pokonuję.

Były to odważne myśli. Kiedy jednak zszedł pod powierzchnię, poczuł się tak, jakby tam wrócił. Wciśnięty pomiędzy dwie kamienne ściany, dygoczącymi palcami szukał drogi w dół. Zimno, mokro, ciemno. Tylko niewolnicy mogli wydobywać atium. Allomanci byliby pewnie skuteczniejsi, ale użycie Allomancji w pobliżu kryształów atium niszczyło ich strukturę. Więc Ostatni Imperator używał więźniów. Zmuszał ich do zejścia w Czeluści. Zmuszał do pełznięcia w dół, w dół, w dół...

Kelsier zmusił się, by iść dalej. To nie Hathsin. Szczelina nie będzie ciągnęła się godzinami, nie będzie otoczonych kryształami otworów, przez które trzeba było sięgać poranionymi, krwawiącymi rękami, sięgać, szukać ukrytej w nich geody atium. Jedna geoda kupowała kolejny tydzień życia. Życia pod biczami poganiaczy. Życia pod panowaniem sadystycznego boga. Życia ponad słońcem, które stało się czerwone.

Zmienię to wszystko dla innych, pomyślał Kelsier. Zmienię to!

Schodzenie było dla niego dość trudne, trudniejsze, niż chciał to przyznać. Na szczęście szczelina wkrótce otwarła się w obszerną jaskinię, a Kelsier ujrzał dochodzące z dołu błyski światła. Zeskoczył i wylądował na nierównym podłożu. Uśmiechnął się do oczekującego człowieka.

– Macie tu paskudne wejście, Ham – zauważył, otrzepując dłonie.

Ham również się uśmiechnął.

– Jeszcze nie widziałeś łazienki.

Kelsier odsunął się, by mogli wejść pozostali. Z komory prowadziło kilka naturalnych korytarzy, a z dna szczeliny prowadziła ku górze sznurowa drabinka, umożliwiająca powrót na powierzchnię. Yeden i Demoux zeszli szybko z góry po tejże drabince, otrzepując poszarpaną i zakurzoną odzież. Nie było to łatwe, ale o to właśnie chodziło.

– Dobrze cię widzieć, Kell – rzekł Ham. Dziwnie było go oglądać w ubraniu, w którym nie brakowało rękawów. W istocie jego militarny strój wyglądał nieco sztywno ze swoim kanciastym krojem i przodem zapinanym na guziki. – Ilu mi przywiozłeś?

– Trochę ponad dwustu czterdziestu.

Ham uniósł brwi.

– Rekrutacja nabrała tempa?

– Wreszcie – odrzekł Kelsier, kiwając głową.

Żołnierze zaczęli zeskakiwać do jaskini i adiutanci Hama ruszyli im na pomoc, pomagając im zejść i kierując ich do bocznego tunelu.

Yeden podszedł do Kelsiera i Hama.

– Ta jaskinia jest niezwykła, lordzie Kelsier! Nigdy dotąd nie bywałem w jaskiniach. Nic dziwnego, że Ostatni Imperator nie znalazł tu nikogo!

– Kompleks jet całkowicie bezpieczny – dumnie odparł Ham. – Istnieją tylko trzy wejścia, wszystkie w kształcie szczelin, podobnie jak ta. Przy odpowiednim zaopatrzeniu możemy bronić się tu praktycznie w nieskończoność.

– W dodatku jest to jedyny kompleks jaskiń pod tymi wzgórzami – wtrącił Kelsier. – Nawet jeśli Ostatni Imperator byłby zdecydowany nas zniszczyć, jego armia może stracić całe tygodnie na poszukiwaniu i nas nie znaleźć.

– Zdumiewające – odparł Yeden. Spojrzał na Kelsiera. – Myliłem się co do ciebie, lordzie Kelsier. Ta operacja... ta armia... cóż, dokonałeś czegoś naprawdę imponującego.

Kelsier się uśmiechnął.

– Właściwie się nie myliłeś. Wierzyłeś we mnie od samego początku. Jesteśmy tutaj tylko dzięki tobie.

– Ja... chyba rzeczywiście tak było – odparł z uśmiechem Yeden.

– Tak czy owak – rzekł Kelsier – doceniam wasze wotum zaufania. Prawdopodobnie sprowadzenie wszystkich ludzi na dół zajmie trochę czasu. Czy mógłbyś poprowadzić tę operację? Chciałbym przez chwilę porozmawiać z Hammondem.

– Oczywiście, lordzie Kelsier. – W jego głosie zabrzmiał podziw, a nawet rosnące uwielbienie.

Kelsier skinął głową w bok. Ham zmarszczył lekko brwi, wziął latarnię i poszedł za Kelsierem. Opuścili główną pieczarę i skręcili w boczny tunel. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, Ham zatrzymał się i obejrzał.

Kelsier przystanął i uniósł brew.

Ham skinął głową w stronę komory wejściowej.

– Yeden naprawdę się zmienił.

– Jakoś tak wpływam na ludzi.

– To pewnie twoja porażająca skromność i pokora – odparł Ham. – Mówię poważnie, Kell, jak to robisz? Przecież ten człowiek cię

nienawidził. Teraz spogląda na ciebie jak dzieciak uwielbiający swego starszego brata.

Kelsier wzruszył ramionami.

– Yeden nigdy dotąd nie był członkiem skutecznie działającej grupy. Sądzę, że dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że naprawdę mamy szansę. W ciągu ponad pół roku zebraliśmy rebelię większą, niż on kiedykolwiek widział. Taki wynik może przekonać nawet najbardziej upartego.

Ham nie wydawał się przekonany. Po chwili ruszył dalej.

– O czym chciałeś porozmawiać?

– Właściwie chciałem zwiedzić pozostałe dwa wejścia, jeśli mogę – rzekł Kelsier.

Ham skinął głową i wskazał boczny tunel, po czym poszedł przodem. Tunel, podobnie jak wiele innych, nie został wydrążony ludzkimi rękami; była to naturalna odnoga kompleksu jaskiń. W Środkowym Dominium było wiele takich systemów jaskiń, choć większość nie aż tak wielka. A tylko jeden – Czeluście Hathsin – rodził geody atium.

– W każdym razie Yeden ma rację – rzekł Ham, przeciskając się przez przewężenie tunelu. – Wybrałeś znakomite miejsce, by ukryć tych ludzi.

Kelsier skinął głową.

– Przez całe stulecia różne grupy rebeliantów korzystały z kompleksów jaskiń w tych górach. Są przerażająco bliskie Luthadelowi, ale Ostatni Imperator nigdy nie zdołał przypuścić na nie skutecznego ataku. Po prostu udaje teraz, że tego miejsca nie ma. Chyba zbyt wiele klęsk tu poniósł.

– Nie wątpię – odparł Ham. – Przy tych wszystkich zakrętach i przewężeniach to miejsce byłoby paskudne na stoczenie bitwy. – Wyszedł z korytarza do kolejnej małej jaskini. Ta także miała szczelinę w sklepieniu, przez którą sączyło się blade światło słoneczne. Wejścia pilnował oddział żołnierzy, którzy na widok Hama natychmiast stanęli na baczność.

– Zawsze dziesięciu ludzi? – zapytał Kelsier.

– Pod każdym z trzech wejść – odrzekł Ham.

– Dobrze.

Kelsier poszedł naprzód i rozpoczął przegląd wojska. Miał podwinięte rękawy. Widział, że mężczyźni przyglądają się kątem oka bliznom na jego rękach. Nie miał pewności, na co właściwie powinien patrzeć, ale starał się

robić dość mądrą minę. Zbadał broń – włócznie dla ośmiu ludzi, miecze dla dwóch – paru żołnierzom strzepnął pył z ramion.

Wreszcie zwrócił się do żołnierza z insygniami na ramieniu.

– Kogo wypuszczacie z jaskiń, żołnierzu?

– Jedynie ludzi posiadających pismo opieczętowane przez samego generała Hammonda, sir!

– Żadnych wyjątków? – upewnił się Kelsier.

– Nie, sir!

– A gdybym teraz chciał wyjść?

Mężczyzna się zawahał.

– Uhm...

– Zatrzymałbyś mnie! – odparł Kelsier. – Nie ma wyjątków, żołnierzu. Ani ja, ani kumpel z sąsiedniej pryczy, ani oficer – nikt. Jeśli nie mają tej pieczęci, nie wyjdą!

– Tak jest, sir!

– Dobrze – pochwalił Kelsier. – Generale, jeśli wszyscy twoi ludze są tak doskonali, Ostatni Imperator ma poważne podstawy, żeby się bać.

Żołnierz nadął się lekko, słysząc te słowa.

– Pracujcie – rzucił Kelsier, machnął ręką na Hama, żeby szedł z nim, i opuścił jaskinię.

– To było miłe z twojej strony – rzekł cicho Ham. – Czekali na twoją wizytę od wielu tygodni.

Kelsier wzruszył ramionami.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy właściwie pilnują szczeliny. Teraz, kiedy masz więcej ludzi, chciałbym, żebyś postawił straże we wszystkich tunelach wiodących do tych jaskiń.

Ham skinął głową.

– Trochę to drastyczne.

– Zrób to dla mnie – odparł Kelsier. – Pojedynczy uciekinier lub zdrajca może nas wszystkich wydać Ostatniemu Imperatorowi. Dobrze, że jesteś pewien, że obroniłbyś to miejsce, ale jeśli na zewnątrz otoczy was armia, to wojska znajdujące się tutaj okażą się całkowicie bezużyteczne.

– Masz rację – zgodził się Ham. – Chcesz zobaczyć trzecie wejście?

– Proszę – odparł Kelsier.

Ham skinął głową i wskazał kolejny tunel.

– A, jeszcze jedno – dodał Kelsier po kilku krokach. – Zbierz razem grupy po stu ludzi – takich, którym ufasz – i niech pokręcą się po lesie. Jeśli ktoś przyjdzie nas szukać, nie będziemy w stanie ukryć faktu, że wielu ludzi przechodziło przez ten teren. Ale jeśli zadepczemy ślady, może uda nam się zmylić wroga.

– Dobry pomysł.

– Mam ich sporo – Kelsier się zaśmiał, kiedy weszli do kolejnej pieczary.

Ta była o wiele większa niż pozostałe dwie. Nie była to szczelina wejściowa, lecz pomieszczenie treningowe. Grupy ludzi stały tu z mieczami lub włóczniami, pojedynkując się pod okiem doświadczonych instruktorów w mundurach. Mundury dla oficerów były pomysłem Docksona. Nie mogli sobie pozwolić na wyposażenie wszystkich ludzi – byłoby to zbyt kosztowne, a zakup tylu mundurów mógłby się wydać podejrzany. Jednak być może widok dowódców w mundurach da tym ludziom choć trochę poczucia wspólnoty.

Ham zatrzymał się na progu pieczary. Spojrzał na żołnierzy i rzekł szeptem:

– Musimy kiedyś o tym porozmawiać, Kell. Ci ludzie zaczynają się czuć jak żołnierze, ale... cóż, to skaa. Spędzili życie na pracy w fabryce lub w polu. Nie wiem, jak się zachowają, jeśli znajdą się naprawdę na polu bitwy.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie będzie zbyt dużo walki – odparł Kelsier. – Czeluście są strzeżone przez kilkuset żołnierzy – Ostatni Imperator nie może mieć tam zbyt wielkich oddziałów, żeby nie zdradzić, jak ważne jest to miejsce. Nasz tysiąc ludzi zajmie Czeluście bez trudu, a potem zdąży się wycofać, skoro tylko pojawi się Garnizon. Pozostałe dziewięć tysięcy będzie musiało rozprawić się z oddziałami gwardii Wielkich Rodów i żołnierzy pałacowych, mimo to nasi ludzie powinni mieć przewagę liczebną.

Ham skinął głową, ale jego spojrzenie wciąż wyrażało niepewność.

– Co? – zapytał Kelsier, opierając się o gładką, krystaliczną ścianę wylotu tunelu.

– A kiedy z nimi skończymy, Kell? – zapytał Ham. – Kiedy już będziemy mieć atium, przekazujemy miasto i armię Yedenowi. A co potem?

– To zależy od Yedena – odparł Kelsier.

– Zostaną rozniesieni w puch – rzekł cicho Ham. – Dziesięć tysięcy ludzi nie będzie w stanie obronić Luthadelu przed całym Ostatnim Imperium.

– Zamierzam dać im lepszą szansę, niż sądzisz, Ham – odparł Kelsier. – Jeśli zdołamy skłócić ze sobą szlachtę i zdestabilizować rząd...

– Może – odparł bez przekonania Ham.

– Zgodziłeś się na ten plan, Ham – przypomniał Kelsier. – Właśnie takie były nasze zamiary od samego początku. Stworzyć armię, dostarczyć ją Yedenowi.

– Wiem – zgodził się Ham z westchnieniem i oparł się o ścianę jaskini. – Tak sądzę... No cóż, jest inaczej teraz, kiedy stoję na ich czele. Może po prostu nie nadaję się do takiej funkcji. Jestem ochroniarzem, nie generałem.

Wiem, jak się czujesz, przyjacielu, pomyślał Kelsier. Jestem złodziejem, a nie prorokiem. Czasem po prostu musimy robić coś dla wyższych celów.

Położył dłoń na ramieniu Hama.

– Odwaliłeś dobrą robotę.

Ham spojrzał na niego.

– „Odwaliłeś”?

– Przywiozłem Yedena, żeby cię zastąpił. Dox i ja zdecydowaliśmy, że lepiej będzie, by to on teraz dowodził armią. W ten sposób żołnierze przyzwyczają się do jego dowództwa. Poza tym potrzebujemy cię w Luthadelu. Ktoś musi odwiedzić Garnizon i zebrać wieści, a ty jesteś jedynym, który ma kontakty w wojsku.

– Więc wracam z tobą? – zapytał Ham.

Kelsier skinął głową.

Ham wyglądał na załamanego, ale już po chwili się uśmiechnął.

– Wreszcie zrzucę ten mundur! Ale, myślisz, że Yeden da sobie radę?

– Sam powiedziałeś, że bardzo się zmienił w ciągu ostatnich kilku miesięcy. A jest naprawdę doskonałym administratorem – twardo trzymał całą rebelię po odejściu mojego brata.

– Sądzę...

Kelsier pokręcił ze smutkiem głową.

– Jest nas za mało, Ham. Ty i Breeze należycie do niewielkiej grupy ludzi, którym ufam, dlatego potrzebuję was w Luthadelu. Yeden nie jest idealny do tego stanowiska, ale armia i tak ostatecznie będzie jego. Może poprowadzić ją już teraz przez jakiś czas. Poza tym wreszcie będzie miał coś do roboty, bo już się staje nieco drażliwy w kwestii swojego miejsca

w grupie. – Kelsier urwał, po czym uśmiechnął się z rozbawieniem. – Chyba jest zazdrosny o uwagę, jaką poświęcam innym.

Ham się uśmiechnął.

– A to zmiana.

Znowu ruszyli przed siebie. Pozostawiwszy za sobą salę do ćwiczeń, weszli do kolejnego krętego tunelu, który tym razem prowadził nieco w dół.

– Wiesz – rzekł Ham po kilku minutach – jest w tym miejscu jeszcze coś dobrego. Może zauważyłeś to już wcześniej, ale czasem jest tu naprawdę pięknie.

Kelsier nie zauważył. Spojrzał w bok, na ściany korytarza. Jedna ściana komory powstała z minerałów ściekających ze stropu, cienkich stalaktytów i stalagmitów, które – jak brudne sople lodu – połączyły się, tworząc coś w rodzaju bariery. Minerały lśniły w świetle pochodni, a ścieżka przed nimi wydawała się zamarzniętym, rwącym strumieniem.

Nie, pomyślał Kelsier. Nie widzę tego piękna, Ham. Inni może i zobaczą sztukę w warstwach koloru i stopionej skały. Kelsier widział jedynie Czeluście. Nieskończone jaskinie, z których większość prowadziła prosto w dół. Musiał przeciskać się przez szczeliny, skakać w dół, w ciemność, nie mając nawet światła, żeby sobie rozjaśnić drogę.

Często się zastanawiał, czy nie powinien zostać. Ale wtedy znajdował w jaskini trupa, ciało innego więźnia, który się zgubił albo po prostu poddał. Kelsier dotykał ich kości, obiecując sobie coś więcej. Co tydzień znajdował geodę atium. Co tydzień unikał śmierci na skutek brutalnej chłosty.

Aż do ostatniego razu. Nie zasługiwał na życie... powinien zginąć. Ale Mare dała mu geodę atium, twierdząc, że w tym tygodniu znalazła dwie. Dopiero kiedy ją oddał, odkrył kłamstwo żony. Następnego dnia została zachłostana na śmierć. Zachłostana na śmierć na jego oczach.

Tej nocy Kelsier się Złamał, nabierając mocy Zrodzonego z Mgły. Następnej nocy zginęło wielu ludzi.

Wielu ludzi.

Ocalały z Hathsin. Człowiek, który nie powinien żyć. Nawet patrząc na jej śmierć, nie wiedziałem, czy wierzę w jej zdradę, czy nie. Czy dała mi tę geodę z miłości? Czy może z poczucia winy?

Nie, nie mógł zobaczyć piękna jaskiń. Inni ludzie postradali zmysły w Czeluściach, przerażały ich wszelkie wąskie, zamknięte przestrzenie. Ta

przypadłość oszczędziła Kelsiera. Wiedział jednak, że choćby te labirynty kryły niewysłowione cuda, choćby widoki były zdumiewające i zachwycały koronkowym pięknem, on nigdy tego nie zauważy. Nie teraz, kiedy Mare nie żyje.

– Nie mogę o tym dłużej myśleć – zdecydował Kelsier, odniósł bowiem wrażenie, że jaskinia staje się coraz ciemniejsza. – Dobrze, Ham. Śmiało. Powiedz mi, o czym myślisz.

– Naprawdę?! – ochoczo zawołał Ham.

– Tak – odrzekł z niejaką rezygnacją Kelsier.

– No dobrze – rzekł Ham. – Więc powiem ci, co mnie ostatnimi czasy bardzo dręczy. Czy skaa różnią się od szlachty?

– Oczywiście – odparł Kelsier. – Arystokracja ma pieniądze i ziemię, skaa nie mają nic.

– Nie mówię o gospodarce... tylko o różnicach fizycznych. Wiesz, co mówią obligatorzy, prawda?

Kelsier skinął głową.

– No więc, czy to prawda? Chodzi mi o to, że skaa zawsze mają dużo dzieci, natomiast arystokraci problemy z rozmnażaniem się.

Nazywano to Równowagą. Podobno w ten sposób właśnie Ostatni Imperator zadbał, by nie było zbyt wielu arystokratów, na których musieliby pracować skaa, a za to – pomimo chłost i przypadkowych zabójstw – skaa rodzili się w wystarczającej obfitości, by hodować żywność i pracować w fabrykach.

– Zawsze sądziłem, że to retoryka Zakonu – wyznał Kelsier.

– Znam kobiety skaa, które mają po dwanaścioro dzieci – odparł Ham. – Ale nie potrafię wymienić ani jednego szlachetnego rodu, mającego ich więcej niż troje.

– Kwestia kultury.

– A różnica wzrostu? Powiadają, że kiedyś można było odróżnić skaa od szlachcica na pierwszy rzut oka. To się zmieniło, pewnie z powodu pomieszania ras, ale wciąż większość skaa jest dość niskiego wzrostu.

– Kwestia żywienia. Skaa nie mają dość jedzenia.

– A co z Allomancją?

Kelsier zmarszczył brwi.

– Musisz przyznać, że tu istnieje różnica fizyczna – odparł Ham. – Skaa nigdy nie stają się Mglistymi, jeśli w ostatnich pięciu pokoleniach nie mieli

domieszki arystokratycznej krwi.

To przynajmniej było prawdą.

– Skaa myślą inaczej, niż szlachta, Kell – mówił dalej Ham. – Nawet ci żołnierze wciąż są raczej nieśmiali, a przecież to są ci najdzielniejsi! Yeden ma rację co do ogólnej populacji skaa – oni się nigdy nie zbuntują. A jeśli... jeśli naprawdę jest między nami jakaś fizyczna różnica? Jeśli szlachta ma prawo panować nad nami?

Kelsier zamarł pośrodku korytarza.

– Chyba nie mówisz tego poważnie.

Ham również się zatrzymał.

– Chyba... nie, chyba nie. Ale czasem się nad tym zastanawiam. Arystokraci mają Allomancję, prawda? Może są przeznaczeni, by panować.

– Przeznaczeni przez kogo? Przez Ostatniego Imperatora?

Ham wzruszył ramionami.

– Nie, Ham – odparł Kelsier. – Nieprawda. To nie jest prawda. Wiem, że trudno to dostrzec – zbyt długo trwa już ten stan rzeczy – ale tryb życia skaa jest ze wszech miar nieodpowiedni. Musisz w to uwierzyć.

Ham zawahał się, ale skinął głową.

– Idziemy – rzekł Kelsier. – Chcę zobaczyć to drugie wyjście.

***

Tydzień mijał powoli. Kelsier sprawdzał żołnierzy, szkolenia, żywność, broń, zapasy, zwiadowców, strażników i wszystko, co jeszcze mógł sobie przypomnieć. Co ważniejsze, spotykał się z ludźmi. Chwalił ich i zachęcał – i pamiętał, aby często używać przy nich Allomancji.

O ile wielu skaa słyszało o „Allomancji”, o tyle niewielu wiedziało, co to oznacza. Szlachetnie urodzeni Mgliści rzadko używali swych mocy w obecności innych ludzi, a mieszańcy musieli uważać jeszcze bardziej. Zwykli skaa, nwet miejscy, nie mieli pojęcia o Odpychaniu Stali i spalaniu Cyny z Ołowiem. Kiedy widzieli Kelsiera lecącego w powietrzu lub pojedynkującego się z nadnaturalną siłą, przypisywali to bezpostaciowej „Magii Allomancji”. Kelsierowi to nieporozumienie wcale nie przeszkadzało.

Jednakże pomimo bardzo aktywnego tygodnia, ani na chwilę nie zapominał o rozmowie z Hamem.

Jak on w ogóle może się zastanawiać, czy skaa są gorsi, myślał Kelsier, dziobiąc jedzenie. Siedział przy najwyższym stole w centralnej jaskini, która była dość duża, by pomieścić całą armię siedmiu tysięcy ludzi, choć wielu wolało siedzieć w bocznych komorach albo tunelach. Wysoki stół znajdował się na wzniesionej formacji skalnej w głębi pieczary.

Chyba za bardzo się martwię. Ham chętnie rozmyśla o sprawach, których żaden normalny człowiek nie próbowałby nawet roztrząsać, ot, jeszcze jeden z jego dylematów filozoficznych. Pewnie zdążył już zapomnieć o swoich niedawnych rozterkach. Śmieje się z Yedenem i je ze smakiem.

Kelsier chyba był jedynym, któremu nie smakował posiłek. Wieczorna strawa, przywieziona barkami specjalnie na tę okazję, była skromna, według standardów arystokracji, lecz o wiele smaczniejsza niż to, do czego przywykli żołnierze. Ludzie smakowali zatem posiłek z radością i werwą, pijąc skromne racje ale i ciesząc się chwilą.

A Kelsier się martwił. Czy ci żołnierze wiedzą, o co walczą? Szkolenie przyjmowali z wyraźnym entuzjazmem, ale równie dobrze mogło to być spowodowane regularnymi posiłkami. Czy naprawdę uważali, że zasługują na obalenie Ostatniego Imperium? Czy uważają, że skaa są gorsi od szlachty?

Kelsier czuł ich rezerwę. Wielu zdawało sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa i jedynie ścisłe przepisy dotyczące wychodzenia nie pozwalały im uciec. Chętnie mówili o swoim szkoleniu, unikali jednak rozmów na temat ostatecznego zadania – przejęcia pałacu i murów miasta, a potem odparcia Garnizonu Luthadel.

Nie wierzą, że może im się udać, domyślał się Kelsier. Potrzebują pewności siebie. Plotki na mój temat to początek, ale...

Trącił Hama, żeby zwrócić jego uwagę.

– Czy są tu ludzie, którzy sprawiali ci problemy dyscyplinarne? – zapytał cicho.

Zdziwiony pytaniem Ham zmarszczył brwi.

– Jest kilku, oczywiście, sądzę, że w tak wielkiej grupie zawsze znajdą się dysydenci.

– Ktoś szczególny? – dopytywał się Kelsier. – Ktoś, kto chciał odejść? Potrzebuję kogoś, kto potrafi wyrazić swój sprzeciw w stosunku do tego co robimy.

– Jest tu paru takich – odrzekł Ham.

– A w tej grupie? – zapytał Kelsier. – Najlepiej, gdyby siedział przy stole, który możemy widzieć.

Ham myślał przez chwilę, spoglądając po tłumie.

– Człowiek siedzący przy drugim stole, w czerwonym płaszczu. Został schwytany na próbie ucieczki kilka tygodni temu.

Człowiek, o którym mówił, był chuderlawy i nerwowy. Siedział przy stole zgarbiony, z odpychającą miną.

Kelsier pokręcił głową.

– Potrzebuję kogoś bardziej charyzmatycznego.

Ham potarł w zadumie podbródek. Zamyślił się i skinął głową w kierunku drugiego stołu.

– Bilg. Ten wielki facet siedzący przy czwartym stole od prawej.

– Widzę – odrzekł Kelsier.

Bilg był potężnym, brodatym mężczyzną w kamizelce.

– Jest za cwany, żeby okazać niesubordynację – rzekł Ham. – Ale po cichu sprawia kłopoty. Nie wierzy, że mamy szansę w starciu z Ostatnim Imperium. Zamknąłbym go, ale nie mogę ukarać kogoś za to, że wyraża strach... a przynajmniej, gdybym to uczynił, musiałbym zamknąć połowę armii. Poza tym to zbyt dobry wojownik, żeby siedział bezczynnie.

– Doskonały – mruknął Kelsier.

Zapalił cynk, potem spojrzał na Bilga. Cynk nie pozwolił mu wprawdzie odczytać uczuć tamtego, lecz umożliwiał – na czas spalania metalu – wyizolowanie pojedynczego osobnika do Uspokojenia lub Podżegania, podobnie jak można było wyizolować pojedynczy kawałek metalu spośród setek, aby go Przyciągnąć.

Nawet jemu było jednak trudno wyizolować Bilga ze zgromadzonego tłumu, więc skoncentrował się na całym stole, utrzymując ich emocje „pod ręką” na później. Wstał. W jaskini natychmiast zapanowała cisza.

– Posłuchajcie, zanim odejdę, chciałbym po raz ostatni powiedzieć, jak wielkie wrażenie wywarła na mnie ta wizyta.

Jego słowa rozbrzmiewały w całym pomieszczeniu, wzmocnione naturalną akustyką jaskini.

– Staliście się doskonałą armią – mówił. – Przepraszam, że zabieram wam generała Hammonda, ale pozostawiam na jego miejsce bardzo kompetentnego człowieka. Wielu z was zna generała Yedena. Wiecie, że przez wiele lat był przywódcą rebelii. Ufam jego zdolnościom i wierzę, że wyszkoli was jeszcze lepiej.

Zaczął Podżegać Bilga i jego towarzyszy, rozpalając ich emocje, licząc na to, że nie zgadzają się z jego opinią.

– Żądam od was wypełnienia ogromnego zadania – mówił Kelsier, nie patrząc na Bilga. – Skaa poza Luthadelem... właściwie chyba większość skaa nie ma pojęcia, co zamierzacie dla nich zrobić. Nie uświadamiają sobie ciężaru szkolenia, jakie przechodzicie, ani walk, jakie będziecie toczyć. Jednakże to oni zbiorą plony. Pewnego dnia nazwą was bohaterami.

Z każdą chwilą coraz mocniej Podżegał emocje Bilga.

– Garnizon Luthadelu jest silny – mówił Kelsier. – Ale możemy go pokonać... zwłaszcza jeśli szybko weźmiemy mury miasta. Nie zapominajcie, po co tu jesteście. Nie chodzi tylko o to, by nauczyć się machać mieczem lub nosić hełm. Chodzi o rewolucję, taką jakiej świat jeszcze nie widział, chodzi o przejęcie władzy i wypędzenie Ostatniego Imperatora. Nie traćcie celu z pola widzenia.

Zawiesił głos.

Kątem oka widział mroczne grymasy na twarzach ludzi siedzących przy stole Bilga. Wreszcie, w całkowitej ciszy, usłyszał niewyraźnie wymamrotaną odpowiedź, którą dzięki akustyce pieczary usłyszeli wszyscy.

Kelsier zmarszczył brwi i spojrzał na Bilga. W pieczarze zapadła jeszcze większa cisza.

– Mówiłeś coś? – zapytał.

Chwila decyzji. Stawi opór czy da się onieśmielić?

Bilg spojrzał mu w oczy. Kelsier uderzył w niego rozjarzonym Podżeganiem i został nagrodzony, kiedy Bilg z poczerwieniałą twarzą zerwał się od stołu.

– Tak, sir – warknął olbrzym. – Powiedziałem coś. Powiedziałem, że niektórzy z nas nie stracili z pola widzenia naszego celu. Myślimy o nim codziennie.

– A dlaczegóż to? – zapytał Kelsier. W głębi sali rozległ się szmer szeptów, kiedy żołnierze przekazywali z ust do ust nowiny tym, którzy nie

mogli słyszeć.

Bilg odetchnął głęboko.

– Ponieważ, sir, uważamy, że wysyłacie nas na śmierć. Armia Ostatniego Imperium jest większa niż jeden garnizon. Nieważne, że weźmiemy mury... i tak nas pozarzynają. Nie uda ci się obalić imperium kilkoma tysiącami żołnierzy.

Doskonale, pomyślał Kelsier. Przepraszam, Bilg, ktoś to musiał powiedzieć, a z pewnością nie mógłbym to być ja.

– Widzę, że między nami występuje różnica zdań – rzekł Kelsier. – Ja wierzę w tych ludzi i ich zaangażowanie.

– A ja wierzę, że jesteś obłąkany manią wielkości! – ryknął Bilg. – Byłem idiotą, przychodząc do tych cholernych jaskiń. Jeśli tak jesteś pewien naszych szans, dlaczego nikt nie może stąd wychodzić? Będziemy tu uwięzieni, dopóki nie zostaniemy wysłani na śmierć!

– Obrażasz mnie – warknął Kelsier. – Wiesz doskonale, dlaczego ludzie nie mogą wychodzić z jaskiń. Gdzie tak bardzo chcesz iść, żołnierzu? Spieszno ci sprzedać twoich towarzyszy Ostatniemu Imperatorowi? Kilka szybkich skrzyńców w zamian za cztery tysiące istnień?

Twarz Bilga stała się jeszcze bardziej czerwona.

– Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego, ale z pewnością nie dam ci się posłać na śmierć! Ta armia to marnotrawstwo!

– To słowa zdrajcy – rzekł Kelsier, rozglądając się w tłumie. – Nie uchodzi, żeby generał walczył ze swoim podkomendnym. Czy znajdzie się żołnierz, który zechce bronić honoru rebelii?

Kilkudziesięciu żołnierzy natychmiast zerwało się z miejsc. Kelsier skoncentrował wzrok na jednym z nich.

– Kapitan Demoux.

Młody kapitan natychmiast podbiegł do niego.

Kelsier sięgnął do pasa, chwycił miecz i rzucił go tamtemu.

– Umiesz tego używać, chłopcze?

– Tak, sir!

– Znajdźcie jakąś broń dla Bilga i dwie pikowane kamizelki. – Kelsier spojrzał na Bilga. – Szlachta ma taką tradycję. Kiedy dwóch ludzi się spiera, rozstrzygają sprawę poprzez pojedynek. Pokonaj mojego czempiona, a będziesz mógł odejść.

– A jeśli to on mnie pokona? – zapytał Bilg.

– Wtedy umrzesz – odrzekł Kelsier.

– Umrę, jeśli zostanę – odparł Bilg, biorąc miecz od najbliższego z żołnierzy. – Przyjmuję warunki.

Kelsier skinął głową, czekając, aż kilku ludzi rozsunie stoły i zrobi trochę miejsca przed podwyższeniem. Wszyscy zaczęli wstawać z miejsc, żeby obejrzeć walkę.

– Kell, co ty robisz? – syknął mu nad uchem Ham.

– Coś co trzeba zrobić.

– Trzeba... Kelsier, ten chłopak nie da rady Bilgowi! Ufam Demoux... dlatego go awansowałem, ale nie jest aż tak dobrym wojownikiem. Bilg to jeden z najlepszych szermierzy w armii!

– Ludzie o tym wiedzą? – zapytał Kelsier.

– Oczywiście – odparł Ham. – Przerwij to. Demoux jest o połowę mniejszy od Bilga... ma mniejszy zasięg, siłę i umiejętności. Zostanie posiekany!

Kelsier zignorował to żądanie. Usiadł spokojnie, czekając, aż Bilg i Demoux zważą w dłoniach miecze, a koledzy zawiążą na nich skórzane kirasy. Kiedy byli gotowi, Kelsier uniósł dłoń, gestem nakazując rozpoczęcie walki.

Ham jęknął.

Walka miała być krótka. Obaj mężczyźni mieli długie miecze i słabą ochronę. Bilg, pewny siebie, natychmiast wyszedł naprzód i wykonał kilka próbnych cięć w stronę Demoux. Chłopak przynajmniej wiedział, o co chodzi – zablokował ciosy, ale tym samym ujawnił swoje umiejętności.

Kelsier odetchnął głęboko i zapalił stal i żelazo.

Bilg zamachnął się i Kelsier odepchnął leciutko ostrze w bok, dając Demouxowi miejsce do ucieczki. Chłopak spróbował pchnięcia, ale Bilg łatwo je sparował. Teraz większy wojownik zaatakował serią ciosów, aż Demoux zaczął się cofać i potykać. Próbował uskoczyć przed ostatnim ciosem, ale był za wolny. Ostrze opadało ze straszliwą nieuchronnością.

Kelsier rozjarzył żelazo – ustabilizował się przez Pociągnięcie uchwytu latarni za plecami – po czym chwycił żelazne ćwieki na kamizelce Demoux. Pociągnął, kiedy chłopak skoczył i małym łukiem szarpnął go w tył, z dala od Bilga.

Demoux wylądował niezgrabnie, potykając się, a miecz Bilga uderzył z rozmachem w kamienne podłoże. Zaskoczony Bilg podniósł wzrok,

a w tłumie przetoczył się pomruk zdumienia.

Bilg warknął i z uniesionym mieczem rzucił się w stronę Demoux, który zablokował potężny cios. Olbrzym odbił jego miecz niedbałym machnięciem. Uderzył znowu i Demoux odruchowo uniósł dłoń w obronnym geście.

Kelsier Pchnął, zatrzymując miecz Bilga w pół drogi. Demoux zamarł z wyciągniętą ręką, jakby zatrzymał opadającą broń siłą myśli. Obaj stali tak przez chwilę. Bilg próbował opuścić miecz, a Demoux ze zdumieniem gapił się na swoją rękę. Demoux nagle wyprostował się odrobinę i nieśmiało wysunął rękę w przód.

Kelsier znów Pchnął, odrzucając Bilga w tył. Potężny wojownik upadł na ziemię z okrzykiem zaskoczenia. Kiedy chwilę potem dźwignął się na nogi, Kelsier nie musiał już Podżegać jego uczuć, żeby go rozgniewać. Olbrzym ryknął wściekle, chwycił miecz w obie dłonie i rzucił się na Demoux.

Niektórzy ludzie nie wiedzą, kiedy przestać, pomyślał Kelsier, kiedy tamten wznosił miecz.

Demoux zaczął się uchylać. Kelsier odepchnął chłopca w bok, spychając go z drogi ostrza. Wtedy Demoux obrócił się, ujął miecz w obie ręce i zamachnął się na Bilga. Kelsier przechwycił jego broń w pół łuku i Pchnął potężnie, opuszczając stal z ogromną siłą rozjarzonego żelaza.

Miecze starły się i cios Demouxa, wzmocniony przez Kelsiera, wytrącił Bilgowi broń z dłoni. Rozległ się ostry trzask i Bilg upadł na podłogę – całkiem wytrącony z równowagi potężnym ciosem. Jego broń poleciała na kamienne podłoże i zatrzymała się opodal.

Demoux wystąpił naprzód, wznosząc broń nad oszołomionym Bilgiem. I nagle zatrzymał się. Kelsier zapalił żelazo, sięgnął, aby chwycić miecz i Pociągnąć w dół, zmuszając do zadania śmiertelnego ciosu, lecz Demoux stawił opór.

Kelsier się zawahał. Ten człowiek powinien zginąć, pomyślał gniewnie. Leżący na ziemi Bilg jęknął cicho. Miał wykręcone ramię i kość strzaskaną siłą uderzenia. Ramię krwawiło.

Nie, pomyślał. To wystarczy.

Uwolnił broń Demoux. Ten opuścił miecz, gapiąc się na Bilga. Potem uniósł ręce, przyglądając im się ze zdumieniem. Ramiona drżały mu lekko.

Kelsier wstał i w sali znów zapanowała cisza.

– Myślicie, że wyślę was na spotkanie z Ostatnim Imperatorem nieprzygotowanych? – zapytał głośno. – Myślicie, że poślę was po prostu na śmierć? Walczycie o sprawiedliwość, ludzie! Walczycie dla mnie. Nie pozostawię was bez pomocy, kiedy ruszycie na żołnierzy Ostatniego Imperium!

Uniósł rękę, pokazując wszystkim małą sztabkę metalu.

– Słyszeliście o tym, prawda? Znacie plotki o Jedenastym Metalu? Widzicie, mam go. I użyję go. Ostatni Imperator zginie!

Żołnierze zaczęli wiwatować.

– To nie jest nasze jedyne narzędzie! – ryknął Kelsier. – Wy, żołnierze, macie w sobie nieopisaną siłę! Słyszeliście o arkanach magii używanej przez Ostatniego Imperatora? Więc my mamy swoje własne! Ucztujcie, moi żołnierze, nie bójcie się nadchodzącej bitwy. Cieszcie się na nią!

Sala zatrzęsła się od wiwatów, a Kelsier nakazał wydać więcej ale. Kilku służących podbiegło, żeby pomóc Bilgowi.

Kiedy Kelsier usiadł, Ham zmarszczył brwi.

– Kell, to mi się nie podoba.

– Wiem – odparł tamten.

Ham chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Yeden właśnie pochylił się ku nim.

– To było niesamowite! Kelsier... nie wiedziałem! Powinienem był wiedzieć, że potrafisz swoją moc przekazać innym! Z takimi możliwościami, jak możemy przegrać?

Ham położył dłoń na ramieniu Yedena i przemocą posadził go z powrotem na miejscu.

– Jedz! – rozkazał. Potem spojrzał na Kelsiera, przyciągnął sobie krzesło i szepnął: – Właśnie okłamałeś całą moją armię, Kell.

– Nie, Ham – odparł Kelsier. – Okłamałem swoją armię.

Ham znieruchomiał. Twarz mu pociemniała.

Kelsier westchnął.

– To kłamstwo było jedynie częściowe. Nie muszą być wojownikami, muszą jedynie wyglądać groźnie tak długo, aż dobierzemy się do atium. Wtedy przekupimy Garnizon i nasi ludzie nie będą nawet musieli walczyć. Zatem wychodzi prawie na to samo, co im obiecałem.

Ham nie odpowiedział.

– Zanim wyjdziemy – dodał Kelsier – chcę, żebyś wybrał dwa tuziny najbardziej zaufanych i gorliwych żołnierzy. Zabierzemy ich z powrotem do Luthadelu... z zastrzeżeniem pod przysięgą, że nie zdradzą lokalizacji armii – by wieść o tym wieczorze rozeszła się pośród skaa.

– Więc chodzi tylko o twoje ego? – warknął Ham.

Kelsier pokręcił głową.

– Czasem musimy robić różne rzeczy, które uważamy za odrażające, Ham. Moje ego jest dość ważne, ale tutaj chodzi o coś całkiem innego.

Ham siedział przez chwilę nieruchomo, po czym wrócił do posiłku. Nie jadł jednak – gapił się na kałużę krwi przed podwyższeniem.

Ach, Ham, pomyślał Kelsier. Szkoda, że nie mogę ci wytłumaczyć wszystkiego.

Spiski w spiskach, plany w planach.

Zawsze jest kolejna tajemnica.

Z początku byli tacy, którzy uważali, że Głębia nie stanowi poważnego zagrożenia, a przynajmniej dla nich. Przyniosła ona jednak zarazę, która ogarnęła prawie wszystkie ziemie. Armia jest bezużyteczna w walce z nią. Wielkie miasta padają od jej potęgi. Zboża nie dają plonów, ziemia umiera.

Walczę z nią. To potwór, którego muszę pokonać. Obawiam się, że zbyt długo zwlekałem. Zniszczenia są tak ogromne, że obawiam się o przetrwanie ludzkości.

Czy to naprawdę koniec świata, jaki przepowiedzieli filozofowie?

22

„Przyjechaliśmy do Terris w tym tygodniu” – czytała Vin – „i muszę powiedzieć, że to piękny kraj. Wielkie góry na północy – z nagimi, ośnieżonymi szczytami i okryte płaszczem lasów – stoją nad tą ziemią zielonej obfitości jak czujni bogowie. Moje ziemie na południu są w większości równinne; może wyglądałyby mniej posępnie, gdyby kilka gór nieco odmieniło okolicę.

Ludzie tutaj zajmują się głównie pasterstwem – choć zdarzają się często farmerzy i zbieracze drewna. To istotnie wiejska okolica. Wydaje się dziwne, że tak zdecydowanie rolniczy kraj mógł zrodzić proroctwa i teologie, na których opiera się teraz cały świat.

Wynajęliśmy grupę terrisańskich tragarzy, żeby poprowadzili nas przez trudne górskie ścieżki. Nie są to jednak zwyczajni ludzie. Opowieści są najwidoczniej prawdziwe – niektórzy Terrisanie mają niezwykłą zdolność, ogromnie intrygującą. Potrafią w jakiś sposób magazynować siły na kolejny dzień. Nim zasną wieczorem, leżą na swoich burkach przez godzinę, i w tym czasie nagle zaczynają sprawiać wrażenie ogromnie wyniszczonych, jakby się postarzeli o pół wieku. Jednak, kiedy budzą się następnego ranka, stają się całkiem muskularni. Widocznie ich moc ma coś wspólnego z metalowymi bransoletami i kolczykami, które zawsze noszą.

Przywódca tragarzy nazywa się Rashek i jest dość mrukowaty. Mimo to Braches, jak zawsze ciekawski, obiecał go wypytać w nadziei, że dowie się, jak odbywa się to tajemnicze magazynowanie sił.

„Jutro rozpoczynamy ostatni dzień naszej pielgrzymki – Odległe Góry Terris. Tam być może wreszcie odnajdę spokój – zarówno dla siebie, jak i mojej biednej ziemi”.

***

Czytając swój egzemplarz dziennika, Vin szybko doszła do kilku wniosków. Pierwszym było stanowcze przekonanie, że nie lubi czytać. Sazed nie chciał słuchać jej skarg, twierdził, że po prostu zbyt mało ćwiczyła. Czy on nie widzi, że czytanie nie jest równie przydatną umiejętnością, jak używanie sztyletu czy Allomancji?

Czytała jednak dalej, zgodnie z zaleceniami – choćby tylko po to, żeby ze zwykłym dla siebie uporem pokazać, że może. Wiele słów użytych w dzienniku było dla niej zbyt trudnych i musiała przenieść się z czytaniem do odległych zakamarków zamku Renoux, gdzie mogła je w spokoju przeczytać na głos, usiłując rozszyfrować dziwny styl pisma Ostatniego Imperatora.

Dalsza lektura doprowadziła ją do drugiego wniosku: Ostatni Imperator był o wiele większym mazgajem, niż wypada jakiemukolwiek bogu. Kiedy

nie wypełniał stron notatnika nudnymi informacjami na temat swoich podróży, przelewał na nie swe rozważania i przydługawe moralistyczne bełkoty. Vin zaczynała żałować, że w ogóle znalazła tę książkę.

Westchnęła i poprawiła się w wiklinowym fotelu. Chłodny, wczesnowiosenny wietrzyk omiatał dolne ogrody, przelatując ponad niewielkim źródełkiem z fontanną po jej lewej stronie. Powietrze było przyjemnie wilgotne, a drzewa nad jej głową osłaniały ją przed popołudniowym słońcem. Przynależność do szlachty – nawet fałszywej – z pewnością miała swoje zalety.

Za jej plecami rozległe się ciche kroki. Były odległe, ale Vin przyzwyczaiła się, żeby zawsze palić odrobinę cyny. Obróciła się, ukradkiem spoglądając przez ramię.

– Spook?! – zawołała zaskoczona, gdy na ogrodowej ścieżce pojawił się młody Lestibournes. – Co ty tu robisz?

Spook znieruchomiał i się zarumienił.

– Byłżem z Doxem tu przyjść i nie mam zostania.

– Dockson?! – zawołała. – Dox też tu jest?

Może ma wieści o Kelsierze?

Spook skinął głową i podszedł bliżej.

– Broń do brania, do oddania na chwilę czasu.

Vin spojrzała niepewnie.

– Teraz mnie zagiąłeś.

– Musimy przewieźć trochę broni – poprawił się Spook, walcząc z dialektem. – Przechowamy je tutaj na trochę.

– Aha – odrzekła, wstając i otrzepując suknię. – Powinnam się z nim zobaczyć.

Spook zrobił nagle przerażoną minę i zarumienił się. Vin przechyliła głowę.

– Coś jeszcze?

Nagłym gestem Spook sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął coś. W odpowiedzi Vin rozjarzyła cynę z ołowiem, lecz przedmiot ten okazał się tylko różowo-białą chusteczką. Spook podstawił jej szmatkę pod nos.

Wzięła ją z wahaniem.

– A to na co?

Spook zarumienił się znowu, odwrócił i popędził z powrotem.

Vin przyglądała mu się ogłupiała. Spojrzała na chusteczkę – kawałek delikatnej koronki, nie było w niej jednak niczego nadzwyczajnego.

Dziwny z niego chłopak – pomyślała, wsuwając chusteczkę do rękawa. Wzięła kopię dziennika i ruszyła w dół ścieżką ogrodową. Zaczęła się już tak przyzwyczajać do sukien, że ledwie musiała zwracać uwagę, by chronić dolne falbany przed kontaktem z kamieniami lub trawą.

Chyba samo to już jest cenną umiejętnością, pomyślała, gdy dotarła do tarasu ogrodowego zamku, nie zahaczając ani razu o gałązki. Otwarła wielosegmentowe oszklone drzwi i zatrzymała pierwszego służącego, jakiego spotkała.

– Czy pan Delton przyjechał? – zapytała, używając fałszywego nazwiska Docksona. Stanowiło ono część roli jednego z kontaktów handlowych Renoux w Luthadelu.

– Tak, pani – odparł służący. – Konferuje teraz z lordem Renoux.

Vin pozwoliła mu odejść. Mogłaby próbować przyłączyć się do rozmowy, ale to nie byłoby właściwe. Lady Valette nie miała powodu uczestniczyć w rozmowach handlowych pomiędzy Renoux i Deltonem.

Zagryzła w zadumie dolną wargę. Sazed mówił zawsze, że powinna dbać o pozory. Doskonale, pomyślała. Zaczekam. Może Sazed powie mi, czego ten szalony dzieciak chce ode mnie z tą swoją chusteczką?

Ruszyła do górnej biblioteki, z przyklejonym na twarzy uprzejmym uśmiechem młodej damy, lecz w duchu zastanawiając się, o czym rozmawiają Renoux i Dockson. Przywóz broni był pretekstem – Dockson nie fatygowałby się osobiście w tak przyziemnej sprawie. Może Kelsiera coś zatrzymało. Może Dockson zdołał wreszcie nawiązać kontakt z Marshem – bratem Kelsiera, który wraz z innymi młodymi obligatorami wkrótce powinien zjawić się w Luthadelu.

Dockson i Renoux mogli po mnie posłać, pomyślała z irytacją. Valette często przyjmowała gości z wujem.

Pokręciła głową. Kelsier wprawdzie twierdził, że uważa ją za pełnoprawnego członka grupy, ale pozostali widocznie wciąż traktowali ją jak dziecko. Byli przyjacielscy, akceptowali ją, ale nie zawsze pamiętali, by ją włączyć do rozmowy. Prawdopodobnie nie było to umyślne, ale przez to nie stawało się ani trochę mniej frustrujące.

Z biblioteki padał strumień światła. Jasne, Sazed był w środku, tłumacząc ostatnie stronice z dziennika. Na widok Vin uśmiechnął się

i z szacunkiem skinął głową.

Teraz też nie ma okularów, zauważyła. Po co nosił je akurat wtedy, przez krótką chwilę?

– Panienko Vin – zagadnął, wstając, by podsunąć jej fotel – Jak idzie lektura dziennika?

Vin spojrzała na luźno spięte stronice w dłoni.

– Chyba dobrze. Nie wiem, po co sobie zwracam głowę ich czytaniem; dałeś przecież kopie Kellowi i Breeze'owi, prawda?

– Oczywiście – odrzekł Sazed, ustawiając fotel przy biurku. – Jednak mistrz Kelsier polecił, aby każdy członek grupy przeczytał tę książkę. Ma rację, że tak uczynił, moim zdaniem. Im więcej oczu przeczyta te słowa, tym łatwiej przyjdzie nam rozszyfrować zawarte w nich sekrety.

Vin westchnęła, wygładziła suknię i usiadała. Biało-błękitna sukienka była prześliczna, choć przeznaczona do codziennego użytku, była nie mniej piękna niż jej suknie balowe.

– Musisz przyznać, panienko – rzekł Sazed, siadając – że tekst jest niezwykły. Ta praca to marzenie Opiekuna. Odkrywam na temat mojej kultury informacje, o których nie miałem do tej pory pojęcia!

Vin skinęła głową.

– Właśnie doszłam do miejsca, w którym docierają do Terris.

Mam nadzieję, że kolejna część będzie zawierała mniej list zapasów. Jednak, jak na złego boga ciemności, z pewnością potrafi być nudny.

– Tak, tak – odparł z entuzjazmem Sazed. – Czy widziałaś, co pisał, jak opisywał Terris jako miejsce „zielonej obfitości"? Mówią o tym nawet legendy Opiekunów. Teraz Terris jest tundrą zamarzniętego pyłu, chyba nie mogłyby już tam rosnąć żadne rośliny. Kiedyś jednak był piękny i zielony, jak opowiada tekst.

Piękny i zielony, pomyślała Vin. Dlaczego zielony miałby być piękny? To, jak niebieskie lub fioletowe rośliny, wygląda po prostu dziwnie.

W książce było jednak coś, co ją bardzo zaciekawiło. Zarówno Kelsier, jak i Sazed pomijali ten fragment tekstu.

– Właśnie przeczytałam, jak Ostatni Imperator wynajął kilku terrisańskich tragarzy – odezwała się ostrożnie. – Pisał, że stają się silni w ciągu dnia, ponieważ w nocy pozwalają sobie na słabość.

Sazed nagle spoważniał.

– Tak, istotnie.

– Wiesz coś na ten temat? Czy to ma coś wspólnego z byciem Opiekunem?

– Tak – odparł. – Ale powinno pozostać tajemnicą, jak sądzę. Nie chodzi o to, że nie jesteś godna zaufania, panienko Vin. Jednak im mniej ludzi wie coś o Opiekunach, tym mniej się będzie o nas mówiło. Najlepiej byłoby, gdyby Ostatni Imperator zaczął wierzyć, że całkiem nas zniszczył, jak zresztą próbował to zrobić przez ostatnie tysiąc lat.

Wzruszyła ramionami.

– Niech będzie. Mam nadzieję, że żaden z sekretów, jakie mielibyśmy zdaniem Kelsiera odszukać, nie ma nic wspólnego z terrisańskimi mocami, bo jeśli tak, to na pewno je przeoczę.

Sazed znieruchomiał.

– No dobrze – mruknęła nonszalancko, przerzucając stronice tekstu. – Zdaje się, że o Terrisanach mówi tu całkiem sporo. Chyba niewiele będę mogła pomóc, kiedy Kelsier wróci.

– Chyba masz rację – powoli odrzekł Sazed. – Nawet jeśli robisz to dość melodramatycznie.

Vin uśmiechnęła się zalotnie.

– Dobrze – mruknął z ciężkim westchnieniem. – Nie powinienem chyba pozwalać spędzać ci tyle czasu z mistrzem Breeze’em.

– Ci ludzie w książce – zagadnęła. – Czy to Opiekunowie?

Sazed skinął głową.

– Ci, których teraz nazywamy Opiekunami, kiedyś byli bardzo popularni, może nawet bardziej niż Mgliści wśród obecnej szlachty. Nasza sztuka jest nazywana Feruchemią i daje umiejętność przechowywania niektórych atrybutów fizycznych w kawałkach metalu.

Vin zmarszczyła brwi.

– Też palicie metale?

– Nie, panienko – odparł, kręcąc głową. – Feruchemicy nie są podobni do Allomantów. Nie „spalamy” naszych metali. Używamy ich jako magazynów. Każdy kawałek metalu, zależnie od wielkości i stopu, może zawierać pewną cechę fizyczną. Feruchemicy magazynują atrybut, po czym w razie potrzeby sięgają po niego.

– Atrybut? – powtórzyła. – Jak siła?

Przytaknął.

– W tekście terrisańscy tragarze osłabiają się wieczorem, aby zmagazynować siłę w bransoletach i użyć jej nazajutrz.

Vin spojrzała na niego uważnie.

– To dlatego nosisz tyle kolczyków!

– Tak, panienko – odparł i sięgnął ręką, by unieść rękawy. Pod szatą nosił wokół ramion kilka grubych bransolet. – Niektóre z moich zasobów ukrywam, ale noszenie wielu pierścieni, kolczyków i innej biżuterii stanowiło od zawsze część terrisańskiej kultury. Ostatni Imperator kiedyś próbował nałożyć na Terrisan zakaz noszenia i posiadania metali – usiłował nawet uczynić z noszenia metali przywilej szlachty.

Vin zmarszczyła brwi.

– Dziwne – mruknęła. – Można by pomyśleć, że szlachta nie zechce nosić metalu, ponieważ to uczyni ją wrażliwą na Allomancję.

– Właśnie – zgodził się. – Jednak od dawna w imperialnej modzie istniał obyczaj zdobienia garderoby metalami. Podejrzewam, że zaczęło się to od pragnienia Ostatniego Imperatora, by zakazać Terrisanom dotykać metali. Sam również zaczął nosić metalowe pierścienie i bransolety, a szlachta zawsze naśladuje jego styl. Dzisiaj najbogatsi często noszą metal jako symbol potęgi i dumy.

– Głupio to brzmi – zauważyła.

– Moda częto jest głupia, panienko – odparł. – Nieważne, ale ten zamysł się nie powiódł; wielu możnych nosi drewno pomalowane tak, by przypominało metal, a Terris zdołała przetrwać niezadowolenia Ostatniego Imperatora w tej kwestii. Zakazywanie służbie dotykania metali jest po prostu niepraktyczne, co jednak nie powstrzymało Ostatniego Imperatora przed próbą wytępienia Opiekunów.

– Boi się was.

– I nienawidzi. Nie tylko Feruchemików, ale wszystkich Terrisan. – Sazed położył dłoń na nieprzetłumaczonej jeszcze części tekstu. – Mam nadzieję znaleźć tu i ten sekret. Nikt nie pamięta, dlaczego Ostatni Imperator prześladuje lud terrisański, ale podejrzewam, że ma to coś wspólnego z tymi tragarzami. Ich przywódca, Rashek, wydaje się bardzo nieprzyjemnym człowiekiem. Ostatni Imperator często o nim wspomina w narracji.

– Wspomniał też o religii – dodała Vin. – Terrisańskiej religii. Coś na temat proroctw?

Sazed pokręcił głową.

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, panienko, ponieważ na temat terrisańskiej religii wiem tyle samo, co ty.

– Ale przecież zbierasz religie – odparła. – Nie znasz swej własnej?

– Nie znam – odrzekł poważnie Sazed. – Widzisz, panienko, po to zostali stworzeni Opiekunowie. Wiele wieków temu mój lud ukrył ostatnich Feruchemików. Eksterminacja Terrisan przez Ostatniego Imperatora stawała się coraz bardziej gwałtowna – nastąpiło to przed wdrożeniem programu hodowli. Wtedy nie byliśmy lokajami ani sługami, nie byliśmy nawet skaa. Byliśmy czymś, co należy zniszczyć. Coś jednak powstrzymywało Ostatniego Imperatora przed całkowitym wymordowaniem – nie wiem co, możliwe, że uznał, że zniszczenie całej rasy jest zbyt małą karą. W każdym razie udało mu się zniszczyć naszą religię w ciągu pierwszych dwustu lat panowania. Organizacja Opiekunów została stworzona w kolejnym stuleciu, a jej członkowie skupiają się na odnalezieniu tego, co zaginęło, i zapamiętaniu na przyszłość.

– Za pomocą Feruchemii?

Sazed skinął głową, pocierając palcami bransoletę na prawym ramieniu.

– Ta jest wykonana z miedzi, pozwala na zapamiętywanie wspomnień i myśli. Każdy Opiekun nosi po kilka takich bransolet, wypełnionych wiedzą – pieśniami, opowieściami, modlitwami, historią i językami. Wielu Opiekunów ma szczególne dziedziny, którymi się interesuje. Moją jest religia, ale wszyscy pamiętamy całość. Jeśli tylko jeden z nas przeżyje do śmierci Ostatniego Imperatora, lud świata będzie w stanie odzyskać wszystko, co stracił.

Urwał i opuścił rękaw.

– No cóż, nie wszystko, co stracił. Pewnych informacji wciąż brakuje.

– Wasza własna religia – odparła cicho Vin. – Nie odnalazłeś jej, prawda?

Pokręcił głową.

– Ostatni Imperator twierdzi w swoim pamiętniku, że to nasi prorocy doprowadzili go do Studni Wstąpienia, ale nawet to jest dla nas nową informacją. W co wierzyliśmy? Co lub kogo czciliśmy? Skąd pochodzili ci terrisańscy prorocy, jak przewidywali przyszłość?

– Przykro mi.

– Wciąż szukamy, panienko. W końcu znajdziemy odpowiedzi, jak sądzę. A nawet jeśli nie, i tak oddamy ludzkości nieocenioną przysługę. Inni nazywają nas pokornymi i służalczymi, ale i tak z nim walczymy, na swój własny sposób.

Skinęła głową.

– Co jeszcze możecie przechowywać? Siłę i wspomnienia. Jeszcze coś?

Sazed spojrzał na nią uważnie.

– I tak już zbyt wiele powiedziałem. Rozumiesz mechanikę tego, co robimy. Jeśli Ostatni Imperator wspomni o tym w swoim tekście, nie będziesz zdziwiona.

– Wzrok – zauważyła. – Dlatego przez kilka tygodni po uratowaniu mnie nosiłeś okulary! Musiałeś mieć możliwość lepszego widzenia nocą podczas akcji i zużyłeś cały zasób. A potem przez kilka tygodni miałeś zbyt słaby wzrok, żeby je odtworzyć.

Sazed nie odpowiadał na komentarz. Podniósł pióro, zamierzając wrócić do tłumaczenia.

– Jeszcze coś, panienko?

– Właściwie tak – odparła Vin, wyjmując z rękawa chusteczkę. – Masz jakieś pojęcie, co to może być?

– Wygląda mi to na chusteczkę, panienko.

Vin uniosła brew.

– Bardzo śmieszne. Chyba za dużo zadajesz się z Kelsierem, Sazed.

– Wiem – odparł z cichym westchnieniem. – Zepsuł mnie, jak sądzę. Nieważne, nie rozumiem twojego pytania. Co jest szczególnego w tej konkretnej chusteczce?

– Właśnie to chcę wiedzieć – odparła. – Spook dał mi ją kilka minut temu.

– Ach, dopiero teraz rozumiem.

– Co? – zapytała.

– W szlachetnie urodzonych kręgach, panienko, chusteczka jest tradycyjnym podarunkiem, jaki młodzieniec daje damie, do której zamierza się poważnie zalecać.

Vin spojrzała na chusteczkę, wstrząśnięta.

– Co? Czy ten chłopak oszalał?

– Większość chłopców w tym wieku jest nieco szalonych, panienko, jak sądzę – odparł Sazed z uśmiechem. – Nie jest to jednak nic

niespodziewanego. Nie zauważyłaś, jak się gapi na ciebie, kiedy wchodzisz do pokoju?

– Cały czas uważałam, że jest przerażający. Co on sobie myśli? Jest o tyle lat młodszy ode mnie.

– Ma piętnaście lat, panienko, to znaczy, że jest młodszy tylko o rok.

– Dwa – poprawiła. – Właśnie w zeszłym tygodniu skończyłam siedemnaście.

– I tak nie jest o wiele młodszy od ciebie.

Vin wzniosła oczy w górę.

– Nie mam czasu na jego dusery.

– Myślałby kto, panienko, że powinnaś docenić okazje, jakie ci się trafiają. Nie każdy ma tyle szczęścia.

Vin znieruchomiała. On jest eunuchem, idiotko!

– Sazed, przepraszam!

Machnął ręką.

– To coś, czego nigdy nie zaznałem, więc za tym nie tęsknię, panienko. Może nawet mam szczęście... życie w podziemiu nie ułatwia posiadania rodziny. Nawet biedny mistrz Hammond nie widział swojej żony od wielu miesięcy.

– Ham jest żonaty?

– Oczywiście – odparł Sazed. – Mistrz Yeden chyba też. Chronią swe rodziny, odseparowując je od swoich podziemnych działań, ale to wymusza długie okresy rozłąki.

– Kto jeszcze? – dopytywała się. – Breeze? Dockson?

– Mistrz Breeze jest nieco... zbyt samolubny jak na rodzinę, jak sądzę. Mistrz Dockson nie mówił o swoim życiu uczuciowym, ale podejrzewam, że jest coś bolesnego w jego przeszłości. Nie jest to nic dziwnego dla skaa z plantacji, choć mogłoby się tak wydawać.

– Dockson jest z plantacji? – zapytała zaskoczona.

– Oczywiście. Nie spędzasz nigdy czasu na rozmowach z przyjaciółmi?

Przyjaciele. Mam przyjaciół. Dziwne uczucie.

– W każdym razie – ciągnął Sazed – powinienem pracować dalej. Przykro mi, że jestem tak nieuprzejmy, ale chciałbym dokończyć tłumaczenia.

– Oczywiście – odparła, wstając i wygładzając suknię. – Dziękuję.

***

Znalazła Docksona w gościnnym gabinecie. Siedział i pisał coś na kawałku papieru, a obok niego na blacie biurka spoczywał równy stosik dokumentów. Miał na sobie zwykły strój szlachecki i zawsze wyglądał w tej odzieży lepiej niż pozostali. Kelsier był olśniewający, Breeze nieskazitelny i pyszny, ale Dockson... on po prostu wyglądał naturalnie.

Spojrzał na nią, kiedy stanęła w progu.

– Vin? Przepraszam... powinienem był posłać po ciebie. Wydawało mi się, że masz dzisiaj wyjście.

– Często je miewam ostatnimi czasy – odrzekła, zamykając drzwi. – Zostałam dzisiaj w domu; słuchanie trajkotania szlachcianek przy lunchu może znudzić.

– Mogę sobie to wyobrazić – odparł z uśmiechem Dockson. – Siadaj.

Weszła do pokoju. Było to ciche miejsce, ozdobione ciepłymi barwami i ciemnym drewnem. Na zewnątrz było jeszcze dość jasno, ale Dockson zaciągnął już zasłony i pracował przy świecach.

– Masz jakieś wieści od Kelsiera? – zapytała, przysiadając.

– Nie – odrzekł, odkładając dokument. – Ale nie ma się czemu dziwić. Nie zamierzał zostać w jaskiniach zbyt długo, więc wysyłanie posłańca byłoby niemądre, jeśli on sam, jako Allomanta, może dotrzeć tu wcześniej, niż na koniu. Tak czy owak spodziewam się, że może się kilka dni spóźnić. W końcu rozmawiamy o Kellu.

Skinęła głową i przez chwilę milczała. Nie spędzała tyle czasu z Docksonem, co z Kelsierem i Sazedem... a nawet z Hamem i Breeze’em. Wydawał się jednak dobrym człowiekiem. Bardzo spokojnym i bystrym. O ile pozostali wnosili do grupy jakieś zdolności allomantyczne, o tyle Dockson był cenny z powodu jego umiejętności organizacyjnych.

Kiedy trzeba było kupić cokolwiek – na przykład sukienki Vin – Dockson pilnował, by to zostało załatwione. Osłona budynku, dokupienie zapasów, załatwienie zezwolenia – wszystko to załatwiał Dockson. Nie był na świeczniku, nie oszukiwał szlachty, nie walczył we mgle ani nie rekrutował żołnierzy, ale bez niego – jak podejrzewała Vin – cała grupa by się rozpadła.

To miły człowiek, mówiła sobie. Nie będzie się gniewał, jeśli zapytam.

– Dox, jak to jest żyć na plantacji?

– Hmm? Na plantacji?

Skinęła głową.

– Tam się wychowałeś, prawda? Jesteś skaa z plantacji?

– Tak – odrzekł. – A przynajmniej byłem. Jak było? Nie mam pojęcia co ci odpowiedzieć, Vin. To było trudne życie, ale większość skaa takie prowadzi. Bez pozwolenia nie wolno mi było opuszczać plantacji, a nawet wychodzić poza społeczność baraków. Jedliśmy bardziej regularnie niż większość skaa, ale pracowaliśmy równie ciężko, jak w fabryce. Może ciężej. Plantacje różnią się od miasta. Tam każdy lord jest panem na włościach. Technicznie to Ostatni Imperator jest właścicielem skaa, ale szlachta ich wynajmuje, może też zabić tylu, ilu chce. Każdy z lordów musi tylko dopilnować, żeby zbiory się udały.

– Mówisz o tym tak... beznamiętnie – zauważyła.

Wzruszył ramionami.

– Tak było zawsze, odkąd tam mieszkałem, Vin. Nie wiem czy plantacja jest tak traumatyczna. To po prostu życie, nie znaliśmy niczego lepszego. Szczerze mówiąc, teraz wiem, że w porównaniu ze wszystkimi lordami z plantacji mój był wręcz łagodny.

– Więc dlaczego odszedłeś?

Zamyślił się.

– Coś się zdarzyło – rzekł. – Wiesz o tym, że szlachcic może wziąć do łóżka każdą kobietę skaa, jaką chce?

Skinęła głową.

– Ale kiedy skończy, musi ją zabić.

– Albo wkrótce potem – odrzekł Dockson. – Na tyle szybko, by nie mogła urodzić bękartów.

– Lord wziął kobietę, którą kochałeś?

Skinął głową.

– Niechętnie o tym mówię. Nie dlatego że nie mogę, ale uważam, że to bez sensu. Nie jestem jedynym skaa, który przez kaprys lorda stracił ukochaną, a nawet przez jego obojętność. Właściwie chyba trudno byłoby znaleźć skaa, któremu arystokracja nie zamordowałaby żadnej ukochanej osoby. Tak jest... no bo jest.

– Kim ona była? – zapytała.

– Dziewczyną z plantacji. Jak mówię, moja historia nie jest nawet oryginalna. Pamiętam, jak nocą wymykałem się z baraków, żeby spędzić z nią trochę czasu. Cała społeczność nas chroniła, ukrywała przed poganiaczami. Widzisz, po zmroku nie wolno nam było wychodzić. Dla niej po raz pierwszy pokonałem mgłę, a choć wielu uważało, że jestem szalony, wychodząc nocą, pozostali szybko opanowali przesądy i zachęcali mnie. Chyba romans ich inspirował. Kareien i ja przypominaliśmy wszystkim, że jest po co żyć. Kiedy lord Devinshae zabrał Kareien – jej ciało przywieziono następnego ranka, żebyśmy je pogrzebali – coś w barakach skaa... umarło. Odszedłem następnego wieczoru. Nie wiedziałem, że jest lepsze życie, ale nie mogłem zostać. Ani z rodziną Kareien, ani z lordem Devinshae, który nas nadzorował...

Westchnął, potrząsając głową. Vin wreszcie ujrzała w jego twarzy cień uczucia.

– Wiesz – rzekł – czasem zdumiewa mnie to, że w ogóle próbujemy. Po tym wszystkim, co z nami robią... morderstwa, tortury, cierpienia... można by pomyśleć, że zrezygnujemy z takich rzeczy, jak miłość i nadzieja. A jednak nie. Skaa wciąż kochają. Wciąż próbują mieć rodziny i walczą. Widzisz, jesteśmy tutaj... walczymy w tej szalonej wojence Kella, opieramy się bogu, o którym wiemy, że i tak nas wszystkich wyrżnie.

Vin siedziała w milczeniu, starając się objąć umysłem horror, który jej opisywał.

– Ja... myślałam, że wasz lord był łagodny. Tak mówiłeś?

– O, był – odparł. – Lord Devinshae rzadko chłostał skaa na śmierć, a starszych wyrzucał tylko wtedy, kiedy populacja całkiem wymykała się spod kontroli. Ma wśród szlachty nieposzlakowaną opinię. Pewnie widziałaś go na kilku balach. Ostatnio bywał w Luthadelu zimą, między sezonami upraw.

Vin zadrżała.

– Docksonie, to straszne! Jak mogą przyjmować u siebie takiego potwora?

Dockson zmarszczył brwi, po czym oparł ręce na blacie.

– Vin, oni wszyscy są tacy.

– Wiem, że niektórzy skaa tak mówią, Dox – szepnęła. – Ale ci ludzie na balach wcale tacy nie są! Rozmawiałam z nimi, tańczyłam. Dox, wielu

z nich to dobrzy ludzie. Nie wiem, czy zdają sobie sprawę, jak straszne jest życie skaa.

Docskon spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

– Czy ja naprawdę słyszę to od ciebie, Vin? A jak sądzisz, dlaczego z nimi walczymy? Nie rozumiesz, do czego są zdolni ci ludzie... wszyscy, co do jednego?

– Okrucieństwo, być może – zgodziła się. – I obojętność. Ale przecież to nie potwory, nie mogą wszyscy być tacy, jak ten twój lord z plantacji.

Dockson pokręcił głową.

– Nie widzisz po prostu wszystkiego, Vin. Szlachcic może zgwałcić i zabić kobietę skaa jednej nocy, a potem następnego dnia być wychwalany za cnotę i moralność. Skaa po prostu nie są dla nich ludźmi. Nawet kobiety nie traktują tego jako zdrady, kiedy ich pan prześpi się z kobietą skaa.

– Ja... – szepnęła Vin niepewnie. Był to jeden z tych obszarów kultury szlacheckiej, którego nie chciała poznać. Chłostę pewnie mogłaby wybaczyć, ale to...

– Pozwalasz im się zwodzić, Vin. Takie sprawy w miastach mniej wychodzą na jaw dzięki burdelom, ale morderstwa i tak się zdarzają. Niektóre burdele mają kobiety niskiego, ale szlachetnego urodzenia. Większość jednak po prostu wybija swoje dziwki skaa, żeby Inkwizytorzy przymykali oko.

Vin poczuła, że robi jej się słabo.

– O... o burdelach wiedziałam, Dox. Mój brat zawsze groził, że mnie sprzeda. Ale to, że istnieją burdele, nie oznacza, że wszyscy mężczyźni do nich chodzą. Jest wielu robotników, którzy nie odwiedzają burdeli skaa.

– Szlachcice są inni, Vin – odparł surowo. – To okropne istoty. Jak sądzisz, czemu się nie skarżę, kiedy Kelsier ich zabija? Jak sądzisz, dlaczego walczę z nim o obalenie rządu? Powinnaś spytać tych ładnych chłopców, którzy cię obtańcowują, jak często sypiają z kobietami skaa, wiedząc, że za kilka godzin zostaną zabite. Wszyscy to robili, wcześniej czy później.

Spuściła wzrok.

– Tego nie można odkupić, Vin – odezwał się Dockson. Nie wydawał się tak pełen pasji jak Kelsier. Raczej... zrezygnowany. – Nie sądzę, by Kell poczuł spokój, dopóki nie zginą wszyscy. Wątpię, że posuniemy się aż tak

daleko... nie wiem nawet, czy dalibyśmy radę, ale ja pierwszy byłbym szczęśliwy, gdyby ta społeczność się rozpadła.

Vin milczała. Nie. Oni nie mogą wszyscy być tacy, myślała. Są piękni, tacy dystyngowani. Elend na pewno nigdy ani nie wziął, ani nie zamordował kobiety skaa... a może?

Śpię tylko po kilka godzin każdej nocy. Musimy przeć naprzód, codziennie wędrować tak daleko, jak to możliwe. Kiedy jednak wreszcie udamy się na spoczynek, nie umiem zasnąć. Te same myśli, które prześladują mnie za dnia, spokój nocy tylko potęguje.

A przede wszystkim słyszę łomot w niebie, pulsowanie z gór. Z każdym uderzeniem przyciąga mnie do siebie.

23

– Mówią, że śmierć braci Geffenry była odwetem za morderstwo lorda Entrone – powiedziała cicho lady Kliss.

Za plecami grupy Vin muzycy na scenie grali jeszcze, ale wieczór dobiegał końca i tańczyło już tylko kilka par.

Członkowie kółka towarzyskiego lady Kliss zmarszczyli czoła na tę wieść. Było ich sześcioro, w tym Vin i jej towarzysz, Milen Davenpleu, dziedzic tytułu jakiegoś pomniejszego rodu.

– Kliss, doprawdy – odezwał się Milen. – Rody Geffenry i Tekiel są sprzymierzeńcami. Po co Tekiel miałby zabijać dwóch szlachciców z Geffenry?

– Właśnie, dlaczego? – Kliss pochyliła się konspiracyjnie, a jej ogromny blond kok zakołysał się lekko. Nigdy nie wykazywała dobrego gustu, ale zawsze była doskonałym źródłem plotek. – Pamiętacie, jak znaleźli w ogrodach Tekiel martwego lorda Entrone? Wydawało się wtedy oczywiste, że zabił go jakiś wróg rodu Tekiel. Ale ród Geffenry od dawna prosił Tekiel o sojusz... widać, jakaś frakcja rodu uznała, że jeśli stanie się coś, co rozzłości Tekielów, chętniej poszukają sojuszników.

– Chcesz powiedzieć, że Geffenry umyślnie zabili sojusznika Tekiela? – zapytał Rene, partner Kliss. Zmarszczył czoło.

Kliss poklepała go po ramieniu.

– Nie martw się tym aż tak bardzo, kochanie – poradziła mu i czym prędzej wróciła do rozmowy: – Nie widzicie tego? Zabijając z ukrycia lorda Entrone, Geffenry miał nadzieję uzyskać potrzebnego sprzymierzeńca. To dałoby mu dostęp do szlaków kanałowych Tekiera przez wschodnie równiny.

– Ale wszystko wzięło w łeb – zauważył w zadumie Milen. – Tekiel odkrył wybieg i zabił Ardousa i Calinsa.

– Tańczyłam z Ardousem kilka tańców na ostatnim balu – mruknęła Vin. A teraz on nie żyje, jego ciało zostało porzucone na ulicy przed slumsami skaa, pomyślała.

– O? – zdziwił się Milen. – I co, dobrze tańczył?

– No cóż, teraz tańczy z robakami – odparł Tyden, ostatni z mężczyzn w grupie.

Milen podsumował żart litościwym śmieszkiem, choć nawet i on był niezasłużony. Dowcipy Tydena zwykle pozostawiały wiele do życzenia. Wydawał się typem, który lepiej czułby się wśród bandytów Camona niż wśród szlachciców w sali balowej.

Oczywiście. Dox powiedział przecież, że oni wszyscy są właśnie tacy.

Rozmowa z Docksonem wciąż kołatała się po głowie Vin. Kiedy pierwszego wieczoru pojawiła się na balu – wtedy, kiedy omal nie zginęła – wydawało jej się, że wszystko jest bardzo sztuczne. Jak mogła zapomnieć to pierwsze wrażenie? Jak mogła dopuścić, by tak ją to wciągnęło, że zaczęła podziwiać ich dumę i splendor?

Teraz ręka każdego szlachcica obejmująca jej talię przyprawiała Vin o dreszcz – jakby wyczuwała zgniliznę w ich sercach. Ilu skaa zabił Milen? A Tyden? Wydawał się typem, który chętnie spędziłby noc z dziwkami.

Ale grała nadal swoją rolę. Tego wieczoru wreszcie włożyła czarną suknię, czując dziwną potrzebę wyróżniania się wśród innych kobiet, odzianych w jasne kolory i jeszcze jaśniejsze uśmiechy. Vin udało się wreszcie wkraść w łaski towarzystwa i została dopuszczona do informacji, których potrzebowała jej grupa. Kelsier będzie zachwycony, kiedy się dowie, że jego plan wobec Rodu Tekiel zadziałał, a to nie była jedyna informacja, jaką uzyskała. Miała jeszcze kilkanaście drobiazgów, które dla działań jej grupy mogły być niezwykle ważne.

Na przykład informacja o Rodzie Venture, który przygotowywał się do czegoś, co mogło skończyć się prawdziwą wojną rodów: jednym z dowodów był fakt, że Elend uczestniczył w coraz mniejszej liczbie bali. Vin nie przeszkadzało to zanadto. Kiedy już się pojawiał, zazwyczaj jej unikał, a ona też nie chciała z nim rozmawiać. Wspomnienia słów Docksona sprawiały, że zapewne miałaby kłopot z zachowaniem uprzejmości wobec niego.

– Milenie? – rzucił lord Rene. – Czy planujesz jutro przyłączyć się do nas na partyjkę shelldry?

– Oczywiście, Rene – odparł Milen.

– Czy nie to samo mówiłeś ostatnio? – zapytał Tyden.

– Teraz będę – odrzekł Milen. – Ostatnio coś mi wypadło.

– A nie wypadnie znowu? – zapytał Tylan. – Wiesz, że nie zagramy, nie mając czwartego. Jeżeli nie możesz, powiedz, poprosimy kogoś innego.

Milen westchnął, po czym uniósł dłoń i machnął gwałtownie. Ten ruch zwrócił uwagę Vin – przysłuchiwała się rozmowie tylko jednym uchem. Spojrzała w bok i omal nie spadła z krzesełka, kiedy ujrzała zbliżającego się ku nim obligatora.

Do tej pory udawało jej się unikać obligatorów na balach. Po pierwszym spotkaniu z wielkim prelanem kilka miesięcy temu i późniejszym wzbudzeniu podejrzeń Inkwizytora bała się nawet do nich zbliżyć.

Obligator podszedł, uśmiechając się upiornie. Może to przez splecione dłonie, ukryte w rękawach szarej szaty. Może przez tatuaże wokół oczu, pomarszczone wraz ze starzejącą się skórą. Może sprawiły to jego oczy, ale wydawało jej się, że przejrzał ją na wylot. Nie był to zwykły szlachcic, lecz obligator – oczy Ostatniego Imperatora, egzekutor Jego praw.

Obligator przystanął obok grupy. Jego tatuaże świadczyły, że był członkiem Kantonu Ortodoksji, pierwszego biurokratycznego ramienia

Zakonu. Objął wzrokiem grupę i przemówił łagodnym głosem:

– Słucham?

Milen wyjął kilka monet.

– Obiecuję spotkać się jutro z tymi dwoma na shelldry – rzekł i podał monety podstarzałemu obligatorowi.

Wydawało się, że to głupi powód, aby wzywać obligatora – przynajmniej tak wydawało się Vin. Obligator jednak wcale się nie roześmiał ani nie wytknął im frywolności takiego żądania. Uśmiechnął się, schował monety zręcznie jak złodziej.

– Poświadczam, lordzie Milen – rzekł.

– Zadowoleni? – zapytał Milen pozostałych.

Skinęli głowami.

Obligator odwrócił się, nie zaszczycając Vin drugim spojrzeniem, po czym odszedł. Vin odetchnęła głęboko, odprowadzając go wzrokiem.

Muszą wiedzieć o wszystkim, co dzieje się na dworze, domyśliła się. Jeśli szlachta wzywa ich do świadczenia przy tak błahych sprawach... Im więcej się dowiadywała o Zakonie, tym bardziej była przekonana o sprycie, z jakim Ostatni Imperator ich zorganizował. Byli świadkami każdego kontraktu handlowego; Dockson i Renoux musieli z nimi mieć do czynienia prawie codziennie. Tylko oni udzielają ślubów, rozwodów, poświadczają zakup ziemi i ratyfikują dziedziczenie tytułów. Jeśli obligator nie był świadkiem jakiegoś zdarzenia, to oznacza, że nie nastąpiło, a jeśli nie przypieczętował dokumentu, dokument ten równie dobrze mógł w ogóle nie istnieć.

Vin pokręciła głową, a rozmowa zeszła na inne tematy. Była to długa noc i jej umysł był pełen informacji, które musiała spisać w drodze do Fellise.

– Przepraszam, lordzie Milenie – rzekła, kładąc mu dłoń na ramieniu, choć ten dotyk przyprawił ją o drżenie. – Myślę, że czas, abym już udała się na spoczynek.

– Odprowadzę cię do powozu – zaofiarował się.

– To nie będzie konieczne – odparła. – I tak muszę się trochę posilić, a potem czekać na mojego Terrisanina. Po prostu usiądę przy stoliku.

– Doskonale – odrzekł, kłaniając się.

– Idź, jeśli musisz, Valette – odparła Kliss – ale nie poznasz nowinek, jakie mam na temat Zakonu...

Vin się zatrzymała.

– Jakie nowinki?

Oczy Kliss zabłysły i zerknęła w ślad za znikającym obligatorem.

– Inkwizytorzy roją się jak insekty. W ciągu tych ostatnich miesięcy rozbili dwa razy tyle złodziejskich band skaa niż zwykle. Nawet już nie biorą więźniów na egzekucję... po prostu zabijają i zostawiają.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Milen.

– Mam swoje źródła – odparła z uśmiechem Kliss. – Inkwizycja odnalazła kolejną bandę dzisiaj po południu. Była ulokowana nie tak daleko stąd.

Vin poczuła zimny dreszcz. Rzeczywiście, nie byli daleko od sklepu Clubsa... nie, to nie może chodzić o nich. Dockson i pozostali są zbyt sprytni. Nawet jeśli Kelsiera nie ma w mieście, będą bezpieczni.

– Przeklęci złodzieje – prychnął Tyden. – Przeklęci skaa, którzy nie znają swojego miejsca. Czy to żarcie i odzienie, które im dajemy, naprawdę nie wystarcza?

– Zastanawiające, jak te istoty przeżywają jako złodzieje – zamruczała Carlee, młoda żona Tydena. – Nie potrafię sobie wyobrazić, jaki niekompetentny głupiec dałby się obrabować przez skaa.

Tyden zaczerwienił się i Vin spojrzała na niego z zainteresowaniem. Carlee rzadko się odzywała, chyba że chciała dociąć mężowi. Musieli okraść również jego. Może jakieś oszustwo?

Zapamiętała tę informację do późniejszego zbadania i odwróciła się, żeby odejść – stając twarzą w twarz z nowo przybyłą osobą: Shan Elariel.

Dawna narzeczona Elenda była jak zwykle nieskazitelna. Jej długie rudawe włosy lśniły, a piękna figura jedynie przypominała Vin o tym jak ona jest chuda. Pewna siebie do tego stopnia, że onieśmieliłaby nawet z natury śmiałą osobę, Shan była dokładnym wzorcem doskonałej arystokratycznej kobiety.

Mężczyźni skinęli głowami z szacunkiem, kobiety dygnęły, zaszczycone obecnością przy ich stoliku kogoś tak ważnego. Vin spojrzała w bok, szukając drogi ucieczki, ale Shan dokładnie blokowała jej drogę.

– Ach, Milenie – rzekła z uśmiechem do towarzysza Vin – jaka szkoda, że twoja partnerka na ten wieczór zachorowała. Zdaje się, że nie miałeś już wielkiego wyboru.

Milen się zaczerwienił, bo słowa Shan postawiły go w bardzo niedogodnej pozycji. Czy powinien bronić Vin, zasługując sobie na gniew

bardzo wpływowej kobiety? Czy może lepiej, aby zgodził się z Shan, tym samym obrażając swą partnerkę?

Wybrał wyjście tchórza. Zignorował komentarz.

– Lady Shan, jak miło widzieć cię wśród nas.

– Doprawdy – gładko odparła Shan. Jej oczy błyszczały satysfakcją, kiedy spostrzegła zakłopotanie Vin.

Przeklęta baba! – pomyślała Vin. Wydawało jej się, że za każdym razem, gdy Shan zaczynało się nudzić, odszukiwała Vin i dla sportu znęcała się nad nią.

– Obawiam się, że nie przyszłam tutaj na ploteczki – ciągnęła Shan. – Mam interes do małej Renoux. Możesz zostawić nas same?

– Oczywiście – odrzekł Milen, wycofując się. – Lady Valette, dziękuję za towarzyszenie mi dzisiejszego wieczoru.

Vin skinęła głową jemu i pozostałym, czując się nieco jak zranione zwierzę, zanim opuści je stado. Naprawdę nie chciała mieć nic wspólnego z Shan, zwłaszcza dzisiaj wieczorem.

– Lady Shan – rzekła, kiedy znalazły się same – obawiam się, że pani zainteresowanie moją osobą jest bezpodstawne. Doprawdy, ostatnio nie spędzam z Elendem zbyt wiele czasu.

– Wiem – odparła Shan. – Zdaje się, że przeceniłam twoje umiejętności, dziecko. Myślałam, że skoro już wkradłaś się w łaski człowieka o wiele wyżej stojącego w hierarchii niż ty, nie pozwolisz mu tak łatwo się wymknąć.

Nie powinna być aby zazdrosna? Vin z trudem opanowała dreszcz, kiedy poczuła dotknięcie Allomancji Shan. Nie powinna mnie znienawidzić za to, że zajęłam jej miejsce?

Ale arystokracja tak się nie zachowuje. Vin była niczym – chwilową rozrywką. Shan nie była zainteresowana odzyskaniem uczucia Elenda, chciała jedynie wziąć odwet na człowieku, który ją zlekceważył.

– Mądra dziewczyna zajęłaby taką pozycję, aby wykorzystać tę jedyną przewagę, jaką ma – mówiła Shan. – Jeśli myślisz, że jakikolwiek inny szlachcic kiedykolwiek zwróci na ciebie uwagę, to się mylisz. Elend lubi szokować dwór, więc postanowił uczynić to, adorując najbardziej pospolitą i gapowatą dziewuchę, jaką mógł znaleźć. Łap tę okazję, druga może ci się nie trafić.

Vin zacisnęła zęby, żeby nie reagować ani na obelgi, ani na Allomancję. Shan najwyraźniej uczyniła sztukę ze zmuszania ludzi, by pokornie przyjmowali wszelkie poniżenia, jakimi raczyła ich obdarzyć.

– A teraz – ciągnęła Shan – potrzebuję informacji dotyczącej pewnych tekstów, jakie Elend ma w swoim posiadaniu. Umiesz czytać, prawda?

Vin skinęła sztywno głową.

– Dobrze – odparła Shan. – Musisz tylko zapamiętać tytuły książek... nie patrz na okładki, mogą być mylące. Przeczytasz kilka pierwszych stron i powiesz mi, co na nich było.

– A jeśli zamiast tego powiem Elendowi, co pani planuje?

Shan się zaśmiała.

– Moja droga, nie wiesz, co planuję. Poza tym mam wrażenie, że czynisz pewne postępy na dworze. Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że zdradzenie mnie w ogóle nie powinno ci przyjść do głowy.

Z tymi słowy Shan odeszła, natychmiast ściągając ku sobie świtę adoratorów. Jej Uspokajanie osłabło i Vin poczuła, jak zalewa ją frustracja i gniew. Był czas, kiedy po prostu uciekłaby, bo jej ego byłoby już zbyt posiniaczone, żeby odczuć obelgi Shan. Dzisiaj jednak stwierdziła, że ma ochotę na odwet.

Uspokój się. Doskonale. Stałaś się pionkiem w planach Wielkich Rodów. Niejeden z pomniejszej szlachty marzy o takiej okazji.

Westchnęła, kierując się ku pustemu stolikowi, który dzieliła wcześniej z Milenem. Dzisiejszy bal odbywał się w przepięknej Twierdzy Hasting. Okrągły, centralny budynek był otoczony sześcioma wieżami nieco oddalonymi od niego, a połączonymi jedynie galeriami. Wszystkie siedem wież ozdobiono wijącymi się i krętymi witrażowymi wzorami.

Sala balowa znajdowała się na szczycie środkowej wieży. Na szczęście system zasilanych siłą mięśni skaa platform oszczędzał arystokratom wysiłku wspinania się na samą górę. Sama sala nie była aż tak spektakularna, jak niektóre widziane przez Vin wcześniej – ot, kwadratowa komnata ze sklepionym sufitem i kolorowym szkłem wzdłuż całego obwodu.

Dziwne, jak łatwo człowiek staje się zepsuty, myślała. Może dlatego szlachta nie waha się przed wszelkimi ohydnymi czynami. Zabijają od tak dawna, że nawet ich to już nie przeraża.

Poprosiła służącego, by wezwał Sazeda, po czym usiadła, by dać odpocząć stopom. Chciałabym, żeby Kelsier już wrócił, myślała. Grupa, włącznie z Vin, wydawała się mniej zmotywowana, jeśli nie było go w pobliżu. Nie chodziło o to, że nie chciało jej się pracować, lecz złośliwy dowcip i optymizm Kelsiera po prostu dodawał jej sił.

Rozejrzała się bezmyślnie i nagle jej wzrok padł na Elenda Venture, stojącego nieopodal. Rozmawiał z grupą młodych arystokratów. Zamarła. Miała ochotę uciec i się ukryć. Zmieści się pod stolikiem, nawet z suknią.

Ze zdziwieniem jednak stwierdziła, że część jej osoby należąca do Valette stała się silniejsza. Muszę z nim porozmawiać, pomyślała. Nie z powodu Shan, ale dlatego że muszę poznać prawdę. Dockson na pewno przesadza. Musi przesadzać.

Odkąd to stała się tak skłonna do konfrontacji? Vin wstała, zaskoczona własną stanowczością. Przeszła przez salę balową, po drodze sprawdzając przelotnie swą czarną suknię. Jeden z towarzyszy Elenda dotknął jego ramienia, skinieniem głowy wskazując Vin. Elend obrócił się, a pozostali dwaj mężczyźni odeszli.

– Ależ to Valette – rzekł, kiedy zatrzymała się przed nim. – Późno przyszedłem. Nie wiedziałem nawet, że tu jesteś.

Kłamca. Oczywiście, że wiedziałeś. Valette nie opuściłaby balu u Hastingów. Jak zacząć temat? Jak zapytać?

– Unikasz mnie – zauważyła.

– Nie, nie ująłbym tego w taki sposób. Po prostu byłem zajęty. Sprawy rodu, sama rozumiesz. Poza tym ostrzegałem cię, że jestem gburem i... – Urwał. – Valette? Wszystko w porządku?

Vin zdała sobie sprawę, że lekko pociąga nosem, a po policzku ścieka jej łza. Idiotka! – pomyślała, ocierając oczy chusteczką Lestibournesa. Zrujnujesz sobie makijaż!

– Valette, ty cała drżysz! – zawołał. – Chodź, wyjdziemy na balkon i odetchniesz świeżym powietrzem.

Pozwoliła mu się wyprowadzić. Wyszli w ciszę i ciemność. Balkon – jeden z wielu wyrastających ze szczytu centralnej wieży Hasting – był pusty. W balustradę była wbudowana pojedyncza kamienna latarnia, w kątach ustawiono kilka roślin.

W powietrzu unosiła się mgła, wszechobecna jak zawsze. Na szczęście balkon był dość wąski i ogrzany przez ciepło panujące w twierdzy, zatem

i mgła była mniej natrętna. Elend nie zwracał na nią uwagi. Podobnie jak większość arystokratów, uważał strach przed mgłą za głupi przesąd skaa. Vin uważała, że ma rację.

– Więc o co chodzi? – zapytał Elend. – Przyznaję, ignorowałem cię. Przepraszam. Nie zasługujesz na to. Ja tylko... cóż, uznałem, że radzisz sobie tak dobrze, że nie jest ci potrzebny taki łobuz jak ja...

– Spałeś kiedyś z kobietą skaa? – wypaliła.

Zawahał się, wyraźnie zaskoczony.

– Kto ci coś takiego powiedział?

– Spałeś?

Nie odpowiedział.

Ostatni Imperatorze, to prawda!

– Siadaj – rzekł, podsuwając jej krzesło.

– Nie mylę się, prawda? – zapytała, siadając. – Zrobiłeś to. On miał rację, wszyscy jesteście potworami.

– Ja... – Położył rękę na ramieniu Vin, ale wyszarpnęła się, czując, że kolejna łza spływa jej po policzku i kapie na suknię. Podniosła chusteczkę i wytarła nią twarz, plamiąc koronkę makijażem.

– To się stało, kiedy miałem trzynaście lat – rzekł cicho. – Ojciec uznał, że czas, bym stał się „mężczyzną". Nie wiedziałem nawet, że ją później zabiją, Valette. Naprawdę nie wiedziałem.

– A potem?! – zawołała, czując, że ogarnia ją gniew. – Ile dziewczyn zamordowałeś, Elendzie Venture?

– Żadnej! Nigdy więcej, Valette! Nigdy więcej, kiedy się dowiedziałem, co się stało za pierwszym razem.

– I mam ci uwierzyć?

– Nie wiem – odparł Elend. – Słuchaj, ja wiem, że teraz jest w modzie nazywanie wszystkich mężczyzn na dworze brutalami, ale musisz mi uwierzyć. Nie wszyscy jesteśmy tacy.

– Powiedziano mi, że jesteście – odrzekła.

– Kto ci powiedział? Wiejski szlachcic? Valette, oni nas nie znają. Są zazdrośni, ponieważ kontrolujemy większą część systemu kanałów... i może nawet mają rację. Ale ich zazdrość nie czyni nas złymi ludźmi.

– Jaki procent? – odrzekła. – Ilu szlachciców robi takie rzeczy?

– Może jedna trzecia – odpowiedział. – Nie jestem pewien. Nie są to typy, z którymi spędzałbym czas.

Chciała mu uwierzyć, a to pragnienie czyniło ją jeszcze bardziej sceptyczną. Kiedy jednak spoglądała w te oczy... oczy, które zawsze uważała za tak uczciwe... zaczynała się wahać. Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, całkowicie odepchnęła od siebie podszepty Reena i po prostu uwierzyła.

– Jedna trzecia... – wyszeptała. Aż tylu. Ale to i tak lepiej niż wszyscy. Znów zaczęła wycierać oczy i Elend spojrzał na jej chusteczkę.

– Kto ci to dał? – zapytał zaciekawiony.

– Adorator – odparła.

– Czy to on opowiada ci o mnie takie rzeczy?

– Nie, to był ktoś inny – odparła. – Powiedział... że cała szlachta... a właściwie cała szlachta z Luthadelu... to straszni ludzie. Powiedział, że dworskie kobiety nawet nie uważają tego za zdradę, jeśli ich mężczyźni sypiają z kobietami skaa.

Elend prychnął.

– Zatem twój informator nie zna się za dobrze na kobietach. Proszę, znajdź mi damę, która obojętnie przyjmie wieść, że jej mąż zabawia się z inną – szlachcianką czy skaa.

Skinęła głową i odetchnęła głęboko, uspokajając się. Poczuła się śmieszna... ale jednocześnie zadowolona. Elend klęczał obok jej krzesła, widać było, że nadal jest zatroskany.

– Więc twój ojciec należy do tej jednej trzeciej? – zapytała.

Zaczerwienił się i spuścił wzrok.

– Uwielbia wszelkiego rodzaju kochanki... skaa, szlachcianki, nie robi mu to różnicy. Często myślę o tej nocy, Valette... Wolałbym... nie wiedzieć.

– To nie była twoja wina, Elendzie – odparła. – Byłeś trzynastoletnim chłopcem, który robił to, co mu kazał ojciec.

Odwrócił wzrok, ale i tak dostrzegła w jego spojrzeniu gniew i poczucie winy.

– Ktoś musi to wszystko powstrzymać – rzekł cicho i Vin zaskoczyła pasja w jego głosie.

Jego to obchodzi, pomyślała. To człowiek jak Kelsier, jak Dockson. Dobry człowiek. Dlaczego nie chcą tego widzieć?

Westchnął, wstał i przyniósł sobie drugie krzesło. Usiadł z łokciem wspartym o balustradę, przeczesując dłonią włosy.

– Cóż – rzekł. – Prawdopodobnie nie jesteś pierwszą damą, która przeze mnie płacze na balu, ale tym razem naprawdę mnie to martwi. Moje dobre wychowanie osiągnęło nowy wymiar.

Uśmiechnęła się.

– Nie chodzi o ciebie – odparła. – Ale... to było kilka bardzo męczących miesięcy. Kiedy się o tym dowiedziałam, po prostu nie mogłam tego objąć rozumem.

– Trzeba coś zrobić z tym zepsuciem w Luthadelu – mruknął. – Ostatni Imperator tego nie widzi... bo nie chce.

Skinęła głową i spojrzała na niego.

– A właściwie dlaczego unikałeś mnie ostatnio?

Zarumienił się znowu.

– Myślałem, że masz nowych przyjaciół, którym poświęcasz czas.

– A cóż to ma znaczyć?

– Nie bardzo lubię osoby, z którymi się teraz spotykasz, Valette – wyjaśnił. – Udało ci się doskonale wpasować w społeczność Luthadelu, a ja zauważyłem, że zabawa w politykę bardzo zmienia ludzi.

– Łatwo ci powiedzieć – warknęła. – Zwłaszcza kiedy sam stoisz na szczycie struktury politycznej. Nie można sobie pozwolić na ignorowanie polityki... niektórzy nie mają tyle szczęścia.

– Chyba nie.

– Poza tym – dodała – bawisz się w politykę nie gorzej od innych. A może będziesz próbował mi wmówić, że twoje początkowe zainteresowanie moją osobą nie miało na celu dokuczenia ojcu?

Elend uniósł dłonie.

– Dobrze, uznaj mnie za odpowiednio zganionego. Byłem durniem i lekkoduchem. To rodzinne.

Westchnęła, opierając się o oparcie. Na mokrych policzkach czuła zimne muśnięcia mgły. Elend nie był potworem, wierzyła mu. Może była głupia, ale Kelsier wywarł na nią wielki wpływ. Zaczynała ufać otaczającym ją ludziom, a nie było nikogo, komu chciałaby zaufać bardziej niż Elendowi Venture.

Teraz, kiedy nie dotyczyło to bezpośrednio Elenda, jakoś łatwiej było jej pogodzić się z potwornościami relacji między szlachtą a skaa. Nawet jeśli jedna trzecia szlachty morduje kobiety skaa, być może choć część społeczności uda się uratować. Szlachta nie musi być eksterminowana – to

ich metody. Vin wolałaby po prostu, by takie rzeczy się nie zdarzały, niezależnie od pochodzenia.

Ostatni Imperatorze, pomyślała. Zaczynam myśleć jak inni... wydaje mi się, że mogłabym coś zmienić.

Spojrzała na Elenda, który siedział tyłem do wirujących mgieł. Wydawał się posępny.

Przywołałam przykre wspomnienia, pomyślała. Nic dziwnego, że tak nienawidzi ojca. Chciała powiedzieć cokolwiek, żeby poczuł się lepiej.

– Elendzie – szepnęła – oni są tacy sami jak my.

Zawahał się.

– Co?

– Skaa z plantacji – wyjaśniła. – Kiedyś mnie o nich pytałeś. Bałam się, więc zachowałam się jak każda arystokratka, a ty wydawałeś się rozczarowany, że nie mam nic więcej do powiedzenia.

Pochylił się.

– Więc jednak spędzałaś czas ze skaa.

Skinęła głową.

– Nawet bardzo dużo czasu. Za dużo, gdybyś spytał moją rodzinę. Może dlatego mnie tu wysłali. Niektórych znałam bardzo dobrze... zwłaszcza jednego starszego człowieka. Stracił kogoś, ukochaną kobietę, bo jakiś szlachcic chciał mieć ładną zabawkę na jedną noc.

– Na twojej plantacji?

Potrząsnęła głową.

– Uciekł i znalazł się na ziemiach mojego ojca.

– A wy go ukryliście? – zapytał z zaskoczeniem. – Uciekinierzy skaa są zabijani.

– Zachowałam to w tajemnicy – wyjaśniła. – Nie znałam go zbyt długo, ale... cóż, mogę ci tylko powiedzieć jedno, Elendzie. Jego miłość była równie wielka, jak każdego arystokraty. Z pewnością silniejsza niż tutejsze romanse.

– A inteligencja? – dopytywał się Elend. – Czy wydawał się... wolno myślący?

– Oczywiście, że nie! – prychnęła. – Mam wrażenie, Elendzie Venture, że znam kilku skaa inteligentniejszych niż ty. Może nie mają wykształcenia, ale i tak są inteligentni. I wściekli.

– Wściekli? – zdziwił się.

– Niektórzy – mruknęła. – Chodzi o to, jak są traktowani.

– Więc wiedzą? Wiedzą, że istnieje różnica pomiędzy nami a nimi?

– A jak mogliby nie wiedzieć? – zapytała, próbując wytrzeć nos chusteczką, ale dopiero teraz zobaczyła, ile makijażu nią starła.

– Masz. – Elend podał jej swoją chusteczkę. – Opowiedz mi więcej. Skąd to wszystko wiesz?

– Powiedzieli mi – odrzekła. – Ufają mi. Wiem, że są wściekli, bo skarżą się na to, jak żyją. Wiem, że są inteligentni, bo umieją ukryć pewne sprawy przed szlachtą.

– Na przykład?

– Na przykład podziemna sieć transportowa. Skaa pomagają uciekinierom przedostać się kanałami z plantacji do plantacji. Szlachta nie widzi tego, ponieważ nie zwraca uwagi na twarze skaa.

– Interesujące.

– Oprócz tego – ciągnęła – są szajki złodziejskie. Wyobrażam sobie, że ci skaa muszą być bardzo sprytni, skoro udaje im się ukrywać i przed szlachtą, i przed obligatorami, a do tego okradają Wielkie Rody pod samym nosem Ostatniego Imperatora.

– Wiem – odrzekł Elend. – Chciałbym kiedyś poznać któregoś z nich, zapytać, jak to robią, że się tak dobrze ukrywają. To chyba fascynujący ludzie.

Vin omal nie powiedziała czegoś więcej, ale ugryzła się w język. Chyba i tak powiedziała za dużo.

Elend spojrzał na nią.

– Ty też jesteś fascynująca, Valette. Powinienem być mądrzejszy i wiedzieć, że tamci nie zdołają cię zepsuć. Może to ty ich zepsujesz.

Uśmiechnęła się.

– Ale – Elend wstał nagle – teraz muszę już iść. Właściwie przyszedłem tu tylko dlatego, że miałem konkretny cel – spotykam się z paroma przyjaciółmi.

Racja! – przypomniała sobie Vin. Jeden z tych mężczyzn, z którymi Elend spotykał się wcześniej... Kelsier i Sazed uważali za dziwne, że z nimi bywa... tak, jeden z nich to Hasting.

Ona również wstała, po czym chciała oddać Elendowi chusteczkę.

Nie wziął jej.

– Może chciałabyś ją zatrzymać. Nie dałem ci jej tylko dlatego, by spełniła swoje zadanie.

Spojrzała na kawałek materiału. Kiedy szlachcic chce poważnie zalecać się do damy, daje jej chusteczkę.

– Och! – szepnęła, zamykając ją w dłoni. – Dziękuję.

Uśmiechnął się i podszedł bliżej.

– Tamten mężczyzna, kimkolwiek jest, wyprzedził mnie z powodu mojej głupoty. Ale nie jestem aż tak głupi, żeby przegapić szansę i nie zrobić mu małej konkurencji. – Mrugnął, skłonił się lekko i wyszedł do centralnej sali balowej.

Vin stała przez chwilę, po czym wśliznęła się przez drzwi balkonowe.

Elend spotkał się z tymi samymi ludźmi co ostatnio – Lekalem i Hastingiem, politycznymi wrogami Venture'ów. Stali przez chwilę, a potem wszyscy ruszyli w stronę klatki schodowej w głębi sali.

Te schody prowadzą tylko w jedno miejsce, pomyślała, dyskretnie wsuwając się do pomieszczenia. Boczne wieże.

– Panienko Valette?

Podskoczyła, kiedy ujrzała zbliżającego się Sazeda.

– Jesteśmy gotowi do wyjścia? – zapytał.

Podeszła do niego szybko.

– Lord Elend Venture właśnie znikł w tych drzwiach ze swymi przyjaciółmi Hastingiem i Lekalem.

– Interesujące – odparł. – A po co... Panienko, co się stało z twoim makijażem?

– Nieważne – odparła. – Chyba muszę iść za nimi.

– Czy to jeszcze jedna chusteczka? – zapytał. – Nie próżnowałaś.

– Sazed, słuchasz mnie?

– Tak, panienko. Sądzę, że możesz pójść za nimi, jeśli chcesz, ale to będzie bardzo ostentacyjne. Nie wiem, czy to najlepszy sposób uzyskiwania informacji.

– Przecież nie pójdę za nimi – odrzekła cicho. – Użyję Allomancji. Ale potrzebuję twojego zezwolenia.

Zamyślił się.

– A jak twoja rana?

– Od wieków zagojona – odparła. – Już jej nawet nie czuję.

Sazed westchnął.

– Doskonale. Mistrz Kelsier i tak zamierzał rozpocząć twoje szkolenie natychmiast po powrocie, ale... bądź ostrożna. Wiem, to śmieszna prośba do Zrodzonego z Mgły, jak sądzę, ale mimo to proszę.

– Będę – odrzekła. – Spotkajmy się na tamtym balkonie za godzinę.

– Życzę szczęścia, panienko – odparł.

Ona jednak już biegła w kierunku balkonu. Zatrzymała się za rogiem i stanęła przed kamienną barierką i kłębiącą się za nią mgłą. Cudowna, roztańczona próżnia. O wiele za długo czekałam, pomyślała, sięgając do rękawa, by wyciągnąć fiolkę z metalami. Wychyliła ją pospiesznie i wyjęła małą garść monet.

A potem z rozkoszą skoczyła na poręcz i rzuciła się w mroczne mgły.

Cyna dawała jej wzrok, wiatr szarpał sukienką. Cyna z ołowiem dawała siłę, kiedy Vin spojrzała na warowną ścianę pomiędzy wieżą a wewnętrzną twierdzą. Stal dała jej potęgę, gdy rzuciła w dół monetę, która natychmiast znikła w mroku.

Vin podskoczyła. Opór wiatru łopotał materiałem spódnicy, miała wrażenie, że ciągnie za sobą belę tkaniny, ale jej Allomancja była dość silna, żeby sobie z tym poradzić. Wieża Elenda była następna w kolejności – Vin musiała wspiąć się na galerię na szczycie muru, która łączyła ją z centralną wieżą. Rozjarzyła stal, Odpychając się nieco wyżej, po czym rzuciła kolejną monetę w mgły za sobą. Kiedy metal uderzył w ścianę, użyła go, by wystrzelić w przód.

Uderzyła w ścianę trochę za nisko – fałdy tkaniny zamortyzowały uderzenie – ale zdołała uchwycić krawędź galerii. Bez wspomagania Vin nie zdołałaby się wspiąć na ścianę, ale Vin Allomantka nie miała z tym najmniejszego problemu.

Przycupnęła w swej czarnej sukni, ostrożnie przesuwając się po galeryjce. Nie było tu strażników, ale wieża przed nią miała u podnóża oświetlony posterunek.

Nie mogę pójść tędy, pomyślała, spoglądając w górę. Wieża miała prawdopodobnie wiele komnat, kilka było nawet oświetlonych. Vin rzuciła monetę i katapultowała się w górę, po czym Pociągnęła zawias okna i szarpnęła się w górę, żeby wylądować lekko na kamiennym parapecie. Okiennice były zamknięte na noc, więc musiała przysunąć się jak najbliżej, rozjarzając cynę, by usłyszeć, co się dzieje w środku.

– ...Bale zawsze się przeciągają. Będziemy chyba musieli zrobić podwójną zmianę...

Straż, pomyślała Vin, skoczyła i Odepchnęła się od zwieńczenia okna. Zagrzechotało, kiedy wystrzeliła w górę wieży. Chwyciła się dolnej framugi kolejnego okna i podciągnęła.

– Nie żałuję spóźnienia – dobiegł ze środka znajomy głos. Elend. – Ona naprawdę jest bardziej pociągająca niż ty, Teldenie.

Rozległ się śmiech mężczyzny.

– Potężny Elend Venture wreszcie ujarzmiony przez ładną buzię.

– Jastes, ona jest czymś więcej – odparł Elend. – Ma dobre serce... pomagała uciekinierom skaa na swojej plantacji. Sądzę, że powinniśmy ją zaprosić na nasze spotkanie.

– Nie ma na to szans. Słuchaj, Elend, nie przeszkadza mi, kiedy filozofujesz. Do diaska, chętnie się nawet z tobą napiję przy okazji. Ale nie dopuszczę do tego, by przyłączali się do nas przypadkowi ludzie.

– Zgadzam się z Teldenem – wtrącił Jastes. – Pięć osób to aż nadto.

– Słuchajcie – odezwał się znowu Elend. – Chyba nie jesteście sprawiedliwi.

– Elend... – jęknął ktoś.

– Dobrze – uciął Elend. – Teldenie, czytałeś tę książkę, którą ci dałem?

– Próbowałem – odparł Telden. – Jest dość gruba.

– Ale dobra, prawda? – zapytał Elend.

– Niezła – zgodził się Telden. – Teraz rozumiem, czemu Ostatni Imperator tak jej nienawidzi.

– Prace Redalevina są lepsze – wtrącił Jastes. – Bardziej spójne.

– Nie chcę się sprzeciwiać – odezwał się kolejny uczestnik spotkania. – Ale czy to wszystko, co zamierzamy robić? Czytać?

– A co złego jest w czytaniu? – zapytał Elend.

– Jest nieco nudne.

Dobry człowiek, pomyślała Vin.

– Nudne? – zapytał Elend. – Panowie, te idee... te słowa... to wszystko. Ci ludzie wiedzieli, że zostaną za nie zabici. Nie czujecie ich pasji?

– Pasję, tak. Użyteczności, nie.

– Możemy zmienić świat – rzekł Jastes. – Dwaj z nas są dziedzicami rodów, pozostali drugimi w kolejności.

– Pewnego dnia to my będziemy na górze – rzekł Elend. – Jeśli wprowadzimy w życie te zasady: uczciwość, dyplomację, umiarkowanie, możemy wywrzeć nacisk nawet na Ostatniego Imperatora!

Piąty głos prychnął.

– Może i jesteś dziedzicem potężnego rodu, Elendzie, ale reszta nas nie jest aż tak ważna. Telden i Jastes prawdopodobnie nigdy niczego nie odziedziczą, a Kevoux – bez obrazy – nie jest szczególnie wpływowy. Nie możemy zmienić świata.

– Możemy zmienić to, co dzieje się w naszych domach – odparł Elend. – Jeśli rody przestaną się brać za łby, może zdołamy uzyskać jakieś znaczące wpływy na rząd... zamiast uginać się przed każdym kaprysem Ostatniego Imperatora.

– Szlachta słabnie z każdym rokiem – zgodził się Jastes. – Nasi skaa należą do Ostatniego Imperatora, podobnie jak cała ziemia. Jego obligatorzy określają, kogo możemy poślubić, w co wierzyć. Nawet nasze kanały oficjalnie są jego własnością. Zabójcy Zakonu mordują ludzi, którzy mówią zbyt otwarcie albo odnoszą zbyt wielki sukces. To nie jest życie.

– Tu się z tobą zgadzam – rzekł Telden. – Gadanie Elenda o nierówności klas brzmi dla mnie jak bełkot, ale rozumiem, że ważne jest zaprezentowanie jednolitego frontu wobec Ostatniego Imperatora.

– Właśnie – odparł Elend. – Dlatego właśnie musimy...

– Vin! – rozległ się szept.

Vin podskoczyła i omal nie spadła z gzymsu. Rozejrzała się, zaniepokojona.

– Nad tobą – szepnął głos.

Podniosła wzrok. Z drugiego gzymsu tuż nad nią zwisał Kelsier. Uśmiechnął się, mrugnął i skinął głową w stronę galerii pod nimi.

Vin spojrzała znów do pokoju Elenda, kiedy Kelsier przeleciał obok niej. Wreszcie i ona odepchnęła się i skoczyła za nim, używając tej samej monety, żeby spowolnić spadek.

– Wróciłeś! – zawołała radośnie, kiedy wylądowali.

– Dzisiaj po południu.

– Co tu robisz?

– Sprawdzam naszego przyjaciela – odrzekł. – Zdaje się, że od ostatniego razu niewiele się zmieniło.

– Od ostatniego razu?

Kelsier skinął głową.

– Obserwuję tę grupkę od czasu, kiedy mi o nich opowiedziałaś. Nie powinienem sobie zawracać głowy, to żadne zagrożenie. Ot, garstka paniczyków spotykających się na drinku i dyskusjach.

– Ale oni chcą obalić Ostatniego Imperatora!

– Raczej nie – odrzekł Kelsier, prychając. – Robią to, co cała szlachta... planują sojusze. Nie jest niczym szczególnym, że kolejne pokolenia zaczynają organizować własne koalicje rodów, zanim dojdą do władzy.

– To co innego – odparowała.

– O? – Zaśmiał się. – Jesteś arystokratką już od tak dawna, że możesz to powiedzieć?

Zaczerwieniła się, a Kelsier wybuchnął śmiechem, po przyjacielsku obejmując ją za ramiona.

– Nie bierz tego na poważnie. Wyglądają na miłych chłopców, jak na szlachtę. Obiecuję, że żadnego nie zabijemy, zgoda?

Skinęła głową.

– Może nawet będzie z nich jakiś pożytek – wydają się bardziej otwarci od innych. Nie chcę tylko, żebyś się rozczarowała, Vin. Tak czy siak, to szlachta. Może i nic nie poradzą na to, kim są, ale to nie zmieni ich natury.

Zupełnie jak Dockson, pomyślała. Kelsier spodziewa się po Elendzie najgorszego. Ale czy można się spodziewać, że będzie inaczej? Aby stoczyć taką walkę jak Kelsier i Dockson, najlepsza i chyba najskuteczniejsza – zdrowsza dla psychiki – taktyka to uważać, że wszyscy wrogowie są źli.

– A co się stało z twoim makijażem? – zapytał Kelsier.

– Nie chcę o tym mówić – odparła, wracając myślą do rozmowy z Elendem. Dlaczego musiałam się rozpłakać? Jestem taką idiotką! A potem go zapytałam, czy sypiał ze skaa!

Wzruszył ramionami.

– Dobrze. Wracamy... wątpię, by młody Venture i jego kamraci mieli coś konkretnego do powiedzenia.

Zawahała się.

– Podsłuchiwałem ich trzy razy z rzędu, Vin – wyjaśnił. – Mogę ci to wszystko streścić, jeśli chcesz.

– Dobrze – odparła z westchnieniem. – Ale powiedziałam Sazedowi, że spotkam się z nim na balu.

– No to leć – rzekł. – Obiecuję, że mu nie powiem, jak się wyślizgujesz i używasz Allomancji.

– Powiedział, że mogę – zaoponowała.

– Tak?

Skinęła głową.

– Mój błąd – mruknął. – Powinnaś poprosić Sazeda, żeby przyniósł ci płaszcz, zanim wyjdziesz z balu. Masz popiół na całej sukni. Spotkamy się w sklepie u Clubsa... niech powóz was tam zostawi, a potem wyjedzie sam z miasta. Trzeba dbać o pozory.

Vin znów skinęła głową. Kelsier mrugnął do niej i zeskoczył z muru w tumany mgły.

Ostatecznie muszę ufać sobie samemu. Widziałem ludzi, którzy pozbawili siebie zdolności do rozpoznawania prawdy i dobroci, ale nie sądzę, żebym był jednym z nich. Wciąż potrafię dostrzec łzy w oczach dziecka i odzcuwać ból z powodu jego cierpienia.

Jeśli kiedyś stracę i to, będę wiedział, że przeszedłem granicę nadziei na odkupienie.

24

Kiedy Vin i Sazed dotarli do sklepu, Kelsier już tam był. Siedział z Hamem, Clubsem i Spookiem, rozkoszując się późnym drinkiem.

– Ham! Wróciłeś! – zawołała radośnie Vin, wchodząc tylnym wejściem.

– Tak – odparł wesoło, unosząc szklankę.

– Wydawało mi się, że nie ma cię wieki!

– Nie musisz mi mówić – odparł i się zaśmiał.

Kelsier zachichotał i wstał, żeby sobie dolać wina.

– Ham ma już dość zabawy w generała.

– Musiałem nosić mundur – poskarżył się Ham i przeciągnął. Miał teraz na sobie zwykłą kamizelkę i spodnie. – Nawet skaa z plantacji nie muszą

przeżywać takich tortur.

– Włóż kiedyś elegancką suknię – mruknęła Vin, siadając. Otrzepała przód sukni i nie wyglądało to aż tak źle, jak sądziła. Szaroczarny popiół wciąż było widać na czarnym tle, a i materiał, w miejscach gdzie otarła się o kamień, zmatowiał, ale wszystko to było mało widoczne.

Ham się zaśmiał.

– Zdaje się, że w czasie mojej nieobecności zmieniłaś się w prawdziwą damę.

– Raczej nie – odparła, kiedy Kelsier podał jej kieliszek wina. Zawahała się, ale pociągnęła łyk.

– Panienka Vin jest bardzo skromna, mistrzu Hammond – rzekł Sazed, siadając. – Doprawdy stała się niezwykle zręczna w dworskich poczynaniach... o wiele lepsza, niż większość prawdziwych szlachciców, jakich znam.

Vin się zarumieniła.

– Skromność, Vin? Gdzie nabrałaś tego paskudnego zwyczaju? – pytał Ham.

– Na pewno nie ode mnie – zastrzegł Kelsier, podsuwając Sazedowi kielich. Terrisanin odmówił jednak pełnym taktu gestem.

– Oczywiście, że nie od ciebie, Kell – odrzekł Ham. – Może Spook ją tego nauczył. Wydaje się, że to jedyna osoba, która potrafi w tej grupie trzymać buzię na kłódkę, co mały?

Spook zarumienił się, wyraźnie unikając spojrzenia Vin.

Muszę się tym kiedyś zająć, pomyślała. Ale... nie dzisiaj. Kelsier wrócił, a Elend nie jest mordercą. To wieczór relaksu.

Na schodach rozległy się kroki i chwilę później do pokoju wszedł Dockson.

– Impreza? A po mnie nikt nie posłał?

– Wydawałeś się zajęty – stwierdził z uśmiechem Kelsier.

– Poza tym – dodał Ham – wiemy, że jesteś zbyt odpowiedzialny, żeby siedzieć i upijać się z bandą takich rzezimieszków jak my.

– Ktoś musi zadbać o to, żeby wszystko się kręciło – rzucił Dockson, nalewając sobie drinka. Nagle znieruchomiał i spojrzał na Hama. – Ta kamizelka wygląda znajomo...

Ham się uśmiechnął.

– Oderwałem rękawy od kurtki mundurowej.

– Nie! – krzyknęła Vin, niemal krztusząc się ze śmiechu.

Ham skinął głową, robiąc bardzo zadowoloną minę.

Dockson westchnął i dolał sobie wina.

– Ham, te rzeczy kosztują.

– Wszystko kosztuje – odrzekł Ham. – Ale czym są pieniądze? Fizyczna interpretacja abstrakcyjnej koncepcji wysiłku. No cóż, noszenie tego munduru także wymagało wysiłku, i to sporego. Powiedziałbym, że teraz rachunki między mną a tą kurtką są wyrównane.

Dockson tylko wywrócił oczami. W głównej sali drzwi frontowe otwarły się i zamknęły i Vin usłyszała, jak Breeze głośno wita się z dyżurującymi uczniami.

– A właśnie, Dox – zagaił Kelsier, opierając się o szafę. – Będę potrzebował trochę „fizycznych interpretacji koncepcji wysiłku”. Chcę wynająć niewielki magazyn, żeby spotykać się tam z informatorami.

– Prawdopodobnie to się da załatwić – rzekł Dockson. – Oczywiście, o ile zaczniemy kontrolować budżet na kiecki Vin... – Urwał i spojrzał na nią. – A coś ty zrobiła z tą sukienką, młoda damo?

Vin zaczerwieniła się i skuliła w fotelu. Może jednak widać to bardziej niż sądziłam... – pomyślała.

Kelsier zachichotał.

– Musisz się przyzwyczaić do zabrudzonych ubrań, Dox. Vin wraca dzisiaj do obowiązków Zrodzonego.

– Interesujące – oznajmił Breeze wchodząc do kuchni. – Ale czy mogę zasugerować, żeby tym razem nie stawała do walki z więcej niż z trzema Stalowymi Inkwizytorami naraz?

– Postaram się – odparła Vin.

Breeze podszedł do stołu i z charakterystyczną dla siebie emfazą usadowił się na krześle. Podniósł laskę i wycelował w Hama.

– Widzę że mój okres odpoczynku intelektualnego dobiegł końca.

Ham się uśmiechnął.

– Wymyśliłem kilka bestialskich pytań, kiedy tam byłem, ale zachowałem je wyłącznie dla ciebie, Breeze.

– Umieram z ciekawości – odparł Breeze. Skierował laskę w stronę Lestibournesa. – Spook, wina.

Spook zerwał się z miejsca i natychmiast podał Breeze’owi kubek.

– To taki świetny chłopak – zauważył Breeze, przyjmując drinka. – Nie muszę go nawet skłaniać Allomancją. Gdyby tylko cała reszta was, łobuzy, była taka porządna.

Spook zmarszczył brwi.

– Porządność nieżem dał do gry bez.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, dziecko – rzekł Breeze. – Będę zatem udawał, że rozumiem, a ty rób swoje.

Kelsier wywrócił oczyma.

– Nerwisz se straty z żarta – rzekł. – Nic bez potrzeby uwagi.

– Ujazd nerwa niepotrzebny dobrym – zgodził się Spook, kiwając głową.

– O czym wy dwaj bełkoczecie? – zapytał podejrzliwie Breeze.

– Byłżem był jasny – rzekł Spook. – Żart mania chęci tego.

– Zawsze chęciałem robienia tego – zgodził się Kelsier.

– Zawsze chęciałem mania mieć – dodał Ham. – Jasne chcenie mania nie.

Breeze obrócił się do Docksona z rozpaczą w oczach.

– Chyba nasi towarzysze naprawdę postradali zmysły, drogi przyjacielu.

Dockson wzruszył ramionami. A potem, z absolutnie poważnym wyrazem twarzy, dodał:

– Chęciał nie co chęciał jest.

Widząc ogłupiałą minę Breeze’a, wszyscy parsknęli śmiechem. Breeze z oburzeniem wzniósł oczy w górę, kręcąc głową i mrucząc pod nosem coś na temat dziecinady w szajce.

– Co w ogóle powiedziałeś? – zapytała Vin Docksona, kiedy ten usiadł koło niej.

– Nie jestem pewien – wyznał. – Ale ładnie brzmiało.

– Chyba nic nie powiedziałeś, Dox – odparł Kelsier.

– O, powiedział coś – wtrącił Spook. – Tylko to nic nie znaczyło.

Kelsier się zaśmiał.

– To się dość często zdarza. Zauważyłem, że można nie słuchać połowy tego, co mówi do ciebie Dox, i niewiele stracić. Może tylko okazjonalnie skargi, że za dużo wydajemy.

– Hej! – zaprotestował Dockson. – Przypominam raz jeszcze, że ktoś musi być odpowiedzialny. Naprawdę, ludzie, to co wy robicie ze skrzyńcami...

Vin się uśmiechnęła. Nawet skargi Docksona wydawały się dobroduszne. Clubs siedział pod ścianą, naburmuszony jak zwykle, ale Vin zauważyła na jego ustach cień uśmiechu. Kelsier wstał i otworzył jeszcze jedną butelkę wina. Napełniając kubki, opowiadał towarzyszom o przygotowaniach armii skaa.

Vin czuła się... zadowolona. Popijając wino, kątem oka pochwyciła widok otwartych drzwi wiodących do ciemnego sklepu. Przez moment wyobraziła sobie, że widzi w mroku postać – przerażoną, drobniutką dziewczynę, nieufną, podejrzliwą. Włosy dziewczyny były rozczochrane i krótkie, miała na sobie prostą, luźno zwisającą, brudną koszulę i brązowe spodnie.

Vin przypomniała sobie tę drugą noc w sklepie Clubsa, kiedy stała w ciemnym warsztacie, obserwując, jak pozostali prowadzą późne rozmowy w kuchni. Czy to naprawdę ona była tą dziewczyną – kryjącą się w zimnym mroku, obserwującą śmiech i przyjaźń z ukrytą zazdrością, lecz nie mającą odwagi się dołączyć?

Kelsier chyba powiedział coś szczególnie zabawnego, bo wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Masz rację, Kelsier, pomyślała z uśmiechem. Tak jest lepiej.

Nie była jeszcze taka jak oni – nie całkiem. Sześć miesięcy nie uciszy szeptów Reena, nie wierzyła też, że kiedykolwiek będzie tak ufna jak Kelsier. Ale... mogła wreszcie zrozumieć, przynajmniej w części, dlaczego tak się zachowywał.

– Dobrze – rzekł Kelsier, przysuwając sobie krzesło i siadając na nim okrakiem. – Zdaje się, że armia będzie gotowa zgodnie z planem, Marsh też jest na miejscu. Musimy zacząć wdrażać nasz plan w życie. Vin, jakieś wieści z balu?

– Ród Tekiel jest słaby – odrzekła. – Jego sojusznicy się rozpierzchają i nadlatują sępy. Chodzą słuchy, że długi i straty zmuszą Tekielów do sprzedania twierdzy do końca miesiąca. Nie ma szansy na to, aby zdołali zapłacić Ostatniemu Imperatorowi do końca miesiąca.

– A to skutecznie eliminuje jeden Wielki Ród z miasta – rzekł Dockson. – Większość szlachty Tekielów – w tym Mgliści i Zrodzeni z Mgły – będzie musiała się przenieść na zewnętrzne plantacje, by odzyskać straty.

– Ładnie – mruknął Ham. Wszystkie szlachetne rody, które można wystraszyć z miasta, tylko ułatwią jego przejęcie.

– I tak w mieście zostaje dziewięć Wielkich Rodów – zauważył Breeze.

– Ale już zaczęli się wzajemnie wybijać nocami – zauważył Kelsier. – To tylko krok od otwartej wojny. Podejrzewam, że zobaczymy wkrótce exodus... każdy, kto nie zechce ryzykować własnej śmierci, by zachować dominium w Luthadelu, ucieknie z miasta na co najmniej kilka lat.

– Silne rody jednak nie wydają się zbytnio przerażone – mruknęła Vin. – Cały czas organizują bale.

– O, to akurat będą robić aż do końca – odrzekł Kelsier. – Bale to znakomita wymówka, by się spotykać z sojusznikami i mieć na oku wrogów. Wojny rodów są głównie polityczne i wymagają politycznego pola bitwy.

Vin skinęła głową.

– Ham – rzekł Kelsier. – Musimy mieć na oku Garnizon Luthadel. Czy wciąż planujesz odwiedzić jutro swoje kontakty wśród żołnierzy?

Ham skinął głową.

– Nie mogę niczego obiecać, ale może zdołam odtworzyć pewne powiązania. Dajcie mi trochę czasu, a dowiem się, co kombinuje wojsko.

– Dobrze – rzekł Kelsier.

– Chcę pójść z nim – odezwała się Vin.

Kelsier znieruchomiał.

– Z Hamem?

Skinęła głową.

– Jeszcze nie uczyłam się u Zbira. Ham zapewne zdoła pokazać mi niejedno.

– Wiesz już, jak spalać cynę z ołowiem – odparł Kelsier. – Ćwiczyliśmy to.

– Wiem – odrzekła. Jak miała to wyjaśnić? Ham ćwiczył wyłącznie z cyną i ołowiem. Z pewnością był lepszy od Kelsiera.

– Och, przestańcie męczyć dziecko – rzeł Breeze. – Prawdopodobnie ma dość bali i zabaw. Niech na chwilę znów zostanie ulicznym złodziejaszkiem.

– Dobrze – rzekł Kelsier, wywracając oczyma. Nalał sobie kolejny kieliszek wina. – Breeze, czy twoi Uspokajacze poradzą sobie, jeśli na jakiś czas wyjedziesz?

Breeze wzruszył ramionami.

– Oczywiście. Jestem najskuteczniejszym członkiem grupy, ale też szkoliłem innych. Poradzą sobie z rekrutacją beze mnie, zwłaszcza teraz, kiedy historie o Ocalałym zaczynają się rozprzestrzeniać.

– Kell, o tym także musimy porozmawiać – wtrącił Dockson, marszcząc brwi. – Nie wiem, czy mi się podoba ten mistycyzm wokół ciebie i Jedenastego Metalu.

– Możemy o tym porozmawiać później – odparł Kelsier.

– Czemu pytasz o moich ludzi? – dopytywał się Breeze. – Czy naprawdę stałeś się tak zazdrosny o mój nieskazitelny styl, że postanowiłeś się mnie pozbyć?

– Można tak powiedzieć – rzekł Kelsier. – Myślałem, żeby za kilka miesięcy wysłać cię na zastępstwo Yedena.

– Zastąpić Yedena? – zapytał z zaskoczeniem Breeze. – Chcesz, żebym ja poprowadził armię?

– A dlaczego nie? – zdziwił się Kelsier. – Znakomicie wydajesz rozkazy.

– Ale z daleka, mój drogi panie – odparł Breeze. – Nie pcham się na czoło. I co, będę generałem? Masz pojęcie, jak to nieprawdopodobnie brzmi?

– Weź to tylko pod rozwagę – odrzekł Kelsier. – Do tego czasu rekrutacja i tak już prawie dobiegnie końca, więc najbardziej się przydasz, jeśli pojedziesz do jaskiń i pozwolisz Yedenowi wrócić tu i przygotować swoje kontakty.

Breeze zmarszczył brwi.

– Chyba masz rację.

– Nieważne – odparł Kelsier, wstając. – Nie sądzę, żebym wypił choć w połowie tyle wina, ile trzeba. Spook, bądź dobrym chłopcem i skocz do piwnicy po jeszcze jedną butelkę, co?

Chłopak skinął głową i rozmowa zeszła znowu na lżejsze tematy. Vin rozsiadła się znowu w swoim fotelu, czując ciepło padające od kominka w kącie pokoju, przez moment zadowolona tylko z tego, że jest spokój, nie musi się martwić, walczyć czy planować.

Gdyby tylko Reen znał coś takiego, pomyślała, automatycznie dotykając kolczyka. Może wówczas wszystko inaczej by się dla niego skończyło. Dla niego i dla nas.

***

Ham i Vin wybrali się następnego dnia z wizytą do Garnizonu Luthadel.

Po wielu miesiącach odgrywania szlachcianki Vin myślała, że trudno jej będzie wrócić z powrotem do ulicznego stroju. W istocie nie było tak źle. Oczywiście, czuła się nieco inaczej – nie musiała się pilnować, żeby ładnie siedzieć ani żeby jej suknia nie zamiatała brudnych ścian i podłóg. Okazało się, że ta pospolita odzież wciąż jest dla niej najnaturalniejszym strojem.

Miała na sobie proste brązowe spodnie i białą koszulę, wsuniętą za pasek, a na niej skórzaną kamizelkę. Długie włosy zwinęła pod czapkę. Przypadkowi przechodnie mogliby wziąć ją za chłopca, choć Ham chyba nie przywiązywał do tego wagi.

Nie było zresztą takiej potrzeby. Vin przyzwyczaiła się, że ludzie przyglądają jej się i oceniają, ale tu, na ulicy, nikt nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem. Szurający stopami robotnicy skaa, beztroscy drobni arystokraci, nawet lepiej prosperujący skaa, tacy jak Clubs, wszyscy ją ignorowali.

Już prawie zapomniałam, jak to jest być niewidzialną, pomyślała. Na szczęście stare nawyki – spoglądanie pod nogi, garbienie się, aby wydać się jak najmniej ważną, ustępowanie ludziom z drogi – wszystko to wróciło bez problemu. Powrót do postaci Vin ulicznej skaa był dla niej tak łatwy, jak przypomnienie sobie starej melodii, którą kiedyś nuciła.

To tylko kolejne przebranie, myślała, idąc obok Hama. Moim makijażem jest lekka warstwa popiołu, starannie rozsmarowana na policzkach. Moją suknią jest para spodni, pomiętych i brudnych, żeby wyglądały na stare i zużyte.

Kim więc naprawdę jest? Vin ulicznik? Dama Valette? Żadna z nich? Czy któryś z jej przyjaciół znał ją naprawdę? Czy ona sama siebie znała?

– Ach, tęskniłem za tym miejscem – rzekł Ham.

On zawsze wydawał się wesoły, nie potrafiła go sobie wyobrazić niezadowolonego, pomimo tego, co jej opowiadał o swoim dowodzeniu armią.

– To takie dziwne – rzekł, patrząc na nią. Nie szedł z tą samą wystudiowaną pozą przygnębienia, jaką wypracowała sobie Vin. Odnosiła wrażenie, że Ham nie zwraca uwagi na to, że różni się od innych skaa. –

Nie powinienem chyba za tym wszystkim tęsknić... to znaczy, Luthadel jest najbrudniejszym, najbardziej zatłoczonym miastem Ostatniego Imperium. Ale jest w nim coś...

– Czy tu mieszka twoja rodzina? – zapytała Vin.

Ham pokręcił głową.

– Mieszkają w mniejszym miasteczku, poza granicami Luthadelu. Moja żona jest tam krawcową. Ludziom mówi, że jestem w Garnizonie Luthadelu.

– Nie tęsknisz za nimi?

– Oczywiście – odparł. – To trudne... mogę z nimi spędzać tylko po kilka miesięcy... ale tak jest lepiej. Jeśli zginę przy robocie, Inkwizytorzy będą mieli ciężki orzech do zgryzienia. Nawet Kell nie wie, w jakim mieście mieszkają.

– Myślisz, że Zakon zadałby sobie tyle trudu? – zapytała. – To znaczy, przecież i tak byś już nie żył.

– Jestem Mglistym, Vin. A to oznacza, że wszyscy moi potomkowie będą mieli trochę szlacheckiej krwi. Moje dzieci mogą okazać się Allomantami, ich dzieci także. Nie, kiedy Inkwizytorzy zabijają Mglistego, starają się zniszczyć także całe jego potomstwo. Jedynym sposobem zapewnienia bezpieczeństwa mojej rodzinie jest pozostawanie z daleka.

– Mógłbyś po prostu nie używać Allomancji – podsunęła.

Pokręcił głową.

– Nie wiem, czy bym potrafił.

– Z powodu siły?

– Nie, z powodu pieniędzy – odparł uczciwie. – Zbiry... albo raczej Cynozbrojni, jak wolą ich nazywać arystokraci, to najbardziej poszukiwani Mgliści. Kompetentny Zbir może stawić czoło szóstce zwykłych ludzi, może więcej podnieść, więcej wytrzymać niż jakikolwiek inny wynajęty siłacz. To bardzo wiele znaczy, jeśli musisz prowadzić małą grupę. Połącz dwóch Monetostrzelnych z pięcioma Zbirami i masz małą, mobilną armię. Ludzie wiele zapłacą za taką ochronę.

Vin skinęła głową.

– O, tak, wiem, że pieniądze mogą kusić.

– Bardziej niż kusić, Vin. Moja rodzina nie musi mieszkać w ciasnych barakach skaa, nie musi się martwić o wyżywienie. Moja żona pracuje tylko dla pozorów – jak na skaa, wiodą dobre życie. Kiedy będę miał dość,

wyprowadzimy się z Centralnego Dominium. W Ostatnim Imperium są miejsca, o których większość ludzi nie wie... miejsca, gdzie człowiek z odpowiednią kwotą pieniędzy może żyć jak szlachcic. Miejsca, gdzie możesz przestać pracować, i tylko mieszkać. – To brzmi... przyjemnie.

Ham skinął głową, odwrócił się i poprowadził ją szerszą drogą do głównych bram miasta.

– Zaraziłem się tym marzeniem od Kella. Zawsze mówił, że właśnie to chciał robić. Mam nadzieję, że będę miał więcej szczęścia niż on.

Vin zmarszczyła brwi.

– Wszyscy mówią, że był bogaty. Czemu nie wyjechał?

– Nie wiem – odparł Ham. – Zawsze było kolejne zadanie... większe od poprzedniego. Zdaje się, że kiedy jest się takim przywódcą jak on, gra może zacząć wciągać. Wkrótce przestało mu w ogóle chodzić o pieniądze. Wreszcie dowiedział się, że Ostatni Imperator przechowuje w ukrytej świątyni jakiś bezcenny sekret. Gdyby uciekli z Mare przed tamtym zadaniem... Ale nie zrobili tego. Nie wiem... może nie byliby szczęśliwi, żyjąc tam, gdzie nie musieliby się o nic martwić.

Ta koncepcja wydała mu się chyba intrygująca i Vin wręcz widziała, jak w mózgu rodzi mu się kolejne z jego „pytań”.

Zdaje się, że kiedy jest się takim przywódcą jak on, gra może zacząć wciągać.

Jej wcześniejsze lęki powróciły. Co się stanie, jeśli Kelsier sam zagarnie tron imperialny? Z pewnością nie będzie tak zły jak Ostatni Imperator, ale... Czytała dziennik i wiedziała, że Ostatni Imperator też nie zawsze był tyranem. Kiedyś był dobrym człowiekiem. Dobrym człowiekiem, którego życie potoczyło się złym torem.

Kelsier jest inny, wmawiała sobie. Zrobi to co należy.

Zastanawiała się jednak dalej. Ham może tego nie rozumieć, ale Vin wiedziała, gdzie tkwi pokusa. Pomimo zdeprawowania szlachty, w wytwornym towarzystwie było coś upojnego. Vin ujęło piękno, muzyka, tańce. Jej fascynacja była inna niż Kelsiera. Ona nie była zainteresowana gierkami politycznymi ani oszustwami. Mogła jednak zrozumieć, czemu Kelsier nie chciał wyjeżdżać z Luthadelu.

Ta niechęć zniszczyła dawnego Kelsiera. Stworzyła jednak coś lepszego – Kelsiera bardziej zdeterminowanego, mniej samolubnego. Miejmy nadzieję.

Oczywiście, za swe plany zapłacił życiem ukochanej kobiety. Czy właśnie dlatego tak nienawidzi szlachty?

– Ham? – zapytała. – Czy Kelsier zawsze tak nienawidził szlachty?

Skinął głową.

– A teraz jest jeszcze gorzej.

– Przeraża mnie chwilami. Wydaje się, że chciałby wszystkich pozabijać, niezależnie od tego, kim są.

– Ja też się czasem martwię jego zachowaniem – odparł Ham. – Ta historia z Jedenastym Metalem... jakby próbował zrobić z siebie jakiegoś świętego. – Urwał i spojrzał na nią. – Nie martw się tak. Breeze, Dox i ja rozmawialiśmy już o tym. Musimy stawić Kellowi czoło, zobaczyć, czy zdołamy go trochę pohamować. Mimo dobrych zamiarów, ma jednak tendencję do przesady.

Vin skinęła głową. Przed nimi było już widać kolejki, w których czekali ludzie chcący przejść przez bramy miasta. Ona i Ham przeszli spokojnie obok jednej z poważnych, milczących grup – robotników wysyłanych do doków, ludzi wychodzących do pracy w jednym z młynów położonych wzdłuż rzeki lub jeziora, drobniejszych szlachciców wybierających się w podróż. Wszyscy musieli mieć dobry powód, żeby opuścić miasto: Ostatni Imperator ściśle kontrolował podróże wewnątrz swego królestwa.

Biedactwa, myślała Vin, patrząc jak banda obdartych dzieciaków biegnie gdzieś z miotłami i szczotkami. Pewnie będą wspinać się po ścianach i zdzierać z parapetów karmiące się mgłą mchy. Przed nimi, bliżej bram, jakiś urzędnik, klnąc, wypychał kogoś z kolejki. Robotnik skaa upadł, ale zaraz się pozbierał i podreptał na koniec kolejki. Prawdopodobnie, jeśli nie pozwolą mu wyjść z miasta, nie będzie w stanie odrobić dniówki – a bez pracy nie dostanie żetonów na żywność dla rodziny.

Vin i Ham przeszli przez bramę, kierując się wzdłuż ulicy równoległej do murów miasta, na końcu której było widać duży kompleks budynków. Vin nigdy wcześniej nie przyglądała się kwaterze głównej Garnizonu; większość członków szajki starała się trzymać na bezpieczną odległość. Jednak, w miarę jak się zbliżali, mogła coraz lepiej podziwiać jego obronną fasadę. Mur wokół kompleksu był najeżony wysokimi kolcami, budynki za nim – przysadziste i ufortyfikowane. Przy bramie stali żołnierze, obserwując spode łba przechodniów.

Vin się zatrzymała.

– Jak mamy się tam dostać.

– Nie przejmuj się – rzekł Ham, przystając obok niej. – Jestem znany w Garnizonie. Poza tym nie jest tak źle, jak się wydaje – żołnierze po prostu starają się zachować pozory. Jak sobie pewnie potrafisz wyobrazić, nie są szczególnie lubiani. Większość żołnierzy to skaa, ludzie, którzy w zamian za lepsze życie sprzedali się Ostatniemu Imperatorowi. Zawsze, kiedy w mieście są zamieszki wywołane przez skaa, lokalny garnizon dostaje od niezadowolonych niezłe cięgi. Dlatego są te fortyfikacje.

– Więc... znasz tych ludzi?

Skinął głową.

– Nie jestem jak Breeze i Kell, Vin. Nie mogę zakładać maski i udawać. Jestem kim jestem. Ci żołnierze nie wiedzą, że jestem Mglistym, ale wiedzą, że pracuję dla podziemia. Znam niektórych od lat, ciągle starają się mnie zwabić do siebie. Zwykle w rekrutacji mają więcej szczęścia z ludźmi takimi jak ja, którzy i tak są poza marginesem społeczeństwa.

– Ale przecież ty ich zdradzisz – powiedziała cicho, pociągając go na skraj drogi.

– Zdradzę? – odparł. – Nie, to nie będzie zdrada. Ci ludzie to najemnicy, Vin. Zostali wynajęci, żeby walczyć, i w zamieszkach lub rebelii będą atakować przyjaciół... może nawet krewnych. Żołnierze nauczyli się rozumieć takie sprawy. Możemy być przyjaciółmi, ale kiedy dochodzi do walki, żaden nie zawaha się zabić drugiego.

Vin skinęła głową. Wydawało się to... brutalne. Ale takie właśnie jest życie. Brutalne. Ta część nauk Reena nie była kłamstwem.

– Biedne chłopaki – rzekł Ham, patrząc na Garnizon. – Przydaliby się nam tacy ludzie. Zanim wyjechałem do jaskiń, udało mi się zwerbować kilku. Reszta... cóż, sami wybrali drogę. Podobnie jak ja, próbują tylko dać swoim dzieciom lepsze życie... różnica polega na tym, że oni w tym celu wolą pracować dla niego. – Ham spojrzał znowu na Vin. – Chciałaś coś wiedzieć na temat spalania cyny z ołowiem.

Dziewczyna skinęła głową.

– Żołnierze zwykle chcą, żebym z nimi poćwiczył – rzekł Ham. – Obejrzysz walkę... Spalaj brąz, to się dowiesz, kiedy używam Allomancji. Najważniejszą rzeczą, jakiej się dowiesz na temat Cynozbrojenia, jest moment używania metalu. Zauważyłem, że młodzi Allomanci mają tendencję do ciągłego rozjarzania cyny z ołowiem, myśląc, że im są

silniejsi, tym lepiej. Jednakże nie zawsze chcesz uderzyć najmocniej, jak tylko możesz. Siła jest tylko częścią walki. Uderzając za każdym razem najmocniej jak potrafisz, szybciej się męczysz i informujesz przeciwnika o swych ograniczeniach. Sprytny człowiek uderza najmocniej pod koniec walki, kiedy oponent jest najsłabszy. Natomiast w przedłużającej się bitwie sprytny żołnierz to ten, który żyje najdłużej. To człowiek, który najlepiej rozkłada siły.

Vin skinęła głową.

– Ale czy nie mniej się męczysz, jeśli stosujesz Allomancję?

– Tak – odrzekł Ham. – W zasadzie człowiek, który ma dość cyny z ołowiem, może walczyć z prawie pełną sprawnością przez wiele godzin. Ale takie przeciąganie na cynie z ołowiem wymaga praktyki, a i tak zawsze może ci się skończyć metal. Wtedy zmęczenie cię zabija. W każdym razie usiłuję ci wyjaśnić, że najlepiej jest zmieniać spalanie cyny z ołowiem. Jeśli używasz więcej siły niż potrzebujesz, możesz się wytrącić z równowagi. Widziałem też Zbirów, którzy tak polegają na cynie z ołowiem, że zaniedbują ćwiczenia i naukę. Cyna z ołowiem podwyższa twoje zdolności fizyczne, ale nie umiejętności. Jeśli nie wiesz, jak użyć broni – albo nie ćwiczyłaś szybkiego myślenia w walce – przegrasz, niezależnie od tego, jak jesteś silna. Z Garnizonem muszę być szczególnie ostrożny, ponieważ nie chcę, by wiedzieli, że jestem Allomantą. Zdziwiłabyś się, wiedząc, jakie to czasami ważne. Popatrz, jak używam cyny z ołowiem. Nie zawsze rozjarzam ją dla dodatkowej siły, czasem czynię to, kiedy się potknę, żeby odzyskać równowagę. Kiedy robię unik, mogę zapalić, żeby pomóc sobie uciec nieco szybciej. Istnieją dziesiątki różnych sztuczek, które można robić, kiedy wiesz, kiedy się musisz wspomagać.

Vin skinęła głową.

– Dobrze – rzekł Ham. – Chodźmy zatem. Powiem żołnierzom, że jesteś córką krewnego. Wyglądasz na tyle młodo, że nawet się nie będą zastanawiać. Patrz, jak walczę, a pogadamy później.

Kiedy dotarli do Garnizonu, Ham podszedł do jednego ze strażników.

– Hej, Bevidonie, mam dzień wolnego. Czy Sertes jest gdzieś w okolicy?

– Jest tutaj – odparł Bevidon. – Ale nie wiem, czy to najlepszy dzień na pojedynki...

Ham uniósł brew.

– O?

Bevidon wymienił spojrzenie z drugim żołnierzem.

– Idź po kapitana – rzekł do tamtego.

Kilka chwil później z bocznego budynku wyszedł mocno zaaferowany żołnierz. Skoro tylko zobaczył Hama, zamachał ręką. Na jego mundurze widniały dodatkowe kolorowe paski, a na ramieniu miał kilka pozłacanych kawałków metalu.

– Ham! – zawołał, przechodząc przez bramę.

– Sertes. – Ham uśmiechnął się i uścisnęli sobie ręce. – Teraz jesteś kapitanem, co?

– Przydarzyło się w zeszłym miesiącu – odrzekł i urwał nagle, spoglądając na Vin.

– Moja siostrzenica – odparł Ham. – Dobra dziewczyna.

Sertes skinął głową.

– Możemy porozmawiać na osobności, Ham?

Ham wzruszył ramionami i pozwolił się odprowadzić w bardziej ustronne miejsce, za bramą kompleksu. Allomancja Vin pozwoliła jej usłyszeć, co mówią.

Co ja bym zrobiła bez cyny?

– Słuchaj, Ham – mówił Sertes. – Nie będziesz mógł teraz przez jakiś czas wpadać tu powalczyć. Garnizon będzie... zajęty.

– Zajęty? – zdziwił się Ham. – Dlaczego?

– Nie mogę powiedzieć – odrzekł Sertes. – Ale... przydałby nam się taki żołnierz jak ty.

– Walka?

– Ano tak.

– Chyba to coś poważnego, skoro wymaga wyprowadzenia całego Garnizonu.

Sertes przez chwilę milczał, po czym rzekł ściszonym głosem – tak cichym, że Vin musiała mocno nadstawiać uszu, żeby cokolwiek przechwycić.

– Rebelia – szeptał Sertes – tu, w Środkowym Dominium. Właśnie się dowiedzieliśmy. Pojawiła się armia rebeliantów skaa i zaatakowała garnizon Holstep na północy.

Vin poczuła nagły dreszcz.

– Co?! – zawołał Ham.

– Chyba wyszli z tamtych jaskiń – rzekł żołnierz. – Ostatnia wiadomość była taka, że fortyfikacje Holstep jeszcze się trzymają... Ale tam jest tylko tysiąc ludzi. Desperacko potrzebują wsparcia, a kolossy nigdy tam nie dotrą na czas. Garnizon Valroux wysłał pięć tysięcy żołnierzy, i nie zostawimy tego tak. Wygląda to na jakąś wielką siłę rebeliantów, a Ostatni Imperator dał nam zezwolenie, by jechać na pomoc.

Ham skinął głową.

– No więc jak? – Sertes popatrzył pytająco na Hama. – Prawdziwa bitwa. Prawdziwy żołd. Naprawdę przydałby nam się człowiek o twoich umiejętnościach. Zrobię z ciebie oficera, natychmiast, dostaniesz własny oddział.

– Ja... muszę to przemyśleć – odparł Ham. Nie był zbyt dobry w ukrywaniu uczuć, a jego zaskoczenie mogło się wydać podejrzane. Sertes jednak chyba niczego nie zauważył.

– Nie zwlekaj za długo – mruknął Sertes. – Wyruszamy za dwie godziny.

– Dobrze – odparł Ham, wciąż oszołomiony. – Niech tylko odprowadzę dziewczynę i spakuję rzeczy. Możliwe, że wrócę, zanim wyruszycie.

– Doskonale – odparł Sertes i poklepał Hama po ramieniu.

Nasza armia jest bezbronna, myślała z przerażeniem Vin. Nie są gotowi! Mieli po cichu i szybko zdobyć Luthadel, a nie stawiać czoło Garnizonowi.

Przecież to będzie masakra! Co się mogło stać?

Część czwarta:

TANCERZE MORZA MGIEŁ

Zawsze, kiedy ktoś ginie z mojej ręki czy rozkazu, żałuję, że nie było innego sposobu. A jednak ich zabijam. Czasem żałuję też, że jestem takim przeklętym realistą.

25

Kelsier wrzucił do plecaka jeszcze jeden bukłak wody.

– Breeze, zrób listę wszystkich kryjówek, gdzie razem rekrutowaliśmy. Idź tam i ostrzeż ludzi, że Zakon wkrótce będzie miał jeńców, którzy mogą ich zdradzić.

Breeze skinął głową, choć raz powstrzymując się od dowcipnych uwag. Za jego plecami uczniowie biegali po warsztacie, zbierając i przygotowując zapasy, których żądał Kelsier.

– Dox, ten sklep powinien być bezpieczny, jeśli nie złapią Yedena. Wystaw wszystkich trzech Cynookich Clubsa na wartę. Jeśli będą kłopoty, uciekajcie do schronu.

Dockson skinął głową i zaczął szybko wydawać rozkazy uczniom. Jeden już wyszedł, żeby ostrzec Renoux. Kelsier uważał, że pałac może być bezpieczny, tylko jedna grupa barek wyruszyła z Fellise i jego ludzie nie wiedzieli, że Renoux był częścią spisku. Renoux nie ucieknie, chyba żeby

to się stało absolutnie konieczne, bo jego zniknięcie będzie wymagało usunięcia ze starannie przygotowanych stanowisk zarówno jego, jak i Valette.

Kelsier wcisnął do plecaka garść racji i zarzucił go sobie na plecy.

– A co ze mną, Kell?

– Wracasz do Garnizonu, tak jak obiecałeś. To było mądre posunięcie... potrzebujemy tam informatora.

Ham zmarszczył czoło.

– W tej chwili nie mam czasu przejmować się twoimi nerwami, Ham – rzekł Kelsier. – Nie musisz oszukiwać. Po prostu bądź sobą i słuchaj.

– Nie będę mógł walczyć z Garnizonem, jeśli pójdę z nimi – odrzekł. – Będę słuchał, ale nie zaatakuję ludzi, którzy będą mnie uważać za sprzymierzeńca.

– Doskonale – odparł Kelsier. – Ale mam szczerą nadzieję, że znajdziesz również sposób na to, żeby nie zabijać naszych żołnierzy. Sazed!

– Tak, mistrzu Kelsier?

– Ile szybkości masz zmagazynowanej?

Sazed zarumienił się lekko, spoglądając na kręcących się wokół ludzi.

– Może na jakieś dwie, trzy godziny. To bardzo trudny atrybut do zmagazynowania.

– Nie wystarczy – mruknął Kelsier. – Pójdę sam. Dopóki nie wrócę, dowodzi Dox.

Kelsier obrócił się i znieruchomiał. Przed nim stała Vin, w tych samych spodniach, czapce i koszuli, w których odwiedziła Garnizon. Z ramienia zwisał jej plecak podobny do jego własnego. Przyglądała mu się zadziornie.

– To będzie trudna droga, Vin – zaoponował. – Nigdy przedtem czegoś takiego nie robiłaś.

– Nie szkodzi – odrzekła.

Kelsier skinął głową. Wyciągnął skrzynię spod stołu, otwarł ją i odsypał dla Vin woreczek kulek z cyny i ołowiu. Wzięła je bez słowa.

– Połknij pięć kulek.

– Pięć?

– Na razie – odparł. – Jeśli będziesz potrzebować więcej, zawołaj, żebym się zatrzymał.

– Zatrzymał? – zdziwiła się. – Nie płyniemy barką i kanałem?

Kelsier zmarszczył brwi.

– A po co nam barka?

Vin spojrzała na woreczek, po czym wzięła kubek z wodą i zaczęła połykać kulki.

– Pamiętaj, żeby zawsze mieć dużo wody w plecaku – poradził Kelsier. – Weź tyle, ile zdołasz unieść. – Podszedł do Docksona i położył mu dłoń na ramieniu. – Za mniej więcej trzy godziny wzejdzie słońce. Jeśli się pospieszymy, będziemy tam jutro koło południa.

Dockson skinął głową.

– Może zdążymy.

Może, pomyślał Kelsier. Garnizon Valtroux jest tylko o trzy dni drogi od Holstep. Nawet jadąc przez całą noc, posłaniec nie mógł dotrzeć do Luthadelu wcześniej niż w ciągu dwóch dni. Zanim dotrę do armii...

Dockson widział troskę w oczach Kelsiera.

– Tak czy owak, armia jest teraz bezużyteczna – rzekł.

– Wiem – odparł Kelsier. – Chodzi tylko o uratowanie życia tym ludziom. Dam ci znać, jak tylko będę mógł.

Dockson skinął głową.

Kelsier odwrócił się i rozjarzył cynę z ołowiem. Jego plecak stał się nagle tak lekki, jakby był pusty.

– Spalaj cynę z ołowiem, Vin. Idziemy – rzekł. Po chwili poczuł emanowane przez nią pulsacje. – Rozjarz.

Wyciągnął z kufra dwa mgielne płaszcze i rzucił jej jeden. Sam włożył drugi, po czym ruszył do drzwi i otworzył je gwałtownie. Czerwone słońce stało w zenicie. Zaabsorbowani członkowie szajki zatrzymali się na chwilę, obserwując, jak Kelsier i Vin opuszczają budynek.

Dziewczyna pospieszyła naprzód, doganiając Kelsiera.

– Ham powiedział mi, że powinnam nauczyć się używać cyny z ołowiem tylko wtedy, kiedy potrzebuję... że lepiej robić to delikatnie.

Kelsier odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

– Nie ma czasu na delikatność. Trzymaj się blisko mnie, staraj się nie zostawać w tyle i pilnuj, żeby ci nie zabrakło cyny z ołowiem.

Skinęła głową. Mimo to powoli ogarniał ją strach.

– Dobrze – rzekł Kelsier i odetchnął głęboko. – W drogę.

***

Kelsier wyskoczył z alejki z nadludzką prędkością. Vin ruszyła za nim i oboje popędzili ulicą. Cyna z ołowiem była jak oślepiający płomień w jej wnętrzu. Rozjarzając ją, zapewne zużyje cały zapas w godzinę.

Ulica była zatłoczona robotnikami skaa i powozami szlachty. Nie zważając na panujący wokół ruch, Kelsier wyskoczył na sam środek ulicy, nie zmniejszając obłędnej prędkości. Vin pędziła za nim, coraz bardziej się martwiąc, w co się wpakowała.

Nie mogłam pozwolić, żeby poszedł sam, myślała. Niestety, po ostatnim razie, kiedy to wymusiła na nim, by zabrał ją ze sobą, przeleżała w łóżku parę miesięcy...

Kelsier lawirował pomiędzy powozami, wymijając pieszych, gnając ulicą, jakby należała wyłącznie do niego. Vin podążała za nim. Ziemia pod jej stopami była smugą koloru, ludzie znikali zbyt szybko, by dostrzegła ich twarze. Kilkoro zawołało coś do niej zirytowanymi głosami, ale zaraz umilkli, zaszokowani.

Płaszcze, pomyślała. Dlatego je mamy... dlatego zawsze je nosimy. Szlachta, która je zobaczy, będzie wiedziała, że ma nam zejść z drogi.

Kelsier skręcił, kierując się prosto do północnych bram miasta. Vin biegła za nim. Nie zwolnił, kiedy dotarł do celu, a ludzie w kolejkach zaczęli pokazywać go sobie palcami. Strażnicy spojrzeli na nich z zaskoczeniem na twarzach.

Kelsier skoczył.

Jeden z uzbrojonych strażników upadł z krzykiem. Został zmiażdżony allomantycznym ciężarem Kelsiera, kiedy przywódca przebiegł po nim. Vin zaczerpnęła tchu, rzuciła monetę i skoczyła. Bez trudu minęła drugiego strażnika, który z zaskoczeniem przyglądał się kompanowi.

Vin Odepchnęłą się od zbroi żołnierza, rzucając się w powietrze. Mężczyzna zachwiał się, ale pozostał na nogach – Vin daleko było do ciężaru Kelsiera.

Wystrzeliła ponad mur, słysząc okrzyki zaskoczenia stojących na nim strażników. Miała nadzieję, że nikt jej nie rozpozna. Wprawdzie przy skoku zgubiła czapkę, ale nawet ci, którzy znali damę Valette, prawdopodobnie nigdy nie powiązaliby jej ze Zrodzoną z Mgły w brudnych spodniach.

Płaszcz Vin łopotał wściekle w świszczącym powietrzu. Bardzo dziwne było używanie Allomancji w dzień. Wręcz nienaturalne. Vin popełniła ten

błąd, że spadając, spojrzała w dół. I zamiast przyjemnie wirujących mgieł ujrzała nisko w dole ziemię.

Jak wysoko! – pomyślała z przerażeniem. Na szczęście nie straciła orientacji na tyle, by nie odepchnąć się od monety, za pomocą której wylądował Kelsier. Nim dotknęła pokrytej popiołem ziemi, zwolniła opadanie do przyzwoitej prędkości.

Kelsier natychmiast ruszył przed siebie. Vin podążyła za nim, ignorując kupców i wędrowców. Teraz, kiedy opuścili miasto, myślała, że Kelsier zwolni. Nie zwolnił. Przyspieszył.

I nagle zrozumiała. Kelsier nie zamierzał iść ani nawet biec do jaskiń.

Zamierzał gnać przez całą drogę.

Kanałem ta podróż trwałaby dwa tygodnie. W ile czasu oni ją przebiegną? Poruszali się szybko, potwornie szybko. Wolniej niż galopujący koń, z pewnością, ale nawet koń nie utrzymałby takiej prędkości przez cały czas.

Vin, biegnąc, nie czuła zmęczenia. Polegała na cynie z ołowiem, przekazując ciału tylko niewielkie napięcie. Zaledwie czuła stopy uderzające w ziemię, a z tak wielką rezerwą cyny z ołowiem wydawało jej się, że zdoła utrzymać szybkie tempo wystarczająco długo.

Dogoniła Kelsiera i teraz biegła obok niego.

– Myślałam, że będzie trudniej.

– Cyna z ołowiem poprawia równowagę – wyjaśnił. – Inaczej potykałabyś się o własne nogi.

– Jak sądzisz, co tam zastaniemy? To znaczy w jaskiniach.

Pokręcił głową.

– Nie ma o czym mówić. Szkoda sił.

– Ale wcale nie czuję się zmęczona!

– Zobaczymy, co powiesz za szesnaście godzin – odparł, przyspieszając jeszcze bardziej, kiedy zeszli z drogi, kierując się w stronę ścieżki holowniczej obok kanału Luth-Davn.

Szesnaście godzin!

Lekko pozostała w tyle, zyskując więcej miejsca do biegu. Kelsier zwiększył szybkość, teraz naprawdę pędzili jak szaleni. Miał rację – w każdej innej sytuacji już dawno potknęłaby się na tym niepewnym terenie. Cyna z ołowiem prowadziła ją jednak tak pewnie, że Vin

utrzymywała się na nogach – choć musiała wytężyć uwagę w miarę, jak robiło się coraz ciemniej i zaczęły wychodzić mgły.

Od czasu do czasu Kelsier rzucał monetę i skakał z jednego wzgórza na drugie, ale najczęściej po prostu biegł równomiernym tempem, trzymając się kanału. Mijały godziny, a Vin zaczęła powoli odczuwać zmęczenie, które jej przepowiedział. Wciąż utrzymywała prędkość, ale czuła pod nią coś – jakiś opór, jakieś pragnienie, by się zatrzymać i odpocząć. Pomimo potęgi cyny z ołowiem jej ciało traciło siły.

Teraz uważała, żeby przez cały czas utrzymywać wysoki poziom metalu. Obawiała się, że gdyby go zabrakło, zmęczenie ogarnęłoby ją tak potężną siłą, że nic nie zmusiłoby jej do podjęcia drogi. Poza tym Kelsier nakazał jej pochłaniać potworne ilości wody, a Vin wcale nie chciało się pić.

Noc zapadła czarna i milcząca, podróżnicy obawiali się zmierzyć z mgłami. Mijali statki i barki na kanale, przycumowane na noc, co jakiś czas trafiali na obozowiska flisaków, ze szczelnie zamkniętymi namiotami, by się chronić przed mgłą. Dwukrotnie minęli mgielne upiory. Pierwszy okropnie przeraził Vin, ale Kelsier po prostu go wyminął, ignorując potworne, przezroczyste szczątki ludzi i zwierząt, które zostały strawione, a ich kości tworzyły teraz szkielet upiora.

Biegli dalej. Czas stał się plamą, a bieg zdominował wszystkie inne uczucia Vin. Poruszanie się wymagało takiej uwagi, że zaledwie zauważała Kelsiera, który był w mgle tuż przed nią. Stawiała jedną stopę przed drugą, jej ciało pozostawało silne... a jednocześnie odczuwała ogromne zmęczenie. Każdy krok wymagał ogromnego wysiłku. Zaczęła tęsknić za odpoczynkiem.

Kelsier nie dawał jej szansy. Biegł dalej, zmuszając ją do utrzymywania tej samej, niesamowitej prędkości. Świat Vin stał się masą przymusu, bólu i wszechogarniającego otępienia. Czasem zwalniali, żeby napić się wody lub połknąć kilka kulek cyny z ołowiem, ale nie przestawali biec. Czuła się tak... jakby już nie mogła się zatrzymać. Zmęczenie opanowało jej myśli. Rozjarzona cyna z ołowiem była wszystkim.

W pewnej chwili Vin ujrzała blask. Wschodziło słońce i otaczające ich dotąd mgły znikły. Kelsier jednak nie pozwolił, by światło dnia ich zatrzymało. Musieli biec. Musieli... tylko... biec... dalej...

***

Umrę, zaraz umrę.

Ta myśl przyszła jej do głowy w czasie biegu nie po raz pierwszy. Właściwie cały czas krążyła po jej mózgu, dziobiąc go niczym ptak-ścierwojad. A ona biegła. Biegła dalej.

Nienawidzę biec, myślała. Dlatego zawsze mieszkałam w mieście. Żebym nie musiała biegać.

Coś podpowiadało jej, że ta myśl nie ma sensu. Niestety, w tej chwili trzeźwość myślenia nie była jej dominującą cechą.

Kelsiera też nienawidzę. Ciągle biegnie i biegnie. Ile już czasu minęło, odkąd wzeszło słońce? Minuty? Godziny? Tygodnie? Lata? Przysięgam, nie myślę...

Nagle Kelsier przystanął. Czekał, aż Vin go dogoni.

Dziewczyna była tak oszołomiona, że omal się z nim nie zderzyła. Potknęła się, niezgrabnie zwolniła, jakby zapomniała, że można się poruszać inaczej niż biegiem. Przystanęła i, ogłupiała, wpatrywała się w swoje stopy.

Coś jest nie tak, myślała. Przecież nie mogę tak stać. Muszę biec.

Poczuła, że rzuca się do biegu, ale Kelsier chwycił ją. Szarpnęła się kilka razy w jego ramionach, stawiając słaby opór.

Odpoczywaj, szeptało coś w jej głowie. Odpręż się. Zapomniałaś, jak to jest, ale to takie przyjemne...

– Vin! – zawołał Kelsier. – Nie gaś cyny z ołowiem. Pal ją dalej, bo zemdlejesz!

Pokręciła głową, zdezorientowana, usiłując zrozumieć, co on do niej mówi.

– Cyna! – rzekł. – Rozjarz! Natychmiast!

Posłuchała. Jej głowa eksplodowała nagłym bólem, który już zapomniała. Musiała zamknąć oczy, oślepione słonecznym światłem. Bolały ją nogi, stopy paliły... Nagłe obudzenie się zmysłów jednak przywróciło jej przytomność. Zamrugała, patrząc na Kelsiera.

– Lepiej? – zapytał.

Skinęła głową.

– Właśnie zrobiłaś swemu ciału coś niewiarygodnie podłego – wyjaśnił. – Powinno odmówić ci posłuszeństwa wiele godzin temu, ale masz cynę z ołowiem, która je napędza. Dojdziesz do siebie – potem nawet nabierzesz wprawy w takim przesilaniu się – ale na razie musisz tylko palić cynę z ołowiem i pozostawać przytomna. Prześpimy się później.

Znów skinęła głową.

– Dlaczego... – głos jej się załamał – dlaczego... stoimy?

– Słuchaj.

Nadstawiła uszu. Usłyszała głosy. Krzyki.

Podniosła na niego wzrok.

– Bitwa?

Skinął głową.

– Miasto Holstep jest około godziny drogi stąd na północ, ale chyba znaleźliśmy to, po co przyszliśmy. Chodź.

Puścił ją, rzucił monetę i przeskoczył przez kanał. Vin podążyła za nim, kiedy biegł na najbliższe wzgórze. Kelsier dotarł na szczyt i wychylił się zza niego. Nagle wstał i znieruchomiał, wpatrując się w coś na wschodzie. Vin dogoniła go i teraz też zobaczyła w oddali bitwę. Wiatr zmienił kierunek i przyniósł jej zapachy.

Krew. Dolina za wzgórzem była usiana ciałami. Po drugiej jej stronie wciąż jeszcze toczyła się walka – niewielka grupka odzianych w cywilne ubrania mężczyzn została otoczona przez wielką armię w mundurach.

– Spóźniliśmy się – rzekł Kelsier. – Nasi ludzie musieli rozbić Garnizon Holstep i potem próbowali wrócić do jaskiń. Ale miasto Valtroux jest tylko o kilka dni drogi, a jego garnizon liczy sobie pięć tysięcy ludzi. Ci żołnierze dotarli tu przed nami.

Vin zmrużyła oczy, paląc cynę, i stwierdziła, że jej towarzysz ma rację. Większa armia nosiła imperialne mundury, a jeśli sądzić ze szlaku znaczonego ciałami, zastawiła zasadzkę na przechodzącą armię skaa. Ci nie mieli szans. Teraz, kiedy obserwowała walkę, niedobitki nagle podniosły ręce. Żołnierze jednak zabijali ich nadal. Niektórzy skaa jeszcze bronili się desperacko.

– To rzeź – rzekł z wściekłością w głosie Kelsier. – Garnizon Valtroux musiał dostać rozkaz wymordowania całej grupy.

Ruszył w kierunku potyczki.

– Kelsier! – zawołała, chwytając go za ramię. – Co robisz?

Obejrzał się na nią.

– Tam są jeszcze ludzie. Moi ludzie.

– Co zamierzasz zrobić? Sam zaatakujesz armię? Po co? Twoi rebelianci nie są Allomantami, nie będą w stanie spalić cyny i uciec. Nie zatrzymasz całej armii, Kelsierze.

Wyrwał się z jej uchwytu, a ona nie miała dość siły, by go utrzymać. Potknęła się, upadła na szorstki, czarny kurz, wzbijając wokół chmurę popiołu. Kelsier ruszył w dół zbocza.

Vin dźwignęła się na czworaki.

– Kelsier! – zawołała, dygocząc ze zmęczenia. – Nie jesteśmy niezwyciężeni, pamiętasz?

Przystanął.

– Ty nie jesteś niezwyciężony – szepnęła. – Nie powstrzymasz ich wszystkich. Nie uratujesz tych ludzi.

Stał w milczeniu, zaciskając pięści. A potem powoli opuścił głowę. Masakra w oddali trwała, choć zostało już niewielu rebeliantów.

– Jaskinie – szepnęła. – Nasza armia na pewno zostawiła jakichś ludzi, prawda? Może powiedzą nam, dlaczego armia zdradziła swoje istnienie. Może uratujesz tych, którzy pozostali. Ludzie Ostatniego Imperatora z pewnością przeszukają kwaterę armii... O ile już tego nie zrobili.

Kelsier skinął głową.

– Dobrze. Chodźmy.

***

Kelsier zeskoczył do jaskini. Musiał rozjarzyć cynę, żeby zobaczyć cokolwiek w głębokiej ciemności. Pełznąca przez szczelinę nad jego głową Vin wydawała się dla jego nadwrażliwych uszu niemożliwie hałaśliwa. W samej jaskini... nic. Żadnych dźwięków, żadnych świateł.

Zatem nie miała racji, pomyślał. Nikt nie ocalał.

Odetchnął powoli, starając się znaleźć jakiś upust dla rozpaczy i gniewu. Zostawił ludzi na polu bitwy. Pokręcił głową, ignorując podszepty logiki. Jego gniew był zbyt świeży.

Vin opadła na podłoże tuż obok niego, jej postać była dla jego wytężonego wzroku tylko cieniem.

– Pusto – oznajmił, a jego głos poniósł się echem w jaskini. – Myliłaś się.

– Nie – szepnęła. – Tam.

Nagle pobiegła, z kocią zwinnością przemykając po nierównym podłożu. Kelsier wołał za nią w mrok, ale wreszcie musiał zacisnąć zęby i ruszyć za nią w głąb korytarza.

– Vin, wracaj! Tam nic nie ma!

Urwał. Z trudem dostrzegał błysk światła w korytarzu, daleko w przodzie. Do diaska! Jak ona mogła zauważyć to z takiej odległości?!

Wciąż słyszał ją przed sobą, ale szedł ostrożniej, sprawdzając rezerwy metalu w obawie przed zasadzką agentów Zakonu. Kiedy jednak zbliżył się do światła, jakiś głos zawołał:

– Kto tam? Hasło!

Kelsier szedł dalej. Światło było już teraz wystarczająco jasne, żeby ujrzał w korytarzu przed sobą postać trzymającą włócznię. Vin przykucnęła i czekała w ciemności. Kiedy ją mijał, spojrzała na niego pytająco. Widać było, że na razie opanowała zmęczenie po cynowym przesileniu. Kiedy jednak zatrzymają się, by odpocząć, znów je poczuje.

– Słyszę cię! – niespokojnie zawołał strażnik. Jego głos brzmiał nieco strachliwie. – Kim jesteś?

Kapitan Demoux, pomyślał Kelsier. Jeden z naszych. To nie pułapka.

– Hasło! – rozkazał Demoux.

– Nie potrzebuję hasła – odrzekł Kelsier, wchodząc w krąg światła.

Demoux opuścił włócznię.

– Lord Kelsier? Przyjechał pan... czy to znaczy, że armia zwyciężyła?

Kelsier zignorował pytanie.

– Dlaczego nie pilnujecie wejścia?

– My... myśleliśmy, że łatwiej będzie się bronić, jeśli wycofamy się do wewnętrznego kompleksu. Nie zostało nas wielu.

Kelsier spojrzał znów w stronę korytarza wejściowego. Ile czasu minie, zanim ludzie Ostatniego Imperatora znajdą jeńca gotowego sypać? Vin miała rację, musimy najpierw zabrać tych ludzi w bezpieczne miejsce.

Vin wstała i podeszła, przyglądając się młodemu żołnierzowi.

– Ilu was tu jest?

– Około dwóch tysięcy – odparł Demoux. – My... myliliśmy się, panie. Przykro mi.

Kelsier spojrzał na niego z lekkim zdumieniem.

– Myliliście się?

– Myśleliśmy, że generał Yeden działa pochopnie – wyjaśnił, rumieniąc się. – Zostaliśmy. Myśleliśmy... że jesteśmy lojalni wobec ciebie, a nie wobec niego. Ale powinniśmy byli pójść z resztą armii.

– Armia nie istnieje – odparł oschle Kelsier. – Zbierz swoich ludzi, Demoux. Musimy się stąd natychmiast wynosić.

***

Tej nocy, siedząc na pniu drzewa, otoczony mgłą, Kelsier wreszcie zmusił się, by stawić czoło wydarzeniom dnia.

Siedział z rękami splecionymi przed sobą, wsłuchując się w ostatnie ciche rozmowy układających się do snu żołnierzy. Na szczęście ktoś pomyślał o przygotowaniu grupy do szybkiego wymarszu. Każdy miał śpiwór, broń i żywność na dwa tygodnie. Skoro tylko Kelsier odkryje, kto miał taki zmysł przewidywania, sowicie go wynagrodzi i awansuje.

Niewiele było teraz do dowodzenia. Pozostałe dwa tysiące ludzi obejmowały również żołnierzy, którzy dawno przeżyli swoje najlepsze lata lub jeszcze ich nie osiągnęli – ludzi, którzy byli dość rozumni, by wiedzieć, że plan Yedena był szalony, lub dość młodzi, by się bać.

Pokręcił głową. Tylu zabitych. Zebrali prawie siedem tysięcy ludzi przed tą klęską, a teraz większość nie żyła. Yeden widocznie postanowił „sprawdzić” armię, uderzając nocą na garnizon Holstep. Co przywiodło go do tej szalonej decyzji?

Ja, pomyślał Kelsier. To moja wina.

Obiecał im pomoc nadnaturalnych sił. Sam sobie zgotował ten los, włączając Yedena do szajki, swobodnie mówiąc o sprawach niemożliwych i niewykonalnych. Czy jest coś dziwnego w tym, że Yeden pomyślał, że może na oślep zaatakować Ostatnie Imperium? Szczególnie, biorąc pod uwagę, jak wielką pewność siebie dawał mu Kelsier? Czy to takie niezwykłe, że żołnierze poszli za nim, biorąc pod uwagę obietnice, jakie im składano?

Teraz ci ludzie nie żyli i Kelsier był za to odpowiedzialny. Śmierć nie była dla niego nowiną, podobnie jak klęska... już nie. Ale nie mógł pokonać

ucisku w żołądku. To prawda, że ci ludzie zginęli, walcząc z Ostatnim Imperium, a więc umarli śmiercią, o której marzyłby każdy skaa... Ale sam fakt, że umierali, wciąż licząc na boską interwencję ze trony Kelsiera... to było nie do zniesienia.

Wiedziałeś, że będzie ciężko, mówił sobie. Rozumiałeś ciężar, jaki wziąłeś na swoje barki.

Ale czy miał takie prawo? Nawet jego ludzie – Ham, Breeze i inni – uważali, że Ostatnie Imperium jest niepokonane. Poszli za nim, bo w niego wierzyli i dlatego, że swoje plany przedstawił im w formie złodziejskiego napadu. Teraz patron zadania był martwy, bo zwiadowca, na dobre i złe wysłany na pole bitwy, był w stanie to potwierdzić. Żołnierze nadziali jego głowę na włócznię i zatknęli koło drogi, wraz z głowami kilku oficerów Hama.

Zadanie nie istniało. Ponieśli klęskę. Armia nie istniała. Nie będzie rebelii, nie będzie zajęcia miasta.

Kelsier usłyszał nagle zbliżające się kroki i uniósł głowę, zastanawiając się, czy będzie miał siłę wstać. Vin leżała skulona obok tego samego pnia, śpiąc na twardej ziemi. Podłożyła sobie pod głowę mgielny płaszcz. Długie rozjarzanie cyny z ołowiem kosztowało dziewczynę bardzo wiele. Padła dosłownie w tej samej chwili, w której Kelsier zarządził postój na noc. Żałował, że sam nie może zrobić tego samego. Był jednak bardziej doświadczony w długim rozjarzaniu cyny z ołowiem niż ona. Jego ciało też w końcu się podda, ale może jeszcze przez chwilę wytrzyma.

Z mgły wynurzyła się postać, kuśtykając w kierunku Kelsiera. Ten człowiek był stary, starszy niż wszyscy, których rekrutował Kelsier. Musiał być jednym z dawnych rebeliantów – jeden ze skaa mieszkających w jaskiniach, zanim Kelsier je przejął.

Mężczyzna wybrał sobie wielki kamień obok pnia, na którym siedział Kelsier, i usiadł z westchnieniem. Zdumiewające, że ktoś tak stary w ogóle był jeszcze w stanie chodzić. Kelsier prowadził grupę dość szybko, starając się czym prędzej oddalić od kompleksu jaskiń.

– Ludzie będą kiepsko spać – zauważył starzec. – Nie są przyzwyczajeni do spania we mgle.

– Nie mają wielkiego wyboru – odparł Kelsier.

Starzec pokręcił głową.

– Chyba nie mają. – Siedział przez chwilę z nieodgadnionym wyrazem oczu. – Nie poznajesz mnie, prawda?

Kelsier zawahał się, ale pokręcił głową.

– Przykro mi. To ja cię zwerbowałem?

– W pewnym sensie. Byłem jednym ze skaa z plantacji lorda Trestinga.

Kelsier lekko otworzył usta z zaskoczenia, nagle rozpoznając znajome rysy – łysą głowę starca i zmęczoną, ale jednak pełną siły postać.

– Ten starzec, z którym siedziałem tamtego wieczoru... Nazywasz się...

– Mennis. Kiedy zabiłeś Trestinga, uciekliśmy do jaskiń, gdzie przyjęli nas rebelianci. Wielu z nas już odeszło, szukając innych plantacji. Niektórzy zostali.

Kelsier skinął głową.

– To twoja sprawka, prawda? – zapytał, wskazując na obozowisko. – Te przygotowania?

Mennis wzruszył ramionami.

– Jedni walczą, to drudzy muszą robić inne rzeczy.

Kelsier się pochylił.

– Mennis, co się stało? Dlaczego Yeden to zrobił?

Mennis tylko pokręcił głową.

– Wprawdzie wielu uważa, że młodzi ludzie powinni być głupcami, ja jednak zauważyłem, że nieco starszy człowiek może być jeszcze większym szaleńcem, niż w czasach młodości. Yeden... no cóż, to był typ, któremu łatwo było zaimponować. Ty i reputacja, jaką mu zostawiłeś. Niektórzy z generałów uznali, że żołnierzom przyda się trochę otrzaskać z bitwą, i wymyślili, że nocny rajd na garnizon Holstep będzie mądrym posunięciem. Okazało się to trudniejsze, niż sądzili.

– Nawet, gdyby im się udało, ujawnienie armii sprawiłoby, że stałaby się dla nas bezużyteczna – odrzekł Kelsier.

– Wierzyli w ciebie. Myśleli, że nie zginą.

Kelsier westchnął, oparł głowę o pień i zagapił się w wirujące mgły.

– I co teraz z nami będzie? – zapytał Mennis.

– Podzielimy was – odparł Kelsier. – Przemycimy do Luthadelu w małych grupach, wmieszamy w populację skaa.

Mennis skinął głową. Wydawał się zmęczony... wyczerpany, a jednak się nie kładł. Kelsier rozumiał to uczucie.

– Pamiętasz naszą rozmowę na plantacji Trestinga? – zapytał Mennis.

– Trochę – odparł Kelsier. – Próbowałeś wyperswadować mi robienie zamieszania.

– Ale to cię nie powstrzymało.

– Rozrabianie to chyba jedyne, co umiem, Mennisie. Czy masz mi za złe to, co tutaj zrobiłem? Do czego was zmusiłem?

Mennis zamyślił się, skinął głową i rzekł:

– W pewnym sensie jestem ci wdzięczny za to uczucie. Wierzyłem, że moje życie dobiegło końca. Codziennie rano budziłem się z przekonaniem, że nie dam rady wstać. Ale... no cóż, w jaskiniach znalazłem znowu cel w życiu. Za to jestem ci wdzięczny.

– Nawet po tym, co zrobiłem z armią?

Mennis prychnął.

– Nie miej tak wielkiego mniemania o sobie, młody człowieku. Ci żołnierze sami sprowadzili na siebie śmierć. Może byłeś dla nich motywacją, ale nie dokonałeś za nich wyboru. To nie jest pierwsza rebelia skaa, którą zniszczono. Naprawdę nie. W pewnym sensie zdziałałeś bardzo wiele – zebrałeś dużą armię, uzbroiłeś ją i wyszkoliłeś lepiej, niż ktokolwiek mógłby tego oczekiwać. Sprawy potoczyły się nieco szybciej, niż to było w planach, ale powinieneś być z siebie dumny.

– Dumny? – zapytał Kelsier, wstając. – Ta armia miała pomóc w obaleniu Ostatniego Imperium, a nie dać się rozbić w jakiejś nic nieznaczącej walce w kotlinie o tygodnie drogi od Luthadelu.

– Obalić im... – Mennis spojrzał na niego, marszcząc brwi. – Naprawdę chciałeś zrobić coś takiego?

– Oczywiście – odparł Kelsier. – Po cóż inaczej miałbym zbierać taką armię?

– Aby stawiać opór – odrzekł Mennis. – Aby walczyć. Po to ci chłopcy przyszli do jaskiń. Nie chodziło o to, żeby zwyciężyć czy przegrać, chodziło o to, żeby cokolwiek zrobić... cokolwiek, aby walczyć przeciwko Ostatniemu Imperatorowi,

Kelsier obejrzał się na niego z marsem na twarzy.

– Wiedziałeś, że armia od początku będzie przegrywać?

– A co mogła zrobić innego? – zapytał Mennis. On także wstał, kręcąc głową. – Niektórzy zaczęli myśleć, że będzie inaczej, chłopcze, ale Ostatniego Imperatora nie można pokonać. Kiedyś dałem ci radę... powiedziałem ci, żebyś rozważnie wybierał bitwy, w których chcesz

walczyć. Cóż, dopiero teraz zrozumiałem, że warto było stoczyć i tę walkę. Dam ci teraz jeszcze jedną radę, Kelsierze, Ocalały z Hathsin. Musisz wiedzieć, kiedy skończyć. Udało ci się lepiej, niż ktokolwiek mógłby sądzić. Ci twoi skaa roznieśli cały garnizon żołnierzy, zanim zostali schwytani i rozbici. To największe zwycięstwo, jakie skaa odnieśli w ostatnich dziesięcioleciach, a może nawet stuleciach. Teraz czas odejść.

Z tymi słowy starzec z szacunkiem pochylił głowę i podreptał w kierunku obozowiska.

Kelsier stał jak wryty.

To największe zwycięstwo, jakie skaa odnieśli w ostatnich dziesięcioleciach.

Jestem już tak bardzo zmęczony.

26

Vin leżała w swoim łóżku w sklepie Clubsa, czując, jak pęka jej głowa.

Na szczęście ból powoli słabł. Wciąż pamiętała przebudzenie pierwszego okropnego poranka, kiedy ból był tak silny, że nie była w stanie myśleć, a co dopiero się poruszać. Nie wiedziała, jak Kelsier mógł dalej funkcjonować, prowadząc szczątki armii do bezpiecznej kryjówki.

To było dwa tygodnie temu. Pełne piętnaście dni, a ją ciągle bolała głowa. Kelsier powiedział, że to dobrze. Twierdził, że musi poćwiczyć „przeciąganie cyny z ołowiem", by nauczyć ciało funkcjonować poza granicami możliwości. Mimo to wątpiła, że coś, co tak okropnie boli, może być dla niej dobre.

Oczywiście, sama umiejętność była warta posiadania. To musiała przyznać, teraz, kiedy głowa już tak nie łupała. Ona i Kelsier byli w stanie dobiec do pola bitwy w ciągu jednego dnia. Powrotna droga zajęła dwa tygodnie.

Wstała, przeciągając się ze znużeniem. Wrócili przecież dopiero wczoraj, Kelsier prawdopodobnie nie spał jeszcze przez pół nocy, bo musiał

wyjaśnić zdarzenia pozostałym członkom grupy. Vin na szczęście pobiegła prosto do łóżka. Noce spędzone na twardej ziemi przypomniały jej, że wygodne łóżko stało się luksusem, który zaczęła uważać za oczywisty.

Ziewnęła, znów potarła skronie, po czym włożyła szlafrok i ruszyła do łazienki. Z radością stwierdziła, że uczniowie Clubsa pamiętali, by jej przygotować kąpiel. Zamknęła drzwi, rozebrała się i weszła do ciepłej, lekko perfumowanej wody. Czy naprawdę kiedyś te zapachy jej przeszkadzały? Oczywiście, zapach czynił ją bardziej rozpoznawalną, ale to niewielka cena za uwolnienie się od brudu i potu, którymi pokryło się jej ciało w trakcie podróży.

Wciąż uważała długie włosy za kłopot. Umyła je, wyczesując kołtuny i zbite kosmyki, zastanawiając się, jak dworskie kobiety wytrzymują z włosami aż do pasa. Ile czasu musiały spędzać na ich czesaniu i układaniu przez służące? Włosy Vin nie sięgały nawet do ramion, a już nie chciała, żeby były dłuższe. Będą latały jej wokół twarzy i wpadały do oczu podczas skoków, nie mówiąc o tym, że przeciwnik będzie miał za co złapać.

Po kąpieli wróciła do pokoju, ubrała się i zeszła na dół. W pracowni krzątali się uczniowie, sprzątaczki pracowały na górze, ale w kuchni panował spokój. Club, Dockson, Ham i Breeze siedzieli przy porannym posiłku. Kiedy Vin weszła, podnieśli wzrok.

– Co? – zapytała nadąsana, zatrzymując się w drzwiach. Kąpiel nieco złagodziła ból głowy, ale wciąż czuła lekkie pulsowanie w tyle czaszki.

Czterej mężczyźni wymienili spojrzenia. Ham odezwał się pierwszy:

– Właśnie omawiamy status planu, teraz, kiedy nie mamy już ani pracodawcy, ani armii.

Breeze uniósł brew.

– Status? Interesujący sposób interpretacji sytuacji, Hammodzie. Powiedziałbym raczej „niewykonalność”.

Clubs mruknął twierdząco i cała czwórka spojrzała na nią.

Czemu obchodzi ich, co myślę? Zastanawiała się, wchodząc do pokoju i siadając przy stole.

Ham miał odwagę zachichotać.

– Kac cynowo-ołowiowy?

Skinęła głową.

– Przejdzie – zauważył.

– Jeśli ja nie umrę najpierw – burknęła.

Ham zachichotał znowu, ale ta wesołość wydawała się wymuszona. Dox podał jej kubek i usiadł, spoglądając po twarzach pozostałych.

– No więc, Vin, co ty o tym myślisz?

– Nie wiem – odparła z westchnieniem. – Armia właściwie była ośrodkiem wszystkiego, prawda? Breeze, Ham i Yeden spędzali cały czas na rekrutacji, Dockson i Renoux pracowali nad zapasami. Teraz żołnierzy nie ma... Cóż, zostaje tylko Marsh ze swoimi działaniami w Zakonie i ataki Kella na szlachtę. Ani do jednego, ani do drugiego nie potrzebuje nas. Grupa stała się zbędna.

W kuchni zapanowała cisza.

– Ona ma przerażająco dosadny sposób doboru słów – zauważył Dockson.

– Kac cynowo-ołowiowy robi z człowiekiem takie rzeczy – zauważył Ham.

– A kiedy ty wróciłeś? – zapytała Vin.

– Zeszłej nocy, kiedy spałaś – odparł zapytany. – Garnizon odesłał tymczasowych żołnierzy wcześniej, żeby nie musieli nam zapłacić.

– Więc wciąż tam są? – zapytał Dockson.

Ham skinął głową.

– Polują na niedobitki armii. Garnizon z Luthadelu pomógł żołnierzom z Valtroux, którzy dostali porządne lanie w bitwie. Większość wojska z Luthadelu będzie tam jeszcze przez jakiś czas, szukając rebeliantów. Widocznie duże grupy oderwały się od trzonu armii i uciekły jeszcze przed rozpoczęciem bitwy.

Rozmowa znowu się urwała. Vin popijała swoje ale, raczej na złość aniżeli w nadziei, że zrobi jej się lepiej. Kilka minut później na schodach rozległy się kroki.

Do kuchni wpadł Kelsier.

– Dzień dobry wszystkim – rzekł jak zwykle radośnie. – Znowu placki, jak widzę. Clubs, naprawdę musisz sobie znaleźć bardziej kreatywną gosposię.

Pomimo tego komentarza chwycił walcowaty placek i odgryzł wielki kęs, po czym, uśmiechając się, nalał sobie wina.

Mężczyźni wymieniali spojrzenia.

– Kell, musimy porozmawiać – rzekł Dockson. – Armii nie ma.

– Tak – odrzekł Kelsier. – Zauważyłem.

– Zadanie nie istnieje, Kelsier – dodał Breeze. – Ładna próba, ale nieudana.

Kelsier znieruchomiał. Zmarszczył brwi i opuścił rękę z plackiem.

– Nieudana? Dlaczego tak uważasz?

– Armii nie ma, Kell – powtórzył Ham.

– Armia była tylko jednym elementem naszego planu. Mamy problem, to fakt, ale jeszcze nie skończyliśmy.

– Na litość Ostatniego Imperatora, człowieku! – zawołał Breeze. – Jak możesz tu stać, taki radosny? Nasi ludzie nie żyją. Nie obchodzi cię to?

– Obchodzi, Breeze – odparł poważnym tonem Kelsier. – Ale co się stało, to się stało. Musimy iść dalej.

– Właśnie! – odparł Breeze. – Skończ z tym szalonym zadaniem. Czas zrezygnować. Wiem, że ci się to nie podoba, ale to prawda.

Kelsier odstawił talerz na kredens.

– Nie Uspokajaj mnie, Breeze. Nigdy mnie nie Uspokajaj.

Breeze znieruchomiał i lekko otworzył usta.

– Dobrze – rzekł wreszcie. – Nie będę używać Allomancji. Po prostu będę mówił prawdę. Wiesz, co myślę? Myślę, że nigdy nie zamierzałeś ukraść tego atium. Wykorzystałeś nas. Obiecałeś nam bogactwa, żebyśmy się do ciebie przyłączyli, ale nigdy nie zamierzałeś nas uczynić bogatymi. Chodzi tylko o twoje ego. Chodzi o to, żebyś stał się największym przywódcą szajki, jakiego znała historia. Dlatego rozpuszczasz te wszystkie plotki, werbujesz ludzi. Poznałeś już bogactwo... teraz chcesz stać się legendą.

Kelsier stał z zaplecionymi rękoma, patrząc na obecnych. Niektórzy odwrócili wzrok, zawstydzone spojrzenia mówiły, że zastanawiali się nad tym, co mówi Breeze. Vin była jedną z nich. Wszyscy czekali na odpowiedź.

Nagle na schodach znów rozległy się kroki i do kuchni wpadł Spook.

– Chcenie zauważyć i wstanie zobaczyć! Zbiegowisko przy fontannach!

– Zbiegowisko na placu z fontannami? – zapytał Ham. – To znaczy...

– Chodźcie – rzekł Kelsier, wstając. – Idziemy zobaczyć.

***

– Raczej nie pójdę, Kell – rzekł Ham. – Unikam tego z konkretnych powodów.

Kelsier udał, że nie słyszy. Ruszył pierwszy. Za nim szła reszta, odziana w pospolite odzienie i płaszcze. Zaczął padać lekki popiół, płatki beztrosko spadały z nieba, jak liście z niewidzialnego drzewa.

Ulice były zatłoczone grupami skaa. Większość była robotnikami fabryk lub młynów. Vin wiedziała, że jeśli robotników zwalnia się z pracy i wysyła na centralny plac miasta, przyczyna może być tylko jedna.

Egzekucje.

Nigdy wcześniej tu nie przychodziła. Podobno wszyscy mieszkańcy miasta – szlachta i skaa – byli zobowiązani uczestniczyć w ceremoniach egzekucji, ale złodzieje wiedzieli jak się ukrywać. W oddali dzwoniły dzwony, ogłaszając wydarzenie, a obligatorzy obserwowali ulice. Będą zaglądali do młynów i kuźni, a nawet do niektórych domów, sprawdzając, kto zignorował nakaz, wymierzając śmierć jako karę za nieposłuszeństwo. Zebranie takiej liczby ludzi było ogromnym przedsięwzięciem, ale w pewien sposób właśnie takie działania sprawiały, że Ostatni Imperator mógł pokazać, jaki jest potężny.

Ulice były coraz bardziej zatłoczone, w miarę jak grupa Vin zbliżała się do placu fontann. Dachy budynków były upakowane ludźmi, gapie wypełniali ulice, przepychając się do przodu. Nie było szans na to, by wszyscy się zmieścili.

Mimo to wciąż przychodzili nowi. Dlatego że im kazano, dlatego że, patrząc, nie musieli pracować, a po części też – jak podejrzewała Vin – dlatego że kierowała nimi makabryczna ciekawość.

W miarę, jak tłum się zagęszczał, Kelsier, Dockson i Ham zaczynali torować drogę grupie. Niektórzy skaa spoglądali na nich z urazą, inni ustępowali z tępymi minami. Niektórzy byli zaskoczeni, a nawet podekscytowani, kiedy widzieli Kelsiera, choć jego blizny były teraz zakryte. Ci skwapliwie usuwali się z drogi.

Wreszcie grupa dotarła do zewnętrznego rzędu budynków otaczających plac. Kelsier wybrał jeden, skinął głową w jego kierunku i Dockson ruszył pierwszy. Człowiek przy wejściu próbował zagrodzić im drogę, ale Dox wskazał palcem na dach, po czym sugestywnie uniósł sakiewkę. Kilka minut później grupa miała dla siebie cały dach.

– Odym nas, Clubs, jeśli możesz – rzekł cicho Kelsier.

Rzemieślnik skinął głową, czyniąc załogę niewidzialną dla allomantycznych zmysłów brązu. Vin podeszła i przykucnęła na skraju dachu. Z dłońmi wspartymi na niskiej kamiennej barierce obserwowała plac u ich stóp.

– Tylu ludzi...

– Przez całe życie mieszkałaś w miastach, Vin – rzekł Ham, stając obok niej. – Z pewnością widywałaś już takie tłumy.

– Tak, ale...

Jak mogła wyjaśnić? Ta falująca, stłoczona masa nie przypominała niczego, co widziała kiedykolwiek. Była ogromna, prawie nieskończona, a jej macki wypełniały wszystkie ulice prowadzące z centralnego placu. Skaa byli tak stłoczeni, że Vin zastanawiała się, jak w ogóle są w stanie oddychać.

Szlachta siedziała pośrodku placu, oddzielona od skaa przez żołnierzy. Znajdowali się blisko patio centralnej fontanny, które wznosiło się ponad pięć stóp powyżej poziomu placu. Ktoś umieścił tam siedzenia dla szlachciców, którzy teraz rozsiadali się w nich, jakby mieli obejrzeć przedstawienie lub wyścig konny. Wielu miało służących, osłaniających ich parasolami przed opadającym popiołem.

Obok szlachty stali obligatorzy – zwykli w szarościach, Inkwizytorzy w czerni. Vin zadrżała. Inkwizytorów było ośmiu, ich smukłe sylwetki przewyższały obligatorów o głowę. Jednakże te mroczne sylwetki różniły się od swoich kuzynów nie tylko wzrostem. Stalowi Inkwizytorzy mieli w sobie coś szczególnego, wyraźną aurę.

Vin odwróciła się, obserwując teraz zwykłych obligatorów. Większość stała sztywno w administracyjnych szatach – im wyższa pozycja, tym bogatsze szaty. Vin zmrużyła oczy, paląc cynę, aż rozpoznała znajomą twarz.

– Tam – powiedziała, pokazując palcem. – Tam jest mój ojciec.

Kelsier się ożywił.

– Który to?

– Na czele obligatorów – odparła. – Ten niższy, ze złotą szarfą na szacie.

– Kto? – zapytał Dockson, wytężając wzrok. – Nie widzę ich twarzy.

– Tevidian – odrzekł Kelsier.

– Lord prelan? – zapytał Dockson, wstrząśnięty.

– Tak – odparła Vin. – Kto to taki?

Breeze zachichotał.

– Lord prelan to zwierzchnik Zakonu, moja droga. Jest najważniejszym z obligatorów Ostatniego Imperatora. Prawdę mówiąc, jest nawet wyższy rangą od Inkwizytorów.

– Lord prelan – mamrotał Dockson, kręcąc głową. – Z każdą chwilą coraz lepiej.

– Patrzcie! – zawołał nagle Spook, pokazując palcem.

Tłum skaa zaczął falować. Vin myślała, że byli zbyt stłoczeni, by się poruszać, ale chyba się myliła. Ludzie się cofali, tworząc szeroki korytarz wiodący do centralnej platformy.

Co mogłoby ich skłonić...

Nagle poczuła to. Przytłaczające otępienie, jak gruby koc, otulający ją, wysysający powietrze z płuc, obezwładniający wolę. Natychmiast rozpaliła miedź. Jednak, podobnie jak przedtem, była przekonana, że pomimo miedzi jest w stanie wyczuwać Uspokajanie Ostatniego Imperatora. Czuła, jak się zbliża, jak próbuje pozbawić ją woli, pragnień, sił i uczuć.

– Jedzie – rzekł Spook, przykucając obok niej.

Z bocznej ulicy wytoczył się czarny powóz, ciągnięty przez dwa ogromne białe rumaki. Przejechał przez korytarz skaa, wywołując wrażenie... nieuchronności. Vin zauważyła, że parę osób zostało zahaczonych przez powóz, i przypuszczała, że gdyby nawet któraś z nich wpadła pod koła, pojazd nie zatrzymałby się.

Po przybyciu Ostatniego Imperatora skaa sposępnieli jeszcze bardziej. Przez tłum przeszło wyraźne zafalowanie, w miarę jak garbili się pod wpływem jego potężnego Uspokajania. Szmer rozmów i szeptów ucichł, na ogromnym placu zapanował upiorny spokój.

– Jest potężny – rzekł Breeze. – Nawet w najlepszej formie potrafię Uspokoić jedynie kilkuset ludzi. A on robi to z tysiącami!

Spook przechylił się przez krawędź dachu.

– Mam ochotę spaść. Po prostu zostawić...

Potrząsnął głową, jakby budząc się ze snu. Vin zmarszczyła brwi. Coś się zmieniło. Na próbę zgasiła miedź i stwierdziła, że już nie czuje Uspokojenia Ostatniego Imperatora. Wrażenie potwornej depresji – bezduszności i pustki – znikło. Spook podniósł wzrok, a reszta grupy lekko się wyprostowała.

Vin się rozejrzała. Skaa na dole nie zmienili postawy. A jej przyjaciele...

Jej wzrok padł na Kelsiera. Przywódca stał wyprostowany, spoglądając twardo na nadjeżdżający powóz.

On Podżega nasze uczucia, zauważyła Vin. Niweluje moc Ostatniego Imperatora. Widać było, że dla Kelsiera nawet ochrona ich małej grupy była ciężką walką.

Breeze ma rację, myślała. Jak możemy walczyć z czymś takim? Ostatni Imperator Uspokaja setki tysięcy naraz!

Kelsier jednak walczył. Vin na wszelki wypadek zapaliła miedź. Potem rozpaliła cynk i sięgnęła, by pomóc Kelsierowi, Podżegając uczucia otaczających ją ludzi. Wydawało jej się, że Pociąga ogromną, nieruchomą ścianę. Jednakże musiała jakoś pomóc, skoro Kelsier odprężył się nieco i rzucił jej pełne wdzięczności spojrzenie.

– Patrzcie – rzekł nagle Dockson, prawdopodobnie nieświadomy niewidzialnej walki, jaka toczyła się wokół niego. – Wozy z więźniami.

Wskazał palcem kolumnę dziesięciu wielkich, obudowanych belkami wozów, jadących korytarzem za powozem Ostatniego Imperatora.

– Rozpoznajecie ich? – zapytał Ham, pochylając się.

– Ja nie jestem widzący – odparł z zakłopotaniem Spook. – Wujku, ty naprawdę palisz, co?

– Tak, palę miedź – odparł z irytacją Clubs. – Jesteś bezpieczny. Znajdujemy się na tyle daleko od Ostatniego Imperatora, że to i tak nie ma znaczenia, ten plac jest ogromny.

Spook skinął głową, po czym sam zaczął palić cynę. Chwilę później pokręcił głową.

– Nic, nie rozpoznaję nikogo.

– Nie bywałeś zbyt często przy rekrutacjach, Spook – rzekł Ham, mrużąc oczy.

– Prawda – odparł Spook. Choć akcent pozostał, widać było, że chłopak bardzo stara się mówić normalnie.

Kelsier podszedł do gzymsu, osłaniając oczy dłonią.

– Dobrze widzę więźniów. Nie, nie rozpoznaję żadnej twarzy. To nie jeńcy.

– Więc kto? – zapytał Ham.

– Zdaje się, że głównie kobiety i dzieci – odparł Kelsier.

– Rodziny żołnierzy? – zapytał ze zgrozą Ham.

Kelsier pokręcił głową.

– Wątpię. Nie traciliby czasu na identyfikację martwych skaa.

Ham zmarszczył brwi.

– To przypadkowi ludzie, Hammondzie – rzekł z cichym westchnieniem Breeze. – Przykład... przypadkowe egzekucje, by ukarać skaa za ukrywanie rebeliantów.

– Nie, nawet nie to – odrzekł Kelsier. – Wątpię, czy Ostatni Imperator w ogóle wie, albo czy go to obchodzi, że większość tych ludzi rekrutowała się z Luthadelu. Prawdopodobnie uznał, że to kolejna zaściankowa rebelia. To... to tylko przypomnienie wszystkim, kto jest przy władzy.

Powóz Ostatniego Imperatora podjechał do platformy na centralnym patio. Złowieszczy pojazd przystanął dokładnie pośrodku placu, ale Ostatni Imperator został w środku.

Wozy z więźniami zatrzymały się, grupa obligatorów i żołnierzy zaczęła ich wyprowadzać. Czarny popiół spadał na pierwszą grupę więźniów, którzy – słabo protestując – zostali zawleczeni na wzniesioną centralną platformę. Jeden z Inkwizytorów kierował całością, wskazując gestem, by ustawiono więźniów przy czterech narożnych miskowatych fontannach platformy.

Czterech więźniów rzucono na kolana – każdego przed jedną z tryskających fontann – i czterej Inkwizytorzy unieśli obsydianowe topory. Cztery ostrza spadły, cztery głowy zostały odcięte od tułowi, z których, wciąż trzymanych przez żołnierzy, wylewała się krew do basenów fontann.

Tryskające w powietrze strumienie wody zaczęły błyskać czerwienią. Żołnierze odrzucili ciała na bok, po czym wyprowadzili kolejne cztery osoby.

Spook odwrócił wzrok.

– Dlaczego... dlaczego Kelsier czegoś nie zrobi? Żeby ich uratować?

– Nie bądź niemądry – odparła Vin. – Tam jest ośmiu Inkwizytorów... nie mówiąc o samym Ostatnim Imperatorze. Kelsier byłby idiotą, gdyby próbował czegoś takiego.

Choć nie byłabym zdziwiona, jeśli teraz brałby to pod uwagę, pomyślała, przypominając sobie, jak Kelsier był gotów w pojedynkę pędzić na pomoc i stawić czoło całej armii. Spojrzała w bok. Kelsier wyglądał tak, jakby powstrzymywał się ze wszystkich sił – białe od wysiłku dłonie zaciskały się na kominie obok – żeby nie zbiec na dół i nie powstrzymać egzekucji.

Spook, potykając się, pobiegł na drugi koniec dachu, żeby zwymiotować, nie brudząc ludzi w dole. Ham jęknął, nawet Clubs wydawał się zasmucony. Dockson patrzył poważnie, jakby to oglądanie śmierci było czymś w rodzaju czuwania. Breeze tylko pokręcił głową.

A Kelsier... Kelsier był wściekły. Twarz miał czerwoną, mięśnie napięte, oczy lśniły mu gniewem.

Cztery kolejne głowy, w tym jedno dziecko.

– To – rzekł Kelsier, gniewnie machając ręką w stronę głównego placu – to jest nasz wróg. Nie ma litości, nie ma odpuszczenia. To nie jest zwykłe zadanie, które możemy porzucić, jeśli napotkamy nieoczekiwane przeszkody.

Cztery kolejne głowy.

– Patrzcie na nich! – zawołał, wskazując na wypełnione szlachtą loże. Większość z arystokratów wydawała się znudzona, a kilku nawet sprawiało wrażenie, że się nieźle bawi, obracając się do siebie i żartując w trakcie kolejnych egzekucji.

– Wiem, że mnie kwestionujecie – rzekł Kelsier, spoglądając na swoją grupę. – Myślicie, że jestem zbyt surowy dla szlachty, że zanadto lubię zabijać arystokratów. Ale czy naprawdę, patrząc na tych roześmianych ludzi, powiecie mi, że nie zasługują na śmierć? To tylko sprawiedliwość.

Cztery kolejne głowy.

Vin przeszukiwała galerię szlachty niespokojnym, wzmocnionym cyną wzrokiem. Ujrzała Elenda siedzącego w grupie młodszych mężczyzn. Żaden z nich się nie śmiał, i nie tylko oni. Oczywiście, wielu znakomicie się bawiło, jednakże nieliczni mieli naprawdę pełne zgrozy miny.

Kelsier ciągnął.

– Breeze, pytałeś mnie o atium. Będę uczciwy. Nigdy nie było to moim głównym celem. Zebrałem tę grupę, ponieważ chciałem coś zmienić. Dobierzemy się do atium – będziemy potrzebować wsparcia dla nowego rządu – ale zadanie nie będzie polegało na wzbogaceniu ani mnie, ani żadnego z was. Yeden nie żyje. Był naszą wymówką... sposobem, abyśmy mogli zrobić coś dobrego, wciąż udając, że jesteśmy tylko złodziejami. Teraz, kiedy odszedł, możecie się poddać, jeśli chcecie. Odejść. Ale to nic nie zmieni. Walka będzie się toczyć dalej. Ludzie nadal będą ginąć. Wy tylko będziecie to ignorować.

Cztery kolejne głowy.

– Czas zatrzymać tę szaradę – kontynuował Kelsier, patrząc na każdego z nich po kolei. – Jeśli mamy to zrobić teraz, musimy być wobec siebie otwarci i uczciwi. Musimy sobie powiedzieć, że nie chodzi o pieniądze, Chodzi o to, żeby powstrzymać to – wskazał palcem na dziedziniec z krwawymi fontannami – widoczny znak śmierci nawet dla tych tysięcy skaa, które były zbyt daleko, żeby widzieć, co się dzieje. Zamierzam kontynuować moją walkę. Wiem, że niektórzy kwestionują moje przywództwo. Myślicie, że przesadzam z moim wizerunkiem wśród skaa. Uważacie, że chcę z siebie zrobić kolejnego Ostatniego Imperatora. I że ważniejsze jest dla mnie moje ego niż obalenie imperium.

Urwał i Vin ujrzała w oczach Docksona i pozostałych poczucie winy. Spook wrócił do grupy, ale wciąż wydawał się trochę blady.

Cztery kolejne głowy.

– Mylicie się – mówił Kelsier. – Musicie mi zaufać. Ofiarowaliście mi swoje zaufanie, kiedy zaczęliśmy ten plan, mimo że wydawał się szalony i niebezpieczny. Wciąż potrzebuję tego zaufania! Nieważne, jak to wygląda, nieważne, jak małe mamy szanse, musimy nadal walczyć!

Cztery kolejne głowy.

Grupa powoli zwróciła się ku Kelsierowi. Opór stawiany Naciskowi Ostatniego Imperatora na ich uczucia nie wydawał się już dla niego tak wielkim obciążeniem, choć Vin pozwoliła wygasnąć cynkowi.

Może... może on naprawdę to potrafi? – myślała Vin wbrew sobie. Jeśli w ogóle istniał człowiek, który byłby w stanie pokonać Ostatniego Imperatora, był nim Kelsier.

– Nie wybrałem was z powodu kompetencji – mówił dalej Kelsier – choć z pewnością wiele umiecie. Wybrałem was dlatego, że wiem, że macie sumienie. Ham, Breeze, Dox, Clubs... jesteście znani z uczciwości, a nawet miłosierdzia. Jeśli mamy odnieść sukces z naszym planem, będę potrzebował ludzi, którym naprawdę zależy. Nie chodzi ani o skrzynce, ani o chwałę. Chodzi o wojnę... wojnę, którą toczymy od tysiąca lat, a którą ja zamierzam zakończyć. Możecie odejść, jeśli chcecie. Wiecie, że pozwolę odejść każdemu, bez reperkusji, bez zadawania pytań, jeśli tylko będziecie tego chcieli. Jednak – w jego oczach pojawiły się zimne błyski – jeśli zostaniecie, musicie obiecać, że przestaniecie kwestionować mój autorytet. Możecie martwić się o samo zadanie, ale nie będzie więcej szeptanych

konferencji na temat mojego dowodzenia. Jeśli zostajecie, idziecie za mną. Zrozumieliście?

Spoglądał po kolei na każdego członka grupy. I każdy odpowiedział mu skinieniem głowy.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek naprawdę to kwestionowaliśmy, Kell – odparł Dockson. – My tylko... martwiliśmy się, i chyba słusznie. Armia była wielką częścią naszych planów.

Kelsier wskazał ruchem głowy na północ, w kierunku głównych bram miasta.

– Co tam widzisz w oddali, Dox?

– Bramy miasta?

– A co się w nich ostatnio zmieniło?

Dockson wzruszył ramionami.

– Nic niezwykłego. Trochę małą mają obsadę, ale...

– Dlaczego? – wpadł mu w słowo Kelsier. – Dlaczego mają małą obsadę?

Dockson się zawahał.

– Bo Garnizon wyszedł?

– Właśnie – odparł Kelsier. – Ham mówi, że Garnizon wyjechał polować na szczątki naszej armii i nie będzie go przez kilka miesięcy, a jedynie około dziesięciu procent ludzi znajduje się w koszarach. To ma sens... zatrzymywanie rebeliantów to robota, do której właśnie stworzono Garnizon. Luthadel będzie bezbronny, ale przecież nikt nie atakuje Luthadelu.

Wśród ludzi z grupy zapanowało milczące porozumienie.

– Część naszego planu przejęcia miasta została zrealizowana – ciagnął Kelsier. – Wyprowadziliśmy Garnizon z Luthadelu. Kosztowało nas to więcej, niż się spodziewaliśmy... O wiele więcej, niż powinno. Błagałbym Zapomnianych Bogów, by ci chłopcy nie zginęli. Niestety, teraz nie możemy tego zmienić... możemy jedynie wykorzystać lukę, jaką dla nas stworzyli. Plan zatem pozostaje aktualny... główna siła porządkowa w mieście jest zajęta gdzie indziej. Jeśli teraz w najlepsze wybuchnie wojna rodów, Ostatni Imperator będzie miał problem, żeby ją powstrzymać. O ile w ogóle zechce. Z jakiejś przyczyny raz na jakieś sto lat woli się wycofać i pozwolić, by szlachta walczyła ze sobą. Może uważa, że jeśli pozwoli, by skakali sobie do gardeł, uchroni to jego własne.

– Ale co będzie, jeśli Garnizon wróci? – zapytał Ham.

– Jeśli mam rację – odparł Kelsier – to Ostatni Imperator pozwoli im ścigać niedobitki naszej armii przez wiele miesięcy, dając szlachcie szansę upuszczenia części pary. Z tym, że dostanie więcej, niż oczekiwał. Kiedy zacznie się wojna rodów, wykorzystamy chaos do przejęcia pałacu.

– Z jaką armią, dobry człowieku? – zapytał Breeze.

– Wciąż zostało nam trochę żołnierzy – rzekł Kelsier. – A poza tym mamy czas zwerbować nowych. Musimy uważać... nie możemy użyć jaskiń, więc trzeba będzie ukrywać ich w mieście. Prawdopodobnie oznacza to mniejszą liczebność. Ale to akurat nie problem. Widzicie... Garnizon kiedyś w końcu wróci.

Członkowie grupy wymienili spojrzenia. Egzekucje trwały. Vin zastanawiała się, co właściwie Kelsier ma na myśli.

– Właśnie, Kell – odparł powoli Ham. – Garnizon powróci, a my nie będziemy mieć dość sił, aby z nim walczyć.

– Ale będziemy mieć skarb Ostatniego Imperatora – rzekł z uśmiechem Kelsier. – Co to zawsze mówiłeś na temat tych żołnierzy z Garnizonu, Ham?

Zbir zawahał się, po czym również się uśmiechnął.

– Że to najemnicy.

– Weźmiemy pieniądze Ostatniego Imperatora – mówił Kelsier. – A to oznacza, że weźmiemy także jego armię. To wciąż się może udać, panowie. Sprawimy, że się uda.

Grupa wyraźnie nabierała otuchy. Vin jednak spojrzała znowu na plac. Fontanny były teraz tak czerwone, że wydawało się, że już tylko krew je wypełnia. A nad wszystkim czuwał Ostatni Imperator, ukryty w swoim czarnym jak noc powozie. Okna były otwarte i – za pomocą cyny – Vin mogła dostrzec w środku siedzącą sylwetkę.

To jest nasz prawdziwy wróg, pomyślała. Nie ten Garnizon, którego nie ma, nie Inkwizytorzy z ich toporami. To ten człowiek. Człowiek z pamiętnika.

Musimy znaleźć sposób, aby go pokonać, inaczej wszystko, co zrobimy, będzie bezsensowne.

Myślę, że wreszcie odkryłem, dlaczego Rashek tak mnie nie lubi. Nie wierzy, że ktoś z zewnątrz, taki jak ja, cudzoziemiec, może być Bohaterem Wieków. Wierzy, że w jakiś sposób oszukałem filozofów, że niesłusznie noszę nakłucia Bohatera.

Według Rasheka wybrany na Bohatera może być tylko Terrisanin czystej krwi. Dziwne, ale poczułem się jeszcze bardziej zdeterminowany przez tę jego nienawiść. Muszę mu udowodnić, że jestem w stanie wywiązać się z tego zadania.

27

Tego wieczoru do sklepu Clubsa wróciła grupa bardzo cichych i spokojnych ludzi.

Egzekucje trwały wiele godzin. Nie było denuncjacji, nie było wyjaśnień Zakonu czy Ostatniego Imperatora. Tylko egzekucja za egzekucją, egzekucja za egzekucją. Kiedy już wszystkie ofiary zginęły, Ostatni Imperator i jego obligatorzy odjechali, pozostawiając na platformie stosy ciał, a w fontannach krew.

Dołączywszy do osób zgromadzonych w kuchni, Vin zauważyła, że ból głowy jej już nie przeszkadza. Jej ból wydawał się teraz... bez znaczenia.

Placki pozostały na stole, troskliwie nakryte serwetką przez jedną ze służących. Nikt po nie nie sięgał.

– Dobrze – odezwał się Kelsier, zajmując swoje ulubione miejsce przy szafie. – Zaplanujmy to. Jak będziemy postępować?

Dockson wyjął stos papierów z kąta i podszedł do stołu, żeby usiąść.

– Bez Garnizonu naszym centrum zainteresowania staje się szlachta.

– Istotnie – zgodził się Breeze. – Jeśli naprawdę zamierzamy zagarnąć skarbiec przy pomocy tylko kilku tysięcy żołnierzy, będziemy potrzebowali czegoś, co odciągnie straże pałacowe i nie dopuści, by szlachta odebrała nam miasto. Wojna rodów jednak zaczyna teraz nabierać kapitalnego znaczenia.

Kelsier skinął głową.

– Tak właśnie mi się zdaje.

– Ale co się stanie, kiedy wojna rodów się zakończy? – zapytała Vin. – Niektóre rody się wywyższą i wtedy będziemy musieli z nimi walczyć.

Kelsier pokręcił głową.

– Nie zamierzam dopuścić, aby wojna rodów kiedykolwiek się zakończyła, Vin, a przynajmniej będzie trwała jeszcze wystarczająco długo. Ostatni Imperator wydaje dyktaty, Zakon tresuje wyznawców, ale to sami arystokraci zmuszają skaa do pracy. Jeśli zatem obalimy odpowiednią liczbę szlachetnych rodów, rząd może upaść sam. Nie możemy walczyć z Ostatnim Imperium jako całością, jest zbyt wielkie. Może jednak będziemy w stanie je rozbić, a potem sprawić, by odłamy pozabijały się nawzajem same.

– Musimy zrujnować finansowo Wielkie Rody – rzekł Dockson, przerzucając papiery. – Arystokracja to przede wszystkim pozycja finansowa, a brak funduszy obali każdy ród.

– Breeze, możemy potrzebować któregoś z twoich aliasów – rzekł Kelsier. – Do tej pory tylko ja z całej grupy pracowałem nad wojną rodów, ale jeśli chcemy zasiać chaos w mieście przed powrotem Garnizonu, będziemy musieli podwoić wysiłki.

Breeze westchnął.

– Doskonale. Będziemy jednak musieli zachować ostrożność, żeby ktoś nie rozpoznał mnie jako kogoś, kim być nie powinienem. Nie mogę chodzić na przyjęcia i spotkania, ale przypuszczalnie nie będzie problemu ze składaniem domowych wizyt.

– To samo ty, Dox – dodał Kelsier.

– Tak też myślałem – mruknął Dockson.

– To będzie dla was obu niebezpieczne – odrzekł Kelsier. – Ale najważniejsza jest teraz szybkość. Vin pozostanie naszym głównym szpiegiem – prawdopodobnie zechcemy, by rozpuszczała fałszywe informacje. Wszystko, żeby tylko szlachta przestała się czuć pewnie.

Ham skinął głową.

– Zatem prawdopodobnie powinniśmy się skupić na szczycie.

– Istotnie – odparł Breeze. – Jeśli zdołamy doprowadzić do sytuacji, w której najpotężniejsze domy staną się niepewne, wówczas wrogowie uderzą bardzo szybko. Dopiero, kiedy wielkie rody znikną, ludzie zorientują się, że to oni tak naprawdę wspierali całą gospodarkę.

W kuchni na chwilę zapanowała cisza, po czym większość głów zwróciła się w stronę Vin.

– Co? – zapytała.

– Mówią o Rodzie Venture, Vin – wyjaśnił Dockson. – To najpotężniejszy z Wielkich Rodów.

Breeze skinął głową.

– Jeśli Venture padnie, całe Ostatnie Imperium odczuje wstrząs.

Vin siedziała przez chwilę w milczeniu.

– Oni nie wszyscy są źli – rzekła wreszcie.

– Może – odparł Kelsier. – Ale lord Straff Venture jest zły z całą pewnością, a jego rodzina stoi na czele Ostatniego Imperium. Ród Venture musi zginąć... A ty już masz kontakt z jednym z jego najważniejszych członków.

A podobno miałam się trzymać z daleka od Elenda, pomyślała z irytacją.

– Tylko miej uszy otwarte, dziecko – mówił Breeze. – Zorientuj się, czy możesz go nakierować na rozmowę o finansach rodu. Znajdź nam tylko punkt zaczepienia, a my zajmiemy się resztą.

Tak właśnie wyglądają te gry, których Elend nienawidzi. Vin jednak wciąż miała przed oczami egzekucje. Takie rzeczy muszą się skończyć. Poza tym, nawet sam Elend twierdził, że nie lubi swego ojca i rodziny. Może... może zdoła coś znaleźć.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Rozległo się stukanie do drzwi frontowych. Otworzył jeden z uczniów. Kilka chwil później do kuchni wszedł Sazed, ubrany w płaszcz skaa.

– Wcześnie przyszedłeś, Saze – rzekł Kelsier.

– Staram się, by weszło mi to w zwyczaj, mistrzu Kelsier – odparł Terrisanin.

Dockson uniósł brew.

– Ten zwyczaj mógłby sobie przyswoić niejeden.

Kelsier prychnął.

– Jeśli zawsze jesteś na czas, to oznacza, że nie masz nic lepszego do roboty. Saze, jak tam ludzie?

– Najlepiej, jak można, mistrzu Kelsier – odparł Sazed. – Ale nie mogą się ukrywać w magazynach Renoux przez wieczność.

– Wiem – odrzekł Kelsier. – Dox, Ham, musicie się tym zająć. Z naszej armii zostały dwa tysiące ludzi. Chcę ich wprowadzić do Luthadelu.

Dockson pokiwał głową.

– Zrobi się.

– Chcesz, żeby ich dalej szkolić? – zapytał Ham.

– Tak – odparł Kelsier. – I musimy ich ukrywać przed oddziałami. Nie mamy zasobów, by szkolić ich indywidualnie. Powiedzmy... jakaś setka na jedną grupę? Ukryte w slumsach, niedaleko siebie?

– Dopilnujcie, żeby żadna grupa nie wiedziała, gdzie są pozostałe – dodał Dockson. – Ani o tym, że wciąż zamierzamy uderzyć na pałac. Przy takiej liczbie ludzi w mieście istnieje szansa, że ktoś z tej czy innej przyczyny wpadnie w ręce obligatorów.

Kelsier skinął głową.

– Powiedzcie każdej grupie, że jest jedyną, która nie została zdemobilizowana i że szkolimy ją tylko na wszelki wypadek, gdyby była potrzebna w przyszłości.

– Mówiłeś też o dalszej rekrutacji – dodał Ham.

Kelsier skinął głową.

– Potrzebuję co najmniej dwa razy tylu żołnierzy, zanim spróbujemy znowu.

– To będzie bardzo trudne – odrzekł Ham. – Jeśli wziąć pod uwagę klęskę naszej armii.

– Jaką klęskę? – zapytał Kelsier. – Powiemy im prawdę: że nasza armia z powodzeniem zneutralizowała cały Garnizon.

– Choć większość przy tym zginęła.

– Tę część możemy upiększyć – odrzekł Breeze. – Ludzie będą wściekli o egzekucje, i to powinno sprawić, że zaczną nas chętniej słuchać.

– Zebranie większej liczby żołnierzy będzie twoim głównym zadaniem na następne kilka tygodni, Ham – rzekł Kelsier.

– Niewiele czasu – mruknął Ham. – Ale zobaczę, co się da zrobić.

– Dobrze. – Kelsier skinął głową. – Saze, czy wiadomość przyszła?

– Przyszła, mistrzu Kelsier – odparł Sazed, wyjmując list spod płaszcza i podając go Kelsierowi.

– A co to takiego? – zapytał Breeze.

– Wiadomość od Marsha – odparł Kelsier, otwierając list. Przebiegł go wzrokiem. – Jest w mieście i ma nowiny.

– Jakie? – zapytał Ham.

– Nie pisze – odparł Kelsier, biorąc z tacy placek. – Ale podał instrukcje, gdzie mam się z nim dzisiaj spotkać. Pójdę sprawdzić to miejsce, zanim zrobi się ciemno. Idziesz, Vin?

Skinęła głową i wstała.

– Reszta pracuje dalej nad planem – polecił Kelsier. – W ciągu dwóch miesięcy w mieście ma zapanować takie napięcie, że kiedy wreszcie pęknie, nawet Ostatni Imperator nie będzie w stanie go opanować.

***

– Jest coś, czego nam nie mówisz, prawda? – zagadnęła Vin, odwracając wzrok od okna i spoglądając na Kelsiera. – Jakaś część planu.

Kelsier spojrzał na nią w ciemności. Marsh wybrał na miejsce spotkania opuszczony budynek w Skrętach, jednej z najbiedniejszych dzielnic slumsów skaa. Kelsier znalazł drugi, równie opuszczony budynek po drugiej stronie drogi od miejsca spotkania i teraz wraz z Vin czekali na najwyższym piętrze, obserwując ulicę.

– Dlaczego o to pytasz? – zapytał wreszcie Kelsier.

– Z powodu Ostatniego Imperatora – odparła, skubiąc spróchniałe drewno ramy okiennej. – Poczułam dzisiaj jego siłę. Nie wiem, czy inni są w stanie go wyczuć, nie tak jak Zrodzony. Ale wiem, że ty ją wyczułeś. – Znowu podniosła wzrok, patrząc mu prosto w oczy. – Wciąż planujesz wywabić go z miasta, zanim spróbujemy przejąć pałac, prawda?

– Nie martw się Ostatnim Imperatorem – rzekł Kelsier. – Jedenasty Metal się nim zaopiekuje.

Vin zmarszczyła brwi. Słońce zachodziło w ognistym blasku frustracji. Wkrótce nadejdą mgły, a zaraz potem powinien pojawić się Marsh.

Jedenasty metal, pomyślała, przypominając sobie sceptycyzm, z jakim mówili o nim inni członkowie grupy.

– Czy to prawda? – zapytała.

– Jedenasty Metal? Oczywiście. Pokazałem ci go przecież, pamiętasz?

– Nie o to mi chodziło – odrzekła. – Czy legendy są prawdziwe? Czy ty kłamiesz?

Kelsier spojrzał na nią, lekko marszcząc czoło, po czym się uśmiechnął.

– Jesteś bardzo bezpośrednią osobą, Vin.

– Wiem.

Uśmiechnął się szerzej.

– Odpowiedź brzmi: nie. Nie kłamię. Legendy mówią prawdę, choć sporo czasu mi zajęło, nim je odnalazłem.

– I ten kawałek metalu, który mi pokazałeś, naprawdę jest Jedenastym Metalem?

– Tak sądzę – odparł.

– Ale nie wiesz jak go użyć.

Zawahał się i pokręcił głową.

– Nie, nie wiem.

– To niezbyt pocieszające.

Kelsier wzruszył ramionami i spojrzał w okno.

– Nawet jeśli nie odkryję tego sekretu na czas, to wątpię, by Ostatni Imperator był tak wielkim problemem, jak ci się wydaje. Jest potężnym Allomantą, ale nie wie wszystkiego. Gdyby tak było, już byśmy nie żyli. Nie jest też wszechmocny, bo gdyby tak było, nie musiałby ściąć tych wszystkich skaa, żeby przywołać miasto do porządku strachem. Nie wiem, kim jest... ale sądzę, że bardziej człowiekiem niż bogiem. Słowa w tym dzienniku... to słowa zwykłej osoby. Jego prawdziwa moc pochodzi od armii i bogactwa. Jeśli go ich pozbawimy, nie będzie w stanie uczynić nic, co powstrzymałoby jego imperium przed upadkiem.

Vin zmarszczyła czoło.

– Może nie jest bogiem, ale... jest w nim coś, Kelsierze. Coś innego. Dzisiaj, kiedy byliśmy na placu, czułam jego dotknięcie w moich uczuciach

nawet wtedy, kiedy paliłam miedź.

– To nie jest możliwe, Vin – odrzekł Kelsier, potrząsając głową. – Inaczej Inkwizytorzy byliby w stanie wyczuć Allomancję nawet w obecności Dymiarza. W takim zaś przypadku, nie sądzisz, że zdołaliby odłowić i pozabijać wszystkich Mglistych skaa?

Wzruszyła ramionami.

– Wiesz, że Ostatni Imperator jest silny – rzekł Kelsier. – Uważasz, że powinnaś go nadal czuć, więc czujesz.

Może i ma rację, pomyślała, odrywając kolejny kawałek drewna z ramy. W końcu jest Allomantą dłużej niż ja.

Ale... coś czułam, prawda? A ten Inkwizytor, który omal mnie nie zabił... jakoś znalazł mnie w mroku i deszczu. Musiał coś wyczuwać.

– Jedenasty Metal. Czy nie można spróbować go i zobaczyć, jak działa?

– To nie jest takie proste – odparł Kelsier. – Pamiętasz, mówiłem ci, żebyś nigdy nie spalała żadnego metalu poza tymi dziesięcioma?

Skinęła głową.

– Spalanie innego metalu może być śmiertelnym zagrożeniem – odparł Kelsier. – Nawet zażycie niewłaściwych proporcji stopu może ci zaszkodzić. Jeśli się mylę co do Jedenastego Metalu...

– Zabije cię... – szepnęła Vin.

Skinął głową.

Więc nie jesteś tak pewny, jak twierdzisz, uznała. Inaczej już dawno byś go spróbował.

– Właśnie to chciałbyś znaleźć w dzienniku – stwierdziła. – Podpowiedź, jak używać Jedenastego Metalu.

Kelsier skinął głową.

– Obawiam się, że nie mieliśmy z tym wiele szczęścia. Jak dotąd, książka nawet nie wspomina o Allomancji.

– Choć mówi coś niecoś o Feruchemii – zauważyła.

Kelsier spojrzał na nią. Stał przy oknie, oparty jednym ramieniem o ścianę.

– Więc Sazed powiedział ci o tym?

Spuściła wzrok.

– Ja... powiedzmy, że trochę go zmusiłam.

Kelsier zachichotał.

– Zastanawiam się, co ja dobrego uwolniłem na świat, ucząc cię Allomancji. Oczywiście, mój nauczyciel mówił o mnie dokładnie to samo.

– Miał rację, że się martwił.

– Oczywiście.

Vin się uśmiechnęła. Na zewnątrz zapadła już prawie całkowita ciemność, a w powietrzu zaczęły formować się pierwsze przejrzyste kłębki mgły. Wisiały nad ziemią jak duchy, rozrastając się powoli, rozszerzając swoje wpływy wraz z nastaniem nocy.

– Sazed nie miał zbyt wiele czasu na opowiadanie mi o Feruchemii – rzekła ostrożnie. – Co ona może zrobić?

Czekała z niepokojem, sądząc, że Kelsier zauważy kłamstwo.

– Feruchemia jest całkowicie wewnętrzna – wyjaśnił Kelsier. – Może dostarczyć mniej więcej tego samego, co u nas cyna z ołowiem i sama – siła, wytrwałość, wzrok – każdy atrybut jednak musi być magazynowany oddzielnie. Może również poprawiać wiele innych rzeczy, których nie poprawi Allomancja. Pamięć, szybkość fizyczną, jasność myśli... dzięki Feruchemii można rozwijać nawet takie dziwne cechy jak ciężar fizyczny lub wiek fizyczny.

– Jest zatem potężniejsza od Allomancji?

Kelsier wzruszył ramionami.

– Feruchemia nie ma żadnej mocy zewnętrznej. Nie może Pociągać ani Odpychać uczuć, nie może Odpychać Stalą ani Przyciągać Żelazem. Ale największym ograniczeniem Feruchemii jest to, że, aby zmagazynować jakąkolwiek zdolność, musisz ją czerpać z własnego ciała. Chcesz przez jakiś czas być dwa razy silniejsza? Musisz spędzić kilka godzin osłabiona, żeby zmagazynować siłę. Jeśli chcesz zmagazynować zdolność do szybkiego zdrowienia, musisz przez jakiś czas czuć się źle. W Allomancji paliwem są metale, ogólnie możemy działać tak długo, jak długo mamy dość metalu do spalania. W Feruchemii metale są jedynie materiałem magazynującym, a prawdziwym paliwem jest twoje ciało.

– Więc możesz po prostu ukraść czyjeś metale magazynujące? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Nic z tego. Feruchemicy mogą korzystać tylko z tych magazynów metalowych, które sami stworzyli.

– Ooo...

Skinął głową.

– A zatem nie. Nie powiedziałbym, że Feruchemia jest potężniejsza niż Allomancja. Obie posiadają zalety i ograniczenia. Na przykład Allomanta może rozjarzyć metal tylko do pewnego stopnia, więc jego maksymalna siła jest ograniczona. Jeśli Feruchemik zmagazynuje wystarczająco dużo energii, aby być dwukrotnie silnym przez godzinę, może zamiast tego mieć trzykrotnie większą siłę przez krótszy okres czasu – może być cztery, pięć, sześć razy silniejszy przez jeszcze krócej.

Zmarszczyła brwi.

– To mi wygląda na sporą przewagę.

– Fakt – odrzekł Kelsier. Sięgnął do płaszcza i wyjął fiolkę zawierającą kilka perełek atium. – Ale my mamy to. Nieważne, czy Feruchemik jest silny jak pięciu ludzi, czy jak pięćdziesięciu. Jeśli wiem, co zrobi za chwilę, pokonam go.

Skinęła głową.

– Masz – rzekł, otwierając fiolkę i wyjmując jedną perełkę. Wyjął teraz drugą fiolkę z normalnym roztworem alkoholowym i wrzucił ją do środka. – Weź. Możesz tego potrzebować.

– Dzisiaj? – zdziwiła się, biorąc od niego fiolkę.

– Tak.

– Przecież to Marsh.

– Możliwe – odrzekł. – Ale możliwe też, że obligatorzy go złapali i zmusili do napisania listu. Może idą za nim, a może już go schwytali, torturowali i dowiedzieli się o naszym spotkaniu. Marsh jest w bardzo niebezpiecznym miejscu... Pomyśl, że robi to samo, co ty na balach, tylko zastąp wszystkich arystokratów obligatorami i Inkwizytorami.

Vin zadrżała.

– Chyba masz rację – mruknęła, chowając perełkę atium. – Wiesz, coś ze mną musi być nie tak. Rzadko zdarza mi się w ogóle zawahać i pomyśleć, ile to drańst wo jest warte.

– A ja nie potrafię zapomnieć, ile to drańst wo jest warte – rzekł po chwili Kelsier.

– Ja... – Urwała, spoglądając na jego ręce. Ostatnio nosił koszule z długimi rękawami i rękawice; jego reputacja sprawiła, że publiczne obnoszenie z bliznami stało się niebezpieczne. Ale wiadomo było, że tam są. Jak tysiące cienkich zadrapań, warstwami nachodzące jedne na drugie.

– W każdym razie – rzekł Kelsier – masz rację co do dziennika. Miałem nadzieję, że wspomni o Jedenastym Metalu. Ale nie wspomniano nawet o Allomancji w odwołaniu do Feruchemii. Obie moce w wielu aspektach są podobne, można by pomyśleć, że je porówna.

– Może się obawiał, że ktoś przeczyta książkę, i nie chciał zdradzić, że jest Allomantą.

Kelsier skinął głową.

– Może. Ale jest również możliwe, że jeszcze się nie Złamał. Cokolwiek zdarzyło się w górach Terris, zmieniło go z bohatera w tyrana, może również obudziło jego moc. Chyba jednak nie dowiemy się tego, dopóki Saze nie skończy tłumaczenia,

– A czy jest blisko?

Skinął głową.

– Zostało naprawdę niewiele. Mam nadzieję, że to ta najważniejsza część. Do tej pory czuję się nieco zawiedziony tekstem. Ostatni Imperator nie napisał nam nawet, czego zamierza dokonać w tych górach! Twierdzi, że zamierza zrobić coś, co ma uchronić cały świat, ale może po prostu to jego ego dochodzi do głosu.

W tekście nie wydawał mi się aż taki egoistyczny, pomyślała Vin. Właściwie wręcz przeciwnie.

– Nieważne – mruknął Kelsier. – Dowiemy się po przetłumaczeniu ostatnich rozdziałów.

Na dworze było już całkiem ciemno i Vin musiała zapalić cynę, żeby dobrze widzieć. Ulica poza jej oknem znów stała się widoczna, nabierając cech dziwnej mieszaniny światła i cienia, która była wynikiem widzenia wzmocnionego cyną. Wiedziała, że jest ciemno, podpowiadała jej to logika, a jednak wszystko widziała. Nie tak jak w normalnym świetle, bo wszystko było przyćmione, ale widziała.

Kelsier sprawdził godzinę na zegarku kieszonkowym.

– Ile jeszcze? – zapytała Vin.

– Jeszcze pół godziny – odrzekł Kelsier. – Oczywiście, o ile będzie na czas... a wątpię, by tak się stało. W końcu to mój brat.

Vin skinęła głową, i przesunęła się tak, by opierać o złamaną ramę okienną. Skrzyżowała ręce na piersi. Choć kulka atium, którą dał jej Kelsier, była mała, dziewczyna czuła się pokrzepiona samym faktem jej posiadania.

Znieruchomiała. Myśl o atium przypomniała jej o czymś ważnym. O czymś, co wielokrotnie drążyło jej ciekawość.

– Nigdy nie opowiedziałeś mi o dziewiątym metalu! – oskarżyła go, oglądając się nagle.

Wzruszył ramionami.

– Przecież ci mówiłem, że nie jest taki ważny.

– A jednak. Co to za metal? Jakiś stop atium, jak przypuszczam?

Kelsier pokręcił głową.

– Nie. Ostatnie dwa metale nie są dobrane według tej samej zasady, co pozostałe osiem. Dziewiątym metalem jest złoto.

– Złoto? – zdziwiła się. – Naprawdę? Przecież mogłam go spróbować sama już dawno!

Zachichotał.

– Oczywiście, jeślibyś chciała. Spalanie złota jest nieco... kłopotliwym doświadczeniem.

Zmrużyła oczy, po czym znów odwróciła się do okna. Zobaczymy, pomyślała.

– Wiem, że i tak go spróbujesz, mam rację? – zapytał z uśmiechem.

Nie odpowiedziała.

Westchnął, sięgnął do pasa i wydobył złotego skrzyńca i pilnik.

– Przyda ci się coś takiego – rzekł, pokazując pilnik. – Jednak, jeśli sama wyszukujesz metal, najpierw spal odrobinkę, żeby się upewnić, czy jest czysty albo czy stop ma właściwe proporcje.

– A jeśli nie?

– Będziesz o tym wiedziała – obiecał i zaczął piłować monetę. – Pamiętasz ten ból głowy, który miałaś po przeciągnięciu cyny z ołowiem?

– Tak?

– Zły metal jest jeszcze gorszy – odparł. – O wiele gorszy. Kupuj metale, kiedy tylko możesz – w każdym mieście znajdzie się niewielka grupa handlarzy, która dostarcza sproszkowanych metali Allomantom. Ci kupcy mają żywotny interes w tym, żeby zapewnić idealną czystość wszystkich metali. Wściekły Zrodzony z bólem głowy nie jest wymarzonym typem zlekceważonego klienta. – Kelsier skończył piłować, po czym zebrał kilka płatków złota na mały kawałek szmatki. Wziął jeden na palec i połknął.

– Dobre – rzekł, podając jej szmatkę. – Dalej, pamiętaj tylko, że spalanie dziewiątego metalu jest dziwnym doświadczeniem.

Skinęła głową, czując nagle pewną obawę.

Nigdy się nie dowiesz, jeśli nie spróbujesz sama, pomyślała, po czym wsypała drobne jak pył płatki do ust. Popiła odrobiną wody z bukłaka.

Poczuła w sobie zapas nowego metalu – nieznany i inny od tych dziewięciu, których używała. Spojrzała na Kelsiera, po czym odetchnęła głęboko i zapaliła złoto.

Znalazła się nagle w dwóch miejscach. Widziała dwie swoje postaci.

Jedna ona była obcą kobietą, zmienioną i wykształconą z dziewczyny, którą do tej pory była, ostrożnej i czujnej, która nigdy nie zapaliłaby nieznanego metalu, bazując jedynie na słowach obcego człowieka. Kobieta była szalona, zapomniała o wielu rzeczach, które pozwalały jej przeżyć tak długo. Piła napoje podawane przez innych. Bratała się z obcymi. Nie pilnowała, gdzie się znajdują ludzie z jej otoczenia. Wciąż była ostrożniejsza niż większość ludzi, ale wiele straciła.

Druga była czymś, czego Vin w duchu serdecznie nienawidziła. Dzieckiem. Szczupła do granic, prawie wynędzniała, samotna, nienawistna i nieufna. Nie kochała nikogo i nikt jej nie kochał. Zawsze mówiła sobie w duchu, że jej to nie obchodzi. Czy to naprawdę jest warte życia? Musiało być. Życie nie może być aż tak żałosne, jak się wydaje. Ale musi. Nie ma niczego innego.

Vin była obiema tymi osobami. Stała w dwóch miejscach, poruszała obydwu ciałami, była zarówno dziewczyną, jak i kobietą. Wyciągnęła drżącą rękę... Każda z nich... Dotknęła swego policzka... każda z nich.

Westchnęła głośniej i nagle wszystko znikło. Poczuła nieoczekiwany przypływ emocji, wrażenie nicości i pomieszania. W pokoju nie było krzeseł, więc przykucnęła na podłodze, opierając się o ścianę, z kolanami pod brodą i otoczonymi ramionami.

Kelsier podszedł do niej, również przykucnął i położył jej dłoń na ramieniu.

– Już po wszystkim.

– Co to było? – szepnęła.

– Złoto i atium uzupełniają się wzajemnie – wyjaśnił – tak jak inne pary metali. Atium pozwala ci częściowo widzieć przyszłość. Złoto działa podobnie, lecz pozwala ci widzieć przeszłość. A przynajmniej daje możliwość spojrzenia na inną wersję samej siebie, gdyby wszystko potoczyło się inaczej.

Vin zadrżała. Doświadczenie, w którym była dwojgiem ludzi naraz, widząc siebie podwójnie, było niepokojące i upiorne. Jej ciało wciąż dygotało, a umysł... umysł wydawał się nie taki jak trzeba.

Na szczęście wrażenie to powoli zanikało.

– W przyszłości przypomnij mi, żebym słuchała, co mówisz – powiedziała. – A przynajmniej, kiedy mówisz o Allomancji.

Kelsier zachichotał.

– Próbowałem wybić ci to z głowy. Ale i tak kiedyś musiałaś spróbować. Przejdzie ci.

Skinęła głową.

– Już... prawie mi przeszło. Ale to nie była tylko wizja, Kelsierze. To było realne. Mogłam jej dotknąć, a ona mnie.

– Może ci się tak wydawało – odparł Kelsier. – Ale nie było jej tutaj, przynajmniej ja jej nie widziałem. To tylko halucynacja.

– Wizje atium nie są tylko halucynacjami – odrzekła. – Cienie przedstawiają to, co dana osoba rzeczywiście chce zrobić.

– To prawda – zgodził się. – Nie wiem. Złoto jest dziwne, Vin. Nie wiem, czy ktokolwiek je rozumie. Mój nauczyciel, Gemmel, powiedział, że złoty cień to osoba, która nie istniała... ale mogła istnieć. Osoba, którą mogłaś się stać, gdybyś nie dokonała pewnych wyborów. Oczywiście, Gemmel nie miał wszystkich klepek, nie jestem więc pewien, czy mogę mu tak całkiem wierzyć.

Vin skinęła głową. Nie wierzyła, że w najbliższym czasie dowie się czegokolwiek więcej na temat złota. Nie zamierzała już nigdy go spalać, jeśli będzie miała na to wpływ. Siedziała dalej, pozwalając swoim emocjom odpocząć, Kelsier zaś podszedł znowu do okna. Nagle się ożywił.

– Jest? – zapytała Vin, gramoląc się na nogi.

Kelsier skinął głową.

– Chcesz tu zostać i odpocząć?

Pokręciła głową.

– No dobrze – odparł, kładąc zegarek, pilnik i inne metalowe przedmioty na parapecie okna. – Idziemy.

Nie wyszli oknem – Kelsier wolał się nie ujawniać przedwcześnie, choć ta część Skrętów była tak opustoszała, że Vin nie wiedziała, po co sobie tak zawracać głowę. Wyszli z budynku i w milczeniu przeszli na drugą stronę ulicy.

Budynek, który Marsh wybrał na miejsce spotkania, był jeszcze bardziej zrujnowany niż ten, w którym na niego czekali. Frontowych drzwi w ogóle nie było, choć Vin widziała ich resztki porozrzucane po podłodze w postaci drzazg i odłamków. W pomieszczeniu było czuć sadzą i pyłem i Vin musiała zdusić kichnięcie.

Postać stojąca w głębi pomieszczenia obejrzała się szybko.

– Kell?

– To ja – odrzekł Kelsier. – I Vin.

Kiedy podeszli bliżej, Vin mogła lepiej przyjrzeć się Marshowi, który próbował zobaczyć cokolwiek w mroku. To było dziwne uczucie – patrzeć na niego, a jednocześnie wiedzieć, że dla niego Kelsier i ona są tylko cieniami. Druga ściana budynku zawaliła się i w pomieszczeniu swobodnie unosiła się mgła, niemal tak gęsta jak na zewnątrz.

– Masz tatuaże Zakonu! – zawołała, przyglądając mu się.

– Oczywiście – odparł. – Musiałem je sobie zrobić, zanim dołączyłem do karawany, żeby móc odegrać swoją rolę akolity.

Nie były duże – grał przecież obligatora niskiej rangi – ale wzór był wyraźny. Ciemne linie okalające oczy wyglądały jak pełznące błyskawice. Była jeszcze jedna linia – pojedyncza i gruba, jaskrawoczerwona, biegnąca wzdłuż twarzy. Vin rozpoznała wzór – te linie oznaczały, że obligator należy do Kantonu Inkwizycji. Marsh nie tylko dokonał infiltracji Zakonu, lecz wybrał w tym celu jego najbardziej niebezpieczną część.

– Ale teraz zostaną ci na zawsze – rzekła. – Są bardzo charakterystyczne. Wszędzie, gdzie się udasz, będziesz uważany albo za obligatora, albo za oszusta.

– Taka była część ceny, jaką trzeba było zapłacić, żeby infiltrować Zakon, Vin – wyjaśnił łagodnie Kelsier.

– To nie ma znaczenia – odparł Marsh. – Przedtem moje życie też nie było najciekawsze. Słuchajcie, możemy się pospieszyć? Oczekują mnie gdzieś. Obligatorzy mają bardzo pracowite życie, więc mam tylko kilka minut swobody.

– Dobrze – rzekł Kelsier. – Wobec tego twoja infiltracja się powiodła?

– Powiodła się – odparł nerwowo Marsh. – Nawet za dobrze... chyba niechcący wyróżniłem się spośród grupy. Myślałem, że będę miał problemy, skoro brakowało mi tego pięcioletniego szkolenia, jakie przeszli pozostali akolici. Starałem się odpowiadać na pytania możliwie jak

najstaranniej i wykonywałem obowiązki z wielką precyzją. Okazało się, że chyba wiem więcej na temat Zakonu niż niektórzy z jego członków. Z pewnością okazałem się bardziej kompetentny niż cała banda nowo przybyłych i prelani to zauważyli.

Kelsier zachichotał.

– Zawsze się przykładałeś do tego, co robiłeś.

Marsh prychnął lekko.

– W każdym razie moja wiedza... nie wspominając o umiejętnościach Szperacza, zapracowała na moją doskonałą reputację. Nie jestem pewien, jak bardzo bym chciał, żeby prelani mi się przyglądali. To tło, jakie wymyśliliśmy, staje się nieco słabe, kiedy człowieka prześwietla Inkwizytor.

Vin zmarszczyła brwi.

– Powiedziałeś im, że jesteś Mglistym?

– Oczywiście – odparł Marsh. – Zakon, a zwłaszcza Kanton Inkwizycji, starannie wybiera Szperaczy szlachetnego rodu. Fakt, że jestem jednym z nich, powstrzymuje ich nieco przed zadawaniem dalszych pytań odnośnie do mojego pochodzenia. Cieszą się, że mnie mają, pomimo faktu, że jestem nieco starszy od reszty akolitów.

– Poza tym – dodał Kelsier – musiał im powiedzieć, że jest Mglistym, żeby mógł wejść do tajnych sekt Zakonu. Większość wysokiej rangi obligatorów to Mgliści tego czy innego rodzaju. Mają tendencję do faworyzowania własnego gatunku.

– I mają rację – rzekł Marsh szybko. – Kell, Zakon jest o wiele bardziej kompetentny, niż sądziliśmy.

– O czym mówisz?

– Wykorzystują swoich Mglistych – wyjaśnił Marsh. – Dobrze ich wykorzystują. Mają bazy w całym mieście. Stacje Uspokajania, jak je nazywają. W każdej znajduje się kilku Uspokajaczy Zakonu, których rolą jest rozprzestrzenianie tłumiącego wpływu wokół stacji, uspokajanie i łagodzenie emocji wszystkich, którzy znajdują się na tym terenie.

Kelsier syknął cicho.

– Ile tego jest?

– Dziesiątki – odparł Marsh. – Skoncentrowane w sekcjach skaa miasta. Wiedzą, że skaa są przybici, ale chcą, by tak pozostało.

– Do diaska! – krzyknął Kelsier. – Zawsze myślałem, że skaa z Luthadelu wydają się bardziej stłamszeni niż inni. Nic dziwnego, że tak trudno było rekrutować. Emocje ludzi są pod wpływem ciągłego Uspokajania!

Marsh skinął głową.

– Uspokajacze Zakonu są dobrzy, Kell. Bardzo dobrzy. Lepsi nawet niż Breeze. I całymi dniami nie robią nic innego, tylko Uspokajają. Całymi dniami. Codziennie. A skoro nie zmuszają człowieka do robienia czegokolwiek określonego, powstrzymując go jedynie od osiągania skrajnych zakresów emocjonalnych, bardzo trudno ich zauważyć. Każda grupa ma Dymiarza, który ich ukrywa, oraz Szperacza, który czyha na przechodzących Allomantów. Założę, się, że od nich właśnie Inkwizytorzy uzyskują większość tropów – ludzie wykazują dość sprytu, by nie palić nic, kiedy widzą obligatora, ale w slumsach są zdecydowanie mniej ostrożni.

– Potrafisz zdobyć dla nas listę tych stacji? – zapytał Kelsier. – Musimy wiedzieć, gdzie są ci Szperacze, Marsh.

Marsh skinął głową.

– Spróbuję. Właśnie sam idę na taką stację... zawsze zmieniają personel nocą. Wyższe rangi zainteresowały się mną i teraz pozwalają mi odwiedzać niektóre stacje, by zaznajomić się z ich pracą. Spróbuję zdobyć dla ciebie ich listę.

Kelsier skinął głową.

– Ale... nie rób czegoś głupiego z tą informacją, dobrze? – poprosił Marsh. – Musimy być bardzo ostrożni, Kell. Zakon utrzymywał te stacje w tajemnicy przez długi czas. Teraz, kiedy o nich wiemy, mamy sporą przewagę. Nie zmarnuj jej.

– Nie zmarnuję – obiecał Kelsier. – A co z Inkwizytorami? Dowiedziałeś się o nich czegokolwiek?

Marsh stał przez chwilę w milczeniu.

– Oni są... dziwni. Kell, nie wiem. Wydaje się, że mają wszystkie allomantyczne moce, więc sądzę, że kiedyś byli Zrodzonymi. Nie mogę się o nich dowiedzieć niczego więcej... poza tym, że się starzeją.

– Naprawdę?! – zawołał z zainteresowaniem Kelsier. – Więc nie są nieśmiertelni?!

– Nie – odparł Marsh. – Obligatorzy twierdzą, że Inkwizytorzy czasem się zmieniają. Kreatury są bardzo długowieczne, ale w końcu umierają ze

starości. Nowych rekrutują z szeregów szlachty. To ludzie, Kell. Po prostu zostali... przemienieni.

Kelsier skinął głową.

– Skoro umierają ze starości, to musi istnieć również inny sposób, żeby ich zabić.

– Też mi się tak wydaje – odrzekł Marsh. – Zobaczę, co mi się uda znaleźć, ale nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Inkwizytorzy nie mają wiele wspólnego z normalnymi obligatorami – istnieją napięcia polityczne pomiędzy obiema grupami. Lord prelan jest zwierzchnikiem kleru, ale Inkwizytorzy uważają, że to oni powinni rządzić.

– Interesujące – odrzekł Kelsier. Vin niemal czuła wysiłek, z jakim przetrawiał nowe informacje.

– W każdym razie muszę już iść – rzekł Marsh. – Musiałem tu biec przez całą drogę, a i tak pewnie się spóźnię na spotkanie.

Kelsier skinął głową i Marsh ruszył do wyjścia, starannie unosząc ciemną szatę obligatora nad brudną podłogą.

– Marsh! – zawołał Kelsier, kiedy ten dotarł do drzwi.

Marsh się obejrzał.

– Dziękuję – rzekł Kelsier. – Wiem jakie to niebezpieczne.

– Nie robię tego dla ciebie, Kell – rzekł Marsh. – Ale... dziękuję ci za to. Postaram się przekazać kolejny list, kiedy zdobędę jakieś nowe informacje.

– Uważaj – odparł Kelsier.

Marsh znikł we mgle. Kelsier przez kilka minut stał w zrujnowanym pokoju, patrząc za nim.

Nie kłamał również w tej sprawie, pomyślała. Naprawdę zależy mu na Marshu.

– Chodźmy – rzekł Kelsier. – Powinniśmy wracać do pałacu Renoux. Ród Lekal wydaje kolejny bal za kilka dni, a ty musisz tam być.

Nieraz moi towarzysze twierdzą, że zbytnio się martwię i zadaję za dużo pytań. Jednak, o ile zastanawiam się nad swoim statusem bohatera, istnieje jedna kwestia, której nigdy nie podważałem: ostateczne dobro mojej wyprawy.

Głębia musi zostać zniszczona. Widziałem ją i czułem. Nazwa, którą jej nadałem, jest za słabym określeniem, jak sądzę. Jest jednak głęboka i niezmierzona, a przy tym straszliwa. Wielu nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest rozumna, ale ja za każdym razem, kiedy bezpośrednio przed nią stawałem, wyczuwałem jej umysł, takim jaki jest.

To twór zniszczenia, szaleństwa i zepsucia. Zniszczy ten świat nie ze złości ani wrogości, ale po prostu dlatego, że nie potrafi nic innego.

28

Sala balowa Twierdzy Lekal miała kształt wnętrza piramidy. Parkiet taneczny był ustawiony pośrodku sali na platformie mającej metr wysokości, a stoliki ustawiono na czterech podobnych, otaczających ją

platformach. Służba krzątała się w szczelinach pomiędzy platformami, dostarczając potrawy pożywiającym się arystokratom.

Wokół wewnętrznego obwodu piramidy ciągnęły się cztery piętra balkonów, każdy nieco bliżej szczytu piramidy, każdy odrobinę bardziej wysunięty ponad parkiet taneczny. Choć główną salę dobrze oświetlono, same balkony były ocienione przez wyższe piętra. Cały projekt miał na celu tylko jedno: zapewnienie jak najlepszego widoku na najważniejszy rys artystyczny twierdzy. Gwarantowały to niewielkie, witrażowe okna, które biegły wzdłuż każdego balkonu.

Ród Lekal chwalił się, że o ile inne twierdze miały większe okna, o tyle te w Twierdzy Lekal były najbardziej misterne. Vin musiała przyznać, że robiły wrażenie. W ciągu ostatnich kilku miesięcy widziała tyle witraży, że zaczęła uważać je za coś naturalnego. Jednakże witraże Twierdzy Lekal przyćmiewały większość. Każde było szczegółowym, ekstrawaganckim, bajecznie kolorowym cudeńkiem – brykały na nich egzotyczne zwierzęta, kusiły odległe krajobrazy, dumnie spoglądali z portretów słynni arystokraci.

Oczywiście były tam również przepiękne obrazy poświęcone Wstąpieniu. Vin rozpoznawała je teraz znacznie lepiej i ze zdumieniem stwierdziła, że dostrzega odniesienia do dziennika. Szmaragdowozielone wzgórza. Wysmukłe góry, o bladych falistych liniach unoszących się ze szczytów. Ciemne głębokie jezioro. I czerń. Głębia. Chaotyczna niszczycielska istota.

On ją pokonał, myślała. Ale... co to było? Może koniec dziennika coś zdradzi.

Pokręciła głową, opuszczając alkowę i jej czarne okno. Przespecerowała się po drugim balkonie. Była ubrana w białą suknię – strój, którego jako skaa nie umiałaby sobie nawet wyobrazić. Wówczas popiół i sadza stanowiły tak dalece część jej życia, że nie miała pojęcia, jak wygląda nieskazitelnie czysta biel. Ta świadomość sprawiała, że suknia wydawała jej się jeszcze piękniejsza. Vin miała nadzieję, że nigdy tego nie straci... tych wspomnień, jak kiedyś wyglądało życie. Tym bardziej doceniała to, co ma – bardziej niż cała szlachta.

Szła dalej wzdłuż balkonu, szukając swojej ofiary. Podświetlone okna rzucały na podłogę barwne plamy migoczącego blasku. Większość okien była rozmieszczona w alkowach wzdłuż balkonu i całość konstrukcji sprawiała wrażenie nisz światła i ciemności. Dziewczyna nie przystawała,

by się przyglądać kolejnym oknom; większość obejrzała już podczas pierwszego balu w Twierdzy Lekal. Tego wieczoru miała sprawy do załatwienia.

Znalazła swoją ofiarę w połowie pasażu na wschodnim balkonie. Lady Kliss rozmawiała z grupką ludzi, więc Vin zatrzymała się, udając, że podziwia witraż. Wkrótce grupka Kliss się rozeszła, a ona ruszyła wzdłuż balkonu ku Vin.

Kiedy się zbliżyła, Vin drgnęła i obejrzała się, udając zaskoczenie.

– Ależ to lady Kliss! Nie widziałam cię przez cały wieczór.

Kliss obejrzała się, wyraźnie podekscytowana możliwością poplotkowania z kolejną osobą.

– Lady Valette! – zawołała. – Nie było cię na balu u lorda Cabe w zeszłym tygodniu! Nie miałaś chyba nawrotu tamtej choroby?

– Nie – odrzekła Vin. – Spędziłam wieczór z moim wujkiem.

– Och – westchnęła rozczarowana Kliss. Nawrót stanowiłby o wiele ciekawszą historię. – No to dobrze.

– Słyszałam, że masz jakieś interesujące wieści na temat lady Tren-Pedri Delouse – ostrożnie zauważyła Vin. – Sama też słyszałam parę ciekawych historii. – Obserwowała Kliss, sugerując spojrzeniem, że gotowa jest wymienić informacje.

– Och, to! – radośnie zawołała Kliss. – No cóż, słyszałam, że Tren-Pedri nie jest wcale zainteresowana związkiem z Rodem Aime, choć jej ojciec twierdzi, że wkrótce będzie ślub. Wiesz, jacy są synowie Aime. Przecież Fredren to bufon.

Vin wzniosła w duchu oczy do nieba. A Kliss mówiła, mówiła, nie zauważając, że Vin też ma coś do powiedzenia. Subtelność z tą kobietą jest mniej więcej tak skuteczna, jak sprzedawanie zapachów do kąpieli skaa z plantacji.

– To bardzo ciekawe – weszła Kliss w słowo. – Może Tren-Pedri waha się dlatego, że Ród Aime jest powiązany z Rodem Hasting.

Kliss znieruchomiała.

– A to dlaczego?

– No przecież wszyscy wiemy, co planuje Ród Hasting.

– Wiemy? – zapytała Kliss.

Vin udała zakłopotanie.

– Och, może jeszcze się to nie rozniosło. Proszę, lady Kliss, zapomnij, że cokolwiek mówiłam.

– Zapomnieć?! – zawołała Kliss. – Oczywiście, ja już zapomniałam. Ale ty nie możesz teraz milczeć. O co ci chodziło?

– Nie powinnam mówić – krygowała się Vin. – Podsłuchałam tylko, jak wujek to mówił.

– Twój wujek? – dopytywała się Kliss, zapalając się coraz bardziej. – A co powiedział? Wiesz przecież, że możesz mi zaufać.

– No cóż... – mruknęła Vin. – Powiedział, że Ród Hasting przenosi większość zasobów z powrotem na plantacje w Środkowym Dominium. Mój wujek był bardzo zadowolony... Hasting wycofał się z części swoich kontaktów, a wuj ma nadzieję, że przejmie je po nim.

– Przenosi... – mruknęła Kliss. – Ale po co miałby to robić, gdyby nie planował opuścić miasta.

– A dziwisz im się? – zapytała cicho Vin. – Kto będzie ryzykował to, co się stało z Rodem Tekiel?

– No rzeczywiście, kto... – mruknęła Kliss. Prawie trzęsła się z niecierpliwości, żeby przekazać dalej te rewelacje.

– W każdym razie, jak widać, to są tylko plotki – zauważyła Vin. – Chyba nie powinnaś o tym nikomu mówić.

– Oczywiście – obiecała Kliss. – Ehm... przepraszam, muszę się odświeżyć.

– Oczywiście – zgodziła się Vin, obserwując, jak Kliss sunie w stronę schodów.

Uśmiechnęła się. Ród Hasting oczywiście nie czynił żadnych przygotowań. Był to jeden z najsilniejszych rodów w mieście i raczej nie zamierzał uciekać. Jednakże Dockson właśnie siedział w swoim warsztacie i fałszował dokumenty, które, dostarczone w odpowiednie miejsca, będą sugerowały, że Hastingowie robią to, co sugerowała Vin.

Jeśli wszystko dobrze pójdzie, całe miasto wkrótce będzie oczekiwało na ucieczkę Hastingów. Ich sojusznicy zaczną opierać na tym swoje plany, może nawet sami się wyniosą. Ludzie chcący kupić broń będą jej szukać w innych miejscach, obawiając się, że Hasting po wyjeździe nie będzie w stanie sprostać kontraktom. A kiedy Hasting nie wyjedzie, zyska opinię niezdecydowanego. Po usunięciu się sojuszników, przy spadku dochodów, równie dobrze mogą być kolejnym rodem, który zbankrutuje.

Ród Hasting jednak był jednym z najłatwiejszych do zniszczenia. Miał reputację niezmiernie sprytnego i ludzie będą przekonani, że planuje ucieczkę po kryjomu. Dodatkowo Hasting był silnym rodem kupieckim, a to oznaczało, że aby przetrwać, musiał w większości polegać na swoich kontraktach. Ród z tak wielkim i oczywistym źródłem dochodów miał też pewną oczywistą słabość. Lord Hasting przez kilka ostatnich dziesięcioleci pracował ciężko, by zwiększyć wpływy swego rodu, czym do granic nadwerężył rodzinny budżet.

Inne rody były o wiele stabilniejsze. Vin westchnęła, odwróciła się i ruszyła w dół pasażu, obserwując potężny zegar pomiędzy balkonami po drugiej stronie komnaty.

Venture nie upadnie tak łatwo. Pozostanie potężny dzięki czystej sile fortuny. Uczestniczył w kilku kontraktach, ale nie opierał się na nich jak pozostałe rody. Był bardzo bogaty i bardzo potężny, nawet katastrofa handlowa nie powinna nim zachwiać.

W pewnym sensie stabilność Venture była dobra. Przynajmniej dla Vin. Ród nie miał widocznych słabych stron, więc może grupa nie będzie zbyt zawiedziona, jeśli nie odkryje żadnego sposobu na jego obalenie. W końcu nie potrzebowali naprawdę zniszczyć Rodu Ventue, po prostu ułatwiłoby to realizację ich planów.

Cokolwiek się stanie, Vin musi dopilnować, aby Venture nie skończyli tak, jak ród Tekiel. Ich reputacja legła w gruzach, finanse popadły w chaos, Tekiel próbował uciec z miasta i ten ostatni dowód słabości okazał się kroplą przepełniającą kielich. Niektórzy członkowie rodu zostali zamordowani, zanim wyjechali, pozostałych odnaleziono w spalonych barkach, upozorowanych na napad bandytów. Vin jednak nie znała szajki, która odważyłaby się zabić aż tylu arystokratów naraz.

Kelsier wciąż nie był w stanie odkryć, który z rodów krył się za tymi morderstwami, ale szlachta z Luthadelu wydawała się nie interesować odnalezieniem winowajcy. Ród Tekiel pozwolił sobie na słabość, a nie ma nic bardziej żenującego dla arystokracji, niż Wielki Ród, który nie umie się sam utrzymać. Kelsier miał rację: choć na balach witano się uprzejmie, każdy arystokrata bez zmrużenia oka wbiłby drugiemu nóż w piersi, gdyby miał na tym skorzystać.

Mniej więcej tak samo, jak szajki złodziejskie, pomyślała. Szlachta w sumie nie różni się aż tak bardzo od ludzi, wśród których wyrosłam.

Atmosfera była tym niebezpieczniejsza, że zaciemniona wytworną uprzejmością. Pod jej płaszczykiem skrywały się spiski, morderstwa, a także – co najważniejsze – Zrodzeni. To nie przypadek, że na wszystkich balach, w których ostatnio uczestniczyła, pojawiały się wielkie grupy strażników w zbrojach i bez. Przyjęcia miały teraz dodatkową funkcję: ostrzegały i umożliwiały demonstrację siły.

Elend jest bezpieczny, mówiła sobie. Pomimo wszystkiego, co myśli o rodzinie, oni potrafili utrzymać swoje miejsce w hierarchii Luthadelu. On jest dziedzicem – będą go chronić przed mordercami,

Żałowała, że sama siebie nie może bardziej przekonać. Wiedziała, że Shan Elariel coś planuje. Ród Venture może i jest bezpieczny, ale sam Elend czasem bywał... niezbyt świadom tego, co się dzieje. Jeśli Shan podejmie wobec niego jakieś działania, może to być, lub nie, potężny cios dla Rodu Venture... ale z pewnością będzie to potężny cios dla Vin.

– Lady Valette Renoux – rozległ się głos. – Chyba się spóźniłaś.

Obejrzała się i zobaczyła Elenda, rozpartego w alkowie po lewej. Uśmiechnęła się i spojrzała na zegar, zauważając, że istotnie jest kilka minut po godzinie, o której obiecała się z nim spotkać.

– Chyba nabieram niedobrych zwyczajów od moich przyjaciół – zauważyła, wchodząc do alkowy.

– No nie, ja wcale nie mówię, że to coś złego – rzekł z uśmiechem Elend. – Wydaje mi się, że pewna niepunktualność to dworski obowiązek damy. Panom dobrze robi, kiedy muszą czekać na kaprys damy... tak przynajmniej mawiała moja matka.

– Zdaje się, że była bardzo mądrą kobietą – odparła Vin.

Alkowa była akurat dość duża, by mogło w niej stanąć bokiem dwoje ludzi. Stała więc przed nim, po lewej mając górny balkon, a po prawej cudowne lawendowe okno. Czubki ich stóp prawie się stykały.

– O, nie wiem nic na ten temat – odparł Elend. – W końcu wyszła za mojego ojca.

– Tym samym wchodząc do najpotężniejszego rodu Ostatniego Imperium. Nie można by zrobić nic lepszego, choć jak przypuszczam, mogłaby próbować wyjść za Ostatniego Imperatora. O ile jednak wiem, nie jest do wzięcia.

– Szkoda – odparł Elend. – Może gdyby w jego życiu była kobieta, wyglądałby mniej ponuro.

– Sądzę, że to zależy od kobiety – odrzekła i spojrzała na przechodzącą obok grupkę dworzan. – Wiesz, to miejsce nie jest szczególnie odosobnione. Ludzie dziwnie na nas patrzą.

– To ty tu weszłaś – zauważył Elend.

– No cóż, nie sądziłam, że to może stanowić podstawę do plotek.

– No to niech stanowi. – Elend wyprostował się lekko.

– Żeby twój ojciec był wściekły?

Elend pokręcił głową.

– To mnie już nie interesuje, Valette. – Zrobił krok w przód, stając jeszcze bliżej. Vin czuła jego oddech. Stał tak przez chwilę, zanim szepnął: – Chyba zaraz cię pocałuję.

Vin zadrżała.

– Nie sądzę, byś naprawdę chciał to zrobić, Elendzie.

– Czemu?

– Ile tak naprawdę wiesz na mój temat?

– Nie tyle, ile bym chciał – przyznał.

– I nie tyle, ile powinieneś – odrzekła, patrząc mu prosto w oczy.

– Więc mi powiedz.

– Nie mogę. Jeszcze nie teraz.

Stał tak przez chwilę, po czym skinął głową i odsunął się. Wyszedł na pasaż.

– Może się przejdziemy?

– Tak – odrzekła z ulgą... ale i z lekkim rozczarowaniem.

– Tym lepiej – odrzekł. – W tej alkowie jest koszmarne światło do czytania.

– Nie odważysz się – mruknęła, zezując na książkę w jego kieszeni, i również wyszła na pasaż. – Czytaj, kiedy jesteś z kimś innym, a nie ze mną.

– Ale tak przecież zaczęła się nasza znajomość!

– I tak się może skończyć – stwierdziła, biorąc go pod ramię.

Elend się uśmiechnął. Nie byli jedyną parą spacerującą po pasażu, a na dole inne pary wirowały w rytm cichej muzyki.

Wszystko wydaje się takie spokojne, pomyślała Vin. A jednak kilka dni temu wielu z tych ludzi stało i leniwie gapiło się na egzekucję kobiet i dzieci.

Poczuła ramię Elenda, jego ciepło obok siebie. Kelsier powiedział, że uśmiecha się tak często, ponieważ uważa, że powinien czerpać ze świata tyle radości, ile zdoła, rozkoszować się chwilami szczęścia, które w Ostatnim Imperium wydają się coraz rzadsze. Idąc teraz obok Elenda, zaczęła rozumieć, jak czuł się Kelsier.

– Valette... – zaczął Elend.

– Tak?

– Chcę, żebyś wyjechała z Luthadelu.

– Co?

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

– Długo o tym myślałem. Możesz sobie nie zdawać z tego sprawy, ale to miasto staje się niebezpieczne. I to bardzo.

– Wiem.

– Więc wiesz też, że dla małego rodu bez sojuszników nie ma w tej chwili miejsca w Środkowym Dominium – rzekł Elend. – Twój wuj był dość dzielny, by tutaj przybyć i próbować się osiedlić, ale wybrał niedobry czas... Myślę, że wkrótce sprawy wymkną się spod kontroli. A kiedy to się stanie... Nie mogę ci zagwarantować bezpieczeństwa.

– Mój wuj wie, co robi, Elendzie.

– To co innego, Valette – odparł. – Padają całe rody. Rodzina Tekiel nie została zabita przez bandytów... to była robota Rodu Hasting. I to nie są ostatnie ofiary.

Vin się zamyśliła.

– Ale ty przecież jesteś bezpieczny, prawda? Ród Venture nie jest taki jak reszta. Jesteście stabilniejsi.

ELend pokręcił głową.

– Jesteśmy jeszcze bardziej odsłonięci niż reszta, Valette.

– Ale macie duży majątek – odparła. – Nie zależycie od kontraktów.

– Może to nie jest widoczne – rzekł cicho Elend. – Ale one są. Doskonale potrafimy udawać, inni uważają, że mamy więcej, niż jest w istocie. Jednakże, przy podatkach Ostatniego Imperatora... no cóż, jedynym sposobem, w jaki utrzymujemy takie wpływy w mieście jest przychód. Tajny przychód.

Vin zmarszczyła brwi i Elend pochylił się, zniżając głos do szeptu.

– Moja rodzina wydobywa atium Ostatniego Imperatora, Valette – rzekł. – Stąd pochodzi nasze bogactwo. W pewnym sensie nasza stabilność zależy

niemal całkowicie od kaprysów Ostatniego Imperatora. Nie lubi sobie zawracać głowy zbieraniem atium, ale staje się ogromnie niespokojny, kiedy dostawa się opóźnia.

Dowiedz się więcej! – podpowiadał jej instynkt. To jest właśnie ten sekret, tego właśnie Kelsier potrzebuje.

– Och, Elendzie – szepnęła. – Nie powinieneś mi tego mówić.

– Dlaczego nie? – zapytał. – Ufam ci. Zrozum, musisz wiedzieć, jak się tu robi niebezpiecznie. Dostawy atium ostatnio nieco ucierpiały. Od tamtej pory... cóż, coś się stało kilka lat temu. Od tamtej pory wszystko się zmieniło. Ojciec nie może sprostać zamówieniom Ostatniego Imperatora, a kiedy się to zdarzyło po raz ostatni...

– Co?

– No cóż – odparł, lekko poruszony. – Powiedzmy, że wkrótce Venture'owie mogą mieć prawdziwe, paskudne kłopoty. Ostatni Imperator bardzo liczy na to atium, Valette – to jego główny sposób kontrolowania szlachty. Ród bez atium to ród, który nie potrafi się ochronić przed Zrodzonymi z Mgły. Przechowując ogromne rezerwy, Ostatni Imperator kontroluje rynek i zarabia ogromne kwoty. Finansuje swoje armie przez redukcję podaży atium, a potem sprzedaje dodatkowe ilości po nieprawdopodobnych cenach. Gdybyś wiedziała więcej o gospodarce Allomancji, prawdopodobnie miałoby to dla ciebie więcej sensu.

O, wierz mi, rozumiem więcej niż sądzisz. A teraz wiem znacznie więcej, niż powinnam.

Elend zatrzymał się, uśmiechnął uprzejmie do obligatora, który właśnie ich mijał w pasażu. Obligator spojrzał na nich zadumanym wzrokiem w obramowaniu tatuaży.

Elend zwrócił się do niej skoro tylko obligator przeszedł.

– Musisz wyjechać – powtórzył. – Ludzie wiedzą, że się tobą zainteresowałem. Mam nadzieję, że uznają, że to tylko dlatego, by rozzłościć ojca, ale i tak mogą próbować cię wykorzystać. Wielkie Rody nie będą miały skrupułów, aby zmiażdżyć całą twoją rodzinę tylko po to, by dobrać się do mnie i do mojego ojca. Musisz zniknąć.

– Cóż... pomyślę o tym – mruknęła.

– Nie ma już wiele czasu na myślenie – ostrzegł. – Chcę, żebyś wyjechała, zanim zaangażujesz się bardziej w to, co się dzieje w mieście.

O, jestem już zaangażowana bardziej, niż ci się zdaje.

– Powiedziałam, że pomyślę o tym – odparła. – Posłuchaj, Elendzie, chyba powinieneś bardziej martwić się o siebie. Sądzę, że Shan Elariel spróbuje cię zaatakować.

– Shan? – zapytał rozbawiony. – Ona jest nieszkodliwa.

– Nie sądzę, Elendzie. Musisz być ostrożniejszy.

Zaśmiał się.

– Popatrz na nas... jedno próbuje przekonać drugie, jak strasznie niebezpieczna jest sytuacja, i każde uparcie nie chce słuchać drugiego.

Zatrzymała się i uśmiechnęła.

Elend westchnął.

– Więc mnie nie posłuchasz, prawda? Czy jest cokolwiek, co mógłbym zrobić, żebyś wyjechała?

– Nie teraz – odparła łagodnie. – Słuchaj, Elendzie, czy nie możemy po prostu miło spędzić razem czasu, który nam pozostał? Jeśli wszystko będzie szło tym torem co teraz, wkrótce możemy nie mieć wiele okazji takich jak ta.

Zatrzymał się na chwilę, ale skinął głową. Widziała, że wciąż jest niespokojny, ale wrócił do spaceru, pozwalając jej delikatnie złożyć dłoń na swoim ramieniu. Szli tak przez chwilę w milczeniu, dopóki coś nie przykuło uwagi Vin. Zdjęła ręce z jego ramienia i sięgnęła ku jego dłoni, podnosząc ją lekko.

Spojrzał na nią, marszcząc czoło ze zdziwienia, kiedy postukała w pierścień na jego palcu.

– To naprawdę metal – powiedziała z lekkim zaskoczeniem, pomimo tego, co jej mówiono.

Elend skinął głową.

– Czyste złoto.

– Nie martwisz się o...

– Allomantów? – zapytał. Wzruszył ramionami. – Nie wiem... nie miałem i nie musiałem mieć z nimi nigdy do czynienia. Nie nosicie metalu na plantacjach?

Pokręciła głową, pokazując mu spinki we włosach.

– Malowane drewno – wyjaśniła.

Skinął głową.

– Chyba mądrze – odparł. – Ale wiesz, im dłużej pozostaniesz w Luthadelu, tym prędzej się zorientujesz, że tu niewiele rzeczy robi się

w imię mądrości. Ostatni Imperator nosi metalowe pierścienie, więc to samo robi szlachta. Niektórzy filozofowie uważają, że to część Jego planu. Ostatni Imperator nosi metal, ponieważ wie, że szlachta go będzie naśladować, a tym samym daje swoim Inkwizytorom władzę nad nimi.

– Zgadzasz się? – zapytała, znów ujmując go pod ramię. – Z filozofami, oczywiście.

Elend pokręcił głową.

– Nie – rzekł, już nieco ciszej. – Ostatni Imperator... jest po prostu arogancki. Czytałem o wojownikach z dawnych czasów, którzy ruszali w bitwę bez zbroi, żeby pokazać, jacy są silni i odważni. Wydaje mi się, że właśnie tak to wygląda, choć muszę przyznać, że na o wiele subtelniejszym poziomie. Nosi metal, aby chwalić się swą siłą, pokazać, jak bardzo się nie boi... jak nie czuje się zagrożony niczym, co moglibyśmy mu zrobić.

Cóż, pomyślała. Chętnie nazywa Ostatniego Imperatora arogantem. Może zdołam wydusić z niego coś więcej.

Elend zatrzymał się i spojrzał na zegar.

– Valette, obawiam się, że dzisiaj nie mam dla ciebie wiele czasu.

– Racja – odrzekła. – Musisz spotkać się z przyjaciółmi.

Spojrzała na niego, usiłując wysondować jego reakcję.

Nie wydawał się zaskoczony. Uniósł tylko brew.

– Rzeczywiście, jesteś bardzo spostrzegawcza.

– To nie wymaga spostrzegawczości – odrzekła. – Za każdym razem, kiedy jesteśmy u Hastingów, Venture’ów, Lekalów lub Elarielów, znikasz z tymi samymi ludźmi.

– Moi kumple od kieliszka – odparł z uśmiechem. – Niezwykła grupa jak na dzisiejszy klimat polityczny, ale pozwala mi podenerwować ojca.

– Co robicie na takich spotkaniach? – zapytała.

– Głównie rozmawiamy o filozofii – odparł. – Jesteśmy dość nudni... nic dziwnego, jak mi się zdaje, gdybyś nas wszystkich znała. Rozmawiamy o rządzie, polityce, o Ostatnim Imperatorze...

– A co z nim?

– No cóż, nie podoba nam się wiele rzeczy, które zrobił z Ostatnim Imperium.

– Chcecie go obalić? – zapytała.

Spojrzał na nią dziwnie.

– Obalić? Skąd ci to przyszło do głowy, Valette? To Ostatni Imperator. Jest Bogiem. Nie możemy nic poradzić na to, że to on rządzi. – Odwrócił wzrok i ruszyli dalej. – Nie, moi przyjaciele i ja... chcemy tylko, by Ostatnie Imperium wyglądało nieco inaczej. Nie możemy teraz nic zmienić, ale może kiedyś... o ile wszyscy przeżyjemy następny rok... będziemy w stanie wpłynąć na Ostatniego Imperatora.

– Żeby co zrobił?

– Choćby te egzekucje kilka dni temu – odrzekł. – Nie widzę, by to spowodowało coś dobrego. Skaa się zbuntowali, Zakon ściął kilkuset przypadkowych ludzi. Co osiągnął poza tym, że ludność jest teraz jeszcze bardziej wściekła? Następna rebelia będzie większa. Czy to oznacza, że Ostatni Imperator każe ściąć więcej ludzi? Jak długo można tak to ciągnąć, zanim wybije wszystkich skaa?

Vin szła w zadumie.

– A co ty byś zrobił, Elendzie Venture? – zapytała. – Gdybyś miał władzę.

– Nie wiem – wyznał. – Przeczytałem wiele książek... nawet tych, których nie powinienem... i nie znalazłem żadnych prostych odpowiedzi. Jestem jednak całkowicie przekonany o tym, że ścinanie ludzi niczego nie załatwi. Ostatni Imperator jest tutaj już od dość dawna i można by sądzić, że wymyśli coś lepszego. Ale i tak musimy tę rozmowę dokończyć później. – Zwolnił i odwrócił się, by na nią spojrzeć.

– Już czas? – spytała.

Elend skinął głową.

– Obiecałem, że się z nimi spotkam, a oni na mnie liczą. Chyba mogłem im powiedzieć, że się spóźnię.

Pokręciła głową.

– Idź napić się z przyjaciółmi. Nic mi nie będzie... Muszę jeszcze porozmawiać z paroma osobami.

Nie musiała wracać do pracy. Breeze i Dockson spędzili wiele czasu na planowaniu i przygotowywaniu kłamstw, które miała rozpowszechniać, i po przyjęciu będą czekać w sklepie Clubsa na jej raport.

Elend się uśmiechnął.

– Może nie powinienem tak bardzo martwić się o ciebie. Kto wie... Biorąc pod uwagę wszystkie twoje manewry polityczne, może to ród

Renoux wkrótce będzie potęgą tego miasta, a ja tylko nędznym żebrakiem. – Złożył jej niski ukłon i mrugnął, po czym ruszył w stronę schodów.

Vin podeszła powoli do poręczy balkonu, spoglądając w dół na tańczących i posilających się ludzi.

Więc nie jest rewolucjonistą, pomyślała. Kelsier znów miał rację. Ciekawe, kiedy go to zmęczy.

Wciąż jednak nie czuła się rozczarowana Elendem. Nie każdy był tak stuknięty, by sądzić, że uda mu się obalić boga-imperatora. Sam fakt, że Elend chce myśleć samodzielnie, odróżniał go od reszty. To dobry człowiek, zasługujący na kobietę, która będzie godna jego zaufania.

Niestety, miał Vin.

Zatem ród Venture w tajemnicy wydobywa atium Ostatniego Imperatora, pomyślała. A więc to oni muszą administrować Czeluściami Hathsin.

Dla rodu była to bardzo ryzykowna pozycja – ich finanse zależały bezpośrednio od dobrego humoru Ostatniego Imperatora. Elend myślał, że jest ostrożny, ale Vin się bała. Nie traktował wystarczająco poważnie Shan Elariel. Tego Vin była pewna. Ktoś jednak musi chronić Elenda, jest bowiem zbyt szalony, by pilnować się samemu.

Ruszyła przed siebie. Terrisanin Shan obserwował Vin, kiedy się zbliżała. Był tak odmienny od Sazeda... nie miał takiego... ducha. Ten człowiek zachowywał obojętną minę, niczym istota wykuta z kamienia. Kilka dam rzuciło w stronę Vin pełne dezaprobaty spojrzenia, ale większość – włącznie z Shan – ignorowała ją.

Vin stała przez chwilę niepewnie, czekając, aż rozmowa nieco ucichnie. Nie doczekała się, więc po prostu podeszła bliżej do Shan.

– Lady Shan? – zapytała.

Shan spojrzała na nią lodowato.

– Nie posyłałam po ciebie, wieśniaczko.

– Tak, ale znalazłam kilka takich książek, jak...

– Nie potrzebuję już twoich usług – odparła Shan, odwracając się. – Sama sobie poradzę z Elendem Venture. Teraz bądź grzeczną wieśniaczką i przestań mnie nachodzić.

Vin stała, zaskoczona.

– Ale pani plan...

– Powiedziałam, że nie jesteś już potrzebna. Myślisz, że przedtem byłam dla ciebie surowa, dziewko? To było wtedy, kiedy cię potrzebowałam.

Spróbuj mnie zirytować teraz.

Vin odruchowo skuliła się pod wyniosłym spojrzeniem kobiety. Wydawała się... zdegustowana. A nawet wściekła. Zazdrosna?

Musiała to wreszcie zrozumieć, pomyślała Vin. Wreszcie zrozumiała, że nie igram sobie z Elendem. Wie, że zależy mi na nim, nie ufa mi już, że dochowam jej tajemnic.

Odeszła od stołu. Będzie musiała użyć innych sposobów, żeby poznać plany Shan.

***

Pomimo tego, co często powtarzał, Elend Venture nie uważał się za ordynarnego człowieka. Był raczej... filozofem słowa. Lubił testować ludzi i zmieniać tor rozmowy, aby śledzić reakcje. Podobnie jak dawni wielcy myśliciele, pokonywał granice i eksperymentował z niekonwencjonalnymi metodami.

Oczywiście, myślał, trzymając przed nosem szklaneczkę brandy i obserwując ją w zadumie, większość z tych filozofów została ścięta za zdradę. Nie najlepsze wzorce roli w społeczeństwie.

Jego wieczorna dyskusja polityczna z kolegami dobiegła końca i z kilkorgiem przyjaciół siedział teraz w salonie dla panów Twierdzy Lekal, niewielkim pokoju przylegającym do sali balowej. Pokój umeblowano na ciemnozielono, a fotele były wygodne, byłoby to przemiłe miejsce do czytania, gdyby miał odrobinę lepszy nastrój. Jastes siedział naprzeciwko, z zadowoleniem pykając fajeczkę. Dobrze było patrzeć na młodego Lekala, kiedy był taki spokojny. Ostatnie dwa tygodnie były dla niego bardzo trudne.

Wojna rodów, myślał Elend. Co za okropny moment. Dlaczego teraz? Wszystko się zaczynało układać.

Kilka chwil potem wrócił Telden z nowymi drinkami.

– Wiesz – rzekł Jastes, gestykulując fajką. – Każdy ze służących tutaj mógł ci przynieść te drinki.

– Miałem ochotę rozprostować nogi – odparł Telden, zajmując trzeci fotel.

– A w drodze powrotnej flirtowałeś z co najmniej trzema kobietami – odparł Jastes. – Liczyłem.

Telden uśmiechnął się, sącząc drinka. Potężny mężczyzna nigdy po prostu nie „siedział”. On spoczywał. Telden potrafił wyglądać na odprężonego i zadowolonego niezależnie od sytuacji, jego eleganckie stroje i dobrze ostrzyżone włosy wyglądały pięknie, wręcz do pozazdroszczenia.

Może powinienem zwracać nieco większą uwagę na takie szczegóły, pomyślał Elend. Valette cierpi jakoś moją fryzurę, ale czy nie wolałaby, gdybym je ostrzygł i uczesał?

Wiele razy zamierzał pójść do fryzjera lub krawca, ale zawsze inne sprawy odwracały jego uwagę. Zatapiał się w swoich studiach lub spędzał zbyt wiele czasu na czytaniu w półmroku gabinetu i stwierdzał, że spóźnił się na wyznaczoną godzinę. Znowu.

– Elend jest dzisiaj milczący – zauważył Telden. Choć w saloniku siedziały również inne grupy mężczyzn, fotele były rozstawione w taki sposób, by umożliwić dyskretne rozmowy.

– Ostatnio często taki bywa – dodał Jastes.

– Ach, tak. – Telden zmarszczył brwi.

Elend znał ich obu dość dobrze, by podchwycić sugestię.

– Popatrzmy, dlaczego to ludzie muszą być tacy? Jeśli mają coś do powiedzenia, czemu po prostu tego nie zrobią?

– Polityka, przyjacielu – odparł Jastes. – Jesteśmy, o ile tego jeszcze nie zauważyłeś, arystokratami.

Elend wywrócił oczami.

– Dobrze, powiem to – odparł Jastes, przeczesując dłonią włosy. To był nerwowy zwyczaj, który, jak przypuszczał Elend, stanowił jedną z przyczyn coraz głębszej łysiny młodzieńca. – Spędzasz mnóstwo czasu z tą dziewczyną Renoux, Elendzie.

– Mam na to proste wyjaśnienie – odparł Elend. – Widzisz, przypadkiem bardzo ją lubię...

– Niedobrze, Elendzie – zauważył Telden, kręcąc głową. – Niedobrze.

– Dlaczego? – zapytał Elend. – Sam nie wahasz się zapominać o różnicach klasowych, Teldenie. Widziałem, że flirtowałeś z połową służących w tym pokoju.

– Nie jestem dziedzicem rodu – odparł Telden.

– A poza tym – zauważył Jastes – te dziewczyny są godne zaufania. Moja rodzina je zatrudniła, znamy ich domy, pochodzenie i poglądy.

Elend zmarszczył brwi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jest coś dziwnego w tej dziewczynie, Elendzie – odparł Jastes. Wrócił już do normalnego nerwowego nastroju, zapominając o fajce, tlącej się w podstawce na stole.

Telden skinął głową.

– Zbyt szybko się do ciebie zbliżyła. Elendzie. Ona czegoś chce.

– Czego na przykład? – zapytał zirytowany Elend.

– Elendzie, Elendzie – mruknął Jastes. – Nie możesz unikać gry, mówiąc, że nie chce ci się grać. Ona sama cię znajdzie. Renoux przeprowadził się do miasta w momencie, kiedy zaczęły się napięcia między domami, sprowadził ze sobą nieznajomą krewną – dziewczynę, która natychmiast zainteresowała sobą najważniejszego wolnego mężczyznę w Luthadelu. Czy to nie wydaje ci się dziwne?

– Właściwie to ja ją zaczepiłem – zauważył Elend. – I to tylko dlatego, że zajęła mój kącik do oddawania się lekturze.

– Ale musisz przyznać, że to podejrzane, jak szybko do ciebie przylgnęła – odparł Telden. – Jeśli masz ochotę na romans, Elendzie, musisz się nauczyć jednego: możesz sobie igrać z kobietami, jeśli chcesz, ale nie zbliżaj się do nich. Wtedy zaczynają się kłopoty.

Elend pokręcił głową.

– Valette jest inna.

Pozostali dwaj wymienili spojrzenia, po czym Telden wzruszył ramionami i wrócił do swojego kieliszka. Jastes jednak westchnął, wstał i przeciągnął się.

– Chyba muszę iść.

– Jeszcze jeden drink – zaoponował Telden.

Jastes pokręcił głową i przeciągnął dłonią po włosach.

– Wiesz, jacy są moi rodzice w balowe wieczory. Jeśli nie wyjdę i nie pożegnam się z przynajmniej kilkorgiem gości, będą mi robić wymówki przez najbliższe kilka tygodni.

Młody człowiek powiedział im „dobranoc” i poszedł do głównej sali balowej. Telden sączył drinka, obserwując Elenda.

– Nie myślę o niej – powiedział nerwowym tonem Elend.

– A o czym?

– O dzisiejszym spotkaniu. Nie jestem pewien, co o nim sądzić.

– Ba – rzekł potężny mężczyzna, machając ręką. – Stajesz się gorszy od Jastesa. Co się stało z człowiekiem, który uczestniczył w tych spotkaniach tylko po to, by się odprężyć i spędzić miło czas z przyjaciółmi?

– Jest zaniepokojony – odparł Elend. – Niektórzy z jego przyjaciół mogą stać się głowami rodów wcześniej, niż się spodziewają, a on obawia się, że żaden z nas nie jest do tego gotów.

Telden prychnął.

– Nie bądź taki melodramatyczny – odparł, uśmiechając się i mrugając do służącej, która przyszła zabrać jego puste puchary. – Mam wrażenie, że to wszystko po prostu się rozwieje. Za kilka miesięcy spojrzymy na to z perspektywy czasu i będziemy się zastanawiać, o co się tak wszyscy martwiliśmy.

Kale Tekiel nie spojrzy, pomyślał Elend.

Rozmowa jednak się nie kleiła i Telden ostatecznie wyszedł. Elend siedział jeszcze przez chwilę, otwierając po raz kolejny *Dyktaty Społeczeństwa*. Miał jednak kłopot z koncentracją. Obracał w palcach szklankę brandy, ale nie pił wiele.

Ciekawe czy Valette już wyszła. Próbował ją odnaleźć po spotkaniu, ale widocznie i ona znalazła się w jakimś prywatnym kółku.

Ta dziewczyna, myślał leniwie, jest zbyt zainteresowana polityką dla jej własnego dobra.

Może czuł po prostu zazdrość... tylko kilka miesięcy na dworze, a już wydawała się bardziej kompetentna niż on sam. Była taka nieustraszona, taka śmiała, taka... interesująca. Nie pasowała do żadnego z dworskich stereotypów, jakie nauczono go rozróżniać.

Czy Jastes może mieć rację? – zastanawiał się. Z pewnością jest inna niż pozostałe kobiety, sama też przecież dała mi do zrozumienia, że wiem o niej niewiele.

Wyrzucił tę myśl z głowy. Valette była inna, oczywiście, ale również w pewnym sensie niewinna. Gorliwa. Pełna zachwytu i energii.

Martwił się o nią. Widocznie nie miała pojęcia, jak niebezpieczny może być Luthadel. Politykę tego miasta stanowiło coś więcej niż bale i drobne intrygi. Co by się stało, gdyby ktoś zdecydował się wysłać Zrodzonego, by załatwił ją i jej wuja? Renoux nie miał dużych koneksji, a na dworze nikt

nawet nie mrugnąłby na wieść o paru zabójstwach w Fellise. Czy wuj Valette wiedział, jak podjąć właściwie środki ostrożności? Czy w ogóle zastanawiał się nad Allomantami?

Elend westchnął. Musi dopilnować, żeby Valette opuściła miasto. To jedyna możliwość.

***

Zanim powóz dojechał do Twierdzy Venture, Elend uznał, że wypił zbyt wiele. Ruszył do swojego pokoju, ciesząc się myślą o łóżku i poduszkach.

Droga do sypialni prowadziła jednak obok gabinetu jego ojca. Drzwi były otwarte i pomimo późnej pory wciąż padało z nich światło. Elend starał się iść cicho po wyścielanej dywanem podłodze, ale nigdy jeszcze nie udało mu się przemknąć niezauważenie.

– Elend? – dobiegł z gabinetu głos ojca. – Chodź tutaj.

Elend westchnął cicho. Lord Straff Venture niczego nie przeoczał. Był Cynookim – a jego zmysły były prawdopodobnie dość ostre, by usłyszeć nadjeżdżający pojazd Elenda. Jeśli nie pogadam z nim teraz, wyśle służbę, która mi będzie zawracać głowę tak długo, aż i tak zejdę, by z nim porozmawiać.

Odwrócił się i wszedł do gabinetu. Ojciec siedział w fotelu, rozmawiając cicho z TenSoon, Kandrą Venture. Elend wciąż nie przyzwyczaił się do najnowszego ciała tego stworzenia, które kiedyś należało do służącego w domostwie Hastingów. Elend zadrżał na jego widok. Stworzenie skłoniło się i opuściło gabinet.

Elend oparł się o framugę. Fotel Straffa znajdował się przed kilkoma półkami z książkami – Elend był przekonany, że jego ojciec nie przeczytał żadnej z nich. Pomieszczenie było oświetlone dwiema lampami. Ich klosze zostały zasłonięte tak, żeby dawać tylko cienki promień światła.

– Byłeś dzisiaj na balu – rzekł Straff. – Czego się dowiedziałeś?

Elend potarł czoło.

– Że mam tendencje do wypijania zbyt dużych ilości brandy.

Straffa nie rozbawił ten komentarz. Był doskonałym imperialnym szlachcicem – wysoki, szeroki w barach, zawsze ubrany w strój szyty na miarę.

– Znowu spotkałeś się z tą... kobietą?

– Valette? Tak, choć nie na tak długo, jak chciałem.

– Zabroniłem ci spędzać z nią czas.

– Tak – odparł Elend. – Pamiętam.

Twarz Straffa spochmurniała. Wstał, okrążył biurko.

– Och, Elendzie – rzekł. – Kiedy wreszcie opanujesz ten swój dziecinny temperament? Czy myślisz, że nie zdaję sobie sprawy, że robisz głupstwa tylko mnie na złość?

– Właściwie to opanowałem swój „dziecinny temperament” już dawno temu, ojcze. Okazuje się, że moje naturalne skłonności lepiej spełniają tę rolę. Szkoda, że nie wiedziałem o tym wcześniej. Mogłem sobie w młodości zaoszczędzić dużo wysiłku.

Ojciec prychnął i uniósł rękę. Trzymał w palcach list.

– Podyktowałem to Staxlesowi kilka minut temu. Zawiera podziękowanie i przyjęcie zaproszenia na lunch z lordem Tegasem jutro po południu. Jeśli wojna rodów naprawdę wybuchnie, chcę być pewien, że zdołamy zniszczyć Hastingów tak szybko, jak to możliwe, a Tegas może być silnym sprzymierzeńcem. Ma córkę. Chcę, żebyś jej towarzyszył na tym spotkaniu.

– Rozważę to – odparł Elend, masując skronie. – Nie jestem pewien, w jakim stanie będę jutro rano. Za dużo brandy, pamiętasz?

– Będziesz tam, Elendzie. To nie jest prośba.

Elend przystanął. Miał wielką ochotę odwarknąć ojcu, zająć stanowisko – nie dlatego, żeby go obchodziło, z kim zasiada do stołu, ale z innych, znacznie ważniejszych powodów.

Hasting jest drugim co do wielkości i potęgi rodem w mieście. Jeśli nawiążemy z nim sojusz, razem zdołamy uchronić Luthadel przed chaosem. Będziemy mogli powstrzymać wojnę rodów, a nie rozniecić.

To właśnie zrobiły z nim książki – zmieniły go z rebelianta w niedoszłego filozofa. Niestety, zbyt długo był głupcem. Czy to dziwne, że Straff nie zauważył zmian, jakie zaszły w synu? Elend dopiero teraz to zrozumiał.

Straff dalej mierzył go gniewnym wzrokiem i Elend odwrócił głowę.

– Pomyślę – rzekł.

Straff niedbale machnął ręką.

Usiłując uratować nieco dumy, Elend ciągnął:

– Chyba nie będziesz musiał martwić się o Hastingów. Wszystko wskazuje na to, że przygotowują się, by prysnąć z miasta.

– Co?! – zawołał Straff. – Gdzie to słyszałeś?!

– Na balu – odparł Elend.

– Wydawało mi się, że powiedziałeś, że nie dowiedziałeś się niczego ważnego.

– Chwileczkę. Nie powiedziałem nic podobnego. Po prostu nie miałem ochoty dzielić się tym z tobą.

Lord Venture zmarszczył brwi.

– Nie wiem, po co w ogóle sobie zawracasz głowę. I tak wszystko, czego się dowiadujesz, w końcu okazuje się bezwartościowe. Próbowałem cię nauczyć polityki, chłopcze. Naprawdę próbowałem. Ale teraz... no cóż, mam nadzieję, że dożyję, aby zobaczyć twoją śmierć, ponieważ ten ród czekają ciężkie czasy, jeśli przejmiesz nad nim kontrolę.

– Wiem więcej, niż ci się zdaje, ojcze.

Straff zaśmiał się i wrócił na fotel.

– Wątpię, chłopcze. Przecież nawet nie umiesz porządnie wychędożyć kobiety. Ostatni i jedyny raz, kiedy wiem, że próbowałeś, był wtedy, kiedy sam cię zabrałem do burdelu.

Elend się zaczerwienił. Ostrożnie, pomyślał. Wyciąga to nie bez powodu. Wie, jak bardzo cię to dręczy.

– Idź do łóżka, chłopcze – rzekł Straff, odprawiając go gestem. – Wyglądasz potwornie.

Elend stał przez chwilę, ale w końcu wyszedł do holu, cicho wzdychając.

Taka jest różnica między nimi a tobą, Elendzie, pomyślał. Ci filozofowie, których czytasz, byli również rewolucjonistami. Chcieli zaryzykować egzekucję. Ty nie potrafisz się postawić nawet własnemu ojcu.

Zmęczonym krokiem udał się do pokoju, gdzie – ku swemu zdumieniu – ujrzał czekającego nań sługę.

Zmarszczył brwi.

– Co jest?

– Lordzie Elend, ma pan gościa – rzekł tamten.

– O tej porze?

– To lord Jastes Lekal, mój panie.

Elend przekrzywił głowę. Co w imię Ostatniego Imperatora...?

– Czeka w salonie, jak sądzę?

– Tak, panie.

Elend wrócił z żalem na dół do holu. Jastes wydawał się zniecierpliwiony.

– Jastesie... – rzekł znużonym głosem, wchodząc do salonu. – Mam nadzieję, że to, co masz mi do powiedzenia, jest bardzo ważne.

Jastes przez moment przestępował z zażenowaniem z nogi na nogę. Wydawał się jeszcze bardziej nerwowy niż zwykle.

– O co chodzi? – zapytał Elend, czując, że kończy mu się cierpliwość.

– O dziewczynę.

– Valette? – zapytał Elend. – Przyszedłeś tutaj rozmawiać o Valette? Teraz?

– Powinieneś częściej ufać swoim przyjaciołom – odparł Jastes.

Elend prychnął.

– Ufać twojej znajomości kobiet? Wybacz, Jastesie, ale wolałbym nie.

– Kazałem ją śledzić, Elendzie – wyrzucił z siebie Jastes.

Elend znieruchomiał.

– Co?

– Kazałem śledzić jej powóz. A przynajmniej obserwować go przy bramie miejskiej. Nie było jej w powozie, kiedy opuszczał miasto.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Elend, a zmarszczka na jego czole się pogłębiła.

– Nie było jej w powozie, Elendzie – powtórzył Jastes. – Kiedy jej Terrisanin podawał strażnikowi papiery, mój człowiek zakradł się i zajrzał przez okno powozu. W środku nie było nikogo. Powóz musiał ją zostawić gdzieś w mieście. Pewnie jest szpiegiem jednego z Rodów, próbuje przez ciebie dotrzeć do twojego ojca. Stworzyli dla ciebie kobietę doskonałą: ciemnowłosa, nieco tajemnicza, spoza ogólnej struktury politycznej. Wymyślili, że powinna być na tyle nisko urodzona, że skandalem byłoby, gdybyś się nią zainteresował, a potem napuścili ją na ciebie...

– Jastesie, to jest śmie...

– Elendzie – przerwał mu Jastes. – Powiedz mi jeszcze raz, jak przebiegło wasze pierwsze spotkanie?

Elend się zamyślił.

– Stała na balkonie.

– W miejscu, gdzie zwykle czytasz – odparł Jastes. – Wszyscy wiedzą, że zwykle tam właśnie się zaszywasz. Zbieg okoliczności?

Elend przymknął oczy. Nie Valette. Nie, ona nie może być częścią tego wszystkiego. Natychmiast jednak przyszła mu do głowy inna myśl. Powiedziałem jej o atium! Jak mogłem być taki głupi?

To nie może być prawda. Niemożliwe, że można go było tak łatwo oszukać. Ale... czy może zaryzykować? Był złym synem, to prawda, ale nie był zdrajcą rodu. Nie chciał być świadkiem upadku Venture, chciał pewnego dnia stanąć na jego czele, żeby mieć możliwość zmian.

Pożegnał się z Jastesem, po czym w roztargnieniu wrócił do swojego pokoju. Był zbyt zmęczony, by myśleć o polityce rodu. Jednak, kiedy wreszcie dotarł do łóżka, stwierdził, że nie może zasnąć.

Wreszcie wstał i posłał po służącego.

– Powiedz ojcu, że chcę zawrzeć ugodę – rzekł do niego. – Pójdę jutro na to przyjęcie, tak jak on sobie tego życzy. – Przystanął w szlafroku na progu swojej sypialni. – W zamian – dodał – powiedz, że chcę pożyczyć od niego paru szpiegów, żeby kogoś dla mnie śledzili.

Wszyscy uważają, że powinienem był zabić Kwaana za zdradę. Mówiąc szczerze, zabiłbym go zapewne w tej chwili, gdybym wiedział, dokąd poszedł. Wtedy jednak po prostu nie mogłem tego zrobić.

Ten człowiek był dla mnie jak ojciec. Do dzisiaj nie wiem, czemu nagle stwierdził, że nie jestem Bohaterem. Dlaczego zwrócił się przeciwko mnie, denuncjując mnie przed całym Konklawe Dawców Światów?

Czy wolał, aby to Głębia zwyciężyła? Z pewnością, jeśli nawet nie jestem tym właściwym – jak twierdzi teraz Kwaan – moja obecność przy Studni Wstąpienia nie mogła być gorszym wydarzeniem niż to, co by się zdarzyło, gdyby Głębia nadal pożerała ziemię.

29

Już prawie po wszystkim, czytała Vin.

Widzimy jaskinię z naszego obozu. Żeby do niej dotrzeć, potrzebne jest jeszcze kilka godzin marszu, ale wiem, że to właściwe miejsce. Czuję to w jakiś sposób, czuję to... pulsowanie w moim umyśle.

Jest tak zimno. Przysiągłbym, że skały są z lodu, a śnieg jest miejscami tak głęboki, że musimy się przez niego przekopywać. Wiatr wieje przez cały czas. Martwię się o Fedika – nie jest już sobą od czasu, kiedy stworzenie z mgły go zaatakowało, i obawiam się, że w końcu zabłąka się nad przepaść lub wpadnie w którąś z tych lodowatych szczelin w ziemi.

Terrisanie są niesamowici. Dobrze, że ich zabraliśmy, bo żaden zwykły tragarz nie przeżyłby takiej drogi. Terrisanom widocznie nie przeszkadza zimno – coś w ich dziwnym metabolizmie daje im nadnaturalną zdolność do opierania się żywiołom. Może „zaoszczędzili" ciepło z ciał do późniejszego wykorzystania?

Nie chcą jednak mówić o swoich mocach. A ja jestem pewien, że to wina Rasheka. Inni tragarze uważają go za przywódcę, choć nie sądzę, by miał nad nimi pełną kontrolę. Zanim został ugodzony, Fedik uważał, że Terrisanie pozostawią nas tu w lodzie. Nie sądzę jednak, aby tak się stało. Jestem tutaj, bo tak chciały proroctwa Terris – ci ludzie nie zaprzeczą swej własnej religii tylko dlatego, że jeden z nich przestał mnie lubić.

Wreszcie stawiłem czoło Rahekowi. Nie chciał ze mną rozmawiać, oczywiście, ale zmusiłem go. Mówił sporo o swojej nienawiści do Khlennium i mojego ludu. Uważa, że zmieniliśmy jego lud w niewiele więcej niż niewolników. Uważa, że Terrisanie zasługują na więcej – ciągle powtarza, że jego lud powinien „dominować" ponieważ posiada nadnaturalne moce.

Obawiam się jego słów, ponieważ widzę w nich prawdę. Wczoraj jeden z tragarzy podniósł kamień ogromnych rozmiarów, po czym odrzucił go z drogi prawie niedbałym ruchem. Nigdy w życiu nie widziałem takiego pokazu siły.

Ci Terrisanie mogą być bardzo niebezpieczni, jak sądzę. Może potraktowaliśmy ich niesprawiedliwie. Jednak ludzie tacy jak Rashek powinni być hamowani – wciąż irracjonalnie wierzy, że wszyscy ludzie spoza Terris go uciskają. Jest za młody, żeby być tak wściekłym.

Jest strasznie zimno. Kiedy wszystko się skończy, myślę, że zamieszkam w kraju, gdzie jest ciepło przez cały rok. Braches mówił mi o takich miejscach, wyspach na południu, gdzie wielkie góry buchają ogniem.

Jak to będzie, kiedy wszystko się skończy? Znów będę zwyczajnym człowiekiem. Nieważnym człowiekiem. To brzmi przyjemnie, nawet jest pożądane – bardziej niż ciepłe słońce i bezwietrzne niebo. Jestem tak

zmęczony rolą Bohatera Wieków, zmęczony wchodzeniem do miast, gdzie spotykam albo zbrojną wrogość, albo fanatyczną adorację. Jestem zmęczony tą nienawiścią i miłością za to, co – jak twierdzi banda staruchów – wkrótce mam zrobić.

Chcę zostać zapomniany. Ciemność. O tak, to byłoby miłe.

Jeśli ludzie przeczytają te słowa, niech wiedzą, że potęga to ciężkie brzemię. Nie dajcie się spętać jej łańcuchom. Proroctwa Terris mówią, że posiądę moc uratowania świata, ale sugerują też, że posiądę moc jego zniszczenia.

Będę miał możliwość spełnienia marzenia mojego serca. „Weźmie na siebie potęgę, której nie uniósłby żaden śmiertelnik". Jednak filozofowie ostrzegli mnie, że jeśli użyję tej potęgi dla własnych celów, moje samolubstwo ją splami.

Czy jest to brzemię, które człowiek powinien nosić? Czy jest to pokusa, której człowiek może się oprzeć? Teraz czuję się silny, ale co się stanie, kiedy dotknę tej potęgi? Z pewnością ocalę świat, ale czy nie zapragnę także go zagarnąć?

Takie są moje lęki, kiedy teraz piszę oszronionym piórem w przeddzień odrodzenia świata. Rashek patrzy. Nienawidzi mnie. Nade mną jest jaskinia. Pulsuje. Palce mi drżą. Nie z zimna.

Jutro wszystko się skończy.

***

Vin odwróciła z zainteresowaniem stronę. Jednakże ostatnia strona książki była pusta. Odwróciła ją znów, czytając ostatnie dwa wersy. Gdzie jest dalszy ciąg?

Sazed chyba jeszcze nie skończył ostatniej części. Wstała i przeciągnęła się z westchnieniem. Właśnie skończyła najnowszą część dziennika za jednym posiedzeniem. Był to wyczyn, który zdumiał nawet ją. Na wprost Vin rozpościerały się ogrody posesji Renoux – wypielęgnowane ścieżki, potężne drzewa i cichy strumyk tworzyły jej ulubione miejsce do czytania. Słońce stało już nisko, zaczynało być zimno.

Ruszyła ścieżką w stronę domu. Pomimo chłodnego wieczoru nie umiała wyobrazić sobie miejsca takiego, jak opisywał Ostatni Imperator. Widywała

śnieg na odległych szczytach, ale rzadko miała okazję widzieć, jak pada – a nawet wtedy był to raczej lodowaty deszcz. Co to za doświadczenie, widzieć tyle śniegu dzień po dniu, obawiać się, że spadnie na głowę w miażdżącej lawinie.

Czasami marzyła, żeby odwiedzić takie miejsca, niezależnie od zagrożenia. Wprawdzie książka nie opisywała całej podróży Ostatniego Imperatora, ale niektóre z cudów, jakie zawierała – pola lodowe na północy, wielkie czarne jezioro – wydawały się fascynujące.

Gdyby tylko bardziej szczegółowo opisał, jak to wszystko wygląda! – pomyślała zirytowana. Ostatni Imperator zbyt wiele czasu spędzał na zamartwianiu się, choć musiała przyznać, że od pewnego czasu zauważyła, że jego słowa stają się dla niej znajome. Z trudnością przychodziło jej powiązanie osoby, którą widziała poprzez pamiętnik, z tą mroczną istotą, winną tylu morderstw. Co się stało przy Studni Wstąpienia? Co mogło zmienić go tak drastycznie? Musiała się tego dowiedzieć.

Dotarła do domu i zaczęła szukać Sazeda. Wróciła do noszenia sukien – dziwnie byłoby, gdyby ktokolwiek widywał ją w spodniach oprócz członków grupy. Uśmiechnęła się do jednego z lokajów lorda Renoux i zwinnie wspięła się na główne schody, zamierzając poszukać Sazeda w bibliotece.

Nie znalazła go tam. Jego małe biurko świeciło pustkami, lampa była zgaszona, kałamarz pusty. Zirytowana zmarszczyła brwi.

Gdziekolwiek jest, lepiej dla niego, gdyby pracował przy tłumaczeniu!

Zeszła po schodach, wypytując o niego, aż wreszcie pokojówka wskazała jej główną kuchnię. Vin nachmurzyła się i zawróciła w holu. Może poszedł coś zjeść?

Znalazła Sazeda stojącego pośród małej grupki służby. Wskazywał palcem na listę na stole i mówił coś półgłosem. Nie zauważył wejścia Vin.

– Sazed? – zapytała, wchodząc mu w słowo.

Obejrzał się.

– Tak, panienko Valette? – zapytał, kłaniając się lekko.

– Co tu robisz?

– Nadzoruję zapasy żywności lorda Renoux, panienko. Wprawdzie zostałem przydzielony panience do pomocy, ale wciąż jestem jego lokajem i mam obowiązki, które muszę wypełniać, kiedy nie mam innych zadań.

– Kiedy zamierzasz skończyć tłumaczenie?

Sazed przekrzywił głowę.

– Tłumaczenie, panienko? Ależ ono jest już skończone.

– Więc gdzie jest ostatnia część?

– Dałem ją przecież panience – odparł.

– Nie, nie dałeś – odrzekła. – Ta część kończy się na nocy poprzedzającej wejście do jaskini.

– I to jest koniec, panienko. Tu pamiętnik się urywa.

– Co? Ale...

Sazed spojrzał na pozostałych służących.

– O tych sprawach powinniśmy rozmawiać sam na sam, jak sądzę. – Dał im jeszcze kilka instrukcji, wskazując na listę, po czym skinął na Vin, aby poszła za nim do tylnych drzwi i do dalszej części ogrodu.

Przez chwilę stała zaskoczona, po czym pospiesznie do niego dołączyła.

– Przecież to się tak nie może kończyć, Saze. Nie wiemy, co się stało!

– Możemy się domyślać – odparł, idąc ogrodową alejką. Wschodnie ogrody nie były tak wspaniałe jak te, które odwiedzała Vin, ponieważ tworzyła je tylko gładka brunatna trawa i rzadkie krzewy.

– Czego się domyślać? – zapytała Vin.

– No cóż, Ostatni Imperator musiał zrobić to co trzeba, by uratować świat, ponieważ wciąż tu jesteśmy.

– Tak sądzę – zgodziła się. – Potem jednak zagarnął władzę dla siebie. Chyba właśnie tak się stało – nie umiał oprzeć się pokusie użycia tej mocy dla własnych celów. Ale dlaczego nie ma dalszych wpisów? Dlaczego nie chciał pisać o innych swoich czynach?

– Może władza zbyt mocno go zmieniła – odparł Sazed. – A może po prostu uznał, że już nie potrzebuje pisać. Osiągnął cel, a jako korzyść dodatkową uzyskał nieśmiertelność. Prowadzenie dziennika dla potomnych, kiedy samemu zamierza się żyć wiecznie, jest nieco bezsensowne.

– Tyle, że... – Zacisnęła ze złością zęby. – To bardzo niezadowalające zakończenie historii, Sazedzie.

Uśmiechnął się, wyraźnie rozbawiony.

– Uważaj, panienko... jeśli za bardzo polubisz czytanie, możesz stać się uczoną.

Pokręciła głową.

– Na pewno nie, jeśli wszystkie książki będą miały takie zakończenie.

– Jeśli to cię choć trochę pocieszy – odrzekł – nie jesteś jedyną osobą rozczarowaną treścią dziennika. Nie zawiera on wiele z tego, co mogłoby się przydać mistrzowi Kelsierowi, a już z pewnością niczego na temat Jedenastego Metalu. Czuję się nieco winien, ponieważ to ja najwięcej skorzystałem na tłumaczeniu tej książki.

– Na temat religii terrisańskiej też nie ma wiele.

– Niewiele – zgodził się. – Ale, niestety i ku mojemu ubolewaniu, „niewiele" to i tak więcej, niż wiedzieliśmy wcześniej. Obawiam się jedynie, że nie będę w stanie przekazać tej informacji dalej. Przesłałem przetłumaczony egzemplarz książki w miejsce, gdzie moje siostry i bracia Opiekunowie go odnajdą... szkoda, gdyby ta cała nowa wiedza miała zginąć wraz ze mną.

– Nie zginie – odparła.

– O, czyżby moja pani nagle stała się optymistką?

– A czy mój Terrisanin nagle stał się pyskaty? – odparowała.

– Zawsze taki był, jak sądzę – rzekł z lekkim uśmiechem. – To właśnie jedna z cech, które czyniły z niego kiepskiego lokaja... przynajmniej w oczach większości jego panów.

– Musieli być głupcami – odparła szczerze.

– Ja również byłem skłonny tak sądzić, panienko – odparł Sazed. – Powinniśmy wracać do domu, nie możemy być widziani w ogrodach po zejściu mgieł.

– Wiem – odrzekła. – Wracajmy zatem.

– Mądra decyzja.

Przez chwilę szli w milczeniu, rozkoszując się subtelnym pięknem ogrodu. Trawy były starannie przycinane i ładnie stopniowane, a rzadkie krzewy akcentowały jeszcze ich urok. Południowy ogród był o wiele bardziej spektakularny, ze strumykiem, drzewami i egzotycznymi roślinami. Ale wschodni ogród miał specyficzną atmosferę.

– Sazed? – szepnęła Vin.

– Tak, panienko?

– To się zmieni, prawda?

– O co ci konkretnie chodzi?

– O wszystko – odparła. – Nawet jeśli za rok nie będziemy wszyscy martwi, to członkowie grupy będą pracować przy innych zadaniach. Dox i Kelsier zaczną planować nowe eskapady, Clubs wynajmie sklep innej

grupie... Nawet te ogrody, na które tyle wydaliśmy... będą należały do kogoś innego.

Sazed skinął głową.

– To, o czym mówisz, jest, niestety, prawdopodobne. Choć, jeśli wszystko pójdzie dobrze, może za rok o tej porze będzie rządziła Luthadelem rebelia skaa.

– Może – zgodziła się. – Ale i tak... wszystko się zmieni.

– Na tym polega życie, panienko – odparł Sazed. – Świat musi się zmieniać.

– Wiem – odrzekła z westchnieniem. – Chciałabym tylko... cóż, właściwie teraz moje życie mi się podoba. Lubię spędzać czas z grupą, lubię ćwiczyć z Kelsierem, lubię chodzić na bale z Elendem w weekendy, spacerować po ogrodach z tobą. Nie chcę, żeby to wszystko się zmieniło. Nie chcę, żeby moje życie wróciło do stanu sprzed roku.

– Nie musi, panienko – odparł Sazed. – Może się zmienić na lepsze.

– Nie – odparła cicho. – To się już zaczyna. Kelsier dał mi do zrozumienia, że moje szkolenie prawie dobiegło końca. Kiedy będę w przyszłości ćwiczyć, będę robić to sama. Jeśli chodzi o Elenda, on nawet nie wie, że jestem skaa... i że moim zadaniem jest zniszczenie jego rodu. Nawet, jeśli Ród Venture nie zginie z mojej ręki, obalą go inni – wiem, że Shan Elariel coś planuje, a nie dowiedziałam się niczego na temat jej spisków. A jednak to zaledwie początek. Zmierzymy się z Ostatnim Imperium... i zapewne poniesiemy klęskę, jeśli mam być szczera, nie wiem, jak sprawy mogłyby się potoczyć innym torem. Będziemy walczyć, zrobimy coś dobrego, ale to wiele nie zmieni, a ci z nas, którzy przeżyją, przez resztę życia będą uciekać przed Inkwizytorami. Wszystko się zmieni, Sazedzie, i ja nie jestem w stanie tego powstrzymać.

Sazed uśmiechnął się z sympatią.

– A więc, panienko – rzekł łagodnie – ciesz się tym, co masz. Myślę, że przyszłość cię zaskoczy.

– Może – odparła bez przekonania.

– Ach, musisz mieć po prostu nadzieję, panienko. Może zasłużyłaś sobie na trochę dobrego losu. Przed Wstąpieniem była grupa ludzi, zwanych Astalsi. Twierdzili oni, że każda osoba rodzi się ze skończoną ilością pecha. Więc kiedy zdarzyło się jakieś nieszczęście, cieszyli się, że od tej chwili ich życie może się już tylko polepszać.

Vin uniosła brew.

– Brzmi to dla mnie nieco naiwnie.

– Nie sądzę – odparł – w gruncie rzeczy Astalsi byli dość zaawansowaną cywilizacją, ale dość głęboko mieszali religię z nauką. Myśleli, że różne kolory są wskaźnikami różnego losu, i bardzo starannie opisywali znaczenie świateł i barw. Przecież to od nich pochodzą nasze najlepsze pomysły, jak świat mógł wyglądać przed Wstąpieniem. Mieli skalę kolorów i używali jej do opisywania nieba jako ciemnobłękitnego, a roślin jako rozmaitych odcieni zieleni.

Niezależnie od tego, uważam, że ich filozofie dotyczące szczęścia i fortuny są światłe. Dla nich złe życie to tylko oczekiwanie na przyjście fortuny. Mogłoby ci to pasować, panienko. Mogłabyś skorzystać ze świadomości, że nie zawsze musisz mieć pecha.

– Nie wiem – odparła Vin. – Zatem, jeśli nasz pech jest ograniczony, to czy szczęście też? Za każdym razem, kiedy zdarza mi się coś dobrego, boję się, że je zużywam.

– Hm. Podejrzewam, że to zależy od punktu widzenia, panienko.

– Jak możesz być takim optymistą? – zapytała. – Wy obaj, ty i Kelsier.

– Nie wiem, panienko – odrzekł. – Może nasze życie było łatwiejsze od twojego. A może po prostu jesteśmy bardziej szaleni.

Vin zamilkła. Szli tak jeszcze przez chwilę, zdążając w stronę budynku, ale nie przyspieszając kroku.

– Sazedzie – zapytała nagle Vin. – Wtedy, w deszczu, kiedy mnie uratowałeś, korzystałeś z Feruchemii, prawda?

Sazed skinął głową.

– Istotnie. Inkwizytor bardzo się na tobie skoncentrował, więc byłem w stanie zakraść się od tyłu i uderzyłem go kamieniem. Stałem się wielokrotnie silniejszy od zwykłego człowieka. Podejrzewam, że kiedy mój cios rzucił nim o ścianę, trzasnęło kilka kości.

– I to wszystko?

– Wydajesz się rozczarowana, panienko – odparł z uśmiechem. – Oczekiwałaś czegoś bardziej spektakularnego?

Vin skinęła głową.

– Chodzi o to... że tak mało mówisz na temat Feruchemii. To chyba sprawia, że wydaje się mistyczna.

– Naprawdę nic się przed tobą nie ukryje, panienko. – Westchnął. – Prawdziwie unikalnej potęgi Feruchemii, charakteryzującej się zdolnością do magazynowania i odtwarzania wspomnień, już się domyśliłaś. Reszta umiejętności tak naprawdę niewiele się różni od możliwości oferowanych ci przez cynę, czystą lub z ołowiem. Kilka jest nieco bardziej niezwykłych – Feruchemik może stać się cięższy lub się postarzeć – ale nie oferują one szczególnych możliwości taktycznych.

– Wiek? – zdziwiła się. – Można sprawić, że jest się młodszym?

– Nie naprawdę, panienko – odparł Sazed. – Pamiętaj, że Feruchemik korzysta z zasobów własnego ciała. Może na przykład spędzić kilka tygodni postarzały do tego stopnia, że będzie wyglądał na starszego o dziesięć lat, po czym może pobrać ten wiek i stać się o dziesięć lat młodszy przez tyle samo czasu. Jednakże w Feruchemii zawsze musi panować równowaga.

Vin zastanawiała się przez chwilę.

– Czy metal, którego używacie, ma jakieś znaczenie? – zapytała. – Jak w Allomancji?

– Z całą pewnością – odparł. – Metal określa, co w nim może zostać przechowane.

Vin skinęła głową i szła dalej, myśląc o tym, co usłyszała.

– Sazedzie, czy mogę dostać kawałek twojego metalu? – zapytała nagle.

– Mojego metalu, panienko?

– Czegoś, co używałeś jako magazynu feruchemicznego – odparła. – Chcę spróbować go spalić... może pozwoli mi to użyć nieco jego siły.

Sazed zmarszczył brwi.

– Czy ktoś już tego próbował?

– Jestem pewien, że ktoś musiał – odparł Sazed. – Ale nie przychodzi mi do głowy nic konkretnego. Może powinienem przeszukać moje miedziomyśli...

– A dlaczego nie miałabym spróbować teraz? – zapytała. – Masz może coś zrobionego z jakiegokolwiek podstawowego metalu? Coś, w czym nie przechowujesz niczego ważnego.

Sazed zatrzymał się i sięgnął do płatka ucha. Odpiął kolczyk, bardzo podobny do kolczyka Vin, i podał jej maleńką zatyczkę.

– To czysta cyna z ołowiem, panienko. Zmagazynowałem tam niewielką ilość siły.

Vin skinęła głową i przełknęła zatyczkę. Dotknęła swojej allomantycznej rezerwy, ale metal z kolczyka nie wydawał się odmienny. Ostrożnie zaczęła go spalać.

– I co? – zapytał Sazed.

Pokręciła głową.

– Nie. To nie... – Urwała. Było tam coś. Coś innego.

– Co takiego, panienko? – zapytał Sazed z niezwykłą u niego skwapliwością.

– Ja... czuję moc, Saze. Jest słaba... daleko poza moim zasięgiem, ale przysięgam, że jest we mnie jeszcze jedna rezerwa, którą widzę tylko wtedy, kiedy palę twój metal.

Sazed zmarszczył brwi.

– Mówisz, że jest słaba? Jakbyś... widziała cień rezerwy, ale nie możesz dosięgnąć samej mocy?

Vin skinęła głową.

– Skąd wiesz?

– Tak samo się czujesz, kiedy próbujesz używać metalu innego Feruchemika, panienko – odparł z westchnieniem. – Powinienem był się domyślić, że taki będzie efekt. Nie możesz dotrzeć do mocy, która do ciebie nie należy.

– Och – szepnęła.

– Nie bądź rozczarowana, panienko. Gdyby Allomanci mogli kraść siłę od mojego ludu, już byłoby o tym głośno. Ale pomysł był ciekawy. – Odwrócił się i wskazał na dom. – Powóz już zajechał. I tak jesteśmy spóźnieni na spotkanie.

***

Zabawne, pomyślał Kelsier, wślizgując się na ciemny dziedziniec przed posesją Renoux. Muszę się zakradać do własnego domu, jakbym atakował dwór jakiegoś szlachcica.

Jednakże nie mógł tego uniknąć... nie przy jego reputacji. Kelsier złodziej był już wystarczająco charakterystyczny, ale Kelsier przywódca rebelii i duchowy przywódca skaa był jeszcze sławniejszy. Oczywiście, to nie przeszkadzało mu rozsiewać nocnego chaosu – musiał być tylko trochę

ostrożniejszy. Coraz więcej rodzin opuszczało miasto i potężne rody dostawały coraz większej paranoi. W pewnym stopniu ułatwiało to manipulację nimi – ale kręcenie się w okolicach ich twierdz zaczynało być naprawdę niebezpieczne.

W porównaniu z nimi zamek Renoux był prawie niezabezpieczony. Oczywiście byli tu strażnicy, ale bez Mglistych. Renoux musiał udawać skromnego, zbyt wielu Allomantów mogłoby go wyróżnić. Kelsier trzymał się cienia, ostrożnie przedzierając się na wschodnią stronę budynku. Teraz Odepchnął się od monety i skierował na balkon pokoju Renoux.

Wylądował lekko, po czym zajrzał przez szybę. Zasłony były zaciągnięte, ale widział przez nie Docksona, Vin, Sazeda, Hama i Breeze'a stojących wokół biurka Renoux. Sam Renoux siedział na uboczu, w kącie pokoju, nie włączając się do rozmowy. Jego kontrakt obejmował odegranie roli lorda Renoux, ale nie chciał angażować się w plan ani trochę bardziej, niż musiał.

Pokręcił głową. Morderca mógłby tu wejść aż za łatwo. Muszę przypilnować, żeby Vin spała w sklepie Clubsa. O Renoux się nie martwił – natura kandry była taka, że nie musiał obawiać się ostrza zabójcy.

Kelsier lekko zastukał w drzwi i Dockson podszedł, żeby je otworzyć.

– I tak wygląda jego oszałamiające wejście! – zawołał Kelsier, wchodząc do pokoju i odrzucając w tył mgielny płaszcz.

Dockson prychnął i zamknął balkon.

– Serce rośnie, gdy się na ciebie patrzy, Kelsier. Zwłaszcza na te plamy popiołu na spodniach.

– Musiałem dzisiaj trochę popełzać – odparł Kelsier, machnąwszy lekceważąco ręką. – Jest taki nieużywany kanał ściekowy pod murem obronnym Twierdzy Lekal. Nikomu nie przyszło do głowy go zamknąć.

– Wątpię, żeby tego potrzebowali – odparł zza biurka Breeze. – Większość Zrodzonych jest prawdopodobnie zbyt zarozumiała, żeby pełzać. Dziwię się, że ty się na to zdobyłeś.

– Zbyt zarozumiały, by pełzać? – zapytał Kelsier. – Nonsens! Powiedziałbym, że Zrodzeni szczycą się tym, że nie są dość pokorni, by pełzać, oczywiście w dystyngowany sposób.

Dockson zmarszczył brwi i podszedł do biurka.

– Kell, to nie ma sensu.

– My, Zrodzeni, nie potrzebujemy sensu – dumnie odparł Kelsier. – Co to jest?

– Od twojego brata – rzekł Dockson, wskazując na dużą mapę, rozłożoną na biurku. – Przybyła dzisiaj po południu w wydrążonej nodze od stołu, którego naprawę Kanton Ortodoksów zamówił u Clubsa.

– Interesujące – rzekł Kelsier, spoglądając na mapę. – To lista stacji Uspokajania, jak sądzę.

– Istotnie – odparł Breeze. – To wielkie odkrycie... nigdy nie widziałem tak dokładnej, starannie nakreślonej mapy miasta. Patrzcie, nie dość, że pokazuje każdą z trzydziestu czterech stacji Uspokajania, to także lokalizację działań Inkwizytorów oraz miejsca, którymi interesują się rozmaite Kantony. Nie miałem okazji rozmawiać zbyt często z twoim bratem, ale to po prostu geniusz!

– Trudno uwierzyć, że jest spokrewniony z Kellem, prawda? – zapytał z uśmiechem Dockson. Miał przed sobą notatnik i właśnie spisywał wszystkie stacje.

Kelsier prychnął.

– Marsh może i jest geniuszem, ale ja jestem przystojniejszy. Co to za liczby?

– Najazdy Inkwizytorów i daty – odparł Ham. – Zauważ, że dom szajki Vin jest na liście.

Kelsier skinął głową.

– Jak Marsh zdołał ukraść taką mapę?

– Nie ukradł – odparł Dockson, nie przestając pisać. – Zdaje się, że wielcy prelani dali mu ją. Byli naprawdę pod wrażeniem Marsha i chcieli, żeby rozejrzał się po mieście i zaproponował lokalizację nowych stacji Uspokajania. Wydaje się, że Zakon trochę się martwi wojną rodów, skoro wysyła dodatkowych Uspokajaczy, aby przejęli kontrolę na sytuacją.

– Mamy przesłać tę mapę z powrotem w tej samej nodze naprawionego stołu – zauważył Sazed. – Jak już skończymy dziś wieczorem, postaram się skopiować ją możliwie najszybciej.

I przy okazji zapamiętać, czyniąc ją tym samym częścią zasobów każdego Opiekuna, pomyślał Kelsier. Dzień, w którym przestaniesz zapamiętywać i zaczniesz nauczać, jest już bliski, Saze. Mam nadzieję, że twój lud będzie gotowy.

Kelsier odwrócił się i popatrzył na mapę. Była imponująca. Istotnie, Marsh musiał podjąć ogromne ryzyko, by ją wysłać. Może to było wręcz szaleństwo... ale jakie zawierała informacje...

Musimy ją szybko zwrócić, pomyślał Kelsier. Jeśli to możliwe, nawet jutro rano.

– Co to jest? – zapytała cicho Vin, sięgając nad mapą i wskazując palcem. Miała na sobie suknię szlachcianki, jednoczęściową, ale niewiele mniej ozdobną niż suknia balowa.

Kelsier się uśmiechnął. Pamiętał chwile, kiedy Vin wyglądała w sukni bardzo niezgrabnie, ale zdaje się, że teraz lubiła je coraz bardziej. Jeszcze nie poruszała się dokładnie tak, jak szlachetnie urodzona dama. Miała wiele wdzięku, ale był to pełen zwinności wdzięk drapieżnika, nie leniwa gracja damy dworu. Teraz jednak sukienki bardziej jej pasowały – w sposób, który nie miał nic wspólnego z krojem.

Ach, Mare, pomyślał Kelsier. Zawsze chciałaś mieć córkę, którą mogłabyś uczyć przekraczać granicę pomiędzy damą a złodziejką. Polubiłyby się, obie miały ten ukryty rys niekonwencjonalności. Może, gdyby jego żona nadal żyła, nauczyłaby Vin, jak udawać damę, oraz paru innych rzeczy, o których Sazed nie wiedział.

Oczywiście, gdyby Mare żyła, nie robiłbym tego. Nie odważyłbym się.

– Patrzcie! – zawołała Vin. – Jedna z tych dat Inkwizytorów jest nowa... wczorajsza!

Dockson spojrzał na Kelsiera.

I tak musielibyśmy jej to kiedyś powiedzieć...

– To była szajka Therona – odparł Kelsier. – Inkwizytor dopadł ich wczoraj wieczorem.

Vin pobladła.

– Powinienem znać to nazwisko? – zapytał Ham.

– Szajka Therona była częścią grupy, która próbowała oszukać Zakon wraz z Camonem – wyjaśniła Vin. – A to oznacza... że wciąż mają mój ślad.

Inkwizytor rozpoznał ją tamtej nocy, kiedy wdarli się do pałacu. Chciał wiedzieć, kto jest jej ojcem. Jakie to szczęście, że te nieludzkie istoty mają zły wpływ na humor szlachty, inaczej musieliby się obawiać wysyłania jej na bale.

– Szajka Therona... – mruknęła. – Czy... tak samo, jak ostatnio?

Dockson skinął głową.

– Nikt nie ocalał.

Nastało nieprzyjemne milczenie. Vin zrobiło się niedobrze.

Biedna mała, pomyślał Kelsier. Teraz jednak nie mogli zrobić nic innego, jak tylko przeć naprzód.

– Dobrze. Jak wykorzystamy tę mapę?

– Zawiera pewne informacje Zakonu o obronie twierdz – powiedział Ham. – To nam się przyda.

– Nie widzę jednak żadnej prawidłowości w napaściach Inkwizytorów – zauważył Breeze. – Prawdopodobnie idą tam, gdzie mają informacje.

– Będziemy chcieli trzymać się z dala od aktywnych stacji Uspokajania – stwierdził Dox, opuszczając pióro. – Na szczęście sklep Clubsa nie znajduje się w pobliżu żadnej z określonych tu stacji, większość jest w slumsach.

– Musimy zrobić coś więcej, niż tylko unikać stacji – odparł Kelsier. – Musimy być gotowi je zniszczyć.

Breeze zmarszczył brwi.

– Jeśli to zrobimy, ryzyko będzie ogromne.

– Ale pomyśl, jakich szkód narobimy. Marsh powiedział, że na każdej z tych stacji jest co najmniej trzech Uspokajaczy i jeden Szperacz. To już jest stu trzydziestu Mglistych Zakonu. Musieli ich werbować w całym Środkowym Dominium, żeby zebrać taką liczbę. Jeśli zlikwidowalibyśmy wszystkich naraz...

– Nigdy nie będziemy w stanie zabić tylu – odparł Dockson.

– Możemy, jeśli wykorzystamy resztki naszej armii – wtrącił Ham. – Mamy ludzi poukrywanych w slumsach.

– A ja mam lepszy pomysł – rzekł Kelsier. – Możemy wynająć inne szajki. Jeśli będziemy mieć dziesięć grup i każdej przydzielimy do likwidacji trzy stacje, pozbędziemy się z miasta wszystkich Uspokajaczy i Szperaczy Zakonu w ciągu paru godzin.

– Musimy jednak przedyskutować synchronizację w czasie – zauważył Dockson. – Breeze ma rację, zabicie tylu obligatorów w jeden wieczór oznacza podjęcie ważnego zobowiązania. Inkwizytorzy nie będą czekali z rewanżem.

Kelsier skinął głową. Masz rację, Dox. Czas jest najważniejszy.

– Zajmiecie się tym? Znajdźcie odpowiednie grupy, ale czekajcie, dopóki nie zdecydujemy się na moment, w którym możemy im przekazać

lokalizację stacji Uspokajania.

Dockson skinął głową.

– Dobrze – rzekł Kelsier. – A skoro już mówimy o żołnierzach, jak wam idzie?

– Właściwie to lepiej, niż się spodziewałem – rzekł Ham. – W jaskiniach przeszli już szkolenie, więc są dość kompetentni. I uważają się za „najwierniejszy” segment armii, ponieważ nie podążyli za Yedenem do walki wbrew twojej woli.

Breeze prychnął.

– To wygodny sposób spoglądania wstecz na fakt, że stracono trzy czwarte armii w taktycznym bałaganie.

– To dobrzy ludzie, Breeze – powiedział stanowczym tonem Ham. – Podobnie jak ci, którzy zginęli. Nie mów o nich źle. Poza tym martwię się takim ukrywaniem armii, jak to teraz robimy. Nie potrwa długo, aż ktoś odkryje oddziały.

– Właśnie dlatego żaden nie wie, gdzie znajdują się pozostałe – odparł Kelsier.

– Chcę powiedzieć coś na temat mężczyzn. – Breeze usadowił się na jednym z krzeseł wokół biurka Renoux. – Wiem, że to ważne, by wysłać Hammonda do szkolenia żołnierzy... Ale powiedzcie uczciwie, jaki jest sens zmuszania Docksona i mnie, żebyśmy ich odwiedzali?

– Ludzie muszą wiedzieć, kto jest ich dowódcą – rzekł Kelsier. – Jeśli Ham nie będzie zdolny pełnić swoich obowiązków, ktoś musi przejąć kontrolę.

– Dlaczego nie ty? – zapytał Breeze.

– Po prostu musisz mnie znosić – odparował Kelsier. – Tak będzie najlepiej.

Breeze wywrócił oczyma.

– Znosić cię. Zdaje się, że ostatnio bardzo często to robimy.

– A przy okazji – zagadnął Kelsier – jakieś wieści o szlachcie? Dowiedzieliście się czegoś użytecznego o Rodzie Venture?

Zawahała się.

– Nie.

– Ale bal w przyszłym tygodniu odbędzie się w Twierdzy Venture, prawda? – zapytał Dockson.

Skinęła głową.

Kelsier spojrzał uważnie na dziewczynę. Czy powiedziałaby mi, gdyby wiedziała? Spojrzała mu prosto w oczy, a on nie mógł w nich nic odczytać. Przeklęta dziewczyna! Jest zbyt doświadczonym kłamcą.

– Dobrze – odparł. – Szukaj dalej.

– Oczywiście – odrzekła.

***

Pomimo zmęczenia Kelsier nie mógł tej nocy zasnąć. Niestety, nie mógł wyjść i pospacerować po korytarzach – tylko niektórzy służący wiedzieli, że był w zamku, a teraz, kiedy jego reputacja dopiero się tworzyła, musiał zachowywać dyskrecję.

Jego reputacja. Westchnął i oparł się o poręcz balkonu, obserwując mgły. W pewnym sensie to, co robił, martwiło i jego samego. Inni nie kwestionowali go otwarcie, ale wyczuwał, że przeszkadza im jego rosnąca popularność.

To najlepszy sposób. Mogę nie potrzebować tego wszystkiego... ale jeśli jednak będę zadowolony, że zadałem sobie ten trud.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi. Obejrzał się, zaciekawiony, i ujrzał Sazeda, który wsadził głowę do pokoju.

– Przepraszam, mistrzu Kelsier – rzekł – ale przyszedł do mnie strażnik i powiedział, że widzi pana na balkonie. Obawiał się, że się pan zdradzi.

Kelsier westchnął, ale opuścił balkon, starannie zamykając drzwi i zasłaniając kotary.

– Nie nadaję się do anonimowości, Saze. Jak na złodzieja, jestem kiepski w ukrywaniu się.

Sazed uśmiechnął się i chciał odejść.

– Sazed! – zawołał Kelsier. – Nie mogę spać. Masz dla mnie nową ofertę?

Sazed uśmiechnął się szeroko i wszedł do pokoju.

– Oczywiście, mistrzu Kelsier. Ostatnio myślałem, że powinien pan usłyszeć o Prawdach Bennetów. Pasują do pana doskonale. Bennetowie byli wysoko rozwiniętym ludem, który zamieszkiwał wyspy południowe. Byli dzielnymi podróżnikami i wspaniałymi kartografami, niektóre z map, wciąż

jeszcze używane przez Ostatnie Imperium, zostały opracowane przez badaczy Bennetów.

Ich religia była tak pomyślana, by można ją było praktykować na pokładzie statków, pływających po morzu w kilkumiesięcznych rejsach. Kapitan był również kapłanem, żaden człowiek nie mógł dowodzić innymi, dopóki nie uzyskał szkolenia teologicznego.

– Chyba nie było wielu buntów.

Sazed się uśmiechnął.

– To była dobra religia, mistrzu Kelsier. Koncentrowała się na odkryciach i wiedzy – dla tych ludzi wykonywanie map było obowiązkiem i wyrazem szacunku. Wierzyli, że kiedy poznają cały świat, zrozumieją go i skatalogują, ludzkość znajdzie pokój i harmonię. Wiele religii naucza takich ideałów, ale tylko kilka zdołało wypraktykować je tak, jak Bennetowie.

Kelsier zmarszczył brwi i oparł się o ścianę obok kotary.

– Pokój i harmonia – mruknął. – Teraz nie szukam chyba ani jednego, ani drugiego, Saze.

– Aha – rzekł Sazed.

Kelsier podniósł wzrok i spojrzał w sufit.

– Czy możesz... jeszcze raz opowiedzieć mi o Valla?

– Oczywiście – odparł Sazed, przyciągając sobie krzesło zza biurka Kelsiera i sadowiąc się wygodnie. – Co dokładnie chciałbyś wiedzieć?

Kelsier pokręcił głową.

– Nie jestem pewien – odparł. – Przykro mi Saze, jestem dzisiaj w dziwnym nastroju.

– Wydaje mi się, że zawsze jesteś w dziwnym nastroju – odparł z lekkim uśmiechem Terrisanin. – Jednakże zadałeś pytanie o bardzo ciekawą sektę. Valla przetrwali pod panowaniem Ostatniego Imperatora dłużej niż jakakolwiek inna religia.

– Dlatego pytam. Muszę... zrozumieć, co utrzymywało ich tak długo, Saze. Co sprawiało, że chcieli walczyć?

– Myślę, że byli bardzo zdeterminowani.

– Ale nie mieli przywódców – stwierdził Kelsier. – Ostatni Imperator wymordował całą vallańską radę religijną w ramach swojego pierwszego podboju.

– O, mieli przywódców, mistrzu Kelsier – odparł Sazed. – Martwych, ale jednak przywódców.

– Niektórzy ludzie mówią, że ich poświęcenie nie miało sensu – rzekł Kelsier. – Strata przywódców przez Vallan powinna była ich załamać, a nie zagrzewać do dalszej walki.

Sazed pokręcił głową.

– Ludzie są odporniejsi, niż się zdaje. Nasza wiara jest często silniejsza wtedy, kiedy powinna być najsłabsza. Taka jest natura nadziei.

Kelsier skinął głową.

– Czy chcesz wiedzieć coś więcej o Valla?

– Nie. Dzięki, Saze. Musiałem tylko sobie przypomnieć, że byli ludzie, którzy walczyli nawet wówczas, gdy wszystko wyglądało beznadziejnie.

Sazed skinął głową i wstał.

– Chyba rozumiem, mistrzu Kelsier. Dobranoc.

Kelsier skinął Terrisaninowi głową.

Większość Terrisan nie jest taka, jak Rashek. Czuję jednak, że do pewnego stopnia mu wierzą. To prości ludzie, nie filozofowie, nie naukowcy, nie rozumieją zatem, że ich własne proroctwa mówią o Bohaterze Wieków, który będzie przybyszem. Widzą tylko to, co pokazuje im Rashek – że są wyraźnie wyższą rasą i powinni raczej „dominować", a nie służyć.

W obliczu takiej nienawiści i pasji nawet dobrzy ludzie są w stanie dać się zwieść.

30

Vin musiała wrócić do sali balowej, aby przypomnieć sobie, co to znaczy prawdziwy majestat.

Odwiedziła tak wiele zamków, że przestała reagować na wspaniałość. W Twierdzy Venture było jednak coś szczególnego – coś, do czego dążyły inne zamki, ale nigdy tego nie osiągały. Tak jakby Venture był rodzicem, a pozostali dobrze wychowanymi dziećmi. Wszystkie twierdze były piękne, ale nie dało się stwierdzić, która jest najpiękniejsza.

Ogromna sala Venture, okolona rzędami potężnych filarów po każdej stronie, wydawała się nawet jeszcze wspanialsza niż zwykle. Vin nie mogła

zrozumieć dlaczego. Myślała o tym, czekając, aż służący zabierze jej szal. Za witrażowymi oknami lśniły zwykłe światła wapienne, zalewając pomieszczenie świetlnymi iskrami. Stół lorda, ustawiony na balkonie, na samym końcu holu, wyglądał po królewsku – jak zwykle.

Jest... wręcz zbyt doskonały, pomyślała. Wszystko wydawało się odrobinę przesadzone. Obrusy były jeszcze bielsze i staranniej wyprasowane niż zwykle. Liberie służby wydawały się wyjątkowo eleganckie. Zamiast zwykłych żołnierzy przy drzwiach stali mgłobójcy, umyślnie imponujący, wyróżniający się drewnianymi tarczami i brakiem zbroi. Wszystko wyglądało tak, jakby nawet zwykła perfekcja Venture'ów została podwojona.

– Coś jest nie tak, Sazedzie – szepnęła, kiedy służący oddalił się, by przygotować jej stół.

– Co masz na myśli, panienko?

– Jest zbyt wielu ludzi – stwierdziła, nagle zdając sobie sprawę, co ją dręczyło. W ciągu ostatnich kilku miesięcy w balach uczestniczyło coraz mniej ludzi. Jednakże dzisiaj wydawało się, że wszyscy wrócili, by uczestniczyć w przyjęciu Venture. I wszyscy wyglądali doskonale. – Coś się dzieje – dodała cicho Vin. – Coś, o czym nie wiemy.

– Nie... – mruknął Sazed. – Też to czuję. Może powinienem wcześniej pójść na kolację służby.

– Dobry pomysł – odparła. – Myślę, że ja dzisiaj opuszczę posiłek. Jesteśmy spóźnieni i widzę, że ludzie już zaczęli rozmowy.

Sazed się uśmiechnął.

– Co? – zapytała Vin.

– Pamiętam czasy, kiedy nigdy nie opuszczałaś posiłków, panienko.

– Ciesz się, że nigdy nie próbowałam chować po kieszeniach jedzenia z tych bali, bo, wierz mi, miałam ochotę. A teraz zmykaj.

Sazed skinął głową i ruszył na kolację służby. Vin powiodła wzrokiem po rozmawiających grupach. Na szczęście ani śladu Shan, pomyślała. Niestety, Kliss także nie było w zasięgu wzroku, więc Vin musiała znaleźć kogo innego, żeby posłuchać plotek. Ruszyła przed siebie, uśmiechając się do lorda Idrena Seerisa, kuzyna Rodu Elariel, z którym wielokrotnie tańczyła. Odpowiedział jej sztywnym ukłonem i Vin przyłączyła się do grupy.

Uśmiechnęła się do pozostałych rozmówców – trzech kobiet i jeszcze jednego lorda. Znała ich co najmniej przelotnie, a z lordem Yestalem też kiedyś tańczyła. Dzisiaj jednak wszyscy obdarzyli ją chłodnymi spojrzeniami.

– Nie bywałam w Twierdzy Venture od jakiegoś czasu – odezwała się Vin, wchodząc w rolę wiejskiej dziewczyny. – Zapomniałam już, jaka jest majestatyczna!

– Istotnie – odparła jedna z dam. – Wybaczcie, przyniosę sobie coś do picia.

– Pójdę z tobą – dodała jej towarzyszka i obie odeszły.

Vin obserwowała je z marsem na czole.

– Ach – rzekł Yestal. – Oto i nasz posiłek. Idziesz, Triss?

– Oczywiście – odparła ostatnia z dam, dołączyła do Yestala i oboje odeszli.

Idren poprawił okulary, rzucając Vin przepraszające spojrzenie, po czym się wycofał. Vin stała, oszołomiona. Nie miała okazji spotkać się z tak wyraźnie zimnym przyjęciem od pierwszych pięciu bali.

Co się dzieje? – myślała z coraz większym niepokojem. Czy to robota Shan? Czy mogła całą pełną ludzi salę zwrócić przeciwko mnie?

Nie, to się wydawało niemożliwe. Wymagałoby zbyt wielkiego wysiłku. Dodatkowo, ta dziwna atmosfera nie dotyczyła wyłącznie jej. Wszystkie grupy szlachty były dzisiaj... inne.

Spróbowała zbliżyć się do drugiej grupy, z jeszcze gorszym wynikiem. Zaledwie podeszła, wszyscy ją zignorowali. Poczuła się tak wyobcowana, że czym prędzej pobiegła po kieliszek wina. Idąc, zauważyła, że pierwsza grupa, ta z Yestalem i Idrenem, ponownie zeszła się w tym samym składzie.

Vin przystanęła tuż na skraju cienia wschodniego nawisu i obserwowała tłum. Niewiele osób tańczyło. Wydawało się, że grupy i stoły nie mieszają się między sobą. Sala balowa była pełna, ale wyglądało na to, że wszyscy starają się wzajemnie siebie ignorować.

Muszę się temu lepiej przyjrzeć, pomyślała, podchodząc do schodów. Kilka chwil później znalazła się na długim, podobnym do korytarza balkonie, wpuszczonym w ścianę nad salą balową, Znajome światło błękitnych latarni nadawało kamieniowi łagodną barwę.

Zatrzymała się. Kryjówka Elenda znajdowała się pomiędzy ostatnią kolumną z prawej a ścianą, dobrze oświetlona przez pojedynczą latarnię.

Prawie zawsze spędzał bale Venture na lekturze właśnie tutaj. Nie lubił pompy i ceremonii, wynikających z roli gospodarza przyjęcia.

Teraz jednak nisza była pusta. Vin podeszła do poręczy, po czym wychyliła się, żeby spojrzeć w odległy koniec holu. Stół gospodarzy znajdował się na wysuniętej platformie na tym samym poziomie co balkony i wstrząśnięta Vin stwierdziła, że Elend siedzi tam i je kolację z ojcem.

Co?! – pomyślała z niedowierzaniem.

Na żadnym z pół tuzina bali, w jakich uczestniczyła w Twierdzy Venture, ani razu nie widziała Elenda siedzącego z rodziną.

W dole dostrzegła przeciskającą się przez tłum znajomą postać odzianą w barwną szatę. Pomachała Sazedowi, ale on już ją zauważył. Czekając na niego, odniosła wrażenie, że słyszy znajomy głos na drugim końcu balkonu. Obejrzała się i zobaczyła niską postać, której wcześniej nigdzie nie mogła dostrzec. Kliss była pogrążona w rozmowie z kilkoma niższej rangi lordami.

Więc tu się zgubiła Kliss, pomyślała Vin. Może ona ze mną porozmawia.

Wstała, czekając, aż Kliss skończy rozmowę albo zjawi się Sazed.

Sazed zjawił się pierwszy. Wyszedł z klatki schodowej, dysząc ciężko.

– Panienko – rzekł cicho, podchodząc do niej i stając przy barierce.

– Powiedz, że coś odkryłeś, Sazedzie. Ten bal jest... upiorny. Wszyscy są tacy poważni i zimni. Prawie jak pogrzeb, a nie bal.

– Doskonała metafora, panienko – rzekł cicho Sazed. – Spóźniliśmy się na ważne ogłoszenie. Ród Hasting oznajmił, że w przyszłym tygodniu nie będzie wydawał balu.

Vin zmarszczyła brwi.

– I co z tego? Rody już wcześniej odwoływały bale.

– Ród Elariel też odwołał. Normalnie kolejny byłby Tekiel, ale ten ród nie istnieje. Ród Shunakh oznajmił, że w ogóle nie będzie wydawał bali.

– Co ty mówisz?

– Zdaje się, panienko, że to ostatni bal na długi czas... może bardzo długi.

Vin spojrzała w przepiękne okna holu i stojące pod nimi niezależne – prawie wrogie – grupy ludzi.

– Już widzę, co się dzieje – mruknęła. – Finalizują sojusze. Wszyscy stoją ze swoimi najsilniejszymi sprzymierzeńcami i poplecznikami. Wiedzą,

że to ostatni bal, więc wszyscy przyszli się pokazać, ale wiedzą, że już nie ma czasu na politykę.

– Tak się zdaje, panienko.

– Będą teraz bardzo ostrożni – odparła. – Schowają się za swoimi murami. Dlatego nikt nie chce ze mną rozmawiać. Stworzyliśmy z Renoux zbyt neutralną siłę. Nie mam frakcji, a to zła pora, żeby stawiać na przypadkowe elementy polityczne.

– Mistrz Kelsier musi się o tym dowiedzieć, panienko – rzekł Sazed. – Planował znów być dzisiaj informatorem. Jeśli nie będzie wiedział o tej sytuacji, zaszkodzi to jego wiarygodności. Musimy wyjść.

– Nie – odparła, spoglądając na niego. – Nie mogę iść... nie kiedy wszyscy zostają. Uważali, że to ważne, by przyjść na ostatni bal i pokazać się, więc nie mogę wyjść, dopóki oni nie zaczną tego robić.

Sazed skinął głową.

– Bardzo dobrze.

– Idź, Sazedzie. Wynajmij powóz i jedź powiedzieć Kellowi, czego się dowiedzieliśmy. Zostanę jeszcze chwilę, wyjdę tak, aby nie sprawiać wrażenia, że Ród Renoux jest słaby.

Sazed się zawahał.

– Ja.... Nie wiem, panienko.

Wzniosła oczy.

– Dziękuję za twoją pomoc, ale nie musisz przez cały czas trzymać mnie za rękę. Wielu ludzi przychodzi na te bale bez lokajów, którzy by ich pilnowali.

Westchnął.

– Dobrze, panienko. Po rozmowie z mistrzem Kelsierem wrócę tu po ciebie.

Pokiwała głową i pożegnała się z nim. Sazed skierował się na kamienne schody. Vin oparła się o barierkę w miejscu, gdzie zwykle stawał Elend, i obserwowała Sazeda, dopóki nie znikł we frontowej bramie.

Co teraz? Nawet jeśli znajdę kogoś, z kim zdołam porozmawiać, i tak nie ma sensu rozsiewać plotek.

Ogarnęło ją przerażenie. Kto by pomyślał, że tak jej się spodoba szlachecka swawola? Doświadczenie to mąciła świadomość, do czego mogło się posunąć wielu szlachciców, ale i tak było ono nacechowane... radością jak ze snu.

Czy kiedykolwiek znów będzie uczestniczyła w balach? Co się stanie z Valette-szlachcianką? Czy odłoży suknie i makijaże, zostając Vin, uliczną złodziejką? W nowym królestwie Kelsiera na pewno nie będzie miejsca na bale. To niekoniecznie musi być złe... jakie ma prawo tańczyć, kiedy skaa głodują? Ale... odnosiła wrażenie, że bez zamków, tancerzy, sukien i świętowania świat straci coś bardzo pięknego.

Westchnęła, odchylając się w tył i spojrzała na swą suknię. Była z połyskującego materiału, głębokiej, granatowej barwy, z białymi kołowymi aplikacjami naszytymi u rąbka spódnicy. Nie miała rękawów, ale długie, niebieskie jedwabne rękawiczki sięgały powyżej łokci.

Kiedyś uważałaby, że jest irytująco szeroka i niewygodna. Teraz wydała jej się bardzo twarzowa. Podobał jej się krój, który podkreślał pełne piersi i akcentował smukłą talię. Suknia pięknie rozszerzała się od pasa w dół, powoli rozkładając się w szeroki dzwon, który szeleścił przy każdym kroku.

Będzie jej tego brakowało... bardzo. Ale Sazed ma rację. Nie można zatrzymać upływu czasu, może jedynie cieszyć się chwilą.

Odwróciła się i ruszyła wzdłuż balkonu, po drodze skinęła głową Kliss. Balkon kończył się korytarzem, który zakręcał i – jak słusznie przypuszczała – prowadził do tarasu, na którym znajdował się stół gospodarza.

Stała przez chwilę w korytarzu, wyglądając na zewnątrz. Lordowie i damy w królewskich szatach siedzieli skąpani w przywileju dzielenia stołu z lordem Straffem Venture. Vin czekała, próbując zwrócić uwagę Elenda. Wreszcie któryś z gości spostrzegł ją i trącił młodzieńca. Ten odwrócił się, ujrzał Vin i zarumienił się lekko.

Skinęła mu ręką i Elend wstał, przepraszając obecnych. Vin cofnęła się do korytarza, żeby mogli spokojnie porozmawiać.

– Elend! – szepnęła, kiedy wszedł za nią. – Siedzisz z ojcem!

Skinął głową.

– Ten bal okazał się szczególnym wydarzeniem, Valette, i mój ojciec nalega, bym przestrzegał protokołu.

– Kiedy będziemy mieli czas porozmawiać?

Zawahał się.

– Na pewno go znajdziemy.

Zmarszczyła czoło. Wydawał się... chłodny. Jego zwykły, nieco znoszony i wymięty strój został zastąpiony eleganckim i dopasowanym. Nawet włosy miał uczesane.

– Elendzie? – szepnęła, podchodząc.

Uniósł dłoń, zatrzymując ją.

– Wszystko się zmieniło, Valette.

Nie, pomyślała. To się nie może zmienić, jeszcze nie!

– Wszystko? Jakie wszystko? Elendzie, o czym mówisz?

– Jestem dziedzicem rodu Venture – odparł. – Nadchodzą niebezpieczne czasy. Ród Hasting stracił dziś po południu cały konwój. W ciągu miesiąca wybuchnie wojna twierdz. To nie są sprawy, które mogę zignorować, Valette. Czas, abym przestał być ciężarem dla rodziny.

– Doskonale – odrzekła. – Ale to nie znaczy...

– Valette – wpadł jej w słowo. – Ty też jesteś ciężarem. I to wielkim. Nie będę kłamał i twierdził, że cię nigdy nie lubiłem... lubiłem i lubię nadal. Jednak od początku wiedziałem... i ty pewnie też... że między nami nie może być nic poza przelotną znajomością. Prawda jest taka, że mój ród mnie potrzebuje i... to jest ważniejsze od ciebie.

Vin pobladła.

– Ale...

Odwrócił się, żeby wrócić do stołu.

– Elendzie – szepnęła – proszę, nie odwracaj się ode mnie.

Zawahał się i obejrzał.

– Znam prawdę, Valette. Wiem, że kłamałaś, mówiąc o sobie. Nie przeszkadza mi to. Właściwie... nie jestem zły ani nawet rozczarowany. Prawdę mówiąc, spodziewałem się tego. Ty tylko... grasz. Jak my wszyscy. – Urwał, potrząsnął głową i odwrócił się. – Ja też.

– Elendzie? – Wyciągnęła do niego rękę.

– Valette, nie zmuszaj mnie, bym cię publicznie zawstydził.

Znieruchomiała, otępiała. I nagle poczuła, że jest zbyt wściekła na otępienie. Zbyt wściekła, sfrustrowana... i przerażona.

– Nie odchodź – szepnęła. – Nie zostawiaj mnie i ty.

– Przykro mi – odparł. – Ale muszę wracać do przyjaciół. Było... miło.

I odszedł.

Vin stała w ciemnym korytarzu. Czuła, że drży, i odwróciła się, by chwiejnym krokiem skierować się na balkon. Kątem oka widziała Elenda

żegnającego się z rodziną i ruszającego chwilę później w stronę części mieszkalnej twierdzy.

Nie może mi tego zrobić. Nie Elend. Nie teraz...

Jednak głos w jej głowie... prawie już zapomniany... zaczął szeptać znowu: „Oczywiście, że cię zostawił” – mówił Reen. „Oczywiście, że cię opuścił. Wszyscy cię zdradzą, Vin. Czego cię uczyłem?”.

Nie! – pomyślała. To tylko rozgrywki polityczne. Kiedy wszystko się skończy, przekonam go, żeby wrócił...

„Ja nigdy do ciebie nie wróciłem”, szeptał Reen. On też nie wróci. Głos brzmiał bardzo realnie... prawie tak, jakby Reen stał obok niej.

Oparła się o poręcz balkonu, zaciskając palce na metalowej kracie i czerpiąc z niej siłę, by wstać. Nie pozwoli mu się zniszczyć. Życie na ulicy nie było w stanie jej złamać, więc nie dopuści, by zrobił to pyszałkowaty szlachcic. Powtarzała to sobie uparcie.

Ale dlaczego to bolało o wiele bardziej niż głód... o wiele bardziej niż chłosta Camona?

– O, Valette Renoux – rozległ się głos za jej plecami.

– Kliss – odparła Vin. – Nie mam teraz... nastroju do rozmowy.

– Aha – odparła Kliss. – Więc Elend Venture jednak cię odtrącił. Nie przejmuj się, dziecko. Wkrótce dostanie to, na co zasłużył.

Vin obejrzała się, marszcząc czoło na dźwięk dziwnego tonu w głosie Kliss. Kobieta nie wydawała się sobą. Była taka... opanowana.

– Przekaż twojemu wujowi wiadomość, dobrze, słoneczko? – rzekła Kliss. – Powiedz mu, że taki człowiek jak on... bez sojuszów rodowych, może mieć problemy ze zbieraniem informacji przez kilka następnych miesięcy. Jeśli będzie potrzebował informacji, niech przyśle po mnie. Wiem mnóstwo ciekawych rzeczy.

– Jesteś informatorką! – zawołała Vin, na moment zapominając o cierpieniu. – Ale przecież jesteś...

– Głupią plotkarą? – zapytała Kliss. – Ależ tak, jestem. To fascynujące, czego można się dowiedzieć, kiedy jest się znaną dworską plotkarką. Ludzie przychodzą do ciebie, by rozpowszechniać oczywiste kłamstwa – takie jak te, które opowiadałaś mi w zeszłym tygodniu o Rodzie Hasting. Dlaczego chciałaś, żeby te wieści się rozeszły? Czy Ród Renoux chce wejść na rynek broni w czasie wojny rodów? Właściwie to... czy Renoux może być autorem ostatniego ataku na barki Hastinga?

Oczy Kliss zabłysły.

– Powiedz wujowi, że można mnie uciszyć i nie powiem co wiem... za małą opłatą.

– Przez cały czas mnie oszukiwałaś... – tępo wyszeptała Vin.

– Oczywiście, kochanie – odparła Kliss, poklepując ją po ramieniu. – Na dworze robi się to przez cały czas. Nauczysz się w końcu... jeśli przeżyjesz. A teraz bądź grzeczna i dostarcz moją wiadomość, dobrze?

Odwróciła się, a jej pstrokata, niezgrabna suknia wydała się nagle doskonałym przebraniem.

– Czekaj! – zawołała Vin. – Co powiedziałaś wcześniej o Elendzie? Dostanie to, na co zasługuje?

– Hm? – Kliss obejrzała się. – Fakt... Pytałaś o plany Shan Elariel, prawda?

Shan? – pomyślała Vin.

– Co ona planuje?

– No cóż, kochana, akurat ten sekret jest kosztowny. Mogłabym ci powiedzieć, ale co dostanę w zamian? Kobieta z nieważnego rodu, taka jak ja, musi skądś czerpać dochody...

Vin zdjęła szafirowy naszyjnik, jedyną biżuterię, jaką nosiła.

– Masz.

Kliss przyjęła klejnot z zadumaną miną.

– Hm, no cóż, bardzo ładny.

– Co wiesz? – warknęła Vin.

– Obawiam się, że młody Elend będzie jedną z pierwszych ofiar śmiertelnych z rodu Venture w czasie wojny rodów – powiedziała Kliss, wpychając naszyjnik do kieszeni w rękawie. – Szkoda, wydaje się takim miłym chłopcem. Przypuszczalnie zbyt miłym.

– Kiedy? – pytała Vin. – Gdzie? Jak?

– Tyle pytań, a tylko jeden naszyjnik – odparła leniwie Kliss.

– To wszystko, co teraz mam! – odparła szczerze Vin. Jej sakiewka zawierała tylko brązowe spinki do Odpychania Stalą.

– Ale to bardzo cenny sekret, już mówiłam – ciągnęła Kliss. – Jeśli ci powiem, moje życie...

Właśnie! – pomyślała Vin. Idiotyczne arystokratyczne gierki!

Rozpaliła cynk i mosiądz, uderzając Kliss potężną falą emocjonalnej Allomancji. Uspokoiła wszystkie uczucia kobiety poza strachem, po czym

chwyciła strach i mocno szarpnęła.

– Mów! – warknęła.

Kliss jęknęła, zachwiała się i omal nie upadła.

– Allomantka! Nic dziwnego, że Renoux sprowadził do Luthadelu tak odległą rodzinę!

– Mów! – Vin zrobiła krok w przód.

– Za późno, już mu nie pomożesz – odparła Kliss. – Nigdy nie sprzedaję takich tajemnic, jeśli jest szansa, że obrócą się przeciwko mnie!

– Mów!

– Zostanie zamordowany przez Allomantów Elarielów dzisiaj wieczorem – szepnęła Kliss. – Może już nie żyje... to się miało stać natychmiast, kiedy odejdzie od stołu. Jeśli chcesz zemsty, musisz spojrzeć również w stronę lorda Straffa Venture.

– Ojca Elenda? – spytała zaskoczona Vin.

– Oczywiście, głupi dzieciaku. Lord Venture z radością znalazłby pretekst, aby przekazać tytuł rodu swemu bratankowi. A musi jedynie zabrać paru żołnierzy z dachu wokół pokoju młodego Elenda, by zabójcy Elariel mogli się tam dostać. A skoro zabójstwo ma nastąpić w czasie jednego z tych małych filozoficznych spotkań Elenda, lord Venture przy okazji pozbędzie się Lekala i Hastinga.

Vin się obróciła.

Muszę coś z tym zrobić!

– Oczywiście – Kliss zachichotała, wstając – Lord Venture sam się trochę zdziwi. Słyszałam, że Elend ma w swoim posiadaniu parę... interesujących książek. Młody Venture powinien jednak uważać, co mówi swoim kobietom.

Vin spojrzała na uśmiechniętą Kliss. Ta mrugnęła do niej.

– Nikomu nie powiem o twojej Allomancji, dziecko. Dopilnuj tylko, żebym dostała pieniądze jutro po południu. Dama musi jeść... jak widzisz, potrzebuję tego sporo. A co do rodu Venture... no cóż, ja na twoim miejscu bym się od nich odsunęła. Zabójcy Shan narobią dzisiaj niezłego zamieszania. Nie zdziwiłabym się, gdyby pół dworu znalazło się w jego pokoju, żeby się dowiedzieć, co się dzieje. A kiedy zobaczą książki Elenda... no cóż, powiedzmy, że obligatorzy na jakiś czas bardzo intensywnie zainteresują się rodem Venture. Szkoda, że Elend już nie będzie żył... nie widzieliśmy egzekucji szlachcica od dłuższego czasu!

Pokój Elenda, myślała desperacko Vin. Tam muszą być! Odwróciła się, unosząc fałdy spódnicy, i pobiegła jak szalona wzdłuż balkonu do korytarza, który opuściła przed chwilą.

– Dokąd idziesz?! – zawołała za nią zaskoczona Kliss.

– Muszę ich powstrzymać!

Kliss się zaśmiała.

– Powiedziałam ci już, że jest za późno. Venture jest bardzo starą twierdzą, a tylne przejścia wiodące do apartamentów to prawdziwy labirynt. Jeśli nie znasz drogi, będziesz się błąkała godzinami.

Vin rozejrzała się bezradnie.

– Poza tym, dziecko – dodała Kliss, odwracając się, by odejść – czy ten chłopak właśnie cię nie odtrącił? Co mu jesteś winna?

Vin się zawahała.

Ona ma rację. Co ja mu jestem winna?

Odpowiedź przyszła natychmiast. Kocham go.

Wraz z odpowiedzią przyszła siła. Vin pobiegła, ścigana śmiechem Kliss. Musiała spróbować. Weszła do korytarza i ruszyła w stronę tylnych korytarzy. Słowa Kliss jednak szybko okazały się prawdą. Ciemne, kamienne pasaże były pozbawione ozdób i wąskie. Nigdy nie dotrze na czas.

Dach, pomyślała. Pokoje Elenda będą miały zewnętrzne balkony. Potrzebuję okna!

Pobiegła w głąb przejścia, zdejmując po drodze buty i pończochy. Suknia przeszkadzała jej w biegu. Szukała jakiegokolwiek okna dość dużego, by się w nim zmieścić. Nagle wyskoczyła na szerszy korytarz, całkiem pusty, oświetlony migoczącym światłem pochodni.

W głębi wznosiło się ogromne, lawendowe okno.

Wystarczy, pomyślała i rozjarzając stal rzuciła się w powietrze, Odpychając się od masywnych żelaznych drzwi za plecami. Przez chwilę leciała, po czym Pchnęła potężnie żelazne mocowania różowego okna.

Zawisła w powietrzu, Odpychając w przód i w tył jednocześnie. Napięła się, wisząc w pustym korytarzu, rozjarzając cynę z ołowiem, żeby się nie dać zmiażdżyć. Okno było olbrzymie, ale głównie ze szkła. Jak może być mocne?

Bardzo mocne. Vin stęknęła z wysiłku. Usłyszała za sobą trzask i drzwi zaczęły wykrzywiać się w zawiasach.

Musisz... ustąpić! Pomyślała, rozjarzając stal. Wokół okna zawirowały odłamki kamienia.

I nagle z potwornym trzaskiem okno wyskoczyło z kamiennej ściany. Spadło w mrok nocy, a Vin wystrzeliła w ślad za nim.

Otuliły ją zimne mgły. Przyciągnęła się z lekka do drzwi, by nie odlecieć za daleko, po czym mocno Pchnęła spadające okno. Gigantyczna masa ciemnego szkła runęła w dół, a Vin uniosła się w przeciwną stronę. Prosto w górę, w kierunku dachu.

Okno uderzyło o ziemię w tym samym momencie, kiedy Vin przeleciała przez krawędź dachu. Jej suknia wściekle łopotała na wietrze. Z głuchym łupnięciem wylądowała na pokrytym brązową blachą dachu i przykucnęła. Metal był zimny pod jej stopami i dłońmi.

Rozjarzyła się cyna, rozjaśniając noc. Vin nie widziała nic niezwykłego.

Zapaliła brąz, używając go tak, jak jej mówił Marsh, szukając znaków Allomancji. Nie było. Zabójcy mieli ze sobą Dymiarza.

Nie mogę przecież przeszukać całego budynku! – pomyślała z desperacją, rozjarzając brąz. Gdzież oni są?

Nagle ku swemu wielkiemu zdumieniu odniosła wrażenie, że coś czuje. Impuls allomantyczny w nocy. Słaby. Ukryty. Ale to wystarczyło.

Wstała i pobiegła wzdłuż dachu, ufając swoim instynktom. Biegnąc, rozjarzyła cynę z ołowiem i chwyciła za dekolt swą suknię, po czym rozdarła ją wzdłuż jednym ostrym szarpnięciem. Wyrwała z ukrytej kieszeni sakiewkę z monetami i fiolki z metalami, po czym, wciąż biegnąc, zerwała z siebie suknię, halkę i połączone z nią pantalony i odrzuciła na bok. W ślad za nimi poszły gorset i rękawiczki. Pod spodem miała cienką koszulkę bez rękawów i białe szorty.

Biegła jak szalona. Nie mogę się przecież spóźnić, myślała. Błagam, niech nie będzie za późno!

We mgle przed nią nagle ukazały się sylwetki. Stali obok nachylonego świetlika w dachu. Biegnąc, Vin minęła kilka takich. Jedna z postaci wskazywała na coś w okienku, w dłoni błyszczała jej broń.

Vin krzyknęła. Odepchnęła się od brązowego dachu długim łukiem. Wylądowała w samym środku grupy ludzi. Uniosła sakiewkę, rozdzierając ją na pół.

Monety rozsypały się w powietrzu, odbijając światło od okna w dole. Kiedy błyszczący deszcz metalu zaczął opadać, Pchnęła.

Monety odskoczyły od niej jak rój owadów. Każda pozostawiała po sobie ślad we mgle. Postaci zaczęły krzyczeć, kiedy monety darły ich ciała. Kilka ciemnych sylwetek upadło.

Pozostali jednak trzymali się na nogach. Niektóre monety odskoczyły, Odepchnięte niewidzialnymi allomantycznymi dłońmi. Na nogach pozostały cztery osoby, dwie z nich nosiły mgielne płaszcze. Jedna była znajoma.

Shan Elariel.

Mógł istnieć tylko jeden powód, dla którego kobieta tak dostojna jak ona mogła dołączyć do grupy zabójców. Była Zrodzona z Mgły.

– Ty? – zapytała wstrząśnięta Shan. Miała na sobie czarny strój składający się ze spodni i koszuli, ciemne włosy związała z tyłu, mgielny płaszcz wyglądał niemal stylowo.

Dwaj Zrodzeni, pomyślała Vin. Niedobrze. Odtoczyła się na bok, gdy jeden z zabójców zamachnął się na nią laską.

Zsunęła się po dachu i zatrzymała na chwilę. Sięgnęła i Pociągnęła te kilka monet, które nie umknęły w noc, ściągając je z powrotem w dłoń.

– Zabić ją – warknęła Shan.

Dwaj ludzie, których powaliła Vin, leżeli, jęcząc na dachu. Nie byli martwi, jeden już chwiejnie wstawał na nogi.

Zbiry, pomyślała Vin. Pozostali dwaj to prawdopodobnie Monetostrzelni.

Jakby chciał udowodnić, że Vin ma rację, jeden z nich próbował Odepchnąć fiolkę z metalami Vin. Na szczęście w fiolce nie było dość metalu, by dać mu dobre zakotwienie, więc bez problemu utrzymała ją w dłoni.

Shan spojrzała w okienko.

O, nie, nic z tego! – pomyślała Vin, rzucając się ku niej.

Monetostrzelny krzyknął, kiedy się zbliżała. Vin rzuciła monetę i strzeliła w niego. Odepchnął ją, oczywiście, ale Vin zakotwiła się na brązowym dachu, rozjarzając Stal i Odpychając ją stanowczo.

Własne Pchnięcie Stalą, przeniesione z monety na Vin i dach, wyrzuciło go w powietrze. Krzyknął i poleciał w mrok. Był jedynie Mglistym, nie umiał Odepchnąć się z powrotem na dach.

Drugi Monetostrzelny próbował zasypać Vin monetami, ale bez trudu je Odepchnęła. Niestety, nie był takim głupcem jak jego towarzysz i po

Odepchnięciu uwolnił monety. Widać było jednak, że nie jest w stanie jej trafić. Więc dlaczego...

Drugi Zrodzony! – pomyślała Vin, przetaczając się na bok, kiedy z mgieł wyłoniła się ciemna postać błyskająca szklanymi nożami.

Vin z trudem zdołała uciec, rozjarzając cynę z ołowiem dla równowagi. Zerwała się na nogi obok rannego Zbira, który stał na wyraźnie miękkich nogach. Znowu rozjarzając cynę z ołowiem, wbiła mu ramię w pierś i pchnęła w bok.

Mężczyzna potknął się, wciąż trzymając się za zraniony bok, i wpadł prosto w świetlik. Cienkie kolorowe szkło rozbryznęło się pod jego ciężarem i wzmocnione cyną uszy Vin odnotowały serię okrzyków zdumienia z dołu, a potem huk, kiedy Zbir uderzył o podłogę.

Vin podniosła wzrok i posłała Shan złośliwy uśmiech. Stojący za nią drugi Zrodzony – mężczyzna – zaklął cicho.

– Ty... ty... – powtarzała Shan, a jej oczy niebezpiecznie błyskały gniewem.

Skorzystaj z ostrzeżenia, Elendzie, pomyślała Vin. Najwyższy czas odejść.

Nie mogła stawić czoła dwojgu Zrodzonym naraz – w czasie większości nocnych ćwiczeń nie była w stanie pokonać nawet Kelsiera, Rozjarzając stal. Rzuciła się w przód. Shan zrobiła krok w jej kierunku i z determinacją w twarzy Odepchnęła się za Vin. Dołączył do niej również drugi Zrodzony.

Piekielnicy! – pomyślała Vin, koziołkując w powietrzu i Odpychając się od krawędzi dachu w pobliżu wybitej rozety. Na dole kręcili się ludzie, ich lampy rozjaśniały mgły. Lord Venture prawdopodobnie sądził, że to zamieszanie oznacza śmierć jego syna. Trochę się zdziwi.

Vin znów rzuciła się w powietrze, skacząc prosto w mglistą próżnię. Słyszała, jak oboje Zrodzeni lądują tuż za nią, a potem również się odbijają.

Niedobrze, pomyślała i rzuciła się w mgliste prądy powietrza. Nie miała już monet, nie miała też sztyletów, za to przed sobą miała dwóch przeszkolonych Zrodzonych.

Rozpaliła żelazo, szukając w mroku zakotwienia. Po jej prawej stronie pojawiła się nagle błękitna linia, lekko poruszająca się w mroku.

Szarpnęła linię, zmieniając jej trajektorię. Rzuciła się w dół, aż ziemie Venture pojawiły się pod jej stopami niczym czarny cień. Jej kotwicą był

napierśnik nieszczęsnego strażnika, który przykleił się do muru i gorączkowo trzymał się blanki, by nie dać się ściągnąć przez Vin.

Vin skoczyła na niego stopami w przód i wykręciła koziołka we mgle, lądując na zimnym kamieniu. Strażnik upadł, ale zaraz krzyknął i znów chwycił swoją blankę, kiedy Pociągnęła go kolejna allomantyczna siła.

Wybacz, przyjacielu, pomyślała Vin i kopniakiem strąciła z blanki rękę tamtego. Strażnik natychmiast wystrzelił w górę, jak ściągnięty niewidzialną liną.

W ciemności w górze rozległ się odgłos zderzających się ciał i Vin ujrzała dwa kształty spadające na bruk dziedzińca Venture. Uśmiechnęła się, biegnąc po murze, ku powozom.

I tak zaczyna się wojna rodów, pomyślała. Nie myślałam, że to ja ją oficjalnie rozpocznę.

Z góry, z mgieł, spadła na nią postać w mgielnym płaszczu. Vin krzyknęła, rozjarzając cynę z ołowiem i odskakując w bok. Shan wylądowała zwinnie na szczycie strażnicy, taśmy jej płaszcza unosiły się i powiewały. W rękach miała sztylety, a jej oczy błyszczały gniewem.

Vin skoczyła w bok, staczając się z dachu i lądując na szczycie murów poniżej. Dwaj strażnicy podskoczyli ze strachu, zaskoczeni widokiem spadającej im na głowy półnagiej dziewczyny. Shan zeskoczyła na mur za nimi, po czym Pchnęła, ciskając jednym z nich w kierunku Vin.

Mężczyzna krzyknął, kiedy Vin również Odepchnęła jego napierśnik, a że był znacznie cięższy od niej, siła rzuciła ją w tył. Pociągnęła strażnika, by spowolnić upadek, i mężczyzna upadł z hukiem na mur. Vin wylądowała zwinnie obok, po czym chwyciła jego włócznię, która wypadła mu z dłoni.

Shan zaatakowała w błyskach wirujących sztyletów i Vin była zmuszona znów odskoczyć w tył. Ona jest taka dobra! – pomyślała niespokojnie. Sama Vin nie ćwiczyła ze sztyletami. Teraz żałowała, że nie poprosiła Kelsiera o więcej lekcji. Zamachnęła się włócznią, ale że nigdy wcześniej nie używała takiej broni, jej atak był po prostu śmieszny.

Shan cięła i Vin, zanim się usunęła, poczuła żar bólu na policzku. Wstrząśnięta upuściła włócznię i sięgnęła do twarzy. Poczuła krew. Cofnęła się chwiejnie, widząc uśmiech na twarzy Shan.

I wtedy przypomniała sobie fiolkę. Tę, którą ciągle ze sobą nosiła, którą dał jej Kelsier.

Atium.

Nie fatygowała się wyjmowaniem jej z miejsca, gdzie ją utknęła, to znaczy zza paska. Rozpaliła stal, Wypychając ją w powietrze przed sobą, i natychmiast zapaliła żelazo, szarpiąc za kulkę atium. Fiolka pękła, a kulka poleciała w jej stronę. Chwyciła ją w usta i przełknęła.

Shan przystanęła. A potem, zanim Vin mogła coś zrobić, sama również wyjęła fiolkę i połknęła jej zawartość.

Oczywiście, że musi mieć atium!

Ale ile go miała? Kelsier nie dał Vin wiele – wystarczyło na około trzydziestu sekund. Shan skoczyła z uśmiechem w przód. Jej długie czarne włosy uniosły się w powietrzu. Vin zacisnęła zęby. Nie miała wielkiego wyboru.

Zapaliła atium. Postać Shan natychmiast rozdzieliła się na kilkadziesiąt cieni atium. Był to problem Zrodzonych – komukolwiek jako pierwszemu skończy się atium, jest na straconej pozycji. Nie można uciec przed przeciwnikiem, który dokładnie wie, co zrobisz.

Cofnęła się, nie spuszczając z oka Shan. Arystokratka szła na nią, a fantomy tworzyły wokół niej zwariowany bąbel przezroczystego ruchu. Wydawała się spokojna. Bezpieczna.

Ona ma dużo atium, pomyślała Vin, czując, jak własny zapas jej się kończy. Muszę uciekać.

Nagle z piersi Vin wystrzelił cień drewnianego pręta. Odskoczyła w bok w momencie, kiedy prawdziwa strzała – widocznie bez grotu – świsnęła przez miejsce, gdzie stała jeszcze przed chwilą. Spojrzała w kierunku bramy, gdzie kilku strażników unosiło łuki.

Zaklęła, spojrzała w bok, w mgłę. W tym momencie pochwyciła uśmiech Shan.

Ona tylko czeka, aż moje atium się skończy. Chce, żebym uciekała... wie, że mnie dogoni.

Pozostawała tylko jedna możliwość – atak.

Shan zmarszczyła brwi, kiedy Vin rzuciła się w przód, a widmowe strzały odbiły się od kamienia na kilka sekund przed ich rzeczywistymi odpowiednikami. Vin umknęła pomiędzy dwoma strzałami – jej wzmocniony atium umysł dokładnie wiedział, gdzie podążyć – przemykając tak blisko, że niemal czuła powietrze poruszone pociskami.

Shan zatoczyła łuk sztyletami i Vin wykręciła się bokiem, uciekając przed jednym cięciem, a drugie blokując przedramieniem, co skończyło się

głębokim cięciem. Jej krew rozbryznęła się w powietrzu, kiedy się obróciła – każda kropelka rzucała swój poobraz jako przejrzyste widmo kreowane przez atium – i rozjarzyła cynę z ołowiem, wbijając pięść w żołądek Shan.

Shan stęknęła z bólu, zgięła się, ale nie upadła.

Atium prawie się skończyło, pomyślała Vin. Zostało kilka sekund.

Wygasiła atium wcześniej, odsłaniając się.

Shan uśmiechnęła się złośliwie, wstała z kucek i śmiało zaatakowała sztyletem trzymanym w prawej dłoni. Uznała, że Vin zabrakło atium – a tym samym doszła do wniosku, że jej przeciwniczka jest bezbronna. Narażona.

W tym momencie Vin zapaliła ostatnią odrobinę atium. Shan przystanęła na ułamek sekundy, zdezorientowana, dając Vin chwilę wytchnienia, kiedy nad ich głowami mgłę przecięła ułuda strzały.

Vin złapała prawdziwą strzałę, która nadleciała po chwili – szorstkie drewno sparzyło jej palce – i wbiła z całej siły w pierś Shan. Drzewce pękło w jej dłoni, odłamując się tak, że około cala wystawało z ciała Shan. Kobieta się zachwiała, ale pozostała na nogach.

Przeklęta cyna z ołowiem, wściekała się Vin, wyrywając miecz z pochwy nieprzytomnego żołnierza spoczywającego u jej stóp. Rzuciła się w przód, zaciskając z determinacją zęby. Shan – wciąż oszołomiona – uniosła rękę, by Odepchnąć ostrze.

Vin wypuściła broń – było to jedynie odwrócenie uwagi – i wbiła drugą połowę złamanej strzały w pierś Shan tuż obok pierwszej.

Tym razem Shan upadła. Próbowała się podnieść, lecz któreś drzewce musiało wyrządzić poważniejsze szkody jej sercu, bo twarz kobiety pobladła. Jeszcze przez chwilę walczyła, po czym padła bez życia na kamienie.

Vin stała, oddychając ciężko i ocierając krew z policzka, kiedy zdała sobie sprawę, że krwawiące ramię jeszcze pogarsza sprawę. Za jej plecami żołnierze zwoływali się, wysyłając kolejne strzały.

Obejrzała się na twierdzę, żegnając się w duchu z Elendem, po czym Odepchnęła się w noc.

Ludzie martwią się, czy będzie ich ktoś pamiętał. Ja nie mam takich obaw. Nawet jeśli pominę proroctwa Terris, sprowadziłem na ten świat tyle chaosu, konfliktów i nadziei, że niewielka jest szansa, bym został zapomniany.

Martwię się, co o mnie napiszą. Historycy mogą robić z przeszłością, co tylko chcą. Za tysiąc lat, czy będę pamiętany jako człowiek, który obronił ludzkość przed potęgą zła? A może będę pamiętany jako tyran, który arogancko próbował uczynić z siebie legendę?

31

– Nie wiem – odparł Kelsier, wzruszając z uśmiechem ramionami. – Breeze byłby doskonałym Ministrem Higieny.

Grupa zachichotała, choć Breeze tylko wzniósł oczy w górę.

– Słowo daję, nie wiem, dlaczego ciągle jestem celem waszych żartów. Dlaczego wybieracie jedyną dystyngowaną osobę w grupie i ciskacie w nią kpinami jak w kaczy kuper?

– Dlatego, miły człowiecze – odparł Ham, naśladując akcent Breeze’a – że jesteś zdecydowanie najlepszym kuprem, jaki mamy.

– Och, proszę! – rzekł Breeze, kiedy Spook zaczął się turlać po ziemi ze śmiechu. – To się staje dziecinadą. Ten nastolatek jako jedyny uznał twoje słowa za zabawne, Hammondzie.

– Jestem żołnierzem – odparł Ham, unosząc kubek. – Twoje inteligentne ataki werbalne mnie nie dotykają, bo jestem zbyt tępy, żeby je zrozumieć.

Kelsier zachichotał, opierając się o kredens. Praca w nocy miała właśnie tę wadę, że nie był obecny na spotkaniach u Clubsa w kuchni. Breeze i Ham przekomarzali się nadal. Dox siedział na końcu stołu, przeglądając księgi i raporty. Spook przycupnął obok Hama, próbując ze wszystkich sił brać udział w rozmowie. Clubs zaszył się w swoim kącie, obserwując i uśmiechając się od czasu do czasu, ale ogólnie rozkoszując się umiejętnością stawiania najlepszych marsów w grupie.

– Powinienem już iść, mistrzu Kelsier – odezwał się Sazed, sprawdzając zegar na ścianie. – Panienka Vin pewnie jest już gotowa do wyjścia.

Kelsier skinął głową.

– Ja też powinienem się ruszyć. Wciąż jeszcze muszę...

Nagle tylne drzwi kuchni otwarły się z trzaskiem. Na tle ciemnej mgły stała Vin – odziana jedynie w cienką bieliznę – przejrzystą białą koszulkę i szorty. Jedno i drugie splamione było krwią.

– Vin! – wykrzyknął Ham, zrywając się z miejsca.

Na jej policzku widniała długa, wąska rana, jedno przedramię miała zabandażowane.

– Nic mi nie jest – mruknęła zmęczonym głosem.

– Co się stało z twoją suknią? – zapytał natychmiast Dockson.

– O tym mówisz? – zapytała Vin przepraszająco, podnosząc podartą, poplamioną sadzą masę błękitnego materiału. – Przeszkadzała mi. Przepraszam, Dox.

– Na Ostatniego Imperatora, dziewczyno! – zawołał Breeze. – Zapomnij o sukience... co się z tobą stało?

Vin pokręciła głową i zamknęła drzwi. Spook spąsowiał na jej widok, a Sazed natychmiast podszedł, aby zbadać ranę na jej policzku.

– Chyba stało się coś bardzo złego – wyznała. – Ja... jakby... zabiłam Shan Elariel.

– Co zrobiłaś? – zapytał Kelsier, a Sazed, obejrzawszy niewielkie cięcie na policzku, tylko klasnął językiem. Zdjął bandaż z przedramienia dziewczyny.

Vin skrzywiła się lekko.

– Ona była Zrodzoną. Walczyłyśmy. Zwyciężyłam.

Zabiłaś w pełni wyszkoloną Zrodzoną? – pomyślał wstrząśnięty Kelsier. Przecież ćwiczysz zaledwie od ośmiu miesięcy!

– Mistrzu Hammond – odezwał się Sazed. – Czy możesz przynieść moją torbę uzdrowiciela?

Ham skinął głową i wstał.

– Możesz jej też przynieść coś do ubrania – podsunął Kelsier. – Obawiam się, że biedny Spook dostanie za chwilę ataku serca.

– O co wam chodzi? – zapytała Vin, przyglądając się swej odzieży. – Nie odsłania wiele więcej niż złodziejskie stroje, które nosiłam.

– Ale to bielizna, Vin – odparł Dockson.

– No i co z tego?

– Chodzi o zasadę – odrzekł Dockson. – Młode damy nie biegają w bieliźnie, choćby nawet przypominała zwykłe ubrania.

Vin wzruszyła ramionami i usiadła, a Sazed zaczął opatrywać jej rękę. Wydawała się... znużona. I nie tylko walką. Co jeszcze się stało na przyjęciu?

– Kiedy walczyłaś z tą Elariel? – zapytał Kelsier.

– Przed Twierdzą Venture – odparła, spuszczając wzrok. – Zdaje się... że jacyś strażnicy mnie zauważyli. Może i szlachta, nie wiem, nie jestem pewna.

– To będzie problem – odparł z westchnieniem Dockson. – Oczywiście, ta rana na policzku jest bardzo widoczna, nawet pod makijażem. Doprawdy, Allomanci, czy nigdy nie zdarza się wam pomyśleć, jak będziecie wyglądać na drugi dzień, zanim zaczniecie walczyć?

– Dox, przyznam ci się, że byłam dość zajęta walką o życie – odparła.

– Marudzi, bo się o ciebie martwi – odparł Kelsier, kiedy Ham wrócił z torbą.

– Obie rany wymagają natychmiastowego szycia, panienko – rzekł Sazed. – Ta na przedramieniu sięga aż do kości.

Vin skinęła głową i Sazed posmarował jej rękę środkiem znieczulającym, po czym wziął się do pracy. Znosiła to bez widocznego dyskomfortu, choć z całą pewnością rozjarzyła cynę z ołowiem.

Wydaje się zmęczona, myślał Kelsier. Chudzina z niej, widać same ręce i nogi. Hammond otulił ją płaszczem, ale wydawała się zbyt zmęczona, by

ją to obeszło.

I to ja ją w to wplątałem.

Oczywiście powinna być mądrzejsza i nie pakować się w takie kłopoty. Sazed zakończył wreszcie szycie i założył nowy bandaż na ranę przedramienia, po czym zajął się policzkiem.

– Po co miałaś walczyć ze Zrodzoną? – surowo zapytał Kelsier. – Powinnaś była uciekać. Nie nauczyłaś się niczego po walce z Inkwizytorami?

– Nie mogłam uciec, żeby mnie potem nie dosięgła – odparła. – Miała więcej atium ode mnie. Gdybym nie zaatakowała, dogoniłaby mnie. Musiałam uderzyć, dopóki miałyśmy równe szanse.

– Ale jak się w to w ogóle wpakowałaś? – zapytał Kelsier. – Czy ona cię zaatakowała?

Vin spojrzała na swoje stopy.

– Ja zaatakowałam pierwsza.

– Dlaczego? – zapytał Kelsier.

Siedziała przez chwilę, poddając się zabiegom Sazeda.

– Chciała zabić Elenda.

Kelsier westchnął.

– Elenda Venture? Zaryzykowałaś życie... zaryzykowałaś plan, nasze życie... dla tego głupka?

Podniosła wzrok, miażdżąc go spojrzeniem

– Tak.

– Co się z tobą dzieje, dziewczyno? – zapytał. – Elend Venture nie jest tego wart.

Wstała gwałtownie. Sazed odskoczył, płaszcz zsunął się jej z ramion i spadł na ziemię.

– To dobry człowiek!

– To szlachcic!

– Ty też! – warknęła Vin. Machnęła z irytacją ręką, obejmując gestem całą grupę i kuchnię. – A co to według ciebie jest, Kelsierze? Życie skaa? Co wy w ogóle wiecie o skaa? Arystokratyczne stroje, podchody do wroga w ciemności, najadanie się do syta i wieczorny drink z przyjaciółmi przy stole? To nie jest życie skaa! – Zrobiła krok w przód, mierząc go gniewnym wzrokiem. Kelsier zamrugał. – Co wiesz na ich temat? Kiedy ostatni raz spałeś na ulicy, drżąc w zimnym deszczu, słuchając kaszlu żebraka obok

i wiedząc, że ta choroba go zabije? Kiedy po raz ostatni spędziłeś bezsenną noc, przerażony, że ktoś z szajki będzie chciał cię zgwałcić? Klęczałeś, umierając z głodu, żałując, że nie masz odwagi wbić noża w śpiącego obok towarzysza, żeby zabrać mu kawałek chleba? Poniżałeś się kiedykolwiek przed własnym bratem, kiedy cię bił, mimo to czując wdzięczność, bo miałeś przynajmniej kogoś, kto zwracał na ciebie uwagę?

Zamilkła, zdyszana. Wszyscy wbijali w nią wzrok.

– Nie mówcie mi o szlachcie – rzekła. – Nie mówcie nic o ludziach, których nie znacie. Nie jesteście skaa, jesteście szlachtą bez tytułu.

Odwróciła się i wyszła z kuchni. Kelsier powiódł za nią zszokowanym spojrzeniem. Jej kroki powoli cichły na schodach. Stał tak, otumaniony, czując z pewnym zaskoczeniem, że zalewa się rumieńcem wstydu i poczucia winy.

I po raz pierwszy stwierdził, że nie wie co powiedzieć.

***

Vin nie poszła do swojego pokoju. Wspięła się na dach, gdzie mgły wiły się w ciszy i mroku nocy. Usiadła w rogu, na drewnie, opierając się prawie nagimi plecami o szorstki kamienny gzyms płaskiego dachu.

Było jej zimno, ale nie zwracała na to uwagi. Ramię bolało ją trochę, ale było raczej pozbawione czucia. Ona jednak za pozbawioną czucia uważać się nie mogła.

Objęła się rękoma i skulona wpatrywała w mgłę. Nie wiedziała co myśleć, a tym bardziej, co czuć. Nie powinna była wybuchnąć. Ale wszystko, co się wydarzyło... walka, zdrada Elenda... Vin była wykończona psychicznie. Musiała się na kimś wyładować.

„Powinnaś być wściekła jedynie na siebie”, usłyszała głos Reena. „To ty dopuściłaś go zbyt blisko. Teraz po prostu cię zostawi”.

Nie mogła pozbyć się tego bólu. Siedziała, dygocząc, a łzy ściekały jej po twarzy. Zastanawiała się, jak wszystko mogło się zawalić tak szybko.

Klapa otwarła się z cichym skrzypnięciem i Kelsier wystawił głowę na zewnątrz.

Och, Ostatni Imperatorze! Nie mogę mu teraz spojrzeć w oczy! Próbowała wytrzeć łzy, ale tylko uraziła się w świeżo zaszytą ranę na

policzku.

Kelsier zamknął klapę i wstał, wysoki i dumny, wpatrując się w mgły. Nie zasługuje na to, co mu powiedziałam. Żaden z nich nie zasługuje.

– Patrzenie na mgły uspokaja, prawda? – zapytał.

Skinęła głową.

– Co ci kiedyś powiedziałem? Mgły cię chronią, dają ci moc, ukrywają...

Spojrzał w dół, po czym podszedł i przykucnął obok, podając jej płaszcz.

– Są sprawy, przed którymi nie możesz się ukryć, Vin. Wiem... sam próbowałem.

Wzięła płaszcz i otuliła się nim szczelnie.

– Co się dzisiaj stało? – zapytał. – Co się naprawdę stało?

– Elend powiedział mi, że już nie chce ze mną być.

– Ach – mruknął Kelsier, podchodząc, aby usiąść obok. – Czy to było przed tym, czy po tym, jak zabiłaś jego byłą narzeczoną?

– Przed – odrzekła.

– I nadal go chroniłaś?

Skinęła głową, pociągając nosem.

– Wiem, jestem idiotką.

– Nie większą niż reszta nas – odparł Kelsier z westchnieniem. Spojrzał w mgłę. – Ja też kochałem Mare, nawet jeśli mnie zdradziła. Nic nie może zmienić tego, co czułem.

– I dlatego to tak boli – odrzekła, przypominając sobie, co Kelsier powiedział wcześniej.

– Nie przestajesz kochać kogoś dlatego, że cię zranił – mówił. – Z pewnością wtedy byłoby znacznie łatwiej.

Znów zaczęła pociągać nosem, aż objął ją po ojcowsku ramieniem. Przytuliła się, próbując jego ciepłem wygnać ból.

– Kochałam go, Kelsier – szepnęła.

– Elenda? Wiem.

– Nie, nie Elenda – odparła. – Reena. Bił mnie bez przerwy, każdego dnia. Klął mnie, przezywał, powiedział, że mnie zdradzi. Każdego dnia myślałam, jak bardzo go nienawidzę. A jednak go kochałam. Wciąż kocham, to tak boli, kiedy pomyślę, że jego już nie ma, nawet jeśli zawsze mi powtarzał, że mnie zostawi.

– Och, dziecko – szepnął Kelsier. – Przykro mi.

– Wszyscy mnie zostawiają – mówiła cicho. – Zaledwie pamiętam moją matkę. Wiesz, że próbowała mnie zabić. Słyszała w głowie głosy, które zmusiły ją do zabicia mojej siostrzyczki. Pewnie zamierzała zabić także i mnie, ale Reen ją powstrzymał. W każdym razie porzuciła mnie. Potem przyczepiłam się do Reena, on jednak odszedł. Kocham Elenda, ale on też mnie nie chce. – Podniosła wzrok na Kelsiera. – A kiedy ty odejdziesz? Kiedy mnie zostawisz?

Pokręcił ze smutkiem głową.

– Vin... nie wiem. To zadanie, ten plan...

Spojrzała mu w oczy, szukając ukrytych w nich tajemnic. Co przede mną ukrywasz, Kelsierze? Coś aż tak niebezpiecznego? Znów otarła oczy, odsuwając się od niego. Nagle poczuła się niedorzecznie.

Spuścił wzrok i pokręcił głową.

– Zobacz, pobrudziłaś krwią moje piękne, brudne przebranie informatora.

Uśmiechnęła się.

– Przynajmniej w części to szlachecka krew. Dałam Shan porządny wycisk.

Kelsier zachichotał.

– Prawdopodobnie masz rację, co do mnie, wiesz? Nie daję szlachcie wielu szans, co?

Vin się zarumieniła.

– Kelsier, nie powinnam była tego wszystkiego mówić. Jesteście dobrymi ludźmi, a ten wasz plan... cóż, wiem, że robicie to dla skaa.

– Nie, Vin. – Pokręcił głową. – To, co powiedziałaś, jest prawdą. Nie jesteśmy prawdziwymi skaa.

– Ale to dobrze – odrzekła. – Gdybyście byli normalnymi skaa, nie mielibyście ani doświadczenia, ani odwagi zaplanować czegoś takiego.

– Może brakuje im doświadczenia – mruknął Kelsier. – Ale nie odwagi. Nasza armia przegrała, to prawda, ale byli gotowi – przy minimum szkolenia – zaatakować większą siłę. Nie, skaa nie brakuje odwagi. Tylko okazji.

– Więc to twoja pozycja, jako pół skaa, pół szlachcic, daje ci tę możliwość, Kelsier. A ty wybrałeś tę okazję, by pomóc swojej połowie skaa. To sprawia, że godzien jesteś być skaa, jeśli cokolwiek jest tego warte.

Kelsier się uśmiechnął.

– Godzien być skaa... Podoba mi się to. Nieważne, zapewne jednak powinienem spędzać nieco mniej czasu na zastanawianiu się, którego szlachcica teraz zabić, a pomyśleć o tym, komu trzeba pomóc.

Vin skinęła głową, otulając się ciaśniej płaszczem. Spojrzała w mgłę. Mgła nas chroni... daje siłę... ukrywa...

Już od dawna nie czuła potrzeby się ukrywać. Teraz jednak, po tym wszystkim, co powiedziała na dole, żałowała, że nie może po prostu ulecieć niczym pasmo mgły.

Muszę mu powiedzieć. Może to zaważyć na sukcesie lub klęsce planu. Odetchnęła głęboko.

– Ród Venture ma słaby punkt, Kelsier.

Ożywił się.

– Naprawdę?

Vin skinęła głową.

– Atium. To oni pilnują, by metal był wydobywany i dostarczany... to źródło ich bogactwa.

Kelsier zawahał się.

– Oczywiście! W ten sposób płacą podatki, dlatego są tak potężni... On potrzebuje kogoś, kto będzie to za niego robił.

– Kelsier? – zagadnęła Vin.

Spojrzał na nią.

– Nie... rób nic, o ile naprawdę nie musisz, dobrze?

Kelsier zmarszczył brwi.

– Ja... nie wiem, czy mogę ci cokolwiek obiecać, Vin. Będę się starał i zastanowię się nad innym sposobem, ale tak, jak to w tej chwili wygląda, Venture musi upaść.

– Rozumiem.

– Ale i tak się cieszę, że mi powiedziałaś.

Teraz ja jego też zdradziłam. Czuła jednak wielki spokój, wiedząc, że nie zrobiła tego ze złości. Kelsier miał rację. Ród Venture istotnie był siłą, którą należało obalić. Dziwne, ale wzmianka o tym rodzie bardziej chyba poruszyła Kelsiera niż ją samą. Siedział, wpatrując się w mgły, dziwnie melancholijny. Odruchowo podrapał się po ramieniu.

Blizny, pomyślała. Nie myśli o Rodzie Venture... tylko o Czeluściach. O niej.

– Kelsier? – zagadnęła.

– Tak? – Jego wzrok wydawał się wciąż odrobinę... nieobecny, kiedy wpatrywał się we mgłę.

– Sądzę, że Mare cię nie zdradziła.

Uśmiechnął się.

– Cieszę się, że tak uważasz.

– Mówię szczerze – odrzekła. – Inkwizytorzy czekali na was, kiedy dotarliście do pałacu, prawda?

Skinął głową.

– Na nas też czekali.

Kelsier pokręcił głową.

– Ty i ja walczyliśmy ze strażnikami, narobiliśmy hałasu. Kiedy wchodziliśmy tam z Mare, zachowywaliśmy się cicho. Planowaliśmy przez cały rok – zrobiliśmy to ukradkiem, w tajemnicy i bardzo ostrożnie. Ktoś nas zdradził.

– Mare była Allomantką, prawda? – zapytała. – Po prostu wyczuli, że się zbliżacie.

Kelsier pokręcił głową.

– Mieliśmy ze sobą Dymiarza. Nazywał się Redd – Inkwizytorzy od razu go zabili. Zastanawiałem się, czy to nie on jest zdrajcą, ale to nie pasowało. Redd nie wiedział o infiltracji do ostatniego momentu, kiedy poszliśmy po niego i zabraliśmy ze sobą. Tylko Mare wiedziała wszystko: daty, czas, cel. Tylko ona mogła zdradzić. Poza tym jest jeszcze komentarz Ostatniego Imperatora. Nie widziałaś go, Vin, nie widziałaś jego uśmiechu, kiedy dziękował Mare. Miał w oczach... szczerość. Powiadają, że Ostatni Imperator nie kłamie. A po co miałby kłamać?

Vin zastanawiała się przez chwilę nad tym, co usłyszała.

– Kelsier – rzekła powoli. – Uważam, że Inkwizytorzy mogą wyczuwać naszą Allomancję, nawet jeśli palimy miedź.

– Niemożliwe.

– Dzisiaj ja też ją wyczułam. Przebiłam chmurę miedzi Shan, dzięki czemu zlokalizowałam ją i pozostałych zabójców. Tylko dlatego udało mi się dotrzeć na czas.

Kelsier zmarszczył brwi.

– Chyba się mylisz.

– Przedtem też mi się to zdarzało – odparła. – Czułam dotyk Ostatniego Imperatora na swoich uczuciach nawet wtedy, kiedy spalałam miedź. I przysięgam, że kiedy ukrywałam się przed Inkwizytorem, który mnie ścigał, znalazł mnie, mimo że nie miał prawa. Kelsierze, a jeśli to możliwe? Jeśli ukrywanie się przez Dymienie nie zależy tylko od tego, czy palisz miedź, czy nie? A jeśli to zależy również od tego, jak jesteś silny?

Kelsier się zadumał.

– Podejrzewam, że to możliwe.

– Więc Mare nie musiała cię zdradzić! – zawołała Vin. – Inkwizytorzy są niezmiernie silni. Ci, którzy na was czekali, mogli po prostu wyczuć, że palicie metale! Wiedzieli, że Allomanta próbuje dostać się do pałacu. A potem Ostatni Imperator podziękował jej, bo to ona was wydała! Była Allomantką, spalała cynę i to doprowadziło ich do was.

Kelsier odwrócił się i usiadł tak, aby znaleźć się bezpośrednio naprzeciwko niej.

– Zatem zrób to teraz. Powiedz mi, jaki metal spalam.

Vin przymknęła oczy, rozjarzając brąz, nasłuchując... wyczuwając, tak jak ją nauczył Marsh. Pamiętała swoje samotne treningi, czas spędzony na koncentrowaniu się na tym, co wysyłali jej Breeze, Ham i Spook. Próbowała wyłowić zakłócone, ale rytmiczne pulsacje Allomancji. Próbowała...

Przez chwilę wydawało jej się, że coś poczuła. Coś bardzo dziwnego... wolne pulsowanie, jak odległy werbel, niepodobny do innych rytmów allomantycznych, jakie wyczuwała wcześniej. Ale nie pochodził od Kelsiera. Był odległy... bardzo odległy. Skoncentrowała się mocniej, usiłując zidentyfikować kierunek, z którego dochodził.

Nagle, kiedy skupiła się bardziej, jej uwagę przykuło coś innego, bardziej znany rytm, pochodzący od Kelsiera. Był odległy, trudny do wyczucia poprzez bicie jej własnego serca. Śmiałe, szybkie uderzenia.

Otwarła oczy.

– Cyna z ołowiem! Spalasz cynę z ołowiem!

Kelsier zamrugał, zaskoczony.

– Niemożliwe – wyszeptał.

Przymknęła oczy.

– Cyna – rzekła po chwili. – A teraz stal, zmieniłeś w chwili, kiedy to powiedziałam.

– Do diaska!

– Miałam rację! – zawołała radośnie. – Można wyczuć impulsy allomantyczne przez miedź. Są delikatne, ale jeśli człowiek bardzo mocno się skupi...

– Vin – wszedł jej w słowo Kelsier. – Myślisz, że Allomanci nie próbowali tego wcześniej? Nie sądzisz, że po tysiącu lat ktoś wreszcie powinien zauważyć, że można przebić chmurę miedzi? Sam też próbowałem. Koncentrowałem się na moim mistrzu godzinami, próbując coś wyczuć przez jego miedź.

– Ale... – wyszeptała. – Ale dlaczego...?

– Musi to mieć coś wspólnego z siłą, jak powiedziałaś. Inkwizytorzy potrafią Odpychać i Pociągać silniej, niż zwyczajni Zrodzeni. Może są nawet tak silni, że mogą pokonać metal u kogoś innego.

– Kelsierze – zaprotestowała łagodnie Vin – ja nie jestem Inkwizytorem.

– Ale jesteś silna – odparł. – Silniejsza, niżby wypadało. Dzisiaj zabiłaś pełnego Zrodzonego.

– Miałam szczęście. – Zarumieniła się. – Wywiodłam ją w pole.

– Allomancja to przede wszystkim wywodzenie w pole, Vin. Nie, w tobie rzeczywiście jest coś szczególnego. Zauważyłem to już pierwszego dnia, kiedy odepchnęłaś moje próby Odpychania i Przyciągania twoich uczuć.

Ponownie się zarumieniła.

– To nie może być to, Kelsierze. Może po prosty ćwiczyłam z brązem więcej niż ty... nie wiem, tylko...

– Tak – odparł Kelsier. – Po prostu jeszcze jesteś zbyt skromna. Jesteś dobra, tyle widać na pierwszy rzut oka. Jeśli dlatego możesz widzieć przez chmurę miedzi... no cóż, nie wiem. Ale naucz się być dumną z siebie, mała! Jeśli jeszcze muszę cię czegoś nauczyć, to tylko pewności siebie.

Vin się uśmiechnęła.

– Chodź – rzekł, podając jej rękę. – Sazed będzie się przewracał z boku na bok przez całą noc, jeśli nie pozwolisz mu zaszyć tej rany na policzku, a Ham umiera z niecierpliwości, żeby się dowiedzieć czegoś o walce. A tak w ogóle to dobrze, że zostawiłaś ciało Shan w Twierdzy, teraz, kiedy ród Elariel dowie się, że została znaleziona martwa na terenie Venture...

Vin nie kwapiła się do zejścia na dół.

– Ja... nie wiem, czy na pewno chcę schodzić, Kelsier. Jak im teraz spojrzę w oczy?

Kelsier się zaśmiał.

– O, nie martw się, gdybyś od czasu do czasu nie powiedziała czegoś głupiego, nie pasowałabyś do nas. Chodź.

Zawahała się, ale pozwoliła mu poprowadzić się znowu w krąg ciepła kuchni.

***

– Elendzie, jak możesz teraz czytać? – zapytał Jastes.

Elend spojrzał znad książki.

– To mnie uspokaja.

Jastes uniósł brew. Młody Lekal siedział niespokojnie w powozie, stukając palcami w podłokietnik. Zasłonki w oknie były zaciągnięte, częściowo, by ukryć światło od lampy do czytania, a częściowo, by odgrodzić ich od mgieł. Elend nigdy by się do tego nie przyznał, ale wirujące kłęby trochę go niepokoiły. Szlachta nie powinna bać się takich rzeczy, nie zmieniało to jednak faktu, że te głębokie gęste mgły były zwyczajnie upiorne.

– Twój ojciec zemdleje, jak wróci – zauważył Jastes, wciąż stukając w podłokietnik.

Elend wzruszył ramionami, choć ten komentarz nieco go zdenerwował. Nie z powodu ojca, ale z powodu tego, co zdarzyło się dzisiaj w nocy. Widocznie jacyś Allomanci szpiegowali spotkania Elenda z przyjaciółmi. Jakie informacje zebrali? Czy wiedzą o książkach, które czytywał?

Na szczęście jeden potknął się i spadł przez świetlik do pokoju Elenda. Potem już tylko chaos i bieganina – żołnierze i goście biegali w kółko, ogarnięci paniką. Pierwszą myślą Elenda było ukrycie książek – tych niebezpiecznych, które mogłyby narobić mu poważnych problemów, gdyby wpadły w ręce obligatorów.

W zamieszaniu wrzucił je do worka i pobiegł za Jastesem do bocznego wyjścia. Porwanie powozu i ucieczka z terenu pałacu były – być może – gestem skrajnym, ale okazało się wyjątkowo proste. W tabunie powozów

uciekających z terenów Venture nikt nie zauważył nawet, że w powozie wraz z Jastesem siedział również Elend.

Teraz zapewne już wszystko ucichło, myślał Elend. Ludzie zrozumieją, że to nie ród Venture próbuje ich zaatakować i że nie ma żadnego prawdziwego zagrożenia. Tylko paru nieostrożnych szpiegów.

Teraz powinien być już w domu, ale jego nieobecność w pałacu pozwoliła mu na skontrolowanie innej grupy szpiegów. Tym razem jednak to Elend ich wysłał.

Nagłe stukanie sprawiło, że Jastes podskoczył, a Elend zamknął książkę i otworzył drzwiczki powozu. Felt, jeden z głównych szpiegów rodu Venture, wsiadł do powozu i skłonił głowę najpierw przed Elendem, a potem Jastesem.

– I co? – zapytał Jastes.

Felt zajął miejsce ze zwykłą w swej profesji zwinnością.

– Budynek jest pozornie warsztatem stolarza, panie. Jeden z moich ludzi słyszał o tym miejscu, prowadzi je niejaki mistrz Cladent, cieśla skaa o niemałych umiejętnościach.

Elend zmarszczył brwi.

– Ale po co miałby tam chodzić lokaj Valette?

– Uważamy, że sklep jest przykrywką, panie – odparł Felt. – Obserwujemy go od czasu, kiedy lokaj nas tam doprowadził, tak jak kazałeś. Jednak musieliśmy być bardzo ostrożni... na dachu i górnych piętrach znajduje się kilka miejc obserwacyjnych.

– Powiedziałbym, że to dość dziwne środki ostrożności, jak na zwykły sklep stolarza.

– To jeszcze nie wszystko. Udało nam się wprowadzić w okolice budynku jednego z naszych najlepszych ludzi – nie sądzę, aby go odkryli – ale miał ogromne problemy, żeby usłyszeć, co się dzieje w środku. Okna są zamknięte i uszczelnione, żeby nie przedostał się żaden dźwięk.

Jeszcze jeden dziwny środek ostrożności, pomyślał Elend.

– Jak ci się zdaje, co to oznacza? – zapytał.

– To musi być kryjówka podziemia, panie – odparł Felt. – I to bardzo dobra. Gdybyśmy nie przyjrzeli się uważnie i nie wiedzieli, czego szukać, nie zauważylibyśmy żadnych znaków. Podejrzewam, że ludzie w środku, nawet Terrisanin, są członkami złodziejskiej szajki skaa. Bardzo bogatej i zręcznej.

– Szjka złodziejska skaa? – zapytał Jastes. – I lady Valette też?

– Prawdopodobnie, panie – odparł Felt.

Elend się zawahał.

– Szajka... złodziejska skaa – wyszeptał, oszołomiony. Dlaczego wysyłaliby jednego ze swych członków na bal? Może to jakieś oszustwo?

– Milordzie? – zagadnął Felt. – Czy mamy się włamać? Mam dość ludzi, by wyłapać całą grupę.

– Nie – odrzekł Elend. – Odwołaj ludzi i nikomu nie mówcie, co dzisiaj widzieliście.

– Tak jest, panie – odpadł Felt i wysiadł z powozu.

– Ostatni Imperatorze! – zawołał Jastes, kiedy drzwiczki powozu się zamknęły. – Nic dziwnego, że nie wydawała się zwykłą szlachcianką. To nie było wiejskie wychowanie... ona po prostu jest złodziejką!

Elend skinął w zadumie głową, nie wiedząc co myśleć.

– Winien mi jesteś przeprosiny – dodał Jastes. – Miałem rację co do niej, może nie?

– Może – odrzekł Elend. – Ale... w pewnym sensie również się myliłeś. Nie próbowała mnie szpiegować, chciała mnie po prostu okraść!

– I co?

– I... teraz muszę to sobie przemyśleć – odparł Elend, i zastukał w ściankę powozu, dając znak stangretowi, by ruszał. Usiadł wygodnie, a powóz zawrócił do Twierdzy Venture.

Valette nie była osobą, za którą się podawała. Jednakże on był już przygotowany na tę wieść. Nie tylko słowa Jastesa na jej temat obudziły podejrzenia Elenda. Wcześniej tego wieczoru Valette nie zaprzeczyła jego oskarżeniom. Stało się oczywiste, że go okłamywała.

Powinien być wściekły. Dotarło to do niego, logiczna konsekwencja, nawet w głębi ducha cierpiał z powodu zdrady. Jednakże głównie ogarnęła go... ulga.

– Co? – zapytał Jastes, obserwując ze zmarszczonymi brwiami Elenda.

Ten pokręcił głową.

– Przez ciebie martwiłem się tym od kilku dni, Jastesie. Byłem niemal chory, nie mogłem funkcjonować... a wszystko dlatego, że byłem pewny, że Valette jest zdrajczynią.

– Ale przecież jest, Elendzie. Prawdopodobnie chciała was oszukać.

– Wiem – odparł Elend. – Ale przynajmniej raczej na pewno nie jest szpiegiem z innego rodu. W obliczu tych wszystkich intryg, polityki i podgryzania się, które się tu ostatnio rozpętały, coś tak prostego jak rabunek po prostu cieszy.

– Ale...

– Jastesie, to tylko pieniądze.

– Dla niektórych z nas pieniądze są dość ważne, Elendzie.

– Nie tak jak dla Valette. Biedna dziewczyna... przez cały czas musiała się martwić, że mnie oszuka!

Jastes siedział przez chwilę nieruchomo, po czym pokręcił głową.

– Elendzie, tylko ty mógłbyś poczuć ulgę, przekonując się, że ktoś chce cię okraść. Mam ci przypomnieć, że dziewczyna kłamała przez cały czas? Mogłeś się do niej przywiązać, ale wątpię, by jej uczucia były szczere.

– Możesz mieć rację – przyznał Elend. – Ale... nie wiem, Jastesie. Wydaje mi się, że znam tę dziewczynę. Jej uczucia... wydają się po prostu zbyt realne, by były fałszywe.

– Wątpię – odparł Jastes.

Elend pokręcił głową.

– Nie mamy dość informacji, by ją teraz osądzać. Felt uważa, że jest złodziejką, ale musi być inny powód, aby taka grupa wysyłała kogoś na bale, jak ją. Może jest po prostu informatorką. A może jest złodziejką... ale nie chce mnie okraść. Spędziła bardzo wiele czasu ze szlachtą... po co miałaby to robić, gdybym to ja był jej celem? Ze mną spędziła niewiele czasu i nigdy nie próbowała wyłudzić podarków.

Zamyślił się, wyobrażając sobie spotkanie z Valette jako miły przypadek, zdarzenie, które nie odbiło się potwornym piętnem na życiu ich obojga. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie, Jastesie. Tam jest coś więcej, niż sugerowałyby pozory. Coś wciąż nie trzyma się kupy.

– Ja... cóż tak mi się wydaje, El – odparł Jastes, marszcząc czoło.

Elend wyprostował się nagle, bo przyszła mu do głowy dziwna myśl... która sprawiła, że motywy Valette stały się nagle znacznie mniej istotne.

– Jastes! – zawołał. – Ona jest skaa!

– I co z tego?

– I oszukała mnie... oszukała nas obu. Zagrała rolę arystokratki niemal doskonale.

– Może niedoświadczonej arystokratki.

– Miałem obok siebie prawdziwą złodziejkę skaa! – zawołał Elend. – Pomyśl, o jakie rzeczy mógłbym ją wypytać!

– Pytać? O co chciałbyś ją pytać?

– Jak to jest być skaa – odparł Elend. – Nie w tym rzecz, Jastesie, że ona nas oszukała. Jeśli nie potrafimy odróżnić kobiety skaa od szlachcianki, to oznacza, że skaa nie mogą się aż tak od nas różnić. A jeśli nie różnią się od nas, to jakie mamy prawo traktować ich tak, jak traktujemy?

Jastes wzruszył ramionami.

– Elendzie, nie sądzę, byś zachował właściwą perspektywę. Jesteśmy w środku wojny rodów.

Elend skinął z roztargnieniem głową. Byłem dla niej dzisiaj taki ostry. Zbyt ostry?

Chciał, żeby uwierzyła, całkowicie, że nie chce mieć z nią nic więcej wspólnego. Częściowo mówił szczerze, gdyż własne troski przekonały go, że nie można jej ufać. I nie, nie można. Nie teraz. Tak czy owak chciał, aby opuściła miasto. Myślał, że najlepiej będzie zerwać ten związek, dopóki trwa wojna rodów.

Ale skoro nie jest szlachcianką, nie ma powodu uciekać.

– Elend?! – zawołał Jastes. – Czy ty w ogóle słuchasz, co mówię?

Elend podniósł wzrok.

– Chyba dzisiaj zrobiłem coś bardzo złego. Chciałem, żeby Valette wyjechała z Luthadelu. Ale teraz myślę, że niepotrzebnie ją zraniłem.

– Do diaska, Elendzie! – zawołał Jastes. – Allomanci podsłuchiwali naszą konferencję dzisiaj w nocy! Czy wiesz, co się mogło stać? Gdyby, zamiast nas szpiegować, zapragnęli nas zabić?

– Ach tak, masz rację – odparł z roztargnieniem Elend. – Lepiej, żeby Valette jednak wyjechała. Wszyscy wokół mnie będą w najbliższych dniach w niebezpieczeństwie.

Jastes zamilkł na chwilę. Ogarniała go coraz większa irytacja. Wreszcie roześmiał się.

– Jesteś niepoprawny, Elendzie.

– Staram się – odparł Elend. – Ale naprawdę nic nam nie da martwienie się. Szpiedzy się zdradzili, prawdopodobnie zostali przepędzeni, a może nawet schwytani w tym chaosie. Znamy teraz część sekretów, które ukrywa Valette, więc i tu jesteśmy na bieżąco. Bardzo pracowita i owocna noc!

– Zdaje mi się, że to raczej optymistyczne spojrzenie na tę sytuację.

– Widzisz, naprawdę się staram. – I tak poczuje się znacznie lepiej, kiedy wrócą do Twierdzy Venture. Może to jednak była głupota, tak uciekać z pałacu, zanim poznał wszystkie szczegóły tego, co się stało, ale Elend nie myślał wtedy trzeźwo. Poza tym musiał zdążyć na umówione spotkanie z Feltem, a chaos stworzył doskonałą okazję do ucieczki.

Powóz powoli podjechał pod bramy Venture.

– Powinieneś jechać – rzekł Elend, wyślizgując się z powozu. – Zabierz książki.

Jastes skinął głową, chwycił worek, pożegnał się z Elendem i zatrzasnął drzwiczki powozu. Elend czekał, aż powóz odjedzie, i dopiero potem zawrócił, przemierzając pieszo resztę drogi do twierdzy. Zaskoczeni strażnicy przepuścili go bez sprzeciwu.

Teren wciąż był mocno oświetlony. Strażnicy czekali na niego przed wejściem – część wybiegła w mgłę na spotkanie Elenda i otoczyła go.

– Panie, twój ojciec...

– Tak – przerwał z westchnieniem. – Rozumiem, że mam się przed nim natychmiast stawić.

– Tak, panie.

– Więc prowadź, kapitanie.

Weszli wejściem przeznaczonym dla lorda, w bocznej ścianie. Lord Straff Venture stał w swoim gabinecie, rozmawiając z grupką oficerów straży. Z ich bladych twarzy Elend mógł się domyślić, że otrzymali niezłą reprymendę, może nawet groźbę chłosty. Byli szlachcicami, więc Venture nie mógł ich ściąć, ale lubił stosować inne, brutalniejsze metody wymuszające przestrzeganie dyscypliny.

Odprawił żołnierzy ostrym gestem, po czym spojrzał nieprzyjaźnie na Elenda. Ten zmarszczył czoło, obserwując wyjście strażników. Wszystko wydawało się dziwnie... napięte.

– I co? – zapytał lord Venture.

– Co co?

– Gdzie byłeś?

– Och, wyjechałem – odparł niedbale Elend.

Lord Venture westchnął.

– Dobrze. Wystawiaj się na niebezpieczeństwo, jeśli chcesz, chłopcze. W pewnym sensie szkoda, że ta Zrodzona cię nie dopadła...

zaoszczędziłaby mi sporo nerwów.

– Zrodzona? – zapytał Elend zdziwiony. – Jaka Zrodzona?

– Ta, która planowała cię zamordować – warknął lord Venture.

Elend zamrugał.

– Więc to nie była grupa szpiegów?

– Och, nie – odparł Venture, uśmiechając się nieco złośliwie. – Cała grupa zabójców, nasłana na ciebie i twoich przyjaciół.

Ostatni Imperatorze! – pomyślał Elend, do którego nagle dotarło, jak był głupi, że wyjechał samotnie. Nie spodziewałem się, że wojna rodów wybuchnie tak szybko! A przynajmniej dla mnie...

– Skąd wiemy, że to był Zrodzony? – zapytał, zbierając myśli.

– Nasi strażnicy zdołali ją zabić – odparł Straff. – W czasie ucieczki.

Elend zmarszczył brwi.

– Pełna Zrodzona? Zabita przez zwykłych żołnierzy?

– Łucznicy – odparł lord Venture. – Widocznie ją zaskoczyli.

– A ten człowiek, który wpadł przez świetlik? – zapytał Elend.

– Martwy – odparł lord Venture. – Skręcony kark.

Elend pokręcił głową. Ten człowiek wciąż żył, kiedy uciekaliśmy. Co ukrywasz, ojcze?

– A ta Zrodzona? Znam ją?

– Można tak powiedzieć – odparł lord Venture, siadając za biurkiem. Nie podnosił wzroku. – To Shan Elariel.

Elend zamarł. Shan? – pomyślał oszołomiony. Przecież byli zaręczeni, a ona nigdy nawet nie wspomniała, że jest Allomantką. A to prawdopodobnie oznaczało...

Że od początku była szpiegiem. Może Ród Elariel planował zabicie Elenda natychmiast po urodzeniu wnuka Elarielów, który odziedziczy tytuł rodu.

Masz rację, Jastes. Nie mogę unikać polityki ignorując ją. Byłem jej częścią o wiele dłużej, niż mi się zdawało.

Jego ojciec widocznie był jednak bardzo z siebie zadowolony. Ważny członek rodu Elariel został zabity na terenach Venture podczas próby zabicia Elenda... przy takim tryumfie lord Venture będzie nie do zniesienia przez wiele dni.

Elend westchnął.

– Czy zatem złapaliśmy choć jednego z morderców żywcem?

Straff pokręcił głową.

– Jeden spadł na dziedziniec, kiedy próbował uciekać. I uciekł – też mógł być Zrodzonym. Znaleźliśmy jednego człowieka martwego na dachu, ale nie jesteśmy pewni, czy było ich więcej. – Zawahał się.

– Co? – ponaglił Elend.

– Nic – odparł Straff. – Niektórzy strażnicy twierdzą, że był jeszcze trzeci Zrodzony, walczący z dwojgiem tamtych, ale wątpię w te raporty... nie był to nikt z naszych.

Elen się zamyślił. Trzeci Zrodzony, walczący z tamtymi...

– Może ktoś dowiedział się o zabójstwie i próbował mu zapobiec?

Lord Venture prychnął.

– A czemu czyjś Zrodzony miałby cię bronić?

– Może nie chciał, żeby zginął niewinny człowiek?

Lord Venture potrząsnął ze śmiechem głową.

– Jesteś idiotą, chłopcze, wiesz o tym, prawda?

Elend zaczerwienił się i odwrócił. Nie odniósł wrażenia, że lord Venture chce jeszcze czegoś od niego, więc wyszedł. Nie mógł wracać do swoich apartamentów z wybitym oknem i pilnującymi go strażnikami, udał się zatem do gościnnej sypialni, wzywając po drodze oddział mgłobójców, aby pilnowali drzwi i balkonu – na wszelki wypadek.

Przygotowywał się do snu i analizował w myślach rozmowę. Jego ojciec prawdopodobnie miał rację z tym trzecim Zrodzonym. Takie rzeczy się po prostu nie zdarzają.

Jednak... tak właśnie powinno być. Może tak nawet mogłoby być.

Było tak wiele rzeczy, które chciał zrobić. Ale jego ojciec był zdrowy i młody jak na tak potężnego lorda. Miną dekady, zanim Elend przejmie tytuł rodu, oczywiście, jeśli tego dożyje. Żałował, że nie może pójść do Valette, wyjaśnić swojej frustracji. Ona zrozumiałaby jego myślli, z jakiegoś powodu zawsze rozumiała go lepiej od innych.

I do tego jest skaa! Nie mógł uwierzyć. Miał do niej tyle pytań.

Później, pomyślał, kładąc się do łoża. Teraz trzeba się skupić na utrzymaniu rodu razem. W tym przypadku jego słowa do Valette były szczere – musiał dopilnować, aby jego ród przetrwał wojnę.

A potem... potem może jakoś wypracują porozumienie w kwestii kłamstw i oszustw.

Wprawdzie wielu Terrisan wyraża urazę do Khlennium, jednakże okazują też zazdrość. Słyszałem, jak tragarze opowiadają sobie z zachwytem o khlennijskich katedrach, o ich zdumiewających witrażowych oknach i ogromnych salach. Wydaje się też, że bardzo lubią naszą miejską modę. Widziałem wielu młodych Terrisan, którzy zamienili futra i skóry na doskonale skrojone stroje dżentelmenów.

32

Dwie ulice za sklepem Clubsa znajdował się budynek, niezwykle wysoki w porównaniu z resztą zabudowy. Była to prawdopodobnie kamienica czynszowa, miejsce gdzie umieszcza się rodziny skaa.

Rzuciła monetę i wystrzeliła w górę obok sześciopiętrowego domu. Wylądowała zręcznie na dachu, aż postać skulona w ciemności podskoczyła ze strachu.

– To tylko ja – szepnęła Vin, podpełzając bezszelestnie po pochyłym dachu.

Spook uśmiechnął się do niej w mroku. Jako najlepszy Cynooki grupy, zazwyczaj dostawał najpoważniejsze zadania. Kolejnym miał się zająć

wczesnym wieczorem. O tej właśnie porze konflikt Wielkich Rodów miał największe szanse przerodzić się w zwykłą bitwę.

– Wciąż jeszcze się plączą? – zapytała, rozjarzając cynę i obserwując miasto. W dali było widać jasną łunę, dziwnie rozświetlającą mgły.

Spook wskazał w stronę światła.

– Twierdza Hasting. Żołnierze Elariel atakujący dzisiaj.

Vin skinęła głową. Zniszczenie Twierdzy Hasting było zdarzeniem, którego spodziewano się już od pewnego czasu. W ubiegłym tygodniu przetrwała ona kilka napaści ze strony różnych rodów. Sojusznicy się wycofywali, finanse były w rozsypce, zatem upadek stanowił tylko kwestię czasu.

Dziwne, lecz żaden z rodów nie atakował w ciągu dnia. Wojna była otoczona zasłoną sztucznej tajemnicy, jakby arystokracja uznawała panowanie Ostatniego Imperatora i nie chciała irytować go uciekaniem się do otwartych, dziennych działań. Wszystko załatwiano nocą, pod osłoną mgły.

– Chcenie chcieć tego – szepnął Spook.

Vin się zawahała.

– Hmm... Spook, czy nie mógłbyś spróbować mówić... normalnie?

Spook skinął głową w kierunku widniejącej w dali ciemnej budowli.

– Ostatni Imperator. Lubi chcieć walkę.

Vin skinęła głową. Kelsier miał rację. Ani Zakon, ani pałac nie okazywały szczególnego zaniepokojenia wojną rodów, a Garnizon także się nie spieszył z powrotem do Luthadelu. Ostatni Imperator spodziewał się wojny rodów i zamierza pozwolić, aby toczyła się własnym rytmem. Podobnie jak pożar traw, niech spali wszystko i użyźni glebę.

Tyle że tym razem, kiedy ucichnie jeden pożar, zacznie się drugi – atak Kelsiera na miasto.

Oczywiście jeśli Marsh zdoła się dowiedzieć, jak zatrzymać Stalowych Inkwizytorów. Oczywiście jeśli zdołamy opanować pałac. I oczywiście jeśli Kelsier znajdzie sposób na pokonanie Ostatniego Imperatora...

Vin pokręciła głową. Nie chciała źle myśleć o Kelsierze, ale nie wiedziała, jak to wszystko powinno się rozegrać. Garnizon jeszcze nie wrócił, ale z raportów wynikało, że jest blisko, może jeszcze tydzień albo dwa. Niektóre szlachetne rody padały, ale nie było widać tego ogólnego

chaosu, na który liczył Kelsier. Ostatnie Imperium było napięte, ale nie sądziła, by pękło.

Może jednak nie o to chodziło. Grupa poradziła sobie doskonale z rozpętaniem wojny rodów; trzy Wielkie Rody już nie isniały, pozostałe były znacznie osłabione. Minie wiele dziesięcioleci, zanim arystokracja stanie na nogi po swych własnych utarczkach.

Wykonaliśmy świetną robotę, zdecydowała. Nawet jeśli nie zaatakujemy pałacu... albo jeśli atak się nie powiedzie, i tak dokonaliśmy czegoś wspaniałego.

Dzięki informacjom od Marsha i tłumaczeniu pamiętnika przez Sazeda, rebelia będzie miała nową, użyteczną informację na przyszłość. Nie było to spełnieniem marzeń Kelsiera, nie całkowite obalenie Ostatniego Imperium, a jednak duże zwycięstwo – coś, co skaa będą mogli wspominać przez wiele lat i czerpać z tego otuchę.

I nagle Vin stwierdziła z zaskoczeniem, że jest dumna ze swojego udziału w tym przedsięwzięciu. Może w przyszłości pomoże w rozpętaniu prawdziwej rebelii – w miejscu gdzie skaa nie są tak całkiem otumanieni.

Jeśli takie miejsce istnieje... Vin zaczynała rozumieć, że to nie tylko Luthadel i jego stacje Uspokajania sprawiły, że skaa są tak pokorni. Chodziło o całokształt – obligatorzy, ciągłe prace w polu i młynie, stan umysłu narzucony przez tysiąc lat ucisku. Istniał powód, dla którego rebelie skaa zawsze były tak małe. Ludzie wiedzieli – albo uważali, że wiedzą – że z Ostatnim Imperium nie można walczyć.

Nawet Vin, która uważała się za „uwolnionego” złodzieja, wierzyła w to samo. Trzeba było szalonego, zwariowanego planu Kelsiera, by ją przekonać, że może być inaczej. Może dlatego właśnie stawiał grupie tak wymyślne zadania – wiedział, że tylko takie wyzwania mogą pozwolić im zrozumieć, na zasadzie jakiegoś pokrętnego myślenia, że to się może udać.

Spook spojrzał na nią. Było widać, że wciąż nie czuje się przy niej pewnie.

– Spook – odezwała się. – Wiesz, że Elend ze mną zerwał.

Spook skinął głową i się ożywił.

– Ale – ciągnęła dalej z żalem – ja go wciąż kocham. Przykro mi, Spook, ale to prawda.

Spuścił wzrok i wyraźnie posmutniał.

– Nie chodzi o ciebie – odparła. – Naprawdę... Chodzi o to, że... no cóż, nie poradzisz nic na to, że kogoś kochasz. Uwierz mi, istnieją ludzie, których wolałabym nigdy nie kochać, bo na to nie zasługują.

Spook skinął głową.

– Rozumiem.

– Mogę zachować chusteczkę?

Wzruszył ramionami.

– Dziękuję – odrzekła. – Dla mnie to bardzo ważne.

Podniósł wzrok i zapatrzył się w mgłę.

– Nie jestem głupi, wiedziałem, że nie zdarzenie z tym. Widzę rzeczy, Vin. Różne rzeczy.

Delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. Widzę rzeczy... bardzo właściwe stwierdzenie jak na Cynookiego.

– Długo jesteś Allomantą? – zapytała.

Spook skinął głową.

– Byłem Złamałem się, jak miałem pięć lat. Niewiele pamiętam.

– I od tamtej pory ćwiczysz z cyną?

– Głównie – odparł. – Bywała dla mnie dobra rzecz. Pozwala mi widzieć, pozwala mi słyszeć, pozwala mi czuć.

– A możesz mi coś podpowiedzieć? – zapytała z nadzieją.

Zamyślił się na chwilę, siedząc na krawędzi spadzistego dachu z jedną nogą dyndającą w powietrzu.

– Palenie cyny... niczego na widzenie. Bywanie na niewidzenie.

Vin zmarszczyła brwi.

– O co ci chodzi?

– Kiedy palisz – rzekł – przychodzi wszystko. Dużo wszystkiego. Różne rzeczy tu i tam. Wzięcie mocy i chcenie... Ignorowanie rozpraszania obu.

Jeśli chcesz być dobra w spalaniu cyny, przetłumaczyła to sobie Vin, musisz nauczyć się radzić sobie ze wszystkim, co cię rozprasza. Nie chodzi o to, co widzisz, chodzi o to, żebyś umiała ignorować.

– Interesujące – pomyślała.

Spook skinął głową.

– Kiedy patrzysz, widzisz mgłę i widzisz domy, i czujesz drewno i słyszysz szczury na dole. Wybierz jedno i nie daj się rozproszyć.

– Dobra rada – odparła Vin.

Spook skinął głową. Nagle za ich plecami rozległ się łomot. Podskoczyli oboje i ujrzeli Kelsiera, który ze śmiechem schodził ku nim po dachu.

– Musimy naprawdę znaleźć lepszy sposób ostrzegania ludzi, że nadchodzimy. Za każdym razem, kiedy odwiedzam czujkę, boję się, że ktoś ze strachu zeskoczy na ulicę.

Vin wstała, otrzepując ubranie. Miała na sobie mgielny płaszcz, koszulę i spodnie. Minęło wiele dni, odkąd miała na sobie sukienkę. Przebierała się tylko dla pozorów w domu Renoux. Kelsier zbyt się obawiał zabójców, by pozwolić jej pozostać tam dłużej.

Przynajmniej kupiliśmy sobie milczenie Kliss, pomyślała, wściekła na ten wydatek.

– Już czas? – spytała.

Kelsier skinął głową.

– Już wkrótce. Chcę jeszcze gdzieś wstąpić po drodze.

Vin skinęła głową. Na drugie spotkanie Marsh wybrał miejsce, które oficjalnie sprawdzał dla Zakonu. Była to znakomita okazja do spotkania, ponieważ Marsh miał wymówkę, by pozostawać w budynku nocą, pozornie Szperając za działaniami allomantycznymi w okolicy. Przez większość czasu będzie miał ze sobą Uspokajacza, ale w środku nocy na chwilę zostanie sam. Marsh uznał, że może nawet na całą godzinę. Niezbyt dużo czasu, gdyby musiał się wymknąć i wrócić, ale wystarczająco, by dwójka zręcznych Zrodzonych mogła mu złożyć wizytę.

Pożegnali się ze Spookiem i Odepchnęli się w noc. Jednakże nie wędrowali długo po dachach, gdyż Kelsier prawie od razu sprowadził ich na ulicę. Wylądowali i ruszyli pieszo, starając się oszczędzać metale.

Dziwne to, pomyślała Vin, przypominając sobie pierwszą noc ćwiczeń Allomancji z Kelsierem. Puste ulice już nie wydają mi się straszne.

Bruk był śliski od rosy, a pusta ulica pogrążona we mgle. Była ciemna, cicha i samotna, nie zmieniła tego nawet wojna. Grupy żołnierzy, kiedy atakowały, robiły to szybko, znienacka i skutecznie, starając się pokonać obronę nieprzyjacielskiego rodu.

Pomimo pustki nocnego miasta, Vin czuła się w nim dobrze. Mgła była jej sprzymierzeńcem.

– Vin – rzekł Kelsier. – Chciałem ci podziękować.

Spojrzała na niego – dumną, wysmukłą postać w majestatycznym mgielnym płaszczu.

– Podziękować? Za co?

– Za to, co powiedziałaś na temat Mare. Myślałem długo o tym dniu... o niej. Nie wiem, czy twoja zdolność widzenia poprzez chmury miedzi wyjaśnia wszystko, ale... no cóż, mając taki wybór, wolę myśleć, że Mare mnie nie zdradziła. – Pokręcił głową. – To brzmi głupio, prawda? Jakbym... przez te wszystkie lata czekał tylko na pretekst, by poddać się złudzeniom.

– Nie wiem – odparła. – Może kiedyś sądziłam, że jesteś głupcem, ale... to chyba jest właśnie zaufanie, prawda? Świadome uleganie złudzeniom? Musisz odciąć ten głos, który ci szepcze o zdradzie, i mieć nadzieję, że przyjaciele cię nie skrzywdzą.

Kelsier zachichotał.

– Vin, nie wydaje mi się, byś tym argumentem cokolwiek pomogła.

Wzruszyła ramionami.

– Dla mnie to sensowne. Brak zaufania to w gruncie rzeczy to samo, tyle że w drugą stronę. Rozumiem, że osoba, mając wybór pomiędzy dwoma założeniami, wybiera zaufanie.

– Ale nie ty? – zagadnął.

Znów wzruszenie ramion.

– Żebym to ja wiedziała.

Kelsier się zawahał.

– A ten twój... Elend. Istnieje szansa, że po prostu chciał cię odstraszyć, abyś wyjechała z miasta. Może powiedział to wszystko dla twojego własnego dobra.

– Może – zgodziła się. – Ale było w nim też coś innego... w tym, jak na mnie patrzył. Wiedział, że go okłamuję, ale chyba nie sądził, że jestem skaa. Prawdopodobnie uważał, że jestem szpiegiem innego rodu. W każdym razie wydawało się, że uczciwie chce się mnie pozbyć.

– Może myślałaś tak, ponieważ byłaś już przekonana o tym, że chce cię zostawić.

– Ja... – Urwała, spoglądając na śliską, pokrytą popiołem ulicę. – Nie wiem... I to twoja wina, wiesz? Kiedyś rozumiałam wszystko. Teraz wszystko jest poplątane.

– Tak, rzeczywiście, zaplątaliśmy cię nieźle – zgodził się z uśmiechem Kelsier.

– Nie wydajesz się zasmucony tym faktem.

– Nie – odparł. – Ani trochę. O, jesteśmy.

Przystanął przed szerokim, dużym budynkiem – prawdopodobnie kolejną kamienicą skaa. W środku było ciemno, skaa nie mogli sobie pozwolić na olej do lamp i z pewnością wygasili centralne ognisko zaraz po przygotowaniu wieczornego posiłku.

– To? – zapytała niepewnie Vin.

Kelsier skinął głową, podszedł i lekko zastukał do drzwi. Ku zaskoczeniu Vin drzwi otwarły się z wahaniem i w szczelinie pojawiła się pomarszczona twarz skaa.

– Lord Kelsier – zawołał cicho mężczyzna.

– Powiedziałem, że zajrzę – odparł z uśmiechem Kelsier. – Wydawało mi się, że dzisiaj będzie dobry dzień.

– Proszę wejść, proszę wejść – rzekł mężczyzna, otwierając drzwi. Odstąpił, uważając, by nie dotknęła go mgła, i wpuścił Kelsiera i Vin.

Vin widziała już wiele kamienic skaa, ale nigdy nie wydały jej się tak... przygnębiające. Odór dymu i niemytych ciał był obezwładniający i musiała zgasić cynę, żeby się nie dławić. Ciemny blask niewielkiego węglowego paleniska ukazywał grupę ściśniętych ludzi śpiących na podłodze. Zamiatali popiół, ale niewiele mogli zdziałać – czarne plamy pokrywały ich odzież, ściany i twarze. Mebli było niewiele, podobnie jak koców.

Kiedyś tak mieszkałam, pomyślała z przerażeniem. Kryjówki szajek były dokładnie tak samo upakowane, nieraz nawet bardziej. To... było moje życie.

Na widok gościa ludzie wstali. Kelsier podciągnął rękawy i blizny na jego rękach stały się widoczne w całej okazałości, nawet w tak słabym oświetleniu. Aż błyszczały; biegły od nadgarstków aż poza łokcie, krzyżując się i nakładając.

Natychmiast rozległy się szepty.

– Ocalały...

– On tu jest!

– Kelsier, Władca Mgieł...

A to coś nowego, pomyślała, unosząc brew. Stała w cieniu. Kelsier uśmiechał się i podchodził do skaa. Ludzie zebrali się wokół niego, wyciągając ręce, by dotknąć jego ramion i płaszcza. Inni po prostu stali i gapili się na niego z szacunkiem.

– Przyszedłem, by dać wam nadzieję – rzekł cicho Kelsier. – Dziś padł ród Hasting.

Rozległy się szepty zaskoczenia i podziwu.

– Wiem, że wielu z was pracowało w kuźniach i hutach Hastingów – rzekł Kelsier. – I uczciwie powiem, że nie wiem, co to znaczy dla was. Ale dla nas wszystkich jest to zwycięstwo. Na razie nie zginiecie, przynajmniej nie przed paleniskami czy pod pejczami nadzorców Hastingów.

W niewielkim tłumku rozległy się szmery głosów. Po chwili odezwał się ktoś, kogo głos był przepełniony niepokojem.

– Ród Hasting upadł? Kto nas nakarmi?

Jaki przerażony, pomyślała Vin. Nigdy taka nie byłam... A może?

– Wyślę wam jeszcze jeden transport żywności – obiecał Kelsier. – To was utrzyma przez jakiś czas.

– Zrobiłeś dla nas już tak wiele – powiedział inny mężczyzna.

– Nonsens – odparł Kelsier. – Jeśli chcecie mi się odwdzięczyć, wyprostujcie się trochę. Bądźcie nieco mniej przerażeni. Oni mogą zostać pokonani.

– Przez ludzi takich jak ty, lordzie Kelsier – szepnęła kobieta. – Ale nie przez nas.

– Zdziwilibyście się – odparł Kelsier, kiedy tłum się rozstąpił, żeby przepuścić rodziców z dziećmi. Wydawało się, że wszyscy w pomieszczeniu chcieli, by ich dzieci poznały Kelsiera. Vin przyglądała się temu z mieszanymi uczuciami. Grupa wciąż miała zastrzeżenia do rosnącej sławy Kelsiera wśród skaa, ale dotrzymała słowa i powstrzymywała się od komentarzy.

Jego naprawdę obchodzi ich los, pomyślała Vin, obserwując, jak Kelsier schyla się i podnosi z podłogi dziecko. Nie sądzę, żeby to było tylko na pokaz. On taki jest – kocha ludzi, kocha skaa. Ale przypomina to bardziej miłość rodzica do dziecka aniżeli człowieka do swego bliźniego.

Czy to takie złe? W końcu był dla skaa czymś w rodzaju ojca. Był szlachetnym panem, którego zawsze powinni byli mieć. Vin jednak nadal czuła się niepewnie, obserwując słabo oświetlone, brudne twarze rodzin skaa, o pełnych podziwu i szacunku oczach.

Kelsier pożegnał się wreszcie, mówiąc, że ma spotkanie. Wraz z Vin opuścili zatłoczony pokój, wychodząc na cudownie świeże nocne powietrze. Kelsier zachował milczenie przez całą drogę do nowej stacji Uspokajania Marsha, choć szedł jakby nieco bardziej sprężystym krokiem.

Wreszcie poczuła, że musi coś powiedzieć.

– Często ich odwiedzasz?

Kelsier skinął głową.

– Co najmniej kilka domów co noc. To urozmaica nieco moje inne prace.

Zabijanie szlachty i rozpuszczanie fałszywych informacji, pomyślała Vin. Tak, odwiedziny skaa to bardzo miła odmiana.

Miejsce spotkania znajdowało się zaledwie kilka ulic dalej. Kelsier zatrzymał się w wejściu i zmrużył oczy, usiłując przebić wzrokiem ciemność. Wreszcie wskazał słabo oświetlone okno.

– Marsh powiedział, że zostawi zapalone światło, jeśli inni obligatorzy odejdą.

– Okno czy schody? – zapytała.

– Schody – odparł. – Drzwi powinny być otwarte, a Zakon jest właścicielem całego budynku, więc nie ma tu nikogo.

Kelsier miał rację w obu kwestiach. Budynek nie cuchnął stęchlizną tak, jak inne opuszczone budowle, ale kilka dolnych pięter z całą pewnością nie było używanych. Vin i Kelsier szybko wspięli się po schodach.

– Marsh powinien opowiedzieć nam, jaka jest reakcja Zakonu na Wojnę Rodów – rzekł Kelsier, kiedy dotarli na górę. W szczelinie w drzwiach migotało światło lampy. Kelsier pchnął drzwi, nie przestając mówić. – Mam nadzieję, że Garnizon nieprędko wróci. Szkoda już się dokonała, ale chciałbym, żeby wojna trwała jeszcze...

Zamarł w progu, zasłaniając Vin widok.

Natychmiast rozjarzyła cynę z ołowiem i czystą miedź, przypadła do podłogi i zaczęła nasłuchiwać. Nic. Cisza.

– Nie... – wyszeptał Kelsier.

Wtedy Vin ujrzała ciemnoczerwoną strużkę, która się przesączała wzdłuż stopy Kelsiera. Zebrała się w niewielką kałużę, po czym zaczęła ściekać z pierwszego stopnia.

O, nie, Ostatni Imperatorze...

Kelsier wszedł chwiejnym krokiem do pokoju. Vin poszła za nim, ale wiedziała, co zobaczy. Ciało leżało prawie na środku pokoju, rozdarte, rozczłonkowane, ze zmiażdżoną głową. Zaledwie można było w nim rozpoznać ludzką istotę. Ściany były całe spryskane czerwienią.

Czy jedno ciało może zawierać aż tyle krwi? Wyglądało to dokładnie tak jak przedtem, w piwnicy kryjówki Camona... ale ofiara była tylko jedna.

– Inkwizytor – szepnęła.

Kelsier, nie zwracając uwagi na krew, chwiejnie ukląkł przy ciele brata. Podniósł dłoń, jakby chciał dotknąć pozbawionego skóry ciała ale znieruchomiał tam, całkowicie oszołomiony.

– Kelsier – odezwała się niecierpliwie. – To było niedawno, Inkwizytor może wciąż tu być.

Nie poruszył się.

– Kelsier! – warknęła Vin.

Kelsier drgnął, rozejrzał się. Jego oczy napotkały jej wzrok, przytomność wróciła na chwilę. Niepewnie wstał na nogi.

– Okno – rzuciła. Zatrzymała się jednak, kiedy ujrzała coś leżącego na niewielkim biurku obok ściany. Drewnianą nogę stołową, częściowo ukrytą pod czystą kartką papieru. Zanim Kelsier dotarł do okna, chwyciła ją i podążyła za nim.

Obejrzał się, jeszcze raz ogarnął wzrokiem pokój, po czym skoczył w noc.

Żegnaj, Marsh, pomyślała ze smutkiem Vin i podążyła za nim.

***

– „Sądzę, że Inkwizytorzy mnie podejrzewają” – czytał Dockson. Papier – pojedynczy arkusik wyjęty z nogi stołowej – był czysty i biały, wolny od krwi, która splamiła kolana Kelsiera i dół płaszcza Vin.

Dockson czytał dalej.

– „Zadano mi tak wiele pytań, wiem, że wysłali też co najmniej jedną wiadomość do przekupionego obligatora, który miał mnie szkolić na akolitę. Próbowałem znaleźć tajemnice, które rebelie zawsze chciała poznać. Jak Zakon rekrutuje Zrodzonych z Mgły na Inkwizytorów? Dlaczego Inkwizytorzy są silniejsi niż zwykli Allomanci? Jaka jest ich słaba strona, jeśli istnieje?

Niestety, nie dowiedziałem się o nich prawie niczego. Choć politykierstwo w normalnych szeregach Zakonu nie przestaje mnie zdumiewać. Normalni obligatorzy nie przejmują się zewnętrznym światem, z wyjątkiem prestiżu, który uzyskują, kiedy z największym sprytem lub powodzeniem stosują dyktaty Ostatniego Imperatora.

Inkwizytorzy jednak są inni. Są bardziej lojalni wobec Ostatniego Imperatora niż zwykli obligatorzy i prawdopodobnie to jest przyczyną rozdźwięku pomiędzy obu grupami.

Nieważne, i tak wiem, że jestem blisko. Mają jakiś sekret, Kelsierze. Słabość. Jestem tego pewien. Inni obligatorzy szepczą o nim, choć nikt nie wie, co to jest.

Czuję, że zbyt mocno węszyłem. Inkwizytorzy mnie śledzą, obserwują, pytają o mnie. Więc przygotowuję tę notatkę. Może moja ostrożność jest niepotrzebna.

Może nie”.

Dockson podniósł wzrok.

– To wszystko... co tu jest – rzekł.

Kelsier stał w głębi kuchni, oparty o kredens. Ale... tym razem jego postawa nie miała w sobie nic zawadiackiego. Stał ze skrzyżowanymi rękoma i lekko pochyloną głową. Jego pełen niedowierzania smutek jakby ulatywał, zastąpiony innym uczuciem – Vin widywała je czasami, żarzące się, mroczne, ukryte w głębi oczu. Zwykle wtedy, kiedy mówił o szlachcie.

Zadrżała mimo woli. Kiedy tak stał, nagle sobie uświadomiła, jak jest ubrany – ciemnoszary mgielny płaszcz, czarna koszula z długimi rękawami, ciemne spodnie. W nocy ten strój był zwykłym kamuflażem. W oświetlonym pokoju te ciemne barwy wydawały się groźne.

Wyprostował się nagle, w kuchni zapadła cisza.

– Powiedzcie Renoux, żeby ruszał – zaczął cicho Kelsier, ale jego głos był zimny jak stal. – Niech użyje historyjki o planowanym wyjeździe, że „wycofuje” się do rodzinnych stron z powodu wojny rodów, ale ma zniknąć do jutra. Wyślijcie do niego Zbira i Cynookiego jako ochronę, ale powiedzcie, żeby porzucił barki o dzień drogi od miasta i wrócił do nas.

Dockson zawahał się, spojrzał na Vin i pozostałych.

– Dobrze...

– Marsh wiedział wszystko, Dox – odparł Kelsier. – Złamali go, zanim zabili... tak działają Inkwizytorzy.

Słowa zawisły w powietrzu. Vin zadrżała. Kryjówka była spalona.

– Do zapasowej kryjówki? – zapytał Dockson. – Tylko ty i ja znamy jej lokalizację.

Kelsier skinął stanowczo głową.

– Chcę, żeby wszyscy opuścili ten sklep, w tym uczniowie, w ciągu piętnastu minut. Za dwa dni spotkamy się w zapasowej kryjówce.

Docskon spojrzał ze zmarszczonymi brwiami na Kelsiera.

– Dwa dni? Kell, co ty planujesz?

Kelsier podszedł do drzwi. Otwarł je gwałtownie, wpuszczając do środka mgłę, po czym popatrzył na grupę wzrokiem tak zimnym, jak szpile w twarzy Inkwizytora.

– Zadali mi cios tam, gdzie już bardziej nie mogło zaboleć. Zrobię to samo.

***

Walin przedzierał się przez ciemność, macając ściany ciasnej jaskini, przepychając ciało przez wąskie szczeliny. Schodził w dół, dotykając ścian palcami, ignorując liczne zadrapania i rany.

Muszę iść dalej... muszę iść dalej... Szczątkami zdrowych zmysłów mówił sobie, że to ostatni dzień. Od ostatniego powodzenia minęło sześć dni. Jeśli zawiedzie siódmego dnia, zginie.

Muszę iść dalej.

Nie widział nic, był zbyt głęboko pod powierzchnią, by przechwycić bodaj odbity promień światła. Ale nawet bez światła umiał znaleźć drogę. Były tylko dwa kierunki: w górę i w dół. Ruchy na boki nie były ważne, łatwo o nich zapomnieć. Nie zgubi się, dopóki będzie szedł w dół.

Przez cały czas dotykał ściany palcami, szukając wymownej szorstkości pączkującego kryształu. Tym razem nie mógł wrócić, dopóki nie będzie miał szczęścia, dopóki...

Muszę iść dalej.

Jego dłonie dotknęły przelotnie czegoś miękkiego i zimnego. Gnijący trup, wbity pomiędzy dwie skały. Walin minął go. Ciała nie były w ciasnych jaskiniach żadną rzadkością; niektóre były świeższe, z innych pozostały tylko kości. Często zastanawiał się, czy ci martwi nie mieli więcej szczęścia od niego.

Muszę iść dalej.

W jaskiniach „czas” nie istniał. Zwykle wracał na górę przespać się – choć na powierzchni byli nadzorcy z pejczami, ale było tam także jedzenie.

Skąpe, zaledwie wystarczające na utrzymanie przy życiu, ale lepsze niż głód, który czekał go, gdyby pozostał na dole zbyt długo.

Muszę iść...

Zamarł. Leżał z tułowiem wciśniętym w głęboką szczelinę skalną i właśnie zamierzał się przecisnąć na drugą stronę. Jednak jego palce, nawet kiedy on sam był półprzytomny, wciąż gładziły ściany. I znalazły coś.

Jego dłoń zadrżała z niecierpliwości, kiedy dotykał kryształowych pączków. Tak, tak, to one. Wyrastały w szerokim, kołowym układzie na ścianie – małe na skraju, stopniowo rosnące ku środkowi. Dokładnie w środku tego układu kryształy zaginały się do środka, tworząc coś w rodzaju pustki w ścianie. Tu kryształy były długie, miały zębate, ostre krawędzie. Jak zęby wystające z paszczy skalnej bestii.

Odetchnął głęboko i modląc się do Ostatniego Imperatora, wbił rękę w okrągły otwór wielkości pięści. Kryształy rozdarły mu ramię, wycinając długie, płytkie rysy w skórze. Zignorował ból, wepchnął ramię jeszcze głębiej, aż po łokieć, palcami szukając...

Jest! Palce natrafiły na mały kamień pośrodku pustki – kamień utworzony przez tajemnicze krople spływające z kryształów. Geodę Hathsin.

Chwycił ją mocno, szarpnął, po raz drugi rozdzierając ramię, kiedy wyciągał je z okolonej kryształami dziury. Dysząc ciężko, przytulił do serca małą kamienną kulę.

Jeszcze siedem dni. Będzie żył kolejne siedem dni.

Zanim głód i zmęczenie osłabią go bardziej, Walin rozpoczął pracowitą wspinaczkę w górę. Przeciskał się przez szczeliny, wspinał na wystające skały. Czasem musiał przesunąć się na lewo lub w prawo, dopóki strop nie otworzył się znowu, ale otwierał się zawsze. Właściwie były tylko dwa kierunki – w górę i w dół.

Uważnie wsłuchiwał się w odgłosy innych poszukiwaczy. Już nieraz się zdarzało, że wychodzący został zabity przez młodszego, silniejszego mężczyznę, który chciał skraść mu geodę. Na szczęście nie spotkał nikogo. Dobrze. Był starszym człowiekiem – dość starym, by wiedzieć, że nie powinien był kraść jedzenia lordowi swej plantacji.

Może zasłużył na karę. Może zasłużył na to, by umrzeć w Czeluściach Hathsin.

Ale nie umrę dzisiaj, pomyślał, kiedy odetchnął wreszcie słodkim, świeżym powietrzem. Nad głową miał noc. Nie szkodzi. Mgły już mu nie przeszkadzały. Nawet chłosta już mu nie przeszkadzała. Był zbyt zmęczony, by go to obeszło.

Zaczął gramolić się ze szczeliny... jednej z dziesiątek w małej, płaskiej dolinie znanej jako Czeluście Hathsin. I zamarł.

Nad nim stał w ciemności człowiek. Był odziany w szeroki płaszcz, który wyglądał jak podarty w strzępy. Mężczyzna spojrzał na Walina, spokojny i potężny w swym czarnym stroju. A potem się pochylił.

Walin się skulił. Mężczyzna jednak tylko złapał go za rękę i wyciągnął ze szczeliny.

– Idź! – rzekł cicho, otoczony przez wijące się pasma mgły. – Większość strażników nie żyje. Zbierz tylu więźniów, ilu zdołasz, i uciekaj stąd. Masz geodę?

Walin znów się skulił i przycisnął dłoń do piersi.

– Dobrze – rzekł obcy. – Rozłup ją. Znajdziesz w środku kawałek metalu, jest bardzo cenny. Sprzedaj go podziemiu w pierwszym mieście, w którym się znajdziesz, powinieneś zarobić na życie na wiele lat. Uciekaj! Nie wiem, ile masz czasu, dopóki nie podniosą alarmu.

Walin cofnął się chwiejnie, zmieszany.

– Kim... kim ty jesteś?

– Jestem tym, czym ty wkrótce będziesz – rzekł obcy, podchodząc do szczeliny. Wstęgi płaszcza unosiły się wokół niego, mieszając z pasmami mgły, kiedy spojrzał na Walina. – Jestem ocalałym.

***

Kelsier spojrzał w dół, badając długą szczelinę w skale, słuchając, jak gdzieś dalej więźniowie wychodzą na powierzchnię.

– I oto wracam – rzekł cicho. Jego blizny płonęły, wspomnienia powróciły. Wspomnienia miesięcy spędzonych na przeciskaniu się przez szczeliny, zdzieraniu rąk o krystaliczne noże, codzienne szukanie geod... jednej, tak aby mógł przeżyć kolejny tydzień.

Tak. Dla jej marzeń mógł to uczynić.

Podszedł do szczeliny i zmusił się, by wejść do środka. A potem zapalił cynę i z dołu natychmiast dobiegły go trzaski.

Cyna rozpaliła szczelinę pod nim. Pęknięcie nie tylko się rozszerzało, lecz i rozgałęziało, wysyłając we wszystkich kierunkach kręte korytarze. Częściowo szczelina, częściowo jaskinia, częściowo tunel. Widział już swoją pierwszą krystaliczną niszę atium – a raczej to, co z niej zostało. Długie, srebrzyste kryształy były popękane i połamane.

Używanie Allomancji w pobliżu kryształów atium powodowało ich pękanie. Dlatego zamiast Allomantów, Ostatni Imperator musiał użyć niewolników, aby zbierali dla niego atium.

A teraz prawdziwy test, pomyślał Kelsier, wciskając się głębiej w szczelinę. Zapalił żelazo i natychmiast ujrzał kilka błękitnych linii wskazujących na dół, w stronę nisz atium. Choć nisze prawdopodobnie nie zawierały już geod atium, kryształy również dawały blade, niebieskie linie. Zawierały one szczątkowe ilości atium.

Kelsier skupił się na niebieskich liniach i Pociągnął lekko. Wzmocniony cyną słuch pochwycił trzask w głębi szczeliny.

Kelsier się uśmiechnął.

Prawie trzy lata temu, stojąc nad krwawymi ciałami nadzorców, którzy zachłostali Mare na śmierć, po raz pierwszy zauważył, że może użyć żelaza, by się zorientować, gdzie leżą nisze kryształów. Wtedy nie rozumiał swych allomantycznych mocy, ale jeszcze wówczas w jego głowie zaczął formułować się plan. Plan zemsty.

Plan się rozwijał, rozrastał, obejmując o wiele więcej niż początkowe zamierzenia. Jednakże jedna z jego kluczowych części pozostała starannie ukryta w ciemnych zakamarkach jego umysłu. Mógł znaleźć nisze kryształów. Mógł je zniszczyć, używając Allomancji.

A w całym Ostatnim Imperium był tylko jeden sposób, aby wyprodukować atium.

Próbowałyście mnie zniszczyć, Czeluście Hathsin, pomyślał, schodząc jeszcze niżej. Nadszedł czas odwdzięczyć się wam tym samym.

Jesteśmy już blisko. Dziwne, że tak wysoko w górach wreszcie czujemy się wolni od natrętnego dotyku Głębi. Minęło sporo czasu, odkąd czułem się tak po raz ostatni.

Jezioro, które odkrył Fedik, jest teraz pod nami – widzę je z grani. Stąd wygląda jeszcze bardziej upiornie z tym swoim szklistym, niemal metalicznym połyskiem. Żałuję, że nie pozwoliłem mu pobrać próbki wody.

Może to jego zainteresowanie rozwścieczyło istotę z mgły, która za nami podąża. Może... dlatego właśnie go zaatakowała, uderzając niewidzialnym nożem.

Dziwne, lecz ten atak mnie pokrzepił. Teraz wiem już, że widział ją także ktoś inny. A to oznacza, że nie oszalałem.

33

– I... to wszystko? – zapytała Vin. – Mówię o planie.

Ham wzruszył ramionami.

– Jeśli Inkwizytorzy złamali Marsha, oznacza to, że wiedzą o wszystkim. A przynajmniej to, że planujemy uderzyć na pałac i wykorzystać wojnę rodów jako przykrywkę. Teraz nie uda nam się wywabić Ostatniego

Imperatora z miasta, i z pewnością nie uda nam się go zmusić, by wysłał straż pałacową na ulicę. To nie wygląda dobrze, Vin.

Vin milczała, przetrawiając informację. Ham siedział ze skrzyżowanymi nogami na brudnej podłodze, oparty o ceglaną ścianę. Zapasową kryjówkę mieli w wilgotnej piwnicy o trzech pomieszczeniach, powietrze było czuć brudem i popiołem. Uczniowie Clubsa wzięli jedno z pomieszczeń dla siebie, choć Dockson odesłał całą służbę, zanim się tu ukryli.

Breeze stał pod ścianą. Od czasu do czasu rzucał niepewne spojrzenia na brudną podłogę i zakurzone krzesła, ale zdecydował, że będzie stał. Vin nie wiedziała, co go tak odstręcza – nie miał szans na utrzymanie ubrania w czystości, mieszkając w zasadzie w dziurze w ziemi.

Breeze nie był jedynym, który traktował z urazą tę dobrowolnie sobie narzuconą niewolę. Vin słyszała, jak uczniowie burczeli między sobą, że woleliby, żeby zabrał ich Zakon. Jednakże w ciągu tych dwóch dni w piwnicy wszyscy pozostawali w kryjówce, chyba że wyjście było absolutnie konieczne. Rozumieli zagrożenie – Marsh mógł przekazać Inkwizytorom opisy i pseudonimy wszystkich członków grupy.

Breeze pokręcił głową.

– Panowie, może czas już zwinąć tę operację. Próbowaliśmy uparcie, a biorąc pod uwagę, że nasz oryginalny plan – zebranie armii – zakończył się tak tragicznie, powiedziałbym raczej, że wykonaliśmy naprawdę niezwykłą pracę.

Dockson westchnął.

– Cóż, z pewnością nie przeżyjemy długo z oszczędności, zwłaszcza jeśli Kell nadal będzie rozdawał nasze pieniądze skaa. – Siedział przy stole, który był jedynym meblem w pomieszczeniu, przed stertą ksiąg, rachunków i kontraktów, poukładanych w równe stosiki. Wyjątkowo skutecznie zbierał wszelkie papierki, które mogłyby zaszkodzić grupie albo zdradzić więcej informacji na temat ich planu.

Breeze skinął głową.

– Przede wszystkim marzę o zmianie. To było radosne, ciekawe zadanie, pełne satysfakcjonujących uczuć, ale praca z Kelsierem bywa nieco męcząca.

Vin zmarszczyła brwi.

– Nie zostajesz z nami?

– To zależy od kolejnego zadania – odparł Breeze. – Nie jesteśmy podobni do innych szajek, które znałaś – pracujemy, kiedy chcemy, a nie dlatego, że nam każą. Opłaca nam się przebierać w zadaniach. Nagroda jest wspaniała, ale ryzyko wielkie.

Ham uśmiechnął się. Założył ręce za głowę, nie przejmując się brudem.

– W takich chwilach zaczynasz się zastanawiać, jakim cudem znalazłeś się w tej pracy. Bardzo duże ryzyko, bardzo mała nagroda.

– Właściwie żadna – odparł Breeze. – Teraz nigdy nie dostaniemy tego atium. Słowa Kelsiera o altruizmie i pomocy dla skaa były mądre i dobre, ale ja zawsze miałem nadzieję, że uda nam się rozbić ten skarbiec.

– Prawda. – Dockson skinął głową, unosząc ją na moment znad notatek. – Kell sam to powiedział – wybrał nas, ponieważ wiedział, że chętnie spróbujemy czegoś innego, aby osiągnąć godny cel. Jesteście dobrymi ludźmi... nawet ty, Breeze. Przestań się krzywić.

Vin uśmiechnęła się, słysząc znajome przekomarzanie. W powietrzu wisiała żałoba po śmierci Marsha, ale ci ludzie wiedzieli, że pomimo strat i bólu trzeba iść dalej. W tym jednym naprawdę przypominali skaa.

– Wojna rodów – mruknął Ham, uśmiechając się. – Ilu szlachciców zginie, jak sądzicie?

– Co najmniej parę setek – odparł Dockson. – I pozabijają się wzajemnie swymi chciwymi łapami.

– Przyznaję, że miałem wątpliwości dotyczące tego fiaska – mruknął Breeze – ale zakłócenia w interesach, jakie to spowoduje, nie mówiąc o bałaganie w rządzie... Cóż, masz rację, Dockson, warto było.

– Faktycznie! – wtrącił Ham, przedrzeźniając nadęty głos Breeze’a.

Będę za nimi tęskniła, pomyślała z żalem Vin. Może Kelsier zabierze mnie ze sobą na kolejną robotę?

Schody zadygotały i Vin odruchowo cofnęła się w cień. Połamane drzwi otwarły się i do piwnicy weszła znajoma, ubrana na czarno postać. Mgielny płaszcz miała przerzucony przez ramię, a na twarzy cień niewiarygodnego zmęczenia.

– Kelsier! – zawołała Vin, wychodząc mu na spotkanie.

– Cześć wszystkim – odparł znużonym głosem.

Znam to zmęczenie, pomyślała Vin. Ciąg cynowy. Gdzież on był?

– Spóźniłeś się, Kell – mruknął Dockson.

– Staram się zachować pewną przewidywalność – odrzekł Kelsier, rzucając płaszcz na podłogę. Przeciągnął się i usiadł. – Gdzie Clubs i Spook?

– Clubs śpi w ostatniej sali – wyjaśnił Dockson. – Spook poszedł z Renoux. Doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli wartę powierzymy naszemu najlepszemu Cynookiemu.

– Dobry pomysł – mruknął Kelsier. Odetchnął głęboko i przymknął oczy, opierając się o ścianę.

– Chłopie – wyszeptał Breeze. – Wyglądasz potwornie.

– Nie jest tak źle. Nie spieszyłem się z powrotem, a nawet się zatrzymałem i przespałem parę godzin.

– Tak, ale gdzie byłeś? – dopytywał się Ham. – Zamartwialiśmy się, że robisz coś... no wiesz, głupiego.

– Właściwie – dodał Breeze – przyjęliśmy za pewnik, że robisz coś głupiego. Zastanawialiśmy się jedynie, jak głupie jest to, co robisz, i czym się skończy. Więc co tym razem? Zamordowałeś lorda prelana? Zarżnąłeś dziesiątki szlachciców? Ukradłeś płaszcz z grzbietu Ostatniego Imperatora?

– Zniszczyłem Czeluście Hathsin – odparł spokojnie zapytany Kelsier.

W pokoju zapanowała pełna zdumienia cisza.

– Wiesz co – rzekł w końcu Breeze – wydawałoby się, że do tej pory już powinniśmy się nauczyć cię doceniać.

– Zniszczyłeś? – zapytał Ham. – Jak można zniszczyć Czeluście Hathsin? Przecież to tylko kilka dziur w ziemi.

– No cóż, nie zniszczyłem samych szczelin – wyjaśnił Kelsier. – Po prostu rozbiłem kryształy produkujące geody atium.

– Wszystkie? – zapytał oszołomiony Dockson.

– Wszystkie, które mogłem znaleźć – odparł Kelsier. – A było ich kilkaset. Teraz, kiedy mam Allomancję, o wiele łatwiej było mi zejść na dół.

– Kryształy? – zapytała Vin.

– Kryształy atium, Vin – odparł Dockson. – To z nich powstają geody. Nie wiem, czy ktoś w ogóle ma pojęcie, jak... ale mają w środku paciorki atium.

Kelsier skinął głową.

– To z powodu kryształów Ostatni Imperator nie może wysyłać na dół Allomantów, aby Wyciągali geody atium. Używanie Allomancji powoduje

ich pękanie, a odrastanie trwa wieki.

– Wieki, podczas których nie będą produkować atium – dodał Dockson.

– I tym samym... – Vin nie dokończyła.

– W zasadzie położyłem kres produkcji atium w Ostatnim Imperium na jakieś kolejne trzysta lat.

Elend. Ród Venture. To oni zarządzają Czeluściami. Jak zareaguje Ostatni Imperator, kiedy się o tym dowie?

– Ty szaleńcze – spokojnie rzekł Breeze, szeroko otwierając oczy. – Atium jest fundamentem gospodarki imperialnej, kontrola nad nim stanowi jedną z wielu metod Ostatniego Imperatora wywierania nacisku na szlachtę. Może nie dotrzemy do jego rezerw, ale to będzie miało podobny efekt. Ty błogosławiony idioto... błogosławiony geniuszu!

Kelsier uśmiechnął się smutno.

– Dzięki za oba komplementy. Czy Inkwizytorzy już zainteresowali się sklepem Clubsa?

– Nasi strażnicy nic nie zauważyli – odparł Dockson.

– Dobrze – mruknął Kelsier. – Może jednak nie złamali Marsha. W ostateczności miejmy nadzieję, że nie zorientują się, że ich stacje Uspokajania są spalone. A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, pójdę się przespać. Jutro mamy dużo planów do przygotowania.

Grupa znieruchomiała.

– Plany? – zapytał wreszcie Dox. – Kell... właściwie to myśleliśmy, że należy się już wycofać. Spowodowaliśmy wojnę rodów, a ty właśnie obaliłeś gospodarkę imperialną. Skoro nasza przykrywka – i cały plan – został spalony... no cóż, chyba nie możesz od nas oczekiwać niczego więcej, prawda?

Kelsier uśmiechnął się, dźwignął chwiejnie na nogi i ruszył do ostatniego pokoju.

– Pogadamy jutro.

***

– Jak ci się zdaje, Sazedzie, co on planuje? – zapytała Vin, siadając na stołku przy palenisku, gdzie Terrisanin przygotowywał popołudniowy posiłek. Kelsier przespał całą noc i nie wstał do popołudnia.

– Nie mam pojęcia, panienko, naprawdę – rzekł Sazed, próbując potrawki. – Choć w tej chwili, przy takim chaosie w mieście, czyż to nie doskonała okazja, by zaatakować Ostatnie Imperium?

Vin się zamyśliła.

– Myślę, że wciąż możemy zaatakować pałac... Kell zawsze chciał to zrobić. Jeśli nawet ktoś ostrzegł Ostatniego Imperatora, to pozostali nie wiedzą, kiedy to się mogło stać. Poza tym nie wydaje mi się, żebyśmy mieli dość żołnierzy, by cokolwiek zdziałać w mieście. Ham i Breeze nie skończyli jeszcze rekrutacji.

Sazed wzruszył ramionami.

– Może Kelsier planuje zrobić coś z Ostatnim Imperatorem? – zastanawiała się Vin.

– Może.

– Sazed – ożywiła się nagle – ty zbierasz legendy, prawda?

– Jako Opiekun zbieram wiele rzeczy – odparł. – Opowieści, legendy, religie. Kiedy byłem młody, inny Opiekun wyrecytował mi całą swoją wiedzę, abym mógł ją przechować i uzupełniać.

– Słyszałeś kiedyś o tym Jedenastym Metalu, o którym opowiada Kelsier?

– Nie, panienko. Ta legenda była dla mnie czymś nowym, usłyszałem ją od mistrza Kelsiera.

– Ale on przysięga, że to prawda – zaprotestowała. – A ja... z jakiegoś powodu mu wierzę.

– Możliwe, że są legendy, których nie znam. Gdyby Opiekunowie wiedzieli wszystko, nie musielibyśmy dalej poszukiwać.

Vin skinęła głową.

Sazed cały czas mieszał zupę. Wydawał się taki... dystyngowany, nawet kiedy oddawał się takiej zwyczajnej czynności. Stał przy kotle, w szacie lokaja, nie przejmując się prostą pracą, jaką wykonywał, bez trudu przejmując obowiązki od służby, którą zwolniono.

Na schodach rozległy się szybkie kroki. Vin zsunęła się ze stołka.

– Panienko? – zdziwił się Sazed.

– Ktoś jest na schodach – odparła, podchodząc do drzwi.

Jeden z uczniów – Vin wydawało się, że miał na imię Tase – wpadł do głównego pomieszczenia. Teraz, po odejściu Lestibournesa, to on był głównym obserwatorem grupy.

– Na placu zbierają się ludzie – rzekł, wskazując na drzwi.

– Co się dzieje? – zapytał Docskon, wchodząc z drugiego pokoju.

– Ludzie są na placu z fontannami, panie Dockson – odparł chłopak. – Po ulicach chodzą słuchy, że obligatorzy planują kolejne egzekucje.

Odwet za Czeluście, pomyślała Vin. Szybko im to poszło.

Dockson się zachmurzył.

– Idź, obudź Kella.

***

– Zamierzam je oglądać – rzekł Kelsier, wchodząc do sali, odziany w prosty strój skaa i płaszcz.

Vin poczuła ucisk w żołądku. Znowu?

– Możecie robić to, co uznacie za stosowne – dodał. Po długim odpoczynku wyglądał o wiele lepiej – zmęczenie znikło i jego miejsce zajęła charakterystyczna siła, której Vin zawsze się u niego doszukiwała.

– Egzekucje są przypuszczalnie reakcją na to, co zrobiłem w Czeluściach – rzekł. – Będę obserwował śmierć tych ludzi, ponieważ się do niej przyczyniłem.

– To nie twoja wina, Kell – odparł Dockson.

– To wina nas wszystkich – rzucił twardo Kelsier. – Co nie oznacza, że to, co robimy, robimy źle. Jednakże gdyby nie my, ci ludzie nie musieliby ginąć. Ja sam uważam, że obecność przy egzekucji to minimum tego, co możemy zrobić dla tych ludzi.

Otwarł drzwi i ruszył na schody. Reszta grupy powoli poszła za nim – tylko Clubs, Sazed i uczniowie pozostali w kryjówce.

Vin wspięła się na spróchniałe schody i dołączyła do pozostałych na brudnej uliczce w środku slumsów skaa. Z nieba sypał się popiół, ciemne płatki unosiły się leniwie. Kelsier zdążył się już oddalić, a reszta – Breeze, Ham, Dockson i Vin – ruszyła szybko, żeby go dogonić.

Kryjówka znajdowała się w pobliżu placu fontann. Kelsier jednak zatrzymał się kilka ulic od miejsca przeznaczenia. Skaa o tępych oczach wymijali ich, trącali. Gdzieś w oddali dzwonił dzwon.

– Kell?! – zawołał Dockson.

Kelsier przekrzywił głowę.

– Vin, słyszysz to?

Przymknęła oczy i rozjarzyła cynę.

Skoncentruj się, pomyślała. Tak jak powiedział Spook. Przedrzyj się przez szuranie stóp i szepty. Słysz poprzez trzaskanie drzwiami i oddechy, słuchaj...

– Konie – powiedziała, tłumiąc cynę i otwierając szeroko oczy. – I powozy.

– Wozy dla ludzi – odparł Kelsier, kierując się ku poboczu ulicy. – Z więźniami. Będą jechały tędy.

Spojrzał w górę, na otaczające ich budynki, po czym chwycił się rynny i zaczął po niej wspinać. Breeze spojrzał w górę, trącił Docksona i wskazał mu ruchem głowy front budynku, ale Vin i Ham – z cyną i ołowiem – bez trudu podążyli na dach za Kelsierem.

– Tam – rzekł Kelsier, pokazując ulicę opodal.

Vin zaledwie mogła rozróżnić rząd okratowanych wozów więziennych, toczących się w kierunku placu.

Dockson i Breeze weszli przez okno na spadzisty dach. Kelsier został tam, gdzie był, na skraju dachu, i obserwował wozy.

– Kell – ostrożnie odezwał się Ham – o czym myślisz?

– Wciąż jesteśmy dość daleko od placu. A Inkwizytorzy nie jadą z więźniami... będą wychodzić z pałacu, jak ostatnio. Tych ludzi pilnuje nie więcej niż setka żołnierzy.

– Stu ludzi to i tak dużo, Kell – odparł Ham.

Kelsier jakby nie słyszał jego słów. Zbliżył się do krawędzi dachu.

– Mogę to powstrzymać... mogę ich uratować.

Vin podeszła do niego.

– Kell, może przy więźniach nie ma tylu strażników, ale plac z fontannami znajduje się tylko parę ulic stąd. A tam pełno jest żołnierzy, nie wspominając o Inkwizytorach!

Ham jednak nie poparł jej. Odwrócił się, spojrzał na Docksona i Breeze’a. Dox myślał. Breeze wzruszył ramionami.

– Czy wyście wszyscy poszaleli?! – zawołała Vin.

– Czekaj chwilę – odparł Breeze, mrużąc oczy. – Nie jestem Cynookim, ale czy niektórzy z tych więźniów nie wydają się wam za dobrze ubrani?

Kelsier zaklął. Bez ostrzeżenia zeskoczył z dachu, wprost na ulicę.

– Kell! – zawołała za nim Vin. – Co...

Urwała, spoglądając na czerwony zachód słońca i przenosząc wzrok na powoli zbliżającą się procesję wozów. Jej wzmocnione cyną oczy spostrzegły kogoś siedzącego z przodu wozu, kto wydał jej się znajomy.

Spook.

***

– Kelsier, co się dzieje?! – zawołała, biegnąc obok niego ulicą.

Zwolnił odrobinę.

– W pierwszym wozie zobaczyłem Renoux i Spooka. Zakon musiał uderzyć na karawanę Renoux na kanale... ludzie w tych wozach to służba, robotnicy i strażnicy, których najęliśmy do pracy w posesji.

Karawana na kanale... pomyślała Vin. Zakon musiał wiedzieć, że Renoux jest podstawiony. Marsh zaczął jednak sypać.

Za ich plecami wyłonił się z budynku Ham i pobiegł ulicą. Breeze i Dockson się nie spieszyli.

– Musimy działać szybko! – zawołał Kelsier i przyspieszył kroku.

– Kell! – Chwyciła go za ramię. – Kelsier, nie uratujesz ich. Są zbyt dobrze strzeżeni, jest biały dzień pośrodku miasta. Zabiją cię!

Zatrzymał się i odwrócił. Spojrzał Vin głęboko w oczy, z widocznym rozczarowaniem.

– Wciąż jeszcze nie rozumiesz, o co chodzi, prawda, Vin? Nigdy nie rozumiałaś. Pozwoliłem ci się zatrzymać raz, wtedy, na wzgórzu przed polem bitwy. Ale nie tym razem. Tym razem mogę coś zrobić.

– Ale...

Wyrwał się z jej uchwytu.

– Wciąż jeszcze musisz nauczyć się tego i owego o przyjaźni, Vin. Mam nadzieję, że pewnego dnia się to ziści.

I ruszył przed siebie, kierując się ku wozom. Ham pogalopował w całkiem inną stronę, przepychając się pomiędzy skaa zdążającymi na plac.

Vin stała otępiała przez kilka chwil pod deszczem popiołu, aż dogonił ją Dockson.

– To szaleństwo – wymamrotała. – Nie możemy tego zrobić, Dox. Nie jesteśmy niezwyciężeni.

Docskon prychnął.

– Nie jesteśmy też całkowicie bezradni.

Breeze dogonił ich z lekką zadyszką, wskazując w stronę bocznej ulicy.

– Tam. Musicie mnie postawić w miejscu, z którego będę widział żołnierzy.

Vin pozwoliła się holować, nagle czując, jak jej obawy mieszają się ze wstydem.

Kelsier...

***

Kelsier wypił roztwory metali i odrzucił dwie puste fiolki. Buteleczki zalśniły w powietrzu i spadły na bruk, by się tam roztrzaskać. Odskoczył w boczną uliczkę, i wybiegł na upiornie pusty bulwar.

Wóz z więźniami toczył się ku niemu, wjeżdżając właśnie na niewielki dziedziniec utworzony przez skrzyżowanie dwóch ulic. Każdy z prostokątnych wozów był otoczony prętami, każdy upakowany ludźmi, których teraz rozpoznawał bez trudu. Służba, żołnierze, pokojówki – niektórzy rebelianci, inni zwykli ludzie. Żadne nie zasłużyło na śmierć.

Zginęło już zbyt wielu skaa, pomyślał, rozjarzając metale. Setki. Tysiące. Setki tysięcy.

Nie dzisiaj. Już dość.

Rzucił monetę i skoczył, Odpychając się w powietrzu szerokim łukiem. Żołnierze spojrzeli w górę, pokazując go sobie palcami. Kelsier wylądował między nimi.

Zapanowała chwila ciszy, kiedy żołnierze obrócili się ku niemu, zaskoczeni. Kelsier przycupnął wśród spadających płatków popiołu.

I Pchnął.

Z okrzykiem rozjarzył stal, zerwał się i Pchnął na zewnątrz. Eksplozja allomantycznej siły rzuciła żołnierzami, odpychając ich napierśniki. Dwunastu ludzi wyleciało w powietrze, spadając z łoskotem na towarzyszy i uderzając w ściany budynków.

Ludzie zaczęli krzyczeć. Kelsier obejrzał się, Odepchnął od grupy żołnierzy i poleciał wprost w stronę wozu. Uderzył w niego, rozjarzając stal i przytrzymując się metalowych drzwi.

Zaskoczeni więźniowie zbili się w ciasną grupę. Kelsier wyrwał drzwi jednym gestem wzmocnionej cyną i ołowiem ręki i rzucił nimi w grupę nadbiegających żołnierzy.

– Uciekajcie! – zawołał do więźniów. Zeskoczył i lekko wylądował na bruku. Odwrócił się.

I stanął twarzą w twarz z wysoką postacią spowitą w brunatną szatę. Znieruchomiał, po czym cofnął się, a postać uniosła ręce do głowy i zrzuciła kaptur, odsłaniając parę oczu przebitych szpilami.

Inkwizytor uśmiechnął się i Kelsier usłyszał kroki dobiegajace z bocznych uliczek. Dziesiątki. Setki.

***

– Przekleństwo! – zaklął Breeze, widząc, jak żołnierze zalewają plac.

Dockson odepchnął go w zaułek. Vin pobiegła za nimi, przycupnęła w cieniu i nasłuchiwała okrzyków żołnierzy na skrzyżowaniu.

– Inkwizytor! – zawołał nagle Breeze, wskazując postać w szacie stojącą przed Kelsierem.

– Co?! – zawołał Dockson, zrywając się na nogi.

To pułapka, stwierdziła z przerażeniem Vin. Żołnierze tłoczyli się na placyku, wyskakując z ukrytych, bocznych zaułków. Kelsier, uciekaj stamtąd!

***

Kelsier Odepchnął się od leżącego strażnika i rzucił w tył, wywijając salto ponad jednym z wozów. Wylądował w kucki, wodząc wzrokiem po nowych oddziałach żołnierzy. Wielu miało włócznie, ale za to żadnej zbroi. Mgłobójcy.

Inkwizytor Odepchnął się w wypełnione popiołem powietrze, lądując z łoskotem przed Kelsierem. Istota się uśmiechnęła.

To ten sam człowiek. To tamten Inkwizytor.

– Gdzie dziewczyna? – zapytał cicho.

– Dlaczego tylko jeden? – Kelsier zignorował jej pytanie.

Stwór uśmiechnął się szerzej.

– Wygrałem losowanie.

Kelsier rozjarzył cynę z ołowiem, rzucając się w bok, kiedy Inkwizytor wyciągnął dwa obsydianowe topory. Na placu zrobiło się tłoczno od żołnierzy. Z wozów dobiegały krzyki ludzi.

– Kelsier! Lordzie Kelsier! Błagam!

Kelsier zaklął cicho, kiedy Inkwizytor ruszył na niego. Sięgnął ręką, Odpychając się od jednego z wciąż pełnych wozów, i rzucił się w powietrze ponad grupą żołnierzy. Wylądował, podbiegł do wozu, zamierzając uwolnić więźniów. Kiedy jednak do niego dotarł, wóz się zatrząsł. Kelsier spojrzał w górę akurat na czas, by zauważyć stalowookiego potwora, szczerzącego do niego zęby z dachu pojazdu.

Kelsier Odepchnął się w tył, czując na twarzy podmuch przelatującego ostrza. Wylądował gładko, ale natychmiast musiał odskoczyć w bok, gdyż zaatakowała go grupa żołnierzy. Wylądował, wyciągnął rękę – Pociągając jeden z wozów, żeby się zakotwić – po czym Pociągnął leżące opodal wyrwane żelazne drzwi, które rzucił wcześniej. Potężne drzwi z prętów podskoczyły w powietrze i spadły na oddział żołnierzy.

Inkwizytor zaatakował od tyłu, ale Kelsier odskoczył. Wciąż podskakujące drzwi przejechały po bruku przed jego nosem. Kiedy były blisko, Kelsier Odepchnął się od nich i znów skoczył w górę.

Vin miała rację, pomyślał z rozpaczą. Stojący na dole Inkwizytor wodził za nim nienaturalnymi oczami. Nie powinienem był tego robić. Grupa żołnierzy właśnie zaganiała skaa, których uwolnił.

Powinienem uciekać... próbować go zgubić. Robiłem to już.

Ale... nie mógł. Nie zrobi tego, nie tym razem. Zawiódł już zbyt wiele razy. Nawet, jeśli zapłaci za to najwyższą cenę, musi uwolnić tych więźniów.

I nagle, kiedy zaczął spadać, ujrzał grupę ludzi atakujących skrzyżowanie. Mieli broń, ale byli bez mundurów. Na ich czele biegła znajoma postać. Ham ze swoimi oddziałami.

***

– Co się dzieje? – zapytała z niepokojem Vin, wyciągając szyję, żeby spojrzeć na plac. Ponad jej głową ciemna postać Kelsiera, powiewając

płaszczem, opadła właśnie na pole walki.

– To jeden z naszych oddziałów! – zawołał Dockson. – Ham musiał się po nich wybrać.

– Ilu?

– Trzymaliśmy ich w grupach po kilkuset.

– Za mało.

Skinął głową.

Wstała.

– Wychodzę.

– Nie, nie wychodzisz – zaprotestował stanowczo, chwytając ją za płaszcz. – Nie chcę, żeby się powtórzyło to co ostatnio, kiedy zaatakował cię jeden z tych potworów.

– Ale...

– Kell sobie poradzi – odparł. – Będzie zwlekał, dopóki Ham nie uwolni więźniów, potem ucieknie. Patrz.

Cofnęła się.

Stojący obok Breeze szeptał:

– Tak, boicie się. Skupmy się na tym. Wszystko inne Uspokójmy. Zostawimy tylko strach. To walka Inkwizytora i Zrodzonego z Mgły... nie będziecie chcieli się w to wtrącać...

Vin spojrzała na plac, na którym jeden z żołnierzy rzucił włócznię i zaczął uciekać.

Zawsze są inne metody walki, pomyślała, klękając obok Breeze’a.

– Jak mogę pomóc?

***

Kelsier znów uchylił się przed Inkwizytorem, kiedy oddział Hama uderzył na imperialnych żołnierzy i zaczął wycinać sobie drogę do wozów. Atak odwrócił uwagę zwykłych żołnierzy, którzy bardzo skwapliwie pozostawili Kelsiera i Inkwizytora samym sobie.

Z boku Kelsier widział skaa zaczynających tłoczyć się w uliczkach wokół niewielkiego placu. Walka zwabiła osoby czekające już na placu fontann. Kelsier słyszał, jak inne oddziały żołnierzy imperialnych próbują

się przedostać w kierunku ogniska walki, ale tysiące skaa tłoczących się w uliczkach zdecydowanie utrudniały im zadanie.

Inkwizytor zamachnął się i Kelsier zrobił unik. Stwór wyraźnie zaczynał się denerwować. Z boku niewielka grupka ludzi Hama dotarła do jednego z wozów i wyłamała zamki, uwalniając więźniów. Pozostali zajmowali żołnierzy imperialnych, dopóki więźniowie nie uciekną.

Kelsier uśmiechnął się, obserwując zirytowanego Inkwizytora. Stwór warknął cicho.

– Valette! – rozległ się nagle głos.

Kelsier obrócił się zdumiony.

Doskonale ubrany szlachcic przepychał się przez tłum żołnierzy. Miał laskę pojedynkową i był chroniony przez dwóch uzbrojonych po zęby gwardzistów, lecz unikał ataków głównie dlatego, że żadna ze stron nie była pewna, czy chce uderzyć człowieka tak jawnie szlachetnie urodzonego.

– Valette! – powtórzył Elend Venture. Obrócił się do jednego z żołnierzy. – Kto wam kazał napadać na konwój Rodu Renoux? Kto wam na to pozwolił?

Wspaniale, pomyślał Kelsier, nie spuszczając z oka Inkwizytora. Stwór spoglądał na niego z pełnym nienawiści grymasem.

Śmiało, możesz mnie nienawidzić, ile chcesz, pomyślał Kelsier. Muszę wytrzymać tylko tyle, żeby Ham zdążył uwolnić więźniów, a potem cię wyprowadzę.

Inkwizytor wyciągnął rękę i niedbałym gestem pozbawił głowy przebiegającego obok służącego.

– Nie! – krzyknął Kelsier, kiedy ciało upadło u stóp Inkwizytora.

Stwór chwycił kolejną osobę i uniósł topór.

– Dobrze! – rzekł Kelsier i ruszył naprzód, wyrywając zza pasa kolejne dwie fiolki. – Chcesz walczyć?! No to chodź!

Stwór uśmiechnął się, odepchnął schwytaną kobietę i ruszył ku Kelsierowi.

Kelsier wyrwał korki z fiolek i wychylił ich zawartość jednocześnie. Metale rozjarzyły się w jego piersi, płonąc razem z gniewem. Jego brat nie żyje. Żona nie żyje. Rodzina, przyjaciele, bohaterowie – wszyscy nie żyją.

Pchasz mnie, bym szukał zemsty? – pomyślał. Dobrze! Będziesz ją miał!

Zatrzymał się kilka stóp od przeciwnika. Zacisnął pięści i rozjarzył stal w potężnym Pchnięciu. Ludzie wokół niego polecieli w tył, odrzucani

własnymi metalami poddającymi się potwornej, niewidzialnej sile. Na placu – zapchanym żołnierzami imperialnymi, więźniami i rebeliantami – wokół Kelsiera i Inkwizytora otwarła się niewielka wolna przestrzeń.

– No to do roboty – rzekł Kelsier.

Nigdy nie chciałem, by się mnie bali.

Jeśli czegokolwiek żałuję, to strachu, jaki wzbudziłem. Strach to narzędzie tyranów. Niestety, kiedy stawką jest los świata, korzystasz z wszelkich dostępnych narzędzi.

34

Zabici i konający padali na bruk. Skaa tłoczyli się na drogach. Więźniowie krzyczeli, wzywając go po imieniu. Żar zadymionego słońca palił ulice. Z nieba sypał się popiół.

Kelsier rzucił się w przód, rozjarzając cynę z ołowiem, i wyrwał zza pasa sztylety. Zaczął palić atium, podobnie jak Inkwizytor – obaj mieli go z pewnością dość, żeby wystarczyło na dłuższą walkę.

Kelsier zaatakował Inkwizytora – dwukrotnie przeciął gorące powietrze tak szybko, że jego ręce zlały się w plamę. Stwór uchylił się, otoczony obłędnym wirem cieni atium, i zamachnął się toporem.

Kelsier skoczył, cyna z ołowiem dała mu nieludzką siłę, by przelecieć tuż ponad świszczącym ostrzem. Sięgnął i Odepchnął się od grupy walczących żołnierzy, których miał za plecami, rzucając się w przód.

Wylądował stopami na twarzy Inkwizytora i odepchnął się znowu, wywijając salto w powietrzu.

Inkwizytor się zachwiał. Opadając, Kelsier Przyciągnął się do żołnierza i odskoczył. Żołnierz, podniesiony siłą Stali, zaczął lecieć w kierunku Kelsiera. Obaj znaleźli się w powietrzu.

Kelsier rozjarzył żelazo, Odpychając się od grupki żołnierzy po prawej i wciąż Pociągając tego jednego, którego uniósł w powietrze. W rezultacie skręcił i poleciał na bok, a żołnierz, jakby uwiązany do jego ciała, zatoczył szeroki łuk.

Nieszczęśnik wpadł na chwiejącego się Inkwizytora i obaj uderzyli z impetem w pręty pustego wozu.

Nieprzytomny żołnierz upadł na ziemię. Inkwizytor odskoczył od żelaznej klatki, opadł na kolana i dłonie. Po twarzy stwora spłynęła strużka krwi, znacząc tatuaże, ale on tylko się uśmiechnął. Kiedy wstał, nie wydawał się ani trochę oszołomiony.

Kelsier wylądował, klnąc pod nosem.

Inkwizytor chwycił z nieprawdopodobną szybkością za dwa pręty pustej, podobnej do skrzyni celi dla więźniów i wyrwał ją z kół podwozia.

Przekleństwo!

Stwór okręcił się na pięcie i cisnął potężną stalową klatką w Kelsiera, który stał o kilka stóp dalej. Nie było czasu się uchylić. Za jego plecami znajdował się budynek. Jeśli się Odepchnie, zostanie zmiażdżony.

Kelsier skoczył, wykorzystując Odpychanie Stali, by wprowadzić swe ciało w otwarte wejście do wirującej klatki. W środku wykręcił się, Odpychając się we wszystkie strony, by się utrzymać dokładnie pośrodku klatki, kiedy ta uderzyła w ścianę i odskoczyła.

Potoczyła się i pojechała kilka metrów po ziemi. Kelsier opadł, lądując na dachu klatki od wewnątrz. Przez pręty widział Inkwizytora obserwującego go pośród morza walczących żołnierzy, otoczonego chmurą tańczących, skaczących i ruchomych widmowych obrazów atium. Inkwizytor lekko skinął głową Kelsierowi na znak szacunku.

Kelsier Odepchnął się z dzikim okrzykiem, rozjarzając cynę z ołowiem, żeby się nie zmiażdżyć. Klatka eksplodowała. Metalowy dach pofrunął w powietrze, pręty poleciały na wszystkie strony, jak rozdarte eksplozją. Kelsier Pociągnął pręty za sobą i Pchnął te, które były przed nim, wysyłając ku Inkwizytorowi strumień metalu.

Istota uniosła dłoń, z wprawą dzieląc potężne pociski. Kelsier jednak sam poleciał za prętami – wystrzelił się Stalowym Pchnięciem w stronę przeciwnika. Inkwizytor Pociągnął się na bok, używając jakiegoś nieszczęśnika jako kotwicy. Mężczyzna krzyknął, wyrwany z własnego starcia, ale zaraz zacharczał i upadł, kiedy Inkwizytor skoczył, Odpychając się odeń i wbijając go w ziemię.

Inkwizytor rzucił się w powietrze. Kelsier spowolnił się odepchnięciem od grupy żołnierzy, śledząc go wzrokiem. Za jego plecami dach klatki spadł z łomotem na bruk, wysyłając na wszystkie strony odłamki kamieni. Kelsier uderzył w nie i rzucił się w górę za Inkwizytorem.

Płatki popiołu fruwały wokół niego, uciekając w tył. Inkwizytor obrócił się, Pociągając za coś w dole. Stwór natychmiast zmienił kierunek i runął na Kelsiera.

Zderzenie czołowe. Kiepski pomysł, jeśli facet ma szpile w głowie. Kelsier gorączkowo Pociągnął się ku żołnierzowi i Inkwizytor przeleciał mu skośnie ponad głową.

Kelsier rozjarzył cynę z ołowiem i z rozpędu uderzył w żołnierza, którego ku sobie Przyciągnął. Na szczęście nie był to nikt z ludzi Hama.

– Przepraszam, przyjacielu – rzekł tonem konwersacji, Odpychając się.

Żołnierz odleciał w bok i rozbił się o ścianę budynku, bo Kelsier użył go znowu, by wznieść się nad polem bitwy. Pod nim główne oddziały Hama uderzyły właśnie na ostatni z wozów więziennych. Niestety, przez tłum gapiących się skaa przedarły się właśnie kolejne oddziały imperialnych żołnierzy. Jeden był dużym oddziałem łuczników, uzbrojonych w strzały o grotach z obsydianu.

Kelsier zaklął i zaczął opadać. Łucznicy natychmiast się ustawili i napięli łuki, przygotowani, by strzelać w środek tłumu walczących. Z pewnością zabiją paru swoich żołnierzy, ale główną siłę ataku przyjmą na siebie uciekający więźniowie.

Kelsier opadł na bruk. Sięgnął w bok, Przyciągając kilka leżących prętów ze zniszczonej przed chwilą klatki. Poleciały ku niemu.

Łucznicy wycelowali. On jednak mógł widzieć ich cienie atium.

Kelsier uwolnił pręty i Odepchnął się lekko, pozwalając, by pręty poleciały pomiędzy łuczników a uciekających więźniów.

Łucznicy wystrzelili.

Kelsier chwycił pręty, rozpalając jednocześnie stal i żelazo, Odpychając jeden koniec każdego pręta i Pociągając drugi. Pręty wystrzeliły w powietrze i natychmiast zaczęły wirować jak wściekłe, opętane wiatraki. Większość strzał została przez nie rozrzucona i odbita na boki.

Pręty upadły z brzękiem na ziemię pomiędzy rozsypane, strzaskane strzały. Łucznicy stali osłupiali, a Kelsier znów odskoczył w bok, po czym lekko Pociągnął pręty, wyrzucając je w górę przed sobą. Pchnął, wysyłając je z całą siłą w kierunku łuczników. Odwrócił się od krzyczących i konających ludzi, szukając wzrokiem swego prawdziwego nieprzyjaciela.

Gdzie ten stwór się chowa?

Objął wzrokiem scenę. Ludzie walczyli, biegli, uciekali i umierali – każdy w oczach Kelsiera miał swój proroczy cień atium. W tym przypadku jednak cienie skutecznie podwajały liczbę ludzi miotających się na polu bitwy i dodatkowo utrudniały orientację.

Przybywało coraz więcej żołnierzy. Wielu ludzi Hama już poległo, reszta się wycofywała – na szczęście musieli jedynie porzucić broń, aby wmieszać się w tłum zwykłych skaa. Kelsier bardziej martwił się o ostatni wóz z więźniami – ten z Renoux i Spookiem. Kierunek, z którego Ham i jego ludzie weszli do bitwy, wymagał, by się poruszali od tyłu ku przodowi karawany. Gdyby próbowali dotrzeć najpierw do Renoux, musieliby wyminąć pięć innych wozów, pozostawiając ludzi w zamknięciu.

Ham jednak nie zamierzał odejść, dopóki nie uwolni Spooka i Renoux. A tam, gdzie walczył Ham, trzymali się także rebelianccy żołnierze. Istniał powód, dla którego Cynoramiennych zwano również Zbirami: w ich walce nie było subtelności, żadnych sprytnych Żelaznych Pociągnięć czy Stalowych Odpychań. Ham atakował czystą, surową siłą i szybkością, błyskawicznie odrzucając na boki nieprzyjacielskich żołnierzy, siejąc zamieszanie w ich szeregach, prowadząc swój pięćdziesięcioosobowy oddział w kierunku ostatniego wozu. Zaledwie do niego dotarli, Ham cofnął się, by odpierać ataki grupy nieprzyjacielskich żołnierzy, a jeden z jego ludzi zajął się wyłamywaniem zamków w wozie.

Kelsier uśmiechnął się z dumą, wciąż szukając wzrokiem Inkwizytora. Jego ludzi było niewielu, ale żołnierzy wroga wyraźnie niepokoiła determinacja rebeliantów skaa. Ludzie Kelsiera walczyli z pasją – pomimo innych, licznych niedostatków, wciąż mieli tę jedną przewagę.

Tak się dzieje, kiedy już ich wreszcie przekonasz do walki. To kryje się w nich wszystkich. Tylko że tak trudno jest to uwolnić...

Renoux wyszedł z wozu i odstąpił na bok, obserwując, jak jego służba pospiesznie ucieka z klatki. Nagle z zamętu wyłonił się elegancko ubrany mężczyzna i podskoczył do Renoux, łapiąc go za klapy surduta.

– Gdzie jest Valette?! – zawołał Elend Venture, a jego desperacki głos docierał aż do wyczulonych przez cynę uszu Kelsiera. – W której była klatce?

Młody, zaczynasz mnie naprawdę wkurzać – pomyślał Kelsier i Odepchnął z drogi żołnierzy, kierując się w stronę wozu.

Nagle pojawił się Inkwizytor, wyskakując zza sterty ciał. Wylądował na szczycie klatki, aż zadygotała cała konstrukcja. W każdej ze szponiastych dłoni trzymał obsydianowy topór. Stwór spojrzał Kelsierowi w oczy i uśmiechnął się, po czym zeskoczył z klatki i wbił topór w plecy Renoux.

Kandra drgnął, wytrzeszczył oczy. Inkwizytor odwrócił się w stronę Elenda. Kelsier nie był pewien, czy go rozpoznał, czy może sądził, że chłopak należy do Rodu Renoux. A może go to nie obchodziło.

Kelsier się zawahał.

Inkwizytor uniósł topór.

Ona go kocha.

Kelsier rozjarzył stal, rozpalił, aż cała pierś rozgorzała mu niczym Popielne Góry. Uderzył w żołnierzy za sobą, odrzucając w tył dziesiątki z nich, a sam wystrzelił w stronę Inkwizytora. Uderzył w niego w chwili, kiedy tamten brał zamach.

Odrzucony topór wylądował z brzękiem na kamieniach kilka stóp dalej. Kelsier chwycił Inkwizytora za kark i zaczął ściskać z całą siłą wzmocnionych cyną mięśni. Obaj potoczyli się po ziemi. Inkwizytor sięgnął ku jego rękom, desperacko próbując rozerwać ich uchwyt.

Marsh miał rację, pomyślał Kelsier. TO się boi o własne życie. TO można zabić.

Inkwizytor dyszał spazmatycznie; kolce wystawały z jego oczu tuż przed twarzą Kelsiera, który kątem oka ujrzał cofającego się chwiejnie Elenda Venture.

– Dziewczynie nic nie jest – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nie było jej na barkach Renoux! Wynoś się!

Elend zatrzymał się niepewnie. Kiedy nagle pojawił się wreszcie jeden z jego ochroniarzy, chłopak pozwolił mu się odciągnąć.

Nie do wiary, właśnie ocaliłem szlachcica, pomyślał Kelsier, usiłując udusić Inkwizytora. Lepiej to doceń, dziewczyno.

Powoli, napinając wszystkie mięśnie, Inkwizytor zdołał wreszcie rozewrzeć ręce Kelsiera. Stwór znów się uśmiechnął.

Są tacy silni!

Inkwizytor odepchnął Kelsiera i Pociągnął, czepiając się żołnierza, by ślizgiem oddalić się od przeciwnika. Uderzył w zwłoki i natychmiast wywinął kozła i stanął na nogi. Jego kark był czerwony od uchwytu Kelsiera, wydarte paznokciami strzępy skóry zwisały luźno, ale stwór wciąż się uśmiechał.

Kelsier też Odepchnął się od żołnierza i wywinął salto. Obok ujrzał Renoux, opierającego się o wóz. Pochwycił spojrzenie kandry i lekko skinął głową.

Renoux z westchnieniem upadł na ziemię z toporem w plecach.

– Kelsier! – zawołał do niego Ham.

– Uciekaj! – odkrzyknął Kelsier. – Renoux nie żyje!

Ham spojrzał na ciało Renoux i skinął głową. Odwrócił się do swoich ludzi, wykrzykując rozkazy.

– Ocalały – rozległ się chrapliwy głos.

Kelsier obejrzał się. Inkwizytor ruszył naprzód, poruszając się ze zwinnością charakterystyczną dla cyny z ołowiem, otoczony mgłą cieni atium.

– Ocalały z Hathsin – rzekł. – Obiecałeś mi walkę. Muszę zabić kolejnych skaa?

Kelsier rozjarzył metale.

– Nie powiedziałem przecież, że skończyliśmy. – Uśmiechnął się nagle. Martwił się, cierpiał, ale jednocześnie czuł uniesienie. Przez całe życie gdzieś w zakamarkach duszy marzył o tym, by stanąć do tej walki.

Zawsze chciał sprawdzić, czy da radę Inkwizytorowi.

***

Vin wstała, desperacko usiłując dojrzeć coś poprzez tłum.

– Co? – zapytał Dockson.

– Chyba widziałam Elenda!

– Tutaj? To chyba mało prawdopodobne, nie sądzisz?

Vin się zarumieniła. Chyba tak.

– Nieważne, muszę się rozejrzeć.

– Uważaj – odparł Dox. – Jeśli ten Inkwizytor cię zobaczy...

Skinęła głową, wspinając się po cegłach. Gdy tylko znalazła się dość wysoko, zaczęła się rozglądać za znajomymi sylwetkami. Dockson miał rację – Elenda nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Jeden z wozów – ten, z którego Inkwizytor zerwał klatkę – leżał na boku. Konie kręciły się w miejscu, przerażone walką i tłumami skaa.

– Co widzisz? – dopytywał się Dockson.

– Renoux poległ! – odparła, mrużąc oczy i paląc cynę. – Ma chyba topór w plecach.

– To mu nie musiało zaszkodzić – odparł Dockson. – Nie znam się za bardzo na kandrach.

Kandry?

– A co z więźniami? – pytał dalej.

– Wszyscy wolni – odrzekła. – Klatki są puste. Dox, tam jest mnóstwo skaa!

Wydawało się, że wszyscy ludzie zgromadzeni na placu fontann zebrali się na tym małym skrzyżowaniu. To miejsce tworzyło niewielkie zagłębienie i Vin widziała tysiące skaa tłoczących się w uliczkach wiodących w górę.

– Ham jest wolny! – zawołała Vin. – Nie widzę go nigdzie... ani żywego, ani martwego. Spook też znikł.

– A Kell? – zapytał niespokojnie Dockson.

Vin się zawahała.

– Wciąż walczy z Inkwizytorem.

***

Kelsier rozjarzył cynę z ołowiem i uderzył Inkwizytora pięścią, starannie omijając płaskie tarcze metalu wystające z jego oczu. Stwór potknął się

i Kelsier wbił mu pięść w żołądek. Inkwizytor warknął i uderzył przeciwnika w twarz, powalając go jednym gestem.

Kelsier potrząsnął głową. Co trzeba zrobić, żeby zabić to bydlę? – pomyślał. Odepchnął się i cofnął.

Inkwizytor ruszył naprzód. Niektórzy żołnierze usiłowali odnaleźć w tłumie Hama i jego ludzi, ale większość stała nieruchomo. Walka pomiędzy dwoma potężnymi Allomantami to wydarzenie, o jakim się szeptało, ale mało kto widział je na własne oczy. Żołnierze i wieśniacy stali osłupiali, z podziwem obserwując walkę.

On jest silniejszy ode mnie, pomyślał Kelsier, czujnie obserwując Inkwizytora. Ale siła to nie wszystko.

Wyciągnął rękę, łapiąc mniejsze źródła metalu i Przyciągając je – metalowe kaski, miecze ze stali, sakiewki z monetami, sztylety. Wszystko rzucał w Inkwizytora – starannie manipulując Odpychaniem i Pociąganiem – i nie przestawał palić atium, żeby każdy z kontrolowanych przedmiotów był w oczach Inkwizytora pękiem złudnych widm. Inkwizytor Pchnął na zewnątrz, Odpychając wszystkie pociski jednocześnie. Kelsier pozwolił na to. Skoro tylko jednak Inkwizytor przestał Odpychać, Kelsier Przyciągnął broń z powrotem.

Imperialni żołnierze stali kręgiem, obserwując ich czujnie. Kelsier wykorzystał ich, Odpychając się od napierśników, skacząc w powietrzu w przód i w tył. Zmiany pozycji pozwalały mu stale pozostawać w ruchu, dezorientując przeciwnika, pozwalając mu Odpychać latające w powietrzu kawałki metalu dokładnie tam, gdzie chciał.

***

– Miej na oku moją klamrę od pasa – rzekł Dockson i dygocząc lekko, przywarł do cegieł obok Vin. – Jeśli spadnę, Pociągnij mnie, żeby zwolnić upadek.

Vin skinęła głową, ale nie zwracała na niego szczególnej uwagi. Obserwowała Kelsiera.

– On jest niesamowity.

Kelsier miotał się w powietrzu tu i tam, nie dotykając stopami ziemi. Wokół niego wirowały z brzękiem kawałki metali, odpowiadając na jego

Odepchnięcia i Pociągnięcia. Kontrolował je z taką zręcznością, że ktoś mógłby pomyśleć, że to żywe istoty. Inkwizytor odpędzał je z furią, ale było widać, że nie potrafi wszystkich utrzymać na oku.

Nie doceniałam Kelsiera, pomyślała. Myślałam, że umie mniej od Mglistych, ponieważ rozmienił się na drobne. Ale to nieprawda. To. Właśnie to jest jego specjalność – Odpychanie i Przyciąganie z kontrolą eksperta.

A żelazo i stal to metale, w których szkolił mnie osobiście. Może rozumiał wszystko od dawna.

***

Kelsier kręcił się i unosił w wirze metalu. Za każdym razem, kiedy jakiś przedmiot upadał na ziemię, podrywał go znowu. Przedmioty zawsze leciały w linii prostej, ale nieustannie się poruszał. Odpychał, utrzymywał je w powietrzu i od czasu do czasu ciskał nimi w kierunku Inkwizytora.

Stwór obracał się, oszołomiony. Próbował Odpychać się w górę, ale Kelsier wyrzucił kilka większych kawałków metalu nad jego głową. Inkwizytor musiał je Odpychać i nie był w stanie skoczyć.

Żelazny pręt uderzył Inkwizytora w twarz.

Stwór zachwiał się, krew zalała tatuaże na jego policzku. Stalowy hełm odbił się od głowy. Inkwizytor upadł.

Kelsier zaczął szybko rzucać kolejne kawałki metalu, czując, jak wściekłość i gniew w nim narastają.

– To ty zabiłeś Marsha?! – krzyknął. – Byłeś tam, kiedy mnie skazywali, wiele lat temu?!

Inkwizytor uniósł rękę, Odpychając kolejny rój metali. Kulejąc, cofnął się i oparł o przewrócony, drewniany wóz.

Kelsier usłyszał jego warczenie i nagle potężne Pchnięcie przetoczyło się przez tłum, przewracając żołnierzy i odrzucając daleko metalowe pociski Kelsiera.

Kelsier nie oponował. Rzucił się w przód, obalając zdezorientowanego Inkwizytora, i chwycił luźny kamień brukowy.

Stwór obrócił się ku niemu i Kelsier zawył. Zatoczył kamieniem łuk i uderzył z siłą, którą zawdzięczał bardziej wściekłości niż cynie z ołowiem.

Uderzył Inkwizytora w oko. Głowa istoty odpadła w tył, upadając na dno przewróconego wozu. Kelsier uderzył znowu. Krzycząc, uderzał raz po raz w twarz przeciwnika.

Inkwizytor zawył z bólu i sięgnął szponiastymi palcami ku Kelsierowi, jakby chciał rzucić się w przód. Nagle drgnął i znieruchomiał, z głową przylegającą do dna wozu. Szpile, które wystawały mu z tyłu czaszki, pod wpływem ataku Kelsiera wbiły się w drewno.

Kelsier uśmiechnął się, widząc, jak stwór ryczy z wściekłości, usiłując uwolnić głowę. Kelsier rozejrzał się, szukając przedmiotu, który widział na ziemi jeszcze kilka minut temu. Kopniakiem odrzucił jakieś ciało, chwycił z ziemi obsydianowy topór i uniósł, aż słabo wypolerowane ostrze zabłysło czerwienią w promieniach słońca.

– Cieszę się, że dałem ci się namówić – rzekł spokojnie. A potem uniósł topór w dwuręcznym ciosie i wbił ostrze w gardło Inkwizytora.

Ciało Inkwizytora osunęło się na kamienie. Głowa pozostała przyszpilona do drewna własnymi ostrzami, wytrzeszczając oczy w upiornym, nienaturalnym, wytatuowanym grymasie.

Kelsier obejrzał się, stanął twarzą do tłumu, czując nagle ogromne znużenie. Jego ciało promieniowało bólem z dziesiątków sińców i skaleczeń, a on sam nie miał nawet pojęcia, gdzie stracił płaszcz. Spojrzał jednak dumnie na żołnierzy, nie ukrywając pooranych bliznami rąk.

– Ocalały z Hathsin – szepnął ktoś.

– Zabił Inkwizytora... – odezwał się inny.

I wtedy rozległ się śpiew. Skaa w okolicznych uliczkach zaczęli wykrzykiwać jego imię. Żołnierze rozejrzeli się i z przerażeniem stwierdzili, że są otoczeni. Chłopi zaczęli napierać i Kelsier czuł ich gniew i nadzieję.

Może wszystko nie musi pójść tak, jak zakładałem, pomyślał Kelsier tryumfalnie. Może nie muszę...

Wtedy uderzyło. Jak chmura przesłaniająca słońce, jak nagła burza w cichą noc, jak palce dławiące płomień. Potężna dłoń zdusiła budzące się uczucia skaa. Ludzie skulili się, ich krzyki ucichły. Ogień, który rozpalił w nich Kelsier, był zbyt młody.

Tak blisko... – pomyślał.

Przed nim, na szczycie wzgórza od strony placu z fontannami, pojawił się nagle czarny powóz i ruszył ku nim.

Przybył Ostatni Imperator.

***

Vin omal nie upuściła kamienia, kiedy ogarnęło ją przygnębienie. Rozjarzyła miedź, ale – jak zwykle – wciąż czuła cień jego tłamszącej dłoni.

– Ostatni Imperator! – odezwał się Dockson.

Nie wiedziała, czy to przekleństwo, czy stwierdzenie faktu. Skaa, stłoczeni, by oglądać walkę, zdołali się jeszcze bardziej ścieśnić, żeby zrobić miejsce dla mrocznego pojazdu, który toczył się wzdłuż ludzkiego korytarza na zasłany trupami plac.

Żołnierze się cofnęli i Kelsier również odstąpił od przewróconego wozu, wychodząc na spotkanie nadjeżdżającemu powozowi.

– Co on robi? – zapytała Vin, spoglądając na Docksona, który wsparł się na niewielkim występie. – Czemu on nie ucieka? To nie jest Inkwizytor! To nie jest przeciwnik do walki!

– Jest, Vin – odparł z podziwem Dockson. – Właśnie na to czekał. Na szansę, by stanąć przed Ostatnim Imperatorem... udowodnić te swoje legendy.

Vin spojrzała na plac. Powóz właśnie się zatrzymał.

– Ale... – szepnęła – Jedenasty Metal. Czy wziął go ze sobą?

– Zapewne.

Kelsier zawsze mówił, że Ostatni Imperator to jego sprawa, pomyślała Vin. Pozwalał nam zająć się szlachtą, garnizonem, zakonem, ale to... Kelsier zawsze planował zrobić samemu.

Ostatni Imperator wyszedł z powozu i Vin się pochyliła, paląc cynę. Wyglądał jak...

Jak człowiek.

Był ubrany w czarno-biały mundur przypominający ubiór szlachecki, lecz znacznie bardziej przesadny. Płaszcz sięgał mu do kostek i ciągnął się za nim jak tren. Jego kamizelka była czarna, choć akcentowana jaskrawymi białymi punktami. Tak jak słyszała Vin, jego palce błyszczały od pierścieni, symboli potęgi.

Jestem o tyle silniejszy od ciebie, głosiły pierścienie, że nie dbam o to, że noszę metal.

Przystojny, o czarnych włosach i bladej skórze, Ostatni Imperator był wysoki, smukły i pewny siebie. I młody – młodszy niż oczekiwała Vin, młodszy nawet od Kelsiera. Szedł przez plac, mijając trupy, a jego żołnierze wciąż się cofali i odsuwali skaa.

Nagle poprzez linię żołnierzy przedarła się mała grupka ludzi. Mieli na sobie niedopasowane zbroje rebeliantów, a człowiek na ich czele wyglądał odrobinę znajomo. Był to jeden ze Zbirów Hama.

– Za moją żonę! – wykrzyknął Zbir, uniósł włócznię i natarł.

– Za lorda Kelsiera! – wykrzyknęli pozostali czterej.

– O, nie... – szepnęła Vin.

Ostatni Imperator jednak zignorował mężczyzn. Przywódca rebeliantów zawył buntowniczo, po czym wbił włócznię w pierś Ostatniego Imperatora.

Ten szedł dalej, jakby nic się nie stało. Minął żołnierza. Włócznia sterczała mu na wskroś z tułowia.

Rebeliant zawahał się, po czym chwycił włócznię swego kompana i wbił ją tym razem w plecy Ostatniego Imperatora. I znów władca zignorował ich – jakby ci ludzie wraz ze swą bronią byli daleko poniżej jego godności.

Przywódca cofnął się. Jego kompani z krzykiem padali pod toporem Inkwizytora. On także wkrótce podzielił ich los, a Inkwizytor zatrzymał się na chwilę nad trupami, siekąc je z dziką satysfakcją.

Ostatni Imperator szedł dalej, z dwiema włóczniami w ciele. Kelsier stał i czekał. Wydawał się obdartusem, w łachmanach skaa, ale zachował dumę. Nie ugiął się, nie ukorzył pod Uspokojeniem Ostatniego Imperatora.

Ten stanął o kilka kroków od niego. Jedna z włóczni prawie dotykała piersi Kelsiera. Czarny popiół spadał łagodnie płatkami wokół obu mężczyzn, wirując i unosząc się na lekkim wietrze. Na placu zapanowała straszliwa cisza – nawet Inkwizytor przerwał swą ponurą robotę. Vin pochyliła się, wbijając palce w szorstką cegłę.

Zrób coś, Kelsier! Użyj metalu!

Ostatni Imperator spojrzał na Inkwizytora, którego zabił Kelsier.

– Bardzo trudno ich zastąpić – rzekł. Jego akcentowany głos dochodził bez trudu do wspomaganych cyną uszu Vin.

Nawet z tej odległości widziała uśmiech Kelsiera.

– Raz cię już zabiłem – rzekł Ostatni Imperator, spoglądając na niego.

– Próbowałeś – odparł Kelsier stanowczo i głośno, aż echo poniosło jego słowa po placu. – Nie możesz mnie zabić, lordzie Tyranie, jestem tym, czego nigdy nie będziesz w stanie zabić, choćbyś próbował. Jestem nadzieją.

Ostatni Imperator prychnął wzgardliwie. Niedbale uniósł rękę i uderzył Kelsiera tak mocno, że Vin usłyszała trzask gruchotanych kości, niosący się po placu.

Kelsier obrócił się i upadł, bryzgając krwią.

– Nie! – krzyknęła Vin.

Ostatni Imperator wyrwał ze swego ciała jedną z włóczni i wbił w pierś Kelsiera.

– Zacznijcie egzekucje – rzekł, kierując się ku powozowi. Wyrwał z piersi drugą włócznię i odrzucił na bok.

Rozpętał się chaos. Poganiani przez Inkwizytorów żołnierze zaatakowali tłum. Z placu z fontannami dołączyli do nich pozostali Inkwizytorzy na czarnych koniach. Ich hebanowe topory lśniły w słońcu.

Vin nie widziała niczego i nikogo.

– Kelsier! – krzyknęła.

Jego ciało leżało tam, gdzie upadł, z włócznią sterczącą z piersi i szkarłatną kałużą krwi wokół.

Nie. Nie. NIE! Zeskoczyła z budynku, Odpychając się od jakichś ludzi i rzucając się ponad masakrą. Wylądowała pośrodku pustego placu – Ostatni Imperator znikł, Inkwizytorzy byli zajęci zabijaniem skaa. Vin podpełzła do Kelsiera.

Lewa strona jego twarzy była zmiażdżona. Prawa... wciąż uśmiechała się lekko, a jedyne martwe oko spoglądało w czarno-czerwone niebo. Na twarz mężczyzny spadały płatki popiołu.

– Kelsier, nie... – szeptała Vin, a łzy spływały jej strumieniem po twarzy. Potrząsnęła jego ciałem i poszukała pulsu. Nie znalazła.

– Mówiłeś, że nie można cię zabić! – krzyknęła. – Co z twoimi planami? Co z Jedenastym Metalem? Co ze mną?

Nie poruszył się. Vin niewiele widziała przez łzy. To niemożliwe. Zawsze mówił, że nie jesteśmy niezwyciężeni... ale chodziło o mnie. Nie o niego. Nie o Kelsiera. On był niezwyciężony.

Powinien być.

Ktoś chwycił ją za ramiona. Szarpała się, krzycząc.

– Czas iść – rzekł Ham. Spojrzał na Kelsiera i on też sprawdził, czy przywódca na pewno nie żyje.

A potem odciągnął Vin. Wciąż się wyrywała, ale powoli ogarniało ją otępienie. Gdzieś w głębi umysłu słyszała głos Reena.

„Widzisz. Mówiłem, że cię porzuci. Ostrzegałem.

Obiecałem ci to...”.

Część piąta:

WYZNAWCY ZAPOMNIANEGO ŚWIATA

Wiedziałem, co się stanie, jeśli dokonam złego wyboru. Nie mogę zagarnąć tej władzy dla siebie.

Ujrzałem bowiem, co się stanie, jeśli to uczynię.

35

„Pracować ze mną”, powiedział Kelsier. „Proszę tylko, żebyś obiecała mi jedno: że mi zaufasz”.

Vin zawisła we mgle, która opływała ją niczym bezszelestny strumień. Ponad nią, przed nią, z boków, w dole. Wszędzie dookoła.

„Ufaj mi, Vin”, powiedział. „Zaufałaś mi na tyle, by skoczyć z muru, a ja cię złapałem. Teraz też musisz mi zaufać.

Złapię cię...

Złapię cię...”.

Czuła się tak, jakby zawisła w nicości. Wśród mgły i sama była z mgły. Jakże jej zazdrościła. Mgła nie myślała, nie martwiła się.

Nie cierpiała.

Ufałam ci, Kelsier, myślała. Naprawdę ufałam... a ty pozwoliłeś mi upaść. Obiecywałeś, że w twojej grupie nie będzie zdrady. No i co? Co z twoją zdradą?

Wisiała tak, ale zgasiła cynę, by lepiej czuć mgłę – wilgotne krople, chłodne na skórze. Jak łzy martwego człowieka.

A cóż to ma teraz za znaczenie, myślała, spoglądając w górę. Czy w ogóle cokolwiek ma teraz znaczenie? Co to mi mówiłeś, Kelsier? Że nigdy naprawdę nie zrozumiałam? Że muszę się jeszcze wiele nauczyć o przyjaźni? A co z tobą? Ty nawet z nim nie walczyłeś.

Znów ujrzała Kelsiera stojącego przed Ostatnim Imperatorem, który zabił go jednym, pełnym wzgardy ciosem. Ocalały zginął jak pierwszy lepszy człowiek.

Czy właśnie dlatego tak się wzbraniałeś przed obiecaniem mi, że mnie nie porzucisz?

Żałowała, że nie może po prostu... odejść. Odpłynąć. Stać się mgłą. Kiedyś pragnęła wolności – a potem wydawało jej się, że ją odnalazła. Myliła się. Ten żal, ta pustka w jej sercu – to nie była wolność.

Było tak samo jak przedtem, kiedy porzucił ją Reen. Co za różnica? Reen przynajmniej był uczciwy. Zawsze obiecywał, że odejdzie. Kelsier prowadził ją za sobą, kazał jej ufać i kochać, ale to Reen mówił prawdę.

– Nie chcę już tego robić – szeptała we mgle Vin. – Nie możesz mnie po prostu zabrać?

Mgła nie odpowiedziała. Wirowała radośnie, beztrosko. Zawsze zmienna – a jednak zawsze taka sama.

– Panienko? – dobiegł z dołu niepewny głos. – Czy to ty tam jesteś?

Vin westchnęła, zapaliła cynę, zgasiła stal i zaczęła spadać. Jej mgielny płaszcz łopotał, kiedy leciała w dół poprzez mgłę. Wylądowała łagodnie na dachu kryjówki. Sazed stał kilka kroków dalej, obok stalowej drabinki, po której wchodziło się na szczyt dachu.

– Tak, Saze? – zapytała znużonym głosem, wyciągnęła dłoń i Przyciągnęła do siebie trzy monety, których używała jako zakotwiczenia i ustabilizowania się w górze. Jedna była pogięta i odkształcona – to była ta sama moneta, której wraz z Kelsierem używali w czasie swoich zmagań w Odpychaniu wiele miesięcy temu.

– Przepraszam, panienko – rzekł Sazed. – Po prostu zastanawiałem się, gdzie jesteś.

Wzruszyła ramionami.

– Wydaje mi się, że to bardzo cicha noc – odezwał się po chwili.

– Żałobna noc. – Po śmierci Kelsiera zmasakrowano setki skaa, a kolejne setki zostały stratowane w czasie próby ucieczki. – Zastanawiam się, czy jego śmierć w ogóle cokolwiek znaczyła. Uratowaliśmy mniej osób, niż zginęło.

– Zabici przez złych ludzi, panienko.

– Ham często pyta, czy w ogóle istnieje coś takiego jak zło.

– Mistrz Hammond lubi zadawać pytania – odrzekł. – Ale nawet on nie kwestionuje odpowiedzi. Są źli ludzie... tak samo, jak są i dobrzy.

Vin pokręciła głową.

– Myliłam się co do Kelsiera. On nie był dobrym człowiekiem... był zwykłym kłamcą. Nigdy nie miał planu, jak pokonać Ostatniego Imperatora.

– Może nie miał – odparł Sazed. – A może nigdy nie miał możliwości go zrealizować. A może my po prostu tego planu nie rozumiemy?

– Mówisz tak, jakbyś wciąż w niego wierzył. – Vin odwróciła się i podeszła do skraju płaskiego dachu, spoglądając na ciche, pogrążone w cieniu miasto.

– Bo tak jest, panienko – odrzekł.

– Jak? Jak możesz?

Pokręcił głową i podszedł do niej.

– Wydaje mi się, że wiara nie jest czymś wyłącznie na dobre czasy i jasne dni. Czym jest zaufanie... czym jest wiara, jeśli porzucasz ją po klęsce?

Vin zmarszczyła brwi.

– Każdy może wierzyć w kogoś lub coś, co zawsze zwycięża, panienko. Ale klęska... o, tak, w to trudno wierzyć, na pewno i prawdziwie. Wystarczająco trudno, by to miało swoją wartość, jak sądzę.

Vin pokręciła głową.

– Kelsier na to nie zasługuje.

– Nie wierzysz w to, co mówisz, panienko. Jesteś wściekła z powodu tego, co się stało. Cierpisz.

– Och, wierzę – odparła, czując łzę na policzku. – Nie zasługuje na naszą wiarę. Nigdy nie zasługiwał.

– Skaa uważają inaczej. Ich legendy na jego temat szybko się mnożą. Będę wkrótce musiał tu wrócić i je pozbierać.

Vin zmarszczyła brwi.

– Będziesz zbierać legendy o Kelsierze?

– Oczywiście – odparł. – Przecież zbieram wszystkie religie.

Vin prychnęła.

– Sazedzie, przecież nie mówimy o religii. To Kelsier.

– Nie zgadzam się. Z pewnością dla skaa jest postacią religijną.

– Ale my go znaliśmy – upierała się. – Nie był prorokiem ani bogiem. Był zwykłym człowiekiem.

– Chyba wielu z nich miało tę samą wadę, jak sądzę – cicho odpadł Sazed.

Pokręciła głową. Przez chwilę stali w milczeniu, wpatrując się w noc.

– Co robią pozostali? – zapytała wreszcie.

– Zastanawiają się, co dalej – odparł. – Myślę, że zdecydowali, że się rozdzielą i opuszczą Luthadel, a potem poszukają schronienia w innych miastach.

– A... ty?

– Muszę wyjechać na północ – do moich ojczystych ziem, miejsca Opiekunów... by podzielić się mą wiedzą. Muszę opowiedzieć braciom i siostrom o pamiętniku, a zwłaszcza o słowach dotyczących naszego przodka, człowieka imieniem Rashek. Myślę, że z tej historii można się wiele nauczyć. – Urwał i spojrzał na nią. – Nie jest to podróż, którą mógłbym odbyć w towarzystwie innej osoby. Miejsce Opiekunów musi pozostać tajemnicą, nawet dla ciebie.

Oczywiście, pomyślała Vin. Oczywiście, że i on odejdzie.

– Wrócę – obiecał.

Jasne, że wrócisz. Tak samo jak inni.

Grupa sprawiła, że przez jakiś czas Vin czuła się potrzebna, ale zawsze wiedziała, że kiedyś to się skończy. Nadszedł czas wrócić na ulicę. Czas znów być samą.

– Panienko... – powoli odezwał się Sazed – czy słyszysz to?

Wzruszyła ramionami. Jednak... coś się działo. Głosy. Zmarszczyła brwi i podeszła do drugiego skraju dachu. Głosy przybrały na sile, teraz słyszała je nawet bez cyny. Wyjrzała przez gzyms.

Na dole stała grupa skaa, może dziesięcioosobowa. Szajka złodziei? – zastanawiała się Vin. Sazed podszedł do niej. Liczebność grupy wzrastała w miarę, jak kolejni skaa nieśmiało opuszczali domostwa.

– Chodźcie – rzekł mężczyzna skaa, który stał na czele grupy. – Nie obawiajcie się mgły! Czy Ocalały sam siebie nie nazwał Panem Mgieł? Czy nie powiedział, że nie mamy się czego obawiać? Istotnie, będą nas strzegły, dawały nam bezpieczeństwo, a nawet moc!

Coraz więcej skaa wychodziło z domów, grupa powiększała się z każdą chwilą.

– Idź po resztę – odezwała się Vin.

– Dobry pomysł – mruknął Sazed i szybko podążył w stronę drabiny.

– Wasi przyjaciele, wasze dzieci, ojcowie, matki, żony i kochanki – mówił skaa, zapalając latarnię i unosząc ją wysoko – leżą tam martwi na ulicy, nie dalej niż pół godziny drogi stąd. Ostatni Imperator nie miał nawet tyle przyzwoitości, żeby posprzątać po rzezi!

Tłum zaczął pomrukiwać z aprobatą.

– A nawet jeśli posprzątają – mówił człowiek – czy to dłonie Ostatniego Imperatora wykopią groby? Nie, to będą nasze ręce, lord Kelsier o tym mówił.

– Lord Kelsier! – zgodziło się kilka kolejnych osób.

Brzęk drabinki oznajmił przybycie Hama. Wkrótce dołączył do niego Sazed, potem Breeze, Dockson, Spook, a nawet Clubs.

– Lord Kelsier! – zawołał mężczyzna na dole. Pozostali zapalili pochodnie, rozświetlając mgłę. – Lord Kelsier walczył dzisiaj za nas! Zabił nieśmiertelnego Inkwizytora!

Tłum zafalował.

– Ale potem zginął! – krzyknął ktoś.

Milczenie.

– A co zrobiliśmy, żeby mu pomóc? – zapytał przywódca. – Było nas tam wielu... tysiące! Czy pomogliśmy? Nie! Czekaliśmy, patrząc, jak za nas walczy. Staliśmy tępo i pozwoliliśmy, żeby upadł. Patrzyliśmy, jak umiera! A może nie? Co powiedział Ocalały? Że Ostatni Imperator nie może go naprawdę zabić! Kelsier jest Panem Mgieł! Czy nie jest teraz z nami?

Vin spojrzała na pozostałych. Ham obserwował tłum, ale Breeze wzruszył ramionami.

– Ten człowiek jest zwyczajnie niespełna zmysłów. To fanatyk.

– Mówię wam, przyjaciele! – krzyczał skaa. Tłum wciąż rósł, zapalały się kolejne pochodnie. – Mówię wam prawdę! Lord Kelsier objawił mi się dzisiaj! Powiedział, że zawsze będzie z nami. Czy znów go zawiedziemy?

– Nie! – rozbrzmiała odpowiedź.

Breeze pokręcił głową.

– Nie wiedziałem, że to w nich siedzi. Szkoda, że to taka mała...

– A co to? – zapytał Dox.

Vin obejrzała się, marszcząc brwi. W oddali było widać plamę światła. Jak... pochodnie, zapalone we mgle. Kolejna pojawiła się na wschodzie, w rejonie slumsów skaa. A potem czwarta. W ciągu kilku chwil wydawało się już, że płonie całe miasto.

– Ty szalony geniuszu... – wyszeptał Dockson.

– Co? – zapytał Clubs, marszcząc brwi.

– Nie zauważyliśmy tego – mruknął Dox. – Atium, armia, szlachta... nie to planował Kelsier. To było jego zadanie! Nasza grupa nigdy nie miała obalić Ostatniego Imperium – była za mała. Jednak ludność całego miasta...

– Mówisz, że on to zrobił celowo? – zapytał Breeze.

– Co dzień zadawał mi to samo pytanie – odrzekł Sazed zza ich pleców. – Pytał, co daje religiom tak wielką moc. A ja zawsze odpowiadałem tak samo... – Spojrzał na nich, przekrzywiając głowę. – Powiedziałem, że to dlatego, że wierzący ludzie mieli coś, co dawało im siłę. Coś... albo kogoś.

– Ale dlaczego nam nie powiedział? – zdziwił się Breeze.

– Bo wiedział – odparł cicho Dox – Wiedział coś, na co my nigdy byśmy się nie zgodzili. Że będzie musiał umrzeć.

Breeze pokręcił głową.

– Nie kupuję tego. Po co zawracał sobie nami głowę? Mógł sobie z tym sam poradzić.

Po co zawracał...

– Dox – odezwała się Vin, obracając się ku niemu. – Gdzie jest ten magazyn, który wynajął Kelsier, ten, w którym spotykał się jako informator?

Dockson się zastanowił.

– Właściwie nie tak daleko. Dwie ulice stąd. Powiedział, że chce, żeby był blisko szybkiej kryjówki...

– Pokaż mi! – zawołała, przekraczając krawędź dachu i zsuwając się po ścianie.

Zebrani skaa wrzeszczeli nadal, z każdą chwilą coraz głośniej. Cała ulica jakby płonęła od pochodni, których płomienie zmieniały mgłę w świetlistą poświatę.

Dockson poprowadził ją w dół ulicy, reszta grupy wlokła się z tyłu. Magazyn był wielką zaniedbaną budowlą, smętnie przycupniętą w przemysłowej części dzielnic skaa. Vin podeszła, rozjarzyła cynę z ołowiem i zerwała zamek.

Drzwi uchyliły się powoli. Dockson uniósł latarnię, a jej światło wydobyło z mroku sterty lśniącego metalu. Broń. Miecze, topory, włócznie i hełmy błyszczały w blasku pochodni – nieprawdopodobny srebrzysty skarbiec.

Grupa rozglądała się w zachwycie.

– Wszystko dlatego – szepnęła Vin. – Potrzebował Renoux, żeby kupować takie ilości broni. Wiedział, że rebelia będzie potrzebowała oręża, jeśli miało się podbić miasto.

– Więc po co zbierał armię? – zapytał Ham. – Czy i to była przykrywka?

– Tak sądzę – odrzekła.

– Mylisz się – rozległ się nagle znajomy głos, odbijając się echem od ścian. – Chodziło o znacznie więcej.

Wszyscy podskoczyli, a Vin rozjarzyła metale... ale rozpoznała głos.

– Renoux? – zapytała.

Dockson podniósł wyżej latarnię.

– Pokaż się, stworze.

Z głębi magazynu wynurzyła się postać, ale pozostawała w cieniu. Głos jednak był łatwy do zidentyfikowania.

– Potrzebował armii, by stworzyć wyszkolony trzon rebelii. Ta część jego planu została... zniweczona przez przebieg wypadków. Była to jednak tylko niewielka cząstka tego, do czego was potrzebował. Szlachetne rody musiały upaść, żeby stworzyć lukę w strukturze politycznej. Garnizon musiał opuścić miasto, żeby skaa nie zostali wymordowani.

– Planował to wszystko od samego początku – wyszeptał z podziwem Ham. – Kelsier wiedział, że skaa nie powstaną. Byli zbyt długo uciskani, nauczeni myśleć, że Ostatni Imperator jest właścicielem ich ciał i dusz. On wiedział, że nigdy się nie zbuntują... chyba że da się im nowego boga.

– Tak – odparł Renoux i wyszedł w krąg światła.

Blask zamigotał na jego twarzy i Vin jęknęła zaskoczona.

– Kelsier! – wrzasnęła.

Ham chwycił ją za ramię.

– Uważaj, dziecko. To nie on.

Stworzenie spojrzało na nią. Miało twarz Kelsiera, ale oczy... były inne. A na twarzy nie było charakterystycznego uśmiechu Kelsiera. Wydawała się pusta. Martwa.

– Przepraszam – rzekł stwór. – To miała być moja rola w planie, dlatego Kelsier skontaktował się ze mną. Miałem zabrać jego kości, kiedy będzie martwy, a potem objawiać się jego wyznawcom, by dawać im siłę i wiarę.

– Czym ty jesteś? – zapytała ze zgrozą Vin.

Renoux-Kelsier spojrzał na nią. Jego twarz nagle zamigotała i stała się przezroczysta. Przez galaretowatą skórę było widać kości. Przypominał jej...

– Mgielne widmo...

– Kandra – poprawił stwór, a jego skóra straciła przejrzystość. – Mgielne widmo, które... dorosło, można by powiedzieć.

Vin odwróciła się z obrzydzeniem, przypominając sobie widziane we mgle istoty. Ścierwojady, mówił o nich Kelsier... istoty, które trawiły trupy, kradnąc ich szkielety i wygląd. Legendy są jeszcze bliższe prawdy, niż sądziłam.

– Ty też byłaś częścią planu – rzekł kandra. – Wszyscy byliście. Nie wiedzieliście, po co mu była grupa? Potrzebował porządnych ludzi, takich, którzy nauczą się martwić bardziej o ludzi niż o pieniądze. Postawił was na czele armii i tłumów, abyście mogli szkolić się w dowodzeniu. Wykorzystał was... ale też wytrenował.

Stworzenie spojrzało na Docksona, Breeze’a i Hama.

– Biurokrata, polityk, generał. Dla nowego narodu, który ma dopiero powstać, potrzebował ludzi o takich talentach, jak wy. – Kandra wskazał ruchem głowy wielki arkusz papieru, przymocowany do blatu stołu w kącie. – To wasze zadanie. Ja mam inne sprawy do załatwienia.

Odwrócił się, by odejść, ale zatrzymał się przed Vin, spoglądając na nią swą niepokojąco Kelsierową twarzą. Sam stwór jednak nie przypominał ani Renoux, ani Kelsiera. Wydawał się pozbawiony uczuć.

Kandra podał jej małą sakiewkę.

– Prosił, by ci to przekazać.

Upuścił sakiewkę na jej dłoń i poszedł dalej, w kierunku drzwi. Obecni rozstąpili się przed nim.

Breeze pierwszy ruszył w stronę stołu, ale Ham i Dockson byli szybsi. Vin spojrzała na woreczek. Bała się sprawdzić, co zawiera. Pobiegła, by

czym prędzej dołączyć do grupy.

Arkusz okazał się mapą miasta skopiowaną z mapy Marsha. Na górze dopisano odręcznie kilka słów.

„Moi przyjaciele, macie mnóstwo pracy przed sobą i musicie zrobić to szybko. Zorganizujcie i rozdzielcie broń z tego magazynu, a potem zróbcie to samo w dwóch takich samych magazynach, zlokalizowanych w innych slumsach. W bocznym pomieszczeniu są konie, będzie Wam łatwiej podróżować.

Kiedy już rozdzielicie broń, musicie zabezpieczyć bramy miasta i podporządkować sobie ostatnich żołnierzy Garnizonu. Breeze, zajmie się tym Twoja grupa... najpierw pójdziecie na Garnizon, żebyście mogli w spokoju opanować bramy.

Są cztery Wielkie Rody, które zachowują silną pozycję militarną w mieście. Zaznaczyłem je na mapie. Ham, Twoja grupa zajmie się nimi. Nie chcemy w mieście innych sił zbrojnych niż nasze.

Dockson, pozostaniesz z tyłu, kiedy zaczną się pierwsze ataki. Coraz więcej skaa będzie przychodziło do magazynów, kiedy wieść się rozejdzie. Oddziały Breeze’a i Hama będą się składały z wyszkolonych przez nas żołnierzy oraz posiłków z ulicy, na które mamy nadzieję. Musisz dopilnować, by wszyscy skaa mieli broń, a Clubs mógł sam poprowadzić atak na pałac.

Stacje Uspokajania powinny już zniknąć – Renoux podał właściwy rozkaz naszym grupom zabójców, zanim przybył, by Was tutaj doprowadzić. Jeśli znajdziecie czas, wyślijcie kilku Zbirów Hama, niech sprawdzą. Breeze, Twoi Uspokajacze będą potrzebni pośród skaa, żeby zachęcić ich do działania.

Myślę, że to wszystko, Zadanie było zabawne, prawda? Kiedy będziecie mnie wspominać, pamiętajcie i o tym. Pamiętajcie, żeby się uśmiechać. A teraz do roboty.

Panujcie mądrze”.

Mapa przedstawiała miasto podzielone na sektory, z których każdy był oznaczony imieniem jednego z członków grupy. Vin zauważyła, że tylko ona i Sazed nie zostali ujęci.

– Wrócę do tych skaa pod naszym domem – rzekł Clubs burkliwym tonem. – Sprowadzę ich tutaj i dam broń.

Kuśtykając, ruszył ku drzwiom.

– Clubs?! – zawołał Ham, obracając się. – Nie gniewaj się, ale... Dlaczego cię umieścił wraz z innymi przywódcami armii? Co wiesz na temat walki?

Clubs prychnął, po czym uniósł nogawkę spodni, ukazując długą, krętą bliznę, biegnącą z boku łydki po udo – widoczną przyczynę utykania.

– A jak myślisz, skąd to mam? – zapytał i ruszył w swoją drogę.

Ham obejrzał się ze zdumieniem.

– Nie wierzę, że to się dzieje.

Breeze pokręcił głową.

– A ja myślałem, że wiem coś na temat manipulowania ludźmi. To... to zdumiewające. Gospodarka jest na skraju bankructwa, a szlachta, która przeżyje, wkrótce będzie prowadziła za miastem otwarte działania wojenne. Kell pokazał nam, jak zabijać Inkwizytorów... musimy ich tylko powalać i pozbawiać głów. A Ostatni Imperator...

Spojrzenia wszystkich spoczęły na Vin. Dziewczyna popatrzyła na sakiewkę w dłoni i otwarła ją. W środku znalazła mniejszy woreczek, wypełniony prawdopodobnie kulkami atium. Za nim na jej dłoń wysunął się kawałek metalu owinięty w arkusik papieru. Jedenasty Metal.

Vin odwinęła papier.

„Vin”, przeczytała. „Twoim pierwotnym zadaniem dzisiejszej nocy miało być zamordowanie wysokiego rodu szlachty pozostającego w mieście. Ale cóż, przekonałaś mnie, że może jednak ci ludzie powinni żyć.

Nie mogę sobie wyobrazić, jak ten cholerny metal ma działać. Można go spalać, nie zabije Cię, ale wydaje mi się, że nie robi nic użytecznego. Jeśli to czytasz, nie udało mi się zorientować, jak go używać, zanim stanąłem przed Ostatnim Imperatorem. Chyba to nie ma znaczenia. Ludzie potrzebowali czegoś, w co mogliby wierzyć, a to był jedyny sposób, żeby im dać coś takiego.

Proszę, nie złość się, że Cię opuściłem. Dostałem drugą szansę w życiu, powinienem był umrzeć już wiele lat temu, zamiast Mare. Byłem na to przygotowany.

Inni będą Cię potrzebować. Jesteś teraz ich Zrodzoną z Mgły – musisz ich chronić przez najbliższe miesiące. Szlachta będzie wysyłała zabójców na naszych władców nowo powstałego państwa.

Żegnaj. Opowiem o Tobie Mare. Zawsze chciała mieć córkę”.

***

– Co on tam napisał, Vin? – zapytał Ham.

– Pisze... że nie wie, jak działa Jedenasty Metal. Przeprasza... nie był pewien jak pokonać Ostatniego Imperatora.

– Teraz mamy całe miasto ludzi, żeby z nim walczyć – odparł Dox. – Poważnie wątpię, czy może zabić nas wszystkich, jeśli my go nie zniszczymy, po prostu się go zwiąże i wrzuci do lochu.

Pozostali pokiwali głowami.

– Doskonale! – rzekł Dockson. – Breeze i Ham, musicie dotrzeć do pozostałych magazynów i zacząć rozdawać ludziom broń. Spook, idź po uczniów... będą nam potrzebni do przekazywania wiadomości. Do roboty!

Wszyscy rozbiegli się do swoich zajęć. Wkrótce skaa, których widzieli wcześniej, wpadli do magazynu, wysoko unosząc pochodnie i z podziwem chłonąc wzrokiem wspaniałą broń. Dockson pracował sprawnie, zatrudniając niektórych przybyszów do rozdzielania oręża, innych posyłając po przyjaciół i rodzinę. Mężczyźni zaczęli się zbroić, przygotowywać. Wszyscy byli zajęci, z wyjątkiem Vin.

Spojrzała na Sazeda, który uśmiechnął się do niej.

– Czasem musimy po prostu czekać długo na swoją kolej, panienko – rzekł. – A potem dowiadujemy się, dlaczego wierzyliśmy. Jest takie powiedzenie, które Mistrz Kelsier bardzo lubił.

– Zawsze jest kolejna tajemnica – szepnęła. – Ale, Saze, wszyscy mają coś do roboty z wyjątkiem mnie. Początkowo miałam mordować szlachtę, ale teraz Kelsier już nie chce, żebym to robiła.

– Trzeba ich zneutralizować – odparł Sazed – ale niekoniecznie mordować. Może twoim zadaniem było po prostu ukazanie Kelsierowi tego faktu?

Vin pokręciła głową.

– Nie, mam do zrobienia coś więcej, Saze.

Chwyciła nerwowo pusty worek. Coś w nim zaszeleściło.

Spojrzała, otwarła sakiewkę i zauważyła kawałek papieru, którego wcześniej nie widziała. Wyjęła go i delikatnie rozwinęła. Był to rysunek, który Kelsier pokazał jej wcześniej – obrazek z kwiatem. Mare zawsze

miała go przy sobie, marząc o przyszłości, w której słońce nie jest czerwone, a rośliny mają barwę zieloną...

Vin podniosła wzrok.

Biurokrata, polityk, żołnierz... każde królestwo potrzebuje jeszcze czegoś. Dobrego zabójcy.

Odwróciła się, wyjęła fiolkę z metalami i wypiła jej zawartość, przy okazji popijając kilka perełek atium. Podeszła do sterty broni i wybrała mały pęk strzał. Miały kamienne groty. Zaczęła je odłamywać, pozostawiając po około pół cala drzewca, a resztę wyrzucała.

– Panienko? – zagadnął z troską Sazed.

Wyminęła go, szukając w stercie żelastwa. Znalazła wreszcie to co chciała – kaftan kolczy, składający się z szerokich, splecionych ze sobą metalowych kółek. Wyrwała kilka, używając do tego sztyletu i wzmocnionych cyną z ołowiem palców.

– Panienko, co robisz?

Podeszła teraz do skrzyni obok stołu, w której widziała wcześniej dużą ilość sproszkowanych metali. Napełniła sakiewkę kilkoma garściami sproszkowanej cyny z ołowiem.

– Martwię się o Ostatniego Imperatora – mruknęła, biorąc z pudełka pilnik, by zeskrobać kilka płatków Jedenastego Metalu. Zawahała się, przez chwilę przyglądając się nieznanej srebrzystej substancji, po czym przełknęła płatki, popijając wodą z flaszki. Włożyła kilka zapasowych płatków do jednej ze swoich fiolek z metalami.

– Rebelia z pewnością potrafi sobie z nim poradzić – zaoponował Sazed. – Bez swoich wszystkich sług z pewnością nie jest aż tak silny.

– Mylisz się – odparła. Wstała i ruszyła w stronę drzwi. – On jest silny, Saze. Kelsier go tak nie wyczuwał, nie tak jak ja. On nie wiedział.

– Dokąd idziesz?! – zawołał za nią.

Zatrzymała się w drzwiach, obejrzała. Wokół niej wirowała mgła.

– W kompleksie pałacowym jest komnata, chroniona przez straże i Inkwizytorów. Kelsier dwa razy próbował się do niej dostać. – Znów spojrzała w mroczne mgły. – Dzisiaj dowiem się, co w niej jest.

Stwierdziłem, że jestem wdzięczny za nienawiść Rasheka. Dobrze mi robi, kiedy pamiętam, że są tacy, którzy mnie nienawidzą. Moim zadaniem nie jest poszukiwanie popularności i miłości, mam tylko zapewnić, że ludzkość przeżyje.

36

Vin szła powoli w stronę Kredik Shaw. Niebo nad nią płonęło, mgły odbijały i rozpraszały światło tysiąca pochodni. Wyglądało to jak promienna kopuła nad miastem.

Światło było żółte. Kelsier twierdził, że właśnie tej barwy powinno być słońce.

Czterech nerwowych strażników stało przy tej samej bramie pałacu, którą już wcześniej atakowała z Kelsierem. Obserwowali ją, kiedy podchodziła. Vin szła powoli, cicho, stąpając lekko po mokrych od mgły kamieniach. Jej płaszcz szeleścił dostojnie.

Jeden ze strażników opuścił włócznię i skierował w jej pierś. Vin zatrzymała się tuż przed nim.

– Znam was – powiedziała cicho. – Wytrzymaliście fabrykę, kopalnie i kuźnię. Wiedzieliście, że pewnego dnia to was zabije, a wasze rodziny

umrą z głodu. Więc poszliście do Ostatniego Imperatora – winni, ale zdeterminowani – i wstąpiliście do jego straży.

Czterej mężczyźni spojrzeli zmieszani po sobie.

– Światło za mną pochodzi z ogromnej rebelii skaa – rzekła. – Całe miasto powstaje przeciwko Ostatniemu Imperatorowi. Nie winię was za wasze wybory, ale nadszedł czas zmian. Tym rebeliantom przydałoby się wasze szkolenie i wiedza. Idźcie do nich... zbierają się na Placu Ocalałego.

– Placu... Ocalałego? – zapytał jeden.

– Placu, na którym dzisiaj został zabity Ocalały z Hathsin.

Vin lekko Podburzyła jego uczucia.

– Nie musisz już żyć z poczuciem winy.

Wreszcie mężczyzna wystąpił naprzód i zerwał z ramienia symbol, po czym z determinacją ruszył w mrok. Pozostali zawahali się, a potem ruszyli za nim, pozostawiając Vin samą przed otwartym wejściem do pałacu.

Poszła zatem korytarzem, mijając ten sam pokój strażników co ostatnio. Weszła do środka – wymijając grupę rozmawiających strażników, ale nie zrobiła nikomu krzywdy – po czym skierowała się ku korytarzowi po drugiej stronie. Za jej plecami strażnicy otrząsnęli się z zaskoczenia i wszczęli alarm. Wybiegli na korytarz, ale Vin skoczyła i Odepchnęła się od uchwytów lamp, śmigając im sprzed nosa.

Ich głosy stały się odległe; nawet biegnąc, nie byli w stanie dotrzymać jej kroku. Dotarła do końca korytarza, po czym opuściła się lekko na ziemię, spowita taśmami płaszcza. Teraz znów ruszyła zdecydowanym, niespiesznym krokiem. Nie miała powodu biec. I tak będą na nią czekali.

Przeszła pod arkadą, wkraczając do zwieńczonej kopułą centralnej komnaty. Na ścianach lśniły srebrne freski, w rogach paliły się pochodnie, podłoga była z czarnego marmuru.

A drogę zagradzało jej dwóch Inkwizytorów.

Vin weszła spokojnie do sali, podchodząc do budynku wewnątrz budynku, który był jej celem.

– Przez cały czas szukamy – odezwał się jeden z Inkwizytorów zgrzytliwym głosem. – A ty przyszłaś do nas sama.

Vin zatrzymała się około dwudziestu stóp od nich. Byli ogromni – każdy miał ponad dwie stopy wzrostu więcej od niej – i uśmiechali się z satysfakcją.

Vin rozpaliła atium, po czym wyszarpnęła ręce spod płaszcza i rzuciła w ich stronę dwie garści grotów. Rozpaliła stal, Odpychając z całych sił pierścienie metalu luźno owinięte wokół drzewców. Pociski wystrzeliły w przód, przecinając ze świstem powietrze. Naczelny Inkwizytor zachichotał, unosząc dłoń i Odpychając wzgardliwie groty.

Jego Pchnięcie zdarło luźne pierścienie z drzewców. Kawałki metalu wystrzeliły w tył, ale same groty się nie zatrzymały. Nikt ich już nie Odpychał od tyłu, ale wciąż niósł je śmiercionośny rozpęd.

Inkwizytor przyglądał się z otwartymi ustami, jak w jego stronę zmierzają dwa tuziny grotów. Kilka przebiło całkiem jego ciało, przelatując na wylot, aby rozbić się o kamienną ścianę. Kilka innych trafiło w nogi jego kompana.

Główny Inkwizytor szarpnął się i upadł. Drugi pozbierał się z dzikim pomrukiem na nogi, ale lekko kulał. Vin rzuciła się w przód, rozjarzając cynę z ołowiem. Pozostały Inkwizytor próbował ją zablokować, wtedy jednak sięgnęła do płaszcza i rzuciła garść sproszkowanej cyny z ołowiem.

Inkwizytor zatrzymał się zmieszany. W jego oczach proszek stał się masą niebieskich linii, z których każda wiodła do cząsteczki metalu. Przy takiej liczbie źródeł metalu skupionych w jednym punkcie, linie po prostu go oślepiały.

Inkwizytor okręcił się gniewnie w jej stronę, ale Vin przebiegła obok. Odepchnął pył, zdmuchując go, ale w tej chwili Vin wyrwała zza pasa szklany sztylet i rzuciła w niego. W ogłupiającej sieci niebieskich linii i cieni atium nie zauważył sztyletu, który trafił go dokładnie w udo. Upadł, klnąc skrzekliwym głosem.

Dobrze, że się udało, pomyślała, przeskakując przez jęczące ciało pierwszego Inkwizytora. Nie byłam pewna, co z tymi ich oczami.

Rzuciła się na drzwi, rozjarzając cynę z ołowiem i rzucając kolejną garść pyłu, by pozostały Inkwizytor nie był w stanie odnaleźć żadnych metali na jej ciele. Nie zawróciła, żeby z nimi dalej walczyć, nie po tym, jak widziała, ile problemów miał z tym stworem Kelsier. Celem jej infiltracji nie było zabijanie, lecz zebranie informacji i ucieczka.

Wpadła do budynku w budynku, omal nie potknęła się o dywan z jakiegoś egzotycznego futra. Zmarszczyła brwi, rozglądając się niecierpliwie po pokoju, szukając, co mógłby tu chować Ostatni Imperator.

To coś musi tu być, pomyślała. Jakiś sposób, żeby go pokonać... żeby wygrać tę walkę. Liczyła na to, że Inkwizytorzy będą dość długo zajęci własnymi ranami, żeby mogła odszukać sekret Ostatniego Imperatora i uciec.

Pokój miał tylko jedne drzwi, te, którymi weszła, a pośrodku paliło się ognisko. Ściany były udekorowane dziwacznymi ozdobami – w kilku miejscach wisiały futra, pofarbowane w równie dziwaczne wzory. Było tu kilka starych obrazów o spłowiałych barwach i pożółkłym tle.

Szukała szybko, niecierpliwie, usiłując znaleźć cokolwiek, co mogłoby okazać się bronią przeciwko Ostatniemu Imperatorowi. Niestety, nie spostrzegła niczego użytecznego. Pokój wydawał się dziwny, ale niezbyt ciekawy. Właściwie przypominał gabinet lub biuro, miał w sobie coś ciepłego i przytulnego. Pełno w nim było dziwnych przedmiotów i dekoracji – na przykład rogi jakiejś egzotycznej zwierzyny czy niezwykłe buty o szerokich, płaskich podeszwach. Przypominał dom człowieka, który lubi żyć wspomnieniami i pamiątkami z przeszłości.

Poderwała się, bo nagle coś poruszyło się na środku sali. Koło ognia stał obrotowy fotel i teraz mebel odwrócił się powoli, ukazując siedzącego w nim starca. Łysy, ze starczymi plamami na skórze, wyglądał na mniej więcej siedemdziesiątkę. By ubrany w ciemny, bogaty strój i gniewnie przyglądał się Vin.

Otóż to, pomyślała. Tu nic nie ma... porażka. Czas się wynosić.

Okręciła się na pięcie i chciała wybiec, kiedy z tyłu pochwyciły ją czyjeś mocne dłonie. Zaklęła, próbując się wyrwać, i ujrzała zakrwawioną nogę Inkwizytora. Nawet z cyną z ołowiem nie powinien móc się na niej poruszać. Próbowała się wykręcić, ale Inkwizytor miał silne dłonie.

– Co się dzieje? – odezwał się starzec.

– Przepraszam, Ostatni Imperatorze – odrzekł z szacunkiem Inkwizytor.

Ostatni Imperator!... Ale... widziałam go. Był młody.

– Zabić ją – rzekł starzec, kiwając ręką.

– Panie – odparł Inkwizytor – to dziecko jest... interesujące. Mogę ją zatrzymać na chwilę?

– W jakim sensie interesujące? – zapytał Ostatni Imperator i usiadł z westchnieniem.

– Chcieliśmy wnieść petycję, Ostatni Imperatorze – rzekł Inkwizytor. – Chodzi o Kanton Ortodoksji.

– Znowu to samo? – odparł Ostatni Imperator znużonym tonem.

– Proszę, panie – rzekł Inkwizytor.

Vin cały czas się szarpała, rozjarzając cynę z ołowiem. Inkwizytor przycisnął jej ręce do boków; wymierzone w tył kopniaki niewiele dawały. On jest okropnie silny, pomyślała z rozpaczą.

I nagle przypomniała sobie. Jedenasty Metal. Miała w sobie jego moc, nieznajomą rezerwę. Podniosła wzrok, patrząc na starca. Lepiej, żeby to zadziałało. Rozpaliła Jedenasty Metal.

Nic się nie stało.

Szarpała się rozpaczliwie, ze ściśniętym sercem. I wtedy go zobaczyła. Innego mężczyznę, stojącego obok Ostatniego Imperatora. Skąd on się wziął? Nie widziała, żeby wchodził.

Miał wielką brodę i nosił grubą wełnianą odzież, a na niej obramowany futrem płaszcz. Nie było to bogate odzienie, ale dobrze uszyte. Stał spokojnie i wydawał się... zadowolony. Uśmiechał się.

Vin przekrzywiła głowę.

W tym mężczyźnie było coś znajomego. Jego rysy twarzy bardzo przypominały twarz człowieka, który zabił Kelsiera. Był jednak nieco starszy i... jakby bardziej żywy.

Obejrzała się. Obok niej stał drugi nieznajomy mężczyzna, młody szlachcic. Sądząc z ubioru, był kupcem i do tego bogatym.

Co się dzieje?

Jedenasty Metal się wypalił. Obaj nowo przybyli znikli jak duchy.

– Doskonale – rzekł z westchnieniem Ostatni Imperator. – Zgadzam się na wasze żądanie. Spotkamy się za kilkanaście godzin... Trevidian już zażądał spotkania, by przedyskutować sprawę poza pałacem.

– Ach – odrzekł drugi Inkwizytor. – Tak... dobrze by było, żeby się zjawił. Dobrze, doprawdy dobrze.

Vin nadal się szarpała, kiedy Inkwizytor przycisnął ją do podłogi, po czym podniósł rękę i chwycił coś, czego nie mogła zobaczyć. Zamachnął się i jej głowa eksplodowała bólem.

Pomimo cyny z ołowiem zapadła ciemność.

***

Elend odnalazł ojca w północnej bramie – mniejszym, mniej imponującym wejściu do Twierdzy Venture, choć tylko w porównaniu z majestatycznym wielkim holem.

– Co się dzieje? – zapytał Elend, wkładając surdut. Włosy miał rozczochrane od snu.

Lord Venture stał wraz z kapitanem gwardii i flisakami. Służba i żołnierze krzątali się po biało-brązowym holu, biegając z przerażonymi minami.

Venture zignorował pytanie Elenda i wezwał posłańca, żeby posłać go do wschodnich doków rzecznych.

– Ojcze, co się dzieje? – zapytał znów Elend.

– Rebelia skaa – warknął lord Venture.

Co? – pomyślał Elend, kiedy lord Venture wezwał kolejną grupę żołnierzy, by się zbliżyli. Niemożliwe. Rebelia skaa w samym Luthadelu... nie do pomyślenia. Nie byli w stanie zdobyć się na tak odważny gest, byli tylko...

Valette jest skaa, przypomniał sobie. Musisz przestać myśleć jak cała szlachta, Elendzie. Musisz przejrzeć na oczy.

Garnizon wyjechał, by wyciąć kolejne grupy rebeliantów. Skaa byli zmuszeni do oglądania tych posępnych egzekucji tydzień temu, nie mówiąc już o dzisiejszej rzezi.

Temadre to przewidział, zrozumiał nagle Elend. Podobnie jak pół tuzina innych teoretyków politycznych. Powiedzieli, że Ostatnie Imperium nie może istnieć wiecznie, czy na jego czele stoi Bóg, czy nie, ludzie w końcu się zbuntują... i wreszcie to się dzieje. A ja jestem w samym środku!

I... po niewłaściwej stronie.

– Po co flisacy? – zapytał.

– Opuszczamy miasto – odrzekł gniewnie lord Venture.

– Opuszczamy twierdzę? – zapytał Elend. – A co to za honor?

Lord Venture prychnął.

– Nie chodzi o odwagę, chłopcze. Chodzi o przeżycie. Ci skaa atakują główne bramy, wyrzynają resztki Garnizonu. Nie mam zamiaru czekać, aż przyjdą po nasze szlacheckie głowy.

– Ale...

Lord Venture pokręcił głową.

– I tak mieliśmy wyjechać. Coś... stało się w Czeluściach kilka dni temu. Ostatni Imperator nie będzie zadowolony, kiedy to odkryje. – Odstąpił w tył i skinął na kapitana barki.

Rebelia skaa, pomyślał wciąż nieco oszołomiony Elend. Przed czym to Tenadre ostrzegał nas w swoich książkach? Że kiedy wreszcie wybuchnie rebelia skaa, będą zabijać bez opamiętania... każde szlacheckie życie będzie zagrożone.

Przewidział, że rebelia skończy się szybko, ale zostawi po sobie stosy ciał. Tysiące zabitych. Dziesiątki tysięcy.

– No i co, chłopcze? – zagadnął lord Venture. – Idź, przygotuj się.

– Nie jadę – odparł Elend, samemu dziwiąc się swej odpowiedzi.

Lord Venture zmarszczył brwi.

– Co?

Elend podniósł wzrok.

– Nie jadę, ojcze.

– Ależ jedziesz – odparł lord Venture, mierząc Elenda jednym ze swoich najgroźniejszych spojrzeń.

Elend popatrzył mu w oczy... oczy wściekłe nie dlatego, że troszczył się o bezpieczeństwo syna, lecz dlatego, że śmiał się przeciwstawić. Dziwne, lecz tym razem nie czuł się ani trochę onieśmielony. Ktoś musi to powstrzymać. Rebelia może zrobić coś dobrego, ale tylko wtedy, jeśli skaa nie uprą się, żeby wymordować wszystkich sojuszników. A szlachta właśnie tym powinna być – sojusznikiem przeciwko Ostatniemu Imperatorowi. On też jest naszym wrogiem.

– Ojcze, mówię poważnie – odparł Elend. – Zamierzam zostać.

– Do krocset, chłopcze! Musisz ze mnie drwić?

– Nie chodzi o bale i rauty, ojcze. Chodzi o coś ważniejszego.

Lord Venture znieruchomiał.

– Żadnych kąśliwych komentarzy? Żadnej bufonady?

Elend pokręcił głową.

Nagle lord Venture się uśmiechnął.

– Więc zostań, chłopcze. To dobry pomysł. Ktoś musi nas tu reprezentować, kiedy my będziemy zbierać siły. Tak... to bardzo dobry pomysł.

Elend się zawahał, marszcząc brwi na widok uśmiechu w oczach ojca. Atium... ojciec próbuje doprowadzić do tego, bym padł zamiast niego!

A jeśli nawet... jeśli nawet Ostatni Imperator mnie nie zabije, ojciec zakłada, że zginę w czasie buntu. Tak czy owak pozbywa się mnie.

Doprawdy, chyba nie jestem w tym dobry, co?

Lord Venture obrócił się i zaśmiał.

– Zostaw mi przynajmniej paru żołnierzy – rzekł Elend.

– Możesz mieć większą część – odparł lord. – Nawet jedną łódź trudno będzie wyprowadzić z tego bałaganu. Powodzenia, chłopcze. Pozdrów Ostatniego Imperatora.

Zaśmiał się znowu i ruszył ku swemu rumakowi, który osiodłany już czekał na dziedzińcu.

Teraz... ja tu rządzę, pomyślał wstrząśnięty Elend. I co teraz? Widział, jak mgły rozbłyskają łuną pożarów. Kilku strażników krzyczało, że zbliża się tłum skaa.

Elend podszedł do otwartych drzwi i wyjrzał przez nie. Za jego plecami w korytarzu zrobiło się bardzo cicho. Przerażeni ludzie zrozumieli, w jakim są niebezpieczeństwie.

Elend stał tak przez dłuższą chwilę. Nagle się obejrzał.

– Kapitanie! – zawołał. – Zbierz naszych ludzi i resztę służby, nie zostawiaj nikogo. A potem udajcie się do Twierdzy Lekal.

– Twierdza... Lekal, panie?

– Jest łatwiejsza do obrony – wyjaśnił Elend. – Poza tym oba rody mają za mało żołnierzy. Oddzielnie zostaniemy zniszczeni. Razem możemy się utrzymać. Zaoferujemy swoich ludzi Lekalom w zamian za ochronę naszych.

– Ale... panie – wyszeptał żołnierz – przecież Lekalowie to nasi nieprzyjaciele.

Elend skinął głową.

– Tak, ale ktoś musi pierwszy wyciągnąć rękę. Do roboty!

Mężczyzna zasalutował i ruszył, by wypełnić rozkaz.

– Kapitanie? – zatrzymał go jeszcze Elend.

Żołnierz przystanął.

– Wybierz pięciu najlepszych naszych żołnierzy na moją gwardię honorową. Pozostawiam ci dowodzenie... ta piątka i ja mamy jeszcze inną misję.

– Panie? – zapytał nieco zdezorientowany kapitan. – Jaką misję?

Elend wskazał ruchem głowy na mgły.

– Zamierzamy się poddać.

***

Vin obudziła wilgoć. Zakasłała, jęknęła, czując ostry ból w czaszce. Otwarła półprzytomne oczy, mrugnięciem strzepując z rzęs wodę, którą ją oblano, i natychmiast rozpaliła cynę z ołowiem i samą, żeby doprowadzić się do całkowitej przytomności.

Para rąk bezceremonialnie postawiła ją na nogi. Vin zakrztusiła się, kiedy Inkwizytor wcisnął jej coś do ust.

– Połknij – rozkazał, wykręcając jej rękę.

Vin krzyknęła, bez powodzenia próbując opierać się bólowi. Wreszcie jednak poddała się i przełknęła kawałek metalu.

– A teraz spal go – rozkazał Inkwizytor, wykręcając rękę jeszcze mocniej.

Vin opierała się dalej, czując wewnątrz nieznaną rezerwę metalu. Inkwizytor mógł ją zmusić do spalenia bezużytecznego metalu – takiego, który sprawi, że będzie chora, albo, co gorsza, ją zabije.

Ale istnieją przecież łatwiejsze metody zabicia więźnia, pomyślała. Ramię bolało ją tak, jakby za chwilę miało wyskoczyć ze stawu. Wreszcie ustąpiła i spaliła metal.

Natychmiast wszystkie inne rezerwy metalu znikły.

– Dobrze – rzekł Inkwizytor, rzucając ją na podłogę.

Kamienie były mokre, zlane wodą z wiadra. Inkwizytor odwrócił się, wyszedł z celi i zatrzasnął zakratowane drzwi, po czym znikł w drzwiach po drugiej stronie pokoju.

Vin podniosła się na klęczki, masując ramię, usiłując się zorientować, co się właściwie stało. Moje metale! Przeszukiwała desperacko swe wnętrze, ale nic nie znalazła. Nie mogła wyczuć ani odrobiny metalu, nawet tego, który przed chwilą połknęła.

Co to było? Dwunasty metal? Może Allomancja nie była aż tak ograniczona, jak ją o tym zapewniał Kelsier i pozostali.

Zaczerpnęła kilka głębokich oddechów, uklękła i spróbowała się uspokoić. Coś na nią... Naciskało. Obecność Ostatniego Imperatora. Wyczuwała ją, choć nie tak potężną, jak wcześniej, kiedy zabił Kelsiera.

Niestety, Vin nie miała miedzi, którą mogłaby spalić... żadnego sposobu, aby się ukryć przed potężną, niemal wszechmocną ręką Ostatniego Imperatora. Czuła, jak ogarnia ją depresja, jak jej podpowiada, żeby po prostu się położyła i poddała...

Nie! – pomyślała. Muszę stąd wyjść! Muszę być silna!

Zmusiła się, by wstać i przyjrzeć się otoczeniu. Więzienie bardziej przypominało klatkę niż celę. Trzy z czterech ścian tworzyły kraty. Nie było żadnych mebli, nawet maty do spania. W pomieszczeniu znajdowały się jeszcze dwie takie klatki – po jednej i po drugiej stronie tej, w której zamknięto Vin.

Została rozebrana, pozostawiono jej jedynie bieliznę. Prawdopodobnie po to, by się upewnić, że nie ma przy sobie żadnych ukrytych metali. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Było długie i wąskie, o nagich, kamiennych ścianach. W jednym narożniku postawiono stołek, ale poza nim było puste.

Gdyby znaleźć bodaj odrobinę metalu...

Zaczęła szukać. Instynktownie próbowała spalić żelazo, mając nadzieję, że pojawią się błękitne linie – ale oczywiście nie miała co palić. Pokręciła głową na ten szalony gest, ale dzięki niemu pojęła, jak bardzo uzależniła się od Allomancji. Czuła się... ślepa. Nie mogła palić cyny, by nasłuchiwać. Nie mogła palić cyny z ołowiem, aby lepiej znieść ból ramienia i głowy. Nie mogła palić brązu, żeby odnaleźć innych Allomantów.

Nic. Nie miała nic.

Kiedyś funkcjonowałaś bez Allomancji, powiedziała sobie surowo. Możesz i teraz.

Mimo to przeszukała dokładnie podłogę celi, mając nadzieję na jakąś zagubioną szpilkę czy gwóźdź. Nic nie znalazła, więc skierowała uwagę na pręty krat. Niestety, nie znała sposobu, by zedrzeć bodaj płatek żelaza.

Tyle tu metalu, myślała z rozpaczą, a ja nie mogę go użyć!

Usiadła na ziemi i skulona oparła się o kamienną ścianę. Na dworze wciąż panowała noc, okienko wpuszczało zaledwie kilka przypadkowych kłaczków mgły. Co się działo z rebelią? Co z jej przyjaciółmi? Vin wydawało się, że mgły za oknem są nieco jaśniejsze niż zwykle. Pochodnie w nocy? Bez cyny jej zmysły były za słabe, by to ocenić.

Co ja sobie wyobrażałam? – zastanawiała się z rozpaczą. Czy miałam nadzieję zwyciężyć tam, gdzie poległ Kelsier? Wiedział, że Jedenasty Metal

jest bezużyteczny.

Coś oczywiście robił, ale... z pewnością nie zabił Ostatniego Imperatora.

Siedziała, próbując zorientować się, co się właściwie stało. W obrazach pokazanych jej przez Jedenasty Metal było coś zaskakująco znajomego. Nie chodziło o sposób, w jaki pojawiły się te wizje, ale uczucie towarzyszące Vin, kiedy go spalała.

Złoto. Kiedy zapaliłam Jedenasty Metal, poczułam się tak samo, jak wtedy, kiedy Kelsier kazał mi spalać złoto.

Czy Jedenasty metal może nie być naprawdę „jedenastym”? Złoto i atium zawsze wydawały się Vin dziwną parą. Wszystkie inne metale łączyły się w pary o pewnym podobieństwie – metal podstawowy i stop, każde robi coś przeciwnego. Żelazo Pociąga, stal odpycha, cynk Pociąga, mosiądz Odpycha. Sensowne. Wszystko oprócz atium i złota.

A jeśli Jedenasty Metal to po prostu stop atium lub złota? To by oznaczało, że... złoto i atium nie są parą. Robią dwie różne rzeczy. Podobne, ale różne. Są jak...

Są jak inne metale, które zostały połączone w większe grupy po cztery. Były metale fizyczne: żelazo, stal, cyna i stop cyny z ołowiem. Metale umysłu: brąz, miedź, cynk i mosiądz. I metale wpływające na czas: złoto i jego stop i atium i jego stop.

Oznacza to, że jest jeszcze jeden metal. Taki, którego do tej pory nie odkryto, zapewne dlatego, że złoto i atium były zbyt cenne, by je łączyć w różne stopy.

Ale na co przyda jej się ta wiedza? Jej „Jedenasty metal” prawdopodobnie był parą i przeciwieństwem złota – metalu, o którym Kelsier twierdził, że jest najbardziej bezużytecznym ze wszystkich. Złoto pokazało Vin ją samą – a przynajmniej odmienną wersję jej samej, która wydawała się dość realna, by jej dotknąć. Ale to była tylko wizja tego, kim mogła się stać, gdyby jej przeszłość była inna.

Jedenasty metal zrobił coś podobnego: zamiast pokazać przeszłość Vin, pokazywał analogiczne obrazy innych ludzi. A to nie mówiło jej... nic. Jaka to różnica, czym mógł stać się Ostatni Imperator? Był tym, kim był teraz – władającym Ostatnim Imperium tyranem, którego musiała obalić.

W drzwiach pojawiła się postać – Inkwizytor odziany w czarną szatę, z twarzą skrytą pod kapturem. Spod kaptura wystawały kolce.

– Już czas – rzekł.

W drzwiach czekał drugi Inkwizytor. Tymczasem pierwszy wyciągnął klucze i podszedł, aby otworzyć drzwi klatki Vin.

Vin się sprężyła. Zamek szczęknął i dziewczyna zerwała się na nogi, rzucając się przed siebie.

Czy ja zawsze byłam taka wolna bez cyny z ołowiem? – pomyślała ze zgrozą.

Inkwizytor chwycił ją za ramię, kiedy go mijała. Uczynił to prawie bez wysiłku, prawie niedbale – i wiedziała dlaczego. Jego ręce poruszyły się z nadnaturalną szybkością, co sprawiło, że Vin poczuła się szczególnie ślamazarna.

Inkwizytor postawił ją na nogi, szarpiąc i bez trudu przytrzymując w miejscu. Uśmiechał się złośliwie, a jego twarz była cała pokryta bliznami. Bliznami, które wyglądały jak...

Rany po grotach, pomyślała wstrząśnięta. Już... zagojone? Jak to możliwe?

Szarpała się, ale jej słabe, pozbawione metali ciało nie mogło stanowić wyzwania dla siły Inkwizytora. Stwór przeniósł ją przez próg, a drugi Inkwizytor odstąpił, przyglądając się jej szpilami wystającymi spod kaptura. Choć ten, który ją niósł, uśmiechał się, to usta drugiego tworzyły wąską, zaciśniętą linię.

Vin splunęła na niego. Ślina wylądowała dokładnie na jednej ze szpil. Jej oprawca wywlókł ją na wąski, ciemny korytarz. Zaczęła wołać o pomoc, wiedząc, że jej krzyki w samym środku Kredik Shaw zdadzą się na nic. Przynajmniej zirytowała Inkwizytora, bo znów wykręcił jej rękę.

– Cicho – rzekł, kiedy jęknęła z bólu.

Zamilkła, skupiając się na miejscu, w którym się znaleźli. Była to prawdopodobnie dolna część pałacu, bo korytarze były zbyt długie jak na wieżę czy iglicę. Pokoje zdobiły przepyszne dekoracje, ale pomieszczenia wydawały się... nieużywane. Dywany były nieskazitelnie czyste, mebli nie znaczyły rysy czy zadrapania. Vin miała wrażenie, że mało kto ogląda te freski.

Wreszcie Inkwizytor wszedł na schody i ruszył na górę. Czuła, jak Ostatni Imperator jest z każdą chwilą coraz bliżej. Jego obecność tłumiła jej uczucia, odzierała ją z siły woli, sprawiała, że była nieczuła na wszystko poza samotnością i smutkiem. Zwiotczała w garści Inkwizytora,

zaprzestając oporu. Całą jej energię pochłaniało w tej chwili odpieranie nacisku Ostatniego Imperatora na jej duszę.

Po chwili wspinania się podobną do tunelu klatką schodową Inkwizytor wniósł ją do dużej, okrągłej komnaty. Pomimo potęgi Uspokajania Ostatniego Imperatora, pomimo odwiedzin szlacheckich pałaców Vin nie mogła się powstrzymać, by się nie rozejrzeć uważnie po niezwykle majestatycznym otoczeniu, jakiego nigdy dotąd nie zdarzyło jej się oglądać.

Komnata miała kształt grubego, przysadzistego cylindra. Ściana –tylko jedna, zataczająca krąg wokół widza – była wykonana wyłącznie ze szkła. Podświetlona z zewnątrz przez płomienie, zalewała pokój widmowym blaskiem. Szkło było barwne, choć nie przedstawiało żadnej szczególnej sceny. Wydawało się za to wykonane z jednej szyby, a jego barwy stapiały się ze sobą i mieszały w długich pasmach niczym...

Niczym mgła, pomyślała z zachwytem. Kolorowe pasma mgły, okrążające cały pokój.

Ostatni Imperator siedział na tronie na niewielkim wzniesieniu pośrodku sali. Nie był to ten stary Ostatni Imperator, lecz jego młodsza wersja, przystojny mężczyzna, który zabił Kelsiera.

Jakiś uzurpator? Nie, czuję go... tak samo jak wyczuwałam tamtego. To ten sam człowiek. Czy zatem może zmieniać swój wygląd? Wydawać się młody, kiedy chce ładnie wyglądać?

W głębi sali stała pogrążona w rozmowie mała grupka obligatorów w szarych szatach, z tatuażami na twarzach. Siedmiu Inkwizytorów czekało obok, niczym szereg cieni o stalowych oczach. W sumie było ich zatem dziewięciu, jeśli liczyć pozostałych dwóch, którzy doprowadzili tu Vin. Oprawca o pooranej bliznami twarzy podał Vin swojemu towarzyszowi, który przytrzymał ją w równie żelaznym uścisku.

– Zacznijmy wreszcie – rzekł Ostatni Imperator.

Jeden z obligatorów wystąpił naprzód i skłonił się. Vin z drżeniem stwierdziła, że go zna.

Lord prelan Tevidian, pomyślała, obserwując łysiejącego mężczyznę. Mój... ojciec.

– Panie – odezwał się Tevidian – wybacz, ale nie rozumiem. Przecież już o tym rozmawialiśmy.

– Inkwizytorzy mówią, że mają coś do dodania – odparł znużonym głosem Ostatni Imperator.

Tevidian spojrzał na Vin, mrużąc oczy.

Nie wie, kim jestem, pomyślała. Nie wiedział, że został ojcem.

– Panie – zaoponował Tevidian, odwracając się od niej. – Spójrz za okno! Czy nie mamy ważniejszych tematów do dyskusji? Całe miasto wrze rebelią! Pochodnie skaa rozświetlają noc, wszyscy wychodzą w mgłę. Bluźnią, wszczynają zamieszki, atakują twierdze szlachty!

– A niech tam – odparł niedbale Ostatni Imperator. Wydawał się... znużony. Siedział prosto na tronie, ale w jego postawie i głosie było znać zmęczenie.

– Ależ mój panie! – rzekł Tevidian. – Padają wielkie rody!

Ostatni Imperator lekceważąco machnął ręką.

– No i dobrze im zrobi oczyszczenie co jakieś sto lat. Powoduje to niestabilność, nie dopuszcza do tego, by szlachta poczuła się zbyt pewnie. Zazwyczaj pozwalam im się wybić w ich śmiesznych wojenkach, ale te zamieszki też spełnią swoje zadanie.

– A jeśli... skaa wejdą do pałacu?

– To się nimi zajmiemy – odparł łagodnie Ostatni Imperator. – Nie będziesz o tym więcej mówił.

– Tak jest, panie – odparł Tevidian, kłaniając się i cofając do szeregu.

– A teraz – zaczął Ostatni Imperator, spoglądając na Inkwizytorów – co chcecie nam przedstawić?

Inkwizytor z bliznami wystąpił jako pierwszy.

– Ostatni Imperatorze, chcielibyśmy wnioskować o zabranie zwierzchnictwa twojego Zakonu tym... ludziom i przekazanie go Inkwizytorom.

– Już o tym rozmawialiśmy – odparł Ostatni Imperator. – Ty i twoi bracia jesteście potrzebni do ważniejszych zadań. Jesteście zbyt cenni, by marnować czas na zwykłą administrację.

– Jednakże – odparł Inkwizytor – pozwalając pospolitym ludziom rządzić swoim Zakonem, nieumyślnie wpuściłeś do samego serca swego świętego pałacu zepsucie i grzech!

– Bezpodstawne oszczerstwa! – Tevidian splunął. – Często tak mówisz, Kar, ale do tej pory nigdy nie dałeś żadnego dowodu.

Kar obrócił się powoli, a ruchome, kolorowe światło padające od okna rozjaśniło jego upiorny uśmiech. Uśmiech, który był niemal równie niepokojący jak Uspokajanie Ostatniego Imperatora.

– Dowód? – zapytał Kar. – Ależ lordzie prelanie, powiedz, czy nie rozpoznajesz tej dziewczyny?

– Ba, oczywiście, że nie – odparł Tevidian, machając ręką. – Co ta dziewucha ma wspólnego z zarządzaniem Zakonem?

– Wszystko – odparł Kar, spoglądając na Vin. – O tak... wszystko. Dziecko, powiedz lordowi prelanowi, kto jest twoim ojcem?

Vin próbowała się wyrwać, ale Allomancja Ostatniego Imperatora była tak przytłaczająca, a dłonie Inkwizytora takie silne...

– Nie wiem – zdołała wykrztusić przez zaciśnięte zęby.

Ostatni Imperator ożywił się nieco, spojrzał na nią i pochylił.

– Ostatniemu Imperatorowi się nie kłamie, dziecko – zganił ją Kar cichym, chrapliwym głosem. – Żył przez wiele wieków i nauczył się używać Allomancji jak żaden inny śmiertelnik. Widzi różne rzeczy i może czytać uczucia z twoich oczu. Wyczuwa, kiedy kłamiesz. Wie... o, tak. On wie.

– Nie znałam mojego ojca – powtórzyła Vin. Jeśli Inkwizytor chciał się czegoś dowiedzieć, zachowanie tajemnicy wydawało się niezłym pomysłem. – Jestem tylko dzieckiem ulicy.

– Zrodzonym z Mgły dzieckiem ulicy? – zapytał Kar. – To interesujące, czyż nie, Tevidian?

Lord prelan zawahał się i zmarszczył czoło jeszcze bardziej. Ostatni Imperator wstał powoli, schodząc po stopniach podwyższenia w stronę Vin.

– Tak, panie – rzekł Kar. – Wcześniej wyczuwałeś Allomancję. Wiesz, że ona jest pełną Zrodzoną, i do tego zdumiewająco potężną. A jednak twierdzi, że wyrosła na ulicy. Jaki szlachetny ród opuściłby takie dziecko? Przecież, żeby mieć taką siłę, musi pochodzić z niezwykle czystej linii. A przynajmniej... jedno z jej rodziców musiało z takiej pochodzić.

– Co sugerujesz? – zapytał Tevidian, blednąc.

Ostatni Imperator zignorował obydwu. Stąpając po feerii barw na lustrzanej podłodze, podszedł do Vin.

Tak blisko, pomyślała. Jego Uspokajanie było tak silne, że nie czuła już nawet strachu, tylko głęboki, wszechogarniający, przerażający smutek.

Ostatni Imperator sięgnął delikatnymi dłońmi i ujął jej twarz, delikatnie unosząc ją tak, by Vin spojrzała mu w oczy.

– Kim jest twój ojciec, dziecko? – zapytał łagodnie.

– Ja... – Wnętrzności skurczyły się jej z rozpaczy. Ból, smutek i pragnienie śmierci.

Ostatni Imperator zbliżył twarz do jej twarzy i głęboko spojrzał jej w oczy. I w tym momencie zrozumiała prawdę. Widziała część jego, wyczuwała jego potęgę. Jego... boską potęgę.

Nie obawiał się rebelii skaa. Czym miałby się martwić? Jeśli zechce, sam zabije każdego mieszkańca miasta po kolei. Vin wiedziała, że to prawda. Może zająć to trochę czasu, ale przecież on potrafi zabijać ciągle, bez zmęczenia. Nie, nie musi się obawiać rebelii.

Nigdy nie musiał. Kelsier popełnił straszliwy błąd.

– Twój ojciec, dziecko – ponaglił ją Ostatni Imperator, a jego żądanie zaciążyło na jej duszy jak fizyczne brzemię.

Przemówiła niemal wbrew sobie.

– Mój... brat powiedział mi, że moim ojcem jest tamten człowiek. Lord prelan. – Łzy spływały jej po policzkach, choć kiedy Ostatni Imperator odwrócił się od niej, nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego płacze.

– To kłamstwo, panie! – zawołał Tevidian, cofając się. – Co ona może wiedzieć? To głupi dzieciak!

– Powiedz mi prawdę, Tevidian – odezwał się Ostatni Imperator, idąc wolno w jego stronę. – Miałeś kiedyś w łóżku kobietę skaa?

Tevidian dygotał.

– Ja... myślę, że wszystkie dopadłem, panie. Była... była jedna, z którą być może postąpiłem zbyt pobłażliwie... początkowo nie wiedziałem, że jest skaa. Żołnierz, który miał ją zabić, był niemrawy i pozwolił jej uciec. Ale w końcu ją znalazłem.

– Powiedz mi – pytał dalej Ostatni Imperator. – Czy ta kobieta urodziła jakieś dzieci?

W sali zapadła cisza.

– Tak, panie – rzekł wielki prelan.

Ostatni Imperator przymknął oczy z westchnieniem. Zwrócił się znów ku swojemu tronowi.

– Jest wasz – rzekł do Inkwizytorów.

Sześciu Inkwizytorów natychmiast rzuciło się w stronę lorda, wyjąc z radości i wyrywając spod szat obsydianowe sztylety. Tevidian uniósł ręce i krzyknął, kiedy go dopadli. Krew spływała strumieniami, kiedy raz po raz

zatapiali sztylety w ciele umierającego. Pozostali obligatorzy cofnęli się z przerażeniem w oczach.

Kar trzymał się na uboczu, z uśmiechem obserwując masakrę, podobnie jak drugi Inkwizytor, który trzymał Vin. Jeszcze jeden z Inkwizytorów pozostał na swoim miejscu, choć Vin nie wiedziała dlaczego.

– Udowodniłeś to, co chciałeś, Kar – rzekł Ostatni Imperator, siadając na tronie. – Zdaje się, że zbytnio uwierzyłem w... posłuszeństwo ludzkości. Nie popełniłem błędu. Jednakże czas na zmiany. Zbierz wszystkich wielkich prelanów i sprowadź tutaj... wyciągnij ich nawet z łóżek, jeśli będzie trzeba. Będą świadkami przekazania zwierzchnictwa i władzy nad Zakonem Kantonowi Inkwizycji.

Kar uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– A bękart zostanie zabity.

– Oczywiście, mój panie – odparł Kar. – Choć... chciałbym jej wpierw zadać kilka pytań. Była w grupie Mglistych skaa. Może doprowadzi nas do pozostałych...

– Doskonale – odparł Ostatni Imperator. – W końcu to twój obowiązek.

Czy jest coś piękniejszego niż słońce? Często obserwuję, jak wschodzi, gdyż mój niespokojny sen zwykle opuszcza mnie przed świtem.

Za każdym razem, kiedy widzę to spokojne, złociste światło nad horyzontem, staję się nieco bardziej zdeterminowany, mam odrobinę więcej nadziei. W pewnym sensie, to właśnie trzyma mnie przez cały czas przy życiu.

37

Kelsier, przeklęty wariacie, myślał Dockson, gryzmoląc notatki na mapie leżącej na stole. Dlaczego ty zawsze zwiewasz, a ja muszę po tobie sprzątać? Wiedział jednak, że jego frustracja nie jest prawdziwa, w ten sposób starał się tylko odsuwać od siebie myśl o śmierci Kelsiera. Działało.

Część planu należąca do Kelsiera – wizja, charyzmatyczne przywództwo – dobiegła końca. Teraz nadeszła kolej Docksona. Przejął oryginalną strategię Kelsiera i zmodyfikował ją. Starał się utrzymywać chaos na możliwym do kontrolowania poziomie i wydawał najlepszy sprzęt ludziom, którzy sprawiali na nim wrażenie najbardziej zrównoważonych. Wysyłał

kontyngenty, by opanowywać interesujące go punkty – magazyny wody i żywności – zanim obrabują je uczestnicy zamieszek.

Krótko mówiąc, robił to co zawsze – marzenia Kelsiera przekładał na rzeczywistość.

W głębi pomieszczenia wybuchło nagle zamieszanie. Dockson uniósł głowę i spojrzał na wbiegającego posłańca. Przybysz od razu zauważył go na środku magazynu.

– Jakie wieści? – zapytał Dockson.

Posłaniec pokręcił głową. Był młodym człowiekiem w imperialnym mundurze, ale zdjął kurtkę, żeby się nie rzucać w oczy.

– Przykro mi, sir – rzekł cicho. – Żaden ze strażników nie widział, żeby wychodziła i... cóż, jeden twierdził, że widział, jak ją prowadzili do lochów.

– Możecie ją wydostać? – zapytał Dockson.

Żołnierz imieniem Goradel pobladł. Jeszcze do niedawna należał do najbliższego otoczenia Ostatniego Imperatora. W gruncie rzeczy Dockson nie był nawet pewien, na ile można mu ufać. Jednak żołnierz – jako dawny strażnik pałacowy – mógł znaleźć się w miejscach, do których nie dotarłby żaden inny skaa. Jego poprzedni sojusznicy nie wiedzieli, że przeszedł na stronę nieprzyjaciela.

Oczywiście, o ile rzeczywiście to uczynił, pomyślał Dockson. Ale... cóż, sprawy zaszły już za daleko, by wątpić. Postanowił skorzystać z jego usług. Musiał uwierzyć własnym instynktom.

– No? – powtórzył.

Goradel pokręcił głową.

– Prowadził ją Inkwizytor, sir. Nie mogłem jej uwolnić... nie miałbym władzy. Nie... Ja...

Dockson westchnął. Przeklęta mała wariatka, pomyślał. Powinna mieć jednak trochę więcej rozumu. Musiała się zarazić od Kelsiera.

Skinieniem odprawił żołnierza, po czym spojrzał na wchodzącego właśnie Hammonda z wielkim mieczem o złamanym ostrzu, spoczywającym na ramieniu.

– Koniec – rzekł Ham. – Właśnie padła Twierdza Elariel. Zdaje się, że jeszcze tylko Lekal się trzyma.

Dockson skinął głową.

– Wkrótce będziemy potrzebowali w pałacu twoich ludzi.

Im szybciej się tam dostaniemy, tym większe szanse na uratowanie Vin. Instynkt jednak podpowiadał mu, że będzie za późno na pomoc. Główne siły będą potrzebowały wielu godzin na zebranie i zorganizowanie się, chciał zaatakować pałac całą armią jednocześnie. Prawda była taka, że nie mógł sobie teraz pozwolić na poświęcenie ludzi na operację ratunkową. Kelsier prawdopodobnie poszedłby za nią, ale Dockson nie pozwoli sobie na coś tak nierozsądnego.

Jak zawsze powiadał, ktoś w szajce musi być realistą. Pałac nie był miejscem, które można zaatakować bez poważnych przygotować, klęska Vin udowodniła to dobitnie. Przez chwilę będzie musiała liczyć tylko na siebie.

– Przygotuję moich ludzi – rzekł Ham, odrzucając miecz. – Ale będę potrzebował nowego miecza.

Dockson westchnął.

– Och, wy Zbiry. Zawsze coś połamiecie. Idź, zobacz, może coś tam znajdziesz.

Ham ruszył w stronę magazynu.

– Jeśli zobaczysz Sazeda – zawołał za nim Dockson – Powiedz mu, że...

Urwał, bo jego uwagę zwróciła grupa rebeliantów skaa, która wmaszerowała do pokoju, prowadząc przed sobą związanego więźnia z głową nakrytą workiem.

– A co to? – zapytał.

Jeden z rebeliantów dźgnął więźnia łokciem.

– Myślę, że to ktoś ważny, mój panie. Przyszedł do nas nieuzbrojony, kazał przyprowadzić się do pana. Obiecał nam złoto, jeśli to zrobimy.

Dockson uniósł brew. Skaa ściągnął worek z głowy więźnia, odsłaniając twarz Elenda Venture.

– Ty? – Dockson zamrugał zaskoczony.

Elend rozejrzał się. Było widać, że się boi, ale ogólnie trzymał się dość dobrze.

– Znamy się?

– Właściwie nie.

Do diaska, nie mam dzisiaj czasu na więźniów. Ale syn Venture’ów... Będą potrzebowali jakiejś metody nacisku na arystokrację, kiedy to wszystko się skończy.

– Przyszedłem zaoferować układ – rzekł Elend Venture.

– Że co? – zapytał Dockson.

– Ród Venture nie będzie stawiał oporu – rzekł Elend. – Prawdopodobnie zdołam też namówić resztę szlachty do wysłuchania was. Są wystraszeni... nie ma potrzeby ich zabijać.

Dockson prychnął.

– Nie mogę pozostawić uzbrojonych nieprzyjacielskich armii w mieście.

– Jeśli zniszczycie szlachtę, nie będziecie w stanie utrzymać się dłużej – odrzekł Elend. – To my kontrolujemy gospodarkę... imperium bez nas zginie.

– Właściwie o to właśnie w tym wszystkim chodzi – odparł Dockson. – Słuchaj, nie mam czasu...

– Musisz mnie wysłuchać! – krzyknął Elend. – Jeśli zaczniecie rebelię od chaosu i rozlewu krwi, przegracie. Czytałem o tym. Wiem, o czym mówię! Kiedy wasz początkowy konflikt straci rozpęd, ludzie zaczną szukać innych obiektów do zniszczenia. Zwrócą się przeciwko sobie. Musisz zachować kontrolę nad armią.

Dockson znieruchomiał. Elend Venture miał opinię głupca i lalusia, ale teraz wydawał się po prostu... zainteresowany.

– Pomogę wam – rzekł Elend. – Zostawcie w spokoju twierdze szlachty i skupcie się na Zakonie i Ostatnim Imperatorze... to wasi prawdziwi nieprzyjaciele.

– Słuchaj – odparł Dockson. – Wycofam wojska z Twierdzy Venture. Przypuszczalnie nie ma potrzeby teraz z nimi walczyć...

– Wysłałem moje wojska do twierdzy Lekal – odrzekł Elend. – Wycofajcie wasze siły ze starć ze szlachtą. Nie zaatakują waszych flanek... zaszyją się w swoich pałacach i będą się martwić.

Chyba ma rację.

– Weźmiemy pod uwagę... – Dockson urwał, widząc, że Elend nagle przestał zwracać na niego uwagę. Cholernie trudno gadać z takim człowiekiem.

Elend gapił się na Hammonda, który właśnie wrócił z nowym mieczem. Młody Venture zmarszczył brwi, a potem wytrzeszczył oczy.

– Znam cię! To ty uratowałeś służbę lorda Renoux od egzekucji!

Elend spojrzał na Docksona z nagłym błyskiem w oku.

– Więc znacie Valette, prawda? Ona wam powie, że mam rację.

Dockson wymienił spojrzenia z Hamem.

– Co? – zapytał Elend.

– Vin... Valette... – odezwał się po chwili – ...poszła do pałacu kilka godzin temu. Przykro mi, chłopcze, prawdopodobnie jest teraz w lochach Ostatniego Imperatora. Oczywiście, jeśli żyje.

***

Kar wrzucił Vin z powrotem do celi. Dziewczyna ciężko upadła na podłogę. Potoczyła się, zaplątując w luźną koszulę, i uderzyła głową o ścianę celi.

Inkwizytor uśmiechnął się i zamknął drzwi.

– Dziękuję ci bardzo – rzekł poprzez pręty. – Właśnie pomogłaś nam załatwić coś, czego nie mogliśmy sami osiągnąć od dość dawna.

Vin spojrzała na niego groźnie, Uspokajanie Ostatniego Imperatora przestawało powoli działać.

– Co za przykrość, że nie ma tu Bendala – mówił Kar. – Przez wiele lat ścigał twojego brata, przysięgając, że Tevidian spłodził bękarta skaa. Biedny Bendal... gdyby tylko Ostatni Imperator zostawił nam Ocalałego, żebyśmy mogli się zemścić.

Spojrzał na nią, kręcąc głową.

– No cóż, w końcu i tak został pomszczony. Pozostali uwierzyli twojemu bratu, ale Bendal... nawet wtedy nie był przekonany, a co dopiero teraz, kiedy cię znalazł.

– Mój brat? – jęknęła Vin, gramoląc się na nogi. – Sprzedał mnie?

– Sprzedał? – zdumiał się Kar. – Umierał, przysięgając, że zmarłaś z głodu wiele lat temu. Krzyczał o tym dzień i noc w rękach oprawców Zakonu. Bardzo trudno wytrzymać ból inkwizytorskich tortur... wkrótce się o tym przekonasz. – Uśmiechnął się. – Ale najpierw coś ci pokażę.

Grupa strażników przywlokła do pomieszczenia nagą, związaną postać. Posiniaczony, krwawiący mężczyzna potknął się na kamiennej posadzce, kiedy wpychali go do celi obok.

– Sazed?! – krzyknęła Vin, podbiegając do krat.

Terrisanin leżał półprzytomny, podczas gdy żołnierze przywiązywali jego ręce i nogi do małych metalowych pierścieni wmurowanych w kamienną podłogę. Był tak pobity, że wydawał się ledwie świadom tego,

co się dzieje, i był całkiem nagi. Vin odwróciła wzrok, ale i tak ujrzała miejsce pomiędzy jego nogami – prostą, pustą bliznę tam, gdzie powinna znajdować się męskość.

Wszyscy słudzy terrisańscy są eunuchami, powiedział. Ta rana nie była nowa, ale wszystkie sińce, skaleczenia i zadrapania tak.

– Znaleźliśmy go, kiedy próbował się dostać do pałacu za tobą – wyjaśnił Kar. – Widocznie obawiał się o twoje bezpieczeństwo.

– Co mu zrobiliście? – zapytała cicho.

– O, na razie bardzo niewiele – odparł Kar. – A teraz możesz się zapewne zastanawiać, dlaczego mówię o twoim bracie. Może sądzisz, że jestem głupcem, opowiadając ci, że jego umysł załamał się, nim wydarliśmy mu jego sekret, ale widzisz, nie jestem takim głupcem, by się nie przyznać do pomyłki. Powinniśmy byli przedłużać tortury twojego brata... sprawić, by cierpiał dłużej. To rzeczywiście był błąd.

Uśmiechnął się i wskazał głową na Sazeda.

– Drugi raz już tego błędu nie popełnimy, dziecko. Nie, tym razem zastosujemy inną taktykę. Pozwolimy, żebyś oglądała tortury Terrisanina. Będziemy bardzo ostrożni, dopilnujemy, by jego cierpienia były długotrwałe i bardzo intensywne. Kiedy powiesz nam wszystko, co wiesz, przestaniemy.

Vin zadrżała ze zgrozy.

– Nie... proszę.

– O, tak – odparł Kar. – Może zastanowisz się teraz, co możemy mu zrobić? Ale teraz Ostatni Imperator zażądał mej obecności... Muszę pójść i przejąć formalne zwierzchnictwo nad Zakonem. Zaczniemy, kiedy wrócę.

Odwrócił się, zamiatając podłogę czarną szatą. Strażnicy poszli za nim, prawdopodobnie po to, by zająć miejsca po obu stronach wyjścia.

– Och, Sazedzie – szepnęła Vin, opadając na kolana pod kratą.

– Panienko – odezwał się Sazed zaskakująco rzeźkim głosem – co to mówiliśmy na temat biegania w bieliźnie? Och, gdyby tu był mistrz Dockson, dostałoby ci się z pewnością!

Podniosła wzrok, zszokowana. Sazed uśmiechał się do niej.

– Sazed! – szepnęła, spoglądając w stronę, gdzie znikli strażnicy. – Jesteś przytomny!

– Bardzo przytomny – odparł, a jego silny, spokojny głos zupełnie nie pasował do posiniaczonego ciała.

– Przepraszam, Sazedzie – odparła – ale po co za mną poszedłeś? Powinieneś zostać i pozwolić mi być głupią na własny rachunek!

Skierował ku niej głowę. Jedno oko miał spuchnięte, ale drugim spoglądał na nią.

– Panienko – rzekł poważnie – przysiągłem mistrzowi Kelsierowi, że będę strzegł twojego bezpieczeństwa. Przysięga Terrisanina nie jest czymś, co można sobie lekceważyć.

– Ale... przecież musiałeś wiedzieć, że cię schwytają – odpowiedziała, spuszczając wzrok.

– Oczywiście, że wiedziałem, panienko – odparł. – Jakże inaczej mógłbym ich zmusić, żeby mnie do ciebie przyprowadzili?

Podniosła wzrok.

– Przyprowadzili... do mnie?

– Tak, panienko. Jest coś, co łączy Zakon i mój własny lud. Jedni i drudzy nie doceniają tego, czego możemy dokonać.

Przymknął oczy. I nagle jego ciało uległo zmianie. Wydawało się... oklapnięte, mięśnie stały się słabe i wątłe, skóra luźno zwisała na kościach.

– Sazed! – zawołała, przeciskając się przez pręty, żeby się do niego dostać.

– W porządku, panienko – odparł cichym, przeraźliwie słabym głosem. – Potrzebuję tylko chwili, żeby... zebrać siły.

Zebrać siły. Vin znieruchomiała, opuściła rękę i przez kilka minut obserwowała Sazeda. Czy to możliwe...?

Wydawał się taki słaby... jakby cała siła, wszystkie mięśnie zostały z niego wyssane. I może gdzieś... zmagazynowane?

Nagle znów otworzył oczy. Jego ciało przybrało już normalny wygląd, ale mięśnie rosły dalej, stały się potężne, silne, większe nawet niż u Hama.

Uśmiechnął się do niej i bez trudu zerwał więzy. Wstał – masywny, nieludzko muskularny – tak różny od smukłego, cichego uczonego, jakiego znała.

Ostatni Imperator pisał w pamiętniku o ich sile, pomyślała z zachwytem. Mówił, że człowiek taki jak Rashek sam podniósł kamień i zrzucił go z drogi.

– Ale przecież zabrali ci wszystkie klejnoty! – zawołała. – Gdzie ukryłeś metal?

Sazed uśmiechnął się i chwycił pręty dzielące klatki.

– Wziąłem przykład z ciebie, panienko. Połknąłem go.

Z tymi słowy rozgiął kraty.

Wbiegła do jego klatki i rzuciła mu się na szyję.

– Dziękuję!

– Oczywiście – odparł, odpychając ją łagodnie, po czym uderzył potężną dłonią w drzwi celi, wyłamując zamek. Drzwi otwarły się z hukiem.

– Teraz szybko – ponaglił. – Musimy się dostać w bezpieczne miejsce.

Dwaj strażnicy, którzy wrzucili Sazeda do celi, pojawili się w drzwiach sekundę później. Zamarli, gapiąc się na olbrzymią bestię, która zajęła miejsce pobitego przez nich słabego mężczyzny.

Sazed skoczył w przód, uzbrojony w pręt z klatki Vin. Jego Feruchemia jednak dała mu tylko siłę, a nie szybkość. Szedł ciężko i z trudem, ale strażnicy i tak uciekli, wzywając pomocy.

– Chodź, panienko – rzekł, odrzucając pręt. – Moja siła nie utrzyma się długo – kawałek metalu, który połknąłem, nie był dość wielki, by przechować w nim dużo ładunku feruchemicznego.

Mówiąc to, już zaczynał się kurczyć. Vin minęła go i wybiegła z pomieszczenia. Pokój strażników był mały i za całe umeblowanie służyły dwa krzesła. Pod jednym znalazła jednak płaszcz, w który była owinięta kolacja strażników. Wytrząsnęła ją, a płaszcz podała Sazedowi.

– Dziękuję, panienko – rzekł.

Skinęła głową, podeszła do drzwi i wyjrzała. Większy pokój za nimi był pusty, odchodziły od niego dwa korytarze – jeden na prawo, drugi prosto. Ściana po lewej była zastawiona drewnianymi skrzyniami, a pośrodku stał duży stół. Vin zadrżała, widząc zaschniętą krew na jednym z ostrych przyborów, ułożonych rzędem z boku stołu.

Tu skończymy, jeśli nie będziemy się ruszać szybciej, pomyślała, wzywając skinieniem Sazeda.

Zamarła w pół kroku, kiedy w korytarzu na wprost pojawiła się grupka żołnierzy, prowadzona przez jednego ze strażników. Zaklęła cicho – gdyby miała cynę, usłyszałaby ich wcześniej.

Obejrzała się. Sazed kuśtykał po pokoju strażników. Feruchemiczna siła znikła, a żołnierze jednak musieli go mocno pobić, zanim wrzucili do celi. Ledwie się ruszał.

– Idź, panienko – zawołał, machając ręką. – Uciekaj!

Wciąż jeszcze musisz nauczyć się tego i owego o przyjaźni, Vin, powiedział jej Kelsier. Mam nadzieję, że pewnego dnia to się ziści.

Nie mogę go zostawić. Nie mogę.

Rzuciła się w stronę żołnierzy. Chwyciła ze stołu dwa noże do tortur. Polerowana stal zalśniła w jej dłoniach. Wskoczyła na stół i ruszyła na żołnierzy.

Nie miała Allomancji, ale i tak prawie leciała, bo miesiące ćwiczeń pomogły jej pomimo braku metali. Wbiła nóż w szyję jednemu z zaskoczonych żołnierzy, ale opadła na ziemię mocniej, niż sądziła. Zdołała jednak uciec przed drugim mężczyzną, który zaklął i się zamachnął.

Miecz brzęknął o ścianę. Vin obróciła się, tnąc drugiego przeciwnika przez udo. Żołnierz odskoczył z bólu.

Zbyt wielu, pomyślała. Były ich co najmniej dwa tuziny. Usiłowała zaatakować trzeciego żołnierza, ale kolejny napastnik zakręcił pałką i wbił ją w bok Vin.

Jęknęła z bólu, upuściła nóż i upadła na bok. Nie miała cyny z ołowiem, by wspomóc upadek, więc z łomotem uderzyła o kamień i oszołomiona potoczyła się aż pod ścianę.

Bez powodzenia próbowała wstać. Kątem oka zaledwie widziała upadającego Sazeda, któremu ciało odmówiło posłuszeństwa. Próbował znów zebrać siły. Nie zdąży, żołnierze wkrótce go dopadną.

Przynajmniej próbowałam, pomyślała, kiedy usłyszała kolejną grupę żołnierzy wyskakującą z prawego korytarza. Przynajmniej go nie opuściłam. Myślę... myślę, że o to chodziło Kelsierowi.

– Valette! – rozległ się nagle znajomy głos.

Zaskoczona, podniosła wzrok i ujrzała Elenda, który wraz z sześcioma żołnierzami wpadł do pokoju. Elend miał na sobie strój szlachecki, a w ręku laskę.

– Elend? – zapytała zdumiona.

– Wszystko w porządku? – zagadnął zatroskany i podszedł do niej, gdy zauważył żołnierzy Zakonu. Wydawali się nieco zmieszani przybyciem szlachcica, ale i tak mieli przewagę liczebną.

– Zabieram dziewczynę – oznajmił Elend.

Starał się mówić zdecydowanym tonem, ale było widać, że nie jest żołnierzem. Za jedyną broń miał szlachecką laskę pojedynkową i nie nosił

zbroi. Pięciu z jego ludzi wdziało czerwień Venture. Jeden, ten który ich prowadził, kiedy wpadli do pokoju, miał na sobie mundur gwardii pałacowej. Vin skądś go znała. Jego kurtka mundurowa była pozbawiona symbolu na ramieniu. Ten człowiek... pomyślała. Ten, którego przekonałam, by przeszedł na naszą stronę.

Żołnierz wyraźnie podjął jakąś decyzję. Skinął ręką, ignorując rozkaz Elenda, i żołnierze zaczęli rozstawiać się po pokoju, otaczając grupę Venture'a.

– Valette, musisz uciekać! – zawołał Elend, chwytając za laskę.

– Panienko? – Sazed podszedł do Vin i próbował postawić ją na nogi.

– Nie możemy ich zostawić! – zawołała.

– Musimy.

– Ale ty przyszedłeś po mnie. Musimy to samo zrobić dla Elenda.

Sazed pokręcił głową.

– To było coś innego, dziecko. Wiedziałem, że mam szansę cię uratować. Tutaj nie dasz rady – współczucie jest piękne, ale trzeba też zachować rozsądek.

Musi być jakiś sposób, pomyślała desperacko. Musi...

Wtedy zobaczyła go w jednej ze skrzyń stojących wzdłuż ścian. Z boku skrzyni zwisał porzucony znajomy pas szarej materii, pojedyncza taśma.

Wyrwała się Sazedowi w tej samej chwili, w której zaatakowali żołnierze Zakonu. Usłyszała za plecami krzyk Elenda, zadźwięczała broń.

Wyszarpnęła ze skrzyni górne warstwy materiału – koszulę i spodnie – i odrzuciła na bok. Na dnie leżał jej mgielny płaszcz. Zamknęła oczy i sięgnęła do bocznej kieszeni.

Palce natrafiły na pojedynczą fiolkę.

Wyrwała ją z kieszeni i obróciła się w stronę bitwy. Żołnierze Zakonu cofnęli się nieco. Dwaj leżeli ranni na podłodze, ale zginęli też trzej ludzie Elenda. Ciasnota pokoju na szczęście nie pozwoliła od razu otoczyć jego ludzi.

Elend stał spocony, z raną na ramieniu, z laską połamaną w drzazgi. Po chwili odrzucił ją i chwycił miecz jednego z zabitych. Wodził wzrokiem po przeważających siłach przeciwnika.

– Co do tego, muszę przyznać, że się pomyliłem – rzekł cicho Sazed. – Przepraszam....

Vin uśmiechnęła się, po czym wyrwała korek z fiolki i jednym haustem pochłonęła jej zawartość.

Eksplodowały w niej fajerwerki mocy. Siły wróciły do jej osłabionego, zmęczonego ciała jak wschodzące słońce. Ból zelżał, zawroty głowy ustąpiły, pokój stał się większy, a kamienie pod jej stopami bardziej realne.

Żołnierze zaatakowali znowu i Elend uniósł miecz w zdeterminowanym, acz beznadziejnym geście. Wydawał się kompletnie oszołomiony, kiedy Vin przefrunęła mu nad głową.

Wylądowała między żołnierzami, eksplodując Odpychaniem Stali, ciskając przeciwników na ściany. Jeden próbował ją zaatakować ćwierćpałką, lecz ona pogardliwie odepchnęła ją na bok, po czym uderzyła go pięścią w twarz, z trzaskiem skręcając mu kark.

Chwyciła w locie ćwierćpałkę, zakręciła nią i spuściła na głowę żołnierza atakującego Elenda. Pałka się rozpadła i Vin upuściła ją obok ciała. Wszyscy nagle zaczęli krzyczeć, usiłując uciekać, kiedy Odepchnęła i rozbiła o ścianę kolejne dwie grupy. Ostatni żołnierz, jaki został na środku pokoju, kręcił się w miejscu zaskoczony, kiedy Vin Przyciągnęła do siebie jego metalowy hełm. Chwilę potem Odepchnęła go prosto w pierś przeciwnika, kotwiąc się od tyłu. Żołnierz poleciał korytarzem w ślad za uciekającymi towarzyszami i spadł na nich z góry.

Vin oddychała ciężko, stojąc z napiętymi mięśniami wśród jęczących mężczyzn. Mogę... zrozumieć, czemu Kelsier się od tego uzależnił.

– Valette? – zagadnął zdumiony Elend.

Podskoczyła i rzuciła mu się radośnie na szyję, tuląc się do niego mocno i kryjąc twarz na jego ramieniu.

– Wróciłeś... – wyszeptała. – Wróciłeś, wróciłeś, wróciłeś...

– Mhm... tak... Widzę, że jesteś Zrodzoną. To raczej interesujące. Właściwie... uprzedzenie o tym przyjaciół należałoby do elementarnych zasad uprzejmości.

– Przepraszam – wymamrotała, nie puszczając go z objęć.

– No tak – potwierdził, nagle bardzo roztargniony. – Hmm... Valette, co się stało z twoim ubraniem?

– Jest tam, na podłodze – odparła. – Elendzie, jak mnie znalazłeś?

– Twój przyjaciel, niejaki pan Dockson, powiedział, że zostałaś uwięziona w pałacu. No i ten miły dżentelmen, kapitan Goradel, przypadkiem jest w straży pałacowej i doskonale znał drogę. Z pomocą

jego i jeszcze jednego szlachcica zdołałem wejść do budynku bez większych problemów, a potem usłyszeliśmy krzyki w korytarzu... Ach, hm, Valette, czy mogłabyś się ubrać? To jest trochę... rozpraszające.

Uśmiechnęła się do niego.

– Odnalazłeś mnie.

– Nie wiem, czy to coś dało – odparł melancholijnie. – Zdaje się, że nie potrzebowałaś zbytnio pomocy.

– To nie ma znaczenia – odparła. – Wróciłeś. Nikt inny wcześniej nie wracał.

Spojrzał na nią, lekko marszcząc brwi.

Sazed podszedł z płaszczem i ubraniem Vin.

– Panienko, musimy uciekać.

Elend skinął głową.

– W mieście już nigdzie nie jest bezpiecznie. Skaa się buntują! – Spojrzał na nią z wahaniem. – Ale pewnie sama to wiesz.

Skinęła głową i puściła go wreszcie.

– Pomogłam to rozpętać. Ale masz rację, zagrożenie istnieje. Idź z Sazedem, on jest znany wielu przywódcom rebeliantów. Nie skrzywdzą cię, kiedy za ciebie zaręczy.

Elend i Sazed spojrzeli zmieszani, kiedy wkładała spodnie. W kieszeni znalazła kolczyk po matce. Włożyła go z powrotem.

– Odejść z Sazedem? – zapytał Elend. – A co z tobą?

Włożyła luźną koszulę i spojrzała w górę. Wyczuwała go, poprzez kamień, poprzez sufit. Był tam. Zbyt silny. Teraz, kiedy już stanęła przed nim, była pewna jego mocy. Rebelia nie mogła się zakończyć powodzeniem, dopóki on żył.

– Mam jeszcze jedno zadanie, Elendzie – powiedziała, biorąc od Sazeda swój mgielny płaszcz.

– Myślisz, że go możesz pokonać, panienko? – zapytał Sazed.

– Muszę spróbować – odparła. – Jedenasty Metal zadziałał, Saze. Coś widziałam. Kelsier był przekonany, że to pozwoli na rozwiązanie zagadki.

– Ale... Ostatni Imperator, panienko...

– Kelsier zginął, żeby ta rebelia wybuchła – odparła stanowczo. – Muszę dopilnować, by zwyciężyła. To jest moje zadanie. Kelsier nie wiedział, co to jest, a ja wiem. Muszę powstrzymać Ostatniego Imperatora.

– Ostatniego Imperatora?! – wykrzyknął wstrząśnięty Elend. – Nie, Valette, on jest nieśmiertelny!

Vin przyciągnęła ku sobie jego głowę. Pocałowała go.

– Elendzie, twoja rodzina dostarczała atium do Ostatniego Imperatora. Wiesz, gdzie je trzyma?

– Tak – odparł zmieszany. – Krople są w skarbcu na wschód stąd. Ale...

– Musisz dostać to atium, Elendzie. Nowy rząd będzie potrzebował tego bogactwa... i potęgi... jeśli ma nie dopuścić do tego, by podbił go pierwszy szlachcic, który zbierze armię.

– Nie, Valette. – Pokręcił głową. – Muszę cię zabrać w bezpieczne miejsce.

Uśmiechnęła się do niego, po czym spojrzała na Sazeda. Terrisanin skinął jej głową.

– Nie powiesz mi, żebym nie szła? – zapytała.

– Nie – odparł łagodnie. – Obawiam się, panienko, że masz rację. Jeśli nie pokonamy Ostatniego Imperatora... cóż, nie powstrzymam cię. Będę ci jednak życzył szczęścia. I wrócę ci pomóc, kiedy odprowadzę młodego Venture’a w bezpieczne miejsce.

Uśmiechnęła się do przerażonego Elenda i skinęła głową, po czym spojrzała w górę, ku mrocznej mocy, która czekała na nią, pulsując znużeniem i smutkiem.

Zapaliła miedź, odpychając Uspokajanie Ostatniego Imperatora.

– Valette – szepnął Elend.

Spojrzała na niego.

– Nie bój się – powiedziała. – Chyba wiem, jak go zabić.

Moje lęki są takie, że piszę oblodzonym piórem w przeddzień odrodzenia świata. Rashek patrzy. Nienawidzi mnie. Jaskinia jest powyżej. Pulsuje. Moje palce drżą. Nie z zimna.

Jutro wszystko się skończy.

38

Vin odepchnęła się w powietrze ponad Kredik Shaw. Iglice i wieże wznosiły się wokół niej jak ciemne kolce przyczajonego w dole widmowego potwora. Ciemne, proste, złowróżbne, w jakiś sposób przypominały jej Kelsiera, leżącego na ulicy ze sterczącą z piersi włócznią o obsydianowym grocie.

Mgły wirowały i tańczyły, kiedy przez nie przelatywała. Wciąż były gęste, ale cyna pozwalała jej dostrzec lekkie lśnienie na horyzoncie. Świt był blisko.

Pod jej stopami budynek rzucał znacznie więcej światła. Vin chwyciła się cienkiej iglicy, aż rozpęd obrócił ją wokół śliskiego metalu. W ciemności płonęły tysiące pochodni, kręcąc się i mieszając jak świecące owady. Były zorganizowane w potężne fale i zbliżały się do pałacu.

Straż pałacowa nie ma żadnych szans wobec takiej siły, pomyślała. Ale przedzierając się przez nią, przypieczętują własną zgubę.

Odwróciła się, ściskając wilgotną od mgły iglicę. Ostatnim razem, kiedy skakała z iglic Kredik Shaw, krwawiła i była półprzytomna. Sazed przybył, aby ją ratować, ale tym razem nie będzie w stanie jej pomóc.

Opodal ujrzała wieżę z salą tronową. Nietrudno było ją dostrzec – z zewnątrz oświetlał ją pierścień rozjarzonych ognisk, podświetlających jej pojedyncze witrażowe okno dla przyjemności osób w środku. Wyczuwała Go tam. Czekała jeszcze, mając zapewne nadzieję, że zdoła go zaatakować, kiedy Inkwizytorzy opuszczą komnatę.

Kelsier wierzył, że Jedenasty Metal jest kluczem, pomyślała.

Miała pewien pomysł. Uda się. Musi się udać.

***

– Od tej chwili – oznajmił donośnym głosem Ostatni Imperator – Kanton Inkwizycji przejmuje organizacyjnie panowanie nad Zakonem. Zapytania, które do tej pory kierowano do Tevidiana, należy teraz zadawać Karowi.

W sali tronowej zapadła cisza, zebrani obligatorzy wysokiej rangi byli jeszcze oszołomieni wydarzeniami ubiegłej nocy. Ostatni Imperator machnął ręką na znak, że audiencja dobiegła końca.

Wreszcie! – pomyślał Kar. Uniósł głowę, a jego oczy-szpile jak zwykle pulsowały bólem. Dziś jednak był to ból rozkoszy. Inkwizytorzy czekali dwieście lat, starannie knując i politykując, siejąc korupcję i niezgodę pośród zwykłych obligatorów. Aż wreszcie się udało. Inkwizytorzy nie będą już ustępować dyktaturze pospolitych ludzi.

Odwrócił się i uśmiechnął, wiedząc doskonale, jak nieprzyjemne uczucia potrafi wzbudzić spojrzenie Inkwizytora. Nie widział już, nie tak jak kiedyś, ale dostał w zamian coś lepszego – władanie Allomancją tak subtelne, tak szczegółowe, że potrafił odtworzyć świat wokół siebie ze zdumiewającą dokładnością.

Prawie wszystko miało w sobie metale – woda, kamień, szkło – nawet ciało ludzkie. Te metale były zbyt rozproszone, by Allomancja mogła mieć na nie wpływ – większość Allomantów nawet ich nie wyczuwała.

Oczami Inkwizytora jednak Kar był w stanie widzieć linie żelaza tych metali – błękitne linie były cienkie, prawe niewidoczne, lecz dla niego stały się konturem świata. Obligatorzy stojący przed nim byli niepewną masą błękitów, uczucia – zmieszanie, gniew i strach – widoczne były z ich postawy. Zmieszanie, gniew i strach... wszystkie trzy tak słodkie. Kar pomimo zmęczenia uśmiechnął się szerzej.

Już tak długo nie spał. Życie Inkwizytora wysysało z niego siły i musiał często odpoczywać. Jego bracia powoli opuszczali już salę, kierując się do swoich sypialni, które umyślnie ulokowano w pobliżu sali tronowej. Zasną od razu, po wczorajszych egzekucjach i dzisiejszych nocnych wydarzeniach będą z pewnością ogromnie zmęczeni.

Kar jednak pozostał, choć wszyscy inni Inkwizytorzy i obligatorzy dawno odeszli. Wkrótce pozostał tylko Ostatni Imperator i on. Stali w komnacie oświetlonej pięcioma wielkimi trójnogami-pochodniami. Na zewnątrz służba gasiła już powoli ogniska, pozostawiając tylko ciemną i mroczną szklaną panoramę.

– Wreszcie masz, czego chciałeś – cicho rzekł Ostatni Imperator. – Może teraz dasz mi spokój w tej sprawie.

– Tak, panie – odparł Kar z ukłonem – Myślę, że...

W komnacie rozległ się nagle dziwny dźwięk – jakby łagodne trzaśnięcie. Kar uniósł głowę i obserwował ze zmarszczonym czołem mały, metalowy krążek, który odbił się od podłogi, potoczył i zatrzymał pod jego stopą. Podniósł monetę, po czym spojrzał w ogromne okno i stwierdził, że moneta wybiła w nim niewielki otwór.

Co to?

Przez okno ze świstem wpadł jeszcze z tuzin monet, przebijając szybę w kilku miejscach. Komnatę wypełnił metaliczny brzęk i dźwięczenie spadających odłamków szkła i monet. Kar cofnął się zaskoczony.

Nagle cała południowa część okna rozpadła się i eksplodowała do środka, bo monety uszkodziły szkło na tyle, by rozpędzone ciało mogło się przez nie przebić.

Odłamki kolorowego szkła fruwały w powietrzu, tańcząc przed drobną postacią odzianą w łopoczący Mgielny Płaszcz i uzbrojoną w dwa lśniące czarne sztylety. Dziewczyna wylądowała w kucki, pośliznęła się kilka centymetrów na odłamkach szkła. Mgła natychmiast zakłębiła się w otworze i zaczęła wdzierać do wnętrza. Wiła się i wyciągała ku

dziewczynie, zwabiona Allomancją, delikatnie spowijając jej ciało. Ta kucała jeszcze przez chwilę pod osłoną mgły, jakby sama była zwiastunem nocy.

A potem sprężyście skoczyła w przód, kierując się ku Ostatniemu Imperatorowi.

***

Vin spalała Jedenasty Metal. Minione „ja” Ostatniego Imperatora pojawiło się tak samo jak przedtem, wyłaniając się jakby z mgły, po czym stanęło przy tronie.

Vin zignorowała Inkwizytora. Stwór na szczęście zareagował powoli – była w połowie stopni na podwyższenie, zanim przyszło mu do głowy pognać za nią. Ostatni Imperator jednak siedział spokojnie, obserwując ją zaledwie z lekkim zainteresowaniem.

Dwie włócznie w piersi nawet go nie wzruszyły, przypomniała sobie Vin, skokiem pokonując pozostałą odległość. Nie będzie bał się także moich sztyletów. Dlatego też nie zamierzała go nimi atakować. Zamiast tego uniosła broń i ugodziła w serce obraz minionego „ja”.

Sztylety trafiły – i przeszły przez mężczyznę tak, jakby go tam nie było. Vin potknęła się i upadła w przód, prosto na wizerunek i przez niego, omal nie spadając z podwyższenia.

Obróciła się i cięła raz jeszcze. I znów ostrza przeszły przez obraz nie wyrządzając żadnej szkody. Postać nawet nie uległa zniekształceniu.

Mój złoty obraz, pomyślała z rozpaczą. Przecież mogłam go dotknąć. Dlaczego nie mogę dotknąć jego?

Widocznie jednak nie działało to w identyczny sposób. Cień stał nieruchomo, wciąż całkowicie nieświadom jej ataków. Pomyślała, że może gdyby zabiła poprzednią wersję Ostatniego Imperatora, jego bieżący kształt również umrze. Niestety, minione „ja” wydawało się być równie pozbawione materialności, jak cienie atium.

Zawiodła.

Kar rzucił się na nią, jego silne dłonie spadły na jej ramiona, ciężar i rozpęd wielkiego ciała zmiotły ją z podwyższenia. Stoczyli się po tylnych schodach.

Vin stęknęła i rozjarzyła cynę z ołowiem. Nie jestem już tą samą bezbronną dziewczyną, którą niedawno uwięziłeś, Kar, pomyślała z determinacją i kopnęła w górę, kiedy wylądowali na podłodze za tronem.

Inkwizytor jęknął, bo kopniak wypchnął go w powietrze i zdarł jego dłonie z ramion Vin. Poderwała się na nogi i odsunęła, pozostawiając w jego rękach tylko mgielny płaszcz.

– Inkwizytorzy! – ryknął Ostatni Imperator – Przybywajcie do mnie!

Vin krzyknęła, bo jego potężny głos eksplodował bólem we wzmocnionych cyną uszach.

Muszę stąd wyjść, pomyślała, zataczając się. Muszę wymyślić inny sposób, żeby go zabić...

Kar znów zaatakował ją od tyłu. Tym razem objął ją i ścisnął. Vin zawyła z bólu, rozjarzyła cynę z ołowiem i odepchnęła go, ale Kar postawił ją na nogi. Walczyła jak szalona, wijąc się i miotając, ale trzymał ją mocno. Próbowała odrzucić siebie i jego potężnym Odepchnięciem Stali od zamka w drzwiach, ale kotwica była za słaba i Kar ledwie się potknął. Wciąż wzmacniał ucisk.

Ostatni Imperator zachichotał i znów usiadł na tronie.

– Z Karem nie poradzisz sobie tak łatwo. Był żołnierzem, wiele lat temu. Wie, jak trzymać kogoś, żeby nie był w stanie się ruszyć, choćby był nie wiadomo jak silny.

Vin nie przestawała się szarpać, z trudem chwytając oddech. Słowa Ostatniego Imperatora okazały się prawdą. Próbowała uderzyć Kara głową, ale był na to przygotowany. Słyszała nad uchem jego szybki, prawie... namiętny oddech, kiedy ją dusił. W swoim odbiciu w oknie widziała, jak drzwi za nimi się otwierają i do sali wchodzi inny Inkwizytor. Jego szpile błyszczały w zniekształconym odbiciu, szata łopotała.

I to wszystko, pomyślała w tym surrealistycznym momencie, obserwując sunące po podłodze mgły, które wpełzły przez stłuczone okno-ścianę. Dziwne, nie owijały się jak zwykle wokół niej, zupełnie jakby coś je odpychało. Dla Vin było to ostateczne potwierdzenie klęski.

Przepraszam, Kelsier. Zawiodłam cię.

Drugi Inkwizytor podszedł do swego towarzysza. Nagle wyciągnął rękę i chwycił coś na jego plecach. Rozległ się trzask.

Vin natychmiast upadła na ziemię, chwytając powietrze. Przetoczyła się, dochodząc do siebie błyskawicznie dzięki cynie z ołowiem.

Kar stał nad nią, chwiejąc się lekko. Nagle zwalił się na bok i upadł na twarz. Drugi Inkwizytor stał za nim, trzymając coś, co wyglądało jak wielki, metalowy szpic – taki sam jak te, które miał w oczach.

Spojrzała na nieruchome ciało Kara. Jego szata była rozdarta na plecach, odsłaniając krwawą dziurę dokładnie między łopatkami. Dziurę tak dużą jak metalowy kolec. Poorana bliznami twarz Kara była blada. Pozbawiona życia.

Jeszcze jeden kolec!

Vin była pełna podziwu. Drugi Inkwizytor wyciągnął go z pleców Kara i ten umarł. To jest ta tajemnica!

– Co?! – ryknął Ostatni Imperator, zrywając się z tronu, aż nagły ruch przewrócił ciężkie, kamienne siedzisko, które stoczyło się po schodach, odbijając kawałki marmuru. – Zdrada! Wśród moich własnych ludzi!

Nowy Inkwizytor podbiegł do Ostatniego Imperatora. W biegu jego kaptur opadł, odsłaniając nagą czaszkę. W twarzy było coś znajomego, pomimo wystających z oczodołów stalowych szpil, wychodzących aż z potylicy przerażającymi ostrzami. Pomimo nieznanego odzienia i łysej głowy ten człowiek wyglądał jak Kelsier.

Nie, zrozumiała nagle. Nie Kelsier.

Marsh!

Marsh wskoczył na podwyższenie, przeskakując po dwa stopnie, poruszając się z nadnaturalną szybkością Inkwizytora. Vin dźwignęła się chwiejnie na nogi, z trudem przychodząc do siebie po przyduszeniu przez Kara. Nie mogła jedynie otrząsnąć się ze zdumienia i zaskoczenia. Marsh żył.

Marsh był Inkwizytorem.

Inkwizytorzy zamierzali go zwerbować! A teraz wyglądało na to, że zamierza walczyć z Ostatnim Imperatorem. Muszę mu pomóc! Może... może on zna tajemnicę, jak można zabić Ostatniego Imperatora. Dowiedział się przecież, jak zabijać Inkwizytorów!

Marsh dotarł na szczyt schodów.

– Inkwizytorzy! – krzyknął Ostatni Imperator. – Do mnie...

Zamarł, bo nagle spostrzegł coś, co leżało tuż za drzwiami. Niewielka kupka stalowych szpil, identycznych jak ta, którą Marsh wyjął z pleców Kara. Wyglądało na to, że jest ich około siedmiu.

Marsh uśmiechnął się i wyraz jego twarzy upiornie i do złudzenia przypominał grymasy Kelsiera. Vin dotarła do podwyższenia, Odepchnęła się od monety i rzuciła na szczyt platformy.

Porażająca, pełna moc gniewu Ostatniego Imperatora uderzyła w nią w połowie drogi. Depresja, karmiona gniewem śmierć dla duszy, przebiła się przez miedź i uderzyła w nią z całą siłą. Vin rozjarzyła z cichym jękiem miedź, ale nie była w stanie całkowicie wypchnąć Ostatniego Imperatora ze swych uczuć.

Marsh zachwiał się lekko i Ostatni Imperator wymierzył mu taki sam cios pięścią jak ten, który zabił Kelsiera. Na szczęście Marsh zdążył się uchylić. Okręcił Ostatniego Imperatora wokół własnej osi i sięgnął do kołnierza czarnej szaty władcy. Szarpnął, rozrywając odzienie wzdłuż szwu.

I zamarł z nieodgadnionym wyrazem oczu-szpil. Ostatni Imperator odwrócił się i dźgnął Marsha łokciem w żołądek, odrzucając go na drugą stronę komnaty. Kiedy się odwracał, Vin ujrzała to samo, co przed chwilą Marsh.

Nic. Zwykłe, choć muskularne plecy. W przeciwieństwie do Inkwizytorów Ostatni Imperator nie miał szpili w kręgosłupie.

Och, Marsh... – pomyślała z narastającym przerażeniem. Pomysł był doskonały, o wiele sprytniejszy niż szalone kombinacje Vin z Jedenastym Metalem – okazał się jednak równie chybiony.

Marsh upadł wreszcie na podłogę, aż chrupnęła czaszka, po czym prześliznął się po podłodze aż pod ścianę. Leżał tam skulony, oparty o wielką szybę.

– Marsh! – krzyknęła, skoczyła i Odepchnęła się ku niemu. W locie zauważyła tylko, że Ostatni Imperator niedbale uniósł dłoń.

Poczuła, jak uderza w nią... coś potężnego. Niczym Odepchnięcie Stali, uderzyło w metale w jej żołądku – ale oczywiście, to przecież niemożliwe. Kelsier twierdził, że Allomanta nie może wpływać na metale, które znajdują się w czyimś ciele.

Ale powiedział też, że Allomanta nie może wpływać na uczucia osoby, która spala miedź.

Porzucone monety wystrzeliły w powietrze, śmigając przez komnatę. Drzwi wyrwane z zawiasów rozpadły się i wyleciały na korytarz. Niewiarygodne, ale kawałki kolorowego szkła również zadrżały lekko i odsunęły się od tronu.

Vin została rzucona w bok, metale w jej żołądku groziły wyrwaniem się na zewnątrz. Upadła na posadzkę, co omal nie pozbawiło jej przytomności. Leżała tak oszołomiona, zmieszana, obolała, zdolna tylko do jednej myśli...

Co za moc...

Z cichym klikaniem obcasów Ostatni Imperator zszedł z podwyższenia. Poruszał się płynnie, zrywając z siebie rozdartą szatę i koszulę, aż został nagi do pasa, jeśli nie liczyć klejnotów błyszczących na jego palcach i nadgarstkach. Vin zauważyła, że przez skórę jego ramion było przewleczone kilka cienkich bransolet.

Sprytne, pomyślała, chwiejnie stając na nogi. Dzięki temu nie mogą być Przyciągnięte ani Odepchnięte.

Ostatni Imperator pokręcił z żalem głową, stopami rozpędzając chłodną mgłę, która wylewała się na podłogę z rozbitego okna. Wydawał się taki silny z torsem pulsującym muskułami i piękną twarzą. Vin wyczuwała moc jego Allomancji szarpiącą jej uczuciami, zaledwie powstrzymywaną przez jej miedź.

– Co ty sobie myślałaś, dziecko? – zapytał cicho. – Że mnie pokonasz? Czy jestem zwykłym Inkwizytorem, a moją moc zawdzięczam rzeczom?

Vin rozjarzyła cynę z ołowiem. Obróciła się i rzuciła do ucieczki, zamierzając chwycić ciało Marsha i przebić się przez szybę po drugiej stronie komnaty.

Ale on tam już był, poruszając się z prędkością, przy której furia wichrów tornada wydawałaby się leniwym podmuchem. Nawet przy cynie z ołowiem rozjarzonej do maksimum Vin nie była w stanie przed nim uciec. Wydawało się, że bez wysiłku wyciągnął rękę, złapał ją za ramię i szarpnął.

Rzucił nią jak lalką w kierunku jednego z potężnych filarów podpierających sklepienie komnaty. Vin rozpaczliwie szukała zaczepienia, ale Ostatni Imperator wcześniej wypchnął z sali cały metal. Poza...

Przyciągnęła jedną z jego własnych bransolet, tę która nie przebijała skóry. Natychmiast szarpnął ramię w górę, przemieszczając jej Pociągnięcie i sprawiając, że niezgrabnie zakręciła się w locie. Uderzył ją kolejnym potężnym Pchnięciem, wystrzeliwując ją w tył. Metale w jej żołądku usiłowały przebić się przez skórę, szkło dygotało, a kolczyk matki sam wyskoczył z jej ciała.

Próbowała się obrócić i wylądować na stopach, ale uderzyła w kamienny filar z potworną prędkością i cyna z ołowiem nie mogły jej już pomóc.

Usłyszała ohydny trzask i prawą nogę przeszyła włócznia bólu.

Upadła na ziemię. Nie miała odwagi spojrzeć, ale potworny ból podpowiedział jej, że jej złamana noga wystaje spod ciała pod dziwacznym kątem.

Ostatni Imperator pokręcił głową. Nie, Vin zrozumiała teraz, dlaczego nie bał się nosić metali. Biorąc pod uwagę jego siłę i możliwości, człowiek musiałby być szalony – tak jak Vin – żeby próbować użyć jego klejnotów jako kotwicy. Dzięki temu oddała mu tylko kontrolę nad skokami.

Ruszył przed siebie, z chrzęstem miażdżąc stopami odłamki szkła.

– Myślisz, dziecko, że po raz pierwszy ktoś próbuje mnie zabić? Przeżyłem spalenia, ścięcie głowy, byłem przebijany, siekany, miażdżony i kawałkowany. Raz, na początku, byłem nawet obdarty ze skóry.

Podszedł do Marsha i znów pokręcił głową. Poczuła, że wraca do niej pierwsze wrażenie, jakiego doznała na widok Ostatniego Imperatora. Wydawał się... zmęczony. Wręcz wykończony. Nie, nie ciało... bo wciąż był muskularny. Tylko... mina. Vin spróbowała wstać, wspinając się po filarze.

– Jestem Bogiem – oznajmił.

Jaki on inny od tego pokornego człowieka z pamiętnika.

– Boga nie można zabić – rzekł – Boga nie można obalić. Wasza rebelia... Myślałaś, że już takich nie widziałem? Myślisz, że sam nie zniszczyłem wielu armii? Czego trzeba, żebyście przestali wątpić? Przez ile stuleci muszę udowadniać, kim jestem, zanim wy, idioci skaa, zobaczycie prawdę? Ilu was muszę zabić?

Vin krzyknęła z bólu, kiedy poruszyła złamaną nogą. Rozjarzyła cynę z ołowiem, ale i tak z oczu popłynęły jej łzy. Zaczynało jej brakować metali. Cyna z ołowiem wkrótce się skończą, a bez nich nie zdoła pozostać przytomna. Oparła się o filar, czując, jak Allomancja Ostatniego Imperatora przypiera ją do kamienia. Noga pulsowała bólem.

Jest taki silny! – myślała z rozpaczą. Ma rację. Jest Bogiem. Co my sobie myślimy?

– Jak śmiesz? – zapytał Ostatni Imperator, unosząc pokrytą klejnotami ręką bezwładne ciało Marsha.

Marsh jęknął cicho, próbując unieść głowę.

– Jak śmiesz? – zapytał znów. – Po tym, co wam ofiarowałem? Dzięki mnie stałeś się lepszy od zwykłych ludzi! Dzięki mnie panowałeś!

Vin podniosła czujnie głowę. Poprzez tuman bólu i beznadziei coś obudziło w niej wspomnienie.

Ciągle powtarza... ciągle powtarza, że jego lud powinien panować.

Sięgnęła ku swemu wnętrzu, wydobywając ostatki Jedenastego Metalu. Zapaliła go, obserwując przez łzy Ostatniego Imperatora, który jedną ręką wciąż trzymał Marsha.

Minione „ja” Ostatniego Imperatora pojawiło się u jego boku. Człowiek w płaszczu z futra i ciężkich butach, z wielką brodą i potężnymi mięśniami. Nie arystokrata ani nie tyran. Nie bohater, nawet nie wojownik. Człowiek, przygotowany do życia w zimnych górach. Pasterz.

A może tragarz.

– Rashek – szepnęła.

Ostatni Imperator odwrócił się ku niej, zaskoczony.

– Rashek – powtórzyła. – Tak się nazywasz, prawda? Nie jesteś człowiekiem, który napisał pamiętnik. Nie jesteś bohaterem zesłanym, aby ratować lud... jesteś sługą. Tragarzem, który go nienawidził.

Zawahała się.

– Ty... ty go zabiłeś – szepnęła. – To się stało tamtej nocy! Dlatego pamiętnik urwał się tak nagle! Zabiłeś bohatera i zająłeś jego miejsce, zamiast niego poszedłeś do jaskini i zabrałeś sobie całą moc! Ale... zamiast ratować świat, przejąłeś nad nim kontrolę.

– Nic nie wiesz! – ryknął, wciąż jedną dłonią podtrzymując bezwładne ciało Marsha. – Nic na ten temat nie wiesz!

– Nienawidziłeś go – mówiła. – Myślałeś, że to Terrisanin powinien być bohaterem. Nie mogłeś znieść tego, że on... człowiek z kraju, który uciskał twój lud, był spełnieniem waszych własnych legend.

Ostatni Imperator uniósł dłoń i Vin poczuła nagle, jak przytłacza ją potworny ciężar. Allomancja, Odpychająca metale w jej żołądku i ciele, zagrażająca zmiażdżeniem o filar. Krzyknęła i rozjarzyła resztki cyny z ołowiem, usiłując zachować przytomność. Mgły zaczęły ją otulać, wpełzając przez wybite okno, snując się po podłodze.

Wydawało jej się, że zza okna dochodzą jakieś dziwne dźwięki. Coś jak... wiwaty. Okrzyki radości, tysiące okrzyków w jednym chórze. Wydawało się, że to ją zagrzewają do walki.

A co to ma za znaczenie? – pomyślała. Znam tajemnicę Ostatniego Imperatora, ale co mi to mówi? Że był tragarzem? Sługą? Terrisaninem?

Feruchemikiem.

Jak przez mgłę spojrzała na niego i dostrzegła dwie bransolety, lśniące na rękach Ostatniego Imperatora – wykonane z metalu i przebijające skórę w kilku miejscach. Tak, by... by Allomancja nie mogła ich dotknąć. Dlaczego? Przecież nosił metal jako oznakę odwagi. Nie obawiał się, że ludzie będą Odpychać czy Przyciągać jego metale.

A przynajmniej tak twierdził. Ale co, jeśli wszystkie inne metale, jakie nosił... pierścienie, bransolety, modne cacka, którymi zaraziła się cała szlachta, były jedynie maskaradą?

Maskaradą, która miała odwracać uwagę ludzi od tej jednej pary na jego rękach. Czy to naprawdę może być aż tak proste? – myślała, kiedy ciężar Ostatniego Imperatora miażdżył jej kości.

Cyna z ołowiem prawie się skończyły. Ledwie mogła myśleć. Zapaliła jednak żelazo. Ostatni Imperator może przebijać chmurę miedzi. Ona też. Jakimś cudem byli do siebie podobni. Jeśli on może wpływać na metale w czyimś ciele, ona również to może.

Rozjarzyła żelazo. Niebieskie linie, które się pojawiły, wskazywały na pierścienie i bransolety Ostatniego Imperatora, wszystkie, z wyjątkiem tych na rękach, przebijających skórę.

Dodała energii i skoncentrowała się. Wciąż jarzyła cynę z ołowiem, broniąc się przed zmiażdżeniem, i czuła, że już nie oddycha. Siła wtłaczająca ją w filar była zbyt wielka. Vin nie była w stanie zaczerpnąć tchu.

Mgły tańczyły wokół niej, otulały, przywabione Allomancją. Vin umierała. Wiedziała o tym. Właściwie prawie nie czuła już bólu. Została zmiażdżona. Uduszona.

Zaczerpnęła siły z mgły.

Pojawiły się dwie nowe linie. Krzyknęła. Z siłą, jakiej do tej pory nie znała, Przyciągnęła je. Rozjarzała żelazo coraz bardziej i bardziej; Odpychanie Ostatniego Imperatora dawało jej niezbędny punkt oparcia, by mogła Pociągać bransolety. Gniew, desperacja i ból zlały się w jedno, a Pociąganie stało się jedynym celem.

Ołów z cyną się wypalił.

On zabił Kelsiera!

Bransolety wyrwały się z ciała. Ostatni Imperator zawył z bólu – odległy, słaby dźwięk dla uszu Vin. Ciężar nagle zelżał i dziewczyna upadła

na podłogę, dysząc ciężko. Wszystko wokół niej jakby wirowało. Zakrwawione bransolety, uwolnione z jej uchwytu, upadły na posadzkę i pojechały po czarnym marmurze, by zatrzymać się tuż przed nią. Podniosła wzrok, cyną pomagając sobie w rozjaśnieniu umysłu i widzenia.

Ostatni Imperator stał tam gdzie przedtem, z oczami rozszerzonymi zgrozą i z zakrwawionymi ramionami. Upuścił Marsha i rzucił się w stronę Vin i swoich bransolet. Ona jednak, ostatnim wysiłkiem – bez cyny i ołowiu – Odepchnęła bransolety, aż przeleciały obok niego. Obrócił się, z przerażeniem w oczach patrząc, jak wylatują przez okno.

Ponad horyzontem wyjrzało słońce. Bransolety na moment zabłysły w jego czerwonym świetle, po czym spadły gdzieś w mieście.

– Nie! – wrzasnął Ostatni Imperator i rzucił się do okna.

Jego mięśnie zwiotczały, oklapły, jak wcześniej muskuły Sazeda. Odwrócił się z gniewem ku Vin, ale jego twarz nie była już twarzą młodego człowieka. Był w średnim wieku, a jego młodzieńcze rysy dojrzały.

Podszedł do okna. Miał siwe włosy, wokół oczu pojawiły się zmarszczki.

Następny krok uczynił już z trudem. Zaczął się trząść pod brzemieniem starości, zgarbił się, skóra mu obwisła, włosy się przerzedziły.

A potem upadł.

Vin oparła się o filar z umysłem zaćmionym przez ból. Leżała tam przez... jakiś czas. Nie mogła myśleć.

– Panienko! – rozległ się nagle głos i oto u jej boku pojawił się Sazed z czołem zalanym potem. Wlał jej coś w gardło, a ona połknęła to bezwiednie.

Jej ciało wiedziało co robić. Vin odruchowo rozjarzyła cynę z ołowiem, aby się wzmocnić. Potem rozjarzyła cynę i nagły wzrost wrażliwości ocucił ją. Jęknęła, spoglądając w zatroskaną twarz Sazeda.

– Ostrożnie, panienko – rzekł, oglądając jej nogę. – Kość jest złamana, choć chyba tylko w jednym miejscu.

– Marsh – szepnęła ostatkiem sił. – Zajmij się Marshem.

– Marsh? – zapytał Sazed. Wtedy ujrzał Inkwizytora.

– Na Zapomnianych Bogów! – wykrzyknął, podbiegając do niego.

Marsh jęknął i usiadł. Jedną rękę przyciskał do obolałego brzucha.

– Co... to jest?

Vin spojrzała na wynędzniałą postać, leżącą opodal.

– To on. Ostatni Imperator. Nie żyje.

Sazed z zaciekawieniem zmarszczył brwi i wstał. Był ubrany w brunatną szatę i miał przy sobie prostą drewnianą włócznię. Vin tylko pokręciła głową, kiedy wyobraziła sobie tę nędzną broń przeciwko istocie, która omal nie zabiła jej i Marsha.

Oczywiście w pewnym sensie wszyscy byliśmy bezużyteczni. To my powinniśmy nie żyć, a nie on.

Zerwałam jego bransolety. Dlaczego? Dlaczego mogę robić to samo, co on?

Czemu jestem inna?

– Panienko... – odezwał się Sazed – myślę, że on nie jest martwy. On... wciąż żyje.

– Co? – Zmarszczyła brwi.

W tej chwili nie była zdolna zebrać myśli. Później będzie musiała sobie odpowiedzieć na wszystkie pytania. Sazed miał rację, zgrzybiała istota nie umarła. Przeciwnie, pełzła żałośnie po posadzce, wlokąc się w stronę wyrwanego okna. Szukając swoich bransolet.

Marsh wstał chwiejnie, oganiając się od zabiegów Sazeda.

– Ja szybko wyzdrowieję. Zajmij się dziewczyną.

– Pomóż mi – poleciła Vin.

– Panienko... – zaprotestował Sazed.

– Sazedzie, proszę.

Westchnął i podał jej drewnianą włócznię.

– Masz, oprzyj się na tym.

Wzięła drzewce, a on pomógł jej wstać.

Vin oparła się na włóczni i, podtrzymywana przez Marsha i Sazeda, podeszła do Ostatniego Imperatora. Pełznąca postać dotarła właśnie do okna. Przez wybitą szybę było widać panoramę miasta.

Pod stopami Vin chrzęściło potłuczone szkło. Ludzie na dole wiwatowali.

– Słuchaj – rzekł Sazed – słuchaj ty, który byłeś naszym bogiem. Czy słyszysz ich wiwaty? One nie są dla ciebie... ci ludzie nigdy nie wiwatowali na twój widok. Dzisiaj dostali nowego przywódcę, nową dumę.

– Moi... obligatorzy... – wyszeptał Ostatni Imperator.

– Obligatorzy zapomną o tobie – odparł Marsh. – Już ja się tym zajmę. Inni Inkwizytorzy są martwi, zginęli z mojej ręki. Ale zebrani prelanowie

widzieli, jak przekazujesz władzę Kantonowi Inkwizycji. Jestem teraz ostatnim Inkwizytorem w Luthadelu i to ja rządzę twoim kościołem.

– Nie... – jęknął Ostatni Imperator.

Marsh, Vin i Sazed stali w pewnym oddaleniu od siebie, obserwując starca. W porannym świetle Vin widziała pod zamkiem tłum ludzi, otaczający wielkie podium i wznoszący broń na znak szacunku.

Ostatni Imperator spojrzał na tłum i wydawało się, że wreszcie dociera do niego pełny tragizm klęski. Podniósł wzrok na ludzi, którzy go pokonali.

– Nie rozumiecie – wyszeptał świszcząco. – Nie wiecie, co robię dla ludzkości. Byłem waszym bogiem, nawet jeśli tego nie widzieliście. Zabijając mnie, skazujecie się na zagładę...

Vin spojrzała najpierw na Marsha, potem na Sazeda. Obaj powoli skinęli głowami. Ostatni Imperator zaczął kasłać i wydawało się, że postarzał się jeszcze bardziej.

Vin oparła się o Sazeda, zaciskając z bólu zęby.

– Przynoszę ci wieści od naszego przyjaciela – powiedziała cicho. – Chciał ci przekazać, że nie umarł. Jego nie można zabić.

On jest nadzieją.

Podniosła włócznię i wbiła ją w serce Ostatniego Imperatora.

Dziwne, chwilami czuję wielki spokój. Można by pomyśleć, że po wszystkim, co zobaczyłem – po wszystkim, co wycierpiałem – moja dusza będzie kłębowiskiem nerwów, dezorientacji i melancholii. I często tak jest w istocie.

Ale czasem jest spokój.

Czuję go nieraz, tak jak w tej chwili, kiedy patrzę na zamarznięte klify i szkliste góry w spokojny poranek, obserwując wschód słońca tak majestatyczny, że nigdy żaden inny widok mu nie dorówna.

Jeśli istnieją proroctwa, jeśli istnieje Bohater Wieków, to umysł podpowiada mi, że coś musi kierować moimi krokami. Coś czuwa, coś wie. Te pokojowe podszepty mówią mi o czymś, w co bardzo chcę uwierzyć.

Jeśli zawiodę, ktoś inny przyjdzie i ukończy moją pracę.

Epilog

– Mogę wywnioskować tylko jedno, panie Marsh – rzekł Sazed. – Ostatni Imperator był zarówno Feruchemikiem, jak i Allomantą.

Vin zmarszczyła brwi, siedząc na szczycie dachu pustego budynku w pobliżu skraju slumsów skaa. Jej złamana noga – starannie złożona i opatrzona przez Sazeda – zwisała z gzymsu, dyndając w powietrzu.

Przespała większość dnia – Marsh, który teraz stał obok, najwyraźniej też. Sazed przekazał wiadomość o ocaleniu Vin reszcie grupy. Okazało się, że wszyscy ocaleli – z czego Vin się bardzo cieszyła, ale jeszcze nie wybrała się do nich z odwiedzinami. Sazed powiedział im, że dziewczyna potrzebuje odpoczynku. A oni wszyscy byli mocno zajęci tworzeniem rządu Elenda.

– Feruchemik i Allomanta – powiedział w zadumie Marsh.

Przyszedł do siebie wyjątkowo szybko – Vin wciąż miała siniaki, pęknięcia i skaleczenia odniesione w walce, tymczasem wydawało się, że jego złamane żebra zrosły się już dawno. Siedział pochylony, z ramieniem na kolanie, obserwując miasto kolcami w miejscu oczu.

Jak on w ogóle widzi? – zastanawiała się Vin.

– Tak, panie Marsh – wyjaśniał Sazed. – Widzi pan, młodość jest jedną z tych cech, które Feruchemik może magazynować. Jest to dość bezużyteczny proces – aby zmagazynować zdolność do czucia się i wyglądania o rok młodziej, musisz spędzić jakiś czas, czując się i wyglądając o rok starzej. Opiekunowie często wykorzystują tę zdolność jako przebranie, zmieniając wiek, aby oszukiwać innych i się ukrywać. Poza tym jednak nikt nie miał szczególnego zastosowania dla tej zdolności. Jeśli jednak Feruchemik jest także Allomantą, może być w stanie spalać własne zasoby metalu, uwalniając zawartą w nich energię z dziesięciokrotną siłą. Panienka Vin próbowała spalać moje metale, ale nie była w stanie użyć mocy. Jednakże, jeśli sam tworzysz swój feruchemiczny magazyn, możesz go spalić dla uzyskania dodatkowej siły...

Marsh zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem cię, Sazed.

– Przepraszam – odparł Sazed. – Pewnie dlatego, że jest to materia trudna do zrozumienia bez podstawowych informacji na temat teorii Feruchemii i Allomancji. Zobaczmy, czy uda mi się to lepiej wyjaśnić. Jaka jest główna różnica między Allomancją a Feruchemią?

– Allomancja czerpie moc z metali – odparł Marsh. – Feruchemia czerpie swoją moc z ciała danej osoby.

– Właśnie – zauważył Sazed. – Tak właśnie robił Ostatni Imperator – jak mi się zdaje – to znaczy łączył te dwie możliwości. Wykorzystywał jeden z atrybutów dostępny wyłącznie dla Feruchemii, to znaczy zmianę wieku, ale zasilał go Allomancją. Spalając magazyn feruchemiczny, który sam stworzył, właściwie wynalazł nowy allomantyczny metal wyłącznie dla siebie, taki, który go odmładzał podczas spalania. Jeśli moje domysły są prawidłowe, dałoby mu to nieograniczone źródła młodości, skoro korzystał w większości z siły samego metalu, a dopiero potem swojego ciała. Musiał tylko spędzić od czasu do czasu parę chwil jako starzec, aby dać sobie do spalania kolejne feruchemiczne magazyny i zachować młodość.

– A zatem – zagadnął Marsh – tylko spalanie tych magazynów sprawiało, że był młodszy niż w chwili, kiedy zaczynał?

– Myślę, że wówczas umieszczał nadmiar młodości w innym magazynie feruchemicznym – zauważył Sazed. – Widzisz, Allomancja jest bardzo spektakularna... jej moc objawia się w wybuchach i rozbłyskach. Ostatni Imperator nie chciałby stracić całej młodości naraz, więc zmagazynował ją w kawałku metalu, z którego mógł czerpać powoli, zachowując młody wygląd.

– Bransolety?

– Tak, mistrzu Marsh. Jednak Feruchemia daje zmniejszające się skutki. Na przykład wymaga więcej niż tylko proporcjonalnej siły, żebyś stał się cztery razy silniejszy od zwykłego człowieka, nie tylko dwukrotnie, jak w przypadku Ostatniego Imperatora. Oznacza to, że musiał wykorzystywać coraz więcej młodości, by się nie starzeć. Kiedy panienka Vin zabrała mu bransolety, zestarzał się niewiarygodnie szybko, ponieważ jego ciało próbowało rozciągnąć się z powrotem tam, gdzie powinno być.

Vin spoglądała na Twierdzę Venture. Budynek był rzęsiście oświetlony – nie minął nawet jeden dzień, a Elend spotykał się już z przywódcami skaa i szlachty, tworząc kodeks praw dla swego nowego narodu.

Milczała, obracając w palcach kolczyk, który znalazła na sali tronowej i teraz włożyła z powrotem w ucho, skoro tylko płatek zaczął się goić. Nie wiedziała, po co go zatrzymała – może dlatego, że przypominał jej brata i matkę, która próbowała ją zabić, a może dlatego, że przypominał rzeczy, których nie powinna być w stanie dokonać.

Miała jeszcze wiele do nauczenia się na temat Allomancji. Przez tysiąc lat szlachta po prostu ufała w to, co mówili im Inkwizytorzy i Ostatni

Imperator. Jakie jeszcze sekrety skrywali, jakie metale ukryli?

– Ostatni Imperator – odezwała się wreszcie – on... użył tylko sztuczki, by się stać nieśmiertelnym. Oznacza to, że tak naprawdę wcale nie był bogiem, prawda? Miał tylko szczęście. Każdy, kto jest jednocześnie Feruchemikiem i Allomantą potrafi zrobić to, co on.

– Tak się zdaje, panienko – odparł Sazed. – Może dlatego tak bardzo obawiał się Opiekunów. Wyłapywał i zabijał Feruchemików, ponieważ wiedział, że te umiejętności są dziedziczne – tak samo jak Allomancja. Gdyby rody z Terris kiedykolwiek zmieszały się ze szlachtą imperialną, w wyniku tego mogło się urodzić dziecko, które byłoby dla niego wyzwaniem.

– Stąd program hodowlany – domyślił się Marsh.

Sazed skinął głową.

– Musiał być pewien, że Terrisanie nie będą mieli możliwości zmieszać się z normalną ludnością, żeby nie przekazywać ukrytych zdolności feruchemicznych.

Marsh pokręcił głową.

– Jego własny lud. Zrobił mu tyle strasznych rzeczy, żeby tylko zachować władzę.

– Ale – wtrąciła Vin, marszcząc brwi – skoro moc Ostatniego Imperatora pochodziła z mieszanki Feruchemii i Allomancji, to co się stało przy Studni Wstąpienia? Jaka była ta moc, którą człowiek – autor pamiętnika – miał znaleźć?

– Nie wiem, panienko – odparł cicho Sazed.

– Wciąż nie wiemy wszystkiego – mruknęła, kręcąc głową. Nie mówiła o własnych, dziwnych umiejętnościach, ale opowiedziała im, co Ostatni Imperator robił w sali tronowej. – On był taki potężny, Sazedzie. Wyczuwałam jego Allomancję, był w stanie Odpychać metale wewnątrz mojego ciała! Może potrafił wzmocnić swoją Feruchemię, spalając składy, ale jak stał się tak silny w Allomancji?

Sazed westchnął.

– Obawiam się, że jedyna osoba, która mogła nam odpowiedzieć na to pytanie, zmarła dzisiaj rano.

Vin się zawahała. Ostatni Imperator znał takie tajemnice religii Terris, jakich lud Sazeda poszukiwał od wielu stuleci.

– Przykro mi. Może nie powinnam była go zabijać.

Sazed pokręcił głową.

– I tak zabiłaby go starość, panienko. Dobrze zrobiłaś. W ten sposób mogę zapisać, że Ostatni Imperator został zabity przez jednego ze skaa, których uciskał.

Vin się zarumieniła.

– Zapisać?

– Oczywiście. Wciąż jestem Opiekunem, Panienko. Muszę przekazywać to wszystko... historię, wydarzenia i prawdy.

– Ale... nie będziesz o mnie za dużo mówił, dobrze? – Z jakiegoś powodu myśl o innych ludziach, którzy opowiadaliby o niej historie, sprawiała jej przykrość.

– Nie martwiłbym się tym, panienko – odparł z uśmiechem – Moi bracia i ja będziemy bardzo zajęci. Mamy tyle do odtworzenia, tyle do powiedzenia światu... Nie sądzę, by szczegóły na twój temat musiały być przekazywane już teraz i jak najszybciej. Zarejestruję, co się stało, ale na razie zatrzymam dla siebie, jeśli chcesz.

– Dziękuję – odparła, kiwając głową.

– Moc, którą Ostatni Imperator znalazł w jaskini – wtrącił w zadumie Marsh. – Czy to mogła być po prostu Allomancja? Sam powiedziałeś, że przed Wstąpieniem nie było żadnych wzmianek o Allomantach.

– Istotnie, istnieje taka możliwość, mistrzu Marsh – odparł Sazed. – Jest bardzo niewiele legend o pochodzeniu Allomancji, a niemal wszystkie są zgodne, że pojawiła się ona wraz z mgłami.

Vin zmarszczyła czoło. Zawsze uważała, że tytuł: „Zrodzony z Mgły” powstał dlatego, że Allomanci byli zmuszeni pracować w nocy. Nigdy nie wzięła pod uwagę tego, że powiązanie może być silniejsze.

Mgła reaguje na Allomancję. Wiruje, kiedy Allomanta używa swoich umiejętności. A co... co właściwie czułam na końcu? Wydawało mi się, że to ja czerpałam coś z mgły.

Cokolwiek zrobiła, nie była w stanie tego powtórzyć.

Marsh westchnął i wstał. Nie spał zaledwie od kilku godzin, ale już wydawał się zmęczony. Zwieszał głowę tak, jakby ciężar szpil bardzo mu przeszkadzał.

– Marsh, czy to... boli? – zapytała. – Chodzi o te szpile.

Zawahał się.

– Tak. Jedenaście... pulsują bólem. Ból w jakiś sposób współdziała z moimi uczuciami.

– Jedenaście? – zapytała wstrząśnięta.

Skinął głową.

– Dwie w głowie, osiem w piersi i jedna z tyłu, żeby je wszystkie połączyć. To jedyny sposób, by zabić Inkwizytora – musisz oddzielić górne szpile od dolnych. Kell zrobił to, ścinając go, ale o wiele łatwiej jest po prostu usunąć środkową szpilę.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz – odparła. – Kiedy znaleźliśmy ciało i tę krew na stacji Uspokajania...

Marsh skinął głową.

– Chciałem posłać wam wieść o tym, że żyję, ale pierwszego dnia bardzo mnie pilnowali. Nie wiedziałem, że Kell ruszy tak szybko.

– Nikt nie wiedział, mistrzu Marsh – odparł Sazed. – Nikt się tego nie spodziewał.

– Naprawdę mu się udało, prawda? – rzekł Marsh, kręcąc głową ze zdumieniem. – Co za drań. Nigdy nie wybaczę mu dwóch rzeczy. Po pierwsze, ukradł mi moje marzenie o obaleniu Ostatniego Imperium, a do tego jeszcze mu się udało!

Vin się zawahała.

– A druga?

Marsh zwrócił ku niej oczy-szpile.

– Że dał się przy tym zabić.

– Jeśli mogę zapytać, mistrzu Marsh – odezwał się Sazed. – Czyje było to ciało, które panienka Vin i pan Kelsier znaleźli w stacji Uspokajania?

Marsh odwrócił twarz ku miastu.

– W istocie było tam kilka ciał. Proces tworzenia nowego Inkwizytora jest... brudny. Wolałbym o tym nie mówić.

– Oczywiście. – Sazed skłonił głowę.

– Ty jednak – odparł Marsh – możesz mi opowiedzieć o stworzeniu, którego Kelsier użył, by naśladować lorda Renoux.

– Kandra? – zapytał Sazed. – Obawiam się, że nawet Opiekunowie niewiele wiedzą na ich temat. Są w jakiś sposób powiązani z mgielnymi widmami – może to nawet te same istoty, tylko starsze. Z powodu swojej reputacji wolą zwykle pozostawać niewidoczne – choć niektóre szlachetne rody od czasu do czasu je wynajmują.

Vin zmarszczyła brwi.

– Więc... dlaczego Kell nie kazał temu kandrze wejść w jego skórę i umrzeć?

– Ach – odparł Sazed. – Widzisz, panienko, kandra, by wcielić się w kogokolwiek, musi najpierw wchłonąć ciało i kości tej osoby. Kandry są jak mgielne widma... nie mają własnych szkieletów.

Vin zadrżała.

– Aha.

– Wiesz, on wrócił – dodał Marsh. – Stwór nie używa już ciała mojego brata, znalazł sobie kogoś innego, ale przyszedł do ciebie, Vin.

– Do mnie? – zdziwiła się.

Skinął głową.

– Powiedział, że Kelsier przeniósł kontrakt na ciebie, zanim umarł. To stworzenie uważa cię chyba teraz za swoją panią.

Zadrżała.

Ta... rzecz pożarła ciało Kelsiera.

– Nie chcę go tutaj – oznajmiła. – Odeślę go.

– Nie działaj pochopnie, panienko – wtrącił Sazed. – Kandry są dość kosztownymi sługami, musisz im płacić w atium. Jeśli Kelsier wykupił kontrakt długoterminowy, szkoda byłoby zmarnować jego usługi. Kandra może się okazać w niedługim czasie bardzo użytecznym sojusznikiem.

Vin pokręciła głową.

– Nie obchodzi mnie to. Nie chcę go tutaj. Nie po tym, co zrobił.

Cała trójka zamilkła. Wreszcie Marsh wstał z westchnieniem.

– Musicie mi teraz wybaczyć, powinienem pojawić się w twierdzy... nowy król chce, bym reprezentował Zakon w jego negocjacjach.

Vin zmarszczyła brwi.

– Nie wiedziałam, że Zakon powinien w ogóle mieć coś do powiedzenia w tej sprawie.

– Obligatorzy wciąż są dość potężni, panienko – odparł Sazed. – I są najskuteczniejszą i najlepiej wyszkoloną siłą biurokratyczną w Ostatnim Imperium. Jego wysokość mądrze zrobi, jeśli postara się sprowadzić ich na swoją stronę i uzna, że mistrz Marsh może mu w tym pomóc.

Marsh wzruszył ramionami.

– Oczywiście, o ile uda mi się przejąć kontrolę nad Kantonem Ortodoksji, w ciągu kilku najbliższych lat Zakon powinien... nieco się

zmienić. Będę działał powoli i ostrożnie, ale zanim skończę, obligatorzy nawet się nie zorientują, co stracili. Pozostali Inkwizytorzy nie będą stwarzać problemów.

Vin przytaknęła.

– Ilu ich jest poza Luthadelem?

– Nie wiem – odrzekł. – Niedługo byłem członkiem Zakonu, nim go zniszczyłem. Ostatnie Imperium to jednak spory kraj. Wielu mówi o tym, że w Imperium było dwudziestu Inkwizytorów, ale nie udało mi się nigdy dowiedzieć, czy to prawda.

Vin skinęła głową i Marsh się oddalił. Jednak Inkwizytorzy martwili ją teraz znacznie mniej, odkąd poznała ich tajemnicę. Zastanawiało ją coś innego.

„Nie wiecie, co robię dla ludzkości. Byłem waszym bogiem, nawet jeśli tego nie widzieliście. Zabijając mnie, skazujecie się na zagładę...”.

Ostatnie słowa Ostatniego Imperatora. Wtedy sądziła, że wspominając o tym, co zrobił „dla ludzkości” mówi o Ostatnim Imperium. Teraz nie była już tego taka pewna. Kiedy wypowiadała te słowa, w jego oczach widziała... strach. Nie dumę.

– Saze? – zapytała. – Co to jest Głębia? To coś, co Bohater Wieków miał pokonać?

– Przykro mi, ale tego nie wiemy, panienko – odparł Sazed.

– Ale to nie nadeszło, prawda?

– Przypuszczalnie nie – odrzekł. – Legendy zgadzają się, że gdyby Głębia nie została powstrzymana, cały świat by zginął. Oczywiście, w tych historiach może być jakaś przesada. Może zagrożenie „Głębią” oznaczało zagrożenie osobą samego Ostatniego Imperatora? Może walka Bohatera była jedynie walką sumienia? Musiał wybrać – panować nad światem albo pozwolić mu wolno istnieć.

Vin nie podobało się to wyjaśnienie. Było coś więcej. Znowu przypomniała sobie strach w oczach Ostatniego Imperatora. Przerażenie.

Powiedział „robię” a nie „zrobiłem”. „Co robię dla ludzkości”. To oznacza, że wciąż to robił, cokolwiek to było.

Skazaliście się na zagładę...

Zadrżała w wieczornym powietrzu. Słońce zachodziło, co sprawiało, że oświetlona Twierdza Venture była jeszcze lepiej widoczna – tam właśnie

Elend miał tymczasową kwaterę główną, choć mógł przeprowadzić się do Kredik Shaw. Jeszcze się nie zdecydował.

– Powinnaś do niego pójść, panienko – rzekł Sazed. – Niech wie, że nic ci nie jest.

Spojrzała na miasto, obserwując rozświetloną twierdzę na tle ciemniejącego nieba.

– Byłeś tam, Sazedzie? – zapytała. – Słyszałeś jego przemowę?

– Tak, panienko – odparł. – Kiedy odkryliśmy, że w skarbcu nie ma atium, lord Venture nalegał, abyśmy poszli po pomoc dla ciebie. Byłem skłonny się z nim zgodzić – żaden z nas nie jest wojownikiem, a ja nie miałem moich feruchemicznych składów.

Nie ma atium, pomyślała Vin. Po tym wszystkim nie znaleźliśmy nawet kawałka atium. Co Ostatni Imperator z nim robił? A może... ktoś inny przejął je przed nami?

– Kiedy pan Elend i ja znaleźliśmy armię – ciągnął Sazed – rebelianci mordowali gwardię pałacową. Niektórzy żołnierze próbowali się poddać, ale nasi nie pozwalali. To była... nieprzyjemna scena, panienko. Twój Elend... nie spodobało mu się to, co zobaczył. Kiedy tam stanął przed skaa, myślałem, że jego też po prostu zamordują...

Urwał i przechylił głowę.

– Ale... to, co powiedział... jego marzenia o nowym rządzie, potępienie rozlewu krwi i chaosu. Cóż, panienko, chyba nie potrafię tego powtórzyć. Żałowałem, że nie mam przy sobie moich myślometali, by zapamiętać dokładnie każde słowo.

Westchnął, kręcąc głową.

– Nieważne. Sądzę, że pan Breeze naprawdę pomógł nam swoimi wpływami uspokoić zamieszki. Kiedy już jedna grupa zaczęła słuchać mistrza Elenda, za nią poszły następne, a potem... no cóż, to dobrze, że szlachcic został królem. Mistrz Elend sprawia, że nasze życzenia dotyczące kontroli stają się nieco bardziej legalne i że z nim na czele będziemy mieć większe poparcie ze strony szlachty i kupców.

Uśmiechnęła się.

– Kell byłby na nas wściekły, wiesz? Tyle się napracował, a my osadziliśmy na tronie szlachcica.

Pokręcił głową.

– O, nie. Sądzę, że należy tu wziąć pod uwagę coś znacznie ważniejszego. Nie posadziliśmy na tronie zwykłego szlachcica... lecz dobrego człowieka.

– Dobrego człowieka – mruknęła Vin. – Tak, znam teraz wielu takich.

***

Vin klęczała we mgle na dachu Twierdzy Venture. Jej unieruchomiona noga utrudniała nieco poruszanie się w nocy, ale dziewczyna podpierała się Allomancją. Musiała tylko uważać, żeby lądować naprawdę delikatnie.

Nadeszła noc, otoczyła ją mgła. Chroniła, ukrywała, dawała jej moc...

Elend Venture siedział przy biurku pod świetlikiem, który od czasu, kiedy Vin wybiła je ciałem przeciwnika, jeszcze nie został załatany. Nie widział jej, przycupniętej na górze. Któż by ją zauważył. Kto widuje Zrodzoną w jej żywiole? W pewnym sensie była jak cienie tworzone przez Jedenasty Metal. Bezcielesna. Naprawdę coś, co mogło istnieć.

Mogło istnieć...

Wydarzenia ostatniego dnia były dość trudne do uporządkowania. Vin nie próbowała nawet doszukać się sensu w swoich uczuciach, które były w jeszcze większym nieładzie. I jeszcze nie odwiedziła Elenda. Nie mogła.

Spojrzała na niego. Siedział w świetle lampy przy biurku i czytał, robiąc notatki w zeszycie. Wcześniejsze spotkania widocznie poszły dobrze – wszyscy chętnie zaakceptowali go jako króla. Marsh mówił, że za tym poparciem kryje się polityka. Szlachta widziała w Elendzie marionetkę, którą będą mogli kontrolować, a wśród przywódców skaa już zaczęły wyłaniać się frakcje.

Elend miał wreszcie możliwość przygotowania kodeksu prawnego, o jakim marzył. Będzie próbował stworzyć naród doskonały, stosować filozofię, którą tak długo studiował. Będą naturalnie starcia, Vin podejrzewała, że ostatecznie będzie musiał pogodzić się z czymś znacznie bardziej realistycznym niż jego idealistyczne marzenia. To nie miało znaczenia, i tak będzie dobrym królem.

Oczywiście w porównaniu z Ostatnim Imperatorem nawet kupa sadzy byłaby dobrym królem.

Chciała pójść do niego, zeskoczyć do ciepłego pokoju, ale... coś ją powstrzymywało. Ostatnio przeszła zbyt wiele gwałtownych zwrotów w swoim życiu, zbyt wiele napięcia emocjonalnego. Nie wiedziała już, czego naprawdę chce, nie wiedziała, czy jest Vin, czy Valette, a nawet tego, którą z nich naprawdę chciałaby być.

Było jej zimno w tej mgle i otaczającej ją ciszy. Mgła dawała moc, chroniła i ukrywała... nawet teraz, kiedy tak naprawdę nie potrzebowała nic z tych rzeczy.

Nie mogę tego zrobić. Osoba, która stanie u jego boku, nie będzie mną. To była iluzja, marzenie. Jestem dzieckiem, które wyrosło w cieniu, dziewczyną, która powinna pozostać sama. Nie zasługuję na to.

Nie zasługuję na niego.

Skończone. Tak jak przewidywała, wszystko się zmieniało. Prawdę mówiąc, nigdy nie była naprawdę dobrą szlachcianką. Przyszedł czas wrócić do tego, co umiała naprawdę. Była istotą z cienia, a nie bywalczynią bali.

Czas odejść.

Wstała, nie dbając o łzy, wściekła na siebie. Pozostawiła go i przygarbiona pokuśtykała po metalowym dachu, by zniknąć we mgle.

Ale...

Umarł, zaklinając się, że umarłaś z głodu wiele lat temu.

W całym tym zamieszaniu zapomniała o słowach Inkwizytora, dotyczących Reena. Teraz jednak to wspomnienie sprawiło, że przystanęła. Mgła mijała ją, wirując i kusząc.

Reen jej nie porzucił. Zawsze obiecywał, że to zrobi, ale ostatecznie nie uczynił tego. Nigdy nie był doskonałym bratem, ale zawsze ją kochał.

Z głębi jej umysłu dobiegł nagle szept, głos Reena: „Wracaj”.

Zanim zdołała przekonać sama siebie, że powinna zrobić coś wręcz przeciwnego, pokuśtykała w stronę wybitego świetlika i wrzuciła monetę do komnaty.

Zaskoczony Elend uniósł głowę, przekrzywił ją lekko, spojrzał na monetę. Vin zeskoczyła sekundę później, Odpychając się tak, by spowolnić upadek. Wylądowała na zdrowej nodze.

– Elendzie Venture – oznajmiła, wstając. – Od jakiegoś czasu chciałam ci coś powiedzieć.

Urwała i zamrugała, strząsając łzy z rzęs.

– O wiele za dużo czytasz. Zwłaszcza w obecności dam.

Uśmiechnął się, odsunął fotel i chwycił ją w ramiona. Vin przymknęła oczy, rozkoszując się ciepłem jego uścisku.

I doszła do wniosku, że właśnie tego naprawdę chciała.

ARS ARCANUM

Poznaj obszerne notatki autora na temat każdego z rozdziałów, usunięte sceny i rozszerzoną informację o świecie na www.brandonsanderson.com.

SKRÓCONY WYKRES ALLOMANCJI

	Metal	Efekt	Tytuł Mglistego
	Żelazo	Przyciąga najbliższe metale	Szarpacz
	Stal	Odpycha najbliższe metale	Monetostrzelny

	Cyna	Wyostrza zmysły	Cynooki
	Cyna z ołowiem	Zwiększa możliwości fizyczne	Cynozbrojny, Zbir
	Cynk	Uspokaja uczucia	Uspokajacz
	Mosiądz	Rozpala uczucia	Podżegacz
	Miedź	Ukrywa Allomancję	Magazynuje wspomnienia
	Brąz	Ujawnia Allomancję	Szperacz

Alfabetyczny spis Allomancji

Brąz (wewnętrzny umysłowy metal odpychający). Osoba spalająca brąz może wyczuć, kiedy inni w pobliżu stosują Allomancję. Allomanci spalający metale emitują „Allomantyczne pulsacje” – coś w rodzaju bicia bębnów, słyszalnego jedynie dla osoby, która spala brąz. Mglisty spalający Brąz jest znany jako Szperacz.

Cyna z ołowiem (wewnętrzny fizyczny metal odpychający). Osoba spalająca cynę z ołowiem zwiększa atrybuty fizyczne ciała. Staje się silniejsza, bardziej odporna, zręczniejsza. Cyna z ołowiem zwiększa również poczucie równowagi ciała i zdolność gojenia ran. Mglisty, który spala Cynę z Ołowiem, jest znany jako Cynozbrojny lub Zbir.

Cyna (wewnętrzny fizyczny metal odpychający). Osoba spalająca cynę ma wyostrzone zmysły. Widzi dalej, ma lepszy węch, a jej zmysł dotyku staje się bardziej wyczulony. Efektem ubocznym jest możliwość widzenia poprzez mgłę, co pozwala widzieć w nocy o wiele dalej, niż pozwoliłyby na to nawet wyostrzone zmysły. Mglisty, który spala Cynę, jest znany jako Cynooki.

Cynk (zewnętrzny umysłowy metal przyciągający). Osoba spalająca cynk może Uspokajać emocje innej osoby, tłumiąc je i sprawiając, że niektóre stają się słabsze. Ostrożny Allomanta może Uspokoić wszystkie emocje z wyjątkiem jednej, co sprawia, że osoba czuje się tak, jak on tego chce. Cynk jednak nie pozwala czytać ani myśli, ani nawet uczuć. Mglisty, który spala Cynk, jest znany jako Uspokajacz.

Cynooki – Mglisty, który spala cynę.

Cynozbrojny – Mglisty, który spala cynę z ołowiem.

Dymiarz – Mglisty, który spala miedź.

Miedź (wewnętrzny umysłowy metal przyciągający). Osoba spalająca miedź wydziela niewidzialną chmurę, która chroni wszystkich w jej wnętrzu przed zmysłami Szperacza. Pozostając w takiej „chmurze miedzi”. Alomanta może spalać dowolny metal, bez obaw, że ktoś wyczuje jego allomantyczne pulsacje, spalając brąz. Jako efekt uboczny, osoba spalająca miedź jest niewrażliwa na wszelkie działania umysłowej Allomancji (Uspokajanie lub Podżeganie). Mglisty, który spala Miedź, jest znany jako Dymiarz.

Monetostrzelny – Mglisty, który spala stal.

Mosiądz (zewnętrzny umysłowy metal odpychający). Osoba spalająca mosiądz może Podżegać umysły innych osób, rozpalać je i niektóre czynić silniejszymi. Nie pozwala czytać ani myśli, ani nawet uczuć. Mglisty, który spala Mosiądz, jest znany jako Podżegacz.

Podżegacz – Mglisty, który spala mosiądz.

Stal (zewnętrzny umysłowy metal odpychający). Osoba spalająca żelazo może widzieć przezroczyste niebieskie linie prowadzące do najbliższych źródeł metalu. Wielkość i jasność linii zależy od wielkości i bliskości źródła metalu. Widać wszystkie źródła metalu, nie tylko żelaza. Allomanta może wtedy umysłem ściągnąć taką linię i Przyciągnąć do siebie źródło metalu. Mglisty, który spala Stal, jest znany jako Monetostrzelny.

Szarpacz – Mglisty, który spala żelazo.

Szperacz – Mglisty, który spala brąz.

Uspokajacz – Mglisty, który spala cynk.

Zbir – Mglisty, który spala cynę z ołowiem.

Żelazo (zewnętrzny fizyczny metal przyciągający). Osoba spalająca żelazo może widzieć przezroczyste niebieskie linie prowadzące do najbliższych źródeł metalu. Wielkość i jasność linii zależą od wielkości i bliskości źródła metalu. Widać wszystkie źródła metalu, nie tylko

żelaza. Allomanta może wtedy umysłem ściągnąć taką linię i Przyciągnąć do siebie źródło metalu. Mglisty, który spala Żelazo, jest znany jako Szarpacz.

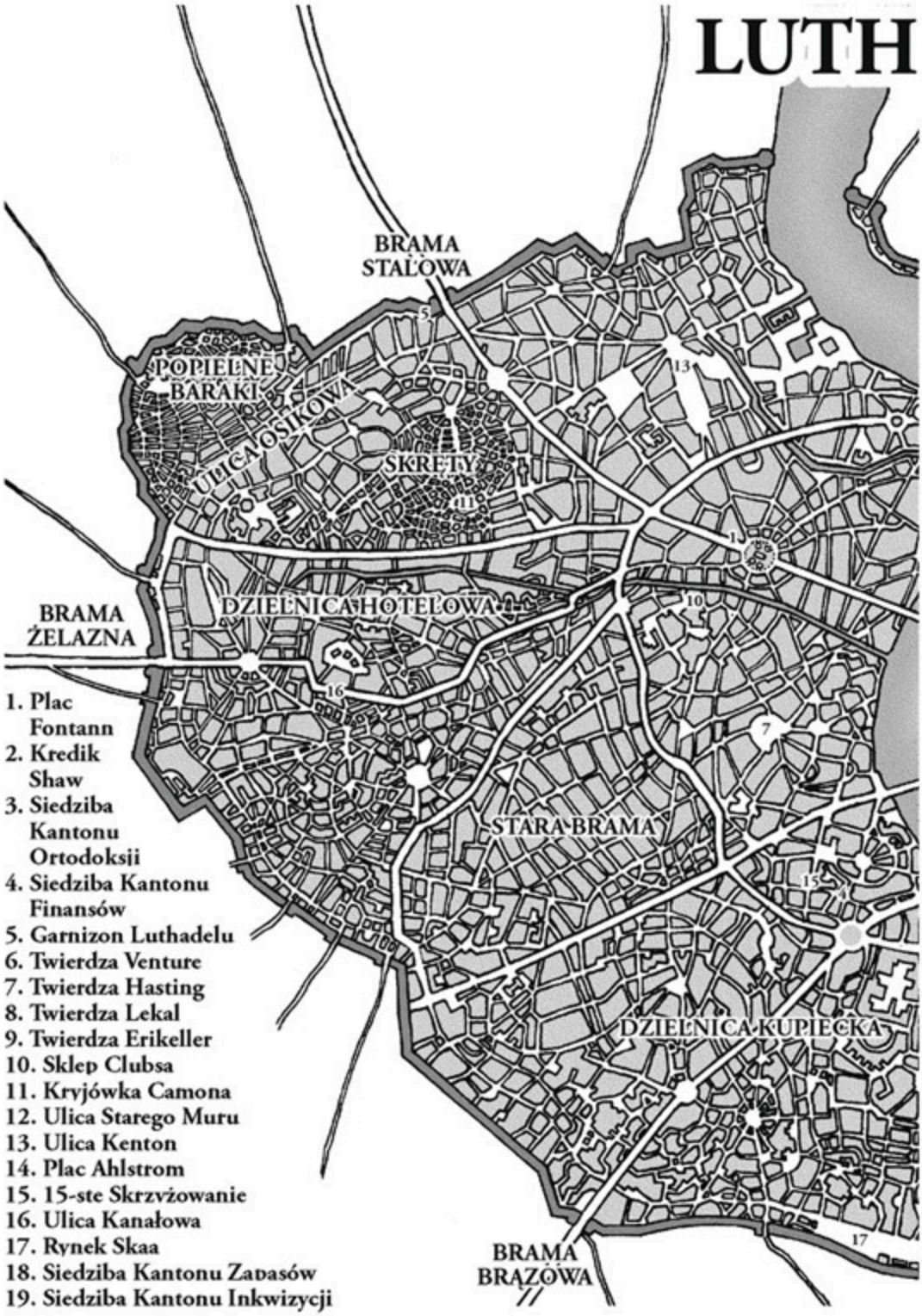
LUTH
BRAMA STALOWA
POPIELNE BARAKI
ULICA OSIKOWA
SKRETY
DZIELNICA HOTELOWA
BRAMA ŻELAZNA
STARA BRAMA
DZIELNICA KUPIECKA
BRAMA BRĄZOWA
1. Plac Fontann
2. Kredik Shaw
3. Siedziba Kantonu Ortodoksji
4. Siedziba Kantonu Finansów
5. Garnizon Luthadelu
6. Twierdza Venture
7. Twierdza Hasting
8. Twierdza Lekal
9. Twierdza Erikeller
10. Sklep Clubsa
11. Kryjówka Camona
12. Ulica Starego Muru
13. Ulica Kenton
14. Plac Ahlstrom
15. 15-ste Skrzyżowanie
16. Ulica Kanałowa
17. Rynek Skaa
18. Siedziba Kantonu Zapasów
19. Siedziba Kantonu Inkwizycji

ADEL
BRAMA CYNOWA
SADZOWE BARAKI
BRAMA CYNOWO-OŁOWIOWA
MOST ZŁOTEGO MURU
ULICA BLOKOWA
BRAMA CYNKOWA
DZIELNICA PRZEMYSŁOWA
MOST POŁUDNIOWY
ŚLĘŻEŃSKI
BRAMA MOSIĘŻNA
BRAMA MIEDZIANA
BRAMA MOSIĘŻNA
2
3
19
18
12
14
6
8
9

OSTATNIE IMPERIUM

1. Luthadel
2. Czeluście Hathsin
3. Urteau
4. Miasto Fadex
5. Tremredare
6. Tathingdwen
7. Dom Modlitwy Seran
8. Góra Derytatith, historyczna lokalizacja Studni Wstąpienia

Góry Popielne:

9. Jezioro Tyrian
10. Jezioro Luthadelskie
11. Czarne Jezioro
12. Rzeka Searan
13. Północna Searan
14. Południowa Searan
15. Rzeka Channerel
16. Jezioro Tyrian
17. Jezioro Luthadel
18. Czarne Jezioro
19. Rzeka Searan
20. Północna Searan
21. Południowa Searan
22. Rzeka Channerel